

# DEETERMANN P.T. - OKO SZATANA

1

**Czwartek, Biuro Utylizacji I Marketingu Departamentu  
Obrony (DRMO\*),  
Atlanta, Georgia, 21.00**

Wendell Carson siedział w swoim biurze menadżera i zastanawiał się, czy iść do wozu po broń. Wkrótce zjawi się Lambry z żądaniem dodatkowych pieniędzy. Może powinien doprowadzić do konfrontacji, sprawdzić, czy zdoła go wystraszyć i zmusić do wycofania się? Albo grać i na później zostawić znaleźć nie jakiegoś rozwiązania?

Obrócił się razem z fotelem. Bud Lambry był prowincjuszem z Alabamy.

Wysoki, chudy sukinsyn o podejrzliwym spojrzeniu, żujący tytoń. Był od ośmiu

lat szperaczem Carsona, a wcześniej pracował dla Andy'ego White'a. Nie ma

co - pomyślał. Bud Lambry nie da się łatwo zastraszyć, więc nisz głową. Udawaj,

Że dostanie to, czego chce, a później spróbujesz go wykiwać. Lambry nie wie, ile

jest wart ten cylinder, niech więc dalej żyje w nieświadomości.

Zgódź się na większą

forse, na cokolwiek, żeby tylko zamknąć mu gębę na kilka dni, dopóki nie dojdzie

do transakcji. Później nie będzie ważne, co Lambry mówił, myślał, ani robił.

Wendell Carson, jako były szef DRMO w Atlancie, zniknie stąd z milionem dol-

ców w kieszeni. Nie oznaczało to, że nie czułby się lepiej mając w szufladzie

spluwę kaliber 38.

Zerknął na zegarek i niemal jednocześnie usłyszał, jak ktoś idzie głównym

korytarzem budynku administracyjnego. Po chwili Bud Lambry wszedł do biura.

Przenikliwym wzrokiem zlustrował pomieszczenie i upewnił się, że są sami.

• Witaj, Bud - odezwał się Carson, nie ruszając się \$ miejsca. - Podobno

chciałeś ze mną rozmawiać?

• Zgadza się odparł Lambry. Podeszedł do okna i przez żaluzje wyjrzał na

parking. Odwrócił się i przeszył przełożonego nieprzyjemnym spojrzeniem.

• To coś, to czerwone... He za to dadzą?

• Jeszcze nie wiem Bud skłamał menadżer. - Są bardzo zainteresowani,

ale jednocześnie dosyć ostrożni.

• Ale dogadacie się?

\* DRMO - The Defence Reutilization and Marketing Office-  
Biuro Utylizacji i Marke-  
tingu Departamentu Obrony.

• 7Och, mam taką nadzieję. Jeśli nie, to, do diabła, nie wiem komu można by to opchnąć. Ale w czym rzecz?

• W pieniądzach - rzekł Bud. Oczka rozbłyły mu chciwością. Podszedł do biurka i potrząsnął rękoma, jakby przygotowywał się do jakiegoś wysiłku. Pochylił się i wsparł dłoń na blacie. Carson czuł jego zapach, była to mieszanina potu i tytoniu. - To coś musi być warte całą furę forsy.

Wendell uśmiechnął się.

- Niech zgadnę... Chcesz większą działkę, bo wiesz, że mamy do czynienia z czymś szczególnym. A poza tym, to twoje znalezisko.

- To cholerna prawda. Nigdy dotąd nie znaleźliśmy niczego podobnego.

Carson przytaknął. Udawał, że poważnie się zastanawia.

Wreszcie ponownie

kiwnął głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

• Zgoda Bud. Nasza zdobycz jest warta fortunę. Mówiąc szczerze, w grę

wchodzi taka kwota, że poważnie myślę o wyjeździe stąd, po dokonaniu transak-

cji. Przede wszystkim dlatego, że to duża suma. Można się też spodziewać wiel-

kiego zamieszania, kiedy armia zorientuje się, co im zginęło.

• Tak - mruknął Lambry i nieco się odprężył. - Może i ja zrobię tak samo.

• Co powiesz na pięćdziesiąt procent, Bud? Przecież ta okazja, to przede wszystkim twoja zasługa.

Lambry zamrugał zdziwiony. Zapewne zamierzał domagać się połowy, ale

byłby zadowolony z każdej zdobyczy. Został zaskoczony, lecz po chwili zmrużył

oczy podejrzliwie.

• Dobra. Ale chcę być na miejscu, kiedy dojdzie do wymiany.

• Nie ma sprawy. Właściwie chciałem cię prosić, żebyś mi towarzyszył. Już

tylko sama kwota wymaga odpowiedniej obstawy. Wiesz co mam na myśli?

Bud wyprostował się.

• W porządku - uznał. - Niech mnie pan zawczasu powiadomi. Jeśli tam-

ci spróbują jakichś numerów, załatwię ich na cacy. Mam pod ręką odpowiednią

spluwę.

• Nigdy dotąd nie próbowali nas wystawić. Nie ma więc powodu przypasz-

czać, że teraz będą chcieli to zrobić.

Lambry przeszył Carsona wzrokiem. Starał się odgadnąć jego zamiary. By-

łem zbyt ugodowy - pomyślał Wendell. Powinienem choć trochę się opierać.

Bud długą chwilę patrzył na podłogę, nim ponownie podniósł wzrok na rozmówcę.

- A pan niech sobie nie myśli, że może mnie wyrolować, panie Carson. Chcę to, co mi się należy.
- Jutro zajmę się wszystkimi przygotowaniami -odpowiedział Wendell, najspokojniej jak umiał.

Lambry odznaczał się gwałtownym usposobieniem, z powodu którego już dwukrotnie miał poważne kłopoty. Był znany z tego, iż nie rozstawał się z nożem i nie wahał się go użyć.

Menadżer wstał, by dać do zrozumienia, że ta mała farsa dobiegła końca. Miał już pomysł, jak zwieść Buda.

8- Złapię cię jutro przy linii przerobowej na wieczornej zmianie. Wtedy powiem ci, co ustaliliśmy. Ale pamiętaj, nikomu ani słowa.

Bud parsknął w odpowiedzi.

- Nigdy nie puszczam pary z gęby i wszyscy świetnie o tym wiedzą.

. Wyszedł trzaskając drzwiami.

Carson głośno wypuścił powietrze z płuc i ponownie usiadł. Lambry ostatnio stawał się coraz bezczelniejszy. Musi coś z tym zrobić, choć wciąż nie wiedział co. Wendell Carson, to nie Andy White. Wielki Andy dopadłby Buda w którymś z magazynów i dosłownie wybił mu z głowy takie pomysły.

Dał Lambry'emu dziesięć minut na sprawdzenie, czy w budynku panuje spokój, po czym wstał i zamknął drzwi biura na klucz. Zasunął żaluzje i sprawdził co dzieje się na parkingu.

Stał tam tylko jego samochód. Podeszedł do sięgającego sufitu regału na książki i wsunął rękę za skoroszyty na górnej półce. Wyjął stamtąd zdobycz: ciężką, czerną, plastikową tubę, długą na ponad metr, o średnicy dziesięciu centymetrowi pokrytą oznaczeniami armii Stanów Zjednoczonych. Na każdym jej końcu znajdowały się po cztery zatrzaski z nierdzewnej stali. Wewnątrz mieścił się właściwy, także stalowy cylinder, z obu stron zamknięty wypukłymi korkami. Całość ważyła około siedmiu kilogramów.

Carson popatrzył na tubę. Nie miał pojęcia co oznaczają te wszystkie napisy, lecz kiedy odczytał je przez telefon Tangentowi - swojemu klientowi z Waszyng\* tonu, i wyjaśnił skąd pochodzi cylinder, rozmówca zareagował jak rażony gro- mem z jasnego nieba. Skontaktował się z nim ponownie zaledwie pięć minut później, oferując milion dolarów w gotówce. Tak po prostu. A teraz Budowi wydaje się, że dostanie połowę tej kwoty.

Chyba w marzeniach, gnojku - pomyślał Wendell. To co trzyma w rękach jest jak Święty Graal. To szansa w jego życiu. Kto by pomyślał? - zadumał się i odłożył cylinder z powrotem na półkę. Po tylu latach czerpania drobnych korzy-

ści z aukcji, wreszcie trafił główną wygraną w loterii i to dzięki temu pojemnikowi, prawdopodobnie z jakimś gazem bojowym.

## 2

### **Wątek, Dowództwo Dochodzeniowych Służb Kryminalnych Departamentu Obrony (DCIS\*), Waszyngton D.C, 12.00**

David Stafford, starszy inspektor dochodzeniowy stał w korytarza naprzeciw swego przełożonego - pułkownika Parsonsa - i zniecierpliwiony wysłuchiwał wyroku, w praktyce skazującego go na banicję.

\* DCIS - The Defence Criminal InVeStigati ve Service - Departament Obrony Dochodzeniowych Służb Kryminalnych.

## 9

- Atlanta, Dave. Na świecie są gorsze miejsca. Stafford powoli pokiwał głową, nie patrząc ani na Parsonsa, ani na żadnego z mijających go ludzi.  
- Chyba wiesz, że robię to, żeby ocalić ci tyłek. Ray Sparks jest szefem regionu południowo-wschodniego. Bez zbędnych pytań zapewni ci schronienie i opiekę. Jedź tam, załatw tę sprawę z aukcjami i pozostań w cieniu. Poczekaj, aż wydobrzeje ci ręka. Zapomnij o Alice i rozwodzie, a kiedy wszyscy tu się uspokoją, wrócisz.

Stafford słuchając jednym uchem ponownie przytaknął. To spotkanie w holu stanowiło kulminację najgorszych osiemnastu miesięcy w jego życiu. Miał ochotę powiedzieć: „dzięki, ale może lepiej złożę dymisję i w ten sposób wszystkim ułatwię sprawę?” Tyle tylko, że zupełnie nie miał gdzie się podziać. Musiał spłacić dom i samochód. W jego życiorysie aż roiło się od politycznych akcentów. Do tego miał unieruchomioną prawą rękę, zniszczone małżeństwo i tutaj, w River City poważnych wrogów na wysokich stanowiskach. Właściwie nie miał więc wyboru.

Pułkownik przyglądał mu się i najwyraźniej oczekiwał jakiejś odpowiedzi.  
- Doceniam to, szefie - odparł, wciąż nie podnosząc wzroku.  
- Oczywiście nie podoba mi się to zadanie. Nienawidzę go. - Wreszcie popatrzył Parsonsovi prosto w oczy. - Ale naprawdę doceniam to, co pan dla mnie zrobił. Właściwie gdzie jest ta Georgia? - zażartował.

Pułkownik uśmiechnął się szeroko.  
- Tu masz bilet. Będziesz mile zaskoczony. Ale pamiętaj, żadnych nume^

rów! Nie rób z igły wideł. Ta sprawa DRMO wisi nam nad głowami już od pewnego czasu. Pewnie to jakaś błażostka. Kiedy więc będziesz na miejscu, nie spiesz się. Czekają już na ciebie rozkazy. Bierz je i znikaj, zanim komuniści dowiedzą się o wszystkim.

Pułkownik poklepał Stafforda po ramieniu i odszedł, zostawiając go samego. Inspektor westchnął ciężko i ruszył po odbiór rozkazów. Im szybciej, tym lepiej - powiedział pułkownik. Co tam do diabła - przemknęło mu przez głowę. Może wyjdzie mi na dobre odwiedzenie miejsca, gdzie nie będę czarną owcą.

### **Piątek, DRMO, Atlanta, 20.30**

W piątkowy wieczór, po zjedzeniu posiłku w pobliskiej restauracji, Carson wrócił na parking swojego biura. Zaparkował zielonego, wojskowego pikapa przed budynkiem i opuścił boczną szybę. Ponad szumem samochodowego silnika słyszał huk pracującej linii przerobowej, wydobywający się zza budynku administracyjnego. Podciągnął szybę, wysiadł z wozu i zamknął go.

Ośma trzydzieści. Linia będzie pracować jeszcze jakieś pół godziny. Zespół obsługi, po umieszczeniu przedmiotów przeznaczonych do zniszczenia na pasie transportowym, opuścił stanowiska już kilka godzin temu. Został tam tylko operator maszyny, który dopilnuje, aż pas zostanie opróżniony, a później zabezpie-

10

czy urządzenie. Carson, jako szef, sprawdzał prawidłowość całej procedury. Tym razem zadbał, by wieczorną służbę pełnił Bud Lambry.

Wcześniej zatrzymał się przy drodze stanowej numer 42 obok sklepu metalowego i zlecił przycięcie rurki o średnicy około ośmiu centymetrów, wypolerowanie jej i zatkanie obu końców. Rozmiar był odpowiedni, ale trzeba było jeszcze zadbać o właściwą wagę. Wnętrze wypełnił więc piaskiem. Operator tokarki zapytał w żartach, czy Carson nie przygotowuje bomby rurowej. Ten nie dał zbić się z tropu i odparł, iż zamierza wysadzić budynek izby skarbowej w Chamblee, nieopodal Atlanty. Pracownik zaproponował więc pomoc w tak szczytnym celu.

„...” Wendell zamierzał wziąć wypełniony piachem cylinder do biura, podmienić go z prawdziwym i zabrać fałszywą zdobycz do budynku przerobowego. Tam wyjaśniłby Budowi, że transakcja jest spalona i muszą zniszczyć cylinder. Jedyne

kłopot pojawiłby się, gdyby Lambry nalegał na otwarcie zewnętrznej tuby. Wtedy bowiem zorientowałby się, że na tej wewnętrznej nie ma żadnych oznaczeń woj-

skowych. Carson nie wiedział, czyjego podwładny kiedykolwiek zaglądał do środka, lecz doszedł do wniosku, że musi zaryzykować. Próbował oderwać jedną z naklejek na prawdziwym cylindrze, ale ta niestety uległa pełnemu zniszczeniu.

Musiał działać szybko, udając zaniepokojonego, zdenerwowanego, by zniszczyć tubę, zanim Bud zdąży zrozumieć co się naprawdę dzieje. Przecież to był półgłówek, więc wybieg powinien się udać.

Ponownie spojrzął na zegarek. Sięgnął do teczki po telefon komórkowy i wybrał numer sterowni linii przerobowej. Zanim ktoś odebrał sygnał w słuchawce rozległ się pięciokrotnie. Carson usłyszał głos Buda, zagłuszany hukiem pracującej maszyny.

- Niszczarnia. Lambry.

-To ja. Jak długo będziesz jeszcze pracował?

- Jakies pół godzinki. Co się stało?
- Mamy poważne kłopoty. Jadę do ciebie. Zaraz będę.

Nikogo nie ma w pobliżu?

~ Nie. Jakies kłopoty?

- Powiem ci na miejscu Bud - Carson rozłączył się.

Pięć minut później szedł po gładkiej, betonowej powierzchni.

Niosł czerwoną tubę z fałszywym cylindrem w środku. Teren placówki był jasno oświetlony wysokimi halogenowymi reflektorami. Carson posuwał się pewnym krokiem, a im bliżej był hali przerobowej, tym bardziej narastał hałas maszyny, którą wszyscy nazywali tu Monstrum. Zatrzymał się na moment. Podczas pracy Monstrum nie będą mogli rozmawiać. Skierował się więc w stronę przyległego magazynu, gdzie dostarczano przedmioty do likwidacji i wystukując na klawiaturze alfanumerycznej kod dostępu wszedł do środka.

Światła były włączone. Rozejrzył się sprawdzając, czy nikogo więcej nie ma w budynku. Pas transportowy pracował, pozostało na nim jeszcze dwadzieścia metrów odpadów. Podajnik posuwał się bardzo powoli, z prędkością około trzech kilometrów na godzinę, by dać maszynie w sąsiednim hangarze czas

11na przerobienie. Mimo gumowych pasków zasłaniających połączenie między dwoma budynkami, hałas powodowany przez Monstrum był trudny do zniesienia.

Podszedł do metalowych drzwi łączących magazyn z halą główną. Wyrzucił przez znajdujące się w nich okienko, ale zobaczył w nim tylko fragment potężnej maszyny, gdzie się kończył pas siedmioma pionowymi ostrzami, rozdrabniającymi transportowany nim materiał. Nie mógł ich pokonać, gdyż tylko operator posiadał klucze. Na prawo od drzwi był telefon. Ponownie rozejrzył się na wszyst-

kie strony, podniósł słuchawkę i wystukał numer.

- Niszczarnia. Lambry.
- Zostaw na chwilę robotę i wyjdź przez drzwi Bud -

powiedział Carson

podnosząc głos - musimy pomówić, a nie ma zbyt dużo czasu.

Rozłączył się nim podwładny miał okazję zaprotestować.

Wycofał się i sta-

nał przy pasie, nieopodal miejsca, gdzie ten niknął za gumowymi osłonami. Mi\*

nutę później w okienku przemknął cień, po czym otworzyły się

drzwi i stanął w nich

w tłumikach i w kasku Bud Lambry. Na widok Carsona

znieruchomiał, niepewny

co się stało. Wreszcie podszedł do niego. Zdziwił się na widok

czerwonego cy-

lindra.

Carson pospiesznie wyjaśnił, iż transakcja nie dojdzie do skutku, bo klient

się wycofał. Atmosfera stała się zbyt gorąca i pojawiło się realne

niebezpieczeń-

stwo wpadki.

- Kontrahent dał mi do zrozumienia, żebym zniszczył to

cholerstwo, zanim

o wszystkim dowie się armia. Najlepiej wrzucić cylinder do

Monstrum, i oddalić

się kiedy dostanie się do jego wnętrza.

- Dlaczego? - zapytał Bud, wyraźnie zaskoczony. - Przecież gdzie indziej

to też jest coś warte!

Carson pokręcił głową.

- Mówi, żeby lepiej nie próbować. Ten towar aż parzy w

ręce. Kiedy armia

dowie się o wszystkim, wybuchnie istne piekło. Wykonają wyrok

śmierci za zgu-

bienie cylindra, nie mówiąc już o tym, co zrobią za jego

sprzedanie. Nie mamy

wyjścia, Bud. To zbyt duże ryzyko. Musimy to zniszczyć. Tutaj

najlepiej będzie

się tego pozbyć.

Nie dając Lambry'emu czasu na protesty, położył czerwoną

tubę na pasie

transportowym, mniej więcej trzy metry przed połączeniem z

główną halą. Bud

stał dłuższą chwilę i przyglądał się pojemnikowi małymi, świńskimi oczkami.

Wreszcie ku przerażeniu Carsona, dał kilka susów i zdjął cylinder z podajnika.

- Chwilą - rzucił. Nie spuszczać wzroku z przełożonego, przykucnął i za-

brał się za rozpinanie zatrzasków zabezpieczających dekle.

Carson intensywnie myślał. Jezu Chryste, co teraz? Zaraz

zorientuje się, że

dokonałem podmiiany! Desperacko rozejrzył się wokół za

jakąkolwiek bronią, ale

nie znalazł nic w zasięgu wzroku. Tymczasem Bud mocował się

już z ostatnim

zatrzaskiem. Otworzył tubę, wyjął rurkę z wnętrza i odrzucił

czerwone opakowa-

nie z powrotem na pas. Przez chwilę przyglądał się mniejszemu

pojemnikowi, aż

wreszcie poderwał się gwałtownie na równe nogi.

- Ty draniu! - krzyknął, wypuszczając rurką na podłogę. - To nie to! Podmieniłeś je!

Pałając wściekłością wy dobył z kieszeni nóż sprężynowy i pewnym ruchem wymierzył cios prosto w żołądek Carsona. Ten, odruchowo się cofając, poczuł jak ostrze przesuwają się po jego kurtce. W oczach Lambry'ego zobaczył wyraźną żądzę krwi. Niewiele myśląc kopnął przeciwnika i trafił go w krocze. Bud krzyknął z bólu, puścił nóż i zatoczył się do tyłu. Upadł plecami na pas transportowy z taką siłą, że kask spadł mu z głowy. Posuwający się podajnik pociągnął go do przodu. Nogami uderzył o wystający wspornik, aż jego ciało obróciło się o dziewięćdziesiąt stopni. Zdezorientowany, chaotycznie machając kończynami, nieświadomie wcisnął rękę między pas, a jedną z rolek. Carson patrzył z przerażeniem, jak potężna siła miażdży prawą dłoń Buda. Lambry wrzasnął miotając się na wszystkie strony. Starał się oswobodzić, lecz po chwili opadł bezwładny, zapewne tracąc z bólu przytomność.

Wendell stał bez ruchu, nawet wtedy, gdy już zorientował się, że napastnik zemdłał. Pas nie zatrzymał się jednak, niosąc bezwładne ciało Buda ku przegrodzie. Nim Carson zrozumiał, co może się wydarzyć, ciało zniknęło i nie był już w stanie go dosięgnąć.

Musiał zatrzymać pas.

Podbiegł do drzwi, lecz nim jeszcze nacisnął klamkę - uświadomił sobie, że są zamknięte. Obejrzał się na podajnik, który sunął nieubłaganie.

- Jezu Chryste - myślał chaotycznie, Monstrum zaraz go wciągnie! Muszę natychmiast znaleźć przycisk awaryjny!

Zdezorientowany pobiegł do tylnych drzwi. Jednocześnie starał się przypomnieć sobie, gdzie znajduje się panel kontrolny pasa. Był w przeciwległym rogu. Kiedy go dopadł, Lambry już dawno zniknął mu z oczu. Odgłos Monstrum niszczącego metalowe elementy dźwięczał w uszach Carsona.

- Muszę zatrzymać ten cholerny podajnik! Dopadł wyłącznika awaryjnego i wcisnął go z całych sił.

Bezsukutecznie.

Zrozpaczony powtórzył ten sam ruch. Znów nic.

Jeszcze raz obejrzał się na pas, który wciąż był w ruchu. I wtedy zobaczył w czym rzecz. W prawym górnym rogu konsoli migał do niego czerwony napis: BLOKADA SYSTEMU.

- Och, mój Boże, przebiegło mu przez głowę. Skoro Monstrum pracowało,

pas dało się kontrolować wyłącznie ze sterowni w sąsiednim pomieszczeniu, do którego nie miał dostępu. Rozszerzonymi oczami patrzył na podajnik na którym teraz leżał Bud. Nie chciał nawet myśleć o tym, co się zdarzy. Nie był jednak w stanie powstrzymać się przed podejściem do szybki w zamkniętych drzwiach i patrzeniem na nieuniknione zdarzenia. Stał bez ruchu, jak zahipnotyzowany. -\*. Nie chcę na to patrzeć. Musisz. Nie chcę. Może ocknie się na czas. Nie mogę na to patrzeć, nie mogę... Zamknął oczy i miał nadzieję, że coś usłyszy. Cokolwiek. Ale do jego uszu dobiegał tylko huk poruszających się ostrzy i zgrzyt ciętego metalu. Kiedy wresz-

13

cie ośmielił się uchylić powieki, zrobił to o sekundę za wcześniej. Widział, jak siedem potężnych noży rozplatało czaszkę Buda, która zginęła w potoku oleju mieszającego się z krwią. Odskokczył od wizjera, walcząc z wstrząsającymi jego ciałem torsjami. Później zamknął oczy i dopiero po pewnym czasie spojrzał na plątaninę rur nad głową. Jedna z nich wyglądała dokładnie jak cylinder. - Jezu, co ja zrobiłem! To był wypadek - powtarzał sobie. Działałem w samoobronie. Przecież on wyjął nóż\* na miłość boską! W żaden jednak sposób nie był w stanie zapomnieć widoku śmierci Lambry'ego. Zataczając się wyszedł na zewnątrz, gdzie drżącymi palcami zapalił jakże potrzebnego mu teraz papierosa. Jednym zaciągnięciem się wypalił prawie połowę. Weź się w garść - przykazał sobie. Musisz żyć dalej, bez względu na to co się wydarzyło. Lambry nie jest ci już potrzebny. Skoncentruj się na pieniądzach. A później znikaj stąd. Wciąż czując ucisk w żołądku - uświadomił sobie, że najpierw musiał wyłączyć Monstrum. Niechętnie wrócił do magazynu. Był na to tylko jeden sposób: trzeba przedostać się pasem do hali, gdzie stała maszyna. Z trudem przeknął ślinę,

3

**Poniedziałek, Międzynarodowy Port Lotniczy Hartfield,  
Atlanta,  
Georgia\* 11.00**

W poniedziałkowe przedpołudnie Carson stał w strefie bagażowej międzynarodowego lotniska Hartfield. Przymknął oczy i skupił się na opanowaniu

dolegliwości żołądkowej. To stało się coraz bardziej przerażające - pomyślał.

Powinienem się wycofać, kiedy jeszcze mogłem. Powinienem zniszczyć prawdziwy cylinder, po tym jak Lambry... Jezu, jakiego słowa na to użyć? Głupi drań!

Wokół panował niewielki ruch. Zajął miejsce między piątym, a szóstym numerem karuzeli bagażowych Delt. Czekał na tego waszyngtońskiego spryciarza...

a ściśle mówiąc na agenta Dochodzeniowych Służb Kryminalnych Departamentu

Obrony starał się nie zwracać na siebie uwagi. Na zewnątrz próbował zachować

spokój i opanowanie. Wewnątrz żołądek wywracał mu się jednak na wszystkie strony. Zimny pot spływał po plecach, a oczy piekły z powodu braku snu.

Widział kręcących się tu i ówdzie ochroniarzy. Ciekawe, kiedy któryś z nich

zwróci uwagę na jego zdenerwowanie i podejdzie, by zapytać po co tu stoi. Cze\*

kam na kogoś. Samolot musiał mieć opóźnienie. Takie sytuacje się zdarzają, praw-

da? Wyczuł, że emanuje strachem, który zwraca uwagę doświadczonych linia-

rzy. Właściwie pozbił się już po wydarzeniach piątkowego wieczoru, kiedy

z samego rana miał telefon z centrali DLA\*. Inspektor dochodzeniowy z DCIS

\* OLA - Defence Logistics Agency - Agencja Logistyczna Departamentu Obrony.

14

mał zjawić się w Atlancie o jedenastej. - Nie wiem dokładnie o co chodzi, ale

chcemy, żeby osobiście powitał go pan na Hartfield - usłyszał w słuchawce.

- Trzeba zapewnić mu wszelką możliwą pomoc. Proszę natychmiast dzwonić, kiedy zorientuje się pan, co jest celem jego wizyty. Życzę miłego dnia, panie Carson.

Teraz zważyło mu się na głowę jeszcze to. Zaledwie dwa dni po... zniknięciu

Lambry'ego. Wierzchem dłoni otarł z czoła krople potu. Gorąco tu, przebiegło

mu przez głowę. Czyżby jeden z ochroniarzy go obserwował? Odwrócił się do

niego plecami, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów.

Przecież nie może chodzić o ten cylinder - powtarzał sobie w myślach. To

niemożliwe. Do diabła, przecież nikt w DLA nie mógł się o nim dowiedzieć. Strach

zaczął go tak dusić, aż kilkakrotnie głośno odchrząknął. Mimo ogromnego wysi\*

łku, serce ponownie przyspieszyło swój rytm. Twarz mu poczerwieniała. Jeśli nie

pojemnik, to może Lambry? Też niemożliwe - uznał.

Zdecydowanie za wcze-

śnie. Z całych sił zacisnął powieki, by odpędzić sprzed oczu

straszne obrazy, ale  
te powracały, podobnie jak przez cały weekend.  
Mimo, iż Bud mocno go wkurzył, nigdy nie zamierzał zrobić  
tego, co się  
wydarzyło. Ponownie rozejrzał się po strefie bagażowej, starając  
się skupić Wzrok  
na czymkolwiek, co pozwoliłoby mu oderwać się od wspomnień.  
Ale nic z tego\*  
Każdy okropny szczegół bez przerwy przewijał mu się przez  
głowę.  
- Nic panu nie jest? - ktoś zapytał.  
Aż podskoczył. Piękna kobieta z kilkunastoletnią dziewczyną  
przy boku przy-  
glądała mu się ciekawie. Nastolatka patrzyła na niego zupełnie  
inaczej. Miała  
ciemne oczy. Przyglądała mu się zza ramienia, zapewne, matki z  
wyraźnym prze-  
rażeniem. Jakby była świadkiem tego, co wydarzyło się w piątek.  
Jego głos z trudem wydobył się przez zaciśnięte gardło:  
. - Nie, nic... mi nie jest. Mam... okropny ból głowy. To  
wszystkow  
Kobieta ze zrozumieniem pokiwała głową. Odwrócił od niej  
wzrok, lustrując  
napisy na tablicy przylotów oraz tłum ludzi odbierających bagaże.  
Starał się pa-  
trzeć gdziekolwiek, tylko nie na kobietę i nastolatkę. Z  
niepewnością i jednocze-  
śnie z ulgą zorientował się, że na tablicy wreszcie pojawiła się  
informacja o locie  
tego faceta z Waszyngtonu. Rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś,  
kto wyglądał na  
starszego inspektora dochodzeniowego. Za wszelką cenę starał  
się nie wracać  
myślami do widoku czaszki Lambry'ego poddającej się ostrzom  
Monstrum, ni-  
czym bochenek chleba krojony na kawałki. To wypadek -  
powtarzał sobie. To nie  
powinno się zdarzyć... A wszystko przez ten pojemnik.  
Ponownie przeknął z trudem ślinę i wrócił do wypatrywania  
przybysza. Nie  
natrafił jednak wzrokiem na nikogo, kto by wyglądał na faceta z  
DCIS. Zjawilo  
się kilku biznesmenów. W oczekiwaniu na bagaż prowadzili  
rozmowy przez tele-  
fony komórkowe. Trzech młodych, opalonych ludzi wyłapywało  
torby golfowe,  
ale nigdzie ani śladu kogoś z Waszyngtonu. A takich dało się  
przecież rozpoznać  
na pierwszy rzut oka.  
Spróbował zebrać się w sobie. Kątem oka spostrzegł, zeta  
cholerna dziew-  
czyna wciąż mu się przygląda. Odwrócił się do niej plecami i  
Starał się zapomnieć

15

o Lambrym i cylindrze. Okazało się to niemożliwe. Skarb nad  
skarbami, który  
Bud wypatrzył pośród ładunku podobno pustych pojemników,  
które przysłano  
z Utah.  
Usiłował skupić uwagę na pieniądzach. Milion dolarów w  
gotówce. Wyobra-

ził sobie stos banknotów. Wrócił myślami do rozmowy telefonicznej z Tangentem - jego kontrahentem w Waszyngtonie.

- Mam coś, co wygląda na jakąś broń chemiczną. Jest pan zainteresowany?.

Tangent poprosił go o odczytanie oznaczeń na boku cylindra, po czym się rozłączył.

Propozycja nadeszła pięć minut później: milion w gotówce. Miał czekać na

instrukcje dotyczące dostawy. Należało się spieszyć. I to bardzo.

Co Tangent zamierza zrobić z tym pojemnikiem - to nie moja sprawa - po-

myślał Carson. Właściwie nie chciał nic o tym wiedzieć. Ale przecież nietrudno

było się domyślić. Tangent sprzeda nabytek na międzynarodowym rynku broni.

Natychmiast przypomniał sobie zdarzenia z tokijskiego metra. Te wszystkie po-

wykręcane, czerwone ciała. Tłum podróżnych z wybałuszonymi oczami, bezsku-

tecznie starających się złapać powietrze. Dziesiątki ludzi leżących na podłodze,

otoczonych przez zupełnie bezsilnych policjantów.

Może to tamten? Nie. A może jednak? I nagle pojawiła się inna myśl: co,

jeśli ten gliniarz zjawił się tu z innego powodu? Może chodzi o szwindle z auk-

cjami? Serce znów przyspieszyło swój rytm. Tylko nie teraz - pomyślał. Jezu

Chryste, nie teraz. Spojrzał na mężczyznę zmierzającego do piątej karuzeli. Nie

rozklejaj się - przykazał sobie. Pojemnik jest twoim biletem do wolności. Z taki-

mi pieniędzmi będziesz mógł zacząć zupełnie od nowa. Na to przecież czekałeś

całe życie i po to kradłeś.

Facet, który mógł być pracownikiem DCIS, bez wątpienia zmierzał w jego

stronę. Miał na sobie elegancki garnitur, był potężnie zbudowany, a w lewym ręku

niósł dużą teczkę. Prawa ręka była w dziwnej pozycji, z dłonią wsuniętą do kie-

szeni płaszcza, jakby nie miał w niej władzy. Wyraz jego twarzy idealnie pasował

do śmiertelnie poważnego gliniarza.

To on - uznał Wendell. Starszy inspektor dochodzeniowy David Stafford,

patrzył prosto na niego, raczej bez sympatii. Carson odruchowo spojrzał do-

okoła, zastanawiając się czy widać, jak pot oblewa jego ciało. Podświadomie

spodziewał się, że ochroniarze już są nim zainteresowani, ale zobaczył tylko

tłum kręcący się wokół karuzel. No i tę cholerną nastolatkę, która wciąż go

obserwowała.

Nie patrz na nią.

Ale nie był w stanie.

Odpowiedział na jej spojrzenie i nie był w stanie oderwać wzroku od ciem-

nych oczu przypominających lasery. Nagle, wbrew sobie, znów zobaczył rozpa-

dającą się na kawałki czaszkę Lambry'ego. A wszystko to przez

cylinder, który  
wydawał mu się jakimś wytworem obcej rasy, i wisiał teraz gdzieś  
w powietrzu  
między nim, a dziewczyną.

Spróbował oderwać od niej oczy, by sprawdzić gdzie jest ten  
mężczyzna. Wi-  
dział już tylko tunel, w którym znajdował się pojemnik, a na jego  
końcu, wwierca-

16

jące się w jego mózg lśniąco żrenice nastolatki. Nagle  
zadudniło mu coś w uszach  
i otoczyły go lepkie ciemności.

Stafford zaklął głośno i spojrzał na twarze otaczających go  
ludzi. Zauważył  
Wendela Carsona, gdy tylko wszedł do strefy bagażowej.  
Widział btoografię sze-  
fa DRMO w Atlancie, załączoną do jego danych osobowych, z  
którymi zapoznał  
się w samolocie. Pięćdziesiąt pięć lat, biały, metr siedemdziesiąt  
wzrostu, łysieją-  
cy, twarz owalna, okulary, dość korpulentny. Stafford znajdował  
się w odległości  
ośmiu metrów od Carsona, gdy zorientował się, że ten  
porozumiewa się spojrze-  
niami z dziewczyną stojącą przy jednej z karuzel. Po chwili zaś,  
zupełnie niespo-  
dziewanie, niczym worek ziemniaków osunął się na podłogę.  
Wszystko wydarzy-  
ło się zaledwie w ciągu dwóch sekund. Ludzie kręcący się wokół,  
odskakiwali  
przerażeni. Kilku tylko pospieszyło z pomocą.

Funkcjonariusz DCIS przepchnął się przez zbiegowisko, by  
sprawdzić, co  
u licha, się zdarzyło. Nim dopchnął się do Carsona, jakaś  
ciemnowłosa kobieta  
ujęła leżącego pod ramię i pomagała mu usiąść. Nastolatka stała  
jakiś dwa metry  
z tyłu. Nadal wpatrywała się w Carsona przenikliwym wzrokiem, z  
wyrazem  
ogromnego zgorszenia, bądź strachu na twarzy.

• O co tu chodzi, do diabła? - zastanowił się przyklękawszy,  
by pomóc  
Carsonowi. Menadżer odzyskał już przytomność, ale gdy wkładał  
okulary na nos,  
wyglądał na mocno oszołomionego.

• Wendell Carson? Jestem David Stafford. Słyszysz mnie pan?  
Co z panem?

• Chwilę temu nie wyglądał najlepiej - wyjaśniła jakaś  
kobieta. Stafford zwró-  
cił uwagę na jej zielone oczy, mlecznobiałą cerę i kruczoczarne  
włosy. - Powie-  
dział, że okropnie boli go głowa.

Inspektor dochodzeniowy chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej  
samej chwili  
Carson spróbował się podnieść.

- W porządku - szeptał. - Nic mi nie jest Zrobiło mi sił tylko  
słabo. Sam  
nie wiem...

Pojawili się dwaj czarnoskórzy mężczyźni w mundurach,

którzy pomogli mu wstać. Jeden uważnie zmierzył go wzrokiem, podczas gdy drugi rozmawiał przez krótkofalówkę. Kobieta wraz z nastolatką wycofały się.

- Czy potrzebna panu pomoc medyczna? zapytał pierwszy ochroniarz.

Carson pokręcił głową.

- Nie, nic mi nie jest. Tylko poczułem się słabo. Jakoś tu gorąco.

Stafford okazał obsłudze lotniska swoje dokumenty służbowe.

- Pan Carson miał się tu ze mną spotkać -i wyjaśnił. - Zajmę się nim. Nie sądzę, żebyśmy potrzebowali lekarza.

Ochroniarze odeszli, a Stafford poprowadził Carsona do jednej z ławek w pobliżu szeregu karuzel bagażowych. Mieszkaniec Atlanty usiadł ciężko i wsparł się na rękach. Po długiej chwili uniół ją i popatrzył na przybysza.

- Przepraszam za to, co się zdarzyło. Nie wiem, jak do tego doszło. Przez kilka ostatnich dni zmagalem się z grypą. To pewnie dlatego. Pan nazywa się Stafford?

17

- Tak. Dave Stafford. Z DCIS z Waszyngtonu. Jeśli nic panu nie jest, to odbiorę swój bagaż. Proszę tu poczekać i odpocząć jeszcze przez jakiś czas.

Zostawił teczkę i zniknął w tłumie otaczającym karuzele. Kątem oka wciąż obserwował Carsona, który sprawiał wrażenie cierpiącego z powodu choroby morskiej. Był blady jak ściana i trzęsły mu się ręce. Kobieta i dziewczyna, na które wcześniej zwrócił uwagę, właśnie go minęły. Pierwsza popatrzyła na niego, ale nawet nie zwołniała. Nastolatka zaś patrzyła gdzieś w dal,

zmagając się z ciężką walizką na kółkach. Na jej boku znajdowała się naklejka z napisem: GRANTVILLE, GEORGIA, TYPOWO AMERYKAŃSKIE MIASTECZKO.

Powodowany impulsem, Stafford zawołał za kobietą. Stała z wyrazem lekkiej obawy na twarzy. Obejrzał się przez ramię, upewniając się czy Carson nie widzi ich razem.

- Nazywam się David Stafford - oznajmił i okazał legitymację służbową. -

Jestem federalnym inspektorem dochodzeniowym. Czy zna pani tego mężczyznę, który przed chwilą zemdleł?

- Nie - odpowiedziała bez wahania, rozglądając się za dziewczyną. Ta przystała nieco dalej i spojrzała na rozmawiającą parę.

- A może pani córka miała okazję już się z nim zetknąć?

Kobieta zmarszczyła brwi. Była niemal tak wysoka jak on. W jej świecących oczach pojawił się cień zniecierpliwienia.

- To nie moja córka, ale ona także go nie zna. Przepraszam, ale musimy już iść. Jej głos był gardłowy, z południowym akcentem.

Stafford był niemal pewien, że Carson i ta nastolatka przyglądali się sobie uważnie, tuż przed tym jak stracił przytomność.

- Chodzi o to... - zaczął. -No cóż, oto moja wizytówka, na wypadek gdyby uznała pani, że warto się ze mną skontaktować. Gdyby do tego doszło, proszę się nie wahać. To może być ważne.

Przyjęła kartonik, przyglądała mu się przez chwilę i wreszcie zamknęła go w dłoni. Zwrócił uwagę na to, że nie miała żadnej biżuterii. Jej dłonie o jasnej jak twarz karnacji były wysmukłe i delikatne. Była mniej więcej w jego wieku.

- Dziękuję - rzekł, nie dając jej ewentualnej możliwości zwrócenia wizytówki.

Odwrócił się ku podajnikom z bagażami. Kątem oka obserwował jednak, jak obie zmierzają w stronę wyjścia. Dziewczyna obejrzała się za nim, ale jej towarzysząca ujęła ją za ramię i zdecydowanie pociągnęła za sobą. Ta kobieta robi wrażenie, a w dziewczynie jest coś dziwnego - stwierdził. Jeszcze raz powrócił myślami do sceny tuż przed omdleniem Carsona, ale właśnie wypatrzył swoją Walizkę i zajął się jej odzyskaniem.

Carson odzyskawszy część sił, wszedł do zaparkowanego przed terminalem służbowego samochodu. Spędził pięć nieprzyjemnych minut na ławce, kiedy Stafford oddał mu walizkę. Niedobrze, że agent z Departamentu Obrony zjawił się prawie niezapowiedziany, a tu jeszcze ta utrata przytomności w miejscu pu-

blicznym. Jezu, co się z nim działo? Pokręcił głową czując, że serce po raz kolejny przyspiesza swój rytm. Oddychał głęboko, starając się uspokoić. Wreszcie spostrzegł podchodzącego do wozu przybysza.

Stafford otworzył tylne drzwi lewą ręką, z trudem wstawił do środka bagaże<sup>na</sup> i wreszcie zajął miejsce obok Wendella.

- Jest pan pewien, że da radę prowadzić? - zapytał. - Jeśli trzeba, ja pokieruję, a pan będzie tylko przewodnikiem. -

- Dziękuję, ale czuję się naprawdę dobrze. Coś się stało panu w rękę?

- Tak. To postrzał. Mam uszkodzone nerwy. Prawie nie mam w niej władzy, Rozpocząłem rehabilitację, ale trzeba jeszcze poczekać na postępy. Tak przy oka\*

zji, co to była za dziewczyna? Znam się?

Carson myślał szybko.

- O jakiej dziewczynie pan mówi? - zapytał, udając, że skupia uwagę<sup>na</sup> ruchu ulicznym.

- Widziałem was, zanim pan zemdlał. Wydawało mi się, że przyglądacie się sobie.

Szef DRMO skręcił w lewo i wjechał na obwodnicę Atlanty.

- Na lotnisku panował spory tłok. Nie przypominam sobie żadnej dziewczyny, ani nikogo innego -jeśli o to chodzi. Stałem i czekałem na pana. Nagle ocknałem się na podłodze. Najwyraźniej zapomniałem o oddychaniu. Jak już mówię, w ciągu kilku ostatnich dni nie czułem się najlepiej.

Stafford w zamyśleniu pokiwał głową, najwidoczniej akceptując tłumaczenie towarzysza.

- Na jej walizce była naklejka... coś o Graniteville. Wydawało mi się, że pan ją zna.

- Nie.

Carson nie odrywał wzroku od drogi. Z coraz Większą niecierpliwością oczekiwał aż Stafford wreszcie zmieni temat

- Gdzie mieści się wasza placówka? Zazwyczaj znajdują się na terenie baz wojskowych, prawda?

- Zgadza się, choć Fort Gillem nie zasługuje właściwie na miano bazy. To niewielki obiekt wojskowy. Wiele z nich się zamyka. Teraz mieści się tu mnóstwo rzeczy: miejscowy wojskowy oddział saperski, warsztaty remontowe i centrum dystrybucyjne usług dla sił sądowych i lotnictwa. Armia stara się o zatrzymanie tego terenu dla siebie. Ale to nie jest takie łatwe, bo deweloperzy wchodząc do kieszeni odpowiedniemu kongresmanowi kombinują, jak położyć na nim łapę.

- Nie powinno to być trudne - stwierdził Stafford, gdy

przejechali ponad międzystanową autostradą numer 75. - Jak duże jest DRMO?  
• Czterdziestu pracowników, dziesięć hal. Przerabiamy dobra za jakieś dwa-dzieścia, trzydzieści milionów dolarów. Zna pan system naszej pracy?

• Bardzo słabo.  
Carson szybko myślał. Jeżeli inspektor jest tu w sprawie aukcji, z pewnością Zapoznał się już z jakimiś materiałami. W końcu nie był w stanie powstrzymać się przed zadaniem pytania:

19

- Czy w Atlancie nie ma przypadkiem biura DCIS?  
Z góry znał odpowiedź. Sprawdził to zaraz po otrzymaniu telefonu z Waszyngtonu.

• Tak, jest - przyznał gość, wyglądając wciąż przez okno. Wendell skręcił w drogę stanową numer 42 i jechał na wschód, mijając terminale dla ciężarówek.

• Wyjaśnię co mnie tu sprowadza dopiero kiedy przyjrzę się placówce. W ten sposób będzie nam łatwiej ustalić pewne rzeczy.

Carson przytaknął i resztę drogi przebyli w milczeniu. Ułatwić. Na pewno.

Drań wie, że umieram z ciekawości. Ale dla bezpieczeństwa musiał przystać na koncepcję Stafforda i czekać, aż ten zdradzi cel swej wizyty. Boże, proszę, żeby tylko nie chodziło o ten pojemnik. I niech wszyscy diabli porwą to zajście na lotnisku! Graniteville... może powinienem zapamiętać tę nazwę.

Przejechali przez niestrzeżoną bramę prowadzącą do Fort Gillem, a potem jeszcze trzy kilometry, nim znaleźli się na skraju zaniedbanego pasa startowego. Skręcili w lewo, w stronę kompleksu hangarów. Budynki miały już wiele lat i było to po nich widać. Zaparkowali w pobliżu bocznic kolejowej, na której znajdowało się kilka wagonów z umocowanymi naczepami samochodowymi. Stara, diesłowska lokomotywa stała na drugiej bocznic. Obok wznosił się parterowy budynek z cegły. Napis nad drzwiami informował, iż jest to siedziba Biura Utylizacji i Marketingu Departamentu Obrony. Na jego tyłach było widać szereg magazynów.

Carson poprowadził przybysza do swojego biura w części administracyjnej. Pierwszą rzeczą, o jaką poprosił Stafford, był samochód do dyspozycji. Szef biura zlecił jednej z sekretarek załatwienie sprawy. zaproponował kawę, lecz gość podziękował. Inspektor długą chwilę stał przy oknie i przyglądał się bocznicom. Carson ponownie przyjrzał się uważnie pracownikowi DCIS: dość potężnie zbudowany, szeroki w barkach, elegancki garnitur, duże, zręczne

dłonie (a przynajmniej jedna z nich), krótka, wojskowa fryzura. Zastanawiał się, czy ma przy sobie broń.

- W porządku - powiedział wreszcie Stafford odwracając się. - Wiem, że nie był pan przygotowany na moją wizytę i wydaje się panu tajemnicza. Ale najpierw chcę się przejść po tym miejscu. Liczę, że znajdzie pan czas i mnie oprowadzi.

Jakbym miał jakikolwiek wybór \*• przebiegło Carsonowi przez głowę.

- Oczywiście.
- Po drugie wolałbym, żeby obsługa nie wiedziała kim, a raczej czym jestem.

Miał ciemnoniebieskie oczy, nieco rumianą twarz o nordyckich rysach i wystający podbródek. Patrzył ci prosto w oczy - uświadomił sobie. Musiał odpowiedzieć na to spojrzenie. Odpędził od siebie myśli o cylindrze, który był ukryty zaledwie trzy metry od niego.

- Po zakończeniu obchodu będę musiał wykonać kilka telefonów, a potem może zjemy razem lunch i wyjaśnię, co mnie tu sprowadza. Tymczasem sugeruję, by powiedział pan swoim ludziom, że jestem z centrali Agencji Logistycznej

20

Departamentu Obrony, co poniekąd jest prawdą. Może, że jestem audytorem. A jeśli dysponuje pan wolnym biurem, będę wdzięczny, jeżeli zostanie ono oddane do mojej dyspozycji.

DLA wydało polecenie, by udzielać mu wszelkiej możliwej pomocy. Carson pokiwał głową, wcisnął przycisk interkomu i poinformował sekretarkę, że na godzinę zabiera pana Stafforda na obchód placówki. Poprosił o przygotowanie dla niego biura asystenta menadżera, które stało puste.

Sekretarka zapytała na czyje nazwisko ma zlecić dostarczenie samochodu, skoro on otrzymał już swój przydział. Carson wyjaśnił jej, że Stafford jest audytorem z szefostwa DLA. Poprosiła o stopień gościa, na co Wendell pytająco uniosł brwi.

- Piętnasty - odpowiedział inspektor.

Carson przekazał to podwładnej. Piętnasta klasa - pomyślał. O trzy stopoje wyższa niż jego. Wiedział, że w Waszyngtonie ciężko o awans, lecz ten facetni©

był byle szarakiem. Poczł znajomy ucisk w żołądku, ale zwalczył go biorąc gę-

boki oddech. Przecież to niemożliwe, by coś wiedzieli.

- W porządku - mruknął. - Przejdźmy się trochę.

Kiedy weszli do przepastnego magazynu, Stafford z zadowoleniem stwierdził, iż dobrze zrobił, nie pozbywając się płaszcza. Było tu dosyć zimno. Uszkodzone ściegna ręki natychmiast dały o sobie znać.

- A więc skrót DRMO odpowiada nazwie Biuro Utylizacji i Marketingu Departamentu Obrony. Właściwie naszą działalnością jest zbieranie wszelkiego rodzaju rzeczy od wszystkich instytucji znajdujących się pod pieczęcią Departamentu Obrony. Chodzi o nadmiar sprzętu wojskowego, ale określenie „mydło i powidló” lepiej odzwierciedla rzeczywistość. Otrzymujemy wszystko, czego wojsko już nie potrzebuje: surowce, zbędne części zamienne, sprawny i uszkodzony sprzęt, meble i materiały biurowe. Wszystko, co nie ma zastosowania w wojsku i w powiązanych z nim instytucjach, trafia do DRMO.

- A wy to sprzedajecie, tak?
- Nie jest to naszą podstawową działalnością. Proszę pamiętać, że nawet z nazwy zajmujemy się utylizacją. Pierwszą rzeczą po wstępnym przeglądzie jest dostarczenie informacji wszystkim potencjalnie zainteresowanym. Chodzi o agencje rządowe, zarówno na stopniu federalnym, jak i stanowym. W ten sposób instytucja, która szuka na przykład biurek albo klimatyzatorów, może zwrócić się do DRMO i sprawdzić, czy znajdują to u nas. Mogą zamówić takie rzeczy i otrzymać je praktycznie za darmo. Pozwala to zaoszczędzić pieniądze, a czasami znajdują zastosowanie przedmioty bezużyteczne.

- Dostałem kiedyś biurko z takiej wymiany w Pentagonie - rzekł Stafford. - Ale pamiętam, że było całkiem nowe.

- To się zdarza. Nadmierne zasoby nie muszą być zniszczone, ani nawet używane, by tu trafić. Zazwyczaj docierają do nas w marnym stanie. Może się zdarzyć, że jakaś agencja kupuje nowe biurka, ale niespodziewanie traci część

21  
powierzchni biurowej i może wykorzystać tylko część z nich. W ten sposób te niepotrzebne są wysyłane do utylizacji. Przekona się pan jednak, że przyjmowane przez nas meble nie nadają się już do użytku.

Dwaj pracownicy przejechali obok nich na wózkach widłowych i Carson musiał przerwać rozmowę, bo szum pojazdów zagłuszyłby jego słowa. Stafford zwrócił uwagę na fakt, iż żaden z nich nie pomachał szefowi na powitanie, co uznał za dość dziwne. Podwładni w czterdziestoosobowej firmie powinni przy\*

najmniej pozdrowić przełożonego. Z drugiej jednak strony Wendell Carson był

niczym nie wyróżniającym się pracownikiem cywilnym.

- Najważniejsze w naszej działalności są materiały, które otrzymujemy z myślą o poddaniu ich procesowi demilitaryzacji. Tutaj należy się panu kilka słów wyjaśnienia. Zaraz po dostarczeniu do nas wszelkiego rodzaju dóbr, następuje klasyfikacja. Takie, jak materiały budowlane, rury, druty, cegły, drewno i temu podobne, wędrują bezpośrednio na publiczne aukcje. Dużo jest w pełni sprawnego sprzętu wojskowego. Może przestarzałego, ale nadającego się do użytku. Rzeczy takie jak łuski, części zamienne, sama broń...

- Kto dokonuje tej klasyfikacji?
- Jest to zadaniem instytucji, która przysłała do nas sprzęt. Ale my musimy dokonać potwierdzenia ich decyzji. Szczególnie po tej aferze z helikopterem w Teksasie. Pamięta pan?

Inspektor przytaknął. Ktoś zdołał kupić wystarczającą ilość części na publicznych aukcjach, by zbudować z nich w pełni sprawny śmigłowiec bojowy.

Prasa rozdmuchała tę sprawę i poleciało kilka głów.

- Więc jeśli coś przychodzi z przeznaczeniem do demilitaryzacji lub my podejmujemy taką decyzję, dysponujemy specjalnym sprzętem, dzięki któremu możemy dokonać tej procedury. Pokażę go panu później.

Ruszyli dalej. Pierwszy z hangarów był cały zastawiony metalowymi regałami. Na nich umieszczono dosłownie wszystko, co można sobie wyobrazić. Rzeczywiście mają tu mydło i powidło - pomyślał Stafford.

- To obszar aukcyjny - wyjaśnił Carson. Rzeczy te zostały już skatalogowane i przeszły proces utylizacji.

Gość był zaskoczony różnorodnością dóbr: maszyny do pisania, pęki drutu, pudełka śrub, przestarzałe komputery, kalkulatory, materace, krzesła, role papieru drukarkowego, czarno-białe telewizory, żarówki, opony samolotowe i części samochodowe.

- To istny pchli targ - powiedział szef placówki, gdy szli między regałami.

Wszystkie te rzeczy można oglądać przez pięć dni, a publiczna aukcja odbywa się we wtorek. Zerknął na zegarek. - To jutro. Większe przedmioty znajdują się na zewnątrz.

- A co z wartościowym, ściśle wojskowym sprzętem?
- Ten trafia do sąsiedniego magazynu. W pewnym sensie DRMO to długa

linia technologiczna. Przez cały czas dostarczane są tu różne rzeczy. Wędrują do głównego magazynu, gdzie są katalogowane i klasyfikowane. Wartościowe i użyteczne przedmioty trafiają do magazynu pierwszego i drugiego. Przeznaczone do

przerobu rzeczy o dużych gabarytach są transportowane do położonego w pobliżu instalacji przerobowej piątego magazynu. Niebezpieczne rzeczy, przeznaczone do przerobu trafiają do czwórki. Magazyny są chronione w różnym zakresie,

zależnie od ich zawartości. Kamery, systemy alarmowe - wie pan.

- Co dokładnie ma pan na myśli mówiąc niebezpieczne rzeczy?

- Działa, ręczna broń palna, pojemniki po odpadach chemicznych, części rakiet, korpusy bomb... W zdecydowanej większości broń. Oddający je usuwają wszelkiego rodzaju materiały wybuchowe. Do nas trafia już tylko metal.

Wyszli z magazynu na zalany słońcem plac. Carson wykorzystał tę sposobność, by zapalić papierosa. Poczęstował nim towarzysza, który przecząco pokręcił głową.

- Dziękuję. Rzuciłem palenie pięć lat temu. - Staffordowi wydało się, że gospodarzowi trzęsą się ręce.

- Co, u licha, robicie z bombami i raketami?
- To tylko puste obudowy. Karmimy nimi Monstrum.
- Nie rozumiem.

Spowity chmurą dymu Carson uśmiechnął się.

- Zaraz pan zobaczy. Trafiają do urządzenia przerobowego.

Zamieniają się w kawałki metalu i różnego rodzaju płyny, później sprzedawane są jako surowce.

A oto plac mieszczący większe rzeczy.

Stafford rozglądał się, żałując, że nie ma na nosie okularów przeciwsłonecznych. W równych rzędach stały, między innymi, przemysłowe prasy i wiertarki, stare lodówki, samochód pożarniczy z jakiegoś lotniska wojskowego, skrzynki złomu, klimatyzatory, przerdzewiałe bojłery i mnóstwo zużytych opon samochodów ciężarowych.

- Większe rzeczy - powtórzył przybysz. Tak naprawdę najbardziej interesom

wał go cenny sprzęt, ale chciał by Carson się wykazać.

- Zgadza się. To też jest wystawione na aukcję. Tam mamy drugi magazyn,

a jedynka jest za nami. Oba mieszczą mniejsze rzeczy, przedstawiające znaczną

wartość. Na przykład wartość tysiące dolarów tubowe wzmacniacze radarowe, które w wojsku są już uznane za przestarzałe.

- Ktoje zatem kupuje?
- Zazwyczaj prywatne linie lotnicze, które jeszcze używają tego rodzaju urządzeń.

- To świetnie, że obie strony są zadowolone.

Wendell przytaknął. Stafford zauważył, że idą po gładkiej nawierzchni, zapewne byłego lotniska. Wokół kręciły się wózki, wożące palety. Zapytał gospoda-

rza o pierwotny cel wykorzystania tego terenu.

- Kiedyś były tu hangary i zabudowania wojskowej bazy śmigłowcowej, którą zamknięto zanim się tu zjawiłem. Zburzono wszystkie hangary, z wyjątkiem jednego, który teraz mieści instalację przerobową. O, tamtego. Skręcili, by wyminąć jeden z wózków i skierowali się do hangaru. Przylegał do niego jeden z magazynów. Ze środka słychać było głośny zgrzyt i huk. Zatrzymali się jakieś dwadzieścia metrów od wejścia.

23

- Zazwyczaj uruchamiamy linię przerobową wieczorami, ale mamy zaległości. To obszar potencjalnego zagrożenia. Przy wejściu weźmiemy tłumiki, kaski i okulary ochronne. Dopiero wtedy będziemy mogli wejść do środka.

- Co to za hałas?

- To właśnie Monstrum. Właściwie to wielka, rozdrabniająca maszyna. Słuzę do tego siedem diamentowych tarcz tnących, kruszarka i rozdrabniarka. Wszystko, co trafia do środka jest zamieniane w miazgę. Dalej szereg elektromagnesów oddziela przedmioty żelazne od innych. Kąpiel w kwasie usuwa wszelkiego rodzaju plastik, a w wirówce odsysane są płyny. Po dalszej obróbce różnego rodzaju materiały gromadzone są w kolektorach, a płyny trafiają do zagęszczaczy. Właśnie taki proces przechodzą obudowy rakiet i bomb, podobnie jak tajny sprzęt, na przykład części radarów i anten.

- Do obsługi urządzenia trzeba zapewne wielu ludzi?

- Nie. Rozruch wymaga zaangażowania trzech, czterech osób. Cały tamten magazyn zawiera system podawania. Kiedy już pas transportowy zostanie uruchomiony, tylko jeden człowiek obserwuje proces z pomieszczenia kontrolnego. Maszyna przeżuwa praktycznie wszystko: metal, drewno, plastik, substancje organiczne. Płyny są oddzielane, filtrowane, odwirowywane, poddawane działaniu kwasów, ponownie odwirowywane dla oddzielenia substancji organicznych, a wreszcie przepompowywane do specjalnych zbiorników w celu odstania i dalszego przerobu. Wszystkie stałe substancje niemetaliczne są poddawane działaniu kwasów. To co zostanie jest prasowane w bloki czystego metalu i sprzedawane jako pełnowartościowy surowiec do ponownego przerobu. Zazwyczaj następnego ranka, po zakończeniu procesu, inna ekipa usuwa przerobione substancje.

Carson nacisnął przycisk przy drzwiach, zanim weszli do holu rozległo się bzyczenie zamka. Nawet tu hałas był nie do zniesienia. Stafford z wyraźną ulgą

pospiesznie nasunął na uszy tłumiki. Wpisali się na listę wchodzących, choć gość zwrócił uwagę na to, że nie było tu nikogo dbającego o dopełnienie tej formalności. Pilnowanie, by nie wchodził tu nikt niepowołany należało zapewne do obowiązków operatora.

Gospodarz przeszedł jako pierwszy przez kolejne drzwi do ogromnego pomieszczenia, w którym na betonowej podłodze stała stalowa maszyna wielkości potężnej lokomotywy. Jej szczyt sięgał niemal stalowej konstrukcji dachu, znajdując się na wysokości około dwudziestu metrów. Korpus miał wymiary dwa-dzieścia pięć na osiem. Szeroki na półtora metra pas, wylaniał się z lewej strony pomieszczenia zza zabezpieczonego osłonami otworu. Przesuwał się, niosąc plastikowe pojemniki pełne różnego sprzętu wojskowego do swej potężnej paszczy. Na ścianie znajdowała się przeszklona budka, w której za konsolą było widać operatora, również wyposażonego w tłumiki.

Przeszli w stronę wlotu do maszyny. Wzdłuż pasa transportowego znajdowały się osłony zabezpieczające, a na podłodze duże, żółte znaki ostrzegawcze. Otwarta paszcza robiła wrażenie. W wysokim na półtora metra otworze, poruszało się kilka potężnych ostrzy. Oddalone od siebie o kilkanaście centymetrów, bębny przerwy były polewane chłodziwem. Wszystko, co ich dotknęło, było natych-

24  
miast cięte, wokół tworzyło się morze iskier i dymu. Właśnie ten proces powodował niemożliwy wprost do zniesienia zgrzyt i pisk. Nad wejściem umieszczono szeroki okap, pochłaniający dym. Dalsza część procesu przetwarzania odbywała się już w przepastnej głębi maszyny i była niewidoczna. Z tyłu znajdowała się cała płatanina grubych rur, biegnących do pojemników z napisami: SEPARACJA, MAGNETYCZNA, FILTROWANIE, DESTYLACJA. Trzy zamknięte podajniki prowadziły do sąsiedniego budynku, gdzie wędrowały przerobione już surowce. Nie można było prowadzić rozmowy w takich warunkach. Stafford na migi dał do zrozumienia, że zobaczył już wystarczająco dużo. Wycofali się do holu. Trzej pracownicy analizowali jakieś dokumenty i przyglądali się zgromadzonym na pasie materiałom. Tym razem wszyscy powitali Carsona, ale zrobili to bardzo oficjalnie. Szef odpowiedział im dokładnie w ten sam sposób. Inspektor utwierdził się w przekonaniu, że podwładni i ich zwierzchnik niezbyt się kochają. Wy-

szli na zewnątrz, gdzie hałas był już mniej nasilony. Z jakiegoś powodu Carson wyraźnie odetchnął, gdy opuścili budynek. Zapalił kolejnego papierosa. Tym razem Stafford był pewien, że trzęsą mu się ręce.

- Teraz widzi pan skąd wzięła się nazwa Monstrum! Cacko kosztuje jedenaście milionów dolarów, ale świetnie spełnia swoje zadanie. Na końcu dostaje się czysty metal i trochę płynu. Tamten budynek służy separacji płynów i ich odkażaniu oraz odzyskowi zawartych w nich substancji, które także sprzedajemy. Pracownicy nazywają to oczywiście „sikami” Monstrum. Planujemy zakupić generator, w którym będziemy spalać substancje lotne by w ten sposób wytwarzać własną energię elektryczną. Tam gdzie przetwarza się płyny, nie ma nic, z wyjątkiem pomieszczenia kontrolnego i kilku kilometrów rur. Jeśli pan chce, możemy zajrzeć i tam.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedział Stafford. - Czy każde DRMO ma taką linię przerobową?

- Nie i to zapewne dlatego my dostajemy wciąż tyle sprawnego sprzętu wojskowego.

Inspektor pokiwał głową.

- Tak... Co jest w innych magazynach?

- Wszędzie podobny miszmasz. Nawet gdyby dostawy nagle się urwały, mielibyśmy co robić jeszcze przez pół roku.

- Dziękuję za oprowadzenie. Chodźmy coś zjeść, a ja opowiem panu co właściwie mnie tu sprowadza.

Przynajmniej po części - skonstatował w myślach.

Zabrali kanapki do stolika położonego w tylnej części niewielkiej jadalni klubu oficerskiego. Carson zwrócił uwagę, że gość bardzo sprawnie posługuje się zdrową ręką i zupełnie nie odczuwa braku drugiej.

- Jak już mówiłem, większa część Fortu Gillem znajduje się w stanie uśpiania - zaczął. - Tak w armii mówi się o zamkniętym obiekcie, czekającym na wybuch kolejnej wojny. Z wysiłkiem starał sienie okazać niepokoję. Wciąż po-

25

wtarzał sobie, że nie ma sposobu, aby dowiedzieli się zarówno o cylindrze, jak i o Lambrym. Do diabła! To po prostu niemożliwe! Uspokój się. Okaż mu, że jesteś zainteresowany przyczyną jego przyjazdu, ale jednocześnie daj mu do zrozumienia, że w żaden sposób nie dotyczy to ciebie osobiście.

Stafford zaczął jeść, nienaturalnie trzymając wielką kanapkę w jednym ręku.

Gospodarz odczekał chwilę, nim poszedł w jego ślady. Zrobił to raczej z koniecz-

ności, bo od piątkowego wieczoru nie odzyskał apetytu. Towarzysz zaś był najwi-  
doczniej głodny i z determinacją zaspokajał głód. Jadalnia była  
niemal pusta. Kilku  
siedzących cywilów dyskutowało na temat ograniczenia  
działalności bazy i zwol-  
nień w Departamencie Obrony.

Stafford zjadł szybko i ani przez chwilę nie pomagał sobie  
prawą ręką.

- W porządku - stwierdził, ocierając usta papierową  
serwetką. - Zna pan  
różnicę między DIS i DCIS?

- Tak...

Stafford nie dał mu dojść do słowa.

- DIS - Służby Dochodzeniowe Departamentu Obrony -  
czuwają nad uczci-

wością cywilnych i wojskowych pracowników armii. DCIS, czyli  
Kryminalne

Służby Dochodzeniowe Departamentu Obrony, zajmują się zaś  
przypadkami de-

fraudacji, na których traci skarb państwa. Ja jestem starszym  
inspektorem docho-

dzeniowym DCIS. Agencja Logistyki Departamentu Obrony, która  
sprawuje nad-

zór nad wszystkimi placówkami DRMO, zwróciła się do nas z  
problemem. Wydaje

im się, że ktoś dokonuje oszustw związanych z aukcjami.

Cholera - pomyślał Carson. A więc chodzi o przekręty  
związane ze sprzeda\*

żą. Zmusił się do okazania lekkiego zaskoczenia.

- Oszustwa podczas aukcji? Dziwi mnie to. Widział pan  
wszystkie te rzeczy.

Gdzie tu pole do oszustw?

Stafford skierował ku niemu chłodne spojrzenie.

- Nie widziałem wszystkiego. Ominęliśmy rzeczy, o których  
mowa. Pokazał

mi pan tylko praktycznie złom i rzeczy nie przedstawiające  
większej wartości.

DLA chodzi zaś o najcenniejsze przedmioty: elementy awioniki,  
elektroniczne

części zamienne, sprzęt łącznościowy i radarowy, transportery  
satelitarne, złotą

folię we wzmacniaczach magnetronowych. Nie chodzi o materiały  
niebezpiecz-

ne, ale takie, które posiadają swoją wartość rynkową. Jak te  
komponenty radaro-

we, którymi interesują się cywilne linie lotnicze.

Carson zwrócił baczną uwagę na słowa rozmówcy.

Wskazywały wyraźnie na

to, że gość wiedział więcej o DRMO, niż dał po sobie poznać.

Odłożył niedoje-

dzoną kanapkę na talerz i otarł ręce, starając się unikać wzroku

inspektora. Zasta-

nawiał się, czy kiedykolwiek nadejdzie dzień, w którym przekręty  
zostaną wy-

kryte. Musiał być teraz nadzwyczaj ostrożny.

- Aukcje odbywają się w bardzo nieskomplikowany sposób -  
rzekł. - Nie

mam pojęcia, jak może dojść do jakiegoś oszustwa. Przecież to  
przetarg rządzący

się zwykłymi prawami. Licytacja odbywa się w obecności  
wszystkich zgroma-

dzonych. W przypadku gdyby wystawiający przekazał towar

komuś, kto jej nie  
wygrał, natychmiast zwrócono by na to uwagę.

26

- DLA uważa, że do nadużyć dochodzi na przetargach zamkniętych.

- Ale kto mógłby na tym skorzystać? - zapytał Carson, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Może kiedyś, ale na pewno nie teraz. Jeśli rzeczywiście dochodzi do zamkniętego przetargu, rozpoczyna się on od ceny wywoławczej. Jeśli nikt inny nie da wyższej ceny, przetarg wygrywa ktoś oferujący wywoławczą.

Stafford niewzruszony pokiwał głową.

- To wszystko jasne. Ale do oszustw dochodzi najprawdopodobniej później. Wtedy to warunki umowy ulegają zmianie przez kogoś, kto bezpośrednio je ustala. W rezultacie zwycięzca płaci mniej, niż początkowo zadeklarował. W ten sposób robi naprawdę dobry interes. Tak przynajmniej wygląda to w teorii. A ja przejechałem, by to dokładnie sprawdzić w praktyce. Zamierzam przeprowadzić audyt transakcji aukcyjnych wartościowymi przedmiotami. Chcę wiedzieć, co i komu zostało sprzedane, ile wynosiła wylicytowana cena. Chcę również znaleźć dowody na to, że rzeczywiście taka właśnie kwota została zapłacona.

Szef DRMO powoli przytaknął i skupił się na zachowaniu beznamietnej miny, gdy zadawał najważniejsze dla siebie pytanie:

- Dlaczego wybraliście właśnie naszą placówkę?

Inspektor miał już chyba przygotowaną odpowiedź:

- Bo jesteście jedną z największych w kraju placówką z dużym obrotem.

A ponadto przychodzi do was bardzo zróżnicowany asortyment, pochodzący z całego południowego-wschodu. - W końcu uśmiechnął się rozbrajająco.

- A do tego nigdy jeszcze nie byłem w Atlancie.

Carson wysilił się na odpowiedź i na uśmiech. Ten ostatni powód brzmiał dość przekonująco. Zadumał się przez chwilę nad tym, co usłyszał. DLA było niebezpiecznie blisko prawdy. Rzeczywiście dochodziło do oszustw, ale na szczęście nie wiedzieli do końca, jak to się odbywa. Gdyby inspektor rzeczywiście nie wiedział nic więcej, menadżer dysponował wystarczającą liczbą bocznych furtek, by czuć się bezpiecznie. Inna sprawa z pojemnikiem, nie wspominając już o drobnotce ze śmiercią Lambry'ego.

- Nie powinno być z tym problemów - odpowiedział. - Może wyniknąć kłopot tylko z dokumentami dotyczącymi właściwej wpłaty wygrywającego przetarg, bo pieniądze te nie trafiają do nas. Zbieramy tylko kwoty za drobne rzeczy, a reszta trafia na konto lokalnego Biura Administracyjnego

Kontraktów Wojskowych. Będzie pan musiał skontaktować się bezpośrednio z nimi i z nabywcami - Pokręcił głową.

- Opierając się na pańskim opisie, wciąż nie mogę zrozumieć, jak można dokonać podobnego przekrętu. Komu ma to służyć? Co w ogóle skłania ich do podobnych podejrzeń?

Pracownik DCIS dopił kawę.  
- Mówiąc szczerze, nie wiem. Często nie ujawniają takich informacji inspektorom operacyjnym, bo nie chcą nam z góry niczego sugerować. Gdybym wiedział, co wywołało podejrzenia DLA, ograniczyłbym swoje dochodzenie właśnie do tej sprawy i być może pominął coś innego. Moja praca opiera się na niezależnym potwierdzeniu już posiadanych informacji. W ten sposób mam świeże

27

spojrzenie na problem. Jeśli niczego się nie dopatrzę, wracam do domu. W przeciwnym wypadku sam prowadzę dochodzenie, bądź kontaktuję się z facetami z FBI.

FBI. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była zgraja wścibskich agentów waleśających się po jego firmie.

- Dobrze-uznał.-Chodźmy sprawdzić, czy pański samochód jest już przygotowany. Później znajdziemy panu hotel. Woli pan położony blisko bazy, czy w samym centrum?

O siedemnastej trzydzieści Carson zamknął swoje biuro. Wówczas, gdy opuścili klub oficerski, zabrał gościa z powrotem do budynku administracyjnego, gdzie sekretarka przygotowała mu tymczasową siedzibę. Jak zwykle doszło do pewnego zamieszania z samochodem. Podstawiono go jednak na parking. Inspektor zdecydował się na Peachtree Center, w centrum Atlanty. Carson polecił sekretarce, by dostarczyła inspektorowi wszystkie dokumenty dotyczące procedur i zasad obowiązujących w DRMO, raporty aukcyjne z ostatnich sześciu miesięcy i dane personalne pracowników. Stafford pojechał do hotelu o wpół do czwartej, zapowiadając, że zjawi się ponownie o ósmej trzydzieści następnego ranka. Godzinę później robotnicy opuścili swoje stanowiska. Wykonano dzienny plan, więc nie było potrzeby organizowania wieczornej zmiany. Monstrum milczało, trawiąc bez wątpienia to, co wcześniej pochłonęło.

Szef DRMO zapalił papierosa i przeszedł wzdłuż szeregu drzwi, by upewnić

się, czy wszyscy wyszli już do domu. Sprawdził również biuro Stafforda, ale nie znalazł tam nic poza dostarczonymi materiałami. Zgasił światło i wycofał się na korytarz. W jego gabinecie znajdowały się dwa duże okna. Jedno wychodziło na parking przy bocznicie kolejowej, drugie zaś na magazyn z drobnicą. Rozsunął verticale i popatrzył na niknący już w półmroku budynek przemysłowy.

Wendell Carson dorastał w biednej rodzinie, w New Jersey, jako syn dokera z problemem alkoholowym. Matka była kelnerką i wychowywała troje nieszcześliwych dzieci. Żyli w ciasnym mieszkanku, w centrum uroczego Newark. Od dzieciństwa marzył o ucieczce. Wstąpił do armii następnego dnia po ukończeniu szkoły średniej w 1960 roku. Najpierw trafił do piechoty, a później, po przekupieniu jednego z przełożonych, został przeniesiony do służb kwatermistrzowskich. Był wystarczająco sprytny, by do 1966 roku zostać sierżantem. Domyślając się, że służba wojskowa wkrótce przybierze znacznie poważniejszy charakter, dosłownie tuż przed wybuchem wojny w Wietnamie zdecydował się zrzucić mundur. Zdażył się jednak nauczyć od jednego z przełożonych, jak zmyślnie dokonywać drobnych kradzieży, których nikt się nawet nie domyśli. Korzystając z przysługujących mu praw weterana uzyskał cywilną posadę, jako pracownik biura wysyłek własności prywatnej w Fort Behroir, w pobliżu Waszyngtonu. Po osiągnięciu „perfekcji” w pracy, co zajęło mu jakieś dwa tygodnie, zaczął węszyć wokół, po magazynach, szukając tego, co był pewien znaleźć: zgrai złodziei, którzy plądrowali paczki wysyłane do baz na całym świecie.

28

Carson nie był ulicznym zbirem. Nie miał predyspozycji ani ochoty, aby brać osobisty udział w dokonywaniu przestępstw. Zawsze był biurokratą i to właśnie w Belvoir opracował swą życiową strategię: sam niczego nie kradnij. Sztuczka polegała na tym, by zmusić innych, tych którzy kradli, do płacenia mu za ochronę.

Ostrzegał ich przed inspektorami, modyfikował dokumenty na ich korzyść, wyjaśniał zażalenia wynikające z zaginięcia wysyłanych rzeczy, przydzielał właściwych ludzi do odpowiednich zadań, a wszystko to za udział w zysku. Nigdy nic były to duże pieniądze. Ważne, że napływały mu do kieszeni stałym strumieniem.

Na przestrzeni lat zwiększał skalę swych nielegalnych działań i piął się po szczeblach kariery w Agencji Logistyki Departamentu Obrony.

Wreszcie wyłą-  
dował w głównej siedzibie, z której kierowano sprzedażą  
zbędnych zasobów ar-  
mii na obszarze całego kraju. Taka działalność była żyłą złota dla  
biurokraty go-  
towego naginać układ do własnych celów, w którym czuł się jak  
ryba w wodzie.  
W 1983 roku cały system sprzedaży został zdecentralizowany, co  
zmusiło go do  
podjęcia decyzji, w której z kilkunastu placówek znajdzie  
najlepsze warunki do  
kontynuacji swej działalności. Wybrał Atlantę, gdzie po ośmiu  
latach został sze-  
fem całego DRMO. Tangent nawiązał z nim kontakt w 1994 roku i  
stał się zaufa-  
nym kupcem. Od dłuższego już czasu myślał o tym, jak i kiedy  
odejść na emery-  
turę, a tu nagle w ręce wpadł mu pojemnik...

Milion dolarów. Życiowa szansa.  
Zasłonił żaluzje, dla pewności zamknął drzwi od środka i  
usiadł za biurkiem.  
Wyciągnął przed siebie ręce i stwierdził, że wciąż się trzęsą.  
Myślami wrócił do  
Lambry'ego. Czy teraz był mordercą? Nie mógł przestać o tym  
myśleć. Przecież  
to Bud go zaatakował, a nie odwrotnie. A więc to było działanie w  
samoobronie.

lik, samoobrona wymuszona przez fakt, że obaj coś ukradli:  
drobnostkę o warto-  
ści miliona dolarów. Później przyszły sny...  
Pierwszy przyśnił mu się w piątkową noc. W nocy znalazł się  
w rzece, oto-  
czony mnóstwem ludzi, o których wiedział, że nie żyli. Woda była  
ciemna i zim-  
na, a jemu trudno było utrzymać się na powierzchni, bo w ręku  
trzymał pojemnik.  
Posuwali się z prądem w absolutnym milczeniu, aż usłyszeli  
narastający z każdą  
chwilą huk zbliżającego się wodospadu. Sen kończył się, gdy  
spadał z krawędzi  
wodospadu, a otaczające go trupy przyglądały mu się uważnie,  
kiedy wspólnie  
zapadali w nicość.

Otworzył oczy i odetchnął głęboko. Piątkowa, sobotnia i  
niedzielną noc. Ten  
sam koszmar. Dzisiaj weźmie tabletkę nasenną.  
Wstał i podszedł do metalowego regału. Z górnej półki wyjął  
dwa grube sko-  
roszyty. Sięgnął w powstałą dziurę i objema rękoma ujął pojemnik.  
Teraz nie był  
osłonięty czerwoną, plastikową tubą. Pozostał tylko ciężki,  
stalowy cylinder, po-  
kryty napisami i pieczęciami. Przez chwilę trzymał go w dłoniach.  
Stalowa prze-  
pustka do miliona dolarów. Metal był zimny. Odstawił pojemnik.

Nie wiedział, gdzie go ukryć, gdy Bud dostarczył mu go do  
gabinetu. Począł-  
kowo myślał o jakimś miejscu w jednym z magazynów, gdzie jako  
szef miał nie-  
ograniczony dostęp. Ale takie same prawa miał każdy tam  
pracujący. Istniało  
ryzyko, że jeden z nich, choćby przez przypadek, natknie się na  
ukryty pojemnik.

Później zainteresował się linią przerobową, ale w budynku, gdzie się mieściła nie było odpowiednich kryjówek. Obawiał się złamania żelaznej zasady: nie wynoszenia żadnych przedmiotów z miejsca pracy. Popatrzył na lśniący cylinder, ceniąc perfekcję jego wykonania, a jednocześnie starał się nie myśleć o śmiertelnej zawartości. Tutaj zdobycz była równie bezpieczna, jak gdzie indziej. Przynajmniej do czasu kiedy nie otrzyma informacji o tym, iż wojsko dowiedziało się o jej zaginięciu.

Odłożył pojemnik na miejsce, wsunął skoroszyty i usiadł w fotelu. W budynku panowała cisza, zakłócana szumem wentylatorów. Ponownie pomyślał o dziewczynie z lotniska i jej dziwnym spojrzeniu. O czym mówił Stafford? Była chyba z Graniteville. Wyjął z szuflady mapę stanu i wyszukał nazwę w indeksie. B-9. Góry Północnej Georgii. To by pasowało, bo wyglądała na pochodzącą z prowincji. Wszyscy wiedzieli, że mnóstwo mieszkających tam ludzi wykazywało tępotę umysłową. Dlaczego więc niespodziewanie zemdlął na środku strefy bagażowej? Nie mógł zapomnieć jej oczu. Nie był w stanie oderwać od nich swojego spojrzenia.

Postępując się wskazanymi koordynatami znalazł wreszcie Graniteville. Punktik na skraju dzikiego obszaru przy północnej granicy stanu. To musiało być jedno z tych przygnębiających, zapomnianych, górskich miasteczek, gdzie trafiały się dzieci o sześciu palcach, a ludzie kisili się we własnym sosie. Nietrudno było by znaleźć w nim tę nastolatkę. Czy stanowiła dla niego jakiegokolwiek zagrożenie? W jaki sposób? Przez chwilę siedział zamyślony, po czym zapisał nazwę miasteczka na kartce notatnika.

Schował mapę do szuflady. Nie - uznał. Jedynym problemem Wendella Carsona jest ten policjant - inspektor dochodzeniowy... jakkolwiek by go nazywać. Zapomnij o tej nastolatce - przykazał sobie. Musisz tylko dbać o to, aby Stafford pozostawał w cieniu. Wystarczająco długo, by ustalić bezpieczne warunki dostawy i sposób przekazania pieniędzy. Carson nie był kryminalistą, ale zdawał sobie sprawę, że milion dolarów w gotówce może zmienić dobre stosunki z Tangentem, Należało się spieszyć, bo transakcja powinna zostać zawarta, nim wojsko dowiaduje się o zgubie, oczywiście jeśli w ogóle do tego dojdzie. Tangent uważał, że w końcu się zorientują, a on przecież pracował w Waszyngtonie.

Oszustwa Carsona stopniowo zmieniały swój charakter, aż przyjęty został określony system. Robił interesy tylko z jednym kupcem - Tangentem, który przedstawił listę popularnych materiałów wojskowych. Od czasu do czasu uzupełniał ją specyficznymi zamówieniami. Szef DRMO posługiwał się nią wydając dyspozycje swoim „oczom” - Budowi Lambry'emu - by ten szukał wskazanych przedmiotów. W razie, gdy pojawiała się coś konkretnego, Lambry zawiadamiał o tym przełożonego, który kontaktował się z klientem i potwierdzał jego zamówienie. Następnie Bud pilnował, by wybrane rzeczy trafiały na określone aukcje. Sam Carson, jako menadżer, musiał zadbać o to, aby obiekt zamówienia nie został przerobiony. A na koniec dokonywał szachrajstwa podczas zamkniętego konkursu ofert, by jego klient „wygrywał” aukcję. Działo się tak, bo najlepsza oferta zniknęła i pozostawała ta właściwa. Klient płacił zaoficerowaną przez siebie kwotę,

30

a Wendell dostawał wynagrodzenie stanowiące część kwoty zaoszczędzonej przez kontrahenta. Swoim zarobkiem musiał podzielić się z Lambrym.

Kluczem do sukcesu były transakcje sporadyczne, trzymanie się na uboczu, nigdy nie dotykanie się do niczego i utrzymywanie kwot w rozsądnych granicach.

Carson wiedział, że większość przypadków defraudacji wypłynęło na światło dzienne tylko dlatego, że ich beneficjanci stawali się zbyt chciwi. Nie miał zamiaru rezygnować ze swoich szwindli aż do emerytury. Przynosiły mu zaledwie dwa-dziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Rozlokował te pieniądze w różnych depozytach w całej Atlancie. Gdyby Maude kiedykolwiek trafiła na ich ślad, wyjaśniłby, że grał na giełdzie i uśmiechnęło się do niego szczęście. Raz na rok mówił jej, że wyjeżdża służbowo, a w tym czasie spędzał upojny tydzień w Vegas.

Poprzez dokonywanie transakcji tylko w gotówce i kontakty z jednym klientem ograniczył skalę procederu i zdołał przez lata nie pojawiać się na radarze audytorów z DLA. Uśmiechnął się na samą myśl o tym. To był perfekcyjny plan.

Bardzo rzadko sprzedawał funkcjonujący sprzęt wojskowy, bo wiązało się to z kradzieżą wprost z pasa transportowego Monstrum. Od czasu do czasu decydował się jednak na to, bo Bud Lambry zostawał na drugą zmianę jako operator linii przerobowej. W tym przypadku miał zapewniony komfort psychiczny. Jeśli coś było umieszczane na pasie, zostawało odnotowane jako

zniszczone. Później nie można już udowodnić, co stało się z przedmiotem w rzeczywistości. Jedyne zagrożeniem, jakie kiedykolwiek istniało, był sam Bud Lambry, ale teraz jego ciało rozpuszczało się w zbiorniku na odpady organiczne. Pospiesznie oddalił od siebie tę myśl.

Bezpośredni przełożony Lambry'ego doniósł, że nie stawiał się on dzisiaj w pracy. W poniedziałek nie było to takie dziwne. Musiał jednak znaleźć sposób na wyjaśnienie przedłużającej się nieobecności swego byłego współpracownika. Po zniknięciu Buda wystarczyło tylko przetrzymać inspektora Stafforda w martwym punkcie i sprzedać cylinder. Musiał koniecznie powiadomić Tangenta o wizycie gościa z Waszyngtonu. Sięgnął po notatnik z telefonami i wystukał numer rozpoczynający się na 800. Odezwał się głos automatycznej sekretarki. Nagrał wiadomość i rozłączył się. Poprosił o kontakt za godzinę, aby mieć czas na powrót do domu. Tangent na pewno nie będzie zachwycony dochodzeniem DOS, ale Carson był niemal pewien, że nic nie znajdą. Stafford nie przyjechał tu w sprawie cylindra i tylko to się teraz liczyło.

### **Hotel oraz Centrum Konwencyjne Peachtree Center, Atlanta, 16.25**

Stafford rozebrał się w pokoju hotelowym, wziął piwo z minibaru i stanął przy oknie. Koszt opłacenia lokum był wyższy niż wynosiła jego dieta, ale nic go to teraz nie obchodziło. Wieżowce w centrum Atlanty odbijały promienie słońca. Był zaskoczony ich ilością i wysokością. Zmieniło się tu od czasu, kiedy był po raz ostatni. Ostrożnie, przestrzegł się w myślach. Powiedziałeś Carsonowi, że nigdy wcześniej tu nie byłeś.

31

Dave Stafford miał czterdzieści trzy lata. Urodził się w Norfolk, w stanie Virginia. Mieszkał na przedmieściu, w pobliżu potężnej bazy Marynarki Wojennej, gdzie jego ojciec pracował jako ochroniarz, a matka na stanowisku operatorki telefonicznej. Dorastając w pobliżu bazy, kontaktował się z wojskiem w naturalny sposób. Po ukończeniu szkoły średniej gdy nie stać go było na college, trafił do marynarki. Wkrótce porzucił ją dla policji w Norfolk, W ciągu pięciu lat awansował z absolutnego nowicjusza na detektywa. Ale życie gliniarza zmęczyło go. Zaczął więc myśleć o college'u. Podczas

któregoś weekendu pojechał na rządowe targi pracy i dowiedział się, że Służby Dochodzeniowe Marynarki Wojennej poszukują pracowników. Zatrudnił się tam. W 1988 roku przeszedł do Służb Dochodzeniowych Departamentu Obrony, a później do DCIS. W tym samym roku poznał Alice i zaledwie po czteromiesięcznej znajomości ożenił z nią.

Inteligentna, seksowna i ambitna Alice. Było tylko nieco od niego młodsza i nigdy wcześniej nie myślała o małżeństwie. W banku miała odłożoną sporą sumkę. Pracowała dla rządu jako menadżer w Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony. Była zdecydowana piąć się wyżej po szczeblach kariery. Przez pierwsze dwa lata nie mógł uwierzyć, że jest jego żoną. Teraz już nie była.

Usiadł ciężko na jednym z potężnych foteli, ze zwieszoną bezwładnie prawą ręką, dopóki nie przypomniał sobie, by położyć ją na podłokietniku. Odzyskał prawie czucie w dłoni i palcach, co lekarze uważali za dobry znak, ale główne mięśnie motoryczne były zupełnie nie do użytku. Ortopeda z Walter Reed powiedział, że intensywna rehabilitacja powinna umożliwić odzyskanie pięćdziesięciu, sześćdziesięciu procent sprawności ręki, ale na razie nie było to więcej niż dwa procent. Może lekarze byli w błędzie, albo po prostu nie chcieli go załamywać.

W każdym razie ten paraliż ramienia był uwięzieniem pasma niepowodzeń, jakie spotkały go w ciągu dwóch ostatnich lat.

Wiedziałeś co się stanie - pomyślał, i co się dzieje z robiącymi tyle zamieszania i co zawsze ich spotyka w Waszyngtonie. Jesteś cholernym głupcem i tyle\* Zachowywałeś się jak ślepiec. Ani przez chwilę nie oglądałeś się na konsekwencje, panie Davidzie Staffordzie - asie dochodzeniowy. Tak! Racja! Poświęcił rok na prowadzenie dochodzenia przeciw wysokiemu funkcjonariuszowi o nazwisku Bernstein, który sprzedawał ważne informacje współpracownikowi Departamentu Obrony, a którego DCIS podejrzewał o defraudacje. Podczas gdy szefostwo Dochodzeniowych Służb Kryminalnych wzięło Bernsteina pod swoje skrzydła, Stafford zwrócił się do dziennikarzy, co zupełnie zmieniło jego życie. Ku jego ogromnemu zdziwieniu osiemnaście następnym miesięcy było jednym wielkim piekłem i utwierdziło go w przekonaniu jak bardzo był naiwny. Zamiast obsypać go nagrodami za wytropienie zła, wysocy funkcjonariusze zareagowali z wściekłością na wystawienie jednego z nich. Powszechnie mawiano mu w korytarzu; „Oczywiście, że Bernstein zasługiwał na karę, ale, człowieku, czy

musiałeś robić to w tak publiczny sposób?". Dopiero ponieważ dotarło do niego, że musi za to zapłacić na gruncie profesjonalnym. Ucierpiał z jego powodu cały wydział. Obcięto im fundusze i odebrano co ważniejsze sprawy. Co gorsza, nasłany przez

32

Bernsteina agent FBI zainteresował się nim i nie dawał mu żyć. Uzyskał jakby Uowe imię, bo ludzie nie mówili już o nim inaczej, jak: „Cholerny Stafford”.

Wraz z problemami zawodowymi, pojawiły się kłopoty małżeńskie. Razem 2 Alice żyli w komforcie typowym dla biurokratów robiących kariery w Waszyngtonie. Prowadzili życie w oderwaniu od siebie i szczerze mówiąc spędzali więcej czasu ze współpracownikami niż ze sobą.

Praca wymagała częstych wyjazdów służbowych od nich obojga. Przyjął jako pewnik, że skoro on nie zdradzał żony, to i ona nie miała romansów. Na rok przed sprawą Bernsteina zaczął podejrzewać, iż Alice może się z kimś spotykać. Co gorsza, ze swoim szefem - pułkownikiem sił powietrznych, z którym często pod\* różowała w interesach. Nie było to aż tak trudne do sprawdzenia, szczególnie jeśli na co dzień zajmował się dochodzeniami. Znacznie później uświadomił sobie, że nie chciał dowiedzieć się prawdy. Czuł się urażony, i właściwie niezbyt zaskoczony, gdy wreszcie Alice obwieściła, że kogoś ma.

Na końcu wynikła sprawa z ręką. Jego kariera była poważnie zagrożona, Alice odeszła i na dodatek pewnej nocy, kiedy czekał na resztę na stacji benzynowej, był świadkiem napadu. Spanikowani przestępcy wyjęli automaty i zaczęli strzelać do wszystkiego, co się ruszało. Pracownik stacji zginął, a on został postrzelony w ramię.

Westchnął ciężko i popatrzył na zegarek. Teraz, kiedy przestał już odczuwać do siebie żal, może powinien wrócić do swoich zadań. Procedura DCIS wymagała od niego skontaktowania się zaraz po przyjeździe z Rayem Sparksem, nadzorującym cały południowo-wschodni region kraju. No cóż, zjawił się to dopieŃ tego ranka.

Podszedł do telefonu stojącego na biurku i wyjął wtyczkę z gniazdka telefonycznego. Na blacie postawił przenośny komputer i podłączył go do linii. Popijał piwo oczekując na uruchomienie systemu. Posługując się programem kodującym zadzwonił do biura DCIS w Atlancie, położonego w Smyrna, na północnym obrzeżu miasta. Cenił sobie nowoczesną technologię, ale wciąż czuł się dziwnie mó-

wiąc do komputera. Pracownik operacyjny połączył go ze Sparksem.

- Ray, tu Dave Stafford. Jestem bezpieczny. Koduję przez notebook'a.

W głośniku rozległy się jakieś trzaski.

- Jestem bezpieczny, Dave. Miło gościć cię w Atlancie. Przynajmniej mnie.

- Tak, jestem chyba i tu traktowany jak persona non grata.

- Coś w tym stylu. Powiadomiono już nas o twoim przyjeździe. Jak tam złamane skrzydło?

- Wciąż złamane.

Byli partnerami z Rayem Sparksem w sprawie prowadzonej kilka lat temu

i wówczas się zaprzyjaźnili. Sparks był zapewne jedynym regionalnym szefem,

gotowym zaakceptować go teraz u siebie.

Zapadła przedłużająca się cisza.

- Co zamierzasz tu robić? Mam nadzieję, że nie będziesz znowu wtykać kija w mrowisko?

- Nie. Postanowiłem zostawić wieczne poszukiwanie prawdy i sprawiedliwości Batmanowi i Robinowi. Zamierzam nie rzucać się w oczy i unosić głowy

33

zbyt wysoko. Chciałbym skupić się na leczeniu ręki, wykonaniu zleconej mi roboty, cokolwiek to jest, tak, by nie sprawić kłopotów sobie ani nikomu innemu.

Po ostatnich osiemnastu miesiącach jestem nowonarodzonym wyznawcą.

- A wszystko przez Bersteina - mruknął Sparks. - To nadęty cap - czemu nie zaprzeczyłby chyba nikt w DCIS. Oczywiście z bezpiecznego miejsca na uboczu.

- Wiem o tym, przyjacielu. Tylko to ubocze jakoś się oddaliło. Współpracownicy powszechnie mówią o mnie „cholerny”, szczególnie po dodatkowych problemach z FBI. Obiecałem pułkownikowi, że nie będzie żadnych fajerwerków.

- Tak będzie najlepiej, Dave. Pułkownik najlepiej wie jak poruszać się systemie. Jeśli ktoś ma doprowadzić do twojej rehabilitacji, to właśnie on.

- Czy to nie fascynujące, że po ujawnieniu korupcji potrzebuję rehabilitacji?

- To twoja kariera wymaga rehabilitacji, Dave. Wprowadziłeś DCIS w załopotanie.

- Wydawało mi się, że sprawiła to sprzedajność Bersteina, ale to nieważne.

Wiem o co ci chodzi.

Znów przez chwilę panowało milczenie.

- Dobra, Dave. W porządku. Barb powiedziała, żeby cię do nas zaprosił,

kiedy już się rozlokujesz. Może spalimy jakieś befsztyki.

Stafford wyczuł wysiłek w głosie przyjaciela i zastanowił się czy kiedykolwiek dojdzie do tego barbeque. Obaj dobrze wiedzieli, że terenowemu szefowi DCIS wypada trzymać stronę zwierzchników. Miło jednak, że starał się okazać Staffordowi sympatię i poparcie.

- Cenię to sobie, Ray. Podobnie jak przyjazne przyjęcie. Jeśli jednak potrzebujesz zatrzasnąć mi drzwi przed nosem, żeby uchronić własny tyłek, po prostu to zrób. Bez przerwy spotykam się z takim traktowaniem, jakbym cuchnął. Nie chciałbym nikogo pociągnąć za sobą i pograć.

- Nie przejmuj się zamieszaniem. Jesteśmy zbyt daleko od Waszyngtonu, żeby kogokolwiek się tym martwić. O co w ogóle chodzi w tej sprawie w DRMO?

Stafford przekazał mu otrzymane informacje. Inny inspektor dochodzeniowy zajmował się sprawą oszustw aukcyjnych przez dwa lata, ale utknął w martwym punkcie. Wszystko zaczęło się od przyłapania libańskiego handlarza bronią w Nowym Jorku na eksporcie radarów naprowadzających rakiety, które należały pierwotnie do sił powietrznych. Komponenty te zostały kupione na aukcji przeprowadzonej przez DRMO w New Jersey. Szefostwo Agencji Logistyki Departamentu Obrony skontaktowało się z DCIS, a ci z kolei zażądali dokonania audytu w podejrzanej placówce. Okazało się, że badania finansowe przeprowadza się zaledwie co pięć lat, a od ostatniego upłynęły już cztery. Sprawa została więc zawieszona do czasu przeprowadzenia szczegółowego audytu przez DLA.

Dochodzenie DCIS doprowadziło do ustalenia, że nie doszło do żadnych naruszeń zasad procesu aukcyjnego, lecz wykryto podejrzane aspekty. Pierwszym

34i najważniejszym był fakt, iż komponenty te powinny zostać poddane procesowi przerobu. Zlecająca agencja oznakowała je niewłaściwie, lub zrobił to ktoś wewnątrz DRMO. Drugim zaś - coś, co nieposkromiony pułkownik Parsons określił „problemem wzorca”. Parsons zakładał, że defraudacje dokonywane przez niezwyczajnie przebiegłych ludzi wewnątrz systemu przebiegają według ściśle określonego wzoru, w przeciwieństwie do pojedynczych, łatwych do wykrycia incydentów. Podobno przestarzałe części elektroniczne zostały dostarczone do DRMO w pięciu oddzielnych dostawach, a sprzedano je podczas jednej transakcji, jakby z góry założono kto wygra przetarg. Tu właśnie ślad się urywał. Nie znaleziono

dowodów pozwalających powiązać kogokolwiek z całą sprawą. Inspektor, któremu powierzono dochodzenie w New Jersey, doniósł swemu szefowi, że nie może posunąć się dalej. Pułkownik nie okazał mu zrozumienia i oświadczył, że jeśli ta sprawa utknęła, powinien przeszukać cały system w poszukiwaniu podobnego wzorca.

Po trzech miesiącach żmudnego szperania w dokumentach DLA natrafiono na równie podejrzaną transakcję. Tym razem chodziło jednak o ograniczony przetarg, kontrolowany przez centralę DLA w Waszyngtonie. Wróciwszy do sprawy z New Jersey, okazało się, że i tu aukcja polegała na składaniu zapieczętowanych ofert. Szukali zatem nie tego, co trzeba. Oszustwa były dokonywane przez kogoś ulokowanego w stolicy, kto kierował całym procesem przetargowym. Przeszukiwanie historycznych materiałów przez kolejne trzy miesiące uwidoczniło podobne przypadki, pojawiające się już od wielu lat. Nie ustalono jednak jak dokładnie dochodziło do oszustwa.

Stafford zwrócił uwagę, iż dochodzenie to utknęło akurat wtedy, gdy sprawa Bersteina sięgnęła apogeum. To właśnie dlatego pułkownik Parsons, mający świadomość, że Dave może nie przetrwać zorganizowanej na niego nagonki, wykorzystał sprawę DRMO, jako pretekst do pozbycia się go ze stolicy. I w ten oto sposób trafił do Atlanty.

Zrelacjonował Sparksowi wydarzenia całego dnia, nie pomijając nawet omdlenia Carsona na lotnisku. Szef miejscowego przedstawicielstwa milczał przez moment.

• Uważasz, że Carson i ta kobieta są w coś zamieszani? A co z tą dziewczyną?

• Nie mam pojęcia. Na tym etapie nie można niczego stwierdzić. Carson mówi, że nigdy w życiu jej nie widział. Czuł się podobno osłabiony przez gripę.

Zupełnie nie wiem, CO o tym myśleć. Na walizce tej nastolatki była nalepka z miasteczka Graniteville. To jedyny ślad, który mógłby umożliwić mi ich odszukanie, gdyby okazało się to potrzebne. Poza tym dałem tej kobiecie swoją wizytówkę.

• Którą pewnie już dawno wyrzuciła do kosza. Mówisz Graniteville? Chodzi chyba o dziurę w górach, w północnej Georgii. Czarne kapelusze, długie brody, nielegalna produkcja alkoholu. Powszechnie okazują wrogość wobec władz.

I co, rozmawiały z Carsonem?

Nie, tylko przyglądali się sobie - Carson i ta dziewczyna. Patrzyła na niego, jakby wężowym wzrokiem, a on chwilę później stracił

przytomność.

35

- Czy Carson mógłby mieć powód, by przypuszczać, że to on jest obiektem twojego zainteresowania?

- Nie wydaje mi się. Przecież odziedziczyłem tę sprawę właściwie przez przypadek.

- Może po prostu się zdenerwował. Niezapowiedziana wizyta dość wysokiego funkcjonariusza DCIS zdenerwowałaby chyba każdego. Co powiedziałeś mu o nas, miejscowych?

- Sam o to zapytał. Podsunąłem mu jakieś ogólne o tym, że centrala nie chce w to angażować lokalnych pracowników. Wydaje mi się, że to kupił.

- W porządku. Jeśli spróbuje to sprawdzić, będziemy udawać, że o niczym nie wiemy. To zresztą nasza naturalna reakcja.

Stafford roześmiał się.

- Dobra, Ray, będę cię informował na bieżąco i postaram się nie narobić zbytniego zamieszania.

- Dzwoni, gdybyś czegośkolwiek potrzebował.

Rozłączyli się. Dave odłączył komputer i ponownie przyłączył aparat telefoniczny. Sięgnął po piwo i wrócił do okna. Miał teraz ochotę na drinka w jednym z barów, ale smutne doświadczenia po odejściu Alice przypominały mu o własnej bezsilności. Jak zwykle, ostry pułkownik Parsons zrobił wszystko, co tylko mógł, by wyleczyć go z zaczątków alkoholizmu. Pewnego dnia zaprosił Stafforda, który ledwie patrzył na oczy z powodu okropnego kaca, na lunch do klubu sportowego. Jadalnia okazała się być w rzeczywistości ringiem bokserkim, gdzie szef zamierzał wybić mu z głowy niedyspozycję przy pomocy potężnych rękawic. Aby wyrównać szanse, podwiązał sobie prawą rękę na plecach. I tak sprawił mu niezły wycisk. Na koniec poinformował go, że będzie mógł ponownie zacząć pić, kiedy zdoła bronić się skuteczniej, niż byle skautka. Leżąc na deskach i widząc kilku mieniących mu się przed oczami pułkowników, Dave w duchu przyznał, że to rzeczywiście najlepsza z możliwych rada. Od tego czasu zaczął regularnie ćwiczyć. Odkrył, że wysiłek fizyczny wspaniale oczyszcza go z wszelkich stresów, a ponadto jest jedyną szansą na odzyskanie normalnej sprawności.

Dopił piwo, rzucił puszkę do kosza na śmieci lewą ręką. Jak zwykle nie trafił.

Za sto sześćdziesiąt dziewięć dolarów za dobę mogliby przynajmniej zapewnić większe kosze - pomyślał.

**Wtorek, Wojskowy Magazyn Broni, Anniston, Alabafha,  
11.45**

Latonya Mayfield pracownica cywilna w randze czwartego stopnia odsunęła kalkulator na skraj zawalonego papierami biurka i ze zmęczenia przetarła oczy. Była pora lunchu, a ona zajmowała się liczeniem przez cały ranek. Okropny audyt zniszczonych zasobów musiał być przeprowadzany, ilekroć partia sprzętu

wędrowała do Tooele, w stanie Utah, gdzie była poddawana destrukcji. Proces /' sprawdzania był okropny, bo wymagana była potrójna kontrola: zbiorcza lista wysyłkowa była porównywana z listą odbiorczą z Tooele, a te dodatkowo z dokumentami z samego procesu niszczenia.

Cholera, to moja wina, że dałam się do tego zaangażować pomyślała znużona. Po co w ogóle wspominałam, że plutonowa rada stosunków międzyludzkich nie zebrała się od ponad dwóch miesięcy. Sierżant zareagował na to szerokim uśmiechem, a później przekazał jej to niepozorne zadanie, zazwyczaj wykonywane przez kogoś z trójki. Nie miała żadnej wymówki, żeby się z tego wykpić. W końcu była specjalistką do spraw stanów magazynowych broni chemicznej.

Po trzech i pół godzinie wszystkie te wiersze i kolumny wydników zlewały się jej w jeden potok i gdyby nie wyraźna sprzeczność w liczbach, już dawno wydałaby opinię, że nie stwierdzono żadnych niezgodności. Nigdy dotąd, podczas dwóch lat pracy w biurze nadzoru, nawet nie słyszała o podobnej sytuacji. Kontrola transportu i procedury bezpieczeństwa dotyczące broni chemicznej i cznej, były niemal na tak wysokim poziomie, jak te odnoszące się do broni nuklearnej.

Ponownie przetarła powieki. Pomyślała o kawie, a później o lunchu. Inni urzędnicy kręcili się już niespokojnie w oczekiwaniu na posiłek, ale ona miała świadomość, że po powrocie nie zdoła już skupić uwagi na pracy. Wszystko wskazuje na to, że miała do czynienia z poważnym problemem. Przesunęła wydruki na środek blatu i przerzucała kartki, aż odszukała stronę pięćdziesiątą siódmą. Nie zgadzał się jeden numer. Pojedynczy błąd, którego nie mogła potwierdzić. Ogólne sumy się nie zgadzały, a przecież w trzech oddzielnych raportach nic natrafiła na żadne niezgodności. Coś nie zostało wysłane, ewentualnie przesyłki nic odebrano, bądź gdzieś pojawił się dodatkowy pojemnik, w gwarze zwany „trumną”.

Najlepszą okazałaby się ta ostatnia ewentualność - pomyślała przez chwilę, bo w przeciwnym wypadku wybuchłaby tu istna bomba atomowa.

### Wtorek, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 9.20

We wtorkowy rano CSu\$on odwiedził Stafforda, by sprawdzić czy czegoś nie potrzebuje. Inspektor siedział za biurkiem, otoczony otwartymi skoroszytami i coś notował.

- Automat z kawą jest za drugimi drzwiami w korytarzu - powiedział go-  
spodarz. - Proszę się nie krępować.

- Dziękuję. Lepiej się pan dziś czuje?  
- Znacznie lepiej. Cholera, ciągle nie wiem, co mi się wczoraj stało.

Stafford pokiwał głową, uśmiechnął się lekko i wrócił do pracy. Podczas gdy

Carson zbierał się już do wyjścia, zdecydował się zadać pytanie:

- Ma pan jakieś problemy z personelem, z kimś, kto już nieraz spowodował kłopoty? Może ktoś ostatnio odszedł bez wcześniejszego uprzedzenia?

Wendell zatrzymał się w drzwiach. Najpierw pytanie o tę dziwną dziewczynę, a teraz to? Może chodzi mu o Lambry'ego?

37

- Raczej nie - odpowiedział szybko myśląc. - Oczywiście od czasu do czasu zdarzają się jakieś problemy. Ale najczęściej chodzi o poniedziałkowe przychodzenie do pracy na rauszu, albo kombinowanie ze wcześniejszym urywaniem się. Czy mam kogoś szczególnie na oku? Nie. A dlaczego pan pyta?

Funkcjonariusz DCIS wzruszył ramionami.

- To standardowa procedura, gdy tropimy możliwą defraudację. Nagłe zniknięcia czasami łatwo pozwalają wyłuskać sprawcę, który nakradł już wystarczająco dużo. Możliwe są także telefony na gorącą linię, wykonywane przez malkontentów, którzy chcą narobić komuś kłopotów. Sprawdzamy to zupełnie rutynowo.

Aha, otrzymałem tu listę personelu, ale chciałem prosić o dostęp do pańskich ; aktualnych danych osobowych.

- Oczywiście. Załatwi to pan z panią Johnson. Powiadomię ją, aby dostarczyła panu wszystko, czego pan zażąda. Coś jeszcze?

- Nie. To powinno wystarczyć. - Stafford ponownie się uśmiechnął. - Przy najmniej na razie.

Na razie - pomyślał Carson wychodząc z biura. Zastanowił się, czy przybysz wiedział już o zniknięciu Lambry'ego. W poniedziałek oświadczył, że Bud opuścił wieczorną zmianę, wyraźnie czymś rozwścieczony. W tym

tygodniu zamie- ł  
rzał sporządzić jakieś kryjące go dokumenty, ale po pytaniu  
Stafforda musiał jak  
najszybciej dysponować czymś na piśmie. Nagle jego myśli  
zamarły: bazując na  
słowach inspektora, ten zapewne podaży sugerowanym śladem.  
Cholera, może  
nawet odwiedzi dom Lambry'ego z nadzieją, że coś tam znajdzie.  
Szybkim kro-  
kiem wrócił do swojego gabinetu, połączył się z sekretarką i  
poprosił o dostar-  
czenie druków wypowiedzenia umowy o pracę. Kwadrans później  
pani Johnson  
dobrze zbudowana, czarnoskóra dama - przyniosła do jego biura  
druki wraz  
z ubiegłotygodniowym grafikiem zatrudnienia.

Zapewniła pani Staffordowi wszystko, co trzeba? - zapytał  
bez zbędnego  
wstępu. Nie lubił pani Johnson, a i ona nie darzyła go sympatią.

• Tak jest - odpowiedziała. Ktoto w ogóle jest? Nikt nie ma  
pojęcia po co  
tu przyjechał.

• To audytor z DLA - odparł Carson. - Właściwie nie chodzi o  
nic, co było- ,  
by bezpośrednio z nami związane. DLA bada jakieś stare  
przypadki defraudacji

Jakich dokładnie materiałów sobie zażyczył?

• Wszystkich danych osobowych. A właściwie dostępu do  
nich. Włącznie  
z pańskimi.

Menadżer zachował beznamiętny wyraz twarzy.

- W porządku. Nie ma tu nic takiego, czego nie  
dostarczylibyśmy DLA, prosto

do Waszyngtonu. Proszę niczego przed nim nie ukrywać. I niech  
mi pani przynie-  
sie akta Lambry'ego. Widocznie mówił poważnie o odejściu, więc  
trzeba zacząć -  
procedurę rozwiązania z nfan umowy o pracę. - Udał, że skupia  
uwagę na wła-  
snych papierach.

Sekretarka wychodząc , zatrzymała się w drzwiach i  
odwróciła.

- Aha, poprosił też O mapę Georgii. Ella Mae przyniosła mu  
ją z samochodu.

38 Zaskoczony Carson uniósł wzrok.

- Mówił po co mu ona?
- Nie. Ten facet w ogóle nie jest zbyt rozmowny.
- Dobrze. Wychodząc proszę zamknąć drzwi.

Po jej wyjściu szef DRMO zakręcił się na fotelu. Pomyślał o  
mapie Georgii  
we własnym biurku. Nie powiedziała, że chodziło o mapę miasta,  
tylko całego

stanu. Sięgnął po słuchawkę i połączył się z panią Johnson.

- Czy pan Stafford poprosił o mapę Atlanty, czy stanu?
- Stanu Georgia. Powiedział, że mapę Atlanty już ma.

Zapewne dostarczono

mu ją wraz z samochodem. - Sekretarka sprawiała wrażenie

rozdrażnionej.

Rozłączył się bez słowa. A więc chodziło o mapę stanu. Ale po co, do diabła?

I czemu miała służyć jego uwaga o donosie na gorącą linię? Im dłużej o tym myślał, tym większa ogarniała go niepewność, jaki cel ma wizyta Stafforda.

Tangent nie przejął się zbytnio przybyszem. Zadzwoił do niego do domu, posługując się umówionym szyfrem. Maude była po drugiej stronie ulicy, u chorej sąsiadki, więc Carson nie musiał korzystać z telefonu w budce. Powiedział swemu odbiorcy o celu wizyty Stafforda i wyraził opinię, iż przybysz nie powinien tu długo zabawić. Tangent zażądał pełnych danych inspektora.

- Po co to? - zapytał pracownik DRMO.
- Sprawdzimy go. Zobaczymy czy mówi prawdę o przyczynie swej wizyty.

- Może pan to zrobić?

- W naszym interesie, Carson, zawsze to robimy. Mnóstwo ludzi mówi jedno, a rzeczywistość okazuje się zupełnie inna. Nie potrwa to na szczęście długo - bo mamy bardzo mało czasu.

Wendell aż podskoczył na ostatnie słowa.

- Czy coś się stało? Czy wojsko;..

- Nie, jeszcze nic - przerwał mu Tangent. - Ale musimy działać zakładając,

że w końcu zauważą zgubę. Jeżeli nie, to świetnie. Ale kiedy do tego dojdzie, transakcja będzie bardzo trudna do zawarcia. Rozumiesz to chyba, prawda?

Carson potwierdził pospiesznie, a kupiec oświadczył, że skontaktuje się z nim,

być może już jutro, by dostarczyć informacje o Staffordzie.

Myśli mieszkańca Atlanty ponownie powędrowały ku milionowi dolarów.

Ten cholerny inspektor mógł stanowić pewną komplikację, szczególnie wówczas

gdyby zainteresował się bliżej nagłym zniknięciem Buda Lambry'ego. Miał świadomość, że powinien coś z tym zrobić, ale nie miał jeszcze

pojęcia co.

Stafford zamknął wielki skoroszyt i odłożył go na blat biurka.

Przeglądał

dokumenty i w zamyśleniu skrobał coś bez celu na kartce.

Wszystkich, którzy okradali

wojsko, złapano wyłącznie z powodu ich chciwości.

Funkcjonariusze jedena-

nastego lub dwunastego stopnia, których nagle stać było na

sportowe samochody,

wystawne domy, a ich roczne zarobki wynosiły tylko kilkadziesiąt tysięcy dola-

rów. Współpracownicy zawsze zauważali taki nagły skok stopy

życiowej. Za-

wsze. W końcu któryś z nich dzwonił na gorącą linię

Departamentu Obrony. Nie-

mał zawsze zaczynało się od niewielkich oszustw, których skala stopniowo wzrosła, aż defraudant zwracał na siebie uwagę.

Centrala zdawała sobie sprawę z istnienia ludzi, którzy byli wystarczająco sprytni, by nie dać się złapać. Sięgali po brudne pieniądze, ale nie robili tego zbyt często, w nic nie angażowali się bezpośrednio i dostawali pieniądze od innych, którzy nadstawiali karku. Oni nigdy niczego nie kradli, ani nielegalnie nie sprzedawali.

Powiedział prawdę wyjaśniając, że wybrał DRMO w Atlancie, po części z powodu rozmiarów jednostki. Teraz, kiedy już tu był, nie wiedział jaki powinien być następny krok. Carson go zaintrygował, ale to jeszcze nie czyniło szefa DRMO podejrzanym. Przeglądał dane osobowe w poszukiwaniu akt Carsona. Od razu zainteresował się formularzem DD-398, tajnym kwestionariuszem osobowym. Przeczytał go. Gdyby dochodziło tutaj do oszustw podczas aukcji, Carson musiałby o tym wiedzieć. A gdyby to on sam coś kombinował, prośba Stafforda o dostęp do danych osobowych i uwaga na temat gorącej linii dotyczącej defraudacji Wyglądały na rozpoczęcie ofensywy. Wydało mu się, że mięśnie na twarzy menadżera napięły się, gdy o tym wspomniał. Carson opanował do perfekcji przybieranie obojętnego wyrazu twarzy.

Stafford postanowił zjeść wczesny lunch. Resztę dnia chciał spędzić na samotnym przechadzaniu się po placówce i rozmowach z pracownikami. Może dobrze będzie zrobić wśród nich nieco zamieszania. Jeśli rzeczywiście dochodzi tu do nielegalnych działań, wieść o jego poczynaniach błyskawicznie dotrze do Carsona i może to rozwiąże komuś język. Nic mądrzejszego nie przychodziło mu do głowy.

Swój obchód rozpoczął półtorej godziny później w składowisku na otwartym powietrzu. Nakłonienie robotników do rozmowy nie okazało się tak proste, jak mu się wydawało. Większość z nich poruszała się po terenie na wózkach widłowych. Zauważył, że nikt nie zwrócił mu uwagi, gdy odwiedzał miejsca wyraźnie oznaczone napisami: WSTĘP WZBRONIONY. W końcu trafił do jadalni dla pracowników w drugim magazynie, gdzie zatrzymał się na kawę. Wysilek nawiązania rozmowy z kilkoma ludźmi spalił jednak na panewce. Wyszedł po pół godziny nie „walki z wiatrakami”, uświadomiwszy sobie co mogą o nim wiedzieć: jest audytorem z DLA. Audytorzy przynosili ze sobą tylko kłopoty, więc

nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie zapraszać go do wspólnego spędzenia lunchu. Najpewniej się go obawiali. Pochodził jeszcze po magazynach, które wyglądały praktycznie tak samo. Zatrzymał się w pomieszczeniu przylegającym do hali z linią przerobową. Mott\* strum nie pracowało. Głównym elementem był tu pas transportowy, znajdujący się na wysokości talii, z obu stron zabezpieczony metalowymi barierkami. Obszar jego załadunku mieścił się na tyłach budynku, gdzie przez troje otwartych teraz, ciężkich, stalowych drzwi wjeżdżały do środka wózki widłowe. Podajnik, niosący materiały, które miały ulec zniszczeniu, opuszczał pomieszczenie przez ścianę graniczącą z hangarem. Otwór ten osłaniały sztywne paski gumy. W ścianie znajdowały się również wyposażone w niewielkie okienko drzwi stanowiące przejście.

40

Czterech ludzi układało na pasie przedmioty przywożone przez hałasujące niemiłosiernie wózki. Trzech spośród nich miało czarną karnację skóry, czwarty zaś - sprawiający wrażenie niezbyt rozgarniętego - był biały. Przenosili zapakowane w plastikowe pojemniki komponenty na podajnik, przesuwany później przez któregoś z nich tak, by zrobić miejsce na następną dostawę. Stafford zbliżył się do nich i obserwował kilka minut. Wszyscy, z wyjątkiem białego, nie zwracali na niego uwagi. Wreszcie ostatni wózek wycofał się i w magazynie zapanowała cisza. Trzej czarni oddalili się w stronę stojącego pod ścianą stolika z dzbankiem kawy. Biały zaś ostrożnie podszedł do inspektora.

• Topanjesttenaudor?  
Audor?

• Audytor-odpowiedział Stafford.

• Przecież mówię. To pan? - mężczyzna przyglądał mu się z wyraźną po dejrzliwością.

• Tak. Ale nie gryzę.

Próba żartu została zignorowaną, bo pracownik najwyraźniej wciąż zastanawiał się czy jest bezpieczny. Wreszcie pokiwał głową, jakby podjął jakąś decyzję.

- Słyszałem o panu. Kumpie się wkurzali, że jakiś audor się hi ltfętfc Czego pan tu chce?

Inspektor przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

Mógł zachowywać

się jak gliniarz i nieco przycisnąć tego faceta, albo po prostu go zbyć. Nie było to

trudne, bo właściwie miał do czynienia z półgłówkiem.

- Rutynowa kontrola - odpowiedział wreszcie. -  
Przyjeżdżamy do DRMO,  
żeby sprawdzić czy wszystko jest robione tak, jak należy i czy nikt  
tu nie kradnie.  
To nasza praca.  
Rozmówca miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, lecz był chudy  
jak szczapa.  
- Jak się pan nazywa? - zapytał Stafford.  
Pracownik nim odpowiedział, poskrobał się po długim,  
wąskim nosie:  
• Corey. Corey Dillard. A pan?  
• David Stafford. Od jak dawna pan tu pracuje, panie Dillard?  
• Już ponad piętnaście lat.  
• I co konkretnie pan robi?  
Dillard wydał się zaskoczony pytaniem, jakby nikt nigdy  
wcześniej mu go  
nie zadawał. Schylił się nieco, by zrównać się ze Staffordem,  
kierując na niego  
SWój nieświeży oddech. Inspektor zmusił się do pozostania w  
miejscu.  
- To co każe mi szef Hisley. Najczęściej karmię Monstrum.  
Ładujemy ten  
szmelc na pas. Zaraz, nie jest pan gliną? Widywałem autorów, ale  
pan nie jest do  
nich podobny. Szef Hisley mówi, że jest pan rządowym gliną.  
Stafford uśmiechnął się do niego szeroko.  
• Szef Hisley boi się gliniarzy, co? Myślisz, że powinienem z  
nim pomówić?  
Dillard wyprostował się, a na jego twarzy pojawił się niepokój.  
• Przecież ja nie powiedziałem nic na szefa.  
- W porządku. Nic mu nie powiem, że o nim wspominałeś.  
O czym więc  
chcesz ze mną pomówić?

41  
Pracownik obejrzał się przez ramię na stojących pod ścianą  
współtowarzy-  
szy. Znajdowali się zdecydowanie poza zasięgiem ich głosu, ale  
bez wątpienia  
ciekawie się im przyglądali.  
- Słuchaj pan - rzekł, ponownie się pochylając. Jeśli ktoś  
panu coś powie,  
będzie miał spore kłopoty.  
No proszę - pomyślał Stafford.  
• Nie bardzo rozumiem o czym pan mówi, panie Dillard -  
odparł zaintrygowany.  
• Widziałem to w telewizji. Facet ma coś do powiedzenia, to  
gliny dają mi  
munitet.  
Coraz lepiej.  
• Oczywiście, panie Dillard. Tylko proszę zrozumieć, że ja nie  
jestem gliną.  
Ale wiem, że oni oferują immunitet. Za odpowiednio cenne  
informacje. Oczywi-  
ście, jeśli przekaże sieje w odpowiedni sposób.  
• Odpowiedni? To znaczy jaki?- zapytał Corey mrużąc oczy.  
Wsunął dłonie do kieszeni kombinezonu i stał jak  
zdeenerwowany uczeń.  
- Chodzi o dwie sprawy. Po pierwsze, ktoś kto chce  
uzyskać immunitet, musi  
powiedzieć wszystko co wie, zanim policja zrobi to sama.  
Dillard zamrugał, ale po chwili ze zrozumieniem pokiwał

głową.

- Po drugie zaś, jeśli więcej niż jedna osoba coś wie, immunitet dostanie tylko pierwsza z nich, która zdecyduje się to zdradzić. Każdy inny będzie odpowiedzialny za popełnione czyny. To proste.

Pracownik DRMO ponownie przytaknął i obejrzał się przez ramię, nim odpowiedział. Najpotężniejszy z tamtej trójki otwarcie ich obserwował. To pewnie szef Hisley - uznał Stafford.

- Jak długo zamierza pan tu być?
- Nie wiem, panie Dillard. Zapewne jakiś czas. Jak już jednak mówiłem, jestem audytorem, a nie gliniarzem. Czy chciałby mi pan o czymś powiedzieć?

Rozmówca już otwierał usta, ale ponownie obejrzał się na potężnego czarnoskórego mężczyznę i pokręcił głową.

- Raczej nie. Może później.

Niepewnym krokiem zaczął się wycofywać w stronę pasa transportowego, do którego właśnie zbliżył się kolejny wózek. Zatrzymał się jednak, odwrócił głowę i powiedział coś, czego Stafford z powodu huku pojazdu nie usłyszał.

- Słucham? - zapytał nadstawiając ucha.
- Lambry - krzyknął Dillard, stojąc plecami do kolegów — Musi pan znaleźć Buda Lambry'ego.

Inspektor patrzył, jak ekipa załadunkowa wróciła do pracy, po czym skierował się ku drzwiom łączącym to pomieszczenie z hangarem. Były jednak zamknięte, więc wycofał się na zewnątrz. Zatem tyle z jego przykrywki jako audytora - uznał. Te niebieskie kołnierzyki zorientowały się już, że coś się tu działo i dlatego przyjechał gliniarz z Waszyngtonu. Z drugiej strony miał co robić: znaleźć faceta o nazwisku Lambry.

Wejściem z zewnątrz dostał się do hali mieszczącej urządzenie przerobowe.

W dyżurce nie było nikogo. Pusty pas transportowy prowadził prosto do nieru-

42

chomego systemu ostrzy rozdrabniających. Po obu stronach wlotu do maszyny znajdowały się metalowe ekrany, a od góry osłaniały je plastikowe zabezpieczenia. Za sprawą płątaniny rur i dodatkowych urządzeń o nieznanym zastosowaniu, maszyna przywołała na myśl skulonego, stalowego dinozaura. Ostrza pionowych pił lśniły niebezpiecznie we fluorescencyjnym świetle. Aż podskoczył, gdy pas ruszył. Dopiero po chwili zrozumiał, że to ludzie obok muszą go przesunąć, przygotowując miejsce pod kolejny ładunek.

Może rzeczywiście dzieje się tu coś dziwnego, skonstatował, nie odrywając

wzroku od Monstrum. Pracownicy wiedzieli, że nie jest audytorem z DLA. Jedy-  
ny człowiek, który ośmielił się do niego zbliżyć, zaczął mówić coś o immunite-  
cie. Słyszał coś o „munitecie”. Nieźle. Ale o jaki immunitet mu chodziło? Co  
naprawdę ważnego mógł wiedzieć ten człowiek? Jak powinien wyglądać jego  
następny krok? Może zapytać Carsona o Buda Lambry'ego? A może wrócić do  
Dillarda, tym razem już przyznając, że jest gliniarzem, i zapytać go o Carsona?  
Może właśnie dlatego wszyscy tutaj nie okazywali nawet cienia sympatii wobec  
szefa: wiedzieli, że robi jakieś szwindle. I co? Nie chce się dzielić?  
Być może.

Postanowił, że podczas następnej rozmowy z menadżerem powie o Lambrym.  
Wspomni, że ktoś spotkany w magazynach powiedział mu o nim. Sprawdzi jak  
Carson na to zareaguje. Później skontaktuje się z lokalnym oddziałem DCIS i po-  
prosi ich o sprawdzenie posiadacza tego nazwiska. Tylko ostrożnie, przestrzegł  
samego siebie idąc dawnym pasem startowym do kolejnych magazynów. Nie wolno  
ci narobić zbyt dużego zamieszania. Lepiej, żebyś nie wykrył tu żadnego poważ-  
nego przestępstwa. Idąc, powoli masował obolały prawy biceps.

### **Wtorek, Wojskowy Magazyn Broni, Anniston, Alabama, 15.45**

Sierżant McCallister okazał niezadowolenie.  
- Czterdzieści pięć minut przed końcem roboty przynosicie mi coś takiego?  
Wcale mi to niepotrzebne, Mayfield. Słyszycie?  
Latonya Mayfield opuściła wzrok na stos raportów, które położyła na biurku  
przełożonego i nie odezwała się ani słowem. Sierżant nie należał do jej ołubień-  
cow, a poza tym uważała go za kogoś, kto zupełnie nie potrafi słuchać, eo Się do  
niego mówi.  
• I co? - zapytał. - Jesteście pewni tych liczb? Sprawdziliście je więcej niż  
raz?  
• Tak jest - odpowiedziała cierpliwie. - Dodatkowo sprawdził je Luper. -  
To był urzędnik, który powinien przeprowadzić ten audyt. - Z pewnością jest tu  
niezgodność.  
McCallister przez chwilę przeglądał raport, a jego twarz stopniowo czerwie-  
niała.  
- Gdzie ta niezgodność, na miłość boską? Przecież to dokumenty dotyczące  
materiałów przeznaczonych do zniszczenia. Tutaj nie może być żadnej niezgod-  
ności. Dobrze o tym wiecie. Ja też. Cała pieprzona armia o tym wie. Te wartości

muszą się zgadzać. Jeżeli jest jakaś niezgodność, to musi być w waszych raportach, a nie w tym raporcie.

- Tak jest - powiedziała z uległością w głosie.
- Żebyście wiedzieli. Dobra. Powiedzcie Hendersonowi, że chcę go zobaczyć.

I nie wspominajcie po co.

• Tak jest - odparła Mayfield i oddaliła się, by poszukać Hendersona, specjalisty piątej klasy. Zabrało jej to dobrych kilka minut, bo ten, nie mogąc docze-  
kać się szesnastej trzydzieści, był już w szatni i przebierał się w cywilne ubranie.

• Już dziesięć po czwartej, Mayfield. Co jest, do cholery?  
• Stary kazał, żebym cię sprowadziła. Powie ci o co chodzi dopiero na miejscu.

• Co za niefart! - Zerknął na zegarek. - W porządku. Najpierw muszę się z powrotem przebrać.

Mayfield wróciła do biura i zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Henderson był specjalistą do spraw zabezpieczenia broni, a nie urzędnikiem. Będzie poważnie wkurzony, kiedy zorientuje się, że musi zająć się tym raportem, dotyczącym zniszczonych materiałów. W ciągu kilku najbliższych minut musiała zdecydować czy mu pomoże, czy też się stąd ewakuuje. Nie mogła podjąć decyzji.

Henderson był w porządku jak na białasa, ale na zawsze ją znienawidzi, jeżeli będzie musiał sprawdzać jej robotę. Z drugiej jednak strony wykryła niezgodność i to jego obowiązkiem było zlokalizowanie błędu.

Kwadrańs później Henderson podjął za nią decyzję. Podszedł wściekły do jej biurka trzymając raport w rękach.

- Dzięki za wpakowanie mnie w to bagno, Mayfield.
- Jeśli chcesz, pomogę ci z tym - zaproponowała.

Pokręcił głową.

• Stary powiedział, że muszę zająć się tym sam. I że ty to sknociłaś. Cholera, nigdy nie zajmowałem się taką robotą. To zajmie mi wiele godzin...

• Niczego źle nie zrobiłam - zaprotestowała. - Znalazłam tylko błajfl. To dlatego tak się wkurzył. Pokażę ci w czym rzecz. Może ty będziesz w stanie wyjaśnić o co chodzi.

• Mówisz poważnie? Naprawdę coś tu nie tak?  
• Tak mi się wydaje. Luper przyznał mi rację, ale i on niczego nie zlokalizował.

Złość Hendersona zniknęła bez śladu. Obejrzał się przez ramię, ale drzwi gabinetu McCallistera były zamknięte.

- W porządku. Ale niech stary nie widzi nas razem.

## Wtorek, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 17.30

Carson usiadł za biurkiem i zastanowił się nad plotkami, które dotarły do niego pół godziny przedtem. Widziano Stafforda rozmawiającego z ludźmi w magazynie, a Corey Dillard wspomniał mu coś na temat Buda Lambry'ego. Nie uda-

44

ło się podsłuchać co dokładnie i w jakim kontekście, albo ci robociarze nie chcieli mu tego zdradzić.

Świetnie - pomyślał. Diabelsko świetnie. Dillard od czasu do czasu pomagał Lambry'emu, ten jednak zastrzegał się, że nigdy ani słowem nie wspomniał mu

o ich pokątnych interesach. Ale co genialny Lambry mógł powiedzieć genialnemu Dillardowi o magicznym cylindrze i pieniądzach, jakie można zań uzyskać?

Wstał i wyrzwał na magazyn mieszczący rzeczy wystawiane na aukcję. Przetarg odbywał się właśnie dzisiaj, a uczestniczący w nim ludzie cały dzień wywozili stamtąd zdobycze.

Odwrócił się od okna i wolnym krokiem obszedł biuro. Ogarnął go niepokój na wspomnienie tego, co zdarzyło się Lambry'emu. Wciąż powtarzał sobie, że był to wypadek, a on nie jest mordercą. Ale to nie zmieniało faktów. Najpierw wpakował się w kradzież cylindra, a teraz w śmierć Buda. Podszedł do regału i wsunął ręce między skoroszyty. Palcami dotknął zimnego metalu i wydało mu się, że dotyka trupa.

Zanim Stafford zaczął się tu plątać, wystarczyłoby po prostu ogłosić, że Lambry zwolnił się z pracy i zniknął. Teraz musiał wymyślić coś bardziej wyszukanego. I nagle przyszła mu do głowy przerażająca myśl: jeżeli inspektor rzeczywiście zainteresuje się Budem, istnieje zagrożenie zdemaskowania całego ich spisku.

## Wtorek, Wojskowy Magazyn Broni, Anniston, Alabama, 21.15

Henderson rzucił ołówek przez pogrążone w półmroku biuro. Siedząca przy sąsiednim biurku Mayfield obserwowała go z lekkim uśmiechem satysfakcji na twarzy. Schowała się w damskiej przebieralni, aż jedna z koleżanek powiedziała jej, że McCallister poszedł już do domu. Później dołączyła do Hendersona i pomogła mu. Przez pierwszą godzinę tłumaczyła do jakich wniosków doszła, a póź-

niej on sam przejrzał cały raport.

- Poddaję się - powiedział. - Wychodzi mi dokładnie to samo co tobie. Brakuje jednej wartości. Jednej cholernej liczby.

Pokiwała głową.

-i- I co dalej? - zapytała.

- Powiemy o tym McCallisterowi. On jest sierżantem.

- Wścieknie się, jak diabli.

Zerknął na nią.

• Wyjaśnijmy sobie coś: ta niezgodność znaczy jedną z trzech rzeczy. Więcej śmieci wyszło stąd niż przyszło, stało się odwrotnie, albo czegoś w ogóle brakuje.

• Zgadza się.

Marszcząc czoło wrócił do kartkowania dwustustronicowego raportu.

Mayfield chciała już wrócić do domu, choć miała świadomość, że sprawa

nabiera rumieńców.

- Co?

45

- Chcę odszukać to, co zostało wysłane.

Henderson milczał długo studiując dane. Całą uwagę skupił na liczbach oznaczających szczegółowe kody broni. Przetarł oczy i zamarł.

• O rany - szepnął.

• Co jest?

• Najpierw nie mogłem skojarzyć kodów tego transportu, ale teraz sobie przypomniałem. To pieprzone Oko Szatana.

- Oko Szatana? Nie brzmi to zachęcająco.

Popatrzył jej prosto w oczy, aż się wyprostowała.

- Musimy skontaktować się z McCallisterem - oświadczył. - Cholera, i to natychmiast.

### **Wtorek, Wojskowy Magazyn Broni, Anniston, Alabama, 22.00**

Po półgodzinnym, bezskutecznym poszukiwaniu sierżanta McCallistera, a później porucznika Biersa - zwierzchnika sierżanta - Henderson zdecydował się wreszcie skontaktować z oficerem dyżurnym magazynu. Wyjaśnił, iż nie może skontaktować się z bezpośrednimi przełożonymi, po czym poprosił rozmówcę o przyście do biura kontroli. Ten z kolei domagał się, by to Henderson się do niego pofatygował. Powiedział, że porucznik nie chodzi do specjalisty piątej klasy.

• To bardzo skomplikowane. Sprawa może przerodzić się w naprawdę poważne kłopoty. Tylko tyle mogę powiedzieć przez niekodowaną linię.

• Potrzebna interwencja żandarmerii, Henderson? Nie chodzi chyba o przy-

padek napastowania seksualnego?

• Nie. Nic z tych rzeczy. Proszę tylko tu przyjść.

Choć oficer dyżurny był tylko porucznikiem, służył w armii wystarczająco długo, by zrozumieć co znaczy owo „proszę”. Pracownik wojska obawia się, że natknął się na naprawdę poważną sprawę i chce, aby jakiś oficer zajął się tym, nim sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu.

W porządku, już idę, Henderson. Powiedzcie jeszcze raz gdzie jest to wasze biuro.

Dziesięć minut później zielony ford zajechał przed biuro kontroli. Specjalistka Mayfield wprowadziła oficera dyżurnego do środka. Z zadowoleniem stwierdziła, że również jest ciemnoskóry. Kiedy już znaleźli się w biurze, Henderson wyjaśnił, czym zajmowali się wraz z Mayfield. Początkowo porucznik nie rozumiał w czym rzecz. Wreszcie Henderson powiedział prosto z mostu:

- Być może cylinder z Okiem Szatana gdzieś się zapodział. Oficer wytrzeszczył na niego oczy.

- Co? Jesteście tego pewni?

Henderson w geście bezsilności przytaknął.

- Z audytu materiałów przeznaczonych do likwidacji wynika, że czegoś brakuje. Mayfield pracowała cały dzień. Wyniki sprawdził jeszcze jeden oficer. Wreszcie Mayfield poinformowała o wszystkim sierżanta, a ten przydzielił do sprawy

46

mnie. Jesteśmy tu od szesnastej trzydzieści. I wciąż coś się nie zgadza. - Urwał na chwilę. - Być może spartaczyli coś na drugim końcu, w Tooele - rzekł z nadzieją w głosie.

- Miejmy taką nadzieję. I módlmy się o to. Kiedy doszło do tej wysyłki?

- Opuściła naszą placówkę niecały miesiąc temu - posiedziała Mayfield. -

Ten raport przyszedł do nas w ostatni czwartek.

Porucznik na moment zapatrzył się w dokument.

- W porządku. Oboje chodźcie ze mną. Zamierzam skontaktować się z oficerem dowodzącym.

- A co z naszym szeregiem przełożonych? - zapytał Henderson. - Sierżant

McCallister skopie nam tyłki, jeśli zostanie pominięty.

- Wy jesteście czyści. Biorę wszystko na siebie. Jestem oficerem dyżurnym,

a widzę tu poważne zagrożenie, więc dzwonię do dowódcy. Stary zawsze nam powtarza, żeby w razie jakichkolwiek wątpliwości należy się z nim kontaktować.

Innymi słowy ściągnę tu jego tyłek, specjalisto.

Wtorek, południowo-wschodnia Atlanta, 23.45

Carson wolno wjechał swym służbowym pikapem w uliczkę, na której mieszkał

Bud Lambry. Już nie mieszka - przypomniał sobie. Znajdujące się

w ruinie są-  
siedztwo stanowiło enklawę starych domów otoczonych, z jednej  
strony torami  
prowadzącymi na lotnisko, z drugiej szeregiem terminali  
samochodowych i auto-  
stradą międzystanową numer 285.0 tej porze uliczka była pusta i  
ciemna.

Dom Lambry'ego znajdował się na samym jej końcu, tuż przy  
wysokim na  
kilkanaście metrów, nasypie kolejowym. Właściwie był to  
parterowy barak, z prze-  
krzywionym frontonem i niechlujnie dobudowaną werandą. Obok  
rosło kilka za-  
niedbanych drzew. Dalej było widać zardzewiały zbiornik na  
płynny gaz, a na  
zarośniętym podwórku stały trzy poobijane wraki samochodów.  
Pod samym na-  
sypem wznosiło się wiele drewnianych bud - w różnym stadium  
rozkładu. Dom  
naprzeciwko wyglądał na opuszczony, a sąsiedni mógł być  
zamieszkały, lecz w żad-  
nym z okien nie paliło się światło. W końcu usianego dziurami  
zaułka piętrzyła  
się potężna sterta śmieci, a przerdzewiały na wylot samochód stał  
wbity w nasyp,  
niczym jakieś ryjące zwierzę.

Carson zatrzymał się przed domem Buda i wyłączył silnik. Po  
raz ostatni  
zaciągnął się papierosem i zgasił go. Kilka godzin zbierał siły  
przed tą wyprawą,  
a później niemal godzinę poszukiwał miejsca zamieszkania  
podwładnego. Jeśli  
Stafford zainteresuje się nagłym zniknięciem Lambry'ego, lepiej  
zawczasu zaj-  
rzeć do jego domu i sprawdzić czy nie ma tu żadnych dowodów  
mogących go  
obciążać. Właściwie sam nie wiedział, co to może być i co  
powinien zrobić. Bio-  
rąc pod uwagę pochodzenie Lambry'ego i reprezentowany  
przezeń poziom inte-  
lektualny, wyobrażał sobie co może tu zastać.

Po odczekaniu piętnastu minut sprawdził, czy nikt nie  
zainteresuje się jego  
obecnością, po czym wysiadł z wozu. Odczekał jeszcze chwilę,  
czy nie odezwą

47

się żadne psy. Na ulicy nie poruszało się nic z wyjątkiem szarego  
kocura, który  
przemknął pod jedyną działającą latarnią, znajdującą się  
trzydzieści metrów od  
niego. Siłąc się na beztroskę ruszył w stronę domu, przez cały  
czas przykazując  
sobie w myślach, aby nie zachowywać się jak włamywacz.

Mnóstwo rzeczy uległo zmianie od piątkowego wieczoru. Był  
świadom, że  
właściciel posesji nigdy się już tu nie pojawi, więc nie spodziewał  
się żadnych  
niespodzianek. Chyba że Lambry miał żonę, albo mieszkał z kimś  
innym. Na tę  
myśl aż się zatrzymał przed zaśmieconą werandą na tyłach domu.  
Nie, nie ma

żony. W aktach personalnych było zaznaczone, że nikt nie znajduje się na jego utrzymaniu. Przecież ktoś taki jak Bud, mógł z rozmysłem utrzymywać w tajemnicy związek z jakąś kobietą.

Odetchnął głęboko i wszedł na werandę. Deski podłogowe trzeszczały i ugięły się pod jego ciężarem. Nacisnął klamkę wypaczonych niczym łódka tylnych drzwi i okazało się, że nie są zamknięte. Wszedł do kuchni i natychmiast węch poinformował go, że jego negatywne oczekiwania, co do tego miejsca sprawdziły się w stu procentach. Wszystkie okna były pozamykane. Duszne powietrze było przepojone zapachem zgnilizny. Przez chwilę stał bez ruchu w ciemnej kuchni, niemal bojąc się wejść dalej. Wydawało mu się, że w środku nikogo nie ma, ale musiał mieć pewność. Uświadomił sobie, że nie zabrał ze sobą latarki. Kiepski z niego włamywacz. Musiał polegać tylko na bladym świetle wpadającym przez brudne okna.

W pozostałych pomieszczeniach cuchnęło tak samo jak w kuchni i rzeczywiście nikogo tam nie było. Po szybkim rekonesansie zdał sobie sprawę, że nie ma tu szans na znalezienie czegokolwiek, co Lambry z rozmysłem ukrył. Co więcej, dom wyglądał zdecydowanie tak, jakby jego właściciel pewnego dnia wyszedł do pracy i już z niej nie wrócił, a nie wyjechał gdzieś na stałe.

Tu właśnie tkwił problem. Jeżeli Stafford albo policja wejdą do środka, od razu domyśla się, że Lambry'emu coś się stało. Z coraz większą rezygnacją doszedł do wniosku, iż nie ma szans na nadanie temu miejscu wyglądu celowo opuszczonego. Przynajmniej nie w tak krótkim czasie, jakim dysponował.

Rozejrzał się wokół. Z każdą chwilą narastała w nim desperacja. I nagle wpadł na pomysł. Może udałoby się tu wzniecić pożar? Spalić to cholerstwo, aby nie zostało już nic do przeszukania. Ale jak to zrobić, by jednocześnie nie wzbudzić podejrzeń o podpalenie? Wycofał się z powrotem do kuchni i nagle zwrócił uwagę na malutki, niebieski płomyk w podgrzewaczu wody. Gaz. Propan. Zbiornik, który widział na zewnątrz. Podeszedł do kuchenki przyglądając się jej uważnie. Również na gaz. Cholera, to jest to! Zostawi odkręcone kurki w kuchence. Upewni się, czy wszystkie okna są pozamykane, a po jakimś czasie płomyczek spowoduje zapłon nagromadzonego gazu. Kiedy do tego dojdzie, on będzie już wiele kilometrów stąd.

Rozkręcił kurek piecyka do oporu, żeby sprawdzić czy ma automatyczny zapłon. Był to stary model kuchenki, gdzie gaz zapalało się zapalnikami. Przykręcił nieco kurek i ruszył ku tylnemu wejściu. Zatrzymał się jednak i wrócił, by wytrzeć odciski palców z miejsc, których dotykał. Jezu - przebiegło mu przez głowę - byłby z ciebie całkiem dobry przestępca. Wreszcie opuścił dom, po drodze wytała klamkę z obu stron i ruszył w stronę samochodu. Zatrzymał się jednak w po-

lowie, pokręcił głową i ruszył w drogę powrotną. Ostrożnie przemierzył skrzyżnięcie deski werandy, wszedł do kuchni i zakręcił gaz. Zapach gazu był już wyraźnie wyczuwalny, więc uchylił okno. as.

Usiadł przy stole, uważając, by niczego nie dotykać. Zdał sobie sprawę z tego, że nie myśli logicznie. Widać dawka whisky, którą wlał w siebie dla odwagi, była zbyt duża. Każdy w miarę rozgarnięty policjant rozgryzie jego sztuczkę i zastanowi się, dlaczego do eksplozji doszło dopiero czwartego dnia po domniemanym opuszczeniu domu przez jego właściciela. Cholera! Zostawienie odkręconego gazu w piekarniku było zbyt banalne. Nagle wydało mu się, że na zewnątrz słyszy jakiś hałas. Poderwał się, wyrztał przez okno, obawiając się, że przy jego samochodzie stoi już radiowóz. Ale na zewnątrz panował spokój. Z trudem zdołał nieco uspokoić rozszalały rytm serca.

Pożar był oczywistym rozwiązaniem jego problemów, ale jak go wywołać, nie wzbudzając podejrzeń? Wstał i zaczął zaglądać do kuchennych szafek w poszukiwaniu latarki. Wreszcie natrafił na nią w szufladzie z podręcznymi narzędziami. Przykucnął z tyłu kuchenki i przyjrzał się przyłączu gazu. Rurka była podłączona poprzez przejściówkę z gwintami z obu stron. Wrócił do przybornika i wziął zeń klucz. Już chciał nim chwycić złączkę, kiedy zorientował się, że zarówno rurka, jaki złączka wykonane są z miedzi. To bardzo miękki metal. Z pewnością po kluczu zostaną wyraźne ślady. Dlatego wyszukał umazaną tłuszczem szmatę, którą owinął przejściówkę. Rozkręcił ją na tyle, by poczuć i usłyszeć ulatniający się gaz. Usunął ręcznik i upewnił się, czy nie zostawił żadnych śladów. Dobrze. To wystarczy. Przyłączy było na tyle nieszczelne, że propan mógł gromadzić się przez kilka dni.

Przysiadł na piętach. Zniszczenie domu nie zmieni faktu, iż Lambry po prostu zniknął. Przynajmniej usunie potencjalne dowody, które mogłyby go obciążać. Domniemany wyjazd Buda otoczony będzie tajemnicą, a jeśli tylko nie pojawi się jakaś kobieta albo członek jego rodziny, zagadka ta nie wywoła zainteresowania policji. Facet zabrał stąd manatki, a jego dom spłonął. Nikt w jego miejscu zatrudnienia nie będzie go szukał. Może z wyjątkiem Stafforda, ale co z tego? Nawet jeżeli ten inspektor wykryje oszustwa aukcyjne, głównym podejrzanym stanie się zaginiony Lambry. Idealnie.

Sprzątnął po sobie. Jeszcze raz wytarł wszystko, czego dotykał w całym domu. Zamknął okno kuchenne i wciągnął powietrze do płuc. Nie był

pevien, czy czuje  
zapach gazu, ale wiedział, że propan jest cięższy od powietrza i  
będzie się groma-  
dził tuż nad podłogą. Przymknął za sobą drzwi i dla pewności  
ponownie wytarł  
klamkę szmatą. Jak najszybciej chciał opuścić to miejsce. Ruszył  
przez przegniłą  
werandę, czując jednocześnie jakiś ucisk w żołądku i uginające  
się pod nim kola-  
na. Zaaferowany myślami uderzył o coś mocno głową, aż przed  
oczami pojawiły  
mu się gwiazdy.

Spróbował się wyprostować, ale prawa stopa utkwiała  
zablokowana pod podłó-  
gą. Cały ciężar ciała wsparł na lewej, ale deski były na tyle  
spróchniałe, że rozsy

49

pywały się pod naciskiem i nie był w stanie znaleźć wsparcia. Przy  
każdym ruchu  
prawe kolano bolało jak diabli. Zaklął i szarpnął nogą, ale stopa  
była zaklinowa-  
na, zapewne w jakimś elemencie konstrukcyjnym tarasu.

To śmieszne - pomyślał - gdy na czoło wystąpił mu pot.  
Spróbował się od-  
wrócić, wspierając na rękach, lecz i z tego nic nie wyszło. Deski  
znajdowały się  
kilkanaście centymetrów nad gruntem. Utknął, a wszystko, co  
próbował użyć jako  
podporę, rozpadało się pod jego ciężarem.

I wtedy wyczuł propan.  
Cholera, przebiegło mu przez głowę. Cichy syk dobiegał  
przez niedomknięte  
drzwi. Wyobraził sobie jak pomieszczenie wypełnia się gazem. Ile  
czasu potrwa,  
nim zgromadzi się go wystarczająco dużo, by doszło do wybuchu.  
Coraz bardziej  
zdenerwowany zaczął się szarpać, ale jedynym skutkiem były  
kolejne pokruszo-  
ne deski i jeszcze bardziej zaklinowana stopa. Przy drzwiach stała  
miotła. Przy  
jej pomocy spróbował podważyć stopę, ale jedynym rezultatem  
był trudny do  
zniesienia ból. Położył więc miotłę na podłodze i wsparł się na  
kiju. Niemal mu  
się udało, ale drewno zaskrzypiało i pękło. Nie mógł się ruszyć, a  
w powietrzu  
coraz wyraźniej czuć było gaz.

Spróbował innej metody. Powiększył otwór na tyle, że mógł  
się schylić i dłońmi  
zbadać gdzie tkwi jego stopa. Palcami natrafił na grubą, lepłą  
pajęczynę, a oca-  
mi wyobraźni zobaczył czarną wdowę, która wstrzykuje truciznę w  
jego ciało.

Wreszcie wyczuł ceramiczną kształtkę z dużymi otworami, a w  
jednym z nich  
tkwiła jego stopa. Pod nią była pusta przestrzeń, ale w jakiś  
sposób kształtka zo-  
stała przymocowana do reszty konstrukcji. Zaniepokojony uniósł  
głowę i rozej-  
rzał się, sprawdzając czy ktoś przypadkiem go nie obserwuje.  
Chyba nie, ale gdzieś

w pobliżu rozległo się szczekanie psa.

Ani na chwilę nie zapomniał o ulatniającym się gazie. Mam jeszcze trochę czasu przed wybuchem, ale już dawno powinno mnie tu nie być - myślał. Zamiast ciągnąć, spróbował pchać stopę w dół. Po minucie ciężkiego wysiłku i otarciu goleni zdołał wypchnąć ją z dziury. Był to dopiero początek. Teraz musiał się- gnąć ręką do stopy. Schylił się, ponownie przebił się przez grubą warstwę paję- czyn, aż wreszcie palcami dotknął buta. Z trudem ściągnął go z nogi i powoli się oswobodził. Na brzuchu przeczołgał się po spróchniałych deskach, a na czwora- ka zszedł po schodkach i w końcu stanął na stałym gruncie.

Obejrzał się na drzwi, za którymi kuchnia stopniowo wypełniała się łatwopal- nym gazem. Chciał jeszcze odzyskać but, ale machnął nań ręką i pospiesznie po- kuśtykał do samochodu. Miał nadzieję, że zdąży oddalić się od domu na bezpieczną odległość, nim nastąpi eksplozja. Wskoczył do wozu i delikatnie, możliwie najci- szej zamknął drzwi. Ile mam jeszcze czasu? - zastanawiał się. Ciekawe czy nastąpi wybuch, czy tylko dojdzie do pożaru? Pewnie gaz eksploduje w kuchni, a reszta domu zajmie się ogniem. Ile to jeszcze potrwa? Minuty? Sekundy? Przez chwilę zastanowił się, czy coś nie umknęło jego uwagi. Czy nie zostawił po sobie wyraź- nych śladów? Ogarniało go większe przerażenie, niż kiedy tu jechał.

Wreszcie uruchomił silnik i powoli wykręcił w końcu zaułka. Przejechał obok domu Lambry'ego. Bał się nawet spojrzeć, w każdej chwili spodziewał

50

się eksplozji. Całą uwagę skupił na jak najszybszym opuszczeniu opustoszałej uliczki. Jadąc powoli w żadnym z sąsiednich budynków nie zauważył śladów życia.

Gdy dotarł do drogi stanowej, biegnącej ponad kilometr od domostwa Buda, zjechał na parking zamkniętej o tej porze stacji benzynowej. Ustawił się przy samym budyneczku tak, jakby samochód został tu zaparkowany na całą noc. Cier- pliwie obserwował ciemny horyzont, a jednocześnie rozmyślał, czy dojdzie do eksplozji dopiero kiedy cały dom wypełni się gazem. Jeśli tak, można się było spodziewać czegoś znacznie poważniejszego niż byle pożar. Po chwili przyszła mu do głowy myśl, że w ogóle nic się nie zdarzy. Cholera! Czy aby na pewno zamknął okno? Nie pamiętał. Jedyne, co sobie przypominał, to te okropne, lepkie pajęczyny.

Kiedy obok przejechał jakiś samochód, zsunął się w fotelu, aby nikt go nie zauważył. Po upływie kolejnej pół godziny zaczęła ogarniać go panika. A jeżeli plan nie wypali? Jeżeli do środka wejdą gliniarze, znajdą dziurę i jego but? Chryste! Popatrzył na zegarek. Była już druga piętnaście. Był coraz bliższy podjęcia decyzji o powrocie do domu Lambry'ego. Ale jak to zrobić, skoro w środku był propan o coraz większym stężeniu? I nagle nad drzewami pojawiła się pomarańczowa kula ognia, a sekundę później rozległ się głośny huk. Naprawdę ogłuszający, a przecież znajdował się w odległości prawie dwóch kilometrów od miejsca wybuchu. Cholera, to musiała być naprawdę potężna eksplozja. Ponownie uruchomił silnik, wyjechał na drogę i skierował się w stronę Atlanty. Bardzo dziwnie prowadziło mu się w jednym bucie. We wstecznym lusterku widział jasną łunę. Pożar musiał już dawno pochłonąć cały dom. Miał tylko nadzieję, że nie przeniosł się na pobliskie zabudowania. Z drugiej strony to dobrze, że wybuch był tak potężny, bo na jego miejscu na pewno nie uda się znaleźć żadnych śladów. Niepokój nie odstępował go jednak ani na chwilę. Co mógł przeoczyć? I w jakiego potwora się zamieniał?

**Wtorek, Wojskowy Magazyn Broni, Anniston, Alabama,  
2330.**

Pułkownik Tom Franklin, dowódca magazynu broni Anniston, kiedy zjawił się w budynku administracyjnym cuchnął szkocką. Franklinowie urządzali w swoim domu kolację, która dobiegała już końca, gdy zadzwonił oficer dyżurny. Dowódca ubrany był po cywilnemu. Wraz z dyżurnym pośpiesznie przeszli do gabinetu szefa. Pracowników biura kontroli pozostawiono w dyżurce, podczas gdy pułkownik cierpliwie słuchał raportu podwładnego. Dowódca był nieco rozdrażniony z powodu zepsutego wieczoru i zakłopotany wyczuwalnym od niego odorem alkoholu. Nie był jednak pijany i już w trakcie odbierania raportu, zorientował się, że skontaktowanie się z nim było uzasadnione.

- Dobrze zrobiliście dzwoniąc do mnie - pochwalił. - Tak właśnie trzeba było postąpić. Możemy mieć pewność, że audyt został przeprowadzony prawidłowo?

- 51 Tego nie wiem, sir. Ale niezależne trzy osoby dokładnie przejrzały raport,

i to nieraz. Zastana sytuacja zaniepokoiła ich na tyle, by o tej porze uruchomić procedurę awaryjną. A kiedy usłyszałem o Oku Szatana, to...

- Oko Szatana. Budzi moje obawy już sama ta nazwa.

Dobra, ściągnijcie tu natychmiast oficera operacyjnego. I wyszukajcie numer do dowództwa w Waszyngtonie. Złożę ustny raport przez kodowaną linię, a później należy czekać na milion pytań.

Oficer dyżurny pospiesznie notował zadania w notatniku.

• Powiedźcie oficerowi operacyjnemu, żeby natychmiast skontaktował się z dyżurnym z Tooele. Niech ich dowódca zadzwoni najszybciej jak to możliwe.

Za godzinę w moim biurze mają zgłosić się wszyscy, którzy wiedzą o sprawie, poczynając od pracownika, który wykrył całą sprawę. Zrozumieliście?

- Tak jest! Natychmiast, sir.

**Środa, Dowództwo Armii Stanów Zjednoczonych,  
Pentagon,  
Waszyngton, 1.15**

Generał brygady Lee Carrothers - zastępca dowódcy wojsk chemicznych - czekał na rozpoczęcie telekonferencji satelitarnej. Został obudzony w swoim domu w Mount Vernon w Virginii przez oficera dyżurnego. Poproszono go o natychmiastowe stawienie się w Pentagonie w sprawie, o której nie należy rozmawiać przez telefon. Teraz przygotowywano konferencję z czterogwiazdkowym generałem Myerem Waddellem, który pełnił funkcję dowódcy wojsk chemicznych, a przebywał w podróży służbowej w Stuttgarcie, w Niemczech. W Europie była teraz 7.15 rano.

Trzecim uczestnikiem konferencji miał być zastępca szefa sztabu do spraw kadrowych, odpowiedzialny za działalność operacyjną, planowanie i politykę - generał-porucznik Peter Roman. Przebywał obecnie w odrzutowcu lecącym gdzieś nad Pacyfikiem, między San Francisco a Hawajami. Z powodu tego zamieszania generał brygady Carrothers miał okropny ból głowy, który w najbliższym czasie jeszcze się pewnie nasili.

Do wszystkich stacji. Tu centrum dowodzenia. Potwierdzam bezpieczne połączenie satelitarne z trzema stacjami. Wyłączam się po potwierdzeniu obecności trzeciego rozmówcy. Generał Carrothers?

- Zgłaszam się.
- Generał Waddell?
- Jestem.
- I generał Roman?
- Zgłaszam się. O co tu chodzi, Myer?
- Generale, mamy tu potencjalne problemy - powiedział

Waddell. Dokładną relację zda panu mój zastępca - Lee Carrothers, ale mówiąc krótko, mogło dojść do zaginięcia materiałów chemicznych.

- Słodki Jezu!

52

Do rozmowy włączył się Carrothers i zrelacjonował co udało się ustalić do tej pory.

- Nie potwierdzono jeszcze zaginięcia tych materiałów, ale audyt sprawił, iż wykryto niezgodność, która może oznaczać kłopoty. Placówka w Tooele, zajmująca się niszczeniem tego typu substancji, sprawdza to, co do nich dotarło i co zostało poddane destrukcji.

- A więc nie wiadomo na pewno czy te substancje zniknęły? O to chodzi?

- Tak jest. Staramy się to jak najszybciej ustalić.
- Kiedy będziemy wiedzieli?
- Tooele musi dokonać ponownej inwentaryzacji przysłanych zasobów. Potrwa to co najmniej dwadzieścia cztery godziny, bo konieczna jest wzrokowa identyfikacja oznaczeń na każdym cylindrze. A skoro cylindry nie są już w swoich trumnach, trzeba to robić ze szczególną ostrożnością. Konieczne jest użycie pełnych kombinezonów.

- W „trumnach”?
- To potoczne określenie pojemników zabezpieczających cylindry - wyjaśnił generał Waddell. - Chodzi nie o same głowice, ale stanowiące ich CZĘŚĆ pojemniki. I w przeciwieństwie do nowoczesnych głowic, nie są binarnie zabezpieczone.

- Proszę wyjaśnić co to takiego, Myer. Broń chemiczna to coś o czym staram się zapomnieć.

- Tak jest. Amerykańska broń chemiczna, w zamyśle, ma być bezpieczna.

Stosujemy zasadę binarności, czyli głowice nie zawierają agresywnych substancji chemicznych. Mieszczą dwa główne składniki broni w odseparowanych pojemnikach. Dopiero w przypadku decyzji o odpaleniu rakiet przenoszących głowice i przekazaniu ich odpowiednim służbom składniki teulegają zmieszaniu. Dopiero wtedy powstaje substancja, będąca bronią chemiczną. To właśnie oznacza, że broń jest zabezpieczona binarnie.

- A więc te cylindry nie są w ten sposób zabezpieczone?

- Zgadza się, sir. Chodzi o broń, którą wycofaliśmy już dawno temu, właśnie dlatego, że nie była bezpieczna. Gdyby chciało się jej użyć, musiałaby zostać umieszczona, na przykład, w urządzeniach dyspersyjnych pod skrzydłami samolotu.

- Ale co konkretnie jest w tych zaginionych cylindrach? i
- Tylko w jednym cylindrze, generale - zauważył Carrothers. -  
Chodzi o Sub-  
stancję o nazwie Oko Szatana.
- Już samo określenie mi wystarczy - rzekł Roman. - W  
porządku. Mam  
nadzieję, że zrobicie wszystko, co się da, żeby wyjaśnić czy  
rzeczywiście mamy  
kryzysową sytuację. Poinformuję o sprawie szefa sztabu. Wy  
naciskajcie na An-  
niston i Tooele, żeby się sprężali. Na pierwszą pewną informację  
o rzeczywistym  
zaginięciu pojemnika, masz wracać do Fort Fumble Myer, i  
osobiście poinformo-  
wać o sprawie sekretarza obrony, a może nawet Biały Dom.  
Powtarzam, że mó-  
wię o rzeczywistym zaginięciu Oka Szatana. Lepiej miejmy  
nadzieję i módlmy  
się, żeby do tego nie doszło. Informujcie mnie na bieżąco o  
postępach. Bez od-  
bioru.

53

Zapadła długa cisza, której Carrothers nie przerywał. Generał  
Waddell lubił  
przemysleć decyzję przed jej ujawnieniem.

- Lee, wykonaj jeszcze jeden telefon-powiedział wreszcie.
- Słucham?
- Po pierwsze upewnij się czy naprawdę mamy problem. Te  
wysyłki kolejo-  
we wymagają poważnej pracy logistycznej i całkiem możliwe, że  
wykryta zosta-  
nie jakaś pomyłka w papierach. Masz się jednak skontaktować z  
Fort Dietrick.

Tak na wszelki wypadek. Oby tylko nie chodziło o Oko Szatana.  
Wszystko, tylko  
nie to.

- Z Fort Dietrick, generale? Z Medycznym Instytutem Badań  
nad Choroba-  
mi Zakaźnymi?

- Zgadza się. Rozmawiaj z pułkownikiem Ambrose Fullerem.  
To wojskowy  
weterynarz, ale jednocześnie mój człowiek w Dietrick. Jest sprytny  
i dyskretny  
zarazem. Powiedz mu co się stało, albo co może się stać.  
Pułkownik ma nic nie  
robić i z nikim o tym nie mówić. Chcę tylko, żeby wiedział co się  
dzieje.

- Tak jest.
- Dobra. I pamiętaj, że ta bombka zostaje u nas. Dokumenty  
są do wglądu  
tylko dla wojsk chemicznych, dopóki nie ustalimy, co robić dalej.  
Błąd może  
doprowadzić do pełnej likwidacji naszych struktur. Dopilnuj, żeby  
w Anniston  
skontrolowano wszystkich, mających związek ze sprawą.  
Żołnierze mają zostać  
w koszarach. Oficerowie na swoich kwaterach. Wszyscy mają  
trzymać usta za-  
mknięte na kłódki. Jasne, Lee? To ważne.

- Tak jest, zrozumiałem.
- W porządku. Kontaktuj się ze mną przez linie kodowane.

Bez odbioru.  
Carrothers nacisnął klawisz, informując operatora o zakończeniu rozmowy,  
po czym zsunął z uszu słuchawki. Zerknął na zegarek. Była pierwsza czterdzieści pięć. Nie ma sensu dobijać się do Fullera o tej porze, bo nada to sprawie jeszcze poważniejszego wymiaru. Zadzwoń do niego jutro z samego rana. A właściwie już dzisiaj. Zadzwoń jeszcze do oficera dyżurnego dowództwa i poproś go o numer do USAMRIID\*. Czekać zastanawiał się dlaczego, do diabła, generał Wadell chciał poinformować o kłopotach specjalistę z USARIID. Tam zajmują się biologicznymi toksynami, a nie substancjami chemicznymi.

## 5

### Środa, hotel Peachtree Center, Atlanta, 7.45

Stafford ubierał się w swoim pokoju hotelowym i oglądał poranne wiadomości. W południowo-wschodniej Atlantycie doszło do eksplozji propanu. Na ekr-

\* USAMRIID U.S. Army Medical Research Institute for Infectious Diseases - Wojskowy, Medyczny Instytut Badań nad Chorobami Zakaźnymi

54  
nie pojawiły się ujęcia z dużej odległości. Pokazywały dymiący krater i tłumek ludzi stojących przed policyjnymi, żółtymi taśmami. Szczera szczątki zaśmiecały całą ulicę i coś, co wyglądało na nasyp kolejowy na końcu alejki. Dopalały się dwa zniszczone samochody. Z drzew rosnących obok pozostały tylko kikuty pni. Kamera pokazała obraz sąsiedniego domu, także zniszczonego wskutek wybuchu. Obok niego stał ambulans. Po drugiej stronie ulicy zaparkowano cytrynowy wóz strażacki. Dwaj strażacy potężnym wężem dogaszali trawę na nasypie.

Stafford nie zwracał zbyt dużej uwagi na doniesienia, dopóki komentator nie powiedział, iż dom należy do pana B. Lambry'ego, będącego podobno pracownikiem rządowym w pobliskim Fort Gillem. Nie ustalono jeszcze, czy Lambry lub ktokolwiek inny znajdował się w domu. Policja wszczęła śledztwo. Według gliniarzy, do eksplozji doszło tuż po drugiej w nocy. Starszy mężczyzna w sąsiednim domu odniósł poważne rany, kiedy na głowę spadła mu ściana, od strony posesji Lambry'ego.

Inspektor zamarł podczas delikatnej operacji zawiązywania krawata jedną ręką i utknął wzrok w telewizorze. No proszę - pomyślał. B.

Lambry. Czy to nie ten facet, którego Dillard poradził mu odszukać? O, może to jakiś postęp w sprawie. Skończył się ubierać i ze zwykłego telefonu zadzwonił do biura DCIS w Smyrna. Poinformowano go, że Sparksa jeszcze nie ma. Poprosił sekretarkę, żeby szef za godzinę do niego zatelefonował, do budynku administracyjnego w Fort Gillem używając kodowanej linii.

### Środa, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 9.00

Sparks zatelefonował akurat na czas. Stafford zamknął drzwi swojego biura, choć z powodu wielkiej szklanej ściany nie miał tu zbytnej prywatności.

- Dzwoniłeś, Dave?
- Tak. Widziałeś poranne wiadomości? To doniesienie o nocnym wybuchu gazu w południowo-wschodniej Atlantycie?
- Tak, chyba tak. Czy powinno mnie to zainteresować?
- Być może - odparł inspektor. Zobaczył przechodzącą bok sekretarkę. Cafsona, zdziwioną na jego widok, mówiącego do komputera. - Dom należał do faceta, który tu pracował i nazywał się Lambry. Opowiedział przyjacielowi o rozmowie z Dillardem.

• Jezu, Dave, nie mów mi, że już wpadłeś na ślad jakiejś afery,

- Jeśli tak, to tylko przeczucia. Na razie nie mam żadnych faktów. Sugeruję się głównie zachowaniem tutaj szycy ludzi. Jestem prawie pewien, że pracownicy domyślili się, iż nie jestem żadnym audytorem. Między sobą, biorą mnie za glibiarza. Ten głupkowaty Dillard kręcił, wyraźnie bojąc się o czymś mówić.

- Masz jakiś pomysł o czym?
- Najmniejszego. Ale kiedy przyjechałem rano rozmawiałem z Carsonem.

To tutejszy szef, pamiętasz? Powiedział mi, że Lambry niespodziewanie odszedł z pracy przed kilkoma dniami.

55

- Interesujące. Był w domu, kiedy doszło do tego wybuchu?
- Najwyraźniej nie. W sąsiednim domu jest jedna ofiara. Ale właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłem: potrzebuję materiałów, które uda się w tej sprawie zgromadzić policji. I chciałbym z nimi pogadać.

- Dobra, wykonam kilka telefonów. Chcesz dotrzeć na miejsc\* zdarzenia, czy tylko porozmawiać z ludźmi prowadzącymi dochodzenie.

- Jak im wygodnie.

Na chwilę zapadła cisza.

- Dave?
- Tak, Ray? - Staffordowi wydało się, że wie już, co zaraz usłyszy.

- Bądź teraz ostrożny. Pamiętaj, po co tak naprawdę tu

przyjechałeś. Staraj się nie mieszać do lokalnej przestępczości, ani nie niepokoić miejscowych teoriemi spiskowymi. Jeżeli wykryjesz coś nielegalnego w DRMO, prześlemy to Feebies, dobra?

- Oczywiście - odparł Waszyngtończyk. - To był tylko zbieg okoliczności.

Facet wspomina mi o tym Lambrym, a zaraz jego dom wylatuje w kosmos.

Sparks nie sprawiał wrażenia przekonanego tymi słowami. Oświadczył, że jeszcze zadzwoni i rozłączył się. Stafford wyszedł na korytarz w poszukiwaniu kawy. Postanowił jednak, że przejdzie się do magazynu mieszczącego podajnik linii przerobowej. Jeżeli wykryjesz coś nielegalnego w DRMO, prześle to dalej.

Tylko nie rób zbytniego zamieszania. Nie ma sprawy, Ray.

Przez stalowe drzwi dostał się do pomieszczenia z pasem transportowym, gdzie znalazł tę samą ekipę rozładującą wózki, tylko Corey'a Dillarda nie było pośród nich. Musiał odczekać, aż dwa wózki wyjadą z hali. Wywoływany przez nie hałas uniemożliwiał rozmowę. Podszedł do potężnie zbudowanego, ciemnoskórego mężczyzny, którego Dillard poprzedniego dnia nazwał szefem Hisleyem.

Jestem David Stafford z Agencji Logistycznej Departamentu Obrony - przedstawił się. - Pan Hisley?

- To ja - odparł zagadnięty. Dwaj pozostali pracownicy oddalili się w stronę stolika, na którym stał dzbanek z kawą.

Mogę w czymś pomóc? Inspektor musiał unieść głowę, by móc spojrzeć Hisleyowi w oczy.

- Tak. Od pana Carsona dowiedziałem się, że facet o nazwiska Lambry zwolnił się ostatnio z pracy. Mogę dowiedzieć się o tym więcej od pana?

- Pan Carson mówi, że on się zwolnił?
- Tak.

Szef zespołu zastanawiał się przez chwilę.

- Pan Carson mówi, że on się zwolnił, więc tak zapewne jest.

- A pan nic nie wie na ten temat?

Zapytany pokręcił głową.

- U mnie na pewno się nie zwalniał.
- Wie pan, że dom Lambry'ego eksplodował tej nocy?
- Tak, widziałem to.

56

Stafford nie był w stanie wyczytać absolutnie nic z beznamiętnej twarzy Hisleya.

- Czy gdyby Lambry'emu coś się stało, pan Carson wiedziałby o tym? - zapytał go.

Oczy czarnoskórego na ułamek sekundy zabłyśły dziwnym światłem.

- Jeśli dzieje się tu coś złego, Carson o tym wie. Miło się rozmawiało.  
Chciał zapytać jeszcze, czy rozmówca nie wie, gdzie teraz można znaleźć

Lambry'ego, ale wiedział, iż jeśli będzie drażył sprawę wybuchu, spali się do-  
szcześnie jako audytor z DLA. A przecież wciąż nie było wiadomo, czy Lambry  
znajdował się w domu w czasie eksplozji. Podziękował Hisleyowi i  
odszedł, za-  
stanawiając się jednocześnie nad dość niejasną uwagą na temat  
Carsona.

Sparks zatelefonował ponownie po pół godzinę z nazwiskiem  
i numerem do  
wydziału dochodzeniowego, który badał sprawę wybuchu. Doniósł  
też, że w po-  
licyjnej bazie danych nie znaleziono nic o Lambrym. Stafford  
niezwłocznie skon-  
taktował się z szefową wydziału - Mary Haller, a ta zgodziła się z  
nim porozma-  
wiać.

- Moje pierwsze pytanie, to czy mieliśmy do czynienia z  
podpaleniem?

- Zbyt wcześnie o tym mówić - odpowiedziała. - Bez  
wątpienia doszło do  
wybuchu propanu i zdarzyło się to, co zazwyczaj w takiej sytuacji -  
dom przestał  
istnieć.

- Nieszczelność? Płomyk w podgrzewaczu wody?
- Jak już powiedziałam, panie Stafford, to propan. Ten gaz  
zalega tuż nad  
podłogą, dopóki nie osiągnie w powietrzu stężenia od dziewięciu  
do jedenastu  
procent i nie dojdzie do jego zapłonu. W jego wyniku dochodzi do  
niezwykle  
potężnej eksplozji. Na jej miejscu pozostały tylko szerniałe bloki  
betonu okala-  
jące wielką dziurę i sąsiedztwo zaśmiecone szczątkami domu.  
Wciąż badamy  
możliwe do zidentyfikowania pozostałości.

- Żadnych ludzkich szczątków?
- Raczej nie.
- Ciekawe.
- Tak, to właśnie zazwyczaj mówimy. Ucierpiał staruszek z  
sąsiedztwa. Ściana  
zwała mu się na głowę we śnie. Jest w szpitalu ze wstrząsem  
mózgu. Czekamy,  
aż będzie można go przesłuchać, ale jak dotąd nie odzyskał  
przytomności.

Inspektor zastanowił się, jaki wiek jego rozmówczyni uznaje  
za starość. Po  
głosie wyglądała na osobę przed trzydziestką.

- A teraz ja mam pytanie do pana. Czy to, nad czym pan  
pracuje, może sta-  
nowić powód celowego spowodowania tej eksplozji?

- Nie, a przynajmniej na razie nie. Muszę szczerze przyznać,  
że właściwie nie  
ma żadnej konkretnej sprawy. Rozmawiałem z jednym  
pracownikiem z DRMO na  
temat osoby, do której należał ten dom. Facet miał problemy z  
wysłowieniem się  
i właściwie nie mam pojęcia, o co mu chodziło. Podszrywam się tu  
pod audytora

z DLA. W każdym razie wspomniał nazwisko Lambry'ego i poradził, żebym go znalazł. Mam tylko tyle, czyli właściwie nic. Jeżeli istnieje jakiegokolwiek powiązanie między moją sprawą, a tym co się zdarzyło, to na razie tego nie widać.

57

- No cóż, jeśli znajdzie je pan, będę wdzięczna za poinformowanie nas o tym. I tak będziemy musieli wybrać się do Fort Gillem, żeby przeprowadzić stosowne rozmowy ze znającymi go ludźmi.

- W porządku. Przygotuję wam notatki. Tylko nie zapominajcie, że jestem audytorem z Agencji Logistycznej, a nie inspektorem DCIS. Tylko tutejszy szef-Carson - wie dla kogo tak naprawdę pracuję.

- Nie ma sprawy. Będziemy się z panem kontaktować, kiedy tylko coś ustalimy, panie Stafford.

Podziękował rozmówczyni i rozłączyli się. Zastanowił się, co powinien teraz zrobić. Powiedział prawdę: nie miał nic namacalnego, na czym mógłby się oprzeć. Istniała tylko tajemnica tego, co Dillard tak naprawdę chciał mu powiedzieć i związek jego słów z tym, co zdarzyło się z domem Lambry'ego. Nie mógł sobie jednak pozwolić na robienie szumu w tej sprawie. Wszyscy, łącznie z Carsonem, nabraliby bowiem poważnych podejrzeń. Ten ostatni stawał się coraz ciekawszą personą.

### **Środa, Pentagon, Waszyngton, 10.30**

Generał brygady Lee Carrothers ostrożnie odłożył słuchawkę telefonu, jakby obawiał się, że może wybuchnąć w jego rękach. Właśnie rozmawiał z pułkownikiem Fullerem z Fort Dietrick i ból głowy powrócił ze zdwojoną siłą. Co dziwne, Fuller nie miał zbyt wiele do powiedzenia o substancji stanowiącej zaginioną broń. Wypowiedział się jasno co do jednego: „Jeżeli zgubiliście pojemnik z Okiem Szatana, powinno się do końca życia zaniknąć wszystkich, maczających w tym palce, w sowieckim obozie, generale. Proszę powtórzyć moje słowa Myerowi Waddellowi.

- To bardzo odważna opinia, pułkowniku. Proszę pamiętać, że generał chciał tylko, aby się pan nad tym zastanowił.

- Proszę mi zaufać, generale Carrothers, nie będę mógł myśleć o niczym innym. Proszę nie zapomnieć poinformować mnie, że to tylko ćwiczenia. I oby doszło do tego jak najszybciej.

Carrothers przetarł powieki i poprosił o kolejną kawę.

Pułkownicy zazwyczaj nie zwracali się w ten sposób do generałów, ale tym razem

miął do czynienia ze szczywanym wygą. Poza tym Fuller był zapewne z generałem Waddellem po imieniu. Carrothers zadzwonił już do swojego przełożonego w Niemczech i teraz czekał na jego odpowiedź. W tym czasie skontaktował się też z dowódcą magazynu w Tooele, w stanie Utah, by sprawdzić jak postępują prace przy wizualnej inwentaryzacji. Uzyskał tylko informację, iż trwa sprawdzanie bieżącego stanu z raportem audytowym.

Generał eksplodował niczym bomba. Przecież zrobiono to już w Anniston.

Teraz niezbędne było przeprowadzenie inwentaryzacji wizualnej, a nie dalsze grzebanie w papierach.

- Wiemy, że liczby się nie zgadzają. Chcemy dowiedzieć się, co rzeczywiście otrzymaliście w tym transporcie. W Anniston nie mają już tego główna, więc

58

powinno być u was. Do jasnej cholery, bierzcie się natychmiast do sprawdzenia tego. I nie obchodzi mnie, czy to trudne zadanie. Do roboty, i to natychmiast!

Dowódca nieco zmienionym głosem oświadczył, że niezwłocznie zostaną podjęte odpowiednie działania. Carrothers bezceremonialnie rzucił słuchawkę na widełki. Chwilę później jego adiutant doniósł, że generał Waddell czeka już na kodowanej linii. Ten dzień z każdą chwilą staje się coraz ciekawszy, przebiegło mu przez głowę, kiedy ponownie sięgał po telefon.

### **Środa, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 8.15**

Carson obserwował przez żaluzje wózki widłowe, które przewoziły rzeczy przeznaczone na sprzedaż do magazynu. Wrócił do domu przed czwartą nad ranem. Jego żona, śpiąca jak zwykle z twarzą okrytą maseczką z kremu nawilżającego, nawet się nie obudziła. Krótki sen był ciężki i niespokojny. Pewnie znowu męczył go ten sam koszmar. Na myśl o tym dostał dreszczy.

V

Był zdziwiony, że nie odczuwa absolutnie niczego w związku z tym, CO zrobił w nocy. Żadnego poczucia winy, troski o tego staruszka z sąsiedztwa, strachu przed złapaniem, zupełnie nic. Jakby wraz z chwilą pożarcia Lambry'ego przez Monstrum coś w nim pękło i przekroczył jakąś psychiczną barierę. Strach z lotniska oraz emocje związane z warunkami sprzedaży i płatnością także go opuściły, już chyba na stałe. Może nie czuł się panem sytuacji, bo ten cholerny sen wciąż

napawał go obawą, ale wydawał się silniejszy niż ubiegłego wieczora. Załatwienie domu Lambry 'ego było sprytnym posunięciem, bo wraz z wybuchem, po podwładnym pozostały już tylko jego akta personalne. Zobaczył swoje odbicie w szybie. Wendell Carson - perfekcyjny przestępca. Nocóż, jeśli tego wymaga zdobycie miliona dolarów, to trudno.

Stafford wciąż mógł stanowić problem, ale teraz, kiedy Lambry definitywnie zniknął, inspektor nie zdoła ustalić żadnych faktów. Wendell Carson musiał tylko dopełnić wszystkich formalności związanych z odejściem Buda z pracy: ostatnia wypłata, zamknięcie akt personalnych i zmiana rozkładu zajęć pozostałych pracowników. Bez wątplenia będą tu węszyć lokalni gliniarze, ale co dziwne, szef DRMO, nie martwił się tym faktem. Powinien skupić się na wymianie cylindra fcez ryzyka zostania oszukany, albo, co gorsza, utraty życia.

Jego myśli powędrowały do pojemnika, wciąż znajdującego się w tym pomieszczeniu. Może lepiej byłoby znaleźć dla niego lepsze miejsce. Mieszkał w południowo-zachodniej części Atlanty, na pięcioakrowej działce w podmiejskiej dzielnicy. Przenieść go tam? Jeżeli ktoś skieruje na niego podejrzenia i zacznie - szukać zdobyczy, bez względu czy będzie to wojsko, czy też Tangent, w pierwszej kolejności przeszukajego biuro i dom. Cylinder musiał więc być lepiej ukryty, najbezpieczniej gdzieś na terenie placówki, którą kierował. Żałował, iż nie dysponuje jednym z tych pojemników zabezpieczających... Jak nazywali je potocznie wojskowi? Chyba trumny. Niestety, wszystkie poszły do przerobu i zostały zniszczone.

59

Sprawdził czy drzwi są zamknięte, rozsunął skoroszyty i upewnił się czy pojemnik jest na swoim miejscu. Teraz, bez plastikowej osłony wyglądał groźniej; niż poprzednio. Usiadł za biurkiem i rozmyślał gdzie może go ukryć. Jak brzmiała stara zasada? Kiedy chcesz coś schować naprawdę skutecznie, najlepsze miejsce znajduje się w widocznym miejscu. Trzeba znaleźć coś, w jednym z magazynów. W zamyśleniu kreślił linie na kartce notatnika. Spostrzegł na niej zapisaną nazwę - Graniteville. Czyżby jeszcze jeden ślad do zatarcia? Mimo, iż był coraz bardziej pewny siebie, wspomnienie incydentu na lotnisku wywołało bezwiedne zaciśnięcie szczęki. Dlaczego ta dziewczyna patrzyła na niego w ten sposób? I dlaczego, do diabła, stracił przytomność?

Popatrzył na zegarek. Odpowiednia pora na dokonanie obchodu magazynów i rozejrzenie się za właściwym schowkiem. Odetchnął głęboko. Czuł się bardziej

bezpieczny, niż dwadzieścia cztery godziny temu. To, co stało się Lambry'emu, było wypadkiem. Przecież robił wszystko, aby tylko zatrzymać ten pas. Trzeba po prostu przyjąć do wiadomości to, co się zdarzyło.

Milion dolarów. Koniec z tą okropną robotą i z użeraniem się z pracownika-  
mi. Koniec z kombinowaniem jak tu zarobić parę dodatkowych dolarów na aukcjach. Koniec z wracaniem do domu, do żony, której nocne maseczki odstraszyłyby nawet spragnionego krwi wampira.

Nowe życie. Już wkrótce. Z takimi pieniędzmi łatwo będzie zacząć. Wendell Carson będzie mógł jechać dokąd tylko zachce i robić wszystko, na co będzie miał ochotę. Po tym co się zdarzyło, nie miał już wyjścia: musiał dokończyć transakcję.

Stafford miał już wyjść na lunch, gdy ponownie zadzwonił do niego Ray Sparks.

- Dostałem wiadomość z Waszyngtonu - doniósł. - Jakaś kobieta z Georgii zatelefonowała tam pod twój numer. Powiedziała, że musi z tobą rozmawiać. Masz coś do pisania?

Inspektor zapisał zostawioną mu wiadomość i rozłączył się. Jeszcze raz przeczytał zanotowane słowa: „Gwinette Warren. Dzwonię z Graniteville, w stanie Georgia. Chciałabym mówić z panem Staffordem. Proszę do mnie zadzwonić pod podany numer”.

Graniteville. Dopiero w tej chwili sobie przypomniał. Kobieta z lotniska.

Carson i ta nastolatka. Sięgnął po słuchawkę, lecz zawahał się. Wreszcie uznał, że lepiej wykonać ten telefon poza DRMO. Nie podejrzewał, że może być podsłuchiwany, ale przecież sprawa miała jakiś związek z Wendellem Carsonem. Lepiej skontaktuje się z nią z hotelu.

### **Środa, hotel Peachtree Center, Atlanta, 13.05**

Stafford znalazł się w swoim pokoju hotelowym pięć po pierwszej. Zamierzał odezwać się do tej kobiety, przekonać się czego chce, a później udać się na

60

spotkanie z Rayem Sparksem i zespołem DCIS w Smyrna. Wybrał numer do mieszkanicy Graniteville, ale nie zastał jej. Zostawił wiadomość, że będzie pod numerem telefonu w hotelu. Oddzwoniła do niego po kwadransie.

• Mówi Gwen Warren - przedstawiła się. - Dziękuję, że odpowiedział pan na mój telefon.

• Nie ma sprawy, panno Warren. Cieszę się, że zachowała pani moją wizytówkę. Czy chodzi o ten incydent na lotnisku? Mogę przyjąć tę rozmowę na mój koszt, jeśli pani sobie życzy.

Wahała się przez chwilę.

• Czy to możliwe, żeby przyjechał pan i porozmawiał ze mną osobiście, panie Stafford? Tutaj, do Graniteville? Chodzi o sprawę, o której wołałabym nie rozmawiać przez telefon.

• Wydaje mi się, że to możliwe. Ale liczę na coś, co zachęci Binie do podjęcia decyzji.

Znów niepewność.

• Chodzi o dziewczynę, która mi towarzyszyła. Mówił pan, że jest agentem federalnym...

• Zgadza się. Pracuję w Dochodzeniowych Służbach Kryminalnych Departamentu Obrony.

• Czym dokładnie się zajmujecie?

• To agencja Departamentu Obrony Chodzi o Pentagon. Prowadzimy dochodzenia w sprawach dotyczących potencjalnych defraudacji na szkodę państwa.

• A co sprowadziło pana do Atlanty?

Hej, chwileczkę, przebiegło mu przez głowę. To wyłącznie moja sprawa.

• Panno Warren, może i ma pani rację. Chyba przyjadę do Graniteville, jak to pani sugeruje. Może jutro? Ile czasu zajmie mi dojazd z Atlanty?

• Dwie i pół, może trzy godziny, w zależności od szybkości jazdy i warunków na drogach w górach.

• W porządku. Wyruszę pewnie po porannych godzinach szczytu. Co pani powie na okolice południa? Czy w miasteczku jest motel? :

• Tak, mamy jeden. Nazywa się Mountain View. Zrobią panu rezerwację. Tam skierują pana do Willow Grove Home. A więc czekam na pana około południa.

• Tak jest. Będę na pewno - rzekł i zapisał otrzymane informacje. - Panno Warren, wygląda pani na poważnie zaniepokojoną. Proszę się uspokoić. Jeżeli w sprawę jest zamieszana nieletnia, zapewnię panią, że potrafimy działać dyskretnie i ostrożnie.

. - Miło to słyszeć, panie Stafford. Liczę na to. A więc do jutra. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i usiadł w fotelu. Dave Stafford - mistrz dyskrecji i ostrożności. Niezły żart. Tyle tylko, że sprawa wyglądała całkiem poważnie. Myślami wrócił do tego, co zdarzyło się na lotnisku. Wydawało mu się, że coś łączyło tę dziewczynę z Carsonem, a teraz towarzysząca jej kobieta - Gwen Warren - potwierdziła jego podejrzenia. Ale o co mogło chodzić? Najwidoczniej o nic zwią-

zanego z DRMO. Czyżby sprawy męsko-damskie łączące Carsona z Warren?

61

Patrząc na nich nie odniósł takiego wrażenia. Miał do czynienia z kobietą zdecydowanie poza zasięgiem kogoś takiego jak Wendell Carson, a zapewne i jego także. Pokręcił głową i zerknął na zegarek. Już czas zmierzyć się z tutejszym metrem i udać do przepięknego Smyrna.

### **Środa, Pentagon, Waszyngton, 15.30**

Carrothers wrócił z oficerskiej siłowni w nieco lepszym nastroju. Po godzinnym treningu miał wyraźnie zaróżowione policzki. Nie ma to jak mała wojna z wagą, żeby pozbyć się stresu - pomyślał. A było czego się pozbyć. Lee Carrothers miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i nienaganną sylwetkę. Sumiennie odbywał regularne treningi, które umożliwiały mu utrzymanie wymaganej w wojsku sprawności i prezencji. Absolwent West Point, który w ciągu dwudziestu czterech lat z porucznika drugiego stopnia stał się generałem brygady. Miał pociągłą twarz, krótko przycięte koloru jasnego włosy, rumianą cerę, arystokratyczny nos i lśniące, błękitne oczy pod niemal białymi brwiami. Dopisało mu szczęście. Ożenił się z córką generała i dzięki temu pracował kolejno jako specjalista od broni chemicznej, adiutant i wreszcie wyższy oficer operacyjny. Współpracownicy zazdroszczący mu szybkich awansów plotkowali, iż udaje mu się to dzięki nienagannej prezencji i powiązaniom ze strony żony. Większość jednak przekonała się, że są w błędzie. Ku swemu niezadowoleniu stwierdzali, że Lee Carrothers jest osobą niezwykle inteligentną i swą bystrością znacznie przewyższa przeciętnego oficera. Dementował w ten sposób złe wyobrażenie o nim, jako o przeciętnej maszynie. Coraz powszechniej mówiło się, iż to on będzie kolejnym dowódcą wojsk chemicznych.

Pracownik sekretariatu przekazał mu wiadomość. Generał Waddell wraca wcześniej z Europy. Przyleci do bazy Andrews dzisiaj o 23.00.

Nadchodzi, przebiegło mu przez głowę, gdy wchodził do swojego gabinetu. Dowódca sił chemicznych armii Stanów Zjednoczonych wpadł zapewne we wściekłość, kiedy dowiedział się, iż zostały zmarnowane cenne godziny w Utah na ponownym sprawdzaniu danych z raportu. „Czy ci idioci nie rozumieją, co znaczy wizualna identyfikacja?“, ryknął przez łącze satelitarne. Zapytał go

o reakcję z Fort Dietrick, ale Carrothers, nie mając pewności czy słucha ich operator, nie odpowiedział zgodnie z prawdą. Powiedział tylko: „Myśli o tym, generale, jak pan sobie życzył”. Przekaza słowa pułkownika, kiedy szef będzie w lepszym nastroju. Ale nie wiadomo czy można na to liczyć o 23.00, po dziewięciogodzinnym locie z Niemiec. Cholera.

Zadzwoił do Tooele, żeby sprawdzić jak postępuje inwentaryzacja. Została przeprowadzona w dwudziestu pięciu procentach. Przewidywany czas jej trwania - dwadzieścia cztery godziny. Miał świadomość, że wszystkie materiały nie są przechowywane w jednym miejscu. Trzeba było otworzyć kilkanaście bunkrów i zachowując wszelkie zasady bezpieczeństwa sprawdzić ich zawartość. Skoro cylindry nie znajdowały się już w trumnach, każdemu trzeba było uważnie

62

przyjrzeć się, odczytać umieszczony na nim numer identyfikacyjny, porównać go z wykazem, a jeszcze przy okazji sprawdzić szczelność każdego z pojemników.

Oświadczył swemu rozmówcy, że rozumie trudności i ma nadzieję, iż wszystkim tam zależy na utrzymaniu obecnych stopni wojskowych i związanych z nimi przywilejów.

Jeszcze raz skontaktował się z dowódcą magazynu w Anniston.

- Czy wszystkie osoby zamieszane w sprawę zostały odseparowane? - zapytał.

- Podobno tak, aż do pracowników cywilnych najniższego stopnia. - Rozeszły się już jakieś plotki na ten temat?

- Jeszcze nie.
- Dopilnujcie, żeby utrzymać to w tajemnicy. I jeszcze raz zweryfikujcie ten audyt.

- Już się tym zajmujemy.

Anniston również przeprowadzało inwentaryzację, sprawdzając, czy gdzieś nie zawieruszyła się jakaś pełna trumna.

- Dobre posunięcie - pochwalił.

Rozłączył się, po czym zastanowił nad różnicą w postawie obu dowódców.

Pułkownik Franklin z Anniston starał się uprzedzić mogące pojawić się problemy, natomiast ten z Tooele był w tyle i wymagał prowadzenia go za rączkę. Przetarł powieki pełnym zmęczenia gestem. A co ja powinienem zrobić oprócz oczekiwania na jakieś wieści? - zastanowił się. Powinienem przewidzieć ewentualne pytania Waddella. Generał będzie siedział na pokładzie samolotu i wymyślał set-

ki pytań, którymi zasypie go zaraz po przyjeździe. Carrothers zadzwonił do swojego sekretarza i polecił mu przygotować archiwalne mikrofilmy dotyczące Oka Szatana. Ale nie tym chciał się teraz zająć. Najchętniej pojechałby prosto do Tooele i skopał kilka tyłków, żeby przyspieszyć bieg spraw. Z doświadczenia wiedział jednak, że bezpośrednia interwencja może tylko pogorszyć sytuację. Jediną pozytywną wiadomością było - przynajmniej na razie - utrzymanie sprawy w tajemnicy. Miejmy nadzieję, że do czasu, aż uda się ją wyjaśnić. Oko Szatana. Znów ten cholerny ból głowy.

### **Środa, DRMO w Fort Gillem, 15.45**

Carson wrócił do biura i opadł na fotel. W hali mieszczącej linię przerobową znalazł niemal idealną kryjówkę na cylinder. Wałęsał się po całym terenie, świadom, że jak zawsze pracownicy będą ostrzegać się, że do nich idzie. Wiedział, że w rozmowach między sobą nazywali go „Gwendell”. Nie przeszkadzało mu to zbyt. Efekty jego przechadzek przypominały te, jakie przynosiło zaparkowanie policyjnego wozu za znakiem oznaczającym wjazd na autostradę. Cieszyła go świadomość, iż to on zatwierdzał harmonogramy zajęć. To od niego zależało, czy podwładni otrzymają czeki z wypłatą. Miał władzę, przy której to niewinne przewinienie nic nie znaczyło.

63

Szukał skrytki, która przede wszystkim była bezpieczna. Nie mógł umieścić pojemnika w żadnym z urządzeń przeznaczonych do aukcji, bo prawo Murphy'ego gwarantowało, że właśnie ta rzecz zostanie sprzedana. A kiedy nieświadomy nabywca znajdzie cylinder i otworzy, cała ludność Atlanty może być zagrożona. Nie mógł też ukryć zdobyczy w zakamarkach magazynów, bo właśnie tam profesjonalna ekipa będzie go poszukiwać. Jeżeli wojsko rozpocznie rozglądanie się za zgubą, DRMO będzie jednym z pierwszych sprawdzanych miejsc, bo właśnie tu trafiły puste trumny. Wszystkie zostały już poddane przerobowi. Czy mógł tego dowiedzieć? Chyba tak, w oparciu o posiadane akta. Tysiąc pojemników otrzymanych z magazynu broni w Anniston. Tam zaś trafiły z placówki zajmującej się niszczeniem broni chemicznej w Tooele, w stanie Utah. Wszystkie cylindry zabezpieczające przeznaczono do zniszczenia w paszczy Monstrum.

Wojsko będzie zadowolone na wieść, że nie pozostał żaden ślad po trumnach. Mogli bowiem założyć, iż nawet jeśli jeden z pojemników nie był pusty, to jego zawartość również uległa zniszczeniu. Cokolwiek to było, przepadło we wnętrzu Monstrum, chyba że chodziło o jakiś wybuchowy gaz. Wtedy kto wie, co mogło się stać? W pewnym sensie znalezienie pojemnika przez Lambry'ego mogło uchronić Atlantę przed poważną tragedią.

Jeżeli odkryją, że zgubili pojemnik, na pewno zaczną go szukać, a skoro chodzi o coś naprawdę wartościowego, zjawią się tu ze specjalistycznym sprzętem. Należało założyć, że cylinder był szczelny, bo w przeciwnym razie zauważyłby jakieś oznaki. Niewykluczone jednak, że zawiera on elektroniczną pluskwę, która umożliwiła jego wyśledzenie.

Do hali z linią przerobową przyciągnęła go raczej chęć ponownego odwiedzenia miejsca śmierci Lambry'ego, niż znalezienie odpowiedniej skrytki. Wciąż był zafascynowany swoją stoicką postawą i pewnością siebie. Widocznie obawiał się Buda bardziej, niż był w stanie się do tego przyznać. Znalazłszy się w ogromnym pomieszczeniu, przez kilka długich minut patrzył na maszynę. Akurat nie pracowała, bo w sąsiedniej hali ładowano pas transportowy. Czy istniał sposób na ukrycie pojemnika w środku Monstrum? Pewnie nie. Za ostrzami rozdrabniającymi znajdowały się przedziały mieszczące ruchome części, gdzie odbywały się kolejne fazy przerobu. Dalej następowała przeróbka chemiczna, więc i tam nie było dobrego miejsca. Nagle jego wzrok spoczął na metalowych rolkach napędowych pasa transportowego. Stalowe cylindry miały około dziesięciu centymetrów średnicy. Rozmieszczono je w odległości metra, jeden od drugiego. Częściowo dery wał je gumowy pas oraz ekrany zabezpieczające wlot do maszyny.

« Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje przez okienko w drzwiach między halą, a sąsiednim pomieszczeniem, podszedł do podajnika i pochylił się, by przyrzeć się uważnie rolkom. Akurat gdy to zrobił, pas ruszył. Aż podskoczył. Zupełnie zapomniał, że obok właśnie go ładowano. Znów się schylił i stwierdził, że pod osłonami, w miejscu, gdzie pas się zawijał, rolki były umieszczone znacznie gęściej, co jakieś dwadzieścia centymetrów. Długo zastanawiał się, czy warto dokładniej zainteresować się tym miejscem. Wreszcie uznał, że gra jest warta świeczki, ale konieczne było zdjęcie zatyczki z którejś z rolek. Dziś wieczorem, kiedy

nikogo nie będzie już w pobliżu, wróci tu raz jeszcze. Podświadomie czuł, że trafił na coś naprawdę interesującego.

Kolejnym problemem będzie faktyczne przekazanie cylindra. Tangent nie odpowiedział mu jeszcze, ale miał świadomość, że ta transakcja będzie się zupełnie różnić od wszystkich dotychczasowych. Wcześniej „zwycięzca” przetargu zjawiał się w DRMO i odbierał przedmioty, które nabył. To była jedna z korzyści tego proceduru: on nigdy nawet nie tknął niczego, co nielegalnie sprzedał klientowi.

Ale tym razem mogło być inaczej. Wyobrażał już sobie scenę jak podczas transakcji narkotykowych. Ciemny parking, gdzie wszyscy trzymają jedną dłoń na broni, a drugą na pieniądzach, bądź towarze. Tyle tylko, że jemu nie będą towarzyszyli rośli goryle z kucykami i w ciemnych okularach. Tangent zapewne nie będzie sam. Musiał więc wymyślić coś sprytnego, co mu da przewagę. Może dokonanie transakcji na terenie DRMO, gdzie był na swoim terenie.

### **Środa, DRMO w Fotr Gillem, Atlanta, 23.15**

Carson ukląkł obok osłon ochronnych przy pasie transportowym i odkręcił wszystkie mocujące jedną z nich śruby. Zdjął ją, odstawił i przysiadł na piętach. Wieczorna zmiana skończyła pracę o dwudziestej trzydziści, ale czekał prawie trzy godziny, nim zdecydował się działać. Pierwszym etapem było zabranie skrzynki narzędziowej do hali, zdjęcie ekranu i sprawdzenie, czy uda się zdjąć którąś z zatyczek rolki.

Przez niemal dwadzieścia minut sapał i pocił się, zanim wreszcie ściągnął dekiel z trzeciej rolki od strony wlotu do Monstrum. Przyjrzał się uważnie jej wnętrzu. Miało niemal dziesięć centymetrów średnicy. Cylinder, miał średnicę około ośmiu centymetrów i odpowiadał także długością. Co ciekawe, gdy go dotykał, wydał mu się dziwnie ciepły.

Miejsce wyglądało obiecująco. Zostawił rozmontowany taśmociąg i wrócił do swojego gabinetu. Nie obawiał się kamer przemysłowych, bo wszystkie z wyjątkiem dwóch zamontowano wewnątrz magazynów. Dostał się jednak do pokoju kontrolnego i wyłączył kamery rejestrujące to, co działo się na zewnątrz. Nie przechowywano tam nic wartościowego, tylko przedmioty o większych gabarytach,

które nie mieściły się na magazynowych półkach. Zależało mu, by nikt nie dowiedział się, że o tej porze odwiedził halę przerobową. Teraz musiał już tylko uważać na wóz żandarmerii, kręcący się po terenie Fort Gillem. W hangarze nie było żadnych okien, więc z zewnątrz nie będzie wiadomo, że tam jest.

O północy umieścił cylinder w rolce, zatkał ją ponownie i zataił wszelkie ślady swej bytności. Wstał i rozejrzał się zadowolony z siebie. Teraz pojemnik można będzie znaleźć tylko wtedy, gdyby dekiel został ponownie zdjęty, a prawdopodobieństwo tego było naprawdę małe. Czas wracać do domu. Następny ruch należał do Tangenta. Popatrzył na cichą paszczę Monstrum, upewniając się czy nie zostały tam jakiegokolwiek ślady po Lambrym. Ostrza jednak lśniły jak zawsze.

65

Po wyjściu z pomieszczenia przypomniał sobie, że musi ponownie uruchomić kamery. Tylko przez chwilę pomyślał, czy uległ złudzeniu, czy też rzeczywiście cylinder był cieplejszy niż zwykle.

Środa, Baza Sił Lotniczych Andrews, Waszyngton, 23.45

Dowódca wojsk chemicznych armii Stanów Zjednoczonych opadł na tylne siedzenie limuzyny i głośno wypuścił z siebie powietrze. Swoją sylwetką zdecydowanie nie spełniał wymagań stawianych oficerom nowoczesnej armii, a tydzień spędzony w Niemczech jeszcze pogłębił jego problemy z wagą. Carrothers zajął miejsce po jego lewej stronie i samochód ruszył z pasa startowego w stronę głównej bramy lotniska.

- Jezu, te wozy są coraz niniejsze -poskarżył się Waddell. - Dobra, Lee, jak wygląda, hm, sytuacja w Anniston?

Carrothers pobieżnie zdał relację, niespokojnie spoglądając na cywilnego kierowcę.

- Odpowiedni zespół przeprowadza inwentaryzację wzrokową. Powinni skończyć jutro po południu, ale niewykluczone, że potrwa to do pojutrze. Jednocześnie zajęli się papierami i sprawdzeniem pustych magazynów, ale jak dotąd nic nie znaleźli.

- Czy dobrze rozumiem: dane z raportu przygotowanego przez placówkę wysyłającą transport nie zgadzają się z tymi, które zebrano przy odbiorze?

Było późno i Carrothers musiał skupić uwagę na słowach przełożonego.

- Tak jest. To właśnie w ten sposób dokonywane jest sprawdzenie zgodności.

- A sama inwentaryzacja służy fizycznemu ustaleniu co zostało przesłane.

- Tak jest. I jeśli tu występuje niezgodność, wtedy naprawdę mamy kłopoty.

- Świetnie - mruknął Waddell. Milczał przez kilka minut jazdy do Alexandrit, w stanie Virginia, gdzie mieszkał generał. - Wszyscy zamieszani zostali już, hm...

- Tak jest. Wszyscy.

- To dobrze. Trzeba zadbać, żeby nic nie wydostało się na zewnątrz. Jeżeli któryś z dowódców zamieszanych placówek uzna za konieczne obostrzenie środków prewencyjnych, ma na to moje pozwolenie. Cokolwiek by to było.

- Tak jest.

- A jutro z samego rana chcę się widzieć z Ambrosem Fullerem. Co słyhać w sektorze E Pentagonu?

- Generał Roman przedstawił sytuację szefowi sztabu.

- Mam nadzieję, że nie poinformowali o sprawie żadnych cywilów.

Generał milczał przez resztę podróży. Carrothers wysiadł i odprowadził szefa do drzwi wejściowych jego domu. Tam powtórzył słowa pułkownika Fullera.

Waddell natychmiast sposepniał.

- Wiedziałem. Do cholery! W porządku. Musimy uprzedzić fakty, Lee.

Chcę, żeby ludzie już zaczęli myśleć, gdzie ta zguba może zawędrować. Niech

66

natychmiast zostanie zorganizowana grupa operacyjna, z odpowiednimi fachowcami z wojsk chemicznych, wywiadu, łączności i kim tylko trzeba. Na razie sprawa nie może wyjść poza struktury wojskowe, jasne? Żadnych cholernych cywilów. Niech uczestniczą w tym ludzie, którym można ufać, że będą trzymali buzie na kłódki. Nie mogłem mówić o tym w samochodzie, ale zadzwonił do

mnie szef sztabu.

- Tak?
- Przypomniał mi, że w dzisiejszych czasach lepiej nie dawać powodów do przypomnienia ludziom o istnieniu broni chemicznej. Cały świat chce być od niej wolny. Chodzi o naszą przyszłość. Właściwie jedyną podstawą naszego funkcjonowania jest sfera obrony przed działaniami innych w tym zakresie. Jesteśmy profesjonalistami. Wiemy co robić. Ale jeżeli coś gubimy, to zwykła amatorszczyzna. Stajemy się byle dupkami. Niewiele potrzeba, by wojska chemiczne przeszły do historii.

- Tak jest. Świetnie to rozumiem - rzekł Carrothers. Zawahał się. - Ale co, jeśli rzeczywiście ten cylinder zginął?

Waddell zacisnął usta i rozejrzał się po zastawionej samochodami uliczce, oświetlonej imitacjami gazowych latarni. Wreszcie popatrzył podwładnemu prosto w oczy z siłą znamionującą niezwykle doświadczonego dowódcę.

- Zgubić pojemnik z Okiem Szatana? To po prostu nie może się zdarzyć, generale!

I zniknął za drzwiami.

## 6

### Czwartek, Graniteville, Georgia, 12.10

Jeżeli w Graniteville znajdował się motel, z pewnością będzie z niego wspaniały widok na góry. Całe miasteczko znajdowało się w przepięknie położonej, głębokiej dolinie, okolone trzema zalesionymi, granitowymi szczytami. Było naprawdę niewielkie, a jedyna droga główna, która łączyła się z trasą stanową, dochodziła tylko do centralnego placu z ratuszem. Wszystkie boczne miały zaledwie po kilkaset metrów, bo dalej wznosiły się już strome stoki.

Stafford jechał powoli rządowym samochodem. Wzdłuż głównej ulicy ciągnęły się typowe dla amerykańskich miasteczek sklepy: odzieżowe, przemysłowe, spożywcze i kilka innych. Znak drogowy przed głównym placem nakazywał im okrężyć. Dalej znajdował się nakaz ustąpienia pierwszeństwa nadjeżdżającym z lewej i drogowy do Granite Quarry. Z placu można jechać w trzy strony: na północ, wschód i zachód, w stronę kamieniołomu widocznego stąd na zobacz. Sam ratusz bogato zdobiony w stylu georgiańskim, zbudowany był z czerwonej cegły. Ponad nim wznosiła się biała wieża zegarowa. Z trzech stron okalały go miejsca parkingowe. Na trawniku można było zobaczyć obowiązkowy pomnik

z białego marmuru, przedstawiający bohaterskiego Konfederata, zwróconego plecami w stronę perfidnych Unionistów.

Stafford dwukrotnie objechał plac, wyprzedzając pikapy i wypatrując motelu. Wreszcie zdecydował się zaryzykować i zjechał na drogę w kierunku północnym, która wiła się między dwoma najwyższymi wzniesieniami. Gdy zerknął we wsteczne lustro, zobaczył jadący za nim wóz policyjny. Przejechał obok kościoła Baptistów, zamkniętej akurat restauracji Huddle House, zniszczonego sklepu spożywczego, parkingu i zaniedbanych podwórek. Wreszcie po prawej stronie zobaczył motel. Gliniarz wciąż siedział mu na ogonie.

Inspektor zjechał na parking i zgasił silnik. Przed motelem spostrzegł nie-wielką restauracyjkę - Waffle House otoczoną przez półciężarowe samochody. Sam motel miał szeregową zabudowę, sięgającą samego zbocza. Biuro mieściło się obok restauracji. Zabudowania sprawiały wrażenie wiekowych, ale było wiadać, że o nie dbano. Wszędzie panował ład i porządek. Niewielki, czerwony neon nad wejściem do biura informował, że są wolne pokoje.

Wysiadł z wozu i przeciągnął się. Podróż do Graniteville okazała się nieco dłuższa, niż przypuszczał, lecz warto było wybrać się choćby tylko dla pięknych widoków i ucieczki z gwarne go miasta. Wspaniale było pooddychać żywym, rześkim powietrzem. Jeszcze przed wyjazdem zatelefonował do sekretarki Carsona i poinformował ją, że dzisiaj go nie będzie. Nie wtajemniczył jej jednak w swoje plany. Radiowóz - antyczny już ford fairlane - wyposażony dodatkowo w chromowy szperacz na dachu, zatrzymał się w pobliżu. Na drzwiach znajdował się napis: BIURO SZERYFA OKRĘGU LONGSTREET.

Stafford włożył kurtkę i sięgnął na tylne siedzenie po walizkę i torbę. Postępując się tylko jedną ręką wyjmował je pojedynczo. Kiedy się wyprostował, spostrzegł że zbliża się do niego potężny mężczyzna w mundurze. Na głowie miał szarego stetsona, a krzaczaste, czarne brwi osłaniały równie ciemne oczy. Obrazu dopełniały siwiejące już bokobrody i ciemne, sumiaste wąsy, podobne do tych, jakie nosił Wyatt Earp. Ubrany był w szaro-brązową koszulę i spodnie oraz brązowe, wysokie buty. U pasa wisiał w kaburze chromowany pistolet. Na pierwszy rzut oka sprawiał przyjazne wrażenie.

- Dzień dobry, panie Stafford. Jestem szeryf John Lee Warren. Witam w Graniteville.

Przybysz odpowiedział na powitanie i wyciągnął lewą rękę. Policjant zawa-  
hał się, lecz wreszcie uściśnął ją prawą dłonią.  
Stafforda zaciekawiło skąd rozmówca zna jego nazwisko. Nie musiał się wysilać, bo szeryf sam pospieszył z wyjaśnieniem:  
- Pani Warren powiedziała, że przyjedzie pan dziś do nas. Poprosiła, żebym wskazał panu drogę do Willow Grove.  
- Dziękuję bardzo, szeryfie. Czy najpierw powinienem zatelefonować do pani Warren?  
- Nie, to chyba nie będzie konieczne - odparł gliniarz basowym, tubalnym głosem. - Ale polecam rzucić coś na ząb. Mamy tu niezłą kuchnię. Może zjemy coś wspólnie?

68  
- Z przyjemnością, szeryfie - odparł pracownik DCIS.  
Schował bagaż z powrotem do samochodu, zamknął drzwi i podążył za gospodarzem. Przyzwoitość nakazywała wyjaśnić szeryfowi, co go tu sprowadza. Przecież nie węszył po miasteczku, szczególnie w takim, rzucającym się w oczy samochodzie. Miał jednak świadomość władzy szeryfa okręgowego w Georgii, a tutaj, w górach i w specyficznym środowisku, była ona zapewne jeszcze większa.  
• Co się panu stało w rękę? - zapytał szeryf, kiedy weszli do restauracji.  
• Byłem w niewłaściwym miejscu i o złej porze. Pocisk kaliber dziewięć uszkodził kość ramienną. Właśnie odbywam rehabilitację.  
Waffle House było pełne miejscowych bywalców, ale szeryf pewnym krokiem skierował się do stolika na końcu sali, zapewne o tej porze zarezerwowanego dla niego na lunch. Natychmiast pojawiła się kelnerka. Złożyli zamówienie. Kiedy pracownica odeszła, spojrzął na Stafforda i otwarcie zapytał go, co sprawdza funkcjonariusza agencji rządowej do Graniteville. Miał południowy akcent, choć trzeba się było wsluchać, by go usłyszeć.  
- Sam niejestem tego pewien, szeryfie. Panna Gwen Warren zatelefonowała do mnie z prośbą o rozmowę, więc przyjechałem.  
- A skąd ta dama pana zna?  
Mina policjanta pozostawała przyjazna, ale jego ciemne oczy były pełne rezerwy. Inspektor tymczasem czuł na sobie ciekawe spojrzenia klientów.  
Wyjaśnił pobieżnie zakres działalności Dochodzeniowych Służb Kryminalnych Departamentu Obrony oraz zrelacjonował zajście na lotnisku.  
- Prowadzę właśnie śledztwo w sprawie przypuszczalnych defraudacji w jednej z baz wojskowych w Atlancie. Tego dnia, gdy spotkaliśmy się

na lotnisku,  
dałem pani Warren swoją wizytówkę. Jej telefon zaskoczył mnie,  
ale podobno  
chodzi o coś bardzo ważnego, lepiej więc porozmawiać o tym  
osobiście. A oto  
moje dokumenty.

Szeryf przyjrzał się uważnie identyfikatorowi, nim go zwrócił.

- Dziękuję. Wiem o FBI, CIA, ATF albo DEA. Ale muszę przyznać, że o DCIS słyszę po raz pierwszy. I przepraszam za to wypytywanie, ale czasami pojawiają się tu agenci federalni, żeby...

- Rozumiem. Zasadą mojej agencji jest skrupulatne informowanie władz lokalnych o prowadzonych na ich terenie działaniach. I tak skontaktowałem się z panem. Nie wiem tylko właściwie co mnie tu sprowadza.

W tym momencie kelnerka przyniosła Staffordowi hamburgera. Szeryfowi zaś zaserwowała jajecznicę na bekonie z ciemnym chlebem. Gliniarz bez zbędne-  
go wstępu zabrał się za jedzenie, więc Dave'owi nie pozostało nic innego, jak pójść w jego ślady. W restauracji panował hałas, głównie za sprawą kelnerek, wykrzykujących zamówienia. Potwierdzano je głośno gdzieś z baru. Po skończonym posiłku kelnerka sprzątnęła naczynia i przyniosła im po kubku czarnej kawy.

- Więc, panie Stafford - zagadnął szeryf- uważa pan, że pani Warren zna tego człowieka... Jak on się nazywa, Carson?

69

- Nie wiem. Właściwie kiedy Carson stracił przytomność, wcześniej przyglądał się młodej dziewczynie, która jej towarzyszyła.

Ręka policjanta podnosząca kubek zawisła w powietrzu, a on przyjrzał się badawczo rozmówcy. >

- Czy może pan opisać tę dziewczynę?

Inspektor przedstawił pokrótce jej obraz.

- To musi być Jessamine - uznał szeryf. - Jest jednym z dzieci w Willow Grove.

- Jessamine? A Willow Grove to jakiś sierociniec?

Szeryf ponownie przytaknął.

- Oczywiście nie nazywamy już tych miejsc w ten sposób.

Sierociniec to niewłaściwe określenie. Teraz to domy grupowe, licencjonowane na szczeblu stanowym, poddawane inspekcjom i w pewnym stopniu finansowane. Pani Warren jest jego dyrektorką.

- Jessamine. Ciekawe imię.

- To nazwa apalachijskiego kwiatka - wyjaśnił. -1

rzeczywiście to ciekawe dziecko. Nawet bardzo. Podejrzewam, że o tym właśnie chce z panem mówić pani Warren, ale niech to ona wyjaśni w czym rzecz. Kiedy skończymy kawę,

pokażę panu drogę do Willow Grove.

Zapłacili w kasie, po czym wyszli, opuszczając parking dwoma samochodami. Wrócili do centrum, objechali plac i skręcili w drogę wiodącą na wschód. Przejechali chyba nad tym samym wąwozem, który biegł nieopodal motelu, po czym zaczęli wspinać się wąskim kanionem wrytym za pomocą dynamitu w granitowych skałach. Po kilku minutach z lewej strony ukazał się niewielki płaskowyż. W odległości około osiemdziesięciu metrów od drogi, stał piętrowy dom w stylu wiktoriańskim, z zadaszonymi werandami z każdej strony i dachem pokrytym utlenioną już miedzianą blachą. Podjazd łączył drogę z niewielkim rondem wysypanym kamykami. Z lewej znajdował się sporych rozmiarów staw, okolony gęstymi wierzbami, z prawej zaś orzechowy las. Dalej było widać z jeżącymi się skalnymi występami dość stromy stok. Do stawu, położonego w sąsiedztwie drogi, wpadał płynący rozpadliną wąski strumyk. Płotek z pomalowanych na biało sztachet ciągnął się od skraju zbiornika wodnego, wzdłuż frontowej granicy całej posiadłości. Za domem stały zabudowania wyglądające na stajnie, ale w zasięgu wzroku Stafford nie widział żadnych koni. Po przeciwnej stronie górował nad drogą porośnięty lasem stok. Wzniesienie piętrzące się tuż za domem było jednak jeszcze wyższe i bardziej strome. Resztę, w miarę płaskiego terenu zajmowały łąki, służące zapewne jako pastwisko.

Szeryf skręcił na podjazd i zaparkował. Stafford podążył za nim. Policjant podszedł do frontowej werandy i nacisnął dzwonek. Wspólnie czekali na schodach, aż w drzwiach stanęła pani Warren. Miała na sobie szarą sukienkę i lekki sweter zarzucony na ramiona. Sprawiała wrażenie niezwykle opanowanej, choć było widać, jak silnie ściska brzegi swetra.

- Gwen, to pan Stafford z Waszyngtonu - oznajmił szeryf. - Właśnie zjedliśmy lunch w Waffle House. I nieco pogawędziliśmy. - Urwał na chwilę, jakby

70

nagle zabrakło mu słów. Inspektor zwrócił uwagę, że policjanta wyraźnie opuściła pewność siebie.

- No cóż, chyba zostawię was samych.
- Dziękuję ci, Johnie Lee - powiedziała cicho kobieta, lekko się do niego uśmiechając.

Wykonała zapraszający gest ręką i szerzej otworzyła drzwi. Nie wyciągnęła dłoni na powitanie, oszczędzając Staffordowi zakłopotania wynikającego z ko-

nieczności użycia do tego lewej ręki. Szeryf skinął głową i wycofał się do samochodu. Pani Warren popatrzyła za nim i pomachała na pożegnanie. W tym czasie Stafford dokładnie jej się przyjrzał. Rzeczywiście była wysoka. Niemal dorównywała mu wzrostem. Ale największe wrażenie zrobiła na nim jej twarz. Profil podobny był do rzymskiej kamei: zaczesane do tyłu włosy, wysoko zarysowane kości policzkowe, nad nimi niezwykle, zielone oczy, a poniżej pełne, lekko rozchylone usta. Wyraz jej twarzy był pogodny i miał w sobie coś z królewskiej wyniosłości. Dało się wyczuć, że zdaje sobie sprawę ze swojej urody i atrakcyjnego wyglądu. Miała około czterdziestu lat. Nawet mimo luźnego stroju było widać jej zgrabną sylwetkę. Kiedy uświadomił sobie, że przygląda się jej ciekawie, spojrzął jej w oczy i dostrzegł w nich lekkie rozbawienie. Wbrew sobie lekko się zaczerwienił.

- Może wejdziemy do środka, panie Stafford?

#### **Czwartek, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 12.15**

O ustalonej porze Carson zatelefonował do Tangenta. Tym razem wybrał numer kierunkowy 800.

- Mówi Tagent.
- Carson.
- W porządku. Możemy kontynuować.

Carson zastanawiał się przez chwilę, co właściwie powinien powiedzieć. Rozmowa pod numer 800, połączona z automatu, była bardzo trudna do podsłuchania, ale nie można było wykluczyć takiej ewentualności. Obaj mieli więc zwyczaj rozmawiać dość prostym szyfrem.

• No dobrze, czy proponuje pan jakąś konkretną datę? - zapytał menadżer.

• Tak, proponujemy najbliższą niedzielę. Czas do uzgodnienia.

- Może być. Może tutaj, w DRMO? Powiedzmy o dwudziestej pierwszej?

Tym razem to Tagent się zawahał.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Myśleliśmy o jakimś miejscu, które nie jest własnością federalną.

Cholera - pomyślał Carson.

- Ale tutaj, w Atlancie?

-- Tak. Nasz zespół jest gotów udać się w dowolne miejsce.

Oczywiście w granicach zdrowego rozsądku.

Zespół. Znowu przyszedł mu do głowy obraz pokątnej transakcji na ciemnym parkingu.

71

- Dobrze. Sugeruję DRMO, żeby nie trzeba było bez potrzeby przenosić tej

rzeczy. Chyba nie muszę wyjaśniać powodów.

Znów wahanie.

• Tak - rozumiemy. Muszę to uzgodnić z przełożonymi. W jakiej formie ma nastąpić płatność?

• W gotówce.

• To możliwe. Ale proszę pomyśleć o innych formach. Taka ilość pieniędzy to mnóstwo papieru. Oczywiście jeśli pan sobie życzy, możemy spełnić takie wymaganie. Istnieją jednak inne rozwiązania.

• Na przykład jakie?

• Na przykład brylanty nabyte przez nas u wskazanego przez pana jubilera, który potwierdzi ich wartość i zajmie się przechowaniem.

Dostaniemy przedmiot,

a pan otrzyma akt własności diamentów. To jest tak samo dobre jak gotówka,

a może nawet lepsze. Znacznie łatwiejsze do ukrycia. Mówię o dwudziestu kamieniach najwyższej jakości.

Carson nie wiedział absolutnie nic o brylantach.

• Muszę się nad tym zastanowić. De... denerwuję się tym wszystkim. To przecież duża kwota.

• Doskonale to rozumiem.

• Do tej pory dostawałem pieniądze w kopertach. Co jakiś czas po kilka banknotów w liście. Ale to...

• Rozumiem. Obawia się pan, że za milion moglibyśmy posunąć się do oszustwa. Zawsze może pan ujawnić nasze kontakty w prasie. Pan też będzie miał

z tego powodu kłopoty, ale gdy tylko rozejdzie się wiadomość, że cylinder z taką

substancją jest dostępny na rynku, niemożliwa stanie się jego dalsza sprzedaż.

Będzie tylko niebezpiecznym i bezużytecznym przedmiotem.

Oczywiście zdaje

pan sobie sprawę, że my dostaniemy za niego więcej niż płacimy.

Mówiąc szczerze,

zdradzę, iż pieniądze, które pan otrzyma, są depozytem złożonym przez

docelowego klienta. Nie mamy więc motywu, by podjąć próbę wykiwania pana.

Co więcej, cała sprawa musi pozostać w absolutnej tajemnicy.

Być może wojsko

w ogóle nie odkryje zguby. Nikt nie może też wiedzieć, że taki towar w ogóle

funkcjonuje na rynku broni. To także pewna gwarancja.

• Tak, chyba tak - przyznał Carson, nie wspominając o

oczywistej sprawie:

zabiorą pojemnik, a później go zabiją. Wtedy bez trudu utrzymają sprawę w ta-

jemnicy. Tangent musiał czytać w jego myślach.

• Zawsze może pan też zaaranżować ujawnienie transakcji w wypadku, gdy-

by coś się panu stało. Zakładamy, że tak właśnie pan postąpi.

Robimy już z panem

interesy od dłuższego czasu, panie Carson. Korzystne dla obu stron. I bardzo spryt-

ne. Drobne, zakamuflowane, nie zwracające uwagi audytorów. A teraz w grę wcho-

dzi duża suma. Ale to także ogromna dla nas okazja. Wiemy, że to jednorazowy interes. Do diabła, obaj będziemy mogli spokojnie odejść na emeryturę, prawda? Zależy nam więc, żeby sprawa wypaliła. Dobrze pan wie, że sam nic nie jest w stanie zdziałać. Nie może pan nawet zniszczyć tej rzeczy. Gdzie można pozbyć się czegoś takiego?

72

- To prawda.

Nie do końca - pomyślał jednocześnie. Zawsze pozostaje Monstrum. Tak naprawdę rodzi się tylko pytanie: po co w ogóle miałbym to niszczyć?

- Proszę więc przemyśleć formę płatności i skontaktować się ze mną ponownie, powiedzmy, za dwadzieścia cztery godziny. Wstępnie możemy zgodzić się na DRMO jako miejsce dokonania transakcji. W porządku?

- W porządku.

- Teraz jeszcze jedno... Stafford. Nasze źródła donoszą, że rzeczywiście jest tym za kogo się podaje, ale prawdziwy powód jego przyjazdu ma niewiele wspólnego z oszustwami aukcyjnymi, a nawet z samymi placówkami DRMO.

- To brzmi jak dobra wiadomość.

- Rzeczywiście tak jest. Jest skażony. Wyrzucono go z Waszyngtonu. Jest powszechnie potępionym wichrzycielem. Postawił poważne zarzuty członkowi ścisłego szefostwa swojej organizacji, a później miał także zatargi z FBI. Jest pariasem w Dochodzeniowych Służbach Kryminalnych. Może sugerować, że powierzono mu jakąś poważną sprawę, ale to nieprawda. Oczywiście trzeba na niego uważać, ale wszystko wskazuje na to, że nie jest graczem w naszej grze.

- To zdecydowanie dobra nowina.

- Tak, my też tak myślimy. Temu facetowi świat usuwa się spod nóg. Rzuciła go żona, kiedy tylko zaczął mieć kłopoty. Rozwiodła się z nim i uciekła z pułkownikiem lotnictwa. A jeszcze na dodatek stał się świadkiem strzelaniny na Stacji benzynowej. Jedna z kul trafiła go w ramię.

- Tak, to on. Właściwie posługuje się tylko jedną ręką. Przez cały czas trzyma prawą dłoń w kieszeni.

- Mamy więc dodatkowe potwierdzenie jego tożsamości. Przypuszczalnie

zaczął pić, ale nasze źródła nie donoszą, czy wyciągnął się już z nałogu. W każdym razie proszę być wobec niego uprzejmym, zwodzić obietnicami współpracy,

a jednocześnie robić swoje. Muszę już kończyć. Pomówimy jutro o tej samej porze, dobrze? Proszę jeszcze przemyśleć szczegóły transakcji.

,

- W porządku - powiedział Carson. Czuł się dużo lepiej niż kilka minut temu.

- Oto nowy numer telefonu.

Menadżer zapisał go, rozłączył się i wrócił do samochodu.

Słowa Tangenta

miały sens i potwierdzały tylko jego własną opinię o Staffordzie.

Mógł już nie

zaprzętać sobie nim głowy. Miał ważniejsze zmartwienia na

głowie: Tangent i to

ciągłe królewskie „my”, którym się posługiwał. Uświadomił sobie,

że nic nie wie

o tym człowieku. Znał tylko jego głos i zmieniające się regularnie

numery telefo-

nów. Od wielu lat regularnie dostawał od niego pieniądze.

Ta transakcja dotyczyła miliona dolarów, gra szła więc o

znacznie wyższą

stawkę. Teraz musiał obmyśleć właściwą strategię. Po wyjściu z

budki telefonicz-

nej wróciło rozdrażnienie i zdenerwowanie. Miał przeczucie, że

coś wymyka mu

się z rąk. Kiedy wrócił do biura, jego sekretarka już pracowała.

Zapytał ją o Staf-

forda. Odparła, iż zostawił wiadomość, że dzisiaj się nie pojawi.

Wróci jutro po

południu. Co ten facet kombinuje? zastanowił się. Ale co mnie to

w ogóle ob-

chodzi?

73

### **Czwartek, Pentagon, Waszyngton, 12.10**

Generał Waddell zamknął się w gabinecie z pułkownikiem

Fullerem. Wła-

śnie wrócili z pierwszego posiedzenia tajnej grupy operacyjnej. To

Carrothers

nadał jej taką nazwę, która nie budziła zainteresowania.

Pułkownik Fuller - stary

przyjaciel generała - został mianowany szefem sił operacyjnych.

- Myer, mamy na głowie nie lada kłopoty.

- Powiedz mi to, o czym nie wiem, Ambrose.

Fuller przez moment mierzył przyjaciela wzrokiem.

- Dobrze, zrobię to. Jako, prawdopodobnie jedyny, były specjalista do spraw

biologicznych w czynnej służbie znam tajemnice, o których nikt nie słyszał; ani

ci sprytni, młodzi oficerowie, ani nikt z Fort Dietrick.

Waddell odpowiedział na jego spojrzenie. Raporty z Tooele i Anniston coraz

wyraźniej wskazywały na to, że cylinder zawierający substancję o nazwie Oko

Szatana rzeczywiście zniknął. Żaden z błyskotliwych oficerów uczestniczących

w zgromadzeniu, włącznie z jego zastępcą, nie miał pojęcia co robić dalej.

- Oko Szatana to nie do końca broń chemiczna - wyjaśnił pułkownik. - Wła-

ściwie to swoista hybryda.

Generał pochylił się, wsparł łokcie na blacie biurka, a głowę położył na dło-

niach.

- Wcale nie mam ochoty tego usłyszeć, Ambrose.

- Ktoś musi, Myer. To możesz być ty, zważywszy na to, że

jesteś dumnym wodzem tej zgrai.

- Dobra, słucham.
- Oko Szatana to broń hybrydalna. Jedyna, objęta programem tworzenia broni biologicznej, zanim Nixon doprowadził do jej zawieszenia w 1968 roku. Właściwie to broń chemiczna, ale ma składniki biologiczne - specyficzny patogen zawarty w chemicznej zupie. Działają wspólnie: substancje chemiczne obezwładniają ofiarę, a patogen dokonuje poważnych zniszczeń fizycznych.
- A dokładniej?
- Wyżera oczy. A właściwie zapoczątkowuje łańcuch reakcji bakteryjnych, które doprowadzają do zniszczenia gałek ocznych. Środek chemiczny doprowadza do zmiany struktury oka, co powoduje zaburzenia wzroku. Później patogen dosłownie wyżera tkankę gałki, aż do połączeń nerwowych.
- Jezu Chryste! - szepnął dowódca wojsk chemicznych.
- Tak. Ze strategicznego punktu widzenia to wprost rewelacyjna broń. Za\* miast zabijać - oślepia. Wróg ma do czynienia - nie z trupami, które można po prostu porzucić na placu boju, ale z niewyobrażalną masą rannych, którym nie sposób zapewnić odpowiedniej opieki medycznej. Oczywiście ci ludzie są już na stałe wyeliminowani z gry jako żołnierze.
- Jezu Chryste!-powtórzył Waddell.
- Ale to nie wszystko. Sięgnąłem do archiwów i dowiedziałem się czegoś bardzo ciekawego. To nie my stworzyliśmy tę broń, tylko Rosjanie.
- Po części czuję się nieco lepiej z tego powodu.

74

- Nie spiesz się, generale - odparł Fuller z ironicznym uśmiechem. - Zapewne zdobyła ją CIA, kiedy ktoś przeszedł na naszą stronę. Dostarczył też film ukazujący skutki działania Oka Szatana. Skopiowałem go. Muszę cię ostrzec... to dość nieprzyjemny widok. Rosjanie wykorzystywali do testów ludzi.

- Ludzi?

Pułkownik przytaknął.

- Zapewne zesłańców z gułagów. Film pochodzi z końca lat pięćdziesiątych. Nie uznałem jednak za stosowne, by zobaczyli go ci spryciarze z naszego 2f\* społu.
- W porządku, Ambrose. Chcę to mieć już za sobą.

Fuller wsunął kasetę do magnetowidu i nacisnął przycisk odtwarzania. Rozpoczął się czarno-biały film bez dźwięku. Obraz pokazywał coś, co wyglądało na więzienny dziedziniec, bo w tle było widać wieże strażnicze i wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego, znajdujące się pod napięciem. Dalej nie

było już nic,  
poza gąszczem starych, wysokich drzew. Film był kręcony  
zapewne z jednej z wież,  
ponieważ czasami w ekranie pojawiała się lufa karabinu  
maszynowego. Na środ-  
ku dziedzińca siedziało na ziemi po turecku trzydziestu  
zaniedbanych więźniów.  
Większość z nich beznamytnie patrzyła w dół, a tylko kilku  
ośmieliło się pod-  
nieść wzrok na kamerę. Mieli na sobie obszarpane, brudne stroje,  
zaś ich głowy  
ogolone były na łyso. Znajdowali się w takiej odległości, że nie  
było widać wyra-  
zu ich twarzy.

Początkowo nic się nie działo. Wreszcie, na innej wieży  
zaczął się ruch. Straż-  
nicy wyraźnie się przed czymś cofali, chowając w chatkach. Lufa  
poruszyła się  
kilkakrotnie. Nagle obraz zadrżał i dokonano zbliżenia.  
Więźniowie zaczęli uno-  
sić ręce do twarzy. Jedni się przewracali, inni wstawali. Wszyscy  
zasłaniali twa-  
rze, a właściwie oczy. Znów zrobiono zbliżenie, tym razem na  
poszczególne twa-  
rze. Więźniowie krzyczeli bezgłośnie i tarzali się w błocie. Obraz  
zatrzymał się  
wreszcie na mężczyźnie, który powoli cofał się w stronę  
ogrodzenia. Przyciskał  
dłonie do twarzy, aż wreszcie odsunął je, jakby chciał zobaczyć  
co się na nich  
znajduje.

Waddellowi zabrakło tchu w piersiach, gdy zobaczył ten  
fragment filmu. Czło-  
wiek na ekranie nie miał oczu. W ich miejscu znajdowały się puste  
oczodoły,  
z których po twarzy spływała krwawa maź. Sprawdzając co się  
dzieje z jego wzro-  
kiem, więzień tylko ją rozmasał. Wciąż się cofał, aż dotknął  
ogrodzenia. Siła  
porażenia odrzuciła go do przodu, a powietrze wypełnił biały dym.  
Mężczyzna  
padł twarzą na ziemię i już się nie poruszył.

Ofiary wykonywały zbyt gwałtowne ruchy, aby można było  
dokładniej im się  
przyjrzeć. Wszyscy wyglądali tak samo. Tylko puste oczodoły i  
twarze umazane  
jak u Indian, którzy wstąpili na wojenną ścieżkę. Fuller wyłączył  
nagranie.

- Jest tego więcej - powiedział. - Ale chyba już się  
zorientowałeś w czym  
rzecz.

- Jezu Chryste! - szepnął generał. - Reagan miał rację.  
Związek Radziecki  
rzeczywiście był imperium zła.

- Był? Uważasz, że pozbyli się tej broni?

75

; Waddell ciężko westchnął i przetarł oczy. Zmitygował się  
jednak, wstał i pod-  
szedł do okna.

- Przedstaw to, co widzieliśmy z technicznego punktu  
widzenia, Ambrose.

Jak groźny jest pojedynczy pojemnik Oka Szatana?

Fuller odłożył pilota magnetowidu na stolik.

- Muszę szczerze odpowiedzieć, że nie wiem. Ta substancja nie należy do stabilnych. Jest czuła na temperaturę. Musi być przechowywana w określonych warunkach, w dodatkowych pojemnikach zabezpieczających. Istnieją wskazówki, choć nie jest to potwierdzone, że patogen może mutować w razie niewłaściwego przechowywania. Niestety, są to tylko przewidywania wynikające z rachunku prawdopodobieństwa, a nie fakty oparte na badaniach laboratoryjnych.

- Nie badaliśmy tej substancji?

- Nigdy. Nie po obejrzeniu tego filmu. Właściwie kilka lat po zsyntezowaniu Oka Szatana program został przerwany. Nie mieliśmy pewności, co właściwie powstanie. To jeden z powodów rezygnacji z ewentualnego wykorzystania tej broni.

- Jeden z powodów?

- Innym oczywiście był fakt, iż nie jest to broń bezpieczna binarnie.

- Aha. A więc to demon zamknięty w puszcze. Wydawało mi się jednak, że to biologiczne świństwo zostało zniszczone wraz z zamknięciem programu.

- Uwielbiam sposób, w jaki lekceważycie broń biologiczną - powiedział Fuller uśmiechając się lekko. - Jakby chemiczna była w jakimkolwiek sensie lepszą propozycją.

- Przestań, Ambrose. Mamy tu poważną sprawę - ton Waddella należał raczej do generała, niż przyjaciela.

- Tak jest, to prawda. Przepraszam. Chyba już za długo tkwimy w tej branży.

Odpowiadając na twoje pytanie, niemal cała broń biologiczna została zniszczona.

Pierwotnie placówka zajmująca się jej likwidacją znajdowała się w Pine Bluff,

w stanie Arkansas. Oka Szatana było zaś zgromadzone w Anniston, w Alabamie.

Nic się nie działo przez kilka lat. Wreszcie się okazało, że aby armia mogła za-

brać się za ten arsenał, musi mieć pozwolenie na przemieszczenie broni. Wiesz,

Agencja Ochrony Środowiska, Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom Za-

każnym, Departament Transportu i jeszcze co najmniej kilka innych organizacji,

po zapoznaniu się z czym mają do czynienia, stwierdzili, że lepiej nie ruszać tych

itapasów. Skoro nie sposób było zdobyć pozwolenia, tysiąc cylindrów z Okiem

Szatana spoczywało w schronach Anniston, aż do tego roku, kiedy to nasz kraj

ratyfikował wreszcie traktat o broni chemicznej.

- Nie pamiętam, żebym wydawał zezwolenie na dokonanie takiego transportu - rzekł generał.

- Zapytałem o to wojskowych specjalistów od prawa międzynarodowego. Wygląda na to, że twoi pełnomocnicy, jakieś pięć lat temu na konwencji dotyczącej broni chemicznej oświadczyli, że transport substancji chemicznych w celu ich zniszczenia nie wymaga specjalnego pozwolenia. Skoro oświadczenie to stało się częścią podpisanego traktatu, a takie umowy międzynarodowe są ważniejsze od

76

prawa funkcjonującego w kraju, twoi podwładni nie zwracali się z tym do ciebie.

Po prostu dokonali wysyłki.

- A kiedy już to zrobili, jeden pojemnik zaginął.
- Na to wygląda. Według mnie mamy jeszcze jeden powód, żeby jak naj-  
szybciej go znaleźć. Jeżeli bowiem nie znajduje się w swojej trumnie, może ulec zmianie w coś jeszcze groźniejszego.

- Czy to możliwe? Jezu! To straszne!
- Cylindry zostały wyjęte z ich trumien i umieszczone w magazynie w Tooele, w oczekiwaniu na zniszczenie. Jeżeli to by zależało ode mnie, nigdy bym do tego nie dopuścił.

- Dlaczego to zrobili?
- Bardzo ci się to spodoba. Chodzi o przepisy federalne, dotyczące nadwyżki, nadających się do przerobu materiałów stanowiących własność Departamentu Obrony. Pamiętasz aferę ubiegłoroczną, nagłośnioną w telewizji, a związaną z ograbianiem Ameryki przez Agencję Logistyki Departamentu Obrony? Kongres zażyczył sobie teraz, żeby wszystkie przedmioty nadające się do odzysku trafiały do placówek zajmujących się utylizacją. Przepisy posuwają się tak daleko, że każda nietoksyczna i nie stanowiąca zagrożenia substancja lub też przedmiot, nawet z programu broni chemicznej, muszą wędrować do DRMO.

- To szaleństwo. Trumny mogły być przecież zniszczone na miejscu, w Tooele!

- Lewa ręka steruje prawą. Oczywiście, bez wątplenia tak właśnie mogło być. Przypuszczam, że przepisy te mają na celu zapewnienie pracy DRMO, a nie dbanie o bezpieczeństwo. W każdym razie wszystkie puste trumny zostały wysłane z Tooele do Anniston, a stamtąd skierowano je do najbliższego DRMO, prawdopodobnie do Georgii. Jako materiał związany z bronią chemiczną, automatycznie zostały przeznaczone do przerobu. Nie wiem jak dokładnie przebiega ten proces, ale po twojej akceptacji grupa operacyjna zajmie się ich wyśledzeniem.

Za moim pozwoleniem?  
- Kiedy tylko dowództwo armii Stanów Zjednoczonych zacznie zadawać pytania dotyczące wysyłki pojemników po broni chemicznej, zapewne zaczną się plotki i pojawią podejrzenia. Nie chciałem robić nic, dopóki nie zabezpieczymy się odpowiednio przed przeciekami. Czy mam rację podejmując takie środki ostrożności?

Waddell potarł dłońmi twarz i przytaknął.  
- Oczywiście, że masz. Szczególnie biorąc pod uwagę sprawę czynnika biologicznego. - Powoli wrócił za biurko. - Ten aspekt - przynajmniej na pewien czas - powinniśmy zachować tylko dla siebie.

- Naprawdę, generale?
- Tak! Grupa nie musi nic wiedzieć o tym patogenie.
- A generał Carrothers?
- Do niego odnosi się ten sam argument. Im mniej ludzi wie to co my, tym lepiej.

77

Fuller przez chwilę przyglądał mu się badawczo, ale generał nie odpowiedział na to spojrzenie. Pułkownikowi przyszedł nagle do głowy pewien pomysł.

- Chyba dobrze będzie pod pretekstem ćwiczeń, uruchomić moich ludzi. Sprawdzimy, co może stać się z cylindrem wyjętym z trumny.
- Dobrze - zgodził się Waddell. - Myślę, że gdyby tylko ktoś w DRMO znalazł pełną trumnę, zostalibyśmy o tym powiadomieni.
- Zakładasz, że ktoś otworzyłby hermetyczny pojemnik zabezpieczający. Ja oświadczyć nie zrobiłbym tego. Jeżeli dopisze nam szczęście, Myer, i proces utylizacji odbywa się w hermetycznych warunkach, to może trzeba będzie założyć, że pojemnik z zawartością został po prostu zniszczony. Zaginał przecież zamknięty w trumnie. Wszystkie do tego czasu zostały już poddane przerobowi. Niech nas licho porwie za zgubienie cylindra, ale teraz możemy się odprężyć, bo nic już nie zostało ze zguby.

Waddell odchylił się w fotelu. Dostrzegł pierwszy promyk nadziei od chwili pojawienia się kryzysu. Oczywiście, wszystko zależy od DRMO, ale Fuller miał rację. Jeśli tylko uda im się potwierdzić, że ta sama liczba trumien wysłana z Utah, została otrzymana w DRMO, a ponadto nikt nie otwierał żadnej z nich, to logicznym założeniem było przyjęcie, iż wszystkie zostały zniszczone. Tyle tylko, że zbyt wiele opiera się tu na przypuszczeniach i założeniach. Odpędził od siebie pospiesznie wizję tłumu pracowników placówki utylizacyjnej, biegających na oślep z pustymi oczodołami.

Spojrzał na Fullera, który bacznie się mu przyglądał.

-O którą dokładnie placówkę chodzi? - zapytał.

### **Czwartek, Willow Grove, Graniteville, Georgia, 13.15**

Gwinette Warren poprowadziła Stafforda dużą, zadaszoną werandą do wejścia domu. Sufit znajdował się na wysokości co najmniej czterech metrów. W środku panował chłód i półmrok, pachniało pastelami. Najpierw wchodziło się do głównego holu, który był połączony z salonem, zaadaptowanym na klasę dla młodszych dzieci. Podwójne drzwi z prawej strony były zamknięte. Z holu prowadziły na górę szerokie schody. Stafford zastanawiał się, gdzie podziwiają się mali mieszkańcy. Przeszli przez jasną, bogato wyposażoną kuchnię i oboje znaleźli się w biurze. Pani Warren poprosiła gościa, by usiadł.

Pomieszczenie miało wydłużony kształt, co sugerowało, że kiedyś była tu przylegająca do kuchni spiżarnia. Przy pojedynczym oknie stało biurko, a całą długą ścianę zajmował regał z książkami. Po przeciwnej stronie wisiało kilka, oprawionych w ramki świadectw akademickich oraz kolekcja zdjęć rodzinnych.

Na biurku stał duży, biały komputer. Za nim było widać niszę wypełnioną innym sprzętem biurowym. Stały tu też dwa tapicerowane fotele, a za nimi niewielki stół konferencyjny. Gwen usiadła naprzeciw niego w fotelu i splótła swe smukłe nogi.

Stafford poczuł dziwne zainteresowanie tą kobietą. Chciał dłużej przyglądać się jej twarzy, lecz zdawał sobie sprawę, że przyjechał tu w innym celu.

- Pani Warren, dzwoniła pani do mnie...

78

• Rzeczywiście - powiedziała. Jej głos był niezwykle silny, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. Każde słowo wypowiadała z ogromną starannością, zaledwie z cieniem akcentu charakterystycznego dla Georgii.

• Zanim zaczniemy, byłabym wdzięczna za wyjaśnienie, kim pan dokładnie jest, panie Stafford. Muszę przyznać, że agencja, dla której pan pracuje, nie jest mi znana.

Popatrzyła mu prosto w oczy i jeśli zdawała sobie sprawę z tego, że budzi jego zainteresowanie nie dała nic po sobie poznać.

Inspektor okazał dokumenty, którym dokładnie się przyjrzała. W kilku słowach wyjaśnił jej czym zajmują się Dochodzeniowe Służby Kryminalne Departamentu Obrony i dlaczego znalazł się w Atlancie.

- Podejrzewam, że pani telefon ma coś wspólnego ze zdarzeniami na lotnisku?

Przyglądała mu się długo, zanim odpowiedziała. W przytłumionym

światle

jej niezwykle oczy miały barwę nefrytów.

- Tak, panie Stafford, to prawda. Nie wiem właściwie od czego zacząć. Może najpierw powinnam opowiedzieć panu o szkole Willow Grove.
- To szkoła? Wydawało mi się, że szeryf mówił, że to dom.
- To jedno i drugie. Przede wszystkim to dom grupowy, czyli placówka nazywana kiedyś „sierocińcem”. Ten dom od dawna należał do mojej rodziny ze strony ojca. Tata był lekarzem, a mama nauczycielką w Graniteville. Miejsce to nosiło nazwę farmy Willow Grove, gdy się urodziłam. Wróciłam tu na stałe dzieś lat temu, po rozwodzie. Właściwie to pomysłem ojca było zorganizowanie tu domu dziecka.
- Ile dzieci mieszka u pani?
- Teraz zaledwie sześcioro. Mamy licencję na ośmioro. To charakterystyczny w Georgii dom grupowy. Tylko kilka z nich jest zdecydowanie większych, Mamy pięcioro dzieci i Jessamine, która jest już nastolatką.
- To bardzo niezwykle imię, pani Warren. Ze słów szeryfa wywnioskowałem, że ją zna.
- Nazywamy ją po prostu Jess.
- A Warren? Takie samo nazwisko nosi szeryf.
- Zgadza się. - Popatrzyła na niego z pewnym wyzwaniem. - John Lee został moim mężem, kiedy po skończeniu studiów wróciłam do Graniteville. Jesteśmy po rozwodzie, ale nasze stosunki są... jakby to określić? Przyjazne. To właściwie naturalne w tak małej społeczności.
- Szczególnie jeżeli on jest szeryfem - zauważył Waszyngtończyk, starając się nieco rozluźnić atmosferę.

Milczała w zamyśleniu, jakby wciąż nie mogła się zdecydować, czy może mu zaufać. Na górze rozległy się tymczasem jakieś hałasy.

- Tak, to chyba prawda - zgodziła się.
- Skąd pochodzą te dzieci?
- Z północnej Georgii, z gór. Właściwie to normalne dzieci, tyle, że były wykorzystywane, zaniedbywane, a nawet porzucone przez rodziców. Icb sytuacja na ogół wygląda na tyle źle, że już nigdy nie wracają do swoich domów.

79

- A więc nie pracuje pani z dziećmi z autyzmem czy też innymi w tym rodzaju?

Na jej twarzy pojawiła się konsternacja.

- „Z innymi w tym rodzaju”? Mówiąc w ten sposób obraża pan te biedne dzieci, panie Stafford.

- Przepraszam, nie to miałem na myśli. Chodziło mi o problemy takie, jak autyzm, zespół Downa i temu podobne.

Doszedł do wniosku, że musi być mocno zdenerwowana,

skoro naskoczyła  
na niego w ten sposób.

- Nie, nie mamy tu warunków do zajmowania się tego rodzaju przypadkami. A działająca u nas szkoła jest tylko dodatkiem do ich edukacji. Wysyłamy nasze dzieci do szkół, kiedy tylko są gotowe tam uczęszczać. Znaczna ich większość wymaga pomocy, zarówno szkolnej, jak i emocjonalnej - co chyba pana nie dziwi.

Z góry zdecydowanie dobiegały jakieś dźwięki.

• Drzemka dobiegła końca - wyjaśniła, spoglądając na sufit. - Pani Ben-ning zaraz sprowadzi naszych podopiecznych na dół.

Maluchy mają zajęcia z rana, później lunch i drzemkę. Popołudniami zazwyczaj realizujemy programy grupowe ze zwierzętami na farmie.

• A Jessamine?

• Jest w szkole publicznej. - Wstała. - Może oprowadzę pana po budynku?

- Oczywiście. Ale później powie mi pani, o co w tym wszystkim chodzi, dobrze?

Popatrzyła na niego ze znużeniem.

• Jeżeli uznam, że mogę panu zaufać - zgoda. - Zatrzymała się w drzwiach w sposób, który podkreślał smukłość jej postaci.

• To chyba niefortunne stwierdzenie. Może powiem inaczej: jeżeli uznam,

że odpowiednio wykorzysta pan coś, co wymaga zachowania dyskrecji i delikatności - zgoda? Zdaję sobie sprawę, że moje słowa nie są zbyt uprzejme, ale nie

nam pana i przyjechał pan przecież z Waszyngtonu.

Pracownik DCIS, zaskoczony jej szczerością, zdobył się na lekki uśmiech.

- Zapewne moje dotychczasowe zachowanie nie jest zachęcające?

Nie odpowiedziała na uśmiech.

- Zgadza się, panie Stafford. Jest pan teraz w górach północnej Georgii. Ludzie tutaj nie mają dobrej opinii o naszej stolicy i nie szanują pracujących tam ludzi.

Przytaknął powoli.

- Z doświadczenia wiem, że taka opinia jest nader częsta, ale jestem przede wszystkim agentem federalnym. Moje zadanie polega na ujawnianiu defraudacji wymierzonych przeciwko państwu. Dopuszczają się ich przede wszystkim urzędnicy państwowi. W pewnym sensie służę więc podatnikom.

Niestety, żaden z nas, pilnujących prawa, nie jest w stanie przeciwdziałać szkodliwym dla nas działaniom, dokonywanym przez władze.

Wyczuła rozdrażnienie w jego głosie.

Przytaknął powoli.

-Przepraszam, jeśli pana uraziłam. Ale w tę sprawę zaangażowana jest młoda dziewczyna, która ma za sobą ciężkie przeżycia. Chodzi mi

tylko o to, że chciałabym wiedzieć, z kim mam do czynienia, nim zdecyduję się panu zaufać. Proszę o odrobinę cierpliwości i mam nadzieję, że zrozumie pan o co mi chodzi.

Miał ochotę zakończyć tę rozmowę, ale z drugiej strony nie wiedział, co robić przez całe popołudnie. Jej troska wyglądała na szczerą. Nie poprosiła go o przyjazd tylko po to, by narzekać na władze i uragać ich przedstawicielowi. Poza tym interesowała go. Chciał wiedzieć więcej o niej samej, domu i tym, czym się tu zajmowała.

- Jak pani sobie życzy, pani Warren. No więc idziemy? Poprowadziła go przez parter i pokazała klasę oraz jadalnię, gdzie stał wielki

stół dla wszystkich domowników. Na werandzie z lewej strony znajdowało się miejsce do zabawy, a na zewnątrz plac zabaw z prawdziwego zdarzenia, na który wcześniej nie zwrócił uwagi.

- Co tam jest? - zapytał, wskazując na zamknięte podwójne drzwi po prawej stronie holu.

- Tam mieszkam, panie Stafford. Zajmuję niewielkie mieszkanie, gdzie staram się zachować prywatność.

Przytaknął bez słowa. Gospodyni poruszała się z niezwykłą gracją. Przyłapał się na tym, że zainteresowała go jej szyja. Jasna skóra wзираła tam od czasu do czasu spod gęstych, ciemnych włosów. W tej chwili grupka dzieci zbiegła po schodach, a za nimi pojawiła się starsza kobieta, która strofowała je, by nie biegły. Na widok przybysza zatrzymały się jak wryte, wpadając jedno na drugie. Byli to trzej chłopcy i dwie dziewczynki, wszystkie w wieku od czterech do siedmiu lat. Pani Warren dokonała prezentacji:

- Dzieci, to pan Stafford. Jest federalnym inspektorem Z Waszyngtonu. Panie Stafford, oto nasze dzieci. Tutaj używamy rodzinnych przezwisk.

Po kolej wskazywała na chłopców:

- To Crash, Hollywood i No-No. Po czym zwróciła się w stronę dwóch dziewczynek, które chowały się za Craschem. - Z lewej to Too, a z prawej Annie. A całą tą gromadką opiekuje się pani Benning -jedna z naszych nauczycielek.

Stafford uśmiechnął się i skinął im głową. Wszystkie pociechy przyglądały mu się tymczasem co najmniej tak, jakby przyleciał z Marsa. Wreszcie pani Benning poprowadziła je przez frontowe drzwi, za którymi natychmiast rozległy się

dzikie wrzaski. Pani Warren wskazała, by podążyli za nimi.

- Mamy tu trzy konie w podeszłym wieku, sześć kóz nubijskich, kurczęta, gęsi i mnóstwo innych stworzeń. Popołudniami dzieci asystują przy zajmowaniu

się nimi. Pan Jackson opiekuje się całym obejściem. Dba o zwierzęta i uczy naszych podopiecznych jak się nimi zajmować. Stwierdziliśmy, że obcowanie z czworonogami zwiększa ich szanse na właściwe ułożenie stosunków z ludźmi.

Jego nozdrza drażnił delikatny zapach jej perfum.

- Skąd takie założenie?
- Zwierzęta posiadają osobowość, potrzeby, obawy i zachcianki. Okazują to wszystko, tyle tylko, że nie za pomocą języka. Ucząc dzieci w jaki sposób można

81

wyrażać wszystkie te uczucia. Zwracamy więc ich uwagę na otoczenie i pokazujemy jak być wnikliwym obserwatorem. Jeżeli tylko wpoi się im to wystarczająco wcześnie, to wykorzystując swą wrodzoną inteligencję przeniosą zdobytą wiedzę na ludzi. A wtedy bez wątplenia ich życie ułoży się lepiej niż tych, którzy tego nie potrafią.

- Czyli większości z nas.
- No cóż, twierdzi pan, że jest inspektorem dochodzeniowym.

Wydaje mi

się, że powinien pan posiadać tę umiejętność. - Powiedziała to z lekkim uśmie-

chem, który zmiękczył jej rysy. Najpierw Żelazna Dama, a teraz nieco kokieterii?

Czyżby z nim flirtowała? Był zdezorientowany, ale nie przeszkadzało mu to. Co-raz bardziej go interesowała.

Obeszli dom i skierowali się w stronę zabudowań gospodarczych. Wiał lekki wiatr, który gładził witki wierzb i lekko marszczył powierzchnię stawu.

- Ilu ludzi właściwie tu pracuje? - zapytał.

- Czoro. Pani Benning jest nauczycielką zatrudnioną na pełen etat, podobnie jak pani Correy. Pracują na zmianę w czasie lunchu, drzemki i zajęć popołudniowych. Pan Jackson pojawia się tu tylko wczesnymi rankami i

popołudniami.

Pani Hadley zaś to nasza kucharka. Wszyscy mają rodziny w Graniteville. Przez telefon zawsze możemy wezwać lekarza i weterynarza. Ja mieszkam na miejscu, choć czasami wyjeżdżam w sprawach zawodowych.

- Czy pani także uczy?
- Tak. Zajmuję się indywidualnymi problemami z nauką i prowadzeniem domu. Fundusze pochodzą od stanu i są wypłacane na każde dziecko znajdujące się pod naszą opieką. W związku z tym mam mnóstwo papierkowej roboty.
- Pracuję dla rządu, pani Warren, więc nie musi mi pani mówić co znaczy ta biurokracja. Wspomniała pani o podróżach.
- Tak, jestem doktorantką Uniwersytetu Georgia. Zajmuję się badaniem miejscowych języków migowych. Czasami wyjeżdżam także w innych sprawach.

- Jak na przykład wtedy, do Atlanty?  
Zatrzymała się przy bramie prowadzącej do części gospodarczej i zapatrzyła w dal, na stok góry wznoszącej się nad farmą.

- Tak, z Jessamine.  
Nie starała się rozwinąć tematu. Zapadła cisza, której Stafford nie przerywał.  
W milczeniu obserwowali, jak nadzorowane przez starszego, czarnoskórego męż-  
czynę, dzieci czyszczą dwa konie. Powie mu, kiedy uzna to za stosowne, albo w ogóle zachowa to dla siebie. Wyczuł, iż nie ma sensu wypytywać o tajemniczą Jessamine. Ciepły wiatr przycisnął jej suknię do ciała. Poczuł się nieco zakłopotany stwierdzając, że trudno oderwać mu od niej wzrok. Przez chwilę wyobraził sobie, że są bliżej zainteresowani sobą, lecz odrzucił tę myśl jako nierealną. To tylko wytwór jego nadwrażliwej wyobraźni, zwielokrotniony jeszcze seksualną abstynencją. To śmieszne, że mogłaby w ogóle mieć ochotę na flirtowanie z nim.  
A jednak...

Stali w miejscu przez kilka minut, aż żółty, szkolny autobus z hałasem zatrzymał się przed podjazdem domu. Wysiadła z niego samotna pasażerka. Pojazd

82

ruszył, zostawiając za sobą obłok ciemnego dymu z rury wydechowej. Dave przyglądał się dziewczynie, która szła podjazdem, przyciskając do piersi książki. Miała na sobie luźne dżinsy, bluzkę i sweter. Z tej odległości nie widział rysów jej twarzy. Dziewczyna z uczuciem pomachała pani Warren i skierowała się prosto do domu.

- To Jess-wyjaśniła.  
- Nie uczestniczy w oporządzaniu koni?  
• Kiedy dzieci skończą, ona wybierze się na konną

przejażdżkę. To nastolatka, panie Stafford. Nie bawi się już z maluchami. Ma pan dzieci?

- Nie. Przez kilka lat byłem żonaty, teraz jestem po rozwodzie. Nigdy nie mieliśmy czasu na dzieci.

Przytaknęła i ku wielkiej uldze Stafforda nie skomentowała tego.

- Co tam jest, pani Warren? - zapytał, wskazując na przerwę między wierz-

bami, gdzie biegła wyraźna ścieżka.

- Proszę mi mówić Gwen - powiedziała. - To Góra Howell, za którą znaj-

duje się narodowy rezerwat przyrody. Odważy się pan na spacer?

- Oczywiście. Ja mam na imię Dave.

Ścieżka biegła pośród wierzb, a dalej wzdłuż ogrodzenia pastwiska. Kwadrans później znaleźli się w niewielkim wąwozie. Zalesiona Góra Howell przy-

tłaczała ich swoim ogromem. Zastanawiał się czy są odpowiednio ubrani na

wyprawę w góry, ale uspokoił się, gdy spostrzegł, że to częsta trasa Gwen War-

ren. Prowadziła w milczeniu szybkim krokiem. Nagle poczuł się zadowolony

z tego wysiłku fizycznego, choć musiał kontrolować oddech, by nie dyszeć. Miał także pewne kłopoty z utrzymaniem równowagi, trzymając jedną rękę w kie-

szeni.

Po kolejnych dwudziestu minutach dotarli na polanę z jeziorkiem poniżej

niewielkiego wodospadu. Widok na wąwóz w dole robił duże wrażenie. Powie-

trze było chłodne i czyste, przepelnione wonią liści, mokrych kamieni i spadają-

cej wody. Ścieżka prowadziła dalej w górę, choć wydawała się dużo bardziej stroma

niż dotychczas. Gospodyni zatrzymała się i zapytała jak daje sobie radę.

- W porządku - odparł, wciąż starając się ukryć przyspieszony oddech. Ze

zdziwieniem stwierdził, iż wspięli się co najmniej sto metrów. Pośród koron drzew

widoczny był tylko dach domu.

- Jak daleko prowadzi ta ścieżka?

- Na sam szczyt. Wyżej jest znacznie większy wodospad.

Dalej rozpoczyna

się teren parku narodowego. Chcesz iść dalej? Zawsze pytam, bo zazwyczaj lu-

dzie nie są przyzwyczajeni do wspinaczki.

Wyjaśnił, że ma kłopot z utrzymaniem równowagi. Zeszła ze ścieżki i wyszu

kała mu solidny kij. Zapytała co się mu stało w rękę.

- Znalazłem się w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze - wy

jaśnił. - Dwoje młodych ludzi napadło na stację benzynową i zaczęło strzelać

Dostałem rykoszetem w ramię. Wyobraź sobie, że nawet nie wysiadłem z samo

chodu.

- Czy także strzelałeś?

- Nie, nie miałem nawet uchylonej szyby. Zazwyczaj nie nosimy broni, Gwen. Nie jestem zwykłym gliniarzem. Przede wszystkim zajmujemy się papierkową robotą.

Uśmiechnęła się.

- Odzyskasz w niej władzę?

Wyjął rękę kieszeni i powoli ją wyprostował. Była zdecydowanie bardziej blada niż druga. Z trudem był w stanie ścisnąć dłoń w pięść, a palce drżały mu jak oszalałe.

- Mówią, że tak - powiedział, starając się nie dać po sobie poznać wkładam nego w to wysiłku. - Regularnie wykonuję ćwiczenia rehabilitacyjne i wydaje mi się, że widać niewielki postęp.

Zaskoczyło go, gdy ujęła jego chorą rękę w swoje dłonie. Były gorące.

- Nie poddawaj się - szepnęła. - W naszym wieku każdy postęp oznacza zwycięstwo.

Ponownie się do niego uśmiechnęła, delikatnie puściła jego dłoń i ruszyła dalej.

Nim podążył za nią, zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i wsunął dłoń do kieszeni spodni. Droga była zdecydowanie trudniejsza, usiana odłamkami skalnymi i pełna nierówności. Dzięki lasce był w stanie dotrzymać Gwen kroku. Cieszył się pięknym widokiem, a od czasu do czasu zerkał na zgrabne nogi towarzyszki. Czterydzieci minut później dotarli do drugiego wodospadu, rzeczywiście zdecydowanie większego niż poprzedni. Rozpryskująca się woda chłodziła powietrze na tyle, że Stafford musiał ponownie włożyć marynarkę. Byłoby miło zrzucić z siebie ubranie i wskoczyć do jeziora - pomyślał.

- Czasami przychodzę tu, żeby popływać, chociaż woda jest znacznie zimniejsza, niż można by przypuszczać - powiedziała. Jesteśmy już niemal na przełęczy. Dokończmy wspinaczkę, a później odpoczniemy.

Znów za nią poszedł, tym razem ścieżką, która na skos przecinała stok. Droga stała się węższa i bardziej stroma. Musiał pilnować każdego kroku. Kilkakrotnie wspierał się ręką o ziemię, by nie upaść. Gwen nie miała problemów i było widać, że taka wspinaczka nie jest dla niej nowością. Po upływie kolejnego kwadransa znaleźli się na szczycie, gdzie usiadła na skale przypominającej ławeczkę. Stafford stanął obok koncentrując się na uspokój eniu oddechu. Spostrzegł, iż Gwen wcale się nie zasapała, choć na jej czole, w promieniach słońca, lśniły kropelki potu. Zawinęła sukienkę wokół kolan i wyprostowała nogi.

Odwrócił wzrok; nie chciał, by zauważyła, że się jej przygląda.

Widok z przełęczy wart był wysiłku włożonego we wspinaczkę. W wąskiej dolinie rozciągało się Willow Grove, a obok widać jasny pasek drogi. Ponad drzewami wznosił się kościół i wieża zegarowa ratusza w Graniteville. Dalej zaś, na stoku, znajdował się kamieniołom i żwirownia. Widok z drugiej strony był jeszcze wspanialszy. Lekka mgiełka spowijała morze zieleni porastającej wzgórz tu i ówdzie przetykane skałami. Na horyzoncie wznosiły się znacznie wyższe wzniesienia niż to, na którym się znajdowali. Owiewał ich ciepły, wiejący od tamtej strony wiatr.

84

• Na północy mamy Apalachee - wyjaśniła. - Po lewej znajduje się Tennessee, a po prawej Północna Karolina. Teren u naszych stóp należy do Parku Narodowego Chatahoochee. To obszar leśny chroniony przez prawo federalne. Zaczyna się mniej więcej tutaj, gdzie jednocześnie kończy się teren Willow Grove.

• No, no - to dopiero posiadłość. Zapewne twoja rodzina mieszka tu już od dość dawna.

• Tak - można tak powiedzieć - przyznała, również się rozglądając.

Nad ich głowami leniwie krążył polujący sokół. Wiatr rozwiał gęste i ciemne włosy Gwen tak, że odsłonił jej delikatną szyję. Odruchowo je poprawiła. Stała forda ogarnęła nagle przemożną chęć, by jej dotknąć. Weź się w garść - przykaż zał sobie. Przecież ona wcale nie ma na to ochoty.

• Czy ktoś tam mieszka? - zapytał, wskazując na północ.  
• Oficjalnie, nie. To teren federalny. Nic nie wolno stamtąd zabrać, nawet drewna na opał. Wstęp nie jest zabroniony, ale lepiej, żeby nie przydarzył się tam żaden wypadek, bo ekipa ratunkowa ma dostęp tylko pieszo. Nie wolno tam latać helikopterem, samolotem, ani wjeżdżać żadnymi pojazdami silnikowymi.

• A więc i nikomu nie wolno tam mieszkać.  
• Teoretycznie tak. Kiedy powstał park narodowy, wszyscy dotychczasowi mieszkańcy zostali przesiedleni. Niektóre rodziny mieszkały tam od dwustu, trzystu lat, panie Stafford. Nie zdziwiłoby nas, gdyby wróciły do miejsc, które przez tak długi czas były ich domem.

Przytaknęła, zwracając uwagę, iż użyła liczby mnogiej. Innymi słowy, my miejscowi wiemy o pewnych rzeczach, które ciebie, przyjeźdnego, nie powinny interesować. Co mówił Ray? Czarne kapelusze, długie brody i bimbber? Nagle przy-

szła mu do głowy myśl, która skłoniła go do zadania jeszcze jednego pytania:

- A czy któreś dziecko w Willow Grove nie pochodzi właśnie z tego terenu?

- Skąd taki pomysł?

- Choćby stąd, że ta ścieżka prowadzi gdzieś dalej.

Rzeczywiście, dróżka wiła się po przeciwnym stoku i znikła między drzewami.

Gwen patrzyła tam przez długą chwilę, lecz nie odpowiedziała. Wreszcie wstała, minęła go i rzekła:

- Powinniśmy już wracać.

Postanowił znów nie naciskać. Zapewne wciąż nie podjęła decyzji, czy może mu zaufać. Im mniej mówił, tym miał mniejsze szanse, że czymś się jej narazi.

Kiedy wydostali się na polankę przy niższym z wodospadów, usłyszał tętent końskich kopyt. Chwilę później na ścieżce pojawiła się, dosiadająca karego konia Jessamine. Na ich widok łagodnie zatrzymała rumaka i poczekała, aż do niej podeszli. Była bardzo szczupła. Miała na sobie dżinsy, białą bluzkę bez rękawów i wysokie buty. Jej pociągła twarz zdawała się należeć do osoby cierpiącej na chroniczną chorobę, szczególną uwagę jednak zwracały niezwykle ciemne oczy. Dziewczyna z zapalem zaczęła mówić coś na migi, gdy Gwen do niej podeszła. Dave, czując się niepewnie w towarzystwie konia, wolał pozostać w bezpiecznej odległości.

85

- Zaczęła się martwić, że tak długo nie wracaliśmy - wyjaśniła Warren. -

Zazwyczaj nie zabieram gości dalej, niż do pierwszego wodospadu. Nastolatki\* przyglądała się Staffordowi, wyraźnie oczekując wyjaśnienia. Gwen przedstawiła ich sobie.

- To pan Stafford z Waszyngtonu, Jess. Widzieliśmy go na lotnisku w Atlancie, pamiętasz? Było to wtedy, gdy tamten mężczyzna stracił przytomność.

Na wspomnienie tamtego zdarzenia dziewczyna na chwilę zamarła. Dyrektorka Willow Grove natychmiast to spostrzegła.

- Wszystko w porządku, Jess. Pan Stafford jest jakby policjantem. Mówiłam ci przecież, że zamierzam go do nas zaprosić.

Jessamine posłała mu jeszcze jedno niepewne spojrzenie i wreszcie powoli pokręciła głową. Była wyraźnie pobudzona, co udzieliło się koniowi, który zaczął tańczyć w miejscu. Trzymając cugle, zrobiła kilka znaków jedną ręką, po czym zawróciła wierzchowca i odjechała, nie dając Gwen możliwości na odpowiedź.

- Widzę, że nie jest zachwycona moim widokiem? -zagadnął

Stafford, kie-

dy nastolatka zniknęła już za drzewami.

• Boi się - wyjaśniła z ciężkim westchnieniem. - Och, to takie skomplikowane.

Naprawdę nie wiem co mam robić.

Inspektor przez chwilę myślał.

• Czy moglibyśmy gdzieś wspólnie zjeść kolację?

Niekoniecznie w Waffle

House. ""\*

• Nie, raczej nie - odparła, ruszając ścieżką w dół. - W

Calloway jest dom

myśliwski dla turystów, ale to pięćdziesiąt kilometrów stąd. Lepiej nie jechać

przez góry w nocy. Może zostaniesz u nas na kolacji? Pani

Hadley świetnie gotuje,

a nasza rozmowa nieco potrwa.

• Będzie mi bardzo miło. Pozwól tylko, że zamelduję się w motelu. O której

mogę przyjść, o szóstej trzydzieści, siódmej?

• Dobrze. Do tego czasu wszyscy będziemy gotowi. -

Zerknęła w stronę,

gdzie zniknęła Jessamine. - No, może prawie wszyscy.

#### **Czwartek, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 16.20**

Carson otrzymał pierwszy telefon z Pentagonu o szesnastej

dwadzieścia. Dzwonił

niejaki major Mason. Chciał rozmawiać z szefem miejscowego

DRMO. Sekretarka

przełączyła go do biura przełożonego i jak gdyby nigdy nic wyszła do domu.

• Mówi Wendell Carson.

• Major Mason, panie Carson. Pracuję dla grupy operacyjnej podległej bez-

pośrednio dowództwu armii Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy

grupą naukową,

starającą się opracować lepsze metody rozdysponowania

funduszy na działania

logistyczne. Nie będę zanudzać pana szczegółami, ale mam

pytanie, na które od-

Dowiedź może nam w znacznym stopniu pomóc.

• Oczywiście, majorze. Słucham.

• Czy w swojej placówce posiadacie urządzenie przerobowe?

86

• Tak. Jesteśmy jedynymi na południowym wschodzie z pełną linią przerobową.

• A czy ta linia jest w stanie przetworzyć i przechować

produkty toksyczne?

• Tak.

• Chodzi mi o naprawdę toksyczne substancje. I w jaki sposób mogą być

przechowywane?

Carson wyjaśnił w jaki sposób działa Monstrum. Mason milczał przez chwilę,

robiąc zapewne notatki.

- W porządku - uznał. - A więc jeśli coś dostało się do urzędnika, powiedz-

my pojemnik z bronią chemiczną, jego zawartość nie ma prawa

wydostać się na zewnątrz?

Cholera - przebiegło przez głowę menadżera. Są tu.  
• Nie. System jest absolutnie szczelny. Gdyby coś było skażone radioaktyw<sup>a</sup> nie, przerobione produkty także. Ale substancje chemiczne? Nie, one zostałyby zneutralizowane. A dlaczego pan pyta? Przypuszczacie, że jakaś broń chemiczna trafiła do DRMO?

• Ależ nie. Nic z tych rzeczy - odpowiedział pospiesznie Mason. - Lepiej, żeby nigdy nie zdarzyło się nic podobnego, prawda? Nie, to był tylko przykład szczególnie toksycznej substancji.

Carsonowi wydało się, że wyczuł zdenerwowanie w pospiesznej odpowiedzi pułkownika, ale dalej grał swoją rolę.

- Cholera, rzeczywiście niech nic takiego się nie zdarzy. System jest jednak bezpieczny. Trzy razy w roku mamy kontrole, a ponadto nabywcy kupując, sprawdzają wszystkie przetworzone produkty.

- Świetnie. Dziękuję za pomoc, panie Carson, Szef DRMO szybko myślał.

- Gdyby miał pan dalsze pytania, majorze - proszę dzwonić. Aha! Mogę

prosić o numer pańskiego telefonu?

- Oczywiście - odparł Mason i podyktował mu szereg cyfr.

Carson rozpoznał numer kierunkowy do Wirginii. Odłożył słuchawkę i przyrzął się mu. Był podobny do numerów związanych z Pentagonem. Dowództwo

armii? Wypytywał o proces przerobu i pojemniki z bronią chemiczną. Żołądek podszedł mu do gardła. Jeżeli wojsko wykryło, że zaginął pojemnik z niebezpieczną substancją chemiczną, w jaki sposób zabraliby się za jego wytropienie? - Myślał.

Menadżer znał swoją armię. Działaliby z ogromną dyskrecją. Grupa operacyjna. To mogło znaczyć wszystko, albo nic. Nagle poraziła go inna myśl: może to właśnie był powód pojawienia się tu Stafforda? Bez żadnego uprzedzenia, tylko z powiadomieniem, dosłownie w ostatniej chwili i ze zmyśloną wersją, iż został tu zesłany z dowództwa swojej agencji. Jezu Chryste! Czyżby już go podejrzewali?

Odsunął leżące na biurku papiery i przez godzinę, rozważając wszelkie możliwości nie ruszał się z biura. Wreszcie sięgnął po telefon i wystukał numer podany mu przez Masona. Nikt nie odbierał. Ponownie przyjrzał się cyfrom i spróbo-

wał po raz drugi, tym razem pomijając jedną, by sprawdzić czy to numer wewnętrzny. Znów nikt nie podniósł słuchawki. Była siedemnasta

trzydzieści, o tej  
>orze Pentagon praktycznie już opustoszał. Sięgnął po książkę telefoniczną Departamentu Obrony i odszukał numer informacji dowództwa armii. Podał operatorkę otrzymaną od Masona numer i poprosił o sprawdzenie. Po połączeniu efekt był podobny. Udając zakłopotanie wyraził obawę, że być może przekręcił cyfry, operatorka sprawdziła to i po chwili udzieliła odpowiedzi:

- To funkcjonujący numer jednego z telefonów biura dowódcy wojsk chemicznych. Chce pan spróbować innego?
- Nie - odpowiedział. - Chciałem się tylko upewnić, że ten, który mam, jest właściwy. Spróbuję jeszcze raz jutro rano.

Pospieszenie odłożył słuchawkę, by sprawić wrażenie, że nie chce już robić amieszania. A to sukinsyn - pomyślał. Wojska chemiczne. Mason więc kłamał.

Wiedzieli, że cylinder zaginął. Nie mieli też problemów z ustaleniem, gdzie rozpocząć poszukiwania. Zażęli od prześledzenia drogi pojemników.

Wstał i zaczął spacerować po gabinecie. To źle, że stwierdzili zaginięcie. Dobrze jednak, że jedyna osoba, która wiedziała gdzie jest pojemnik, zniknęła pola widzenia. Pozostawały dwa zagrożenia: dochodzenie w sprawie pożaru domu Buda i być może Stafford, który na cały dzień zniknął z miasta.

Przeszedł do ciemnego o tej porze dnia, biura przybysza z Waszyngtonu, złączył światło. Wszystkie materiały pochodzące z DRMO piętrzyły się na biurku. Obok leżały notatki. Na luźnych kartkach zanotowane były numery telefonów, których nie mógł zidentyfikować, oraz słowa: Lambry i Graniteville.

Graniteville? Skąd znał to miejsce? Nagle sobie przypomniał. Ta dziwna ziewczyna na lotnisku. Czyżby Stafford pojechał do Graniteville? To dlatego poprosił o mapę stanu. Usiadł w fotelu inspektora i zamyślił się głęboko. Jeżeli wojsko wie, to bez wątpienia wreszcie się tu zjawi. Muszę ostrzec Tangenta. Transakcja musi na pewien czas ulec wstrzymaniu. Sama myśl o utracie miliona dolarów przyprawiła go o mdłości. Wszystko jeszcze może się udać - stwierdził. Jeżeli doła przekonać wojsko, że wszystkie pojemniki powędrowały do przerobu, to mogą zaakceptować taką wersję. Cylinder został zniszczony, a oni zażegnując potencjalny kryzys wrócą do domu. A wtedy jeszcze łatwiej będzie sprzedać zdużyc. Pozostanie tylko Stafford. Co on może robić w Graniteville i do kogo tam pojechał? Wrócił do swojego biura po aktualny numer telefonu do Tangenta.

### Czwartek, dom Wiliow Grove, Graniteville, Georgia, 20.30

Pani Hadley okazała się wyśmienitą kucharką. Najedzony i zadowolony Staf-  
>rd siedział w bujanym fotelu na werandzie. Księżyc niemal w pełni wisiał nad  
rórą Howell i rozjaśniał swym bladym światłem wierzby oraz okoliczne pastwi-  
ca. Gospodyni przyniosła tacę z kawą i usiadła w drugim fotelu. Przebrała się do  
olacji i teraz miała na sobie bardzo elegancką suknię. Dzieci zjadły wcześniej

88

I poszły na górę. Podczas spokojnej kolacji w kuchni Gwen była mocno ożywo-  
na. Opowiadała mu o Willow Grove, o zasadach działania stanowego programu  
opieki nad sierotami i ciągłej walce o pieniądze. On zaś podzielił się wrażeniami  
własnej pracy z dziećmi objętych programem Boys Club i przyłączył do narzekań  
na brak środków i trudności z niej wynikające.

Po posiłku opisała każde z dzieci i wyjaśniła skąd pochodzą.  
Crash - cztero-  
letni brzdąc, który biegał jak oszalały i wpadał na wszystkie przedmioty - stracił  
rodziców podczas pożaru przyczepy, w której mieszkali. Hollywood był najstar-  
szy z całej gromadki. Jego przezwisko pochodziło od fascynacji filmami. Jego  
ojciec zamordował matkę podczas pijackiej sprzeczki, zapakował trójkę dzieci  
dopikapa i wjechał nim do górskiej rzeki. Hollywood, jako jedyny umiejący pły-  
wać, wydostał się z samochodu i dotarł do brzegu. Zastępca szeryfa znalazł go  
(skulonego na drzewie) dopiero dwa dni później. No-No trafił tu w mniej drama-  
tycznych okolicznościach: w wieku dwóch lat znaleziono go na jednym ze śmiet-  
ników przy granicy z Tennessee. Przez pierwsze pół roku pobytu w Willow Grove  
mówił tylko: „nie-nie”.

Jeśli chodzi o dziewczynki, to Too została oddana pomocy społecznej przez  
matkę, narkomankę, która była uzależniona w takim stopniu od heroiny, że jej  
Śmierć była kwestią najbliższej przyszłości. Dziewczynka była bliska śmierci gło-  
dowej, kiedy zaopiekowało się nią państwo. Jej przezwisko wzięło się także od  
tego, co mówiła. Podczas każdego posiłku wyciągała rączkę i wołała: „też”, do-  
magając się jedzenia. Dopiero po roku w pełni dotarło do niej, że jedzenia jest  
pod dostatkiem i nikt nie zamierza go jej odbierać. Ostatnim z dzieci była Annie.  
Była inteligentna i żywa jak iskierka. Wszystko łapała w mig, ale nie na dłużej,

niż dwie minuty. Później zachowywała się tak, jakby po raz pierwszy widziała osobę, która nauczyła ją choćby wiązania sznurowadeł. Ustalono, że kiedy skończy pięć lat, albo gdy tylko będzie wolne miejsce, zostanie przeniesiona do zakładu specjalnego. Przez narkotyki, których nadużywała jej matka, Annie nigdy nie będzie w stanie normalnie zapamiętywać i resztę życia spędzi w zamkniętym miejscu, pod opieką państwa.

Stafford zastanawiał się głośno, czy z takim bagażem podopieczni Gwen zdolają rozpocząć normalne życie.

- Zapewnienie im normalności to nasze główne zadanie - odpowiedziała. - Powinam raczej powiedzieć, że to nasz cel. Musimy wydobyć je z tego opłakanego stanu, zapewnić fizyczny i psychiczny komfort i raz na zawsze przekonać, że to, co się im przytrafiło, w żadnym stopniu nie nastąpiło z ich winy. Wtedy wszystko będzie dobrze. Wystarczy, żeby prowadził je instynkt.
- No i wszystko, czego nauczą się u ciebie.
- To także. Ale szczerze mówiąc, skoro ich rodzice, podobnie jak dziadkowie pochodzili z rodzin patologicznych, są niejako dziedzicznie obciążone.
- Czy są zakwalifikowane, jako niezrównoważone emocjonalnie?
- Tak, niestety. Przepisy wymagają dokonania takiej klasyfikacji. Ale w przypadku stwierdzenia takich zaburzeń potrzeba posiadania domu jest znacznie większa. Dlatego bardzo się staramy. Wydaje mi się, że jakoś sobie radzimy.

89

- W twoich ustach brzmi to tak naturalnie. Z ręką na sercu muszę przyznać, że nie byłbym w stanie znieść sytuacji, do jakich tu czasem dochodzi.

- No tak, zdarzają się - przyznała, na moment spuszczać wzrok. - Na przykład Hollywood lunatkuje i woła mamę głosem należącym do Bambi z bajki Disney'a. Krzyczy: „Mamo, ciii, tata tu idzie”.

W jej oczach pojawił się dziwny blask.

- Tak, to wymaga dużej odporności psychicznej.

Zamierzał zapytać ją o Jessamine, ale postanowił się wstrzymać. Zamiast tego zmienił temat na jej powrót do Graniteville.

- To mój dom - odparła. - Kiedy jest się kobietą z południa, na dodatek rozwódką, należy wyjechać gdzieś daleko, albo wrócić do domu. A ja urodziłam i wychowałam w tym miejscu.

- Ale mówiłaś, że jesteś doktorantką na uniwersytecie.

Wcześniej mieszkałaś gdzie indziej?

Przytaknęła.

- Tak. Zajmuję się psychologią dziecięcą. Odkryłam, że w górach funkcjonują różne dialekty języka migowego, szczególnie pośród dzieci z

rodzin patologicznych. Jessamine jest tego najlepszym przykładem. Nie używa standardowego

języka migowego, lecz język stworzony przez siebie.

- Wychowanie tutaj, w górach, wciąż stanowi problem?
- Mówiąc szczerze, tak.
- A ty byłaś mężatką? Z Johnem Lee Warrenem?
- Tak - przyznała cicho. - Przez pewien czas.

Wychowywaliśmy się razem

i razem chodziliśmy do szkoły średniej. On został w Graniteville i podjął pracę jak policjant, a ja wyjechałam do college'u.

Pobraliśmy się, kiedy wróciłam do domu

Czy tak właśnie było zapisane w kartach? Że tu wrócisz?

- Ojciec nalegał, żebym kontynuowała naukę, ale w głębi serca nigdy nie opu-

ściłam tego miasteczka. Szczególnie po tym, jak będąc w college'u straciłam mamę.

Graniteville nie jest żadnym szczególnym miejscem, ale na pewno można to powiedzieć o tej farmie i jej okolicy. Tylko kiedy zabraknie tu ludzi, jest trochę smutno.

Wyczuł, że nie chciała mówić o swoim związku, więc zmienił temat.

- Nie jestem do końca przekonany, że te wzgórza są zupełnie opustoszałe, żywiście mówię o ludziach.

Zapatrzyła się w dal i nie udzieliła mu bezpośredniej odpowiedzi. Nie chce

mówić mi zbyt wiele - uznał. Ta kobieta intrygowała go, zarówno swoją urodą jak i inteligencją. Miała w sobie dozę dostojeństwa, którego nie spotykało się w Waszyngtonie. Właściwie w tej chwili wolałby, żeby nie wzbudzała w nim aż takiego zainteresowania, bo miał świadomość, że czas przejść do raczej nieprzyjemnych konkretnych

- A więc, Gwen, wróćmy zatem do tego zdarzenia na lotnisku, i do Jessamine.

Dobrze - powiedziała z westchnieniem. Lotnisko. Najpierw muszę wyja-

śnić ci, skąd w ogóle się tam wzięliśmy. Otóż wracaliśmy z Charlotte. Zabrałam Jess do znajdującego się tam Instytutu Braden.

90

- Czyli?
- Czyli do szpitala specjalizującego się w guzach mózgu u młodzieży.
- Orany!
- Tak. Zabrałam ją na badania. Na szczęście wszystkie były negatywne.

• To świetnie. A więc wszystko poszło jak należy. Popatrzyła mu prosto w twarz.

- Musisz mi obiecać, że tę część rozmowy zachowasz wyłącznie dla siebie - rzekła. - Konkretnie chodzi mi o to, byś nie przeniósł usłyszanych teraz informacji do swojego świata zawodowego.

- Nie do końca cię rozumiem, Gwen - powiedział tak na wszelki wypadek.

- Wiem. Ale chcę, żebyś mi to obiecał. Chodzi mi o ochronę tego dziecka.

Mam nadzieję, że zrozumiesz, kiedy ci już powiem. Po prostu nie możesz wyko-

rzystać tego, co usłyszysz. Nie mogę na to pozwolić.

- No cóż, mogę obiecać dyskrecję. A skoro jesteś jej opiekunką, to do ciebie należy decydujące słowo w sprawie zaangażowania ją w cokolwiek.

Mówiąc to miał świadomość, że w rzeczywistości jest inaczej. Przez chwilę zastanawiała się, aż wreszcie przytaknęła.

- Dobrze. Jak już mówiłam, sprawa jest skomplikowana. Jessamine... Jess...

jest, jak przypuszczamy, medium.

A co to ma do rzeczy?

- Aha - wydobył tylko z siebie.
- Powtarzam, że tylko tak przypuszczamy, bo coś takiego trudno jednoznacznie potwierdzić. A przecież dochodzi do tego problem z jej mową, a właściwie

z jej brakiem. Ja wierzę w jej zdolności. Pytanie tylko, w jakim stopniu, i co z tym

zrobić. Wygląda na to, że posiada umiejętność bieżącej telepatii.

- Bieżącej telepatii? - powtórzył zaskoczony Stafford.

Wstał, ogarnięty nagłą potrzebą rozprostowania chorej ręki.

Wiedział bar-

dzo niewiele na temat jasnowidzenia i mediów. Pamiętał tylko, że jedna z agencji rządowych podjęła swego czasu współpracę z tego rodzaju ludźmi podczas

" realizowania programu Stargate. Działania te zakończyły się zupełną kląpą, co

dodatkowo sprowokowało prasę do oskarżeń o marnowanie milionów dolarów

i wywołało ataki ze strony grupy szukających poklasku kongresmanów. Reali-

zatorzy omawiając korzyści programu, snuli wizje nawiązywania telepatycznej

łączności z tajnymi agentami i widzenia ukrytych za kilkoma ścianami przed-

miotów.

- Wiesz coś więcej na temat prowadzonych badań?

- Nie, słyszałem tylko o programie Stargate i jego spektakularnym fiasku.

Pokiwała głową.

- Tak, musiało się to tak skończyć, bo parapsychologia to coś więcej, niż

wróżki czytające z dłoni. Wierz lub nie, ale pojawia się coraz więcej fachowej

literatury na ten temat, na przykład wyniki badań Macklina przeprowadzone w Prin-

ceton.

Stafford starał się zachować uprzejmość.

- Pewnie masz rację. Ale jednocześnie aż roi się od szarlatanów.

91

- O, tak - przyznała. - Tyle tylko, że ja osobiście zetknęłam się ze zdolno-

ściami tego dziecka.

Dave wrócił na miejsce.

- Posłuchaj, Gwen, właściwie jestem gliniarzem. Nauczono mnie zbierać

i analizować dowody. Mam więc duży kłopot z ustosunkowaniem się do sił pa-

rapsychologicznych, czy jakkolwiek je nazwiemy. Nie mówię, że

coś takiego nie istnieje, tylko nigdy nie zetknąłem się z dowodem, który by mnie do tego przeko-

- A co powiesz o tych ludziach pomagających policji?  
Większość z nich to kobiety.

Nie wiedział co odpowiedzieć. Sporo czytał o takiej współpracy i zastanawiał się nad tym głęboko, ale nie zmieniło to jego sceptycznego nastawienia.

- Co więc potrafi? - zapytał. - Wyginać łyżeczki?  
Jej ręka z filiżanką kawy na moment znieruchomiła. Cholera - przebiegło mu przez głowę - zupełnie niepotrzebnie mi się to wyrwało.

- Zapomnijmy o tym, co przed chwilą powiedziałem. To tylko...

Odstawiła naczynie, a na jej twarzy pojawiło się zdenerwowanie. Przez moment wydawało mu się, że to już koniec rozmowy. Jej słowa zaskoczyły go:

- Rozumiem pana, panie Stafford - powiedziała spokojnie. - Powinnam to przewidzieć. To... naturalna reakcja.

A więc zwróciła się do niego po nazwisku. Spróbował jeszcze raz.

- Posłuchaj, Gwen, wcześniej pytałaś co robię tutaj, w Georgii. Cóż, oficjalnie kontynuuję dochodzenie w sprawie defraudacji dokonywanych podczas aukcji nadwyżek rządowych. W rzeczywistości zostałem tu wysłany - może wygnany będzie tu lepszym słowem - za ujawnienie wewnętrznych spraw mojej agencji.

Dodaj do tego fakt, że rok temu uciekła ode mnie z innym facetem żona, a na dodatek straciłem władzę w ręku. Zdecydowanie nie jestem w pełni sił fizycznych i psychicznych. Nie mogę się też wykazać zbyt wielkimi postęпами w dochodzeniu prowadzonym w DRMO, w Atlancie.

- Co to za skrót?  
Wyjaśnił i dodał, że Carson, czyli człowiek z lotniska, jest szefem tej placówki.

- Jeżeli w ogóle coś się tam dzieje, to muszę dokładnie przyjrzeć się Carsonowi, bo nie wydaje mi się, by jakiegokolwiek oszustwa mogły odbywać się bez jego udziału, a przynajmniej wiedzy. Ale jak dotąd, nie znalazłem niczego, co mogłoby go obciążać. Do tej pory zastanawia jedynie jego dziwne zachowanie na lotnisku.

Niemal minutę rozważała te słowa. Wreszcie powiedziała:

- Zapytałaś co umie Jessamine. No cóż, to forma czegoś, co można określić telepatią mentalną".

- Czyli umie czytać czyjeś myśli?
- Niezupełnie. Nie cierpię tego określenia, bo jest żywcem wyjęte z literatury science-fiction.

To raczej czysta fantazja - skomentował w myślach.

obrazu, wizji tego, co myśli ktoś inny, pod warunkiem, że jest czymś poruszony. Może chodził o strach, złość, albo coś innego.

Natychmiast wrócił myślami do zdarzeń na lotnisku. Carson wpatrywał się w dziewczynę, zanim zemdlął. Był tego pewien. Czy był poruszony? Nie wyglądał na takiego, przynajmniej po odzyskaniu przytomności. Ale przecież nie wiadział, co działo się z nim wcześniej. Może szef DRMO denerwował się z powodu niezapowiedzianej wizyty kogoś z DCIS? A jeśli tak, to dlaczego? Być może Jess sarninę to wykryła.

- Uważasz, że Jess coś „zobaczyła”? Dotarł do niej obraz myśli Carsona zanim ten zemdlął? Skąd takie przypuszczenie? - zapytał.
- Właśnie dlatego, że zemdlął - rzekła cicho. - Tak się dzieje, kiedy co widzi. Podobne sytuacje zdarzały się już wcześniej. Tutaj, w domu. Dwukrotnie. Po raz pierwszy, inne dziecko, którego już tu nie ma, oskarżyło Jess o kradzież książki. Chłopiec przejawiał poważne oznaki niezrównowagi psychicznej i wpadł we wściekłość z tego powodu. Zaczął krzyczeć i wyzywać Jess. Nagi stracił przytomność. Dziewczynka rozglądała się przez chwilę bezradnie, po czym na migi powiedziała mi, że nie chodzi o książkę, ale o pismo, które jest ukryte w jego biurkiem. Poszłam to sprawdzić w towarzystwie pani Benning, która była świadkiem. Pismo, jak się okazało, pornograficzne, było dokładnie w wskazanym miejscu.

- Mogła już wcześniej wiedzieć, gdzie można je znaleźć?

- Więc dlaczego chłopiec zemdlął?
- Może był tak wzburzony, że doszło do niedotlenienia? Spojrzała na niego ze spokojem.

- No dobrze, a co stało się za drugim razem? - zapytał.

- Wtedy chodziło o kilkunastoletniego chłopca, który popołudniami przychodził pomagać panu Jacksonowi w obejściu. Pewnego dnia Jess przygotowała się do jazdy konnej, kiedy chłopak pojawił się w stajni. Tym razem to on była wyjątkowo poruszona. Chłopak zaczął się cofać, a ona szła za nim. Ona nie mówiła, więc wyraziła swoją złość działaniem.

- Zaczęła go bić?

- Tak. Na szczęście pan Jackson był w pobliżu, ale kiedy pojawił się na miejscu, chłopiec zemdlął. Pan Jackson musiał odciągnąć Jess, żeby nie zrobiła krzywdy.

- Co przeszkrobał?

Ponownie napełniła filiżanki kawą.

- Sporo wysiłku kosztowało wyciągnięcie od niej prawdy.

Otóż zdarzało się

że kiedy późno wracała ze szkoły, szła prosto do stajni. Przebierała się w jednyt z boksów, w którego ścianie znajdowała się dziura. Chłopak podglądał ją. Mii piętnaście lat i przejawiał duże zainteresowanie płcią przeciwną. Zapewne z< uważyleś, że Jess jest, jak na swój wiek, nadzwyczaj dobrze rozwinięta. Rzecz] wiście znaleźliśmy tę dziurę i dowody, że często z niej korzystał.

- Cholera - mruknał. - Co się stało, kiedy odzyskał przytomność?

93

- Był zdezorientowany i zakłopotany. Zupełnie jak Carson - pomyślał.
- Czy w Charlotte poddano ją badaniom potwierdzającym te zdolności?
  - Nie, zrobiono tylko skaning mózgu. Często skarży się na bóle głowy i oba-wiałam się... - nie dokończyła zdania. Przypomniiał sobie jej wcześniejsze słowa.
  - A więc spodziewałaś się, że znajdziesz jakieś fizyczne uzasadnienie tych dwóch przypadków?
    - Tak. Właściwie z tym na lotnisku to trzech. Stafford dopił kawę.
    - Z artykułów prasowych, dotyczących programu Stargate pamiętam, że chodziło przede wszystkim o nawiązanie kontaktu telepatycznego na duże odległości.
    - Cóż, wiesz na ten temat więcej niż ja. Ale jeśli o to chodzi, to Jess na pewno by im nie pomogła. W jej przypadku działania następują tylko wtedy, gdy nawiązuje kontakt wzrokowy ze wzburzoną emocjonalnie osobą.
    - Albo też, gdy sama znajduje się w takim stanie - dodał. - Rozmawiałaś z nią na ten temat? Nie mówię o tych zdarzeniach, ale o samym fenomenie.
    - Próbowałam. Mamy pewien problem w porozumiewaniu się językiem migowym, bo wymaga to wprowadzania zupełnie nowych pojęć. Do tego Jess ma za sobą bardzo nieprzyjemne przeżycia, z dzieciństwa. Poza tym rozmowa na ten temat jest nie lada sztuką, bo Jess, jak każda nastolatka, jest niezwykle uczulona na fakt, że w jakimkolwiek stopniu może się różnić od rówieśników.

Z pewnością przyznał w myślach - choć coraz bardziej ciekawiło go i zastanawiało dlaczego Gwen tak bardzo chroni swą podopieczną. Ale przecież właśnie to było jej podstawowym zadaniem. No dobrze, zakładając, że dziewczyna rzeczywiście posiada jakieś nadprzyrodzone zdolności, to co „widziała” w umyśle Carsona?

- Czy pozwolisz mi z nią porozmawiać? - zapytał. - Oczywiście w twoim towarzystwie. Nie znam języka migowego, więc musiałabyś służyć nam za tłumaczkę. Chyba jednak powinienem dowiedzieć się co zaszło na

lotnisku.

Gospodyni ponownie głęboko się zadumała, a on nie miał zamiaru jej w tym przeszkadzać. Szczerze mówiąc nie był w stanie wyobrazić sobie niczego związanego z Carsonem, co mogłoby spowodować najwyraźniej ważną wizję.

- To zależy - oznajmiła wreszcie - od tego czym się zajmujesz prowadząc dochodzenie i co może stać się z Jess, jeżeli przyłapiesz Carsona na przestępstwie. I to tylko na podstawie tego, co widziała.

- Jak już mówiłem, na razie nie dysponuję żadnymi dowodami, że Carson ma cokolwiek na sumieniu. Niezbyt przypadł mi do gustu, a i jego podwładni nie bardzo go lubią, ale to jeszcze nic nie znaczy. Gdybym teraz musiał złożyć raport swojemu przełożonemu, powiedziałbym mu, że nic podejrzanego nie dzieje się w DRMO.

- Chodzi mi o to, że nie pozwolę na narażenie Jess na kontakt z drapieżnymi dziennikarzami tylko z powodu kradzieży na przykład części samolotowych. Może powinniśmy w ogóle zapomnieć o całej sprawie...

94

W zamyśleniu pokiwał głową. I on nie miał ochoty rozmawiać z Rayem Sparksem na temat przestępstwa zasugerowanego wizjami czternastolatki.

- Masz sporo racji, Gwen. Chyba że „widziała” morderstwo bądź coś równie poważnego, bo wtedy nie możemy tak po prostu o tym zapomnieć.

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

- Wciąż nie wierzysz w jej zdolności parapsychologiczne, prawda?

Westchnął ciężko.

- Na tym świecie jest mnóstwo rzeczy, których nie rozumiem. Ale niezdolność pojmowania bardzo się różni od braku wiary. Jeszcze raz powtarzam, że moim zadaniem jest analiza i dostarczanie namacalnych dowodów. A przecież telepatia mi tego nie dostarczy.

Przytaknęła.

- Mnie również. Coś ci pokażę.

Wstała i przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Zapaliła światło w gabinecie, zapewne by czegoś poszukać. Stafford również podniósł się z fotela i podszedł do barierki werandy. Ta strona domu, gdzie mieściło się mieszkanie Gwen, wychodziła na zagajnik orzechów, oświetlonych teraz delikatną poświatą księżyca. Ciemności wypełniał zapach roślin i coraz głośniejszy chór nadrzewnych żab.

Gospodyni wróciła na werandę i wręczyła mu kartkę papieru.

- Co to takiego? - zapytał odruchowo.

Miał przed sobą dość dokładny rysunek przedstawiający jakiś

pojemnik. Obok było bezładnie rozrzuconych kilkadziesiąt znaczków „x”. Nie, to raczej były krzyżyki.

- Poprosiłam ją, żeby narysowała to, co zobaczyła podczas spotkania z panem Carsonem na lotnisku. To właśnie to.

Jeszcze raz przyjrzał się kartce. Jakiś cylinder. I co?

- A te znaczki? Krzyżyki?

- Powiedziała, że pojemnik jest pełen trupów. Są ich tam tysiące. Miliony.

—' Świetnie. Tylko co to, do diabła, znaczy?

- Nie wiem. Nie chce więcej rozmawiać na ten temat. Mówi, że temneżczyzna był zły, ale to jest gorsze. Znacznie gorsze.

Pojemnik miał wyraźne wieczka po obu stronach, na co wcześniej nie zwrócił uwagi.

- Mogę to zachować?

- Zrobię ci kopię.

Oddał kartkę, z którą powróciła do gabinetu, po czym zebrał ze stołu puste kubki i podążył za nią.

- Wciąż wydaje mi się, że powinienem porozmawiać z Jess. Chociaż mówiąc szczerze, sam nie wiem, o co mógłbym ją zapytać.

Uśmiechnęła się do niego przez ramię, aż na moment zaparło mu dech w piersiach.

- Twoje pierwsze odczucia były zapewne właściwe. Proszę, oto kopia. Może z czasem dowiemy się o co chodzi.

Wziął kartkę, złożył ją i schował do kieszeni. Popatrzył na zegarek i oświadczył, że jest już późno. Nie chciał wychodzić, ale do głowy nie przychodził mu

95

żadna wymówka usprawiedliwiająca dłuższą wizytę.

Ponownie się uśmiechnęła i odprowadziła go do drzwi. Podziękował za kolację i obiecał, że poinformuje ją, gdy tylko uda mu się ustalić, co przedstawia ten rysunek. Na moment ujął jej dłoń.

Jej palce były ciepłe i nadzwyczaj delikatne.

- Postaraj się, żeby ta sprawa nie uderzyła w nas

bezpośrednio, dobrze? -

szepnęła. - To grupa nadzwyczaj wrażliwych dzieci. Twój świat nie przyniesie im nic dobrego.

- Mój świat?

- Jesteś agentem federalnym, Dave. Co z twojego środowiska mogłoby okazać się dla nich dobre?

Absolutnie nic - odpowiedział w myślach. Jeszcze raz podziękował, niechętnie puścił jej dłoń i skierował się do samochodu.

Kiedy wyjechał na drogę, obejrzał się na potężny, otoczony drzewami dom.

Wszystkie światła na zewnątrz były już zgaszone. Jechał w dół zboczem wzgórza w stronę miasteczka i myślał intensywnie o Gwen Warren. Tak dużo chciał o niej

wiedzieć. Nieudane małżeństwo, niepowodzenia zawodowe i problemy z ramieniem sprawiły, że od dłuższego czasu zupełnie nie myślał o kobietach. Każda atrakcyjna kobieta w Waszyngtonie natychmiast przywodziła mu na myśl byłą żonę, co sprawiało, że automatycznie tracił nią zainteresowanie. Gwen jednak była zupełnie inna.

Wjechawszy do Graniteville skręcił w drogę prowadzącą do motelu. We wstecznym lusterku zobaczył reflektory samochodu, który mu towarzyszył podczas jazdy. Po zatrzymaniu się na parkingu, spostrzegł, że to radiowóz. Ciekawe - przebiegło mu przez głowę. To pewnie szeryf John Lee.

## 7

### **Piątek, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 10.30**

Przed budynkiem administracyjnym Carson zobaczył dwoje okręgowych policjantów z wydziału dochodzeniowego. Pospiesznie wycofał się do swojego biura. Kobieta o nazwisku Haller chciała dowiedzieć się jak najwięcej o Budzie Lambrym. Przede wszystkim, jaką pracę wykonywał w DRMO i dlaczego mógł z niej zrezygnować. Carson był niemal pewien, że nie spodziewają się zbyt wiele od niego dowiedzieć. Odpowiedział im, że podwładny po prostu się wściekł i odszedł. Co gorsze, przy okazji zabrał ze sobą klucze od konsoli kontrolnej linii przerobowej. Narobił sporych kłopotów. W aktach personalnych Lambry'ego znajdował się tylko adres w południowo-wschodniej Atlantycie. Brak jednak było informacji o jakiegokolwiek rodzinie, wcześniejszych zatargach z prawem, dyscyplinarnych naganach, a już na pewno nie sposób tam było znaleźć motywu podpalenia. Zapytał rozmówczynię o to, czy istnieją jakiegokolwiek poszlaki sugerujące podpalenie, ale ta odpowiedziała tylko, iż prowadzone jest śledztwo i na razie nie można jeszcze o tym mówić.

96

W porządku. Oglądał wiadomości w telewizji. Będą potrzebowali lotniczej grupy dochodzeniowej, żeby w ogóle ustalić coś, oprócz nieszczelności instalacji gazowej, która doprowadziła do eksplozji. Nie ma jednak szans, żeby ich tu ścigać. Wypadek w tak starym domu, to właściwie nic nadzwyczajnego.

Usiadł za biurkiem i zastanowił się nad ostatnią rozmową z Tangentem, który zachował się dość spokojnie na wieść, że być może wojsko dowiedziało się już o zagubieniu cylindra. Carson niezwłocznie przeszedł do

kontrnatarcia. Bez wą-  
pienia zjawia się tu i sprawdzą całą placówkę. Po zapoznaniu się  
z działaniem  
linii przerobowej przyjmaj jednak zapewne, że pojemnik uległ  
zniszczeniu, a wte-  
dy Tangent będzie mógł kupić coś, co oficjalnie nie istnieje.  
Kontrahent był pe-  
wien, iż takie właśnie wnioski zostaną wysnute, ale szef DRMO  
przytomnie za-  
uważył, że armia jednocześnie będzie desperacko szukać  
jakiegokolwiek powodu  
tłumaczącego swoje zaniedbania. Zasugerował więc przesunięcie  
transakcji o kilka  
dni. Tangent przystał na to z ociąganiem, lecz zażądał, by Carson  
poinformował  
go kiedy wojsko po dokonaniu kontroli wycofa się.

Menadżer nerwowo postukał ołówkiem o blat biurka. Teraz  
musiał tylko cze-  
kać. Przeczucie podpowiadało mu, że faceci w zielonych  
mundurach już wkrótce  
się tu zjawiają. Może nawet dzisiaj. Miał ochotę przejrzeć  
dokumenty dotyczące  
przesyłki z Tooele, ale obawiał się po nie sięgać. Wszystko co  
teraz zrobi, a co  
w jakikolwiek sposób wiąże się z pojemnikiem, może wzbudzić  
podejrzenia. Partia  
towaru została przyjęta i trafiła do przerobu. To wszystko. Nic nie  
mogło pozo-  
stać, kiedy już trafiło do paszczy Monstrum. Żaden metalowy  
pojemnik, żadna  
substancja toksyczna, ani nawet najdrobniejsze szczątki ciała  
Buda Lambry'ego.  
Z satysfakcją wsłuchał się w przytłumiony w jego gabinecie huk  
pracującej linii  
przerobowej.

Milion dolarów w gotówce. Musiał tylko na nie poczekać i  
zachować spokój.  
Jedyną dziką kartą, jaka pozostała, był Stafford. On jednak nie  
mógł nic wiedzieć.  
Cylinder zaś był dobrze ukryty. Bez wątpienia będzie się o niego  
martwił, ale  
przechucie podpowiadało mu, że jego sekret jest bezpieczny.

### **Piątek, Biuro Regionalne DCIS, Smyrna, Georgia, 11.20**

Ni prośbę Stafforda Ray Sparks zgodził się zjeść 2 nim lunch.  
Przybysz nie  
chciał rozmawiać w biurze na temat tego<sup>^</sup> czego dowiedział się w  
Willow Grove.

Udali się do pobliskiej restauracyjki, gdzie zdał relację ze  
wszystkich wydarzeń.

Sparks był uprzejmie sceptyczny.

- Pozwól, że będę z tobą szczery - powiedział. - Nie masz  
żadnych dowodów  
potwierdzających przestępstwa na terenie DRMO. Opierasz się  
tylko na dziwnych  
zdarzeniach z lotniska, w których główną rolę odgrywał Carson i  
jakaś nastolatka  
z sierocińca, którego dyrektorka twierdzi, że mała ma zdolności  
parapsychologicz-  
ne. Dziewczyna nie mówi, a ta kobieta jest w stanie dostarczyć ci  
tylko rysunek

jakiegoś pojemnika i twierdzenie, że to bardzo zła rzecz. Mam rację?

- Nie są to dowody, dzięki którym można posłać kogoś za kratki, prawda?

97

- Masz absolutną rację, Dave. Poza tym nie zdążyłeś nawet sięgnąć pod powierzchnię tego, co dzieje się w tej placówce. Jesteś tam zaledwie od dwóch dni.

Myszę, że powinieneś zapomnieć o tych wszystkich mrzonkach i skoncentrować

się na poszukiwaniu sposobu, w jaki faceci z DRMO wykorzystują aukcje do za-

rabiania lewych pieniędzy.

Stafford milczał, dopóki przyjaciel nie skończył kanapki.

- Rzecz w tym, iż wydaje mi się, że coś jeszcze się tu dzieje. Wiem, że polegam tylko na przeczuciach i nie powinno mnie to właściwie interesować.

- Takie poszerzone zainteresowania zaczynają wchodzić ci już w krew.

Inspektor uśmiechnął się kwaśno.

- Tak, ale posłuchaj: ten dziwny facet zaczepia mnie, mówi o immunitecie

i radzi odszukać Buda Lambry'ego. A następnego dnia dom Lambry'ego wylatu-

je w powietrze. Pracownicy DRMO wyraźnie nienawidzą swojego szefa i wie-

dzą, że jestem gliną, a nie żadnym audytorem z DLA. A ten wypadek na lotnisku?

Kto wie co on oznacza? A na koniec odpowiedzialna obywatelka mówi mi, iż

podobne sytuacje zdarzały się już wcześniej, a towarzyszyły im dowody sugeru-

jące, że ta dziewczyna posiada zdolność czytania w myślach innych ludzi.

- Dowody? - zapytał Sparks, przyglądając się przyjacielowi znad okularów.

Ten z trudem wytrzymał jego spojrzenie. - W porządku, mów dalej. Na co więc

wskazują posiadane przez ciebie „dowody“?

Stafford uniósł ręce w obronnym geście.

- Nie masz mnie o co oskarżać. Może po prostu to objaw moich starań pój-

ścia naprzód w prowadzonym śledztwie. Chociaż obaj wiemy, że to zadanie zo-

stało mi przydzielone tylko po to, żeby mnie czymś zająć.

Sparks taktownie nie odpowiedział i skupił się na mieszaniu herbaty. Wa-

szyngełczyk czuł się w coraz większym stopniu jak głupiec z powodu wspo-

mnienia przełożonemu o parapsychologii.

- W porządku - stwierdził. - Wróć do tych aukcji.

Szef placówki w Atlancie uśmiechnął się do niego wymownie.

- A jak prezentuje się ta Warren?

- Wprost olśniewająco.

**Piątek, Pentagon, posiedzenie Tajnej Grupy Operacyjnej,  
15.30**

Pułkownik Fuller rozpoczął już popołudniowe spotkanie, kiedy generał brygady Carrothers wszedł do pomieszczenia i usiadł przy stole. Grupa operacyjna korzystała z zasobów centrum dowodzenia w postaci kodowanych łącz oraz sali konferencyjnej wyposażonej w mnóstwo komputerów. Fuller zdał przybyszowi krótką relację:

- Generale, mamy piętnastą trzydzieści. Zespół szybkiego zwalczania zagrożeń chemicznych powinien dotrzeć do Fort Gillem za pół godziny - poinformował. - Dwie ciężarówki: -jedna z ludźmi i sprzętem, a druga z zestawem czujników i centrum łącznościowym.

98

- Zwykle samochody, bez żadnych oznaczeń, tak?
- Zgadza się - potwierdził jeden z majorów. Z widocznym na identyfikatorze nazwiskiem Mason. - Wszyscy myślą, że to rutynowe ćwiczenia. Tylko jeden oficer w zespole wie, o co tak naprawdę chodzi. Zjawia się około siedemnastej, żeby zminimalizować kontakt z pracownikami.
- Dobrze. Jak wygląda procedura? - zapytał generał.
- Ciężarówki wjadą i zaparkują starając się nie zwrócić na siebie uwagi. Po-tem dokonane zostaną wstępne odczyty, zanim jeszcze zespół wyjdzie na zewnątrz. Jeżeli czujniki nie wykryją niczego, dowódca grupy ustali, gdzie znajdują się pojemniki z Tooele i zabezpieczy obszar do szczegółowej inspekcji.
- A jeżeli już zostały zniszczone?
- Wtedy sprawdzą linię przerobową i wszystkie produkty, które z niej wyszły.
- Spodziewamy się, że czujniki niczego nie wyłapią •- dodał pułkownik Fuller. - Cylinder jest oczywiście hermetycznie zamknięty. Jeżeli pojemniki są wciąż na miejscu, a ten przedmiot znajduje się w środku jednego z nich, odzyskają go i natychmiast się stamtąd wyniosą. A jeśli cylinder uległ już zniszczeniu, zbadają produkty, które wyszły z urządzenia przerobowego i na tej podstawie stwierdzą, czy poszukiwana substancja także została przetworzona.
- A gdyby trafiła do przerobu i skaziła placówkę, co wtedy zrobimy?
- To bardzo mało prawdopodobne-odpowiedział Fuller.- Mówimy tao Oka Szatana. Gdyby do tego doszło, z pewnością byśmy już o tym wiedzieli. Cały świat już by się o tym dowiedział.

Carrothers zastanowił się nad tymi słowami i przytaknął. Miał zamiar zadać następane pytanie, ale powstrzymał się. Dał Fullerowi znak, że chce pomówić z nim



- Uważamy, że to mało prawdopodobna ewentualność, generale.

My?

- Generał Waddell i ja - odpowiedział bez zająknięcia szef grupy roboczej.

Carrothers posłał mu długie spojrzenie. Chciał wyrazić odmienne zdanie, lecz

tó i,my" uświadomiło mu, że już zapadła, jedyna właściwa opinia".

- Dobrze-rzekł więc.-Niech dowódca oddziału melduje natychmiast, gdy

tylko coś znajdują albo stwierdzą, że nic tam nie ma.

- Tak jest, oczywiście.

### **Piątek, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 17.00**

Sekretarka Carsona zapukała do drzwi jego gabinetu i otwierając je oświadczyła, że panowie White i Jones przybyli do niego w pilnej sprawie. Fakt, iż nie skorzystała z interkomu oraz to, że obaj mężczyźni stali tuż za jej plecami, powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć. Zjawili się przedstawiciele wojsk chemicznych. Po pierwsze musiał zbagatelizować sam fakt ich przybycia, aby nie zwróciło to zbytnej uwagi sekretarki.

- Tak, dobrze. Zapraszam, panowie. To wszystko, pani Vonner. Do zobaczenia jutro.

Podwładna popatrzyła na niego zaskoczona, ale posłusznie wycofała się i zamknęła za sobą drzwi. Carson wskazał przybyszom fotele, ale ci nie zamierzali z nich skorzystać.

Mieli na sobie cywilne ubrania, lecz ich zachowanie i fryzury zdradzały już na pierwszy rzut oka kim są w rzeczywistości. Sięgnęli po portfele i jednocześnie okazali wojskowe karty identyfikacyjne. Młodszy z nich zabrał głos jako pierwszy:

- Jestem kapitan White z magazynu broni armii Stanów Zjednoczonych w Aniston, w Alabamie. A to kapitan Jones. Przybyliśmy tu w sprawie niezapowiedzianych ćwiczeń grupy szybkiego zwalczania zagrożeń chemicznych. Ostatnio przysłano tu z Tooele transport pojemników zabezpieczających po broni chemicznej, prawda?

Menadżer udał, że się zastanawia. White i Jones. Na pewno.

- Muszę to sprawdzić w dokumentach, kapitanie. Przychodzi do nas mnóstwo podobnych transportów. Mówi pan, że z Tooele?

- Tak jest. Tysiąc pojemników po broni chemicznej. Konstrukcje z aluminium i kompozytów, zapewniające pełną izolację od środowiska zewnętrznego.

Nie były zbyt duże. Długie na jakieś metr dwadzieścia, o średnicy dziesięciu centymetrów. Pochodziły z Tooele, a po drodze przeszły przez Anniston.

- Ciekawe. Niestety, przychodzą panowie już po godzinach pracy. Sam muszę zejść do naszego archiwum. Proszę tu na mnie poczekać. To nie potrwa długo. Może napijecie się kawy?

Zostawił ich i wyszedł na korytarz, akurat pełen wychodzących do domu pracowników. Udał się do archiwum i usiadł przy jednym z komputerów. Normalnie przeszukanie bazy danych zabraloby nieco czasu, lecz w tym przypadku dosko- nale wiedział gdzie szukać wszystkich potrzebnych informacji. Już po minucie skierował je do wydrukowania w sekretariacie. Wrócił i po drodze wziął wydruk.

- Oto dane dotyczące transportu pojemników - powiedział, przekazując plik składanki kapitanowi White'owi. - Jak pan widzi, powędrowały prosto do prze- robu. Trafiły tam praktycznie poza kolejnością. Nikt tutaj nie chce zbyt długo przechowywać podobnych rzeczy.

- Bardzo dobrze, panie Carson - pochwalił wojskowy. - Otóż zamierzamy tu sprowadzić nasz zespół i przyjrzeć się nieco linii przerobowej i jej najbliższe- mu otoczeniu.

- Oczywiście. Zapewne interesuje was strefa podajnika i magazyn produk- tów końcowych, prawda?

- To także. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że chcielibyśmy też przyjrzeć się schematowi całego systemu?

- A dlaczego nie? Miałbym tylko zmartwienie, gdybyście stwierdzili, że coś tu jest nie tak.

- To nieprawdopodobne, panie Carson.

- Skąd ta pewność, kapitanie?

- Bo gdyby tak było, wszyscy pracownicy dawno by już nie żyli.

Szef DRMO uśmiechnął się w odpowiedzi.

-A więc są duże szanse, że to będą standardowe ćwiczenia? Oczywiście, a cóż innego?

-Aha, dzisiaj linia przerobowa nie będzie pracować podczas drugiej zmia- ny. Jeżeli więc potrzebna będzie pomoc moich ludzi...

- Nie, nasz zespół świetnie sobie poradzi. Sami musimy sobie radzić ze wszystkimi tego rodzaju urządzeniami. Wolelibyśmy, żeby nikogo nie było w po- bliżu. Lepiej nie dopuszczać do powstania niepotrzebnych plotek. Właściwie mamy ze sobą oficera od public relations. Ona zajmie się wszystkimi, którzy mogą się pojawić i zadawać zbędne pytania.

- Dobrze, pokażę panom schemat systemu, a później przejdziemy do po- mieszczenia, gdzie znajduje się linia przerobowa.

Dave Stafford przyjechał do DRMO nieco po siedemnastej trzydzieści. Po lunchu, na godzinę wrócił ze Sparksem do biura DCIS, żeby uzupełnić bazę danych. Stamtąd skierował się do DRMO, ale utknął w okropnym korku drogowym na obwodnicy Atlanty. Wydało mu się, że jest z powrotem w Waszyngtonie. Kie-

101

dy zjawił się na miejscu, we wszystkich oknach budynku administracyjnego było już ciemno, a przecież nie miał klucza. I co teraz? - zastanowił się. Może ktoś jeszcze tu pracuje i wpuści go do środka. Miał nadzieję, że spotka Carsona, ponieważ jego służbowy pikap stał zaparkowany przy bocznicym kolejkowym. Postanowił przejść się wzdłuż rzędu ciężarówek i sprawdzić, czy uda mu się dostać do DRMO od drugiej strony.

Przeszedł za róg budynku administracyjnego i znalazł się w ciemnej alejce między pierwszym z magazynów, a ogrodzeniem z drutu kolczastego. Minął zaparkowane na wyznaczonych stanowiskach trzy komercyjne ciężarówki. Wycho-  
dząc z ostatniej z nich, zobaczył kosmonautę i wystraszył się jak diabli, przede wszystkim dlatego, że w rękach trzymał M16. Postać w hełmie przemówiła do niego przez maskę. Dopiero wtedy spostrzegł bariery rozstawione przed wjazdem do magazynu oraz logo armii Stanów Zjednoczonych na kombinezonie mężczyzny, który po raz drugi poprosił go o dokumenty.

Stafford wciąż zaskoczony, lewą ręką okazał identyfikator. Żołnierz przy-  
rzął mu się i zaczął mówić coś do mikrofonu, który musiał znajdować się wewnątrz kombinezonu. Dalej, na nawierzchni pasa startowego, inspektor dostrzegł dwie wielkie, nieoznakowane naczepy z ciągnikami, stojące przed hangarem z linią przerobową. W półmroku, rozpraszonym światłem latarni halogenowych, kręciło się jeszcze kilkunastu innych ludzi w kombinezonach. Wydało mu się, że mignął mu także Carson rozmawiający z dwójkiem cywilów przy kabinie jednego z ciągników.

- Co tu się dzieje? - zapytał wartownika.  
- Porucznik Roberts już do pana idzie - odparł żołnierz. - Jest oficerem do spraw public relations. Proszę, żeby pan tu na nią zaczekał.

Strażnik jasno dał do zrozumienia, że nie wolno mu wejść na teren DRMO, przynajmniej dopóki nie porozmawia z tą porucznik.

Roberts zjawiła się minutę później. Była wysoką, postawną blondynką w zie-

lonym wojskowym uniformie. W rękach miała notes i niewielki dyktafon. Wyglądem wyróżniała się pośród całego personelu w ochronnych strojach chemicznych. Jej rzeczowe spojrzenie i poważna mina wskazywały na to, że ma do czynienia z profesjonalistką.

- Pan Stafford, prawda? t- zapytała na powitanie. Ujął jej dłoń swoją lewą ręką.
- Jestem porucznik Roberts z wydziału public relations. W jaki sposób możemy pomóc DCIS?
- Miło mi panią poznać, papi porucznik. Może zacznie pani od wyjaśnienia, co właściwie się tu dzieje?
- To ćwiczenia wojskowe, panie Stafford. Ma pan do czynienia z grupą szybkiego zwalczania zagrożeń chemicznych. Jest to zespół stacjonujący w wojskowym magazynie broni w Anniston, gdzie przechowywana jest przede wszystkim broń chemiczna.
- Dobry Boże! Czy coś się stało?
- Nie, to tylko ćwiczenia. Grupa od czasu do czasu jest wysyłana w różne miejsciska i zachowuje się tak, jakby doszło do wypadku z udziałem broni chemicz-

102

nej. Zazwyczaj organizujemy takie ćwiczenia w obiektach wojskowych po godzinach ich normalnej pracy. Wybraliśmy DRMO, bo ostatnio trafił tu transport pojemników zabezpieczających. Ćwiczymy zabezpieczanie terenu, prowadzimy badania mające na celu wykrycie obecności substancji toksycznych, a wreszcie procedurę oczyszczania go ze skażeń. Zazwyczaj zajmuje nam to jakieś sześć godzin. Później pakujemy cały ten kram i odjeżdżamy.

- I zawsze towarzyszy ćwiczeniom ktoś taki jak pani?
- Oczywiście. Czasami ciekawscy przyglądają się temu, co się dzieje i musimy im wyjaśnić, że to tylko symulowana sytuacja. Zdarza się również, że różni ludzie zjawiają się zupełnie nie wiadomo po co - dodała niedwuznacznie.
- No tak. Pracuję tu od kilku dni, bez powodzenia starając się odgrywać rolę audytora przysłanego z agencji logistycznej. Tak naprawdę zajmuję się oszustwami dokonywanymi w systemie aukcyjnym. Menadżer - pan Carson - może za mnie poświadczyć.
- Jak to bez powodzenia?
- Oficjalnie podano, że przyjeżdżam z 01A, ale obawiam się, że pracownicy domyślili się, iż w rzeczywistości jestem agentem dochodzeniowym.
- Jestem w stanie domyślić się dlaczego - stwierdziła, przyglądając mu się z lekkim rozbawieniem.

Zignorował jej uwagę.

- Czy mogę mówić z panem Carsonem?
- Zapytam go, ale obawiam się, że nie możemy wpuścić nikogo do skażonego obszaru. Czy ma pan gdzie na niego poczekać?
- Właśnie w tej sprawie chcę się z nim zobaczyć. Nie mam nadziei, że dostanie się do mojego biura.

- Pomówię z nim. Gdyby był pan łaskaw poczekać tu,..? i  
Przyglądał się jej z dużym zainteresowaniem, gdy szła w stronę ciężarówek.

Przez kilka minut obserwował to, co działo się na zewnątrz. Miał ochotę wymie-  
nić kilka słów ze strażnikiem na temat zgrabnej figury porucznik albo niedogod-  
ności służby, ale żołnierz nie przejawiał najmniejszego zainteresowania jego oso-  
bą. Wreszcie pojawił się Carson, ze specjalnym identyfikatorem przypiętym do kieszeni płaszcza.

- Ostrzegli pana, zanim się tu zjawili? - zapytał Stafford.
- Nie. Ale to normalne, że przyjeżdżają bez żadnej zapowiedzi;
- Ale po co, u licha, te kosmiczne stroje?

- To symulowana interwencja oddziału szybkiego reagowania. Niedawno trafił tu do przerobu transport pojemników po broni chemicznej.
- Tak, słyszałem już o tym. Ale broń chemiczna? Tutaj?
- Nie, nie sama broń, a tylko pojemniki zabezpieczające. Nazywają je trum-  
nami. Sama broń powędrowała z Anniston w stanie Alabama do Tooele w Utah  
w celu zniszczenia. Później przesłano nam już puste pojemniki. To pewnie dlatego,  
że dysponujemy Monstrum. Mówią, że skończą za jakieś pięć, sześć godzin.
- Cholera. Niezbyt przyjemni goście. Właściwie chodzi mi tylko o klucz.  
Zapomniałem o niego poprosić.

103

- Ach, oczywiście. Proszę za mną. Musimy pójść naokoło.  
Będąc przed głównym wejściem do budynku administracyjnego, Carson za-  
pytał beztrąsko, jak udała się wycieczka. Inspektor wspominał tylko o wizycie  
w lokalnej placówce DCIS w Smyrna i wewnętrznych sprawach. Menadżer nie  
starał się go wypytywać. Po wejściu do środka, znalazł dodatkowy klucz i dał mu  
jeszcze kartę magnetyczną, zapewniającą dostęp do budynku, kiedy w środku nie  
ma już nikogo. Stafford udał się do swojego biura, a menadżer wydostał się przez  
tylne drzwi, by asystować ćwiczeniom.

Dave odczekał dziesięć minut i przeszedł również do tylnego wejścia. Uchy-  
lił drzwi, by wyjrzeć na zewnątrz. Na dawnym pasie startowym wciąż stały dwie  
ciężarówki, ale większość ludzi gdzieś zniknęła. Spozrzegł, że wrota hali miesz-

czącej linię przerobową i przylegające do niej pomieszczenie z pasem transportowym są otwarte, a wewnątrz jest rześkie oświetlone. Ze swojego miejsca był w stanie zajrzeć do środka naczep, wyglądających na mobilne centra operacyjne. Do licha, wszyscy wyglądają tu na mocno zapracowanych - pomyślał.

Ostrożnie wydostał się na zewnątrz. Wieczorną ciszę zakłócał szum generatorów prądowców zamontowanych na naczepach. Wzorując się na Carsonie przytwierdził identyfikator do kieszeni płaszcza i beztrudnie ruszył przed siebie. Przez kilka chwil stał przed jednym z centrów operacyjnych, obserwując, co dzieje się w jego środku. Tuż za rampą znajdowało się pięciu żołnierzy w kombinezonach, siedzących przy konsolach pełnych barwnych kontrolki. Za nimi stał kolejny, wypełniający jakiś druk na twardej podkładce. Porozumiewali się z ludźmi w magazynach. Stafford nie słyszał ich głosów ponad szumem generatorów. Nigdzie w pobliżu nie było śladu Carsona, urodziwej pani porucznik ani dwóch cywilów.

Miał zamiar się wycofać, kiedy obsługujący konsole wstali, wzięli plecaki ze sprzętem i zeszli po rampie w towarzystwie nadzorca. Nie zwrócili na niego uwagi, gdy okrążyli naczepę i skierowali się do hangaru. Inspektor miał ochotę wspiąć się do naczepy i rozejrzeć, ale stwierdził, że wtedy mógłby przesadzić. Rozmówczyni poleciła mu przecież, żeby opuścić zajęty przez wojsko teren. Chwilę później z zadowoleniem stwierdził, że to wahanie się opłaciło. Młody, dobrze zbudowany mężczyzna z wojskową fryzurą wyłonił się zza rogu i zatrzymał na jego widok.

- Stafford, DCIS - przedstawił się natychmiast Waszyngtończyk, zwracając identyfikator w stronę żołnierza. - Razem z panem Carsonem jestem tu obserwatorem.

Oficer zerknął na dokument, pokiwał głową i wspiął po rampie do naczepy. Stafford oddalił się nieco, udając, że rozgląda się po otwartej przestrzeni, ale w końcu wrócił na dawne miejsce, żeby móc patrzeć, co dzieje się w centrum Operacyjnym. Mężczyzna zasiadł przy ostatniej konsoli i mówił coś z zapalem do mikrofonu. Inspektor nie słyszał słów nadającego, który wciąż kręcił głową, a jednocześnie z wprawą pisał na klawiaturze. Nagle obraz na ekranie zmienił się i pojawiło się na nim coś, co na chwilę dosłownie odebrało Staffordowi dech w piersiach.

W żywych kolorach, w trójwymiarowej przestrzeni obracał się powoli cylinder z nierdzewnej stali, z deklami z obu jego końców. Był niemal identyczny jak ten na rysunku, który Gwen Warren przekazała mu w Graniteville. Po obu stronach ekranu znajdowały się czerwone napisy, ale Dave był w stanie rozczytać tylko na samej górze słowa: „ściśle tajne”.

Wewnętrzny głos podpowiedział mu, by jak najszybciej zniknąć z tego eksponowanego miejsca. Czym prędzej więc posłuchał przecucia.

### **Sobota, DRNIO w Fort Gillem, Atlanta, 00.45**

Z końca pasa startowego Carson obserwował, jak obie ciężarówki dostojnie ruszają. Poszło idealnie. Sytuacja niemal go bawiła, kiedy zespół wszelkimi sposobami starał się udawać, że rzeczywiście chodzi tylko o ćwiczenia. On jednak wiedział lepiej. Zbadali wlot do Monstrum i wszystkie produkty, które z niego wyszły. Najwidoczniej niczego nie znaleźli. Bo jak mogliby? Cylinder przecież tam nie trafił. Czuł się podwójnym zwycięzcą, bo ukrył go tuż przed ich nosem.

Teraz był bezpieczny. Mógł przewidzieć następne posunięcia wojska. Znał jego strukturę i sposób działania z czasów, gdy sam służył w kwatermistrzostwie. Wystarczy dać tylko armii okazję do ukrycia wpadki, a ci wszyscygodni władzy, patrzący w przyszłość wyżsi oficerowie rzucą się na nią, jak Sępy na padlinę.

Wrócił do hali przerobowej, zgasił wszystkie światła i pozamykał drzwi. Było już zbyt późno na wykonanie telefonu do Tangenta. Z samego rana przekaże mu dobrą nowinę i uzgodni konkretną datę transakcji. Niedziela nadal wydawała mu się najlepsza. Nikogo tu wtedy nie będzie, a skoro wojsko szukało już zguby, Hlił dobry pretekst, by nie zgodzić się na przenoszenie stąd pojemnika. Tylnym wejściem dostał się do budynku administracyjnego i korytarzem przeszedł do swojego biura, gdzie za biurkiem znalazł siedzącego Stafforda. Na jego widok z trudem zachował pozory spokoju.

- To nie były ćwiczenia, prawda, Carson? -zapytał inspektor, posyłając spojrzenie typowe dla podejrzliwego gliniarza.

- Słucham? - zaskrzeczał Carson, jednocześnie zamykając za sobą drzwi.

- Ta grupa wojskowa nie przyjechała tu na ćwiczenia, prawda? Oni czegoś

szukali. Czegoś, co niewykluczone, że znajduje się w pańskim posiadaniu.

- Co, do diabła, pan wygaduje? Co pan w ogóle robi w moim gabinecie?

- Czekam na pana. Miałem wobec pana złe przeczucia już od samego początku, ale nie byłem w stanie znaleźć nic namacalnego. Aukcje to drobiazg. Trochę pieniędzy na piwo i kasyno. Nic, z czego warto by robić ogromne zamieszanie. Ale broń chemiczna? To zupełnie co innego. Zupełnie, Carson.

- Co pan wygaduje, do jasnej cholery? - wykrzyknął szef DRMO. Starał się nie okazać przerażenia, ale czuł, że przerasta to jego możliwości. - Jeżeli oskarża mnie pan o coś, proszę zrobić to w oficjalny sposób. Wtedy wezwę swojego ad-

105

wokata, przedstawi mu pan wszystkie zarzuty, a ja oskarżę pana i całą waszą agencję o prześladowanie niewinnych ludzi. Myśli pan, że może się tu tak po prostu zjawić i...

Stafford uniósł rękę, nakazując milczenie. Wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Proszę mi zatem powiedzieć co stało się z Budem Lambrym.

Jeżu, skąd ten człowiek czerpie informacje? - przebiegło Carsonowi przez głowę. Kolana drżały mu jak oszalałe, więc obszedł biurko i usiadł.

-Z Lambrym? Co Lambry ma z tym wspólnego? Odszedł z pracy. Przecież już to mówiłem. I dobrze zrobił. Był tu tylko utrapieniem.

- Na pewno. Jeden z pańskich ludzi wspomina o Lambrym i następnego dnia jego dom wylatuje w powietrze. Może wiedział coś, o czym nie powinien? Na przykład o cylindrze?

Przez moment menadżerowi wydało się, że zatrzymało mu się serce. Co powiedział Stafford? Cylinder?

Waszyngtończyk zatrzymał się i popatrzył rozmówcy prosto w oczy.

- Zgadza się, cylinder. Może dokładniej? Z nierdzewnej stali, długi na ponad metr, o średnicy około dziesięciu centymetrów. Nieprawdaż? A w środku jest jakieś chemiczne świństwo.

- Zupełnie nie wiem o czym pan mówi - zaskrzeczał Carson. Miał świadomość, jak bardzo jest przerażony. Przecież nie było najmniejszej możliwości, żeby...

- Aha, a więc tak? Razem z Lambrym znaleźliście coś w tym transporcie pojemników, o czym mówiła urodziwa pani porucznik. I to właśnie rzeczywisty powód zjawienia się tu wojska i zorganizowania tych pseudo ćwiczeń. Coś im zginęło.

• Oszalał pan - szepnął Carson kręcąc głową. Musiał to zatrzymać, i to natychmiast. Postanowił zaatakować. - Zupełnie pan oszalał. To samo robił pan w Waszyngtonie i dlatego wyrzucono pana stamtąd? Zorientował się, że tym razem to Stafford okazał ogromne zaskoczenie. Uniósł się nad biurkiem.

- Tak, dowiedziałem się tego - kontynuował. - Sprawdziłem pana. Znam w stolicy ludzi, którzy to dla mnie zrobili. Zanim zaczniesz pan wysuwać wysrane z palca oskarżenia, radzę się najpierw zastanowić dlaczego w ogóle pan tu jest. Z tego co mi wiadomo, pańscy zwierzchnicy wcale nie zamierzają słuchać kolejnych niby sensacji, które przyniesie im pan w zębach. A teraz proszę opuścić moje biuro.

Stafford uśmiechnął się pod nosem i zatrzymał przy drzwiach.

- Niezła próba, Carson. Ale nie muszę przekonywać żadnych zwierzchników w Waszyngtonie. Wystarczy, że przekonam wojsko. Powiem im, że to coś jest tutaj i właśnie pan to ma. Założę się, że mają całą zgraję drani, którzy zjawiają się, żeby wyciągnąć z pana prawdę. Według mnie popełnia pan ogromny błąd. Na razie nie mogę tego udowodnić, ale jeżeli im powiem, niewykluczone, że nie będę już musiał tego robić. Miłego zacierania śladów, Carson.

106

Stafford pospiesznie dostał się do samochodu, aby jak najszybciej opuścić placówkę. Carson sprawiał teraz wrażenie tak nieobliczalnego, że lepiej było nie wchodzić mu w drogę. Szef DRMO na przemian czerwienił i bladł z wściekłości lub strachu, kiedy zatrząskiwał za nim drzwi. Jadąc Dave nie mógł myśleć

o niczym innym, jak tylko o zachowaniu menadżera. Zadał mu cios prosto w najczulszy punkt. Facet wprost oszalał słysząc słowo „cylinder”. Sukinsyn ukradł go i założył się, że teraz zamierza go sprzedać. Cholera, myślał. Czyżby ta dziewczyna rzeczywiście miała nadprzyrodzone zdolności?

Spróbował zastanowić się nad tym, jaki powinien być jego następny ruch.

1 Skąd, u licha, Carson dowiedział się o jego kłopotach w stolicy? Z kim rozmawiał na ten temat? Ze Sparksem? Czyżby Ray wystawiał go przez cały czas? Nie był w stanie w to uwierzyć. Wyjechał na drogę stanową i przyspieszył. Oczywiście blefował mówiąc o skontaktowaniu się z wojskiem, albo z kimkolwiek innym. Jak mógłby to zrobić, opierając się jedynie na „dowodzie” w postaci rysun-

ku nastolatki obdarzonej podobno zdolnościami parapsychologicznymi? Zawsze mógł powiedzieć, że dowiedział się o tym od Dillarda, ale przecież skłamałby.

Poza tym ten facet nie nadawał się na wiarygodnego świadka w żadnej sprawie.

Jeżeli zaś nie mylił się co do tego pojemnika, być może Lambry wcale nie zrezygnował z pracy. Niewykluczone, że policja ustali, iż jego szczątki po eksplozji zostały odciążone w jakieś krzaki przez wygłodniałe, bezdomne psy.

Nie można było wykluczyć, że mylił się w ogóle co do przyczyn obecności wojska. Może to rzeczywiście były tylko ćwiczenia. Zastanawiał się. Skąd tylko na tym ekranie, wziął się cylinder? Wyglądał dokładnie tak samo, jak ten na rysunku Jess. I i<sup>\*\*\*</sup>

Może teraz powinien udać się do rodzinnej bazy zespołu szybkiego reagowania. Gdzie to jest? W Anniston? Jechać do znajdującej się tam placówki wojskowej i sprawdzić, czy nie dowie się czegoś od nich. Jeżeli zgubili coś takiego jak bloń chemiczna, bez wątplenia wiele będzie się tam dziać. Ich zachowanie powinno zdradzić ewentualny kryzys. Był agentem federalnym, więc miał przecież dostęp do bazy wojskowej. Tylko co tak naprawdę mógł zrobić 26 swoją wiedzą?

Skrzyżowanie z obwodnicą Atlanty było już widoczne w oddali. Po prawej znajdowała się całodobowa stacja benzynowa. Zjechał swym crown vic'em na nieduży parking nieopodal dystrybutorów. Na każdym z nich znajdowała się informacja o konieczności uiszczenia opłaty w okienku przed rozpoczęciem tankowania.

Sięgnął po służbowy telefon komórkowy i wybrał domowy numer do Raya Sparksa. Z ulgą usłyszał w tle dźwięki z włączonego telewizora, bo znaczyło to, że nie obudził przyjaciela.

- Ray - mówi Dave.
- Domyśliłem się, że to ty, zanim jeszcze podniosłem słuchawkę - rzekł Sparks zmęczonym głosem.

- Ray, posłuchaj - mówię z telefonu komórkowego. Przypuszczam, że odkryłem co dzieje się w tym DRMO. Musimy pomówić.

107

- W porządku.  
- Musimy się spotkać i porozmawiać w cztery oczy. Nie przez telefon.

- Jezu, Dave, teraz?
- Tak, teraz! Chodzi o coś poważniejszego niż drobne kradzieże na nieokrzeszczone państwo. Jestem w południowo-wschodniej części Atlanty, niedaleko ob-

wodnicy. Możemy się gdzieś spotkać?

Sparks westchnął ciężko. Dźwięki z telewizora ucichły.  
- Dobrze. Ale lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego, Dave. Mam nadzieję, że zagadnienie mieści się w zakresie obecnie prowadzonej przez ciebie Sptawy.

- Ani trochę, Ray. Ale na pewno nie będziesz żałował poświęconego czasu.

Pracownik stacji z okienka obserwował go z coraz większym zainteresowaniem.

- , Ani trochę". I to także jakoś mnie nie dziwi. W porządku.

Nie znasz Atlanty, więc przyjadę do twojego hotelu. Czym jeździsz?

- Białym crown vicem, na rządowych numerach.
- Jasne. Zaparkuj przed hotelem. Będziesz stosunkowo bezpieczny w centrum, w rządowym wozie. Będę na miejscu za czterdzieści pięć minut. Dave, żebyś tylko...

- Nic nie zrobiłem, Ray. Jeszcze. Zwracam się z tym do ciebie jako pierwszego, jasne? Tak jak powinienem. Przyjeżdżaj do centrum, stary.

Rozłączył się, zanim Sparks zdążył zaprotestować. Wysiadł i podszedł do okienka.

- Poproszę zwykłą za dziesięć dolców i mapę Alabamy - zwrócił skąd do czar-noskórego mężczyzny za szybą.

### **Sobota, DRMO w Fort Dille, Atlanta, 1.10**

Carson siedział w swoim biurze prostując palce i zaciskając dłonie w pięści. Ten pieprzony Stafford! Jak, do diabła się domyślił? Skąd w ogóle mógł wiedzieć jak wygląda ten cylinder?

Lambry. On musiał coś powiedzieć temu idiocie Dillardowi, zanim przydarzył mu się mały wypadek. Boss Hisley wspominał, że Dillard rozmawiał ze Stan-fordem. Cholera!

Wojsko zjawilo się i zniknęło. Powinien zadzwonić do Tangenta, ale ten inspektor mocno zamieszał w całej rozgrywce. Czy powinien zrelacjonować swemu kontrahentowi przebieg tej ostrej rozmowy? Przecież stanowiło to realne zagrożenie dla pomyślnego dokonania transakcji. Ale gdyby zachował to dla siebie, a Stafford rzeczywiście zwrócił się do armii, i tak nie dostanie swoich pieniędzy. Armia wróci do DRMO i dosłownie rozłoży je na kawałki, albo... co?

Myślał z coraz większą wściekłością. Wszystko zależało od podejścia wojska i wagi, jaką nadano całej sprawie. Oczywiście samo stwierdzenie zaginięcia broni chemicznej wywołało nie lada zamieszanie, ale wizja wydostania się tego

faktu na światło dzienne powodowała zapewne istną panikę. Mogliby po prostu puścić informacje dostarczone przez Stafforda mimo uszu. Teraz Carson potrzebował potężnego lewara, zainstalowanego w samym Waszyngtonie.

Może tak pan Tangent?

On zawsze powtarzał, że ma rozległe kontakty i ogromne możliwości. Powie mu o wszystkim i spróbują unieszkodliwić Stafforda, szczególnie skoro ten już znajdował się na cenzurowanym.

Pierwotnym choć nie bezpośrednim źródłem informacji pracownika DCIS, musiał być Lambry, który zamienił się w siki Monstrum, a jego dom był teraz stertą zgliszczy. Jeżeli rzeczywiście to Lambry zaczął sypać, inspektor nie miał szczęścia. I żadnych dowodów.

Ógarnął go pewnego rodzaju spokój. Tylko on - Wendell Carson - wiedział gdzie teraz znajduje się cylinder. Lambry nie żył, więc Stafford musiał blefować. Armia nic nie znalazła. Być może z tego powodu oddychali z dużą ulgą, mając nadzieję, iż zguba została zniszczona wraz z całym transportem pustych pojemników.

A więc można o tym donieść Tangentowi - uznał. Powiedz mu i poproś, aby „zatruł studnię” w Waszyngtonie. Koniecznie. Niech Stafford zostanie zdyskredytowany na tyle poważnie, żeby nikt nie chciał go słuchać, szczególnie zaś wojsko. Może konieczne okaże się odłożenie transakcji na dzień lub dwa. W momencie, kiedy Stafford zniknie z widoku, będą już mieli oczyszczone pole. Wtedy będzie mógł martwić się tylko o sprytne i bezpieczne otrzymanie pieniędzy.

Sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał numer kierunkowy zaczynający się na 800.

## **Sobota, Pentagon, posiedzenie Tajnej Grupy Operacyjnej, 2.00**

Pułkownik Fuller potarł policzki dłońmi, kiedy major Mason zakończył relację..

- Krótko mówiąc nic? . zapytał. - Nie wykryto żadnych śladów, pojemniki zostały przerobione, a całe DRMO jest czyste?

- Tak jest. Linia przerobowa i moduły z odzyskanymi surowcami zostały podane dokładnemu przeglądowi. Ta machina niszczy wszelkie toksyczne substancje przy pomocy stopniowego ich rozkładu. To zupełnie zamknięty system, więc nawet gdyby cylinder dotarł do wnętrza instalacji i z niego

wydostała się jego zawartość, natychmiast zostałyby zneutralizowana.

- No cóż - rzekł Fuller, przeciągając się. - Wydaje mi się, że to wystarczy. Zamierzam zarekomendować generałowi, byśmy zamknęli całą sprawę. Najwi-  
doczniej jeden z cylindrów nie został wyjęty w Tooele i wysłano go wraz z pojemnikami zabezpieczającymi do DRMO. Za to niedopatrzenie musi polecieć kilka głów, ale poza tym dochodzenie wygląda na zamknięte. Mówiliście, że szef DRMO potwierdził, iż nikt nawet nie próbował zaglądać do pojemników. Wszystkie czym prędzej trafiły do przerobu.

109

- Tak jest. Powędrowały tam zaraz po zakończeniu procedury ich przyjęcia. Menadżer oświadczył, że były zniszczone jako pierwsze tego dnia.

- Sam w ten właśnie sposób postąpiłbym ze wszystkim, co wiąże się z bronią chemiczną.

Fuller rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. Sześciu oficerów sztabowych z zapalem pokiwało głowami w geście zgody z jego opinią.

- No właśnie - ciągnął szef grupy. - Naszą oficjalną opinią jest potwierdzenie zniszczenia cylindra w urzędzeniu przerobowym. Zgoda?

Znów przytaknięcia bez żadnego sprzeciwu. Generał rozmyślnie dobrał właśnie takich ludzi - pomyślał Fuller. Zapewne dlatego zaszedł tak wysoko.

Wstał i oświadczył, że prace grupy operacyjnej dobiegły końca, a ludzie mogą wracać do zwykłych zajęć. Oczywiście przypomniał zgromadzonym, że milczenie jest złotem i od tego zależy ich dalsza kariera. Nie musiał powtarzać tego dwukrotnie.

Przeszedł do biurka asystenta operacyjnego, które o tej porze było puste.

Postępując według wytycznych generała Waddella zatelefonował do niego do domu. Zdał relację i przedstawił oficjalne wnioski.

- Nikt nie oponował?
- Nie. Decyzja zapadła jednogłośnie. Mówiąc szczerze, ta instalacja przerobowa ocaliła nam tyłki.

- Czy ten facet kierujący DRMO... zorientował się czym naprawdę były te „ćwiczenia”?

- Nie wydaje się nam, generale. Wzięli ze sobą szykowną blondynkę z biura public relations. Jej zadaniem było odwracanie uwagi menadżera *ad* zagadnień związanych z bronią chemiczną.

- I nikt oprócz niego nie dowiedział się o naszej wizycie?

- Na miejscu pojawił się agent z DCIS. Współpracuje z menadżerem w sprawie oszustw w ramach sprzedaży nadmiarowych zasobów armii.

- Czy może stanowić dla nas problem?
- Nie, generale, to wykluczone! Obserwował nasze poczynania przez chwilę, ale zaraz zniknął. Mamy jego nazwisko i już zleciłem sprawdzenie go, tak na wszelki wypadek.
- A więc według ciebie możemy ogłosić zwycięstwo? Tak jest. Oczywiście należy powiesić na najbliższej gałęzi kilku obiboków, którzy dopuścili do kryzysu, ale poza tym sprawa wygląda czysto. Może zechciałby pan zamienić słówko z generałem Carrothersem. Nie jestem do końca przekonany, czy podziela nasze wnioski.
- Nie ma sprawy. Dobrej nocy, Ambrose. Dziękuję ci. Rozłączyli się.

Kiedy Fuller wyszedł na korytarz, myślami wrócił do biologicznych symulacji dotyczących Oka Szatana, które jego ludzie przeprowadzali w Dietrick. Czy ich również powinien już odwołać? Zatrzymał się i zastanowił nad tym intensywnie. Nie, niech kontynuują. Był ciekawy, co mogło się stać, nawet jeżeli bezpośrednie zagrożenie zostało zlikwidowane.

110

8

### **Sobota, Peachtree Center Hotel, Atlanta, 2.15**

Snop światła we wstecznym lusterku obwieścił przyjazd Raya Sparksa. Staford odblokował drzwi i Ray wślizgnął się na siedzenie pasażera. Dwaj hotelowi ochroniarze, którzy przyglądali się zaparkowanemu samochodowi na rządowych numerach, zajęli się swoimi sprawami. Jeden taki wóz wymagał wzmożenia czujności, dwa zaś zapowiadały kłopoty. Ochrona więc nie chciała dobrowolnie się w nie pchać.

- Dobra, narwańcu, mów co masz! Oby od początku!

Dave zrelacjonował mu ponownie zdarzenia upływającego tygodnia. Nieokreślone podejrzenia względem Carsona, nagłe odejście Buda Lambry'ego, zniszczenie jego domu, a wreszcie wizytę w Graniteville. Lawirował nieco omawiając przyczynę i szczegóły tej wyprawy. W końcu powiązał to ze zdarzeniami na lotnisku.

- Dobra. Więc ta kobieta uważa, że jej podopieczna jest medium.
- Tak. Wcześniej doszło do dwóch podobnych zdarzeń, w obu przypadkach przy świadkach.

Szef placówki w Smyrna milczał przez długą chwilę. Na zewnątrz plac Peachtree Center był niemal opustoszały. Tylko tu i ówdzie pośpiesznie przemykali przechodnie.

- Dobra - powtórzyl. - Załóżmy, że ta dziewczyna rzeczywiście posiada jakieś zdolności parapsychologiczne i rzeczywiście widziała cylinder, który narysowała. Co takiego się zdarzyło, że postanowiła się z tobą spotkać o drugiej w nocy?

- Dwie wojskowe ciężarówki z Anniston w stanie Alabama zjawiły się dziś wieczorem w DRMO. Podobno w celu przeprowadzenia niezapowiedzianych ćwiczeń.

- I?

- W Anniston znajduje się magazyn broni chemicznej. Podczas tych tak zwanych ćwiczeń zobaczyłem taki sam cylinder, jak na tym rysunku, wyświetlony na ekranie komputera w jednej z wojskowych naczep.

Sparks otworzył już usta, by coś powiedzieć, ale w końcu je zamknął. Dave tymczasem opowiedział o tym, co usłyszał od porucznika do spraw public relations.

- Nie sądzę, żeby to były rutynowe działania, Ray. Wydaje mi się, że ci ludzie pod przykrywką ćwiczeń szukali czegoś innego. Stawiam, że ten cylinder

zawiera jakąś substancję chemiczną w rodzaju gazu bojowego. Niewykluczone, że jeden z pojemników zabezpieczających, przysłanych z Tooele nie był pusty.

Carson, zapewne z pomocą Lambry'ego, natrafił na niego i go ukrył. Myślał o tym intensywnie na lotnisku, kiedy przyleciałem z Waszyngtonu.

- I twierdzisz, że na nieszczęście rozmyślał o tym w obecności przechodzącej nastolatki obdarzonej zdolnościami parapsychologicznymi? Dziewczyny z sierocińca, która nie mówi?

111

- Potrafi się komunikować. I umie rysować. Mówi...

- Mówi?

- Przecież normalnie porozumiewa się z otoczeniem, do cholery! Korzysta z języka migowego. To co widziała sprawia, że od czasu powrotu do domu po tym wyjeździe ma koszmary.

- A skąd w ogóle wzięły się na lotnisku?

- Wracaly z Charlotte. Gwenn zabrała tam Jess na jakieś badania medyczne.

- Dokładnie jakie?

Cholera - pomyślał Stafford.

- Dziecko cierpi na chroniczne bóle głowy. Gwen chciała się upewnić, czy mój mały jest całkowicie w porządku.

- Aha - mruknął Sparks. - A Gwen to...

- Gwen Warren to kobietą, która prowadzi tę szkołę. Ray, ona wcześniej nie miała nic wspólnego z DCIS, a wybór padł na mnie, bo nie miała do kogo się

zwrócić. Czy to nie oczywiste? Carson ukraść ten pojemnik. Trzeba powiadomić

o tym wojsko, zanim zdąży go sprzedać.  
Mieszkaniec Atlanty pokręcił głową.  
• Nie ma mowy, Dave! To zupełnie wykluczone! Wojsko traktuje arsenał chemiczny z taką samą powagą jak nuklearny. Oni po prostu nie gubią tak poważnych rzeczy! A nawet gdyby do tego doszło, wszystkie agencje federalne zostałyby postawione w stan gotowości, aby odnaleźć zgubę.  
• Czyżby? Nie zapominaj, że mowa o zhierarchizowanej i rządzącej się swoimi prawami strukturze. Uważam, że będą to utrzymywać w absolutnej tajemnicy, a jednocześnie desperacko starać się odzyskać ten przedmiot. Na przykład przeprowadzając takie „ćwiczenia” w DRMO, do którego trafiły puste pojemniki po broni chemicznej.  
• W porządku, może masz rację. Ale medium, na litość boską? Podczas lut\*\*  
chu milczałem na ten temat, bo uznałem sprawę za mało znaczącą, ale to... Jtjli  
wyobrażasz sobie przedstawienie tej historii dowództwu DCIS. Mam powiedzieć pułkownikowi, że to właśnie ty wyciągnąłeś takie wnioski? Opierając się na wizjach nastolatki mieszkającej w domu opieki nad seksualnie wykorzystanymi albo stukniętymi dziećmiakami?  
• One nie są stuknięte. To tylko dzieci. Przede wszystkim są sierotami. Wil->  
low Grove nie jest przechowalnią dla chorych psychicznie młodych ludzi. To dom stanowy. Znajdują się w nim dzieci z górskich terenów w północnej Georgii,  
Ale mówiąc te słowa Dave przypomniał sobie to, co Gwen opowiadała o oficjalnym statusie jej podopiecznych.  
Sparks z coraz większym zdecydowaniem kręcił głową.  
- Nie, stary. Nawet jeżeli odłożymy na bok sprawę z tymi zdolnościami parapsychologicznymi, cała reszta to przypuszczenia. Nie mogę pozwolić, żebyś rozpętał istne piekło w sprawie, która oficjalnie w ogóle nie istnieje. Czy masz świadomość, że właśnie za tego rodzaju działania skierowano cię tu na banicję?  
Stafford odchylił się w fotelu i wziął głęboki oddech. Przyjaciel chwycił go za prawe przedramię, ale przypomniał sobie, że to niesprawna ręka.

112

- Popatrz na mnie, i posłuchaj. Oprócz pułkownika jestem zapewne jedynym twoim popiecznikiem w firmie. Obecne zadanie jest dla ciebie ostatnią szansą, jasne? Pułkownik nie owijał tego w bawełnę, przynajmniej w rozmowie ze mną. A zapewne i z tobą. Jeżeli wypadniesz z kniei wrzeszcząc wniebogłosy o czymś takim, będziesz skończony. Zrozum, że w stolicy nie ma

cię kto bronić.

Nikt nie ma zamiaru nadstawiać za ciebie tyłka. Jasne?

Dave nie odpowiedział, tylko ciężko pokiwał głową.

- Doskonale wiesz, że mam rację - ciągnął Sparks. — A teraz powiedz mi, czy dysponujesz jakimkolwiek dowodem, że ten Carson notorycznie okrada DRMO?

- Nic z wyjątkiem wzorca wykrytego w Waszyngtonie.

- Ale przecież tam chodziło o zupełnie inną placówkę, prawda? Atlanta nie ma z tym nic wspólnego.

Stafford znów przytaknął, patrząc przez okno gdzieś w dal. To znowu klęska-myślał.

- A więc lepiej pokornie pochyl głowę i spróbuj zdobyć rzeczywiste dowody, Dave, nie pochodzące od medium, ani zdobyte przez zagładanie do wojskowej naczepy. Nie staraj się wyciągać wniosków i tworzyć pewników tam, gdzie nie istnieje najmniejszy punkt zaczepienia. Pracuj zgodnie z wytycznymi iftie zajmuj się niczym więcej. Jeżeli nie, zostaniesz bezrobotnym cywilem. Aha, chyba nie próbowałeś wyciągnąć czegoś z tego Carsona, rozmawiając z nim o całej sprawie?

Dave milczał, co w tym momencie stanowiło jednoznaczną odpowiedź. Sro-motna klęska. Powinienem o tym wiedzieć.

, - Cholera, człowieku! Niech cię wszyscy diabli. - Ray aż osunął się na siedzeniu. - Nie wiem, czy w takiej sytuacji jestem ci w stanie dalej pomagać. Jeśli

Carson z płaczem poleci do swoich przełożonych w agencji logistycznej, a ci zwrócą się do DCIS, sytuacja zapewne wymknie mi się spod kontroli. Lepiej

z samego rana przyjedź do Smyrna. Nie wracaj do DRMO.

Rozumiesz? Chcę,

żebyś stawił się w moim biurze, zanim cokolwiek zacznie się dziać.

- I nawet nie próbujesz mi uwierzyć?

Sparks posłał mu pełne współczucia spojrzenie.

- Opierając się na słowach jakiejś nawiedzanej nastolatki? Już lepiej, żeby

to był jeden z wojowniczych Żółwi Ninja. <sup>1</sup>

- A na słowach doświadczonej psycholog dziecięcej, która od lat prowadzi

tę szkołę? I nie chce, żeby to dziecko zostało wplątane w jakiegokolwiek kłopoty?

- Ja nic o tym nie wiem, a i ty nie możesz mieć pewności.

Niewykluczone, że po prostu chce zostać gwiazdą telewizyjną i w ten sposób zrobić sobie reklamę.

Może i ona jest medium? Według mnie jesteś przemęczony i rozdrażniony.

Najlepiej zrobisz, jak się prześpisz. Przyjedź rano do mojego biura. Wykonam

kilka telefonów i spróbuję zlikwidować grożące ci niebezpieczeństwo. Powiem,

że nadużyłeś przepisanych ci lekarstw, albo coś podobnego.

Szef placówki w Atlancie wysiadł z samochodu, ale zostawił drzwi otwarte.

- Nie zapominaj kim są twoi przyjaciele, Dave - powiedział.

113

- Tak, mam ich aż dwóch.
- Zgadza się. Prześpij się. Zapomnij o tej dziewczynie. To rozkaz!

### **Sobota, Mount Vernon, Virginia, 10.00**

Lee Carrothers dołączył do żony na patio. Sue popijała kawę i czytała „Washington Post”. Był cudowny, wiosenny dzień, a wiśnie i derenie rywalizowały ze sobą zapachem i ilością kwiecica. Tylko nieustający, stłumiony huk odrzutowców

z krajowego lotniska zakłócał spokój panujący nad Potomacem.

Generał był ubrany

w szorty i koszulkę. Właśnie skończył kosić trawnik.

- I co powiedział stary?-zapytała.-Nie musisz jechać do pracy, prawda?

Usiadł na fotelu obok żony i ujął jej dłoń.

• Chodzi o tę sprawę, którą zajmowałem się przez cały tydzień? Określiłem

ją jako „sprawę Anniston”, pamiętasz?

- Oczywiście?
- Pozwól, że nieco ci ją przybliżę.

Opowiedział jej wydarzenia związane z zaginięciem cylindra.

Zakończył zaś

na raporcie dostarczonym przez zespół szybkiego reagowania,

grupie operacyj-

nej oraz wnioskach, jakie zostały wyciągnięte przez ten

tympczasowy twór. Po

zakończeniu relacji milczał przez dłuższą chwilę.

• A więc zakładają, że ten przedmiot został zniszczony, kiedy te pojemniki

trafiły do... Jak to nazwałś? Do przerobu?

- Tak.

- A jeżeli tak się nie stało? Jeśli ktoś to znalazł i zabrał?

Przytaknął w milczeniu, rozglądając się równocześnie po

wymuskany traw-

niku. Do ich uszu dobiegał szum ruchu samochodowego z G. W.

Parkway, biegną-

cej za tylnym ogrodzeniem ich posiadłości. Ukochana Sue była

absolutną mi-

strzynią w zmierzaniu do sedna sprawy. Właśnie dlatego często

się jej radził, i to

nawet w ściśle tajnych sprawach. Doskonale wiedział, że potrafi milczeć jak grób.

• Zadałem to samo pytanie już na samym początku, kiedy pod pozorem ćwiczeń zdecydowaliśmy się wysłać zespół do DRMO w Fort Gillem. Zareagowano

na to wprost z oburzeniem. Stary nie ukrywał, że oczekuje na właściwy wynik

kontroli, bez względu na to, co naprawdę tam zastaną: albo

znajdą cylinder w jed-

nym z pojemników bezpieczeństwa, albo przyjmą, że zguba została przerobiona

na surowiec.

- Innymi słowy nie istnieją inne dopuszczalne możliwości?
- Niestety. Utrata pojemnika z tą substancją jest po prostu „niemożliwa”.

Stary dziś rano zadzwonił do mnie, żebym o tym nie zapomniał.

- Dlaczego? Czyżbyś nie zgodził się z wnioskami waszej grupy?

- Powiedziałem to tylko Fullerowi - temu specowi od broni biologicznej z Dictrick. Zapewne to on rozmawiał z Waddellem.

Niewykluczone, że zaniepokoił się moim ewentualnym brakiem lojalności.

Odłożyła czytane pismo na kolana.

114

- Biologicznej? Wydawało mi się, że mowa o broni chemicznej.

• Tak, to prawda. Ambrose Fuller to stary znajomy Waddella i jest jego wtyka w medycznym instytucie badawczym. Przed 1968 rokiem zajmował się programem opracowywania broni biologicznych. Z wykształcenia jest weterynarzem.

Wtedy tacy specjaliści byli im potrzebni. Z tego co mi wiadomo, teraz uczestniczy w programach opracowywania szczepionek przeciw chorobom zakaźnym.

- Dlaczego więc Fuller zajął się tym problemem? Dobre pytanie. Carrothers już wcześniej się nad tym zastanawiał.

• Bo Waddell chciał, żeby to właśnie on przewodniczył tajnej grupie operacyjnej.

- Lee?
- Tak, masz rację. Skąd spec od spraw biologicznych?

Cholera!

• Co dokładnie powiedział ci dziś stary? - zapytała. - Że twoja przyszłość jako następcy korony Wojsk chemicznych zależy od spolegliwości?

Generał roześmiał się głośno. Sue doskonale wiedziała, jak wygląda wojskowa rzeczywistość.

• Nie był aż tak subtelny. Przecież mowa o Myrze Waddellu, który oświadczył, żebym nie kwestionował treści raportu. Mam zachować swe wątpliwości do CZasu, aż może kiedyś go zastąpię, a wtedy będę mógł swobodnie otworzyć do siebie ogień.

• Rozumiem. I co teraz?

• Teraz? Do diabła, oni mogą mieć rację! To znaczy grupa operacyjna. To logiczne, że zaginiony cylinder pozostał w pojemniku. Wszystko wskazuje także na to, że został zniszczony wraz z innymi. Po co, u licha, ktoś miałby otwierać któryś z nich.

- Lee.
- Lee tu nie ma. Musiał wyjść w ważnej sprawie.
- Lee!
- Cicho, Sue. Muszą się poważnie zastanowić nad tym

problemem.

### **Sobota, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 10.15**

Carson zjawił się w swoim biurze, choć był to sobotni rano. Placówka była oczywiście opustoszała, a jego samochód był jedynym na parkingu, Żonie powiedział, że musi nadrobić zaległości w papierach, ale w rzeczywistości potrzebował nieco czasu na przemyślenia. Ostatnia rozmowa z Tangentem kosztowała go wiele nerwów.

Najpierw zrelacjonował pojawienie się wojska i dość szybki odjazd, zapewne po stwierdzeniu, że cylinder musiał trafić do urządzenia przerobowego. Później wspominał, że ten facet z DCIS - Stafford - domyślił się, po co w rzeczywistości zjawili się żołnierze, zapewne opierając się na informacjach pochodzących «(p Dillarda. Tangent zaniepokoił się niespodziewanymi „ćwiczeniami”, natomiast nadspodziewanie spokojnie podszedł do oskarżeń Stafforda.

115

- On wie? Opisał przedmiot?
- I to dość dokładnie! Ale przecież nie dysponuje żadnymi dowodami. Lambry zniknął. Gwarantuję, że on nie znał miejsca ukrycia cylindra. Wiedział tylko jak wygląda, bo to on mi go przyniósł.
- No. Nie wiem, Carson! Niewykluczone, że będziemy musieli pozbyć się zdobyczy. Co, jeśli Lambry ukrywa się gdzieś i tylko czeka, żeby zacząć zeznać? A może oni już mają go u siebie?
- Kto? Wojsko? DCIS? Nie, to niemożliwe. Stafford nie rozpoczynałby tej rozmowy w moim biurze, gdyby dysponowali jakimiś dowodami. Dawno już pojawiłaby się cała zgraja agentów wymachujących nakazami i dobraliby mi się do dupy. Oni nic nie mają. Stafford próbował mnie tylko nastraszyć, to wszystko.
- Więc gdzie, do diabła, jest Lambry?
- Kto to może wiedzieć? Podejrzewam, że stchórzył i uciekł na wieść o Staffordzie. Pochodzi z głębokiej prowincji, z Alabamy. To półgłówek. Przestraszył się i siedzi teraz gdzieś u siebie. Sam zostawił ulatniający się gaz w domu i spalił go.
- Nic o tym nie wiem.
- Tak właśnie było. Dzień po tym, jak nie zjawił się w pracy. Gliniarze z działu dochodzeniowego zjawili się u mnie i według nich nic nie sugeruje celowego działania. Nie znaleźli żadnych ciał. Dom nie był ubezpieczony, a jego właściciel po prostu zniknął. Niestety, wcześniej mógł coś zdradzić

Dillardowi, a jego

widziano jak rozmawiał ze Staffordem.

- Oto właśnie się niepokoję. Gdzie jest teraz Stafford?
- Nie wiem. Ale mówił pan, że jego sytuacja nie wygląda wesoło. Dlaczego tego nie wykorzystamy? Wojsko pojawiło się i odjechało. Pewnie już nigdy nie zechcą usłyszeć choć wzmianki o zaginionym pojemniku z bronią chemiczną.

Gdyby udało się szybko zneutralizować Stafforda, po tym co narobił w Waszyngtonie, mielibyśmy absolutną swobodę działania.

- A jak niby miałbym to zrobić?
- Myślę o złożeniu zażalenia zgodnie z procedurą na bezpodstawne wysuwanie przez niego oskarżeń. Zaczęlbym od lokalnego biura DCIS w Smyrna. Pan jednocześnie dotarłby do ich centrali i spróbował skłonić jego zwierzchników do ponownego ściągnięcia go do stolicy. Wtedy zniknąłby nam z oczu. Armię już mamy z głowy. Gdyby to się udało, nic nie stanie nam już na przeszkodzie. Co więcej, będziemy dysponować przedmiotem, który oficjalnie wcale nie zginął.

- Realizacja tego planu będzie zapewne dużo trudniejsza niż to się wydaje.

Moi ludzie nie dysponują bezpośrednią wtyczką w DCIS.

- To zdobądźcie ją, do cholery! Stafford jest jedyną przeszkodą do naprawę poważnych pieniędzy, prawda? Przecież jest już spalony. Niech się pan skontaktuje z ludźmi, którym nadepnął na odcisk. Przecież sam pan mówił, że zadart z kimś z Biura.

- Tak, to prawda. Biuro. Moglibyśmy spróbować zadziałać od tej strony.

- A więc dobrze. Chyba nie pozostaje nam nic innego, jak tylko poczekać do poniedziałku.

116

- Niekoniecznie. Zajmiemy się wszystkim. Z tego co słyszałem o facecie, wystarczy kilka słów o tym, że znów zaczyna hulać, aby jego zapędy zostały zgaszone.

- Ale jest sobota. Nikt...
- Każdy departament i agencja ma dyżurnych, Carson. A to jeszcze lepiej: kiedy ktoś taki dzwoni do przełożonego, ten reaguje szybciej niż zazwyczaj.

- A co ja mam robić?
- Nic. Siedzieć spokojnie. I proszę nie kontaktować się z agencją logistyczną. Zrobimy tak, jak pan sugeruje. Do poniedziałku zrobimy wszystko, by Stafford przestał nam już przeszkadzać.

- Dobrze, ale co później? Powinniśmy czekać jeszcze nawet tydzień aż wszystko ucichnie i się uspokoi?

- Nie wydaje mi się to konieczne. Stafforda da się

zneutralizować. Myślę, że jeśli się go nie zastrzeli, to będzie nam przeszkadzał dalej. Najlepiej przyspieszyć i transfer. Nasi klienci się niecierpliwią, a nie chcemy, żeby zamieszanie w DCIS ich wypłoszyło. Proszę zadzwonić do mnie jutro o osiemnastej.

Podał Carsonowi kolejny numer zaczynający się na 800 i rozłączył się.

Szef DRMO odtworzył w pamięci całą rozmowę. Trzeba się było pospieszyć i pozwolić, żeby Waszyngton ostatecznie dobrał się Staffordowi do tyłka. Tangent wspominał o zastrzeleniu go. No cóż, gdyby stanął mi na drodze do pieniędzy, niewykluczone, że zdecydowałbym się właśnie na takie rozwiązanie.

Postanowił wrócić do hali przerobowej, aby sprawdzić czy nikt nie dobierał się do rolki mieszczącej cylinder. Najpierw wybierze się na mały spacer i upewni, czy ten cholerny Stafford znowu nie kręci się gdzieś w pobliżu. Wychodząc poklepał się po kieszeni wiatrówki. Ciężar krótkiego colta sprawił, że poczuł się dużo pewniej.

### **Sobota, Anniston, Alabama, 10.45**

Stafford zjadł późne śniadanie w restauracji należącej do sieci Wafflc House. Wynajął pokój w motelu Holliday Inn przy wylocie na autostradę numer 20. Po spotkaniu ze Sparksem wrócił do swojego pokoju tylko po to, by spakować rzeczy. Po czym przespał się pięć godzin i wyjechał na autostradę prowadzącą na zachód. Półtorej godziny zajęło mu dotarcie do Oxford, miejsca, gdzie znajdował się zjazd na północ, do Anniston. Pokój motelowy zapewniał bazę operacyjną z telefonem. Z powodzeniem mógłby zostać tu na noc, ale to zależało w głównej mierze od wyniku wizyty w bazie wojskowej. Tak długo, jak nie będzie korzystał ze służbowego telefonu komórkowego, Sparks nie zdoła ustalić gdzie się podziawa. Liczył, że ma czterdzieści osiem godzin względnego spokoju. W poniedziałek z samego rana Ray będzie go oczekiwał w swoim biurze, w Smyrna. Uśmiechnął się smutno. Ściśle mówiąc Sparks powiedział, że spodziewa się jego wizyty u siebie tego ranka, ale postanowił udać, że doszło do nieporozumienia.

Czterdzieści osiem godzin. Na dodatek w weekend. Niezbyt dużo czasu.

117

Zadzwonił do lokalnej gazety i rozmawiał z zaafektowaną reporterką, która spieszyła się na charytatywny turniej golfowy. Przedstawił się jako

niezależny  
pisarz, podał fałszywe nazwisko i oświadczył, że interesują go lokalne plotki.  
Wyznał, iż dotarły do niego pogłoski o tym, że w bazie wojskowej dzieje się coś nadzwyczajnego, co ma związek z bronią chemiczną. Roześmiała się i odparła, że wciąż coś się mówi o tym miejscu, ale ostatnio doszło tylko do protestu obrońców środowiska, którzy starali się zatrzymać jeden z transportów opuszczających bazę.

Akcja została jednak zduszona w zarodku, bo zbyt wielu okolicznych mieszkańców jest bezpośrednio zależnych od prawidłowego funkcjonowania tej placówki wojskowej. Poza tym według niej nie działo się tam nic ciekawego. Coraz bardziej zniecierpliwiona uprzejmie oświadczyła, że musi już wyruszyć w teren. Podziękował jej i rozłączył się.

Podobne próby przedsięwziął z lokalnymi rozgłościami w Oxford i Anniston, ale tam nie udało mu się nawet rozmawiać z nikim kompetentnym. Nie słyszano

o niczym nadzwyczajnym, co działałoby się w pobliskiej bazie.

Usiadł na łóżku. Zadanie wyglądało na znacznie poważniejsze, niż ubiegłego wieczoru. Musiał jakoś sprawdzić, czy armia rzeczywiście zgubiła broń chemiczną. Co by zrobili gdyby naprawdę do tego doszło? Rozpoczęliby wewnętrzne dochodzenie, zarówno w tej bazie, jak i w miejscu docelowym transportu. Pomyślał o Wojskowym Wydziale Dochodzeń Kryminalnych CID\*. Była to część dochodzeniowa żandarmerii. Jeżeli rzeczywiście prowadzono na szeroką skalę śledztwo za zamkniętymi drzwiami, miejscowy oddział CID słyszałby o tym, nawet gdyby nie został bezpośrednio zaangażowany w sprawę. Jako inspektor dochodzeniowy DCIS miał prawo wstępu do każdego ich biura. Poprosiłby o pomoc w bieżącym dochodzeniu, a niejako przy okazji spróbował sprawdzić, co dzieje się wewnątrz bazy w Anniston. Chyba, że Ray Sparks już podjął działania zapobiegawcze i ostrzegł biuro dyżurne DCIS w Waszyngtonie, że Dave Stafford ponownie zbłądził i zajął się sprawami nie związanymi bezpośrednio z powierzonym mu zadaniem. A gdyby rzeczywiście to zrobił, szefostwo jego agencji mogło do tego czasu powiadomić swoich kolegów z armii o rozpoczęciu poszukiwań niesubordynowanego pracownika.

Wszystko zależało od szybkości działania Sparksa i jego decyzji o ewentualnym wstrzymaniu się ze wszelkimi działaniami aż do poniedziałku. Cywile niemal nigdy nie pracowali w weekendy, ale na każdym poziomie hierarchii znajdo-

wali się dyżurni, których podstawowym zadaniem była kontrola zdarzeń w czasie wolnym od pracy. Do diabła z tym - myślał. Wejdę do tej bazy i spróbuję wyciągnąć coś od pracowników CID. Jeżeli trafię na ścianę milczenia, to już coś będę wiedział.

Na mapie znajdującej się w pokoju, zlokalizował Fort McClellan na północ od Anniston. Zastanowił się gdzie, u licha, przechowują to niebezpieczne świństwo. Był bardzo zdziwiony, kiedy przy pierwszej bramie bazy stwierdził, że jest niestrzeżona. Czyżby Fort McClellan był otwartą palcówką? Dotarł do budynku dowództwa, gdzie znalazł mapę całej bazy.

118

Wreszcie dojechał do biura żandarmerii, położonego w kompleksie dowodzenia, trzy przecznice od Szkoły dla Specjalistów od Broni Chemicznej. Zaparkował i wszedł do budynku.

Wnętrze pomieszczenia przypominało mu komisariat policyjny. Przed sobą zobaczył poczekalnię, wysoki kontuar z bramką, a z lewej znajdowały się drzwi z napisem CID. Straż w dziesiątkę.

Podszedł do kontuaru i zaczął czekać, aż kobieta z dystynkcjami sierżanta skończy rozmawiać przez telefon. Okazał dokumenty i zapytał czy znajdzie tu kogoś z CID.

- Nie, niestety - odpowiedziała. - Jest sobota. Dysponuję numerem na pager, z którego mam korzystać w razie potrzeby. Tylko że...

- Tak?

- Cóż, w ten weekend mamy coroczne sprzątnięcie terenu bazy. Wszyscy będą zajęci na północnym posterunku. To ochotnicza akcja. Szeft naszego CID też w tym uczestniczy i w pobliżu nie będzie miał do dyspozycji telefonu, żeby oddzwonić.

Już raz próbowałam się z nim rano skontaktować, ale nie odpowiedział. Może ja mogłabym panu w czymś pomóc?

Stafford musiał szybko myśleć.

- Prowadzę dochodzenie w Atlancie, w miejscowym Biurze Utylizacji i Marketingu Departamentu Obrony - wyjaśnił. - To placówka zajmująca się sprzedażą i przerobem nadwyżek wojskowych. Wczoraj przyjechał stąd zespół na ćwiczenia związane z postępowaniem wobec zagrożenia chemicznego. Chciałbym pogadać z tym facetem z CID, żeby sprawdzić, czy ta wizyta nie ma nic wspólnego z moją sprawą.

- Zagrożeniem chemicznym? Z Fort McClellan?

- Powiedzieli, że są z Anniston. Przyjańnij że chodzi o Fort McClellan.

- Powiedzieli, że są ze Szkoły dla Specjalistów od Broni

Chemicznej?

- Nie. To był zespół szybkiego reagowania. Wszyscy byli ubrani w kombi-  
nezony, z wyjątkiem oficerów kierujących akcją. Dwie duże ciężarówki. Mniej  
więcej dwudziestu ludzi.

Funkcjonariuszka myślała przez chwilę, aż wreszcie pokręciła głową.

- Tutaj nie mamy nic podobnego.
- Czy w waszej bazie dzieje się coś, co mogłoby sprowokować tak poważne  
Ćwiczenia aż w Atlancie? Jakies manewry?

Ponownie zaprzeczyła.

- Nie, nic mi nie wiadomo na ten temat. Nie tutaj. Ale może ten zespół po-  
chodził z magazynu?

- Z magazynu?

Tak jest. Wojskowego Magazynu Broni w Anniston. To nie tutaj. Kilkanaście  
kilometrów na zachód stąd jest specjalny magazyn. Tam mogą mieć zespół szyb-  
kiego reagowania. U nas go nie ma.

Rozumiem. - Co teraz? - zastanawiał się. Naprawdę źle trafił?

\* CID - Criminal Investigation Department - Wojskowy Wydział Dochodzeń Kryminalnych.

119

- No cóż, więc muszę tam jechać. A tutaj nie dzieje się nic, co mogłoby  
uzasadnić wysłanie takiego zespołu do Atlanty?

- Nie, dziś jest normalna sobota. Przynajmniej z mojego punktu widzenia.

W Fort McClellan nie przechowujemy żadnego rodzaju broni.

Trafił pan właśnie

do ośrodka szkoleniowego.

- Rozumiem. Pozwoli pani, że zostawię nazwisko i numer telefonu dla CID,  
tak na wszelki wypadek. Zatrzymałem się w Holiday Inn, przy międzystanówce,  
w Oxford. Pokój numer czterysta pięć.

Powtórzył swoje nazwisko i jeszcze raz okazał identyfikator.

Sierżant zapisa-

ła wszystkie informacje i obiecała, że kilkakrotnie wyśle wiadomość na pager.

Poprosił o wskazanie drogi do magazynu broni, podziękował i wyszedł.

Korzystając z jej wskazówek wrócił do centrum Anniston.

Zatrzymał się

w Burger Kingu na kawę. Później autostradą numer 202 skierował się na zachód.

Dwupasmowa droga poprowadziła go przez otwarte przestrzenie i lesiste wzgó-  
rza. Tylko tu i ówdzie dostrzec można było skupiska przyczep mieszkalnych.

Wypatrywał drogowskazów do magazynu, ale ich nie było. Po przejechaniu pięt-

nastu kilometrów zjechał na stację benzynową i zapytał o drogę.

Skierowano go

do następnego skrzyżowania. Dopiero tam znalazł niezbyt

rzucający się w oczy

znak kierujący do Wojskowego Magazynu Broni w Anniston.

Skręcił w prawo i jechał drogą wiodącą przez sosnowy las. Podświadomie Spodziewał się zobaczyć druty kolczaste, wieże strażnicze i ogrodzenia pod napięciem. Po przejechaniu prawie dwóch kilometrów droga przecięła tory kolejowe, a dalej skręciła w prawo i przed nim otwarła się przestrzeń przypominająca nieco kosmodrom. Na wyznaczonych miejscach parkingowych stały potężne ciężarówki, za którymi widok zasłaniały potężne, stalowe wrota. Dalej dostrzegł dachy kilku pozbawionych okien budynków przemysłowych, wykonanych z litego betonu. Pod bramą, obok drogi, biegły tory kolejowe, które kończyły się zapewne przy budynkach. Po tej stronie ogrodzenia nie było widać nawet żywego ducha.

Zjechał ze wzgórza. Ze stróżówki na jego widok wyłonił się uzbrojony cywil. Dave zatrzymał się, okazał dokumenty, mając nadzieję, że dzięki nim i samochodowi na federalnych numerach zapewni sobie wejście do środka. To zamknięty posterunek - oświadczył wartownik. - Jeżeli chce pan rozmawiać z konkretną osobą, możemy powiadomić ją o tym telefonicznie. Dopiero wtedy zostanie podjęta decyzja o wpuszczeniu pana.

Nie, nikogo tu nie znam. Miałem tylko nadzieję, że na terenie magazynu znajduje się placówka CID.

- Nie, jest w Fort McClellan.
- Rozumiem. A czy stacjonuje tu jakaś grupa szybkiego reagowania? Ze-  
spół, który porusza się dwoma dużymi ciężarówkami?

Mina wartownika pozostała zupełnie beznamiętna.  
- Nic mi nie wiadomo o żadnym zespole - odpowiedział zwracając dokumenty. - Trafił pan do magazynu broni specjalnych. Nie wolno mi pana wpuścić. Tam może pan zawrócić.

120

Stafford podziękował i postąpił zgodnie ze wskazówką. Gdy odjeżdżał, widział jak strażnik notuje coś pospiesznie. Pewnie musi odnotowywać wszystkie przypadki odmówienia dostępu do bazy. Dave zastanowił się, czy ta procedura nie spowoduje żadnych nieprzyjemności.

Wrócił do Anniston, rozmyślając po drodze co powinien teraz zrobić.

### **Sobota, Mount Vernon, Virginia, 17.00**

- Lee, to oficer dyżurny z Pentagonu - powiedziała Sue Carrothers, podając mężowi przenośny telefon.
- Generał Carrothers - przedstawił się zastępcą dowódcy wojsk chemicz-

nych marszcząc czoło. Takie telefony w sobotnie popołudnie nigdy nie zapowiadały niczego dobrego.

- Mówi major Mason, sif. Oficer dyżurny wojsk chemicznych. Otrzymaliśmy telefon z Fort McClellan. Czy możemy przejść na łącze kodowane?

Carrothers przekazał telefon żonie, i przeszedł do gabinetu, gdzie przełączył rozmowę na stacjonarny telefon z kodowaniem. W słuchawce rozległ się sygnał obwieszczający uruchomienie zabezpieczenia przed podsłuchem. - Słucham - powiedział.

- Chodzi o sprawę prowadzoną przez tajną grupę operacyjną. Agent Dochodzeniowych Służb Kryminalnych Departamentu Obrony - David Stafford - zjawił się dziś rano w McClellan i chciał rozmawiać z pracownikiem CID. Pracownica zanotowała jego dane i obiecała skontaktować się z przedstawicielem Departamentu Dochodzeń Kryminalnych, który był jednak niedostępny i do tej pory nie skontaktował się z nim.

- A dlaczego miałyby to nas zainteresować?
- Bo pytał o grupę szybkiego reagowania, która wczoraj zjawiała się w Fort Gillem.

- O cholera!
- Tak jest, To jeszcze nie wszystko; Ta pracownica żandarmerii odpowiedziała, że nic nie wie o takim zespole i wysłała go do magazynu.

- I co?
- Rzeczywiście wybrał się i tam. Próbował, chociaż bez skutku, dostać się do bazy, a przy okazji zapytał strażnika o grupę szybkiego reagowania. Wartownik zbył go oczywiście i zapisał cały przebieg rozmowy oraz jego dane. Wszystko przekazał miejscowemu dyżurnemu, traktując sprawę jako nietypowe zajście.

Dyżurny z kolei skontaktował się z dowódcą magazynu, a skoro to z naszego rozkazu wysłali zespół do Gillem, ten zatelefonował do mnie.

Procedura decyzyjna. Czasami rzeczywiście działa.

- Jeszcze raz proszę powiedzieć kim jest ten facet?
- Inspektor dochodzeniowy piętnastej klasy, nazywa się David Stafford, z centrali DCIS z Waszyngtonu, wysłany z zadaniem do Atlanty. Sprawdziłem go tamtejszego oficera dyżurnego i poniekąd potwierdził jego uprawnienia.

121

- Poniekąd?
- No cóż, wygląda na to, że mamy do czynienia z prowokatorem. Z napiętym odmiencem. Niezależny profesjonalista, cieszący się dobrą reputacją w DCIS, dopóki nie rozpoczął wojny z wysokim urzędnikiem o nazwisku Bernstein, a później także z kimś wysoko postawionym w FBI.

- Co się zdarzyło?
- To dość typowa sprawa, generale. Facet, z którym rozmawiałem, powiedział, że ten Bernstein sprzedawał tajne informacje. Dotyczyło to delikatnej sprawy prowadzonej przez DCIS przeciw dużemu dostawcy sprzętu dla Departamentu Obrony. Członek lobby zbrojeniowego, który otrzymywał cynk od Bernsteina kontaktował się z osobą związaną z owym dostawcą. W ten sposób tajne informacje trafiały do zainteresowanego, pomagając mu w przygotowaniu linii obrony. W odwrotną zaś stronę wędrowały pieniądze, które trafiały także do kieszeni Bernsteina, występującego w roli „konsultanta”.
- Świetnie. W jaki sposób Stafford rozgryzł cały ten schemat?
- Zainteresował go podejrzenie wysoki poziom życia Bernsteina. Podobno początkowo sprawa nie zanosila się na poważną, ale Bernstein najwidoczniej w pewnym momencie spanikował i zwrócił się z prośbą do wysokiego urzędnika z FBI, żeby dobrał się Staffordowi do skóry. Kiedy Stafford poczuł się zagrożony, nie wytrzymał i wciągnął w dochodzenie urząd podatkowy. W rezultacie doszło do wykrycia ogromnych niedeklarowanych dochodów i sprawa ujrzała światło dzienne.
- Bernstein trafił do więzienia?
- Nie. Miał szerokie poparcie polityczne. Podczas dochodzenia przeszedł na stronę urzędu podatkowego i zeznawał przeciw dostawcy Departamentu Obrony i pracownikowi FBI. W zamian za zwrot łapówek otrzymał nietykalność i zapomniano mu jego grzechy. Został oddelegowany do innych zadań i wysłany za granicę. Facet z FBI otrzymał reprimendę i na tym się skończyło.
- Zazwyczaj tak to wygląda w Biurze. Stafford zaś narobił sobie dwóch poważnych wrogów. Co dokładnie robi teraz w Atlancie?
- Teoretycznie prowadzi dochodzenie w sprawie domniemyanych defraudacji w systemie DRMO, ale dyżurny DCIS powiedział, że nieoficjalnie został skazany na banicję. Dostarczył nam jeszcze jednej ciekawej informacji: lokalny szef placówki DCIS ze Smyrna rozpoczął poszukiwania Stafforda, bo ten nie zgłosił się do jego biura dziś rano.
- Bo węszył w Anniston. Czego od niego chcieli?
- Dyżurny nie wiedział, generale. Prosił, żebyśmy powiadomili ich, gdy ustalimy gdzie teraz jest.

Carrothers długo milczał - rozmyślając. Coś niedobrego się tu działo i oczywiście musieli do tego dojść akurat w sobotę.

- Dobra - uznał. - Cieszę się bardzo, że to wy pełnicie dyżur, majorze. Świetna robota. Lepiej skontaktuję się z generałem Waddellem. Jeszcze się do was odezwę.

Generał zatelefonował do przełożonego w Alexandrii, ale go nie zastał. Zostawił wiadomość, prosząc o odpowiedź. Jego żona czyściła akurat srebra w kuchni.

122

- Gdzieś się pali? - zapytała.
- W pewnym sensie tak. Chodzi o tę sprawę, o której rozmawialiśmy rano.

Wciąż nie opuszcza mnie złe przeczucie, że nie ucichnie tak szybko.

- A powinna?

Westchnął i wyrzucił przez okno.

-?- Instynkt nakazuje mi wbić się w mundur i czym prędzej jechać do pracy.

- Zawsze powtarzasz, że dobrze jest słuchać przeczuc.

".-> Tak, to prawda.

- Bądź tylko pewien, że ufasz samemu sobie, Lee. Druga gwiazdka nie jest warta bycia częścią czegoś, co ewidentnie cuchnie.

Stał bez ruchu, z rękoma w kieszeniach.

- Waddell dał mi wyraźnie do zrozumienia, że oczekuje ode mnie zdania zgodnego z całą grupą operacyjną. Według niego to dla mnie szansa na pokazanie, że naprawdę wiem jak prowadzić grę o dużą stawkę.

Sue odłożyła szmatkę do polerowania.

- A ty co o tym myślisz?
- Sam nie wiem. Ale wydaje mi się, że jakiś drań ukradł tę broń chemiczną.
- No proszę. A grube ryby nie chcą o tym słyszeć?
- Nawet słowa.

Pochyliła się, położyła mu dłoń na policzku i pocałowała. Jej palce pachniały pastą do srebra.

- Rób to, co uważasz za stosowne, mój ty samotny wojowniku.
- Tak jest, pani Carrothers - powiedział, jednocześnie kręcąc głową. - Czasami mam wrażenie, że nigdy nie nauczyliśmy się niczego w wojsku.

; - Twój mundur na poniedziałek jest już przygotowany w szafie.

Był na górze i przebierał się, kiedy oddzwonił generał Waddell. Przełączyli się na zabezpieczoną linię i Carrothers zrelacjonował wieści usłyszane od Maso-  
na. Dodał, że już wybiera się do Pentagonu.

- DCIS? - zdziwił się szef wojsk chemicznych. - Ambrose Fuller powiedział, że podczas naszej wizyty w DRMO był tam jakiś facet z DCIS. Mason uważa, że ten Stafford wie o cylindrze?
- Wygląda na to, że facet przynajmniej coś podejrzewa. Najpierw był na jiniejscu, w Fort Gillem, a później zjawił się w magazynie w Aftniston.
- Nie potrzebujemy żadnych kłopotów. Ludzie z McCleUan Wiedzą, gdzie zatrzymał się w Anniston?

< - Tak, chyba tak.

Waddell milczał przez chwilę.

- W porządku, znajduje się tam szkoła żandarmerii. A to znaczy, że skoszarowanych jest tam co najmniej pięciuset żandarmów. Niech go znajdą i zatrzymają. Natychmiast. A ty powiadom DCIS, kiedy już go przymkniemy.
- Mamy zatrzymać agenta federalnego, generale?
- Tak. Jego przełożony przecież go poszukuje, prawda?

Poza tym próbował dostać się do bazy wojskowej o szczególnym znaczeniu. Zawsze możemy powie-

123  
dzieć, że nie byliśmy do końca przekonani o autentyczności jego dokumentów. Kiedy DCIS potwierdzi jego tożsamość, przekazemy go im, ale dopiero kiedy obiecują, że usuną go z widoku i dopilnują, żeby więcej nie wchodził nam w drogę.

Carrothers starał się ukryć w głosie wątpliwości.  
- Tak jest. Natychmiast się tym zajmę - powiedział, ale przełożony już się rozłączył.

### **Sobota, Oxford, Alabama, 17.30**

Słońce zniknęło już za horyzontem, kiedy Stafford wrócił do motelu. Zatrzymał się w Anniston na późny lunch, a następnie zmarnował mnóstwo czasu w korytarzach, jadąc do Oxford. Zaparkował samochód w pobliżu swojego pokoju w czwartym budynku. Otwierał drzwi wejściowe, gdy ktoś za plecami wypowiedział jego nazwisko. Pospiesznie odwrócił się i spostrzegł czarnoskórego mężczyznę.

- Tak? - zapytał, starając się ukryć zaskoczenie. W sytuacjach takich jak ta żałował, że nie jest nawet w stanie posługiwać się bronią.
- Jestem Kevin Durand. Byłem dziś rano w biurze żandarmerii. Słyszałem, jak pytał pan czy nie dzieje się nic dziwnego z bronią chemiczną. Usłyszałem, że jest pan agentem federalnym i zatrzymał się pan właśnie tutaj.

—r Czy rzeczywiście coś się dzieje, panie Durand?  
- Tak. A przynajmniej tak mi się wydaje.  
Mężczyzna rozejrzał się, dając wyraźny sygnał, że nie chce rozmawiać w tym miejscu. Dave postanowił zaryzykować.

- Zapraszam do środka. Proszę powiedzieć, o co dokładnie chodzi.

Durand posłuchał i zajął miejsce w fotelu obok telewizora. Opowiedział Staf-

fordowi o swojej dziewczynie - specjalistce Latonyi Mayfield - której nie wypuszczono z pracy. Właśnie dlatego on zjawił się rano w biurze żandarmerii.

Według plotek ona i jej współpracownicy zostali odcięci od świata z powodu kłopotów, związanych z zaginięciem jakichś materiałów z magazynu.

Nic więcej nie udało mu się ustalić.

Dave zapytał, czym konkretnie zajmuje się jego dziewczyna. Kiedy uzyskał odpowiedź, w zamyśleniu pokiwał głową. Ta historia potwierdzała jeden z elementów układanki, z którą miał do czynienia: rzeczywiście wyglądało na to, że wojsko coś zgubiło i niewykluczone, że właśnie ta dziewczyna to odkryła.

- Czy jest pan w stanie skontaktować się z nią?  
• Nie. Próbowałem dzwonić i nawet chciałem osobiście wejść na teren magazynu. Uzyskałem tylko informację, że nic jej nie jest oraz radę, bym się o nią nie martwił. Wyjaśniono mu, że dostała specjalne zadanie. Ale nie wierzę takim tłumaczeniom.

• Martwi się pan o nią, prawda?  
• Tak. Na pewno dzieje się tam coś niedobrego.  
Stafford zastanowił się jak poprowadzić dalszą część rozmowy. Nie miał zbyt-  
niechętnie o chęci dzielić się tym ze zwykłym cywilem, co sam ustalił, a raczej co podej-

124

rzewał. Nawet jeżeli ten ktoś zdecydował się podzielić z nim zdobytymi informacjami.

- Panie Durand - przemówił wreszcie. - Wydaje mi się, że ma pan rację. Podejrzewam, że będą trzymać pana dziewczynę w zamknięciu, dopóki zaistniały problem, cokolwiek to jest, się nie wyjaśni. W jakiś sposób wiąże się to ze sprawą, którą prowadzę w Atlantycie. Proszę powiedzieć, czy ma pan dokąd wyjechać?

Durand popatrzył na niego wyraźnie zaskoczony.  
• Słucham? Chodzi panu o ucieczkę z miasta?  
• Tak. Właśnie o to. Proszę zniknąć z widoku. Wybrać się na odpoczynek.

• A co z Latonią?  
• Jeżeli rzeczywiście doszło do tego, co podejrzewam, wojsko ma znacznie większe problemy niż Latonia.

• I uważa pan, że po prostu powinienem wyjechać?

• Tak. Nie sprawi to panu większego kłopotu? Mężczyzna uśmiechnął się.

• Czy czarnoskóry może zniknąć w Alabamie? Chyba pan żartuje.

• A więc dobrze. Na pana miejscu zaszyłbym się w jakimś zaciszu.

Durand bez przekonania pokręcił głową.

— Ale co ja takiego zrobiłem.

• Zupełnie nic. To na wypadek, gdyby wojsko uznało, że wie pan coś, co pokrzyżowałoby im plany.

• Jestem przecież cywilem!

• Czy nazwałby pan to miasto zdominowanym przez wojsko,

panie Durand?

Zapytany zacisnął usta i zastanawiał się przez moment. Wreszcie przytaknął.

- Tak, bez wątpienia.

r- Mam nadzieję, że zrozumiał pan co mam na myśli.

Durand podziękował, pożegnał się i wyszedł. Dave wyszukał zaś numer do

Mura Raya Sparksa. Przyjaciel powinien być w domu. Dzisiaj sobota i dochodzi

osiemnasta, ale nie zaszkodzi sprawdzić, czy tam go nie ma - uznał.

Ktoś odebrał już po pierwszym dzwonku.

DCIS, Sparks. Linia niekodowana.

- Cześć, Ray.

- Dave! Gdzie jesteś, do diabła? Miałeś zjawić się u mnie z samego rana.

Staffordowi wydało się, że słyszy dźwięki sugerujące, iż Sparks nie jest w pokoju sam.

- Wydawało mi się, że chodzi o poniedziałek, Ray - odpowiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał beztrzesko. - Nie wiedziałem, że pracujesz w soboty.

- Powiedziałem przecież, że chodzi o dzisiejszy dzień.

Gdzie się podziwasz?

Sparks bez wątpienia korzystał z funkcji mówienia tylko z naciśniętym przyciskiem, żeby wyciszyć rozmowę toczącą się w tle.

- W Anniston, w Alabamie.

- Och, Dave, mówiłem, żebyś zapomniał o tej sprawie z wojskiem.

125

- Wiem, ale pozwól, że powiem ci, co właśnie ustaliłem. - Przedstawił wnioski

płynące ze słów Kevina Duranda, określając go tylko jako tajnego informatora. -

Zgubili jakąś broń, Ray. Jestem tego pewien. I jestem gotów się

złożyć, że ten

drań Carson ją ukradł. Nie możemy siedzieć z założonymi rękoma, dysponując

taką wiedzą.

W słuchawce zapanowało milczenie. Stafford zastanowił się, czy Sparks nie rozmawia z kimś na boku.

- Gdzie dokładnie jesteś w tym Anniston, Dave?

Po plecach Dave'a przebiegł zimny dreszcz.

- W jednym z moteli. A czemu pytasz?

- W którym? Podaj mi numer do siebie, żebyśmy mogli oddzwonić. I numer pokoju.

- Czuję się tak, jakbym uciekał przed ręką sprawiedliwości, Ray. Dlaczego

tak bardzo zależy ci na tych informacjach?

- Dave, nie igrzaj ze mną. Gdzie jesteś. Do cholery, co to za motel?

Stafford powoli odłożył słuchawkę i długo nie odrywał wzroku od aparatu

telefonicznego. Co się dzieje, do diabła? Co dokładnie powiedział tej funkcjo-

nariuszce żandarmerii dziś rano? Widać, że wystarczająco dużo.

Durand odnalazł go bez większych trudności. Sparks także nie będzie miał z tym problemów.

Spakował się najszybciej jak mógł, związał walizkę z torbą i wyniósł się po koju. Ostrożnie wyjrzał na zewnątrz, lustrując okolicę, ale nic niepokojącego się nie działo. Najspokojniej, jak umiał przeszedł do swojego samochodu i wstawił bagaże do kufra. Jeszcze raz rozejrzał się po parkingu, wsiadł do wozu i odjechał.

Po drugiej stronie czteropasmowej autostrady znajdował się motel Best Western.

Wyjechał na autostradę, zawrócił w dozwolonym miejscu i zatrzymał się na parking należącym do tamtego motelu. Ustawił się przodem do Holiday Inn i czekał nie gasząc silnika.

Cholera jasna - przebiegło mu przez głowę. Co tu się dzieje, do diabła? Był

w stanie zrozumieć wcześniejszą niechęć Sparksa do zaakceptowania jego teorii o zaginięciu broni, ale kiedy zadzwonił, przedstawiając dowody uzasadniające swoją teorię, Ray zachował się tak, jakby chodziło mu tylko o schwytanie go.

Aresztowanie - uświadomił sobie. Przypomniawszy sobie groźby Carsona. Może szef DRMO postanowił nie czekać do poniedziałku.

Dwadzieścia minut później zobaczył to, co spodziewał się ujrzeć: trzy samochody żandarmerii z włączonymi kogutami nadjechały z lewej strony i wpadły na parking należący do Holiday Inn. Ze środka wysypało się kilkunastu funkcjonariuszy i otoczyło motel. Po chwili na miejscu pojawił się także samochód wojskowy.

Dave nie zastanawiał się. Wycofał wóz i skierował w stronę wyjazdu na autostradę. Nagle do głowy przyszła mu pewna myśl. Jeśli Sparks macza w tym palce, żandarmeria wie, czym się poruszam i będą mnie szukać gdzieś na dwudziestce.

Muszę zrobić coś innego. Przede wszystkim pozbyć się tego rzucającego się w oczy samochodu.

126

Myślał szybko. Gdzie będą mnie szukać w ostatniej kolejności? We własnej bazie. W Fort McClellan jest baza samochodowa. Pojadę tam, zasymuluję problemy z autem i wymienię je na inne, podczas gdy wszyscy będą szukać mnie na autostradach. Błyskawicznie podjął decyzję, skręcił w lewo i drogą stanową pojechał na północ do Oxford. We wstecznym lusterku obserwował migające światła kogutów, aż zniknęły mu z oczu.

Po pół godzinie, już niemal w zupełnych ciemnościach,

wjechał na teren bazy transportowej położonej w Fort McClellan. Był zadowolony, że przy bramie nie było żadnego strażnika. Zaparkował crown vica na w pobliżu niewielkiego biura. W środku było widać tylko jednego pracownika. Zgasił silnik i schylił się, by znaleźć skrzynkę bezpiecznikową. Stwierdził, że zamiast bezpieczników są tu tylko przerywacze obwodów. Odszukał przerywacz opatrzony napisem: SWIA-TŁA i rozłączył przewody. Dla pewności przeciął je scyzorykiem tam, gdzie znalazły pod deską rozdzielczą.

Wchodząc do biura przedstawił się sierżantowi dyżurnemu jako agent DCIS. Ponarzekał na kłopoty ze światłami w jego wozie z Fort Gillem i zażądał natychmiastowej wymiany. Sierżant upierał się, że najpierw spróbuje usunąć awarię, bo nie wie, czy wolno mu wydać samochód, wymieniając go na pochodzący z innej bazy. Dave nie szczędził ostrych słów, urągając na biurokratyczne niedogodności. Kwadrans później przejechał przez bramę mocno zużytym, dwudrzwiowym, czarnym chryslerem.

Skręcił na południe, na drogę stanową i przez Anniston skierował się do Oxford, przez cały czas uważnie rozglądając się za pojazdami żandarmerii. Pojawili się wreszcie drogowskazy na międzystanówkę numer 20. Skręcił w autostradę numer 78, którą pojechał na wschód, do kolejnych rozjazdów. Wolał nie przejeżdżać w pobliżu motelu Holiday Inn, korzystając nawet z innego samochodu.

Wreszcie ponownie skręcił na wschód, kierując się drogowskazami na Atlantę. Przez cały czas uważał, by nie przekraczać ograniczeń szybkości. Doszedł do wniosku, że nowy środek lokomocji wystarczy mu do rana. Planował jeszcze dziś pojechać na lotnisko, zostawić wóz na parkingu i wynająć cywilny samochód w budynku terminalu. Zerknął na zegarek. Do Atlanty miał półtorej godziny drogi, więc powinien zdążyć z wymianą aut, zanim wypożyczalnie zostaną zamknięte.

Niestety, nie miał zielonego pojęcia co zrobić później. Przede wszystkim musiał ostrzec Gwen Warren. Dwie osoby wiedziały o jego wypadzie do Graniteville. Sparks był jedną z nich i dodatkowo znał cel tej eskapady. Carson był drugą, chociaż zapewne nie wiedział nic na temat dziewczyny, chyba że przez przypadek skojarzył to z incydentem na lotnisku i wyciągnął szybko daleko posunięte wnioski.

Obawiał się telefonować do Gwen po złożeniu obietnicy, że będzie chronił

dzieci z Willow Grove. Sparks wie o Jess, a wszystko wskazywało na to, że Ray współpracuje z wojskiem. Czyżby przyjaciel opowiedział im o wizji dziewczyny, dotyczącej cylindra? Zaklął już na samą myśl o tym. Armia musiała szaleć z powodu tego pojemnika. Zjawienie się żandarmerii w motelu było najlepszym do-  
127 wodem ich desperacji. Musiał jak najszybciej pozbyć się tego samochodu. Uważając na policyjne patrole rozpędził się do stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

### **Sobota, Pentagon, Waszyngton, 22.15**

Carrothers wszedł do modułu operacyjnego wojsk chemicznych w centrum dowodzenia Armii Stanów Zjednoczonych i napił się kawy. Miejsce to znajdowało się w podziemiach Pentagonu, zapewne, aby zabezpieczyć je przed wrogimi bombardowaniami. Mimo pracującej nieustannie klimatyzacji, czuć tu było pleśń i zgniliznę. Cały budynek wzniesiono na palach osadzonych w bagiennym gruncie. Wraz ze wzrostem poziomu wody w Potomacu na ścianach podziemnej części budynku pojawiały się mokre plamy. Legiony znudzonych oficerów operacyjnych na przestrzeni lat czarnym flamastrem znaczyły na ścianie najwyższe stany wody.

Major Mason stał przy telefonie i dyskutował z oficerem dyżurnym magazynu broni w Anniston, kiedy rozległ się sygnał interkomu.

- Do modułu broni chemicznej, telefon z Fort McClellan na linii trzydziestej szóstej, połączenie kodowane.

Carrothers skinął, że to on odbierze telefon i sięgnął po słuchawkę zestawu STU-III. Dzwonił szef placówki żandarmerii, który zapytał o majora Masona.

• Nie, przy telefonie generał Carrothers. Czy już namierzyliście i złapaliście tego faceta?

• Dobry wieczór, sir. Nie, nie udało się nam jeszcze. Nie było go w motelu, a lokalna policja nie zlokalizowała samochodu pochodzącego z Fort Gillem w okolicach Oxford ani Anniston. Drogówka wciąż go szuka. Wóz jest łatwy do zlokalizowania: to biały crown vic GSA. Jeżeli wyjechał nim na międzystanówkę, lada chwila go dopadniemy.

• Czy coś sugeruje, że wie, iż jest poszukiwany?

• Skontaktowaliśmy się z regionalnym biurem DCIS i rozmawialiśmy 25 je-

go obecnym przełożonym - Sparksem. Mówi, że tego wieczoru rozmawiał ze

Staffordem, ale ten nie zdradził mu dokładnego miejsca pobytu. Powiedział tyk

ko, że jest w Anniston.

- Czy ten Sparks wie dlaczego jeden z jego ludzi węszy w okolicach magazynu w Anniston?
  - Nie odpowiedział wyraźnie na to pytanie. Wydaje mi się, że chce dopaść Stafforda w takim samym stopniu jak my. Może to wskazywać na to, że coś wie o tym. Jeżeli nawet tak jest, nie jest skory do podzielenia się z nami tą wiedzą. Według mnie mamy duże szanse na znalezienie go. W takim samochodzie nie tak łatwo będzie mu się ukryć.
  - Jeśli ciągle z niego korzysta - zauważył generał. - Jakie jest ostatnie miejsce, w którym szukalibyście tego wozu?
- Rozmówca zastanawiał się przez moment.
- Tutaj, na posterunku.

128

- Tak. Lokalna policja też tego nie sprawdzi. Niech miejscowi żandarmi rozejrzą się po okolicy. Ten facet może być sprytniejszy, niż nam wszystkim się wydaje.

Dwadzieścia minut później zakłopotany szef placówki połączył się ponownie i oznajmił, że crown vic został znaleziony w miejscowej bazie transportowej.

Stafford korzystał teraz z czarnego chryslera.

- A kiedy doszło do tej małej podmiany, pułkowniku?
  - Tego wieczoru. Akurat kiedy my przeszukiwaliśmy motel Holiday Inn.
- Jeżeli poszukiwany kierował się do Atlanty, do tego momentu dotarł już na miejsce.

Carrothers odłożył słuchawkę nie mówiąc już ani słowa.

Powstrzymał się przed wrzaśnięciem na podwładnych, ale nie był w stanie uprzejmie zakończyć tej rozmowy. Przekazał uzyskane informacje Masonowi.

- To wyrachowany i inteligentny facet - stwierdził major. - Zakładając, że domyślił się, iż żandarmeria już po niego jedzie, trzeba nie lada tupetu, aby wrócić do bazy i dokonać takiej podmiany.

• Mam złe przeczucie, że w jakiś sposób Stafford poznał prawdziwy cel wizyty zespołu szybkiego reagowania w Atlancie - wyznał generał. - Jego szef wygląda na wkurzonego, ale mimo to nie zdradził, dlaczego zależy mu na szybkim odzyskaniu go.

Mason przytaknął.

- Cóż, niewykluczone, że możemy mieć kłopoty z wewnętrzną koordynacją działań, ale przynajmniej zaginiony cylinder został zniszczony wraz z jego pojemnikiem zabezpieczającym.

Generał zmierzył podwładnego wzrokiem, którego twarz wyglądała nienaturalnie w czerwonym świetle.

- Jesteście co do tego absolutnie pewni, majorze?

- Tak jest - odparł zapytany z przekonaniem. - Generał VSfaddell powiedział, że tak właśnie się stało, więc jestem.

Carrothers przewiercił podwładnego wzrokiem, ale po chwili uspokoił się i rozejrzał po pomieszczeniu. Waddell jasno dał do zrozumienia, o co mu chodzi. Wojska chemiczne nie mogły stracić zarządzanej przez siebie broni. To było po prostu niemożliwe. A starsi oficerowie zaangażowani w sprawę, w obawie o własne tyłki, chcieli jak najszybciej zapomnieć o tej wpadce.

Ale co mówiła mu Sue? - Zaufaj przeczuciom.

- Mason, posłuchajcie czego mi potrzeba - powiedział generał wstając. -

v Niech ten zespół z Anniston zostanie ponownie postawiony do naszej dyspozycji.

Cztery ciężarówki, zamiast dwóch. Chcę, żeby jeszcze raz pojechali do DRMO w Fort Gillem. Dziś w nocy, powiedzmy między pierwszą a piątą. Niech znikną, zanim zaczną robić się widno. Tym razem niech przeszukają całe to miejsce, a nie tylko okolice linii przerobowej. I żeby nikt z miejscowych pracowników nie dowiedział się o ich wizycie. Niech żandarmeria z Anniston dyskretnie otoczy DRMO kordonem tak, aby nikt niepowołany nie węszył po okolicy. Gdyby natknięto się na kogoś takiego, trzeba go zatrzymać.

129

- Tak jest - odpowiedział Mason, sięgając po telefon. - Zajmę się tym. A co' i z generałem Waddellem?
- Osobiście się tym zajmę, majorze. Na dziś wieczór ma zaplanowane przyjęcie, a w poniedziałek wyjeżdża. Aha, jeszcze jedno: kiedy wyruszy już grupa szybkiego reagowania, trzeba zająć się Sparksem z DCIS. Wykonać, majorze!
- Tak jest, panie generale!

Carrothers przeszedł przez centrum operacyjne i szklane drzwi podziemnego segmentu F. Przemierzył pogrążony w półmroku korytarz, przy ścianach którego stały wózki widłowe i jakieś palety. Pod sufitem nad jego głową biegła płatanina rur i przewodów, służących ogromnemu budynkowi. Jego kroki odbijały się głośnym echem, gdy zmierzał do windy, która miała go wywieźć na poziom gruntu. Był weekend i dźwig wyłączono, więc był zmuszony wspiąć się ponad dwadzieścia metrów po metalowych schodach. Chciał przemyśleć całą sytuację, a najlepiej mu to szło, gdy spacerował po bezkresnych korytarzach pięciokątnego kolo-

sa.

Rozkazami, które właśnie wydał, naruszył ciche porozumienie, na które liczył jego zwierzchnik. On i jego poplecznicy najwidoczniej marzyli

tylko o po-  
grzebaniu sprawy. W Anniston i Tooele na pewno posypią się  
głowy za doprowa-  
dzenie do całego kryzysu. Waddell dowie się, iż Carrothers  
ponownie skierował  
grupę z Anniston do DRMO, i on także może zostać zaliczony do  
grona skazań-  
ców. A wtedy na zawsze przepadną nadzieje na zdobycie drugiej  
generalskiej  
gwiazdki i objęcie dowództwa nad wojskami chemicznymi.

Na szczęście Waddell ponownie wybierał się w podróż.  
Najlepiej też, żeby  
zespół szybkiego reagowania wykonał swoje zadanie w weekend,  
kiedy nikogo  
nie będzie na miejscu. Osobiście zadzwoni do dowódcy Fort  
Gillem i powie mu,  
że ostatnie ćwiczenia nie przyniosły spodziewanego efektu i  
podjęto decyzję o ich  
powtarzaniu, aż do skutku. Przecież to nic takiego, prawda,  
pułkowniku?

Wciąż nieznaną była odpowiedź na najważniejsze pytanie:  
czy broń rzeczy-  
wiście została zniszczona, jak wszyscy na to liczyli? A może ktoś  
z DRMO rze-  
czywiście ją znalazł i przywłaszczył? Co można by zrobić ze  
skradzionym po-  
jemnikiem? Próbować sprzedać? A może szantażować wojsko,  
domagając się  
pieniędzy? Płaćcie, albo powiem całemu światu, co zgubiliście.  
Nie chciał nawet  
myśleć o innych możliwościach, jakie dawało wejście w  
posiadanie Oka Szatana.

Nie był w stanie oprzeć się wrażeniu, że ten agent DCIS -  
Stafford - natknął  
się na coś związanego z zaginionym cylindrem. W jakiś sposób  
facet odkrył, że  
pierwsza wizyta zespołu z Anniston to nie były ćwiczenia. Nie był  
w stanie tego  
ustalić... chyba, że Stafford był na miejscu właśnie z powodu  
pojemnika.

Poruszał głową. Nie ma mowy. W ten sposób kręcił się w  
miejscu. Tak samo  
jak po pięciokątym budynku dawnego Fort Fumble. Obok niego  
przejechał na-  
pędzany propanem wózek ciągnący przyczepkę załadowaną  
papierem kompute-  
rowym. Skierował się z powrotem do podziemi.

Musiał wykonać dwa zadania. Najpierw Fort Gillem - należy  
ponownie od-  
wiedzić DRMO i upewnić się czy rzeczywiście nie ma tam śladu  
Oka Szatana.  
Później zaś porozmawiać z szefem DCIS ze Smyta, dowiedzieć  
się, czym tak

130

naprawdę zajmuje się ten Stafford i po co, prawdopodobnie z  
własnej woli, wy-  
brał się do Anniston. Musiał wymyślić jakiś pretekst, by tam  
zadzwoić. Przecież  
facet zjawiał się w magazynie broni w Anniston, gdzie nie powinien  
mieć żadnego  
interesu. A przynajmniej mam taką nadzieję - pomyślał zbiegając

po schodach.

### **Sobota, południowo-zachodnia Atlanta, 23.30**

Wendell Carson siedział w ciemności na zadaszanej werandzie. Ścisnął w rękę butelkę piwa i intensywnie rozmyślał o starszym inspektorze dochodzeniowym Davidzie Staffordzie. Wieczór był niezwykle ciepły jak na tę porę roku. Drzewa na tyłach domu, widoczne na tle poświaty bijącej nad miastem, kołysały się poruszone lekkim wietrzykiem. Jego żona była w domu. Oglądała w sypialni telewizję i nakładała na twarz swoją okropną maseczką. Do jego uszu dobiegały strzępy lokalnych wiadomości.

Stafford wiedział.

Wiedział dlaczego wojsko zjawiało się w DRMO i wiedział jak wyglądał cylinder.

I powiedział, że o wszystkim doniesie armii; Carsona nie obchodziło już w jaki sposób pracownik DCIS wszedł w posiadanie tych informacji. Bud Lambry musiał coś powiedzieć Dillardowi. Może dla własnego bezpieczeństwa zdradził więcej, niż powinien, a ten debil wygadał się przed Staffordem. Tak właśnie musiało być.

Chybaże...

W oddali zakwiliło za matką cielę na pograżonym w ciemnościach pastwisku. Jeszcze dalej jakiś uwiązany pies szczekał jak oszalały, zakłócając panującą wokół ciszę. Na zimnej butelce piwa pojawiły się kropelki wody, które strużką spływały na jego rękę. Po długiej chwili uświadomił sobie, że z całych sił zaciska powieki.

Od tego zdarzenia na lotnisku bezustannie nawiedzał go koszmar, w którym zanurzony w rzece nieubłagane zbliżał się do Wodospadu. Ten obraz znów stanął mu przed oczami. Ponownie czuł na swoim ciele zimny nurt, który pchał go w nieznaną, a później podchodzący do gardła żołądek, gdy zanurzał się coraz bardziej. Nie był sam. Obok niego byli inni ludzie, wszyscy martwi, a jednak mu się przyglądali. Dziesięć tysięcy twarzy, zamartwych w niemym krzyku. W tej przerażającej wizji dominowała twarz tej cholernej dziewczyny z Graniteville, zdającej się zaglądać gdzieś w głąb jego umysłu swymi czarnymi, jak węgle oczami.

Graniteville.

Otworzył oczy, a jednocześnie aż podskoczył w fotelu, Stafford pojechał do Graniteville.

Cholera! Czyżby rzeczywiście istniało tu jakieś powiązanie? Zdał sobie sprawę, że ścisnął butelkę z taką siłą, iż szkło w każdej chwili może

się rozprysnąć i pokaleczyć mu dłoń. Z trudem rozprostował palce. Stafford pojechał do Graniteville, a kiedy stamtąd wrócił - powiedział o cylindrze, którego

131

przecież nie mógł widzieć, bo przez cały czas znajdował się w posiadaniu Carsoha. Nawet wojsko, wyposażone w różnego rodzaju czujniki, nie zdołało go znaleźć, choć mieli go tuż pod nosem.

Graniteville.

Intuicja odpowiedziała mu, że powinien pojechać do DRMO.

Cała jego przyszłość zawierała się w tym pojemniku. Desperacko wprost zapragnął położyć ręce na jego stalowej powierzchni i upewnić się, czy jest na swoim miejscu. Ale najpierw musiał znaleźć wymówkę, by opuścić dom.

Dokończył piwo i wyrzucił butelkę do kosza w kuchni.

Pospiesznie wyszedł

przed frontowe drzwi do pikapa, gdzie znajdował się telefon komórkowy. Zabrał

go do salonu i włączył. Zadzwoił na swój domowy numer i odłożył go. Pospiesznie

dopał do stacjonarnego aparatu i podniósł słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Odebrałem - krzyknął i udał, że z kimś rozmawia. Wreszcie rozłączył się

i przeszedł do sypialni.

- Żandarmeria ma jakieś problemy w DRMO - poinformował.

- Ktoś usiłował się włamać. Pewnie jakiś dzieciaki. Niedługo wrócę.

Żona, skupiona na oglądaniu kolejnego odcinka MASH, machnęła tylko ręką. Przez chwilę przyglądał się jej nalanej twarzy, pokrytej jakąś packą. Uświadomił

sobie, jak ważny jest dla niego cylinder i jak potrzebne są pieniądze, które dostanie w zamian. Wziął bluzę, na wypadek gdyby później zrobiło się chłodniej, zabrał telefon komórkowy i poszedł do samochodu. Dojazd o tej porze do Fort Gil-

lem zajmie mu nie więcej, niż czterdzieści minut.

Musiał znowu zobaczyć cylinder, żeby się uspokoić. Później będzie się mar-

twić o zatarcie śladów, które prowadzą do Graniteville. Nikt nie mógł wiedzieć

o istnieniu cylindra, jeżeli rzeczywiście miał dostać taką górę forsy. Wojsko musiało uwierzyć, że uległ on zniszczeniu, a wtedy pozostanie już tylko Stafford i —

czego nie można było wykluczyć - dziewczyna z Graniteville. Przed oczami znów

stał mu Bud Lambry znikający w paszczy Monstrum, i strugi krwi, które mił\*\*-

szwały się z olejem chłodzącym. Odetchnął głęboko i wyjechał na drogę prowadzącą do miasta. Za milion dolarów zrobię wszystko, co będzie trzeba - postanowił.

### Niedziela, Pentagon, Waszyngton, 00.10

Panie generale, połączenie na linii trzydziestej pierwszej, niekodowane. Pan Ray Sparks z DCIS ze Smyrna.

- Dziękuję - powiedział Carrothers.

Podniósł słuchawkę i poprosił rozmówcę o przejście na kodowanie. Skinął na majora Masona, który przyłożył do ucha dodatkową słuchawkę.

132

• Panie Sparks, przepraszam, że niepokoję o tak nietypowej porze, ale mamy pewne kłopoty z jednym z pańskich ludzi.

• Chodzi o Dave'a Stafforda?

• Zgadza się. Staramy się wyjaśnić, dlaczego pracujący w Waszyngtonie agent

DOS zjawił się w magazynie broni w Anniston i interesował się biurem CtD,

którego wcale tam nie ma. Prawdopodobnie o tym wiedział. Czy coś przychodzi

panu do głowy, panie Sparks?

Przez długą chwilą rozmówca milczał.

- No cóż, generale, sami nie jesteśmy pewni, czego tam szukał. Został przydzielony do sprawy związanej z defraudacjami na terenie DRMO w Fort Ciillem.

Jedynym wytłumaczeniem jest pojawienie się tam waszego zespołu i chęć wyjaśnienia powodu jego wizyty.

Carrothers wychwycił nie zadane pytanie.

• Chodziło o niezapowiedziane ćwiczenia grupy szybkiego zwalczania za-

grożeń chemicznych, panie Sparks - odpowiedział generał. - Skoro nieustannie

wysyłamy broń chemiczną do zniszczenia na placówkę w Utah to, w każdym ze

specjalnych magazynów utrzymujemy w gotowości taki zespół, który często od-

bywa tego rodzaju ćwiczenia. Wysyłamy go do baz wojskowych, zazwyczaj no-

camy, żeby niepotrzebnie nie denerwować cywilów. Mam wobec tego pytanie:

dlaczego pański człowiek tak się tym interesuje?

• To nie jest mój człowiek, generale. Został do mnie skierowany ze stolicy.

Pozwoli pan, że zrewanżuję się pytaniem. Czy istnieje możliwość, że wasza gru-

pa odwiedziła Fort Gillem w celu innym niż ćwiczenia?

Oczy Masona rozszerzyły się gwałtownie.

- Nic mi o tym nie wiadomo, panie Sparks - odparł szybko Carrothers. -

Mamy określoną liczbę miejsc, w które wysyłamy zespół. Centrum operacyjne

losowo wybiera jedno z nich i kieruje tam grupę. A dlaczego pan pyta?

• Z powodu sugestii, które przekazał mi pan Stafford -

wyjaśnił szef pla-

cówki DCIS. - Ale najwidoczniej nie zrozumieliśmy się z nim.

- Jestem bardzo ciekawy, co w rzeczywistości miał na myśli.

Czy istnieje

możliwość porozmawiania z nim?

- Jest z tym pewien kłopot, generale. Mamy problemy Ze znalezieniem go.

Ostatnio dzwonił do mnie z Anniston, a właściwie z Oxford. Kiedy

skontaktowa-

łem się z policją stanową Alabamy, uzyskałem dziwne informacje.

Chciałem się

upewnić, czy nie przytrafił mu się wypadek na autostradzie bądź

też inna nieprzy-

jemność. Alabama słynie przecież z niebezpiecznych dróg. W

każdym razie, pro-

szę sobie wyobrazić, dowiedziałem się, iż został wydany nakaz

zatrzymania Staf-

forda. Pochodził z żandarmerii z Fort McClellan.

Carrothers powoli pokręcił głową, kiedy w powietrzu zawisło

kolejne nic

wypowiedziane pytanie. Mason był zajęty robieniem notatek,

zapewne tylko po

to, by uniknąć wzroku przełożonego.

- Przykro mi, ale nic mi nie wiadomo na ten temat, panie

Sparks. Być może

dowódca bazy w Anniston uznał, że Stafford stara się wydobyć

tajne informacje.

Nie zaszkodzi uruchomić nasze kontakty, żeby sprawdzić, co tam

do licha się

133

dzieje. Co pan na to? Umówmy się, że kiedy tylko nawiąże

pan kontakt ze Staf-

fordem, wyciągnie pan od niego, co go tak zainteresowało. A

później, jeśli to

tylko możliwe, proszę o kontakt. W tym czasie ustalę dlaczego

wydano nakaz

zatrzymania agenta DCIS.

- Tak, bardzo zależy mi na wyjaśnieniu tej kwestii, generale.

Wszyscy prze-

cież działamy w jednej drużynie, prawda?

Carrothers błyskawicznie zrozumiał aluzję i potencjalną

groźbę: DCIS pod-

legało bezpośrednio Departamentowi Obrony, który z kolei

posiadał nadzór nad

Departamentem Armii.

- W pełni się z panem zgadzam - rzekł generał, mając już

ochotę zakończyć

te, rozmowę. - Gra zespołowa przynosi wspaniałe efekty.

Więc dlaczego nie wiesz gdzie jest twój człowiek i czym się

zajmuje, spry-

cifirzu? - dopowiedział w myślach.

- Skontaktuj się z panem, kiedy tylko pomówię ze Staffoidem - zapewnił Sparks.

- Dziękuję. Nie muszę chyba mówić, że jeżeli tylko dzieje się

coś rzeczywi-

ście poważnego, wszystkim nam opłaci się utrzymanie tego we

własnym gronie,

dopóki nie wyjaśnimy całej sprawy, prawda?

- Oczywiście, generale. DCIS również kieruje się w pracy tą

zasadą. Zatem

życzę panu miłego ranka.

Carrothers aż rzucił słuchawkę na widełki. Mason zaś przyglądając mu się pytająco uniósł brwi.

- Cholera - warknął generał. - Sprawa wymyka się nam z rąk. Czuję to. Słyszeliście to pytanie?
- Tak jest. I ta ostatnia uwaga o kierowaniu się tą samą zasadą.
- Innymi słowy będziemy milczeć, chyba, że przyłapicmy wojsko na czymś naprawdę nagannym, a wtedy zaczniemy wrzeszczeć na całe gardło.
- Zgadzą się z panem. Ale skąd ten Stafford mógł wiedzieć, po co tak naprawdę do Atlanty pojechał nasz zespół?

Carrothers wstał i zaczął niespokojnie spacerować.

- Skąd? Teraz ważniejsze jest ustalenie, gdzie on jest Mam nadzieję, że nie obserwuje DRMO, akurat kiedy znowu je odwiedzimy.

Pułkownik pokiwał głową.

- Jeżeli tak, tym razem go zatrzymamy. Będziemy w znacznie lepszej pozycji względem DCIS, gdy umieścimy tego faceta... pod swoimi skrzydłami. Wcześniej rzucił się przecież do gardła własnym przełożonym. Na pewno da się znaleźć jakiegoś haka.

-- Niewykluczone, że tak właśnie trzeba będzie zrobić. Muszę pomyśleć, pułkowniku. Trzeba zrobić wszystko, żeby odzyskać kontrolę nad tą sprawą.

### **Niedziela, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 00.30**

Stafford będąc na parkingu dla ciężarówek uchylił boczną szybę samochodu i wylał resztki kawy na żwir. Wjechał wynajętym samochodem między dwie po-

134

teżne naczepy zaparkowane przy bocznicy kolejowej. Jego pozycja dawała mu wyśmienity widok na wjazd do DRMO, a jednocześnie sam nie rzucał się w oczy.

Podróż z Anniston do Atlanty przebiegała bez żadnych sensacji. Mijał radiowozy drogowki, które nie zainteresowały się jednak, jego nie rzucającym się w oczy, samochodem. Zastanawiał się kiedy wojsko zorientuje się, co zrobił z crown vicem pochodzącym z Fort Gillem. Właściwie to już ich problem. Może powinien postąpić w mniej wyzywający i rzucający się w oczy sposób? Poczucie winy skłoniło go do wysłania na adres bazy transportowej kluczyków, dokumentów wozu i rachunku za parkowanie. Może to nieco pomoże sierżantowi, który go wydał.

Jaki masz teraz plan? - zapytał siebie. Nie był pewien do końca po co właści-

wie wrócił do DRMO. Nie mógł jednak pojechać do swojego hotelu, bo Sparks nakazał zapewne jego obserwację. Nie wypadło mu też zjawiać się w Graniteville o czwartej nad ranem. Teraz był już pewien, że wojsko zgubiło cylinder z jakimś świństwem. Wizyta zespołu szybkiego reagowania, zjawienie się żandarmerii w motelu i zachowanie Sparksa sugerowały poważne kłopoty. Coraz bardziej żałował, że podzielił się z nim swoimi podejrzeniami, bo jeżeli on i cały DCIS nabiorą wody w usta, straci znowu grunt pod nogami.

Poza tym obiecał Gwen Warren, że nie wciągnie Jess w całą sprawę. Mówiąc o niej Sparksowi już i tak złamał dane słowo. Tego naprawdę nie mógł sobie dać rować.

Samochód pełniących nocną służbę żandarmów z Fort Gillem pojawił się na głównej ulicy przed parkingiem i powoli jechał wzdłuż torów kolejowych. Po minucie reflektory radiowozu odbijały się już od budynków na tyłach kompleksu DRMO, a później wóz wyłonił się po przeciwnej stronie i przeciął tory. Stafford był jednak spokojny, bo jego samochód pozostawał niewidoczny w cieniu dwóch potężnych naczep.

Jego myśli powędrowały w stronę Carsona. Był przekonany, że szef placówki posiada cylinder, albo przynajmniej wie, gdzie jest ukryty. Wyznał Sparksowi, że podejrzewa menadżera. Rodziło się pytanie, czyjego współpracownik powiedział o tym wojsku, bo jeśli tak, to w jaki sposób na to zareagowano. Wojsko przecież nie mogło przyznać się do błędu, czy zdecyduje się więc podjąć działania przeciw Carsonowi? Pojawienie się żandarmerii w Holiday Inn bardziej skłaniało do opinii, iż będzie im zależeć raczej na nim, aby utrzymać swoją wpadkę w tajemnicy. Z drugiej strony jednak miał nadzieję, że w dzisiejszych czasach wojsko nie zdecyduje się tak po prostu przycisnąć agenta federalnego do muru. Kto to wie... Wystarczy, że Carson będzie teraz siedział cicho i czekał. Później zaś zrobi z tym pojemnikiem wszystko co zechce, zakładając oczywiście, że wojsko go nie znajdzie.

Lewą dłonią po raz kolejny przetarł powieki. Jaki więc miał plan? Była niedzielna noc. W DRMO aż do poniedziałku nikt nie powinien się zjawić. Może tak pójdzie do środka i samodzielnie się rozejrzy? Ziewnął, czując jak kofeina przestaje działać. To raczej bezcelowe - uznał. Wszystkie magazyny aż pękają szwach... a pojemnik mógł być ukryty praktycznie wszędzie. Poza tym mogło go tu w ogóle

nie być. Przede wszystkim musiał się przespać, a później, już w świetle dnia, pojechać do Graniteville. Tym razem porozmawia bezpośrednio z Jessamine. Cóż za fascynujące imię. I tak rozmyślając - zasnął.

Za dziesięć pierwsza Wendell Carson przejechał przez bramę Fort Gillem. Minął pustą stróżówkę i główną drogą dojechał na parking DRMO po drugiej stronie torów. W okolicy było zupełnie pusto, tylko nieco dalej stało kilka wojskowych naczep. Zaparkował w tym samym miejscu co zwykle. Zgasił silnik i odczekał kilka minut. Chciał mieć absolutną pewność, że nikt go nie obserwuje. Obawiał się nocnego patrolu, bo gdyby się na nich natknął, to musiałby się tłumaczyć z wizyty o tak nietypowej porze.

Po upływie kwadransa patrol rzeczywiście się pojawił. Carson zsunął się w fotelu. Na szczęście żandarmi nie zwrócili uwagi na wojskowego pikapa, którego wcześniej tu nie było. Menadżer wysiadł pośpiesznie i szybko przeszedł do budynku administracyjnego, gdy tylko radiowóz zniknął za torami. Nie zapalając nigdzie światła przeszedł prosto do tylnego wyjścia, które prowadziło do magazynu aukcyjnego. Zatrzymał się przy drzwiach i wyjrzał przez znajdujące się w nich okienko na otwartą przestrzeń. Dawny pas startowy był rzęsiście oświetlony latarniami umieszczonymi na każdym z magazynów. W ich świetle było tylko wiadac palety ze sprzętem, który nie był ulokowany pod dachem. Przy hangarze mieszczącym linię przerobową stały cztery naczepy. Popatrzył na zegarek. Żandarmi zjawiali się co trzydzieści, czterdzieści minut, ale nie zatrzymują się i nie sprawdzają żadnego z budynków, jeśli coś nie zwróci ich uwagi. Wydostał się przez tylne wyjście i pewnym krokiem przemierzył pas Startowy. W razie gdyby ktoś go obserwował, chciał sprawiać wrażenie Osoby na właściwym miejscu. Był przecież menadżerem sprawdzającym, czy wszystko jest w porządku. Skierował się prosto do budynku, w którym był podajnik i wszedł do środka przez drzwi zabezpieczone zamkiem cyfrowym. Wewnątrz panowały ciemności, rozświetlane tylko dwoma lampkami kontrolnymi. Regały, podobnie jak pas dochodzący do Monstrum, były puste. Dla pewności obszedł cały magazyn. Jedynym działającym tu urządzeniem była akumulatorownia, do której podłączone zostały elektryczne wózki widłowe.

Raz jeszcze wyszedł na zewnątrz, by zobaczyć, czy nic się nie dzieje. Skiero<sup>^</sup>wał się wreszcie do pomieszczenia przerobowego i uważnie zamknął za sobą drzwi, by zadziałał zamek cyfrowy. Przemierzył przedsionek i udał się do rozdzielni. Na ścianie migotały lampki kontrolne, a przez szybę było widać pogrążone niemal w całkowitym mroku Monstrum i pas transportowy. Zbliżył się do podajnika i powtórnie rozejrzał na wszystkie strony. Położył dłonie na ostatniej rolce napędzającej przed wlotem do maszyny i po omacku odliczył trzecią. Powiniennem wziąć ze sobą latarkę - pomyślał. Przyklęknął i mrucząc oczy uważnie się jej przyjrzał. Nie różniła się niczym od pozostałych. Dotknął idealnie wypolerowanej, stalowej powierzchni i ze zdziwieniem stwierdził, że jest ciepła. Pospiesznie cofnął rękę, lecz po chwili spróbował po-

136

nownie. Znowu to samo. Sprawdził dwie sąsiednie rolki, które były zupełnie zimne. Przypomniał sobie, że już wcześniej mu się wydawało, iż cylinder miał podwyższoną temperaturę.

Zastanowił się nad tym głęboko. Dlaczego - do diabła - tak się działo? Czyżby wewnątrz pojemnika zachodziły jakieś reakcje chemiczne? Czy substancja w środku była niestała?

Sprawdził jeszcze raz. Nie ma wątpliwości. Nagle, gdy się prostował, ogarnął go niemal paniczny strach. Czy bezpieczne będzie otwarcie rolki, by wyjąć pojemnik ze środka? Przypuśćmy, że ciśnienie wewnątrz wzrosło do niebezpiecznego poziomu, albo jeszcze gorzej - pojemnik utracił szczelność? Zaaferowany nie słyszał hałasu, który towarzyszył przyjazdowi kilku potężnych ciężarówek, dopóki jedna z nich nie zahamowała gwałtownie. Na ten dźwięk Carson niemal „wyskoczył ze skóry”.

Przebiegł do przedsionka, ale drzwi wejściowe nie miały tutaj nawet małej szybki. Nasłuchiwał więc tylko. Ciężarówki... Co najmniej kilka. Trzask drzwi, tupanie wielu stóp. Radio. Zgrzyt przesuwania jakichś ciężkich przedmiotów.

Próbował otworzyć drzwi prowadzące do przyległego magazynu, ale były zamknięte. Zaklął głośno, uświadomiwszy sobie, że do ich otwarcia potrzebuje klucza operatorskiego. Po zniknięciu Buda trzeba było dorobić nowy, a jedyny dostępny znajdował się teraz w kontrolnym pomieszczeniu ochrony. Nie mógł skorzystać z drzwi frontowych, a tylnych nie było. Był więc uwięziony w hanga-

rze.

Jeżeli tamci ta wejda, jak na Boga, wyjaśni co tu robi? Nie było sposobu, by mógł się tu ukryć.

Roztrzęsiony rozglądał się wokół, podczas gdy hałas na zewnątrz wciąż narażał. Bez wątplenia przyjechało co najmniej kilkanaście osób. Nagle jego wzrok zatrzymał się na połączeniu z halą, gdzie ładowano pas transmisyjny. Przypomniał sobie tę noc, kiedy Lambry przesunął się przez nie, niesiony na podajniku, a on nie mógł otworzyć drzwiczek z drugiej strony. Stało się tak dlatego, że uchylały się tylko w jedną stronę. Właśnie stąd dawało się je otworzyć!

Pospiesznie podszedł do pasa i wspiał się. Pełznąć na czworaka dostał się między bariery zabezpieczające i sięgnął do uchylonych drzwiczek. Znajdowała się między nimi szpara, w którą wsunął palce - mocno pociągnął. Poruszyły się, ale tylko nieznacznie. Zawiasy najwidoczniej były na sprężynach, ale coś innego musiało je trzymać. Macał w półmroku w poszukiwaniu jakiegoś zwolnienia blokady, ale nic takiego tam nie było. Wreszcie zrozumiał: występy na pasie uruchamiały zapadki drzwi i dopiero po uruchomieniu podajnika można było je otworzyć. Spróbował więc poruszyć pas, ale nie był w stanie zrobić tego ręcznie.

Musiał się stąd jakoś wydostać. Ktokolwiek był na zewnątrz, może go znaleźć w każdym budynku z wyjątkiem tego.

Przeczołgał się z powrotem na podłogę i przebiegł do pomieszczenia kontrolnego. Włączył główny przycisk zasilania i zlokalizował klawisze do obsługi podajnika. Nie mógł uruchomić Monstrum, bo narobiłoby to niewiarygodnego wprost

137

hałasu. Poruszy jednak pas. Przez chwilę się wahał, ale wreszcie nacisnął odpowiedni przycisk. Podajnik zaczął pracę. Towarzyszył mu szum elektrycznych generatorów w sąsiednim pomieszczeniu. Pospiesz się - nakazał sobie. Zaraz cię usłyszą. Ponownie wskoczył na pas i posuwał się w stronę przeciwną, do jego ruchu. Z tyłu Monstrum szczyrzyło do niego swoje stalowe zęby.

Dostał się do drzwiczek, które zgodnie z jego przewidywaniami były uchylone. Otworzą się na oścież, zanim dotarłyby tu pierwsze przedmioty przeznaczone do zniszczenia. Miał już przedostać się na drugą stronę, kiedy uświadomił sobie, że trzeba wyłączyć zasilanie. Zaklął siarczyście. Ściągnął pas od spodni i przy-mocował nim jedną część drzwiczek do kratki zabezpieczającej. Odwrócił się

i zaczął posuwać w przeciwną stronę, czując że spodnie zsuwają się z bioder. Podciągnął je nerwowym ruchem. Coś trzymało jedną z nogawek. Zorientował się, że została wciągnięta pod spód pasa transportowego. Ponownie zaklął i mocniej pociągnął. Nie dało to żadnego rezultatu. Z każdą mijaną rolką uchwyt był coraz mocniejszy.

Przerażony - podniósł wzrok. Został uwięziony i kierował się prosto do pasz-czy Monstrum. Machina przerobowa co prawda nie pracowała, ale jej potężne rozdrabniające noże znajdowały się na miejscu, jakby czekając na kontakt z jego ciałem. Przykazał sobie, by nie wpadać w panikę, a jednocześnie czuł, jak z każdą chwilą potężna siła coraz bardziej wygina mu nogę. Ucisk wokół kostki stawał się nie do wytrzymania. Po czym stracił czucie w stopie.

Czekaj. - Po prostu czekaj. - Zostaniesz uwolniony, kiedy znajdziesz się za ostatnią rolką napędową. Pozostało ich jeszcze pięć, później cztery, a wreszcie trzy. Sprężył się, by w ostatniej chwili zeskoczyć z podajnika. W momencie gdy stopa znalazła się za ostatnią rolką, w niebezpiecznej bliskości ostrz, szarpnął z całych sił nogą. Ta zamiast się oswobodzić, została raptownie pociągnięta. Szarpnięcie było tak gwałtowne, że niemal zawisł głową w dół. Z uwięzioną wciąż prawą nogą, wsparł się rękoma i lewą nogą na lśniącej podłodze z linoleum. Trwał w takiej pozycji krótką chwilę, a zdawało mu się, że minęła wieczność. Oswobo<sup>^</sup>dził się wreszcie i z głośnym jękiem upadł na posadzkę.

Wstał, zaciskając zęby z powodu bólu przeszywającego mu kostkę. Dźwięki z zewnątrz przybierały na sile. Musiał wyłączyć pas i wynosić się stąd - najszybciej, jak się tylko da. Podciągnął spodnie i niezdarnie pokuśtykał do konsoli. Wyłączył zasilanie. Z niemałym trudem wrócił do nieruchomego już podajnika. Wspiął się na niego objając przy tym kolana o twarde rolki. Z trudem dotarł do drzwiczek. Przecisnął się przez nie i sięgnął po pasek od spodni. Nagle zamarł. - Czy te diabelskie drzwi nie zamkną się przypadkiem i nie przytrzasną mi ręki? Stwierdziwszy, że to bardzo prawdopodobne, przesunął się poza barierekki zabezpieczające i zeskoczył z pasa. Rozejrzał się i spostrzegł plastikowe pojemniki przeznaczone na mniejsze przedmioty do przerobu. Chwycił jeden z nich, wrócił do drzwiczek i zablokował je. Dopiero wtedy oswobodził pasek. Tak jak się spodziewał, drzwiczki zamknęły się z dużą siłą i z pewnością uszkodziłyby mu rękę, gdyby nie zatrzymała ich plastikowa skrzynka. Wyszarpnął ją z trudem zacierając

ślady swej bytności w hali przerobowej.

138

Zszedł z podajnika i z wałącym w piersiach sercem pokuśtykał do frontowych drzwi magazynu. Mógł stąd wyrzeć na plac przed budynkami. To znowu wojsko. Tym razem jednak zjawily się cztery wielkie ciężarówki, które przywiozły znacznie więcej ludzi. Było ich całe mnóstwo. Dwa pojazdy wyposażone w działające już generatory zasilaly silne jupitery.

Muszę się stąd wydostać - ale nie tędy - myślał pospiesznie. Dobrze, że to pomieszczenie było wyposażone w wyjście ewakuacyjne. Poprawił swój strój i po\*człapał na tyły magazynu. Czuł pewną ulgę, że udało mu się wydostać z poten\*cialnej pułapki. Starał się w ogóle nie myśleć o swoim uwięzieniu na pasie transportowym. Był niemal w tej samej sytuacji, co Lambry, tyle że tamten stracił przytomność.

Dotarł do tylnych drzwi i zatrzymał się. Za szeregiem magazynów znajdowała się alejka, na tyle szeroka, by mogły nią jeździć wózki widłowe, ale za wąska dla ciężarówek. Za nią zaś wznosiła się wysoka siatka. Mógł pójść w jedną ze stron, otoczyć cały kompleks i w rezultacie dotrzeć do swojego samochodu. Sprawdził drzwi. Były solidne i odporne na ogień, z zamkiem pozwalającym otworzyć je tylko od wewnątrz. Upewnił się, czy nie są podłączone do alarmu, nacisnął klamkę, otworzył je i wydostał się na ciemną aleję.

Na zewnątrz znacznie wyraźniej słyszał hałasy dobiegające z przeciwnej strony budynku. To dobrze, że przybysze zachowywali się tak głośno, bo tym samym zagłuszyli pracę podajnika. Skierował się w prawo. Utykał nieco i od czasu do czasu wspierał ręką o ścianę magazynu. Dotarłszy do rogu, wyrzał zza niego ostrożnie. Dwie potężne postacie w kosmicznych kombinezonach patrzyły na niego z odległości około dwudziestu metrów. Jedna z nich na widpk Carsona uniosła

Dave Stafford uderzył się mocno łokciem o kierownicę, kiedy coś gwałtownie wyrwało go ze snu. Roztarł stłuczenie, po czym przetarł powieki i zastanowił się, co mogło zakłócić mu odpoczynek. Zerknął na zegarek, ale właściwie nie patrzył na tarczę, bo kątem oka dostrzegł jasne światła za budynkiem administracyjnym. Dopiero po chwili zauważył, że jest druga trzydzieści. Do jego uszu dobiegał szum pracujących generatorów prądotwórczych. Spostrzegł

też, że w budynku administracyjnym palą się światła. Na ich tle zobaczył w oknie dwie postacie w kombinezonach.

Co to jest, do jasnej cholery? - zastanowił się, prostując w fotelu. I nagle pospiesznie znów się obniżył, bo w zasięgu wzroku pojawił się wóz żandarmerii, jadący znacznie wolniej niż zazwyczaj, Za tym jechał drugi, a w pewnej odległości trzeci. Stafford odczekał, aż wszystkie zniknęły, zanim odważył się wyrzucić spodkockpitu.

Wszystko wskazywało na to, że zespół szybkiego zwalczania zagrożeń chemicznych wrócił, tym razem w powiększonym składzie. Przyjechał o drugiej trzydzieści w niedzielę i najwidoczniej współpracował z żandarmerią z Fort Gillem. To jeszcze jeden dowód potwierdzający jego podejrzenia. Ponownie przyjrzał się

139

oknom budynku administracyjnego, by upewnić się, że znajdujący się tam ludzie rzeczywiście są w pełnych kombinezonach. Coś tu zgubili, a na pewno nie jest to Słóiczek babcinych konfitur. I nagle skierował wzrok na półciężarówkę Carsona.

Co to ma znaczyć? Ten wóz nie stał tu przecież, kiedy zasypiał. Wojsko wróciło wzywając menadżera DRMO... - po co? Żeby dostać się do magazynów?

Może powinien wysiąść z samochodu, wejść na temat placówki i poprosić o rozmowę z dowódcą, a potem opowiedzieć mu wszystko, co wiedział? Pokręcił głową. Wyobraził sobie jak usiłuje przekonać jakiegoś żołnierza w kosmicznym kombinezonie o tym, że według słów osoby czytającej w myślach innych, cylinder z jakąś groźną substancją został ukryty na terenie DRMO, a odpowiedzialny za wszystko jest Carson. Nawet, gdyby armia mu uwierzyła, nie okazałaby wdzięczności osobie, która dostarczyła im cennych informacji.

Schylił się pospiesznie, gdy zza rogu wyjechał jeszcze jeden samochód. Wyglądając znad konsoli zobaczył potężnego, oliwkowego suburbana z policyjnym kogutem na dachu, a w nim na tle rozświetlonych okien ujrzał dwóch mężczyzn siedzących przednimi fotelami i jednego z tyłu. Wyprostował się ze zdziwienia, bo ten siedzący w tyle miał na głowie coś przypominającego kask motocyklowy. Dziwne - pomyślał. Nagle zapiszczały gwałtownie hamulce suburbana i wyskoczyli jego pasażerowie, kierując się w stronę miejsca, gdzie ukrywał się Stafford.

Serce zatrzymało mu się w piersi. Facet korzystał z naktowizora. Drań spo\*

Strzegł go w podczerwieni. Dave pospiesznie otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu.

### Niedziela, Pentagon, Waszyngton, 4.00

Carrothers drzemał w fotelu, kiedy oficer dyżurny centrum operacyjnego powiadomił go o połączeniu z dowódcą zespołu szybkiego zwalczania zagrożeń chemicznych w Fort Gillem.

- Mówi generał Carrothers.
- Tu kapitan McLean, sir. Zespół numer sześć. Melduję o negatywnym wyniku poszukiwań. Żadnych śladów sprzętu wywiadowczego ani zaginionego przedmiotu.
- Dokonałiście dokładnego przeszukania, kapitanie?
- Dokładnego, generale? Nie, w ciągu trzech godzin to absolutnie niemożliwe. W magazynach przechowuje się tysiące przedmiotów, a na zewnątrz, na rozładunek czeka jeszcze kilka naczep. Zbadaliśmy na poziomie molekularnym wnętrze wszystkich budynków w poszukiwaniu substancji chemicznych. Oprócz tego sprawdziliśmy wszystko, co możliwe w ciągu trzech godzin. Jeżeli rzeczywiście dokładnie mamy zlustrować tę placówkę, potrzeba do tego batalionu ludzi i kilku tysięcy.

Generał milczał przez chwilę.

- W porządku. Zbierajcie grupę i znikajcie stamtąd. Dopilnujcie, żeby miejscowa żandarmeria trzymała usta na kłódkę. Znowu tłumaczyliście wizytę ćwiczeniami?

140

- Tak jest. Oficer operacyjny z Fort Gillem był na miejscu i pokierował działaniami żandarmerii. Wyjaśniłem mu, że otrzymaliśmy rozkaz powtórzenia ćwiczeń. To nic niezwykłego. Jeszcze jedno, panie generale. Wpadł nam w ręce David Stafford, facet z DCIS, który węszył w okolicach magazynu w Anniston.

- O cholera - przebiegło przez głowę Carrothersa.
- Co on tam robił, do diabła?
- Odmawia wyjaśnień, panie generale. Musiał być już na miejscu, kiedy przyjechaliśmy. Żandarmeria namierzyła go dzięki noktowizorowi. Obserwował nas z samochodu zaparkowanego obok DRMO. Na miejscu natknęliśmy się również na Wendell Carsona tamtejszego menadżera, który także przyjechał tam przed nami. Dwóch naszych zwiadowców przyłapało go w bocznej alejce.

Zastępca dowódcy wojsk chemicznych wyprostował się na fotelu.

- Menadżer tam był? W niedzielę, w nocy? I co, uciekał?
- Skradał się za jednym z magazynów. Wszystko wskazuje

na to, że zależało

mu na opuszczeniu placówki tak, byśmy go nie zauważyli.

- Jak to wyjaśnił?
- Powiedział, że mają problemy z kradzieżami w weekendy.

Podejrzewa, że

to może być któryś z jego podwładnych. Podobno postanowił przyjechać w środ-

ku nocy, żeby przyłapać sprawcę na gorącym uczynku.

- Czy miejscowa żandarmeria wie cokolwiek na ten temat?
- Nie sprawdzałem tego, panie generale. Naprawdę mieliśmy

pełne ręce ro-

boty. Zapytałem dlaczego biegł, ale on temu zaprzeczył

tłumacząc, że nie wie-

dział co się dzieje i chciał tylko wrócić do swojego biura.

- Wiedział, że zjawił się tam także Stafford?

- Nie wydaje mi się. Podałem mu ustalone przyczyny naszej wizyty, a on

zapewnił, że nie będzie wchodził nam w drogę. Z tego, co wiem, pojechał już do

domu.

- Rozumiem. A co zrobiliście ze Staffordem?

† Wydałem rozkaz, by nasza żandarmeria przetransportowała go do Anni-

ston, panie generale. Według poleceń do czasu otrzymania dalszych instrukcji

mieliśmy zatrzymać wszelkich intruzów. Uznałem, że szef DRMO miał prawo

być na terenie placówki, Stafford zaś nie, więc poczyniłem stosowne dyspo-

zycje.

- Bardzo trafna ocena sytuacji, kapitanie. Nie chcę, żeby Stafford kontakto-

wał się z kimkolwiek, zanim ściągniemy do Anniston kogoś z Waszyngtonu. To

agent federalny, więc proszę traktować go należycie. Oby tylko został odizolowa-

ny. Czekajcie na moje dalsze dyspozycje.

- Tak jest, panie generale. Przekażę to natychmiast do centrum operacyjne-

go magazynu. Proszę kontaktować się już bezpośrednio z nimi.

- W porządku. Jeszcze jedno pytanie: czy to możliwe, żeby Carson i Staf-

ford współpracowali ze sobą?

- Nie wydaje mi się. W takim wypadku Stafford oparłby się na tym, gdyby

zagroziło mu zatrzymanie.

- Tak, to prawda. A teraz wynoście się stamtąd najszybciej jak się da.

141

Carrothers rozłączył się, Mason zaś słuchał całej rozmowy i notował skrupu-

latnie.

- Kto tam pojedzie, panie generale? - zapytał.
- Jedziemy razem, majorze. Proszę załatwić odrzutowiec z

Andrews. Prio-

rytet pierwszej klasy. Chcę wylecieć przed dziesiątą i nie obchodzi mnie, że to

niedziela. Lot bezpośrednio do magazynu broni, przez Atlantę. [ skontaktujcie

się z centrum operacyjnym FBI w Waszyngtonie. Postarajcie się, żeby wypoży-

czyli nam operatora poligrafii z placówki w Atlancie. Zastąpi was tutaj oficer operacyjny, a wyjedźcie do domu i spakujcie się. Niech samochód odbierze nas obu.

- Tak jest. Jak długo będziemy w Anniston?
- Najwyżej jeden dzień. Jeśli do tego czasu nie uda się nam ustalić tego, co powinniśmy, tutaj będziemy mieć więcej roboty.

### **Niedziela, magazyn broni, Anniston, Alabama, 14.00**

Dave Stafford siedział wściekły w pomieszczeniu pozbawionym okien, gdzieś na terenie magazynu broni w Anniston. Przyjechali do bazy z konwojem ciężarówką, tuż po zachodzie słońca. Pojazdy przejechały przez główną bramę, minęły okazały parking oraz obszar przemysłowy z pozbawionymi okien, betonowymi zabudowaniami. Po przemierzeniu prawie kilometra ciężarówki zjechały z głównej drogi. Pojazdy żandarmerii podążyły nią dalej, aż do budynku administracyjnego, przed którym znajdował się niewielki, trawiasty dziedziniec. Otoczony był typowymi, wojskowymi zabudowaniami, takimi jak klinika, czy niewielki amfiteatr. Trzy wozy zjechały do bazy transportowej, a czwarty, w którym znajdował się on i dwóch osiłków, pojechał dalej trzypasmową drogą.

Cechą charakterystyczną bazy były niekończące się szpalery drzew. Wzdłuż każdej drogi rosły idealnie równo sosny. Sprawiało to takie wrażenie, jakby magazyn składał się z mnóstwa niewielkich posterunków, rozrzuconych po lesie. Dopiero po dłuższej obserwacji Stafford zorientował się, że drzewa stanowią tak naprawdę osłonę tego, co było tu najważniejsze. Na kilkunastu tysiącach akrów rozlokowano bunkry mieszczące amunicję. Mimo to, nigdzie nie było widać śladu ogrodzeń ani znaków obwieszczających wstęp do strzeżonego obszaru.

Samochód skręcał kilkakrotnie, klucząc po zalesionym obszarze, aż wreszcie zajechali przed siedzibę miejscowego centrum operacyjnego. Potężny, pozbawiony okien budynek dominował nad kilkoma warsztatami i magazynami. Na jego dachu zainstalowano las anten oraz klimatyzatory i filtry powietrza. Samochód wiozący Dave'a zjechał po rampie przylegającej do jednej ze ścian budynku. Otworzyły się w niej stalowe wrota, przez które wjechali do wnętrza. Dwaj kolejni, potężnie zbudowani żandarmi czekali już na podziemnym parkingu.

- Proszę tędy, panie Stafford - powiedział niższy, kiedy Dave wydostał się z tylnego siedzenia. Niższy było określeniem bardzo względnym,

bo wszyscy mieli  
powyżej stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu.

142

Inspektor spróbował okazać oburzenie i zażądał wyjaśnień dotyczących miejsca obecnego pobytu, spotkania z dowódcą i tak dalej. Żandarmi nie zwracając uwagi na jego słowa prowadzili go gdzieś w nieznaną. Przekroczyli kolejne drzwi we drzwi i znaleźli się w użytkowej części budynku. Pracownik DCIS zwrócił uwagę na fakt, iż wszystkie zamknięcia były bardzo szczelne. Poprowadzili je długim korytarzem, następnie betonowymi schodami w górę aż wreszcie trafił do pokoju, mającego nie więcej, niż trzy metry kwadratowe. Stał tam metalowy stół, cztery druciane krzesła i w rogu źródło do picia. Z tyłu przez uchylone drzwi było widać pasującą rozmiarami toaletę. Ściany miały grodzki kolor. Tu właśnie go zostawili.

Wciąż nie mógł wyzbyć się wściekłości z powodu tego, że tak łatwo dał się złapać. Powinien przewidzieć, że mogą posługiwać się noktowizorem. W porcie czerwieni widoczny był jak na dłoni, nawet ukryty w samochodzie. Po schwyceniu zabrali go do kompleksu DRMO i przez dłuższy czas trzymali na placu magazynami. Nikt się do niego nie odezwał, po części dlatego, że porozumiewanie się uniemożliwiały generatory. Przyglądał się szczególnie jednej ciężarówce, która była mobilnym centrum operacyjnym. Zapewne to ta sama, co ostatnio razem, teraz nie było przy niej żadnej pięknej dziewczyny. Widział tylko jednego oficera nie ubranego w kombinezon, a w mundurze takim, jakie były używane podczas operacji Pustynna Burza.

W pewnej chwili spróbował się oddalić. Skończyło się to jednak niezbyt efektywną interwencją dwóch osiłków, którzy zamknęli go na tylnym siedzeniu autobusu. Nie próbował nawet stawiać oporu. Z jedną sprawną ręką nie miał najmniejszych szans. Przy tylnych drzwiach nie było klamek, a od przedniej części oddzielała go metalowa blacha. To wystarczyło, by zrozumiał w jakiej znajduje się sytuacji. Po upływie co najmniej godziny zespół przygotował się do odjazdu. Nie miał wątpliwości, że wpadł w poważne tarapaty, gdy samochód w którym siedział dołączył do konwoju zmierzającego do Anniston.

Później zastanawiał się, czy Sparks zaczął już dzwonić. Czy to dalszy etap operacji w Holiday Inn w Oxford? Tym razem wzmocniona grupa nie starała się już sprawiać wrażenia, że bierze udział w ćwiczeniach. Ci ludzie

bez wąpę  
czegoś szukali, a on, siedząc na tylnym siedzeniu, czuł jak niemal  
gotuje mu  
mózg, gdy zastanawiał się, co może im powiedzieć. Po upływie  
kolejnej godz  
ochłonał nieco i zaczął spokojnie analizować sytuację. W  
porządku, a więc w  
dzieli kim jestem i chcieli ze mną rozmawiać. Dziękuję ci, Ray.  
Zdawał so  
także sprawę, że czynnikiem działającym na jego korzyść jest  
fakt, iż wojsko  
przyznało się do zgubienia broni i zapewne nigdy tego nie zrobi.  
W pewnym s  
sie był to szach-mat: był bezpieczny tak długo, jak oni nie  
przyznawali się  
wpadki, a on milczał na temat swoich podejrzeń. Oczywiście przy  
założeniu  
będą go przesłuchiwać w cywilizowany sposób. Niestety, w ten  
sposób nie m  
zdradzić im swoich podejrzeń dotyczących Carsona.  
Idąc dalej tym tropem kojarzył, że zabranie go do Anniston  
mogło być ty  
blefem ze strony armii. A to utwierdzało go z kolei w przekonaniu,  
że powir  
udawać postronnego cywila, do niczego się nie przyznać i  
spróbować jak i

143

szybciej zepchnąć ich do defensywy. Wściekłość, którą teraz  
pałał, przynajmniej  
po części była świadoma. Chciał na kilka najbliższych godzin  
wprowadzić się  
w stan wyglądający na szczere oburzenie. Był pewien, że właśnie  
w ten sposób  
musi grać, zakładając oczywiście, że w ogóle pojawi się ktoś, by z  
nim mówić.  
Był głodny i spragniony. Wstał i spróbował skorzystać ze źródła,  
z którego nie  
poleciała nawet kropla wody.

### **Niedziela, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 20.00**

Wendell Carson siedząc w swoim pikapie przed budką  
telefoniczną czekał,  
aż Tangent odpowie na jego telefon. Nigdy nie odzywał się do  
kontrahenta w nie-  
dzielę, ale wcześniejsze zdarzenia sprawiły, że nie mógł czekać.  
Te wojskowe  
dranie wróciły, tym razem ze zdwojonymi siłami i został niemal  
przyłapany w bu-  
dynku przerobowym. Miał dużo szczęścia, że zespołem dowodził  
jakiś młody  
kapitan, a nie doświadczony pułkownik-porucznik.  
Wrócili - to fakt. Stanowiło to jednocześnie potwierdzenie  
tezy, iż stwierdzi-  
li zagubienie swej własności i wiedzieli, że powinna trafić do jego  
DRMO. To  
musiała być sprawka Stafforda. Powiedział przecież, że doniesie  
im o swoich po-  
dejrzeniach.

Zadzwonił telefon. Pospiesznie wysiadł i podniósł słuchawkę.

- Tak?
  - To ja. Co się dzieje? - zapytał wyraźnie zniecierpliwiony Tangent.
- Carson odtworzył nocne i poranne zdarzenia. Skończył wnioskiem sugerującym, iż to pracownik DCIS sprowokował ponowną wizytę wojska. Ronnowca milczał przez długą chwilę.
- Skąd ten Stafford może wiedzieć, gdzie jest cylinder i jak wygląda? - zapytał.
  - Nie może i właśnie to nie daje mi spokoju. Jedynym facetem, który wie o jego istnieniu, był Lambry, a przecież agent nigdy z nim nie rozmawiał.
  - Jest pan tego pewien? A gdzie jest teraz Lambry? Czy to możliwe, że wciąż kręci się po okolicy i Stafford go znalazł?
  - Nie, nie wiem - odpowiedział Carson. Nie mógł zdradzić, co się stało z Budem. Kradzież pojemnika to jedno, a uciszenie Lambry'ego to już zupełnie inna sprawa. - Pamięta pan, że Lambry miał pomocnika? Nazywa się Dillard. Ale z tego co wiem, Dillard nigdy nie widział cylindra. Mógł wiedzieć, że Lambry znalazł coś ciekawego, ale nic więcej. A na pewno nie to, jak wyglądał ów przedmiot. Dlatego jestem zdezorientowany.
  - Przecież to tylko przypuszczenia - wyraził wątpliwość Tangent. - Jeżeli Lambry zorientował się ile może być warte to znalezisko, mógł powiedzieć swojemu współpracownikowi tyle, by zabezpieczyć się na wypadek zagrożenia z pańskiej strony. To Dillard rozmawiał ze Staffordem?
  - Tak.
  - To pewnie on sypnął. Próbował go pan przycisnąć?

144

- Nie. Stwierdziłem, że lepiej nie kusić złego. Zaczęłyby się podejrzewać gdybym to zrobił. A tak mam nadzieję, że sprawa przycichnie. Nikt z pracowników nie widział przecież tego wojskowego zespołu.
  - Może i tak jest. Pan zna tego faceta, a janie. Muszę tylko wyznać, że coraz bardziej niepokoi mnie to nagłe zniknięcie Lambry'ego. Jest pan pewien, że nie odszedł z tego świata, kiedy jego dom wyleciał w powietrze?
- Carson odruchowo ścisnął mocniej słuchawkę. Wcześniej nie rozmawiali o takiej ewentualności.
- Nie można tego wykluczyć - odpowiedział ostrożnie. - Policja twierdzi, że nikogo tam nie było.
- Chcąc jak najszybciej skierować rozmowę na inne tory, zapytał kontrahenta o kroki, jakie zamierza podjąć w sprawie Stafforda.
- Pracujemy już nad tym. A dlaczego pan pyta? Pojawiło się coś nowego?
  - Nie, jestem tylko ciekaw. Musimy jak najszybciej odwrócić

uwagę od  
DRMO, przynajmniej na taki czas, by dokonać transakcji.  
Rozumiemy się, praw-  
da? To wszystko zaczyna mnie coraz bardziej wkurzać. Chcę się  
tego pozbyć  
i dostać swoje pieniądze.

- Mój klient na razie nic nie wie o całym zamieszaniu. Jeśli  
ma pan jakieś  
pomysły, zamieniam się w słuch.
- Tak, wydaje mi się, że warto by zasugerować, i to Stafford  
ma Zgubę  
armii. I właśnie dlatego tak dziwnie się zachowuje.

W słuchawce przez długi moment panowała cisza.

- To świetny pomysł. Taka zasłona dymna nie jest przecież  
potrzebna na  
długo.

- Tak, właśnie o tym myślę. Zanim armia ustali, że on nie ma  
pojeńmiki  
i nawet nie wie gdzie jest, nas już dawno tu nie będzie.

- Podoba mi się to i wiem już jak zorganizować taką myłkę.

Wojsko utrzy-  
muje swoje kłopoty w tajemnicy. Muszą nieźle panikować.  
Właściwie i tak mieli-  
śmy zrobić coś podobnego, tylko ten pomysł jest znacznie lepszy.  
Proszę wrócić

do swoich obowiązków. Wszystko jest w porządku. Nie będzie już  
żadnych noc-

nnych wizyt w DRMO. Proszę się zastanowić, w jaki sposób  
dokonamy wymiany

i w jakiej formie chce pan wypłatę. Proszę tylko nie komplikować  
warunków trans-

akcji. Załóżmy wstępnie, że załatwimy sprawę w ciągu,  
powiedzmy, czterdziestu

ośmiu godzin, w porządku?

- Zobaczymy.

Rozłączyli się. Carson odwiesił słuchawkę i rozejrzał się po  
parkingu, spraw-  
dzając, czy nikt go nie obserwuje. Chyba nie. Stafford z cylindrem  
- pomyślał

i uśmiechnął się.

- Cudownie ^mruknał. –Szatańsko cudownie.

Dokładnie ©osiemnastej wojskowy learjet dotknął ziemi.

Opony zapiszczały

przeraźliwie, a w powietrzu zawisły chmurki dymu. Na pokładzie  
znajdowali się:

generał Carrothers, Major Mason i operator poligrafii z FBI - W.

Layon Smith.

145

Maszyna ustępując miejsca prezydenckiemu 747 wyleciała z  
Andrews nieco póź-

niej niż planowano. Jedna gwiazdka Carrothersa nie wystarczyła,  
aby przyspie-

szyć procedurę startową przed zamknięciem pasa dla  
przylatującego z Kalifornii

Air Force One. Nad Atlantą, z powodu dużego ruchu w powietrzu  
doszło do ko-

lejnego opóźnienia, a na ziemi trzeba było czekać na

dostarczenie sprzętu Smi-

tha. Wszystko to zdecydowanie popsuło generałowi humor.

Odrzutowiec kołował pod budynek operacyjny i zatrzymał się. Carrothers wysiadł jako pierwszy i powitał dowódcę magazynu broni i jego oficera operacyjnego. Skierowali się bezpośrednio do wojskowego samochodu. Major Ma-son i Smith podążyli za nimi suburbanem. Dowódca - pułkownik - wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. Generał próbował okazać mu odrobinę współczucia. Dochodzenie doprowadziło do zawężenia przyczyn fiaska, do dwóch możliwości: Tooele nawaliło przy transferze broni o specjalnym statusie, albo też Anniston nie dopilnowało procedury wysyłkowej. Dopóki ostatecznie nie zostanie wykluczona któraś z tych ewentualności, dowódcy obu placówek byli zagrożeni, a perspektywą było postawienie przed sądem wojskowym. Wspólnie przejechali do budynku dowodzenia. Już w biurze Carrothers zwołał krótką konferencję.

- Czy Stafford zgodnie z rozkazami został odizolowany?
- Tak jest, panie generale - odpowiedział pułkownik. - Czekaj wzamknięciu od rana.

Oficer operacyjny pokiwał zdecydowanie głową na potwierdzenie tych słów.

- W porządku. Mam godzinę na załatwienie sprawy.

Zamierzamy zorganizować małe przedstawienie w jednym z bunkrów. Zaraz wyjaśnię, o co dokładnie mi chodzi.

Przyszli po Stafforda o osiemnastej trzydzieści. Było ich trzech, wszyscy w kombinezonach chemicznych. Mieli na sobie rękawice połączone z rękawami, czarne, gumowe buty i hełmy z filtrami oddechowymi. Nie odezwali się ani słowem, tylko skinęli, by podążył za nimi. Nie mieli widocznej broni, ale byli na tyto potężni, że i tak nie warto było myśleć o jakimkolwiek oporze.

Było prawie ciemno, kiedy wyszli innym wejściem niż poprzednio na ze\*wnątrz. Wsadzili go do czekającego już humve'a, a dwóch z nich zajęło miejsca po obu jego stronach. Trzeci usiadł na fotelu kierowcy i ruszyli. Jechali dwupasmową drogą przez dziesięć minut, po czym skręcili w węższą, obok której biegł tor kolejowy. Dave mógł swobodnie rozglądać się na wszystkie strony, ale poza nieskończenie długim szpalerem sosen nie widział nic ciekawego.

W końcu dotarli do posterunku. Dwie wysokie wieże wartownicze wznosiły się ponad szeroką na kilkanaście metrów bramą. Ta z kolei osadzona była w wysokim, na dziesięć metrów, podwójnym ogrodzeniu z drutami kolczastymi na górze. Między dwoma warstwami siatki znajdował się pas zaoranej

ziemi. Izolatory na drutach pozwalały sądzić, iż znajdują się pod napięciem. Ustawione co kilkanaście metrów potężne latarnie sodowe zalewały pas otwartej przestrzeni rześnym

146

światłem. Pod bramą biegł tor kolejowy i zniknął gdzieś w oddali. Staffordowi wydało się, że na szczycie obu wartowni widzi gniazda karabinów maszynowych.

Hunwee zatrzymał się przed wrotami i kierowca porozumiał się z wartownikiem. Jego głos stłumiony pod hełmem brzmiał dziwnie. Do uszu inspektora nie dobiegła żadna odpowiedź, ale zewnętrzna brama zaczęła się rozsuwać i pojazd wjechał między ogrodzenia. Dopiero, gdy wrota zatrzasnęły się za ich plecami, zaczęły uchylać się te z przodu. Hunwee pokonali złożoną kolczatkę i wyminą powoli cztery potężne, betonowe zapory. Droga biegła prosto, przez dość gęsty las, a tory było widać w stałej od niej odległości.

Przejechali jeszcze prawie kilometr, zanim skręcili w żużlową dróżkę. Od torów odłączyła się tu bocznica. Po stu kolejnych metrach natrafili na pierwszy z bunkrów. Na ich widok Stafford aż wyprostował się w fotelu. Nie wyglądało mu to na miejsce do prowadzenia uprzejmych rozmów. W jednej chwili stracił nadzieję na wprowadzenie w życie planów udawania zdeorientowanego cywila.

Samochód wjechał pomiędzy dwa rzędy betonowych budowli, które okazały się znacznie większe niż pierwotnie przypuszczał. Każdy z bunkrów miał w przybliżeniu wymiary trzydzieści na dziesięć metrów. Na ich rogach zamontowano latarnie, które oświetlały betonowe rampy wiodące do stalowych drzwi. Rozejrzał się niepewnie. Bunkry zdawały się ciągnąć w nieskończoność i sprawiały wrażenie ogromnego mauzoleum. Ten magazyn musi być ogromny stwierdził!

Wreszcie zatrzymali się przed jednym z budynków i jego eskorta wysiadła. Przy drugim hunwee, zaparkowanym obok wejścia czekało kilka osób w kombi-  
nezonach. Stalowe drzwi były otwarte, ale jaskrawe światło na zewnątrz uniemożliwiało zobaczenie wnętrza. Prowadzący Dave'a skinęli, by ruszył przed siebie. Posłuchał, zastanawiając się jednocześnie dlaczego w całym towarzystwie on jeden pozbawiony jest ochronnego stroju. Poprowadzono go długą rampą do wejścia bunkra, gdzie na znak jednego z opiekunów zatrzymał się. Dwie postacie pochylały się tam nad elektronicznym, zainstalowanym na ścianie panelem z apa-

raturą monitorującą.

Czekali. Ciszę, jaka zapanowała wokół zakłócały chrapliwe oddechy żołnierzy i trzaski radia z hunwee. Spróbował zajrzeć do budynku, ale zobaczył tylko drugie stalowe drzwi. Wyglądało na to, że otwiera się hydraulicznie. Nadal nic się nie działo, więc uzbroił się w cierpliwość i zaczął przygotowywać psychicznie na różne ewentualności.

Carrothers skończył się ubierać. Z hełmem i rękawicami na rękach wsiadł do pojazdu przewożącego amunicję. Zastanawiał się, co właściwie powinien zrobić. Podczas lotu przeanalizował wszystkie dane dotyczące Srafforda. David W. Stafford - starszy inspektor Dochodzeniowych Służb Kryminalnych Departamentu Obrony. Czterdzieści trzy lata. Wcześniej związany ze Służbami Dochodzeniowymi Marynarki Wojennej. Przez siedem lat pracował jako prywatny detektyw dla firmy prawniczej oraz detektyw policji miejskiej w Norfolk, w stanie Yirginia. Czteroletnia służba w Marynarce Wojennej. Wzorowy

147

obywatel i profesjonalny dochodzeniowiec. W dostępnych aktach nie znalazł ani słowa o ostatnim incydencie w DCIS. Myślami wrócił do manewru z crown vicem. Ten facet musiał mieć głowę na karku.

Najważniejszym pytaniem było teraz to, co wiedział ten gość? Generał Waddell głosowałby bez wątpienia za zamknięciem Stafforda w miejscu odosobnienia, dopóki nie wyjaśni się sprawa cylindra. Carrothers nie był jednak zwolennikiem takiego rozwiązania. Słonie -jak zwano w Pentagonie trzy i czterogwiazdkowych generałów - zaczynały panikować. Znaczyło to, że pomniejszych postaci, jak choćby generałowie brygady, powinny zabezpieczyć sobie własne polityczne drogi ewakuacyjne. Waddell dał jasno do zrozumienia, że druga gwiazdka Carrothersa zależy od pomyślnego zażegnania kryzysu. A jednak... Gdyby ktoś rzeczywiście ukradł pojemnik z Okiem Szatana, stanowiłoby to poważne zagrożenie bezpieczeństwa narodowego. Może Waddell miał rację: zrób wszystko, co trzeba, ale znajdź pojemnik. Odzyskaj go. I właśnie dlatego zdecydował się na to małe przedstawienie.

- W porządku - powiedział. - Ruszamy.

Po kwadransie oczekiwania Stafford usłyszał, że coś się zbliża. Podejrzewał,

że to kolejny humvee, ale jego oczom ukazał się zamknięty, sunący cicho po torach kolejowych pojazd. Miał on przedział pasażerski, a za nim długą na osiem metrów, podzieloną na pół, część towarową. Wnętrze części pasażerskiej, widoczne przez okienka, było oświetlone na czerwono. Wygląd pojazdu oraz dwie długie anteny sprawiały, że przypominał ogromnego chrabąszcza. Zwolnił, skręcił w lewo i zatrzymał się przed bunkrem z głośnym zgrzytem hamulców hydraulicznych. Stafford zwrócił uwagę na fakt, że wszyscy wokół odruchowo się wyprostowali. Drzwi przedziału otworzyły się do góry i stanął w nich, również w ochronnym kombinezonie wysoki mężczyzna. Ruszył przed siebie i podszedł do Dave'a, który starał się ukryć zdenerwowanie.

- Otworzyć wewnętrzne drzwi - rozkazał silnym i władcym głosem, którego nie stłumił odgradzający go od otoczenia strój.

Dwaj żołnierze podeszli do paneli kontrolnych po obu stronach wewnętrznych drzwi. Każdy z nich wsunął klucz do zamka, położył palec na przełączniku, popatrzył na towarzysza i na skinienie -jednocześnie przekręcili klucze oraz wcisnęli przyciski. Rozległ się głośny szum, który towarzyszył wyrównywaniu się ciśnienia, a po chwili zadziałały hydrauliczne ramiona i drzwi zaczęły powoli się otwierać. W środku rozjarzyły się światła i wysoki mężczyzna skinął na Dave'a, by wszedł do wnętrza.

Czując się tak jakby był nagi, Stafford zmusił się do ruszenia przed siebie. W środku znajdowały się stojaki pełne bomb. Wszystkie były pękate, pomalowane na oliwkowo o wymiarach: dwa metry długości i metr średnicy. Każdą z nich opasały dwie stalowe taśmy. Lotki na ogonie zostały usunięte, podobnie jak zapalniki na ich czubkach. Każda z bomb spoczywała w drewnianym leżu, a grube elementy konstrukcyjne aż się odkształciły od ich niewątpliwie ogromnego ciężaru.

148

ru. Na metalowych obudowach białą farbą wypisano ich ciężar. Znajdowały się na nich także żółte znaki oraz jakieś niezrozumiałe ciągi liter.

Wysoki przybysz wskazywał, by szedł dalej. Pracownik DCIS zauważył, że nikt inny nie podążył z nimi do środka. Przez cały czas musiał patrzeć pod nogi, bo i tutaj biegły tory kolejowe. Drugie zostały przytwierdzone do sufitu, a na nich przesuwiał się dźwig, zawieszony teraz aż pod tylną ścianę. Zatrzymali się dopiero pod nim. Dave stanął wyzywająco naprzeciw wojskowego.

- Panie Stafford, czy wie pan gdzie się znajdujemy?

Głos mężczyzny syczał nienaturalnie przez hełm, ale mimo to wyczuwało się w nim władczość. Inspektor zza gogli i filtru oddechowego nie był w stanie rozróżnić jego rysów twarzy. Widział tylko pełne przenikliwości oczy. Pomijając zdenerwowanie z trudem wydobył z siebie głos. Powietrze było tu bardzo suche i przesycone zapachem rdzewiejącego metalu.

- Nie. Kim pan jest? I dlaczego jestem przetrzymywany w zaniknięciu jak przestępca? Co to za miejsce?

- Jest pan w specjalnym magazynie broni w Anniston, jak zapewne doskonale pan wie. Składowana jest tu broń specjalnego znaczenia - broń chemiczna.

A to jest jeden z bunkrów mieszczących ową broń, powszechnie zwany chemicznym grobowcem. Znajdują się tu ważące dwa tysiące funtów bomby. Zawierają substancję o nazwie VX, która jest gazem paraliżującym. Każda z nich liczy sobie niemal pięćdziesiąt lat. Teoretycznie żadna z nich nie przecieka. Tak przynajmniej mówi aparatura monitorująca.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Stafford, starając się nadać swym słowom nieco sarkazmu. - Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że jako jedyny nie mam stroju ochronnego. Dlaczego zostałem tu sprowadzony?

Wojskowy przyglądał mu się badawczo, jakby oczekiwał, aż jego wypowiedź w pełni dotrze do rozmówcy.

- Panie Stafford, chcemy, żeby coś pan zrozumiał. I to jasno. Substancji w tych bombach jest jedną z groźniejszych, kiedykolwiek stworzonych przez człowieka. Jeden centymetr sześcienny jest w stanie porazić centralny układ nerwowy tysiąca ludzi. Eksplozja każdej z bomb może zabić wszystkie istoty na terenie średniej wielkości miasta.

Dave odpowiedział na jego wyzywające spojrzenie. Przybysz nachylił się jeszcze nad nim, aż wyczuł zapach gumy kombinezonu.

- Panie Stafford, proszę zrozumieć, że choć te bomby są nadzwyczajnie bezpieczne, w naszym arsenale znajdują się znacznie groźniejsze substancje. Wy rządzą one okropniejsze spustoszenia niż VX. Są i takie, od których zaczyna wrzeć ludzka krew. Inne, w jednej chwili rozrywają płuca albo dosłownie pożerają skórę. Żadna z nich nie posiada nazwy, a tylko nic nie mówiące oznaczenia.

Inspektor głośno przełknął ślinę.

- Dlaczego mi pan to wszystko mówi? - zapytał nieco zmienionym głosem.

Nieprzyjemny zapach wypełniający bunkier coraz bardziej drażnił mu noz-

drza. Mężczyzna zrobił krok do tyłu i rozejrzał się, jakby czegoś nasłuchując. Po

chwili powtórnie skierował spojrzenie na Dave'a.

• To najgroźniejsze substancje występujące na Ziemi, panie Stafford. Jesteśmy ekspertami w obchodzeniu się z nimi, co nie zmienia faktu, że i nas przeraża ją. Mimo to jesteśmy przeświadczeni, iż nie potrzebujemy pańskiej pomocy ani też nikogo innego. W niczym, co tego dotyczy. - Milczał przez chwilę dla podkreślenia znaczenia swych słów.

• Chyba że wie pan o czymś, o czym my nie wiemy, choć wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne. Uznałem jednak, że należy o to spytać. Jeden jedy-ny raz, żeby wyjaśnić wszelkie niejasności. No więc?

Stafford nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Zrobił to - krzyczał do niego jego umysł. Powiedz wszystko, co wiesz. Ale nie mógł się przemóc. Bał się. Nigdy wcześniej nie zetknął się z takim obliczem armii, a w głosie rozmówcy wyraźnie wyczuwało się groźbę. Nie chciał tu skończyć zamknięty, odizolowany od reszty świata. Instykt samozachowawczy wyraźnie mu podpowiadał, by zamknął usta na kłódkę. Najważniejsze, to wydostać się na wolność. A później przegrupać siły i znaleźć jakiś sposób, żeby przekazać ostrzeżenie. Najlepiej, nie bezpośrednio.

- Rozumiem, panie Stafford. Wojsko pragnie podziękować za współpracę i przyjazd tutaj. Mamy do pana jeszcze jedną sprawę, ale na razie może pan wrócić na zewnątrz.

Wojskowy gestem dłoni wskazał wyjście. Dave z trudem powstrzymał się przed odruchowym rzuceniem się do biegu. Nie umknął mu sarkazm dotyczący wypowiedzi o jego kooperacji. Jakby miał jakikolwiek wybór w tej sprawie, co oczywiście podkreślił jego rozmówca. Starając się zachować spokój, z bezużyteczną ręką wsuniętą do kieszeni, ruszył między potężnymi bombami. Niemal skreślił sobie kostkę poślizgnąwszy się na szynie. Udał jednak, że nic się nie stało. Już przy wewnętrznych drzwiach strażnicy kazali mu podążyć za nimi do pojazdu. Wsiedli w ten sam sposób co poprzednio i ruszyli drogą, którą tu przyjechali. Obejrzał się jeszcze i zobaczył grupkę ludzi w kombinezonach przyglądających się uważnie odjeżdżającemu humvee.

Generał Carrothers, kiedy już wsiadł do szynowego transportera amunicji, ściągnął hełm. Obok niego major Mason postąpił podobnie. Tylko operator pojazdu, zamknięty w kabinie, pozostał w pełnym stroju, gdy jechali

w stronę głównej bramy ologaj którą wcześniej podążał humvee wiozący Stafforda.

- Udało się, panie generale? - zapytał Mason.
- Nie jestem do końca przekonany. Stafford powinien ze strachu dostać gęsiej skórki, a on sprawiał wrażenie dość opanowanego. Oczywiście, otoczenie nieco go przestraszyło, ale wciąż mam wrażenie, że wie o czymś, czego nam nie mówi. Przez cały czas panował nad sytuacją. Być może jest zbyt sprytny i opanowany, by dać się nabrać na taki teatr. Przecież pokazał już co umie podczas tej podmiiany samochodów.
- Uważa pan, że znajduje się w odpowiednim stanie do tej próby?
- Nie wiem. Ale ten facet z FBI pewnie już na niego czeka.

150

- Założmy, że odmówi poddania się badaniu przy pomocy wykrywacza kłamstw?

- Rysy twarzy Carrothersa stężały.
- Wtedy rozkażę, żeby spędził kilka dni w jednym z tych bunkrów. Takim, W którym rzeczywiście przechowuje się gaz musztardowy. Major odruchowo aż się skulił.
- Chryste - szepnął zerkając na kierowcę. - Oszalałbym w takim miejscu, nawet wiedząc, że wszystkie pojemniki są szczelne. Po takich przejściach test na prawdomówność nie zdałby się na wiele, panie generale.
  - Tak naprawdę pełne wyniki niezbyt mnie interesują, majorze. Podałem Smithowi dwa pytania, które mnie obchodzą, a on ma je wmieszać w cały potok nie mających znaczenia. Obchodzi mnie tylko jak zareaguje właśnie na nie. To powie mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Mason ponownie obejrzał się na plecy operatora pojazdu.

- A jeśli on wie? Wypuścimy go wtedy?
- Tak. Nie mamy żadnych podstaw prawnych, aby go zatrzymać, chociaż nie możemy dać mu tego odczuć. Uzyskawszy sygnał, że o czymś wie, wypuścimy go na wolność i może to okazać się dla nas bardzo korzystne. Według mnie spróbuje na własną rękę odszukać cylinder. Jeżeli ktoś rzeczywiście go skradł, pojedyncza osoba, taka jak Stafford, może być efektywniejsza niż cała nasza machina.

- Jak to?
- Przecież my nie możemy się przyznać do tego, że czegoś szukamy.
- Tak jest. Rozumiem. Na wolności jednak może zacząć sypać. Donieść o poznanych rewelacjach swoim przełożonym. Może nawet ujawnić swą wiedzę mediom.
- Generał Waddell mówił o takiej ewentualności, kiedy po raz pierwszy do-

wiedzieliśmy się o zainteresowaniu DCIS placówką DRMO i porozumiał się z szefem DCIS. Stafford narobił sobie poważnych wrogów w Waszyngtonie. Poza tym, według generała, całe DCIS da się zneutralizować, chociaż nie mam pojęcia jak to załatwić.

Major okazał na tyle wyraźne zakłopotanie, że Carrothers bez trudu je wychwycił.

- Widzicie, majorze? Nawet generał brygady nie wie wszystkiego.
- Wszystko wiedzą tylko podporucznicy, panie generale - zażartował Ma-son.

Carrothers roześmiał się szczerze.

- Daleko zajdziecie, majorze.

- Czego ode mnie chcecie? - wykrzyknął Stafford. - Nie ma mowy, do cholery!

Stojący przed nim krępy pułkownik-porucznik cierpliwie pokiwał głową. Znowu znajdowali się w pozbawionym okien pomieszczeniu, a na dodatek towarzyszyło im dwóch potężnie zbudowanych żandarmów. Tym razem wszyscy byli w zwy-

151

łych mundurach. Pułkownik przedstawił się jako szef posterunku żandarmerii.

Zapytał właśnie Dave'a, czy zgodzi się poddać badaniom za pomocą poligrafii.

Zrobił to jednak w taki sposób, jakby chodziło o zaproponowanie filiżanki kawy.

Stafford był coraz bardziej zmęczony tymi rozgrywkami.

Przecucie podpo-

wiadało mu, że scenka w bunkrze odbyła się tylko po to, by go nieco zastraszyć.

I rzeczywiście zrobiła na nim wrażenie. Poza tym intrygowało go, kim był ten

wysoki mężczyzna, skoro okazywano mu takie względy.

Najważniejszy był jed-

nak fakt, iż ci ludzie nie mieli prawa przetrzymywać go w zamknięciu, nie mó-

wiąć już o poddaniu testowi za pomocą wykrywacza kłamstw.

- Proszę jeszcze raz powiedzieć jak pan się nazywa, pułkowniku? - zażądał.

- Co to ma do rzeczy?-odpowiedział zapytany, mimo, iż tabliczka z nazwi-

skiem znajdowała się przy patce kieszeni na jego piersi.

Stafford nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

- To, że zajmuję się respektowaniem prawa, pułkowniku i to respektowa-

niem prawa federalnego. Zamierzam skierować oskarżenie przeciwko każdemu

oficerowi, który uczestniczy w tym przedstawieniu o porwanie, nielegalne prze-

szukiwanie i przetrzymywanie. Pracuję dla Dochodzeniowych Służb Kryminalnych

Departamentu Obrony. Tego samego, które sprawuje kontrolę

nad Departamentem waszej Armii, jeśli pan o tym zapomniał. Żądam, żeby przewieziono mnie z powrotem do Atlanty, i to natychmiast! A później pan i pana współpracownicy możecie zacząć szukać sobie dobrego prawnika.

Wojskowy popatrzył na niego beznamiętnie.

- A jeśli nie?

- Nie rozumiem.

- Jeśli nie zawieziemy tam pana i nie wypuścimy stąd?

Nikommu nie powiedzmy ani słowem, że pan tu jest. Znajduje się pan na terenie specjalnego magazynu broni, gdzie wstęp mają tylko te osoby, które my wpuścimy. Co wtedy, panie

Ważny Agencie Federalny z Jedną Ręką?

- Wtedy mój szef stwierdzi, że zaginałem i powiadomi o tym wszystkich

gliniarzy w Atlancie. W końcu dotrą do bram waszego magazynu.

- Mówi pan o jakimś Sparksie?

Dave starał się nie okazać rezygnacji, która nim owładnęła.

- To szef lokalnej placówki - wyjaśnił. - Nie on mnie tu skierował.

Pułkownik sięgnął do kieszeni po notatnik. Obaj żandarmi przyglądali się

fachowości i zdecydowaniu przełożonego z wyraźnym podziwem.

- A więc chodzi o emerytowanego pułkownika armii Stanów Zjednoczo-

nych - Parsonsa? Kandydata na pierwszą gwiazdę generalską, który w rezultacie

trafił do roboty w DCIS?

Stafford odpowiedział na jego przenikliwe spojrzenie. Bez trudu odebrał ukrytą wiadomość: Parsonsa może teraz pracować w DCIS, ale był jednym z naszych na długo przed tym, nim związał się z takimi jak ty.

- Posłuchajcie, agencie Stafford. Teraz przedstawię naszą wersję zdarzeń.

Działacie bez żadnych rozkazów. Nikt nie kazał wam węszyć ani tu ani nigdzie

indziej, z wyjątkiem DRMO w Atlancie. Wasz lokalny zwierzchnik bez wątpienia

152

chce z wami pomówić na ten temat. Nas obchodzi tylko aspekt bezpieczeństwa,

związany z waszą próbą wtargnięcia na teren magazynu i interesowanie się tajnymi

ćwiczeniami wojskowymi, przeprowadzanymi na terenie Atlanty. Operator

poligrafii to cywil z placówki FBI w Atlancie. Poddacie się testowi, a my zwróci-

my wam dokumenty, wsadzimy do samochodu i będziecie wolni.

- A jeśli nie?

- Stafford, to moja kwestia. Nie ma pan takiego wyboru i doskonale pan

o tym wie. Nie boimy się pańskich grózb. W sprawach dotyczących broni che-

micznej moi generałowie mogą znacznie więcej, niż pana pułkownik. Co więcej,

za tę zgodę możemy obiecać, że nie będziemy robić panu

nieprzyjemności. Pn>

sze jednak zważyć, jak zostaną one odebrane, skoro cieszy się pan taką wątpliwą popularnością w Waszyngtonie.

Pół godziny później, Dave siedział prosto na krześle przy stoliku w innym pokoju bez okien. Operator poligrafii, który przedstawił się jako Smith «'FBI,

wyglądał jak typowy technik: spokojny i kompetentny. Teraz siedział za jego plecami przy drugim stoliku, na którym znajdował się cały sprzęt.

- Proszę pamiętać, że odpowiada pan tylko „tak” lub „nie” - przypomniał, -r

Na każde pytanie tylko jedno słowo: tak lub nie. Gotowy? Proszę powiedzieć tak lub nie.

- Chyba tak - rzekł z rozmysłem inspektor. Smith westchnął ciężko.

- Tak albo nie, panie Stafford. To nic trudnego. Wiem, że pan potrafi. Jesz-

cze raz. Pierwsze pytanie: nazywa się pan David Stafford?

- Tak.

Dave był świadom rytmu swego serca i oddechu. Mimo to czuł, że wszystkie przewody łączące go ze skomplikowaną aparaturą wyciągają z niego coś, nad

czym nie jest w stanie do końca zapanować.

— Czy jest pan agentem DCIS?

-Tak.

- Czy posiada pan piętnastą klasę w służbie cywilnej?

Tak.

• Czy ma pan sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu?

• Tak.

Facet niewątpliwie czytał dane z jego dossier. Stafford wiedział wystarczająco dużo o procedurze badania, by zorientować się, że teraz odbywa się regulacja urzędnika.

- Czy jest pan uchodźcą z Chin?

- Nie.

• Czy jest pan białej rasy?

• Tak.

• Czy teraz znajduje się pan w Wojskowym Magazynie Broni w Anniston?

• Tak.

• Czy wie pan co znaczy skrót CS?

• Nie, ale chyba się domyślam.

153

• Czy wie pan co znaczy VX?

• Nie. Tak.

Bomby w bunkrze. Ten wysoki mężczyzna powiedział mu, że VX to oznaczenie gazu bojowego. Za jego plecami rozległo się skrobienie pisaka na papierze.

• Czy wie pan co znaczy VX? - powtórzył operator.

• Tak.

• Czy wiepancotojestkryptosporidium?

• Nie.

• Czy wie pan co to jest węglik?

• Tak.

Choroba bydła. Kryptosporidium? Węglik? To nie żadna broń

chemiczna.

Raczej biologiczna.

- Wie pan co to jest Oko Szatana?
- Nie.
- Czy wie pan co to jest botulina?

-Nie.

- Czy widział pan to?

Serce Dave'a aż podskoczyło, na co w myślach siarczyście zaklął. Widział co? Cylinder? Niech to wszyscy diabli! Pisak musi skakać jak oszalały. Ale przecież go nie widział.

- Nie.

Zapanowała cisza, zakłócana tylko skrobaniem. Wreszcie lista pytań zaczęła się od początku.

- Czy nazywa się pan David Stafford?
- Tak.

Mężczyzna powtórzył początkowe pytania w tej samej kolejności. Tym razem, gdy doszedł do ostatniego, Dave był już na nie przygotowany. Po tej odpowiedzi nie pojawiła się przerwa, lecz został zapytany gradem dodatkowych pytań.

• Czy zna pan śmiertelność powstałą z centymetra sześciennego substancji G?

• Nie.

• Czy zna pan objawy działania gazu musztardowego?

• Nie.

• Czy zna pan składniki chemiczne fosgeny?

• Nie.

• Czy jest pan w stanie nazwać substancje, od których gotuje się krew?

• Nie.

• Ma pan to?

Kolejne zaskoczenie. Ale podświadomie był na to przygotowany.

- Nie.

Operator zadał mu jeszcze piętnaście pytań dotyczących broni chemicznej, z czego większość wiązała się z fizycznymi efektami ich działania. Stafford udzielił przeczącej odpowiedzi na każde z nich.

- W porządku - stwierdził pracownik FBI. - Od początku.

Czy nazywa się pan David Stafford?

154

Znów przerobili wszystkie pytania, włącznie z tymi dwoma, które -jak Dave podejrzewał - wiązały się z zaginionym cylindrem. Później mężczyzna prawdopodobnie uruchomił procedurę drukowania wyników, po czym zaczął usuwać czujniki z ciała Dave'a.

- To wszystko, panie Stafford. Powiadomią o tym szefa żandarmerii. Sądzę, że już z panem skończyliśmy. Sposób, w jaki Smith wypowiedział te słowa, sprawił, że Dave spojrzał na niego uważnie. Niestety z wyrazu twarzy technika nic nie dało się wyczytać.

- Zdałem? - zapytał inspektor, z trudem chowając prawą dłoń do kieszeni.  
Pracownik FBI wziął długą wstęgę wydruku i skierował się do drzwi.

- Zdał pan, panie Stafford? - Technik zatrzymał się w wejściu. - Przy badaniu poligrafem nie można zdać lub nie. Są tylko pytania i odpowiedzi. Prawda i kłamstwo. To proste. Tak jak odpowiedzi tak lub nie.

Pracownik DCIS milczał. Dwadzieścia minut później siedział już na tylnym siedzeniu woj skowego samochodu, który mknął przez Alabamę w kierunku Atlanty.  
Był pogrążony w ciemnościach, dosłownie i w przenośni.

Carrothers usiadł w fotelu na pokładzie learjeta i słuchał relacji Smitha z przebiegu sesji przy użyciu poligrafii. Załoga dokonywała ostatniej kontroli przed startem. Jeden z silników został już uruchomiony. Major Mason stał obok i robił notatki. Generał zacisnął usta, kiedy Smith skończył.

- Pańskim zdaniem wie coś na temat tego przedmiotu, o który pytaliśmy? zapytał.  
- Odpowiedź wskazywała na kłamstwo, szczególnie na pytanie „czy ma pan to?”. Był w stanie zatuszować swe reakcje przy powtórce, ale wciąż dało się wykryć pewne anomalie. Skoro nie wiem o czym mowa, nie byłem w stanie pójść tym tropem.

Carrothers pokiwał głową.

- Tak, rozumiem. W tym wypadku, panie Smith, niewiedza jest prawdziwym błogosławieństwem. Dziękujemy panu bardzo za udzieloną pomoc. Startujemy prosto do Atlanty.

Technik przytaknął i wycofał się do środkowego przedziału, Mason pozostał na miejscu.

Generał przetarł powieki i zapiął pasy.

• Uwielbiam współpracę z FBI. To prawdziwi profesjonaliści. W porządku.

Po pierwsze, jutro z samego rana doprowadzę do ponownego zebrania grupy operacyjnej. Tyle, że tym razem w jej skład wejdziemy tylko my dwaj i pułkownik Fuller. Po drugie trzeba zadbać, by Stafford zniknął z szachownicy. W tym będę potrzebował pomocy generała Waddella. Po trzecie zaś chcę mieć pewność, że nasz mistrz techniki będzie milczał o tym drobnym teście.

• Wydaje mi się, że tak będzie, panie generale.

Powiedziałem mu, że uczestniczy w działaniach mających na celu usidlenie podejrzanego agenta DCIS. Dodałem, że Stafford jest prowokatorem, który spalił kilku ludzi w Waszyngtonie,

prowadzoną przez siebie grę.

- Innymi słowy dajemy możliwość zemsty. Może odegrać się za krzywdę wyrządzoną koledze. Kupił to?

- Biuro nie przepada za takimi ludźmi jak Stafford. Szczerze życzył mi powodzenia. Powiedział, że z przyjemnością nam pomógł.

- Ale czy będzie musiał złożyć raport w tej sprawie?

- Tak, sir. Poleciałem, aby skontaktował się z nami, jeśli jego szefowie będą mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Pełna kooperacja. Przecież jesteśmy im to winni.

Mam tylko nadzieję, że ich placówka w Atlancie nie nada sprawie zbyt głośno.

- W porządku. Aha, majorze?

- Słucham, sir?

Jeżeli chodzi o generała Waddella, przedmiot został zniszczony, jak sam pan powiedział. Dbamy tylko o to, by nie pozostały żadne niejasności, choćby w sprawie Stafforda.

Drzwi wejściowe zamknęły się z głośnym sykiem. Mason zmarszczył brwi.

Wyglądał na poważnie zatroskanego. Ma powody - uznał Carrothers przyglądając się podwładnemu. Proponował mu udział w działaniach

niezgodnych z wytycznymi przez ich wspólnego dowódcę. To ciekawe, czy Mason

zostanie lojalny wobec niego, czy też wobec generała Waddella.

- Z całym szacunkiem, panie generale, czy istnieje nowa

„właściwa odpowiedź” na pytanie: co stało się ze zgubą?

Carrothers wywrócił oczami, w momencie, gdy samolot

zaczął kołować.

- Proszę usiąść i zapiąć pasy, majorze. Oparcie do pozycji pionowej i cała

reszta procedury.

### **Niedziela, hotel Peachtree Center, Atlanta, 21.30**

Dave zaparkował wynajęty samochód na ulicy nieopodal hotelu i przespace-

rował się przed głównym wejściem, aby sprawdzić czy jest obserwowane. Po

chwili zastanowienia uświadomił sobie, że agenci mogą znajdować się w środku,

w podziemnym garażu lub po prostu w jego pokoju. Wszedł do środka, podszedł

do recepcji i zapytał o nocnego menadżera. Z zaplecza wyłonił się dość młody

człowiek. Chusteczką otarł usta, co sugerowało, że właśnie jadł kolację. Dave

przedstawił się jako agent federalny, okazał dokumenty i zapytał czy pan Sparks

z DCIS, nie prosił przypadkiem dziś popołudniu, o dostęp do jednego z pokoi

hotelowych. Menadżer okazał zaskoczenie, a wreszcie po chwili zastanowienia,

przytaknął. Stafford podziękował mu i odszedł, zanim pracownik zdążył zadać

V mu jakiegokolwiek pytanie. Dave skierował swoje kroki do baru na półpiętrze.

Usiadł przy stoliku, zamówił martini tanqueray i poprosił o udostępnienie telefonu. Wybrał numer do swojego pokoju i czekał. Po dziesiątym dzwonku ktoś podniósł słuchawkę.

- Ray, jestem w barze na antresoli. Pozwól, że postawię ci drinka.

W słuchawce rozległo się tylko ciężkie westchnienie. Kilka minut później wraz z dwoma podwładnymi zjawił się w barze Sparks. Skinął, by obaj siedli

przy pobliskim stoliku, a sam zajął miejsce naprzeciw Stafforda.

Na widok goryli

inspektor schował lewą dłoń pod blat w taki sposób, by zostało to wyraźnie za-

uważone. Bezużyteczna prawa ręka pozostała na stoliku.

- Nie straciłeś tupetu, Dave. - Stafford z trudem podniósł palec i wskazał

nim drinka, a jednocześnie pytająco uniósł brwi. Sparks w odpowiedzi pokręcił

głową. Przewiercił przyjaciela wzrokiem, nim zapytał: - W co, do diabła, wpako-

wałeś się tym razem?

Dave rozmieszał lód w drinku. Starał się nie okazywać wysiłku jaki w to

wkłada, ale dłoń wyraźnie mu drżała. Uśmiechnął się.

- Przyszliście, żeby mnie zwinąć, tak?

- Jasne, że tak. Waszyngton nagle bardzo zainteresował się tym, co robisz

i dlaczego. Kazali jak najszybciej uniemożliwić ci wszelkie działania.

Stafford pochylił się i zniknął z jego twarzy uśmiech.

- Mam już za sobą odsiadkę. Od wczorajszej nocy. Nie pozwolę się zabrać

gdziekolwiek przez nikogo, ani dziś ani żadnego innego dnia.

- Naprawdę? - zapytał Sparks odpowiadając na spojrzenie przyjaciela.

Beztrosko rozpiął marynarkę, spod której wyłoniła się kolba dziewięciomili-

metrowej broni. W jego ślady poszli podwładni i przygotowali się do działania.

- Naprawdę. Czy, sugerujesz strzelaninę w barze jednego z bardziej eksklu-  
zywnych hoteli w mieście?

- Żeby doszło do strzelaniny, obie strony muszą mieć broń, Dave, a ja nie

przypominam sobie, że bym wydawał ci zgodę na pobranie pistoletu. Nie jesteś

uzbrojony.

- Nie możesz być tego pewien, Ray. To Georgia. Tu broń można kupić na-  
wet w kościele.

- Błefujesz, do cholery. Daj sobie spokój z takimi bzdurami. Nie chcemy

kłopotów, w które zostaną zaangażowani cywile.

- Wybór należy do ciebie, Ray. Sugeruję, abyś odprężył się na chwilę, prze-

stawił się na odbieranie i może w ten sposób dowiesz się czegoś, co powinieneś

wiedzieć. Nie wydaje ci się, że jako mój tymczasowy zwierzchnik powinieneś

wiedzieć, gdzie ostatnio byłem? Do diabła, Ray! - Nie chcesz się tego dowiedzieć? Nie interesuje cię to choć odrobinę? Kiedyś byłeś dochodzeniowcem, pamiętasz?

Sparks zmieszał się i zacisnął usta. Po chwili odchylił się i zapiął marynarkę. Lekko pokręcił głową i ci z tyłu również się rozluźnili, choć ani na chwilę nie przestali uważnie ich obserwować.

- Dobra, mów - rzekł mieszkaniec Atlanty.

Dave ponownie wrócił do dnia przylotu i wszystkich kolejnych zdarzeń związanych z cylindrem. Rozmówca słuchał go cierpliwie, choć o większości zdarzeń już wiedział. Zareagował dopiero, gdy usłyszał o działaniach żandarmerii w Oxford.

157

-- Co zrobili?

• Cholera, Ray, myślałem, że to ty ich przysłałeś. Przypomnij sobie jak bardzo cię interesowało, gdzie jestem.

• To prawda, ale chciałem dowiedzieć się tego dla własnej informacji. - Urwał widząc minę Stafforda. - W porządku - przyznał. - Zamierzałem cię dorwać, ale nie z powodu armii.

• Coraz lepiej - uznał Dave, po czym zrelacjonował zdarzenia mające miejsce w niedzielę wczesnym rankiem.

• Złapali cię? I aresztowali? Wojsko? Okazałeś im swój identyfikator?

• Oczywiście, że tak. Jestem jednak pewien, że wiedzieli z kim mają do czynienia i kierowali się jasnymi rozkazami. A teraz pozwól, że powiem ci dokąd mnie zabrali.

• Czekaj chwilę. Teraz nie odmówię drinka.

Dave skinął na kelnerkę. Czekając na realizację zamówienia, Sparks wstał i podszedł do podwładnych. Po minucie dyskusji z ociąganiem opuścili lokal.

W momencie, gdy na stoliku pojawiła się szkocka, szef delegatury jednym haustem opróżnił połowę szklaneczki i skinął na Stafforda, by kontynuował. Na jego twarzy pojawiała się coraz większa wściekłość, kiedy słuchał opowieści o wizycie w bunkrze, a później badaniu za pomocą wykrywacza kłamstw. Dopił drinka, akurat wtedy, gdy Dave skończył.

• Wprost nie mieści mi się to w głowie - wyznał wzburzony. - To niewiarygodne. Wojsko nie miało prawa tak postąpić.

• Teraz to nie ma znaczenia, Ray. Rzeczywiście ich zachowanie nie mieści się w głowie. Nie postąpiliby w podobny sposób, gdyby nie panikowali. Stracili jakąś broń. A teraz utknęli w martwym punkcie... Nie mogą nikomu tego zdrar

dzić.

- Ale dlaczego, do diabła, cię wypuścili? Te pytania „czy pan to widział?” i „ma pan to?”? Uważasz, że udało ci się wyprowadzić maszynę w pole?

- Wątpię. Jej operatorem był facet z FBI, a oni nie zatrudniają amatorów.

- Facet z FBI? - Sparks ostrożnie rozejrzał się po barze. Jak na niedzielny wieczór nie było tu tłoczno. - Twierdzisz, że wojsko i Biuro ze sobą współpracują? To bardzo niepokojąca wiadomość. Może to tłumaczyć dlaczego nagle z Waszyngtonu przychodzi rozkaz, bym cię znalazł i najwidoczniej zamknął ci usta.

- Cały ten bałagan jest niepokojący, Ray. Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że ktoś jest w posiadaniu tej broni i próbuje ją sprzedać. Wyobraź sobie jakąś bojówkę wyposażoną w cylinder z substancją, od której ludziom gotuje się krew.

Substancja, od której gotuje się krew? Jezu Chryste! Skąd przyszło ci do głowy coś podobnego?

- Usłyszałem o tym podczas pogawędki w bunkrze z tym poważnym wojskowym, choć nie wiem kto to był. Mówię ci, Ray, że się nie mylę. I nie wiem do kogo się z tym zwrócić, szczególnie jeżeli wojsko nie przyzna się do zaistniałego kryzysu.

- Co więc zamierzasz zrobić?
- Najpierw powiedz na czym stoimy. Ty i ja. Gdzie poszli ci dwaj goście?

158

Ray w zamyśleniu bawił się kostkami lodu pozostałymi na dnie szklaneczki.

Wreszcie odstawił naczynie.

- Przyjechaliśmy tu, aby zabrać cię do Smyrna. Otrzymałem rozkazy od przełożonego pułkownika Parsonsa - pana Whittakera - by, jak to ujął, wziąć cię pod federalną opiekę. Ale to było, zanim usłyszałem o tym incydencie z armią.

- Whittaker? To on zastąpił Bernsteina, prawda?

- Zgadza się. Członek kadry kierowniczej, nominowany z klucza politycznego. Przyszedł z Departamentu Sprawiedliwości. Wciąż ma rozległe kontakty w tamtym miejscu. Czuje się u nas mocno i zaczyna coraz bardziej hulać. Powiedział, że jeżeli cię nie przymknę, będę się musiał gęsto tłumaczyć, niekoniecznie swoim przyjaciółom.

- A gdzie w tym wszystkim jest pułkownik?

- W ciemnościach, jak my wszyscy.

Stafford pokiwał głową.

~ W porządku, rozumiem. Pozwól, że coś ci zaproponuję: powiesz im, że wcale nie zjawiałem się w hotelu. Nie masz zielonego pojęcia, gdzie mogę się

podziwiać. Później zażadasz rozpoczęcia poszukiwań za pomocą sieci elektronicznej. Wiesz, rządowa karta kredytowa, telefon służbowy, wszystko, co zostawi po mnie ślad. Będę korzystał z tych rzeczy tak, abyś mógł udawać, że mnie tropisz. Daj mi jeden dzień. Muszę pojechać do Graniteville i ostrzec tych ludzi, że nad ich głowy nadciąga chmura gradowa. Oni mi zaufali, a teraz nie jestem w stanie zapewnić im ochrony.

- Dlaczego po prostu tam nie zatelefonujesz?  
• Bo jeszcze raz chcę się widzieć z tą dziewczyną. Zależy mi na jej przepytaniu. Muszę wiedzieć, czy to prawda, czy tylko stek bzdur. Za pierwszym razem Crwen Warren nie pozwoliła mi na to. Teraz mam duże szanse, szczególnie po tym, jak powiem, co może im grozić.

• A później?  
• Później wrócę do Atlanty. Jest niedziela. Pojadę tam jutro z samego rana.

^k> miasta wrócę... kiedy? We wtorek? Właściwie kiedy sobie zażyczysz.

Sparks zmierzył przyjaciela wzrokiem.

• Ray, zastanów się nad tym. Nic złego nie zrobiłem.

Wdepnąłem w coś, co może okazać się cholernie poważne. Zaginęła broń chemiczna, która zapewne

znajduje się tutaj, w Atlancie. Wojsko łamie wszelkie zasady: nielegalnie zatrzymuje własnych pracowników, pod osłoną nocy wysyła zespół szybkiego reagowania, aresztuje agentów federalnych. Nie obchodzi mnie, czy rząd zaangażuje się w sprawę w taki sposób, aby utrzymać w tajemnicy. I tak całość wyjdzie na światło dzienne. Kiedy do tego dojdzie, chcesz być po stronie aniołów, Ray?

• W Waszyngtonie nikt nie uważa cię za anioła.  
• Jeżeli będę szukał tego pojemnika, podczas gdy wszyscy

staną na głowie, aby zatuszować jego zniknięcie, każdy mój sprzymierzeniec narazi się na poważne niebezpieczeństwo. Nie musisz stawać w pierwszym szeregu, Ray. Ja się tym

zajmę. I tak jestem już na widelcu. Bądź moim człowiekiem wewnątrz systemu.

Wydaje mi się, że to Carson ma tę broń, a przynajmniej wie, gdzie jest ukryta. Daj

159

mi dzień na ostrzeżenie tych ludzi z Graniteville, a później wrócę tu i rozpracuję gnojka.

Sparks w zamyśleniu przesunął palcami po włosach.

• Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego armia zdecydowała się ciebie wypuścić.

• Może dlatego, że ktoś chce, aby odnaleziono to cholerstwo. Skoro nie mogą przyznać się do kryzysu, jednocześnie nie są w stanie podjąć

działań na pełną skalę, aby odzyskać zgubę. To tłumaczyłoby całe przedstawienie w bunkrze. Po co straszyć mnie w ten sposób, jeżeli zależałoby im na odizolowaniu mnie od świata. Nie mają pojęcia, co tak naprawdę wiem na temat Carsona.

- Od medium.

Dave zawahał się.

• Tak, to prawda. Ray, ten przedmiot z ekranu komputera był identyczny jak ten na rysunku. W jaki sposób wytłumaczyć taką zbieżność?

• Nie wiem, do licha! Po prostu nie wiem. I wcale nie podoba mi się wybór, przed jakim mnie stawiasz.

• Doskonale wiesz, na jakich zasadach funkcjonują nasze władze. Czy ci dwaj faceci będą milczeć na temat naszego spotkania?

• Tak. Będą, chyba że ich praca będzie zagrożona. Prosisz o bardzo wiele, Dave.

• Wiesz, że mam rację, Ray. Daj mi trzydzieści sześć godzin.

Do tego czasu

wrócę. Spotkamy się gdzieś na uboczu i znajdziemy haka na

Carsona. Potrzebuję

tylko tych trzydziestu sześciu godzin. Mogę być wolnym

strzelcem, ale nie jestem

zdrajcą. Poza tym, co złego może się zdarzyć w tak krótkim czasie?

Sparks parsknął rozbawiony.

- Kiedy ty prowadzisz grę? Cholera! - Długo przyglądał się przyjacielowi,

aż wreszcie westchnął. - Niech mnie licho. Masz te swoje pięć minut.

Dave wstał.

- Idę na górę i zamierzam się przespać. Popatrz na to w ten sposób: jeżeli

cała sprawa to bujda, niczym nie ryzykujesz dając mi odrobinę swobody. Nikt nie

obarczy cię za to odpowiedzialnością.

Szef placówki DCIS pokręcił tylko głową, po czym skinął na kelnerkę, by

zamówić jeszcze jednego drinka.

## 10

### **Poniedziałek, Graniteville, Georgia, 11.15**

Dave Stafford wjechał do Graniteville kilka minut po

jedenastej. Było ponie-

działkowe przedpołudnie. Usta rozrywały mu się niemal od

ziewania. Prze-

spiał kilka godzin, ale wciąż czuł się zmęczony. Niejasno pamiętał męczące go

sny. Bez wątplenia dotyczyły bunkrów w Anniston.

160

Był jasny i pogodny dzień. Góry północnej Georgii zieleniły się kolorami

wczesnego lata. Czekał go poważna rozmowa z Gwen Warren

psuła mu dobry nastrój. Będzie przerażona na wieść, że została ze swoją podopieczną wciągnięta w coś poważnego i niebezpiecznego. Na automatycznej sekretarce w jej biurze zostawił wiadomość, że jedzie do Willow Grove. Z rozmysłem zadzwonił odpowiednio wcześniej, by nie rozmawiać z nią osobiście.

Wjechał na główny plac, gdzie panował dość duży ruch, jak na taką małą miejscowość. Z przeciwnej strony jechał szereg hałaśliwych ciężarówek wypełnionych kruszywem. Za nimi ciągnęły się chmury czarnego dymu i białego pyłu. Nigdzie nie było śladu szeryfa, co go nie zmartwiło, bo nie miał ochoty na spotkanie z nim. Postanowił podjechać do Waffle House na późne śniadanie i stamtąd jeszcze raz zatelefonować do Gwen. Przez całą podróż powstrzymywał się by nie zadzwonić do Raya Sparksa. Chciał się upewnić, czy wciąż miał w nim sprzymierzeńca. Teraz, w poniedziałek, wiele mogło ulec zmianie. W połowie drogi zatkanował wynajęty samochód, korzystając z rządowej karty płatniczej.

Bez wątpienia w Waszyngtonie działały się zakulisowe rozgrywki, wymierzone bezpośrednio w niego. Ray wyjawiał mu, że następca Bernsteina jednoznacznie dawał do zrozumienia, iż Stafford działa na szkodę DCIS, a FBI aktywnie uczeszniczyło w przedstawieniu, w Anniston. Dave nie będzie miał swoich trzydziestu sześciu godzin, jeżeli Waszyngton przycisnie Sparksa wystarczająco mocno. Trzymał więc kciuki za samego siebie, bo realnie groziła mu utrata jedynej szansy.

Wjechał na parking restauracji i zatrzymał samochód między dominującymi tu, zakurczonymi pikapami. Jego wóz był jedynym osobowym w tym towarzystwie. Zajął stolik w rogu po przeciwnej stronie niż drzwi i zamówił półmisek śniadaniowy. Nim skończył jeść, zatelefonował do Willow Grove. Zręcznie trzymając słuchawkę między ramieniem, a brodą, sprawną ręką wybrał numer. Znów odezwała się automatyczna sekretarka. Zostawił wiadomość, iż jest w Waffle House w miasteczku, musi mówić z Gwen w pilnej sprawie i że zadzwoni ponownie za godzinę.

Kończył właśnie śniadanie, kiedy wszedł szeryf. Krótko porozmawiał z kasjerem, rozejrzał się i podszedł do stolika Dave'a. Ten wskazał, by przybył usiadł.

- Dzień dobry, szeryfie.
- Panie Stafford. Gwen zadzwoniła do mnie i powiedziała, że kontaktował się pan z nią w pilnej sprawie. Prosiła, bym przyjechał tu i dowiedział się, o co chodzi.

Kelnerka przyniosła im kawę. Stafford nie wiedział właściwie w jaki sposób przedstawić sprawę, z którą przyjechał. Zależało mu na bezpośredniej rozmowie z Gwen, a nie z policjantem. Odniósł jednak wrażenie, że mimo usilnych prób nie uda mu się tak łatwo pozbyć stróża prawa. Poza tym, może nie popełni błędu przedstawiając mu swoją wersję wydarzeń, zanim pojawi się tu wojsko i zaprezentuje odmienny punkt widzenia.

- Muszę się z nią spotkać - zaczął Dave.

Szeryf popatrzył na niego badawczo znad kubka kawy.

- Mówiła, że tak będzie.

161

- Nie mam nic przeciwko temu, by pan nam towarzyszył. Istnieje jednak możliwość, że to Gwen nie będzie sobie życzyła pańskiej obecności, kiedy wyjaśnią w czym rzecz.

Szeryf uśmiechnął się lekko, a wokół jego oczu pojawiły się wyraźne „kurze łapki”.

- To naprawdę małe miasteczko, panie Stafford. Nasz okręg także nie należy do dużych. W tak niewielkiej społeczności praktycznie nie istnieją żadne tajemnice. Wciąż wiąże się to z Jessamine?

Cholera! Czyżby mu powiedziała? Zaskoczenie pracownika DCIS musiało być widoczne, bo gliniarz ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Panie Stafford, pozwoli pan, że zapytam o coś. Jest pan agentem federalnym, prawda? Przyjeżdża pan jednak tutaj i na dodatek zupełnie sam. Nigdy, przez całą swoją karierę, nie widziałem samotnego federalnego, chyba, że się kamuflował. Może mi pan wyjaśnić dlaczego działa zupełnie solo? Poprzednio jeździł pan rządowym samochodem, białym crown vicem, na wojskowych numerach. Teraz widzę mocno zużyty wóz z wypożyczalni. Na pewno dostał pan służbowy telefon komórkowy, a jednak kasjer powiedział mi, że korzystał pan z automatu. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Mógł być miejscowym, ale to wcale nie oznaczało, że jest półgłówkiem.

- Niewiele umknęło pańskiej uwadze, szeryfie - pochwalił Dave.
- Płacą mi za to.
- To bardzo skomplikowana i być może niebezpieczna sprawa. Działam zdecydowanie w pojedynkę. Przede wszystkim proszę przynajmniej o tymczasowe zaufanie. Chodzi rzeczywiście o Jessamine, a oprócz tego o Gwen Warren, armię Stanów Zjednoczonych, moją agencję - DCIS - oraz prawdopodobnie o FBI. Problemy nie wiążą się bezpośrednio z tym miejscem, ale może się zdarzyć, iż przy-

dą tu do Gwen i dziewczyny, a wraz z upływem czasu moje możliwości ochrony zmniejszają się. Dlatego naprawdę muszę pomówić z Gwen i chyba dobrze by było, żeby pan przy tym asystował.

Twarz policjanta przybrała poważny wyraz, kiedy tylko zdał sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Czy to pan coś przeszkrobał, panie Skfford? - zapytał takim tonem, że Dave niemal odruchowo zaprzeczył.

- Nie, nie. To coś, w co wdepnąłem przez przypadek, podobnie zresztą jak Gwen i Jess. Według mojego rozeznania to sprawa naprawdę poważna. Może nawet zagrozić tutejszemu spokojowi.

- Co to takiego, do diabła? - zapytał policjant podniesionym głosem. Jego zachowanie sprawiło, że dwóch mężczyzn przy sąsiednim stoliku pospiesznie skończyło jeść, wstało i wyszło.

- Czas gra tu ogromną rolę - powiedział inspektor dochodzeniowy. - A my właśnie go marnujemy.

Stróż prawa wstał powoli i z góry popatrzył na rozmówcę, niczym sokół gotujący się do ataku na bezbronnego zajączka. W restauracji niespodziewanie zaległa krępująca cisza.

162

- W porządku, szanowny panie. Jak to mówią: do dzieła.

Stafford nie do końca był pewien, czy to zaproszenie do radiowozu, czy też do pojedynku rewolwerowego. Sądząc po spojrzeniach zgromadzonych, nie należało wykluczyć tej drugiej możliwości. Zostawił na stoliku dziesięciodolarowy banknot i podążył za potężnym mężczyzną, nieudolnie zachowując pozory godności.

Do Willow Grove pojechali policyjnym wozem. Szeryf nie próbował nawet nawiązać rozmowy. Gwen czekała na werandzie. Miała na sobie prostą spódnicę i bluzkę, na którą narzuciła cienki sweter. Na jej widok Dave'owi zrobiło się ciepło na sercu. Powitała ich nadzwyczaj chłodno, kiedy obaj wysiedli i weszli na werandę.

- Dzieci są w klasie -r dodała. - Na stoliku stoi kawa.

Stafford podziękował jej za spotkanie, gdy już usiedli, po czym jeszcze raz rozpoczął całą opowieść zaczynając od incydentu na lotnisku. Nie wiedział, ile z tego wie szeryf, ale zwrócił uwagę, że ten słucha jego słów z ogromnym zainteresowaniem. Opowiedział im praktycznie wszystko, pomijając tylko przyczyny wysłania go do Atlanty.

- W wyniku okropnej niekompetencji lub nieszczęśliwego zbiegu okolicz-

ności, a może jednego i drugiego, wojsko zgubiło broń chemiczną. To cylinder, który Jess „widziała” podczas spotkania na lotnisku. Ma go Carson albo też wie gdzie jest ukryty. Teraz na pewno próbuje go sprzedać. Podejrzewam, że znajduje się gdzieś na terenie DRMO, które jest wprost wymarzonym miejscem na kryjówkę.

- Dokładnie o jaką broń chodzi? ^zapytał policjant.
  - Nie znam jej nazwy. Wiem tylko, że to jakieś chemiczne świństwo.
- Zapewne gaz bojowy.
  - DaVe powtórzył fragmenty wypowiedzi wojskowego z bunkra.
  - Dobry Boże! - szepnęła Gwen. --Amerykanie robią takie okropieństwa?
  - To dziedzictwo naszych europejskich przodków, Wydaje mi się, że fakt posiadania broni chemicznej był pewnym zabezpieczeniem, by nie użyto jej przeciw nam od czasów Pierwszej Wojny Światowej.
  - Ale o co tu tak naprawdę chodzi, panie Stafford? - zapytała Gwen. - Jest pan agentem federalnym i twierdzi, że istnieje duże prawdopodobieństwo popełnienia przestępstwa. Dlaczego odpowiednie służby nie zajmą się tą sprawą?

Inspektor wstał i zaczął spacerować po werandzie.

- Bo została okryta zasłoną milczenia przez ludzi z Waszyngtonu. Podejrzewam, że wojsko nigdy nie przyzna się do zgubienia broni chemicznej, a to znaczy, że jakiegokolwiek żądanie wyjaśnień jest zupełnie bezcelowe. Szczególnie zaś, jeżeli podejrzenia oparte byłyby na zeznaniach osoby nieletniej obdarzonej zdolnościami paranormalnymi. Armia będzie po cichu prowadzić poszukiwania zguby, a każdy, kto przez przypadek wejdzie im w drogę, jest odcinany od świata, dopóki broń się nie znajdzie albo nie zapadnie ostateczna decyzja, że przepadła na dobre. To właśnie spotkało cywilnych pracowników w Fort McClellan.

163

- Każdy? - zapytała Gwen. Na jej twarzy pojawiła się dziwna mina. Stafford nie był pewien, czy jest spowodowana strachem, czy też wściekłością.

- Tak-odpowiedział wytrzymującej twarde spojrzenie. - Każdy. Właśnie dlatego tu jestem, żeby was ostrzec. - Zawahał się. Oto najtrudniejsza część jego wizyty. - Mój szef wie o Jess. Podejrzewam też, że Carson wie o mojej poprzedniej wyprawie do Graniteville. Na szczęście myśli zapewne, że dowiedziałem się o tej broni, dzięki rozmowie z jego podwładnym - Dillardem.
  - Z jakiego powodu Carson miałby się tu zjawić? - zapytał szeryf.

Dave nie oderwał wzroku od dyrektorki.

- To on był tym facetem, który stracił przytomność na lotnisku podczas spotkania z Jessamine.

Pani Warren okazała niemal fizyczny ból, na co policjant odruchowo ujął ją żarękę.

- Gwen? O co chodzi?
- On ma rację, John. Chodzi o Jess. W momencie, kiedy ona... bardzo intensywnie o kimś myśli, ten ktoś mdleje.

- Wielki Boże! Zupełnie o tym zapomniałem.

Szefowa ośrodka pochyliła się w fotelu.

- Czy Carson wie o Jess?
- Ty mi to powiedz, Gwen - rzekł Stafford. - Czy to prawdopodobne, że będzie pamiętał, co mu się przydarzyło na lotnisku?

- Nie wiem. Tak naprawdę bardzo niewiele wiemy o jej... zdolnościach.

- Ale wie, że pojechał pan do Graniteville - zauważył szeryf. - To po prostu Świetnie.

Gwen lekko ścisnęła dłoń policjanta.

- John, to ja zatelefonowałam do pana Stafforda.

Pamiętasz? On nie mógł wtedy mieć pojęcia o co mi chodzi.

Dave z powrotem usiadł.

- Ten cylinder z rysunku Jess nie znaczył dla mnie absolutnie nic, dopóki w DRMO nie pojawił się zespół szybkiego zwalczania zagrożeń chemicznych - wyjaśnił. - Zobaczyłem wtedy na ekranie komputera w ich centrum dowodzenia identyczny.

Gliniarz w zamyśleniu pogładził potężne wąsy. Absolutny spokój na podwórku kontrastował z napięciem panującym na werandzie. Stafford pomasażował obolałe ramię. Od kilku dni nie robił żadnych ćwiczeń.

- To, co się zdarzy, będzie zależało od tego, co postanowią naprawdę prze-

- Cóż, może jestem tylko głupim glina - przemówił szeryf po długiej chwili,

ale chyba nie rozumiem dlaczego wszyscy, którzy wiedzą o zaginięciu tej broni nie stają na głowie, by ją odszukać, tylko skupiają się na kamuflowaniu wpadki.

- Kamuflaż, to w dzisiejszych czasach podstawa efektywnego działania władz - odparł pracownik DCIS. - Musi pan wiedzieć coś jeszcze.

Już wcześniej powiedziałem o tym Gwen, ale proszę wysłuchać dlaczego w ogóle trafiłem do Atlanty, przydzielony do obecnego zadania.

- Skąd, to do diabła przyszło? - zapytał generał Carrothers wymachując w powietrzu kartką z faksu.

Mina majora Masona była nadzwyczaj poważna.

- Z Wojskowego Departamentu Dochodzeń Kryminalnych, panie generale.

Właśnie poprosiłem ich o zweryfikowanie tej informacji. Do nich trafiło to z wydziału wywiadowczego FBI.

Carrothers ponownie przeczytał notatkę. Pierwszy akapit zawierał zwykle ostrzeżenia i formuły dotyczące zachowania w tajemnicy poufnych informacji.

Tak naprawdę interesujący był drugi. Mówił o zaistnieniu w międzynarodowej sieci handlarzy bronią, faceta o nazwisku Stafford, który usiłował sprzedać jakąś substancję chemiczną za milion dolarów. Żadnych dodatkowych danych o tym Staffordzie. FBI wszczęło już dochodzenie i prosiło wojsko o ewentualne informacje dotyczące owej substancji.

Drań - pomyślał generał.

- To równoważne z pytaniem czy nie zgubiliśmy jakiejś broni chemicznej - zauważył Mason.

Jego przełożony powoli pokiwał głową.

- Technicznie odpowiedź brzmi: „nie”, bo przecież nikt nie donosił nam o kradzieży żadnej broni chemicznej. Proszę natychmiast udzielić im takiej informacji! Miejmy nadzieję, że nie zapytają, czy nie zgubiliśmy czegoś przypadkiem.

Jeżu, Mason, jeżeli to prawda...

- Tak, rozumiem pana. To nazwisko...
- Nie ma co się oszukiwać. Ilu Staffordów poznaliśmy ostatnio? A przecież dodatkowo pojawia się kwestia wyniku badania przy pomocy wykrywacza kłamstw. Niech to diabli porwą. Czy sknocitem sprawę? Może powinniśmy go zatrzymać?

Do gabinetu generała zajrzał jego sekretarz.

Pułkownik Fuller tu jest, sir. Czy ma poczekać?

- Nie, proszę go wprowadzić.

Pułkownik pewnym krokiem wszedł do biura i zamknął za sobą drzwi.

- Dzień dobry panom - powiedział i dopiero wtedy zobaczył ich miny. - Reajftuwujemy grupę operacyjną? Czy coś się stało?
- Na to wygląda.

Fuller przeniósł spojrzenie z jednego na drugiego.

- Czy generał Waddell o tym wie?

Carrothers milczał, a Fuller pokiwał głową.

- W porządku. Pozwólcie panowie, że zapytam: uważacie, że pojemnik wcale nie trafił do przerozu, tak?
- Mam do pana pytanie - rzekł generał. - Dlaczego Waddell przydzielił panu kierowanie naszą grupą?
- No cóż, Myer Waddell i ja wiele razem przeszliśmy - zaczął pułkownik, ale Carrothers zdecydowanie uniósł rękę w geście protestu.
- Nie, chodzi mi o to, dlaczego pan, ekspert od broni biologicznej...

Zapytany usiadł w fotelu i rozpiął pod szyją koszulę. Zerknął na majora, ale

generał dał mu wyraźnie znać wzrokiem, że Mason ma zostać.

- Dobrze. Problem w tym, że otrzymałem jasne rozkazy od generała Wad-

della, by nie rozmawiać na ten temat z nikim, nawet z panem.

Carrothers spiął się niczym do skoku.

- Ma pan ochotę na tymczasową służbę na Wyspach Kwajalein? Jeszcze

dzisiaj może pan otrzymać rozkaz, by natychmiast się tam udać.

Fuller uśmiechnął się i uniosł ręce w geście udawanego poddania się.

- Oko Szatana to broń hybrydalna. Zawiera składnik biologiczny. Z moich informacji wynika, że jest on dość niestabilny.

- Jezu Chryste! - wyszeptał generał.

- W jaki sposób niestabilny, pułkowniku? - zapytał Mason, jak zwykle za-

bierając się do robienia notatek.

- Czynniki biologiczne mogą ulec mutacji w przypadku wyjęcia pojemnika

z zabezpieczającej go trumny.

- Innymi słowy nie mamy pojęcia, co może powstać w środku cylindra?

- Zgadza się. - Fuller długo milczał, nim dodał: - Proszę posłuchać pewnej opowieści, generale.

Szef grupy operacyjnej zrelacjonował w jaki sposób Stany Zjednoczone weszły

w posiadanie broni i jakie decyzje w sprawie Oka Szatana zapadły wiele lat temu.

- To nawet nie nasze świętowanie?

- Nie. Wszelkie informacje na temat ofensywnej broni chemicznej pocho-

dzą z archiwów. Teraz zajmujemy się tylko obroną przed istniejącymi substancja-

mi. Rozwijamy szczepionki, mające chronić naszych żołnierzy przez bronią, któ-

ra powstała u Saddama Husseina i w innych krajach, gdzie nie podpisano traktatu

o zakazie posługiwania się bronią biologiczną.

Carrothers wstał i zaczął spacerować.

- Majorze, poinformujcie pułkownika o doniesieniach z FBI.

Fuller słuchał uważnie i tylko od czasu do czasu z

niedowierzaniem kręcił głową,

- To mało prawdopodobne, generale - ocenił. - Z naszych informacji wy-

ni-ka, że Stafford pojawił się w DRMO po tym, jak pojemniki zostały już przywie-

zione z Tooele i zniszczone. Sprawdziliśmy to w DCIS, kiedy doszło do jego pierw-

szego kontaktu z grupą szybkiego reagowania.

- Co powiedzieli na jego temat?

- Podobno doniósł na członka kierownictwa swojej agencji, co oczywiście nie

zapewniło mu przychylności przełożonych. Zdecydowanie sugerowali, że facetowi

nie można ufać. Jednocześnie dowiedziałem się, że to inspektor dochodzeniowy

o wspaniałych osiągnięciach. Nie ma tylko wycucia w sprawach

politycznych.

- Innymi słowy nie jest to złodziej, który próbuje sprzedać broń chemiczną-powiedzmy Iranowi.

- Oczywiście. To były policjant, a teraz agent federalny piętnastego stopnia.

Carrothers wskazał na przekaz otrzymany z FBI.

- O czym oni więc tu piszą? Skąd to w ogóle przyszło? A jeśli ten Stafford coś wie, dlaczego, do diabła, nie zjawił się u nas i nic nam nie powiedział?

166

Mason odchrząknął głośno.

- Zrobił to, panie generale. Przynajmniej w pewnym sensie. Zastępca dowódcy wojsk chemicznych postał mu nieprzyjemne spojrzenie.

Mason odruchowo spuścił wzrok.

- Skoro nie przyznajemy się do zgubienia niczego, to gdzie można się udać

z tą sprawą? - zapytał Fuller.

- Do swojego przełożonego! Majorze, zlokalizujcie tego człowieka, z którym rozmawiałem w nocy... Nazywa się chyba Sparks. Rezyduje w Smyrna.

Mason wstał i opuścił biuro. Pułkownik z powątpiewaniem pokręcił głową.

- I co pan mu powie, generale? Zgubiliśmy broń chemiczną i bardzo chcemy rozmawiać ze Staffordem?

- Oczywiście, że nie. Powiem mu, że otrzymaliśmy doniesienie i chcemy się dowiedzieć, czy zawarte w nim informacje są wiarygodne.

- Z założenia nie. Przecież my niczego nie zgubiliśmy. Skoro nie możemy się do tego przyznać, według mnie, z nikim nie powinniśmy rozmawiać na ten temat.

Carrothers chciał odpowiedzieć, lecz zrezygnował i ciężko usiadł. Pułkownik miał rację. Tak naprawdę zależało mu, by jeszcze raz pomówić ze Staffordem.

Tym razem jednak nie pośród napawających przerażeniem bomb.

Wcale nie miał, ochoty dzielić się tym ze współpracownikiem, któremu nie ufał.

Fuller był nadal człowiekiem Waddella, a przecież Carrothers stapał po bardzo cienkim lodzie, postępując wbrew woli swojego przełożonego.

- To co pan mówi jest prawdą, pułkowniku. Wydaje mi się jednak, że spoczywa na nas obowiązek, by mieć absolutną pewność, iż ta broń me znajduje się w czymś posiadaniu. Szczególnie jeśli sami nie jesteśmy pewni, co znajduje się w środku cylindra. Wydaje mi się, że pan Stafford wie więcej, niż jest skłonny nam zdradzić.

- Tylko skąd, generale?

Carrother już chciał mu odpowiedzieć, ale postanowił się z tym wstrzymać.

Fuller pracował przecież dla dowódcy wojsk chemicznych, a Waddell nie miał

pojęcia o jego wyprawie do Anniston.

- Tak mi się wydaje. To czyste przeczucie.

Do gabinetu wrócił Mason.

• Biuro regionalne DCIS w Smyrna. Ray Sparks - dyrektor regionalny. Mam do niego bezpośredni numer.

• Proszę o połączenie na linii kodowanej.

Gdy major ponownie opuścił pomieszczenie, Fuller zapytał generała, czy ma ochotę na obejrzenie filmu dotyczącego Oka Szatana.

### **Poniedziałek, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 12.00**

Sekretarka Carsona weszła do jego biura z żółtą karteczką.

- Jeszcze jeden niezadowolony uczestnik przetargu chce złożyć skargę - powiedziała podając mu kartonik.

167

Szef placówki ponownie skupił się na pracy czekając, by sekretarka wreszcie opuściła jego gabinet. Zerknął na numer zaczynający się na 800. Tangent. To dobrze.

Odczekał kwadrans i oświadczył podwładnej, że idzie na lunch. Dziesięć minut później stał już w budce telefonicznej przy State Road 42. Dokładnie zamknął drzwi, odcinając się od hałasu dobiegającego z ulicy. W budce natychmiast zrobiło się nieznośnie gorąco. Teraz jednak nie miało to większego znaczenia. Najważniejsze były warunki transferu.

• Carson - przedstawił się, gdy ktoś podniósł słuchawkę.

• W porządku. Udało się nam wrzucić małą bombkę do systemu wywiadowczego FBI. Stafford będzie miał teraz niemałe kłopoty.

• Jak, do diabła, udało się to panu zrobić?

• Biuro płaci tajnym informatorom za dostarczanie plotek krążących wśród międzynarodowych handlarzy bronią. Mnóstwo z nich to absolutne bzdury, ale czasami to strzał w dziesiątkę. My jesteśmy jednym z takich informatorów.

• Jezu! To przecież igranie z ogniem.

• Nie wydaje mi się. Aby schować się przed FBI, najlepiej robić z nimi otwarte interesy.

• Czy DCIS dowie się o tej plotce?

• To bardzo prawdopodobne, ale nie zidentyfikowaliśmy Stafforda, jako agenta federalnego. Podaliśmy tylko jego nazwisko. Wzmianka o broni chemicznej sprawi, że informacja trafi do armii, a oni bez wątplenia będą wiedzieli o jakimś Stafforda chodzi. W ten sposób skłonimy jedną agencję federalną do działań przeciwko drugiej. Wszyscy zaangażują się w przepychanki prawne, a my w tym czasie będziemy mieli swobodę działania i zajmiemy się naszymi sprawami. Jest pan gotów?

Tak, ale całe to zamieszanie wiele mnie kosztowało. Jedno jest pewne: interesują mnie pieniądze w gotówce. Dolary. Setki.

- Zdaje pan sobie sprawę, że mówimy o dziesięciu tysiącach banknotów? To stos wysoki na jakieś trzy metry.
- Nie przeszkadza mi to. Już podjąłem decyzję. Nie znam się na brylantach, ani innych tego rodzaju błyskotkach. Poza tym wciąż wydaje mi się, że powinniśmy załatwić sprawę u mnie, w DRMO. Teraz; kiedy armia węszy, nie chcą tego nigdzie przenosić.

Tangent milczał przez moment.

- W porządku - uznał. - Chyba możemy się na to zgodzić.

Mój klient denerwuje się tylko faktem, że zawarcie transakcji wymaga wejścia na teren placówki federalnej. Wystarczy, że jakiś strażnik przy bramie zatrzyma samochód, przeszuka go i znajdzie pieniądze, a trudno będzie to wyjaśnić.

W Fort Gillem nikt nie pilnuje wjazdu. To otwarty posterunek.

- Rozumiem. A co z terminem?

Carson był na to przygotowany.

- Mamy poniedziałek. Ile czasu potrzebuje pan na przerzucenie swoich ludzi do Adanty? Oczywiście z pieniędzmi.

168

- Z logistycznego punktu widzenia jesteśmy gotowi w każdej chwili. Podróż potrwa od ośmiu do dwunastu godzin.
- W porządku, proszę więc posłuchać jak chcę to załatwić.

Zakładam, że pańscy ludzie będą gotowi do północy. Mają dwanaście godzin. W ciągu dwudziestu czterech godzin od tego momentu zatelefonuję do nich pod wskazany numer i przekażę wiadomość, że mogą przyjechać do Fort Gillem. Przyjadą tu i znajdą informacje, co robić dalej i dokąd się udać.

- Proszę zbytnio nie komplikować sprawy, panie Carson.
- Staram się tylko dopilnować, by transakcja przebiegła bezpiecznie, dla mnie.

Milion dolarów w gotówce to kusząca suma.

- Skąd mamy wiedzieć, że pan nas nie wykiwa?
- Co innego mogę z tym zrobić, poza sprzedażą? - zapytał szef DRMO, -

Nie zależy mi wcale na zatrzymaniu jej.

Szczególnie po tym, jak zauważyłem, że w środku coś się gotuje - dodał już w myślach.

- Dobra, może być. Zadzwoń jeszcze raz, za jakieś dwie godziny, żeby potwierdzić te uzgodnienia.
- Będę czekał.

### **Poniedziałek, Pentagon, Waszyngton, 12.20**

- Mamy kodowane połączenie z biurem państwa Sparksa, panie generale - za-

meldował Mason, stojąc w drzwiach.

Carrothers sięgnął po słuchawkę.

- Mówi generał brygady-- Lee Carrothers, zastępca dowódcy wojsk chemicznych.

^ Leslie Smith, panie generale. Zarządzam biurem regionalnej placówki DOS.

Jak już wyjaśniłam pańskiemu majorowi, pan Sparks nie może z panem rozmawiać.

- Nie ma go tam? A kiedy się zjawi?
- Nie może z panem rozmawiać, panie generale - powtórzyła Smith. - Nie

jestem w stanie odpowiedzieć, kiedy to będzie możliwe.

Carrothers zmarszczył czoło.

• Mówi mi pani, że nie chce ze mną rozmawiać, panno Smith?

- Mówię tylko to, co miałam przekazać.

Generał z trudem zachował spokój. Rozmówczyni nie zachowywała się nie-

stosowne, tylko w umiejętny sposób wykonywała polecenie szefa.

- Rozumiem, panno Smith. Czy mogę prosić o numer faksu z kodowaniem?

Chcę przesłać pewne materiały, które być może zmienią zdanie pana Sparksa.

Podala mu numer. Podziękował uprzejmie i rozłączył się.

- Niech to wszyscy diabli - szepnął. - Sparks nie chce ze mną mówić.

Pułkownik Fuller posłał mu pełne zaskoczenia spojrzenie.

- Aresztował pan jednego z jego ludzi - zauważył. - Trzymał w zamknięciu

przez cały dzień, zmusił do badania za pomocą wykrywacza kłamstw, aż wreszcie

169

wypuścił bez słowa przeprosin. W dzisiejszych czasach to dziwne, że jego prze-

łożony nie chce wyjaśnić tej sprawy jak najszybciej.

• Być może. Nie wydaje mi się jednak, żeby Stafford wiedział kim jestem.

• Wiedział, że za tą sprawą kryją się wojska chemiczne, generale.

• Tak, to prawda. Mason. Prześlijcie otrzymany raport pod ten numer - do

pana Sparksa - polecił. Dopilnujcie, aby w nagłówku znalazło się moje nazwisko

i zastrzeżenie o tajności.

- Tak jest. Natychmiast.

• Pułkowniku, chciałbym, aby później wspólnie z majorem Masonem zajął

się pan przygotowaniem specjalnego zespołu szybkiego reagowania, aby zabez-

pieczyć miejsce, w którym znajduje się Oko Szatana i w razie konieczności od-

kazać zagrożony teren. Chodzi zarówno o skażenie chemiczne, jak i biologiczne.

Fuller powoli pokiwał głową.

- Mogę zrobić tylko część z tego, o czym pan mówi, generale. Sprawa za-

grożenia chemicznego jest dość prosta. Zespół chemiczny z pełnym sprzętem

i maksymalnym zabezpieczeniem. Standardowa procedura odkażania. Pełne kom-

binezony wystarczą. Mówiłem też, nie wiemy do końca, co dzieje się z tą substancją. Do tego czasu mogły w niej powstać zupełnie nieznane i nieobliczalne toksyny. Nie wiadomo nawet, czy filtry oddechowe będą stanowiły wystarczającą ochronę.

Carrothers zastanowił się nad tymi słowami.

- Czy istnieje metoda dająca absolutną pewność wyeliminowania czynnika biologicznego, pułkownika?

- Tak, istnieje. Ogień i to o odpowiednio wysokiej temperaturze: na przykład podczas zapłonu napalmu, wybuchu atomowego lub w łuku węglowym.

- Najlepiej więc, żeby cylinder z Okiem Szatana znajdował się w jakimś budynku, prawda?

- Wtedy należałoby go doszczętnie spalić, choćby nawet przy pomocy miotaczy ognia. Tak, żeby zostały tylko zgliszcza.

- To dość ryzykowne, pułkowniku.
- Nie tak, jak skażenie tą substancją, generale.

Pułkownik Fuller opuścił biuro i rozejrzał się w poszukiwaniu Masona. Podoficer operacyjny poinformował, że major jest w korytarzu i korzysta z faksu. Fulla stanął więc na uboczu i zamyślił się. Po chwili zapytał, gdzie może znaleźć generała Waddella.

- Jest na Zachodnim Wybrzeżu, sir.
- Czy dostanę numer jego telefonu?
- Generał jest zawsze uchwytany.
- Generał Carrothers poprosił mnie i majora Masona o wznowienie działań

tajnej grupy operacyjnej. Proszę o przygotowanie sali konferencyjnej i dyskretne

przesłanie generałowi Waddellowi informacji, aby jak najszybciej się ze mną skontaktował. Ze mną, a nie z nikim innym. Zrozumiano, sierżancie? - Znacząco spoj-

170

rzał na drzwi prowadzące do biura Carrothersa. - Generał Waddell i ja jesteśmy przyjaciółmi i chcę z nim jak najszybciej prywatnie porozmawiać. Wykonać!

Podoficer zanotował wszystko w notatniku.

- Zrozumiałem, panie pułkowniku. Powiadomię pana, kiedy tylko uda mi się nawiązać kontakt z generałem.

### **Poniedziałek, Graniteville, Georgia, 13.00**

Stafford zapytał, czy może skorzystać z telefonu Gwen i zadzwonił do Sparksa. Sekretarka Raya poprosiła, by poczekał chwilę, wreszcie odezwała się po-  
nownie:

- Pan Sparks chciałby wiedzieć, czy ma pan ze sobą notebook.
- Tak. Jest w moim samochodzie.
- Prosił, aby zadzwonił pan jeszcze raz przy jego pomocy - możliwie szybko.

Dave rozłączył się i poszedł po komputer. Szeryf zapytał go, co zamierza zrobić.

- Muszę skontaktować się w bezpieczny sposób z lokalnym biurem DOS.
- Przy pomocy przenośnego komputera?
- Tak. Mam wbudowane kodujące urządzenie telekomunikacyjne - wyjaśnił.

Policjant podążył za inspektorem do gabinetu, ale wycofał się, gdy Stafford jednoznacznie na niego spojrział. Wybierając numer, zobaczył, że państwo Warren wymienili kilka słów na werandzie, po czym szeryf sięgnął po swój kapelusz.

Gwen weszła do domu i stanęła w drzwiach biura. Postanowił, że pozwoli jej zostać i wysłuchać rozmowy. Po uzyskaniu połączenia, zgłosił się od razu Sparks.

• Dave. Musisz o czymś wiedzieć. Właśnie otrzymałem faks z Pentagonu, od generała brygady wojsk chemicznych. To doniesienie anonimowego informatora, według którego, ktoś o nazwisku Stafford poważnie zaangażował się w handel bronią.

- A to drań. Co takiego usiłuje sprzedać?
- Broń chemiczną. Żąda za nią miliona dolarów. Ten generał chciał ze mną rozmawiać, ale go spławiłem.

• A skąd pochodzi ta informacja?  
 • Strzelaj. Do trzech razy sztuka.  
 Stafford zastanawiał się nad tym prawie minutę.  
 • Od tego faceta z Biura, który robił mi test w Anniston.  
 • Niekoniecznie, ale rzeczywiście z FBI. Teraz wiemy na sto procent, że sprawą zajmuje się nie tylko armia, ale i Biuro.

Tak, a wszystkim chodzi o broń, która przecież nie zaginęła. Teraz czujesz się nieco lepiej, Ray? Chyba przyznasz, że nie oszalałem do końca.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, Dave - rzekł Sparks i roześmiał się nerwowo.

171

Stafford odczuł ulgę czując, że przyjaciel jest znów po jego stronie, ale nie trwało to długo.

• Dave, wiesz, że muszę to przekazać do naszej centrali, chociaż wydaje mi się, że już o tym wiedzą. Będę też musiał powiedzieć o wszystkim pułkownikowi Parsonsowi.

• Cholera, wolałbym, żeby istniał sposób, aby tego uniknąć - powiedział

inspektor, mając świadomość, że dyrektorka domu grupowego przez cały czas stoi w drzwiach. - Przynajmniej, żeby pominąć tę część dotyczącą ludzi z Grani-teville.

- Mogę spróbować. Powiem, że wiadomości pochodzą od anonimowego informatora. Wiemy też, że gdy tylko pułkownik rozpocznie rozmowy z armią wojskowi wzruszą ramionami i stwierdzą, że nie wiedzą o żadnej zaginionej broni. Wciąż nie mogę wymyślić skąd wziął się ten donos na ciebie. Wiadomo, że przeszedł przez wydział wywiadowczy FBI, ale skąd oni go wzięli?

- Podsunął go ktoś, kto chce narobić mi kłopotów, a jednocześnie odwrócić od siebie uwagę.

- Myślisz o Carsonie?
- Odgrażał się, że ma przyjaciół w Waszyngtonie i to w taki sposób, że mógł to zrealizować.

- To tylko podejrzenia.
- Nie, wiem o tym.
- Wcale nie, Dave. Tylko przypuszczasz. Wiesz wtedy, kiedy możesz przedstawić dowody: fakty, świadków, dokumenty. Ta dziewczyna z kryształową kulą się do tego nie zalicza.

- Na miłość boską! - Ray, ona nie ma żadnej kryształowej kuli - powiedział głośniej, niż zamierzał. Coraz bardziej przeszkadzała mu obecność Gwen, która patrzyła na niego przenikliwym wzrokiem. W rozmowie zapanowała krępująca cisza.

Kto dokładnie przesłał ci ten faks?

- Przyszedł z biura generała brygady Lee Carrothersa, z Pentagonu.

- A ty odmówiłeś rozmowy z nim?
- Tak, do diabła! To sprawa międzyresortowa. Jeżeli ktoś ma rozpocząć rozmowy z dowództwem armii, to musi to być szefostwo DCIS. Pułkownik Parsons, albo ktoś jeszcze wyżej. Ten generał na pewno to przewidział. Chce, żebym przekazał otrzymaną informację swoim przełożonym.

Sparks jako absolutnie posłuszny biurokrata - przebiegło Dave'owi przez głowę.

- Możesz mi podać numer telefonu do tego generała? - zapytał.

- Niestety nie. Niech Parsons albo Whittaker się tym zajmie.

Ostrzegłeś tych ludzi z Hisckville, czy skąd oni tam pochodzą? Wracaj więc do Atlanty. Chcę mieć cię w Smyrna, kiedy Waszyngton zacznie wysyłać pociski kierowane do Georgii. Dobrze wiesz, że cała agencja będzie miała kłopoty.

Stafford myślał pospiesznie. Obiecał wrócić. Nagle stwierdził, że zupełnie nie ma na to ochoty.

172

• W porządku. Załatwię tu wszystkie sprawy i przyjadę - zapewnił.

• Zrozumiałem.

Rozłączył się, zanim Sparks zdążył cokolwiek dodać. Nie chciał mówić Rayowi więcej kłamstw, niż to było konieczne. Gwen wyglądała tak, jakby chciała coś powiedzieć, ale Dave uniósł rękę, by ją powstrzymać. Zwrócił się ponownie w stronę komputera i wystukał na klawiaturze jeszcze jeden numer.

• Operator Pentagonu.

• Chcę rozmawiać na kodowanej linii z generałem brygady Lee Carrothersem. Jest w budynku?

• Proszę czekać.

Inspektor skinął na Warren, by usiadła. Szeryfa nie było w pobliżu.

• Biuro generała Waddella, mówi sierżant Clifford.

• Sierżancie, tu David Stafford z DCIS. Chciałbym mówić z generałem Carrothersem.

- Proszę czekać, sprawdzę, czy pan generał jest dostępny. Stafford kciukiem zakrył mikrofon wbudowany w komputer.

• Staram się zrobić wszystko co w mojej mocy, Gwen.

Spróbuję nakierować tych ludzi na Carsona, a jednocześnie nie wciągać was w całą sprawę. Nie mogę obiecać...

• Tu generał Carrothers.

Dave'owi wydało się, że to głos, który należał do wysokiego mężczyzny z bunkra.

Witam ponownie, panie generale.

Krótkie wahanie.

• Dzień dobry, panie Stafford. Miałem nadzieję, że odezwie się pan do mnie.

• A czy mamy w ogóle o czym rozmawiać? Czy to też kolejna runda podchodów?

- Potknął się pan na dwóch pytaniach podczas testu. Pamiętaj pan na których?

• Tak. Odpowiedź brzmi tak na pytanie czy to widziałem i nie, jeśli chodzi

Otoczy mam tę rzecz. Wydaje mi się jednak, że wiem, kto ją posiada. Musicie

Zainteresować się kierownikiem DRMO-\* Wendellerfl Carsonem. I radzę zrobić

to możliwie najszybciej, panie generale. !

• To bardzo ciekawe, panie Stafford. A czy powie mi pan, gdzie to widział?

• Na monitorze komputera w ciężarówce waszego zespołu, kiedy po raz

pierwszy zjawili się w Atlancie. Był to cylinder, mniej więcej metrowej długości

i średnicy dziesięciu centymetrów. Obraz wyglądał tak, jak pochodzący z progra-

mu typu CAD. Obracał się powoli w trójwymiarowej przestrzeni. A może chodzi

o coś innego, na przykład wygaszacz ekranu?

Carrothers ani na chwilę nie stracił pewności siebie.

- Niestety, właśnie to pan oglądał. Zwykły wygaszacz. Muszę przyznać, że jestem rozczarowany. Myślałem, że ma pan dla mnie coś naprawdę ważnego i prawdziwego.
- A mnie wydawało się, że zgubiliście broń chemiczną, panie generale. Coś ważnego i prawdziwego.

173

Te słowa wywołały dłuższe milczenie. Wreszcie generał zadał kolejne pytanie:

- Dlaczego był pan na terenie DRMO, panie Stafford?
- Zostałem tam wysłany. Zazwyczaj tak działamy w DCIS. Miałem tam przeprowadzić dochodzenie w sprawie podejrzenia defraudacji. Nasza agencja wykryła schemat oszustw dokonywanych podczas aukcji nadwyżek wojskowych. Jak dotąd nie udało się nam nikogo definitywnie namierzyć.
- Widzę, że to nadal podchody. Odnoszę wrażenie, że czegoś mi pan nie mówi. Muszę mieć coś więcej, niż tylko pańskie słowo, żeby wziąć w obroty Carsona.
- Chronię tajnego informatora - rzekł inspektor, zerkając na Gwen - który, co ciekawe, widział to samo, co ja. Mogę tylko powiedzieć, że musicie wrócić do DRMO i uniemożliwić Carsonowi jego plany, zanim ta rzecz, która podobno wcale nie zginęła, naprawdę przepadnie.
- Gdzie pan teraz jest, panie Stafford?
- W Atlancie - skłamał. - Dzwonię przy użyciu komputera z systemem kodowania.
- Jeżeli będę chciał jeszcze z panem mówić, dokąd mam dzwonić?
- Do placówki DCIS w Smyrna, panie generale. Proszę zostawić wiadomość panu Sparksowi.

Podał Carrothersowi stosowny numer.

- Pan Sparks nie chciał ze mną mówić dziś rano. Mocno mnie uraził.
- Pan Sparks ma nosa do unikania kłopotów. Rozumie chyba pan, że w tej odmowie nie ma nic osobistego.

Inspektorowi wydawało się, że w głośniku słyszy cichy śmiech.

- Do widzenia, panie Stafford.

Gwen popatrzyła mu prosto w oczy, gdy odwrócił się w jej stronę.

- Co teraz? - zapytała.
- Nie wiem. Obiecałem Rayowi, że wrócę do Atlanty, ale teraz wcale nie mam na to ochoty.
- Dlaczego? Czy coś ci tam grozi?
- Raczej nie. Ten faks to tylko doniesienie wywiadowcze, niewiele mocniejsze od byle plotki. Nawet FBI nie aresztuje nikogo na podstawie

pomówień. A przy-  
najmniej zwykle tak nie robią. Ten donos jednak wywołał istny  
pożar w centrali  
DCIS. Są tam ludzie, którzy uwierzą we wszystko co złe, a  
dotyczy mojej osoby.

- I co zrobią?
- Wezwą mnie do Waszyngtonu. Być może, właśnie dlatego  
ktoś rozpuścił  
o mnie taką plotkę. Uważam, że Carson ma broń, której szukają.  
Niewykluczone,  
że już rozpoczął procedurę sprzedaży, a kupiec ma wystarczająco  
dobre kontak-  
ty, by skierować na mnie podejrzenia.

Dyrektorka spuściła wzrok.  
- To dla mnie niepojęty świat. Czy mam rozumieć, że  
jedynym sposobem na  
przekonanie twoich przełożonych i generała Carrothersa jest  
nakłonienie Jcss do  
zeznań?

174

Stafford pokręcił głową.  
• Wydaje mi się, że to nic nie da, dopiero wtedy powstałby  
istny cyrk. Nie.

Ja wykorzystałem jej... zdolności, ale oni w nie nie uwierzą.  
Miejmy nadzieję, że  
wojsko zainteresuje się przekazanymi wskazówkami. Byliby  
jednak głupi, gdyby  
ich nie sprawdzili.

- Czy ten Carson wie, że go podejrzewasz? A także, w jaki  
sposób się do-  
wiedziałeś?

- Uzna na pewno, że to jeden z jego podwładnych go wsypał.  
Jeżeli jednak  
będzie miał wystarczająco czasu na spokojne przemyślenia, może  
dojść do praw-  
dy. Wszyscy byliśmy na lotnisku. Ty, Jess, ja i Carson. Facet jest  
cywilnym sze-  
fem podrzędnej placówki współpracującej z wojskiem, ale z  
pewnością nie jest  
głupi. Wydaje mi się, że wiele zależy od tego, co czuł i widział  
podczas spotkania  
z Jessamine.

- W dwóch poprzednich przypadkach bezpośredni uczestnicy  
zdarzeń ni-  
czego nie pamiętali.

- Cóż, to może zadziałać na naszą korzyść.
- Czy oni wiedzą gdzie jesteśmy? Wszyscy ci ludzie: wojsko,  
twoja agencja,  
FBI, Carson?

Dave zastanowił się nad tym pytaniem. Sparks na pewno.  
Pentagon był za-  
pewne w stanie wysledzić skąd wykonał przed chwilą telefon. FBI  
prawdopodob-  
nie nie, ale oni właściwie nie rozpoczęli jego poszukiwań. A  
Carson? Czy on  
wiedział o Graniteville? Chyba wspominał mu o tym miasteczko w  
drodze z lot-  
niska.

- Agencje rządowe mogą się dowiedzieć - odparł wreszcie\* -  
Nie wiem, co  
z Carsonem. Jeżeli pomaga mu ktoś w Waszyngtonie, wtedy i on

może to ustalić.

- Powinniśmy więc powiedzieć Johnowi Lee, w jakim jesteście punkcie. Co o tym myślisz?

~ Tak, ale dopóki armia nie zainteresuje się Carsonem, on pewnie nie kiwnie nawet palcem. Chyba że...

- Chyba że coś? - zaniepokoiła się Warren. Dłonie splótła na kolanach i zaciśnęła palce tak mocno, aż pobieleły jej kostki.

- Chyba że Carson rzeczywiście przypomni sobie, co wydarzyło się na lotnisku. Niewykluczone, że wtedy uzna Jessamine za świadka. Skradziona broń chemiczna w pewnych kręgach jest warta furę pieniędzy. Dlatego też zrobi wszystko, by nie istnieli żaden świadek.

- Teraz więc Jess jest świadkiem - powiedziała z westchnieniem. - A z tego co mówisz, na dodatek niewiarygodnym. Tylko dla Carsona i tak nie miało by to znaczenia. - W jej oczach pojawiły się łzy. Uniosła wzrok i smutno na niego popatrzyła. - Chciałabym, żebyś tu został, dopóki nie będziemy mieli pewności.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Muszę przyznać, że poważnie o tym myślę. Moi przełożeni będą mieli oczywiście inne zdanie. Wszystko zależy od tego, co wojsko zrobi z informacjami, które im przekazałem. - W geście zmęczenia pomasaował sobie skronie. - Coraz

175

bardziej od tego wszystkiego boli mnie głowa. Muszę się przejść, bo chyba nie wytrzymam.

- Sprawdzę, czy wszystko w porządku z dziećmi i dołączę do ciebie.

### **Poniedziałek, DRMO w Fort Gillem, 14.30**

Carson rozpoczął przygotowania do transakcji, zaraz po lunchu. Najpierw zrobił obchód całej placówki, by sprawdzić, czy wszystko funkcjonuje jak należy.

Odwiedził wszystkie magazyny, były pas startowy, budynek odbioru, nawet halę przerobową. Żaden z pracowników nie zachowywał się podejrzanie. Witali się, jak zwykle dość ozięble. Sprawdzał jednocześnie, czy wojsko nie zostawiło przypadkiem jakichś urządzeń wywiadowczych, ale na nic takiego się nie natknął.

W pokoju kontrolnym poprosił operatora by pokazał mu jak dokładnie funkcjonuje system telewizji przemysłowej, zainstalowany w magazynach mieszczących wartościowe przedmioty, a także na placu i przy wejściu do kompleksu prze-

robotowego. Zwrócił szczególną uwagę na zakres widzenia kamer i miejsca, których nie obejmowały swym zasięgiem. Tylko w godzinach pracy ktoś tu rezydował.

Cięcia w budżecie zmusiły do zainstalowania automatycznego systemu włączającego nagrywanie w przypadku wykrycia ruchu. Plan dokonania transakcji opracowany przez Carsona zakładał posłużenie się kamerami, dopilnował więc, by poznać aktualny kod dostępu do pokoju kontrolnego.

Obchód zakończył przy pasie transmisyjnym, gdzie szef Hissley i jego zespół przygotowywali karmę dla Monstrum. Kierownik grupy, jak zwykle nawet nie przywitał się z przełożonym i nie przerwał pracy na jego widok. Carson obszedł całą halę zastanawiając się, jak zaplanować szczegóły akcji. Kluczem do jej powodzenia było sprytne wykorzystanie systemu kamer. Uznał, że nie warto już wchodzić do hali przerobowej. Tam nic się nie będzie działo, oczywiście nie licząc pojawienia się miliona dolarów. Niespiesznie wrócił do swojego gabinetu, ćwicząc siłę woli, by nie patrzeć na zegarek. Zastanawiał się, czy ludzie Tangenta są już w Atlancie. Kontrahentowi powiedział, że mogą dokonać transakcji po północy. Zamierzał zatelefonować kwadrans po tym terminie. Do tego czasu jednak czekało go mnóstwo przygotowań.

### **Poniedziałek, Pentagon, Waszyngton, 16.10**

Podoficer operacyjny zapukał do drzwi sali konferencyjnej i wsunął głowę do środka.

- Panie pułkowniku, telefon do pana.
- Proszę przełączyć.
- Obawiam się, że to niemożliwe.

Zniecierpliwiony Fuller odwrócił się w stronę sierżanta, lecz na widok jego miny pojął w czym rzecz.

176

• Rozumiem. Zaraz wyjdę.  
• Kłopoty? - zapytał Mason, który miał przed sobą dużą stertę starych mikrofilmów z Okiem Szatana.

- To z USAMRIID - wyjaśnił pułkownik.

Wyszedł z pomieszczenia. Podoficer wskazał mu aparat przy sofie, na którym mrukała kontrolka. Szef grupy operacyjnej podniósł słuchawkę.

- Pułkownik Fuller-przedstawił się.
- Ambrose?
- Tak jest. Mamy tu problem.

Cichym głosem zrelacjonował generałowi Waddellowi to, czego dowiedział się od Carrothersa, zerkając jednocześnie na drzwi do jego

gabinetu. Dowódca

wojsk chemicznych zaklął i zapytał wreszcie o to, co może się  
dziać z cylindrem.

- To kolejna zła wiadomość. Moi ludzie zakończyli symulację.

Na jej pod-

stawie spodziewamy się wystąpienia reakcji egzotermicznych,

które mogą dopro-

wadzić do rozhermetyzowania pojemnika w ciągu trzydziestu

sześciu godzin, przy

dopuszczalnym, czterogodzinnym błędzie.

- Cholera. I co dokładnie wydostanie się ze środka?

- Rzecz w tym, generale, że dokładnie nie wiemy

Temperatura może zneutrali-

zować toksyny, ale równie dobrze może zamienić je w coś

jeszcze gorszego. I tak nie

uchroni to nas przed niezwykle niebezpiecznym skażeniem

chemicznym. Jeżeli doj-

dzie do skażenia zamieszkałego obszaru, trudno wprost

przewidzieć konsekwencje.

W słuchawce zapadła długa cisza, której Fuller wolał nic  
przerywać.

- W porządku - powiedział wreszcie Waddell. - Trzydzieści  
sześć godzin.

Trzeba jeszcze raz wrócić do DRMO w Atlancie. Zakładam, że nie  
ma sensu p»

nownie próbować przeszukania całej placówki.

- Raczej nie. To duży kompleks magazynów. Tysiące

przedmiotów na pół-

kach. Trzeba by...

- Tak, tak, rozumiem. Carrothers zalecił następną wyprawę

zespołu szybkie-

go reagowania z Anniston?

- Tak jest.

- Rozumiem. Sytuacja jest w tej chwili jednoznaczna.

Skontaktuję się z ge-

neralem Romanem i skieruję do akcji oddział sił specjalnych z

Fort McPherson,

z Georgii. Niech będą w Fort Gillem punktualnie o północy.

Wzmocniony zespół

z Anniston ma być na miej scu najpóźniej o pierwszej.

- Do diabła, Myer, nie ma sensu...

- Wiem co robię, Ambrose. Tym razem nie będziemy

przeszukiwać placów-

ki. Masz rację. Przyj adą z ładunkami zapalającymi. Chcę, żeby

całe DRMO znik-

nęło z powierzchni ziemi, żeby spłonęło aż do fundamentów.

Zespół z Anniston

ma zająć się zabezpieczeniem terenu, zbadaniem składu dymu i

popiołów.

Fuller zachwiał się, jakby raził go piorun.

- Jeżeli ten pojemnik rzeczywiście tam jest, tdyni.it Jezu,

przecież tuż obok

jest Atlanta. Nie mamy pojęcia...

- Cylinder jest przecież ze stali, Ambrose. Płomień o

wystarczającej do sto-

pienia go temperaturze, zneutralizuje także znajdującą się

wewnątrz substancję.

Pułkownik zastanawiając się dłuższą chwilę, starał się sobie przypomnieć główne składniki broni chemiczno-biologicznej.

- Tak, to prawda. Mówimy o absolutnie śladowych ilościach. Bardzo trudno będzie je wykryć.
- Nowy, siódmej generacji system wykryje podobne pozostałości, nawet w tak małej koncentracji. Chyba już najwyższy czas, żebym przekazał te decyzje generałowi Carrothersowi. Aha, Ambrose?
- Słucham?
- Ani słowa o problemach z ewentualną mutacją. To zostaje tylko między nami, dopóki nie zdecydują inaczej.
- Nawet Carrothersowi?
- Szczególnie jemu.
- Tak jest- rzekł Fuller i nacisnął przycisk przełączający rozmowę.

Nie mam żadnego wyboru - pomyślał. W gardle poczuł nagłą suchość. Z trudem przełknął ślinę. Ogarnęła go ulga, że generał nie zapytał, czy kombinezony chemiczne są w stanie zapewnić zabezpieczenie przed zmutowaną substancją.

### **Poniedziałek, dom Willow Grove, Graniteville, Georgia, 17.30**

Tym razem, mając na uwadze późną porę, doszli tylko do pierwszego wodospadu. Po drodze Gwen jeszcze raz jasno dała Staffordowi do zrozumienia, że nie chce, by wracał do Atlanty. Najbardziej obawiała się o dzieci, które były niezwykle czułe na wszelkiego rodzaju zagrożenia. Pojawienie się zgrai agentów - albo co gorsze mediów - mogłoby na długo zakłócić ich kruchą równowagę psychiczną. Szczególnie zagrożona była Jessamine. To nadzwyczaj delikatna nastolatka, która we wczesnym dzieciństwie przeżyła przerażające rzeczy.

Przypomniał sobie, że już wcześniej o tym wspominała.

- Czy możesz mi powiedzieć, co się wtedy stało?

Warren zawahała się.

- Szczerze mówiąc, wolałabym nie. Chodzi o zajście związane z jej matką.

Dave pokiwał głową, po czym zapytał o ułomność Jessamine.

- Jest niemową od dzieciństwa. Wiem, że teraz, sprawia wrażenie bardzo odpowiedzialnej - chodzi do szkoły, jeździ konno, sama troszczy się o siebie -

ale w rzeczywistości ma ogromne problemy emocjonalne. Nie mogę rzucić jej na pożarcie mediów i dlatego proszę cię, byś został.

Stafford właściwie nie potrzebował nalegań z jej strony, lecz miło byłoby mu usłyszeć inny powód dla którego miałby pozostać. Zapytał tylko o to, czy szeryf nie jest w stanie zapewnić im bezpieczeństwa.

- Obawiam się, że John Lee sam wpędziłby się tylko w

kłopoty. Jest szery-  
fem okręgowym starej szkoły. Nie dociera do niego, że ktoś  
mógłby nie zgodzić  
się z jego rozkazami, a już na pewno wejść mu na głowę.

178

- Jeśli zjawi się tu FBI, na pewno będą próbowali nakłonić  
do posłuszeń-  
stwa jego i innych - rzekł. -Zrobią to, co zechcą. A wojsko? Bóg  
jeden wie, cze-  
go można się po nich spodziewać.

John Lee w takiej sytuacji pewnie zbierze swoich zastępców i  
zacznie strze-  
łać do przybyszów. Jest jak stary, uparty niedźwiedź.  
Zawrócili w stronę domu.

- Mówisz tak, jakby wciąż ci na nim zależało, przynajmniej  
trochę -zauwa-  
żył ostrożnie.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

• W pewnym sensie tak. Czy to coś złego? Daj mi rękę. Nie,  
prawą. -Zrobił  
to, a ona delikatnie ujęła jego dłoń. - John Lee miał romans. Było  
mu bardzo  
przykro z tego powodu, ale kiedy się o tym dowiedziałam, no  
cóż...

• Znam to uczucie. To jak cios prosto w zęby, bez względu  
na okoliczności.

• Powiedziałam mu to samo. Dłużej nie mogłam być jego  
żoną, więc jedy-  
nym wyjściem był rozwód. Wszyscy w Graniteville byli zmartwieni  
tą wiadomo-  
ścią. Jego obwiniano za to, co zrobił, a mnie za to, że nie byłam  
W stanie mił  
Wybaczyć. „Nawet porządni chłopcy popełniają błędy, pani  
Warren. Nikt nie jest  
ideałem.”

Nie trzeba nim być. Wystarczy kochać i szanować.  
Mocno ścisnęła jego dłoń.

- Teraz więc jest obok mnie. Opiekuje się nami, robi dużo  
dobrego dla dzie-  
ci i szkoły, pomaga w kontaktach z władzami stanowymi. Jeat  
bardzo dobry. Wy-  
daje mi się, że ciągle ma nadzieję.

Gdy szli tak obok siebie, Dave po raz pierwszy od wielu  
miesięcy nie czuł się  
kaleką.

- I dlatego nie ożenił się ponownie?

- Chyba tak. Podobnie jak ja. A @o z tobą? Myślisz o  
ponownym związku?

Jej pytanie zaskoczyło go.

- Wykluczone - odpowiedział bez chwili wahania, Dopiero  
potem przyszło  
zastanowienie, czy tak jest w rzeczywistości. - To znaczy nie  
wiem, do diabła.

Chyba wszystko co możliwe, ostatnio doświadczyło mnie w życiu:  
kariera, ma-  
łżeństwo, to bezużyteczne ramię.

• Teraz nie jest takie zupełnie bezużyteczne, prawda?

Uśmiechnął się szeroko.

• No tak. Muszę przyznać, że bardzo mi się to podoba,  
Gwen.

Zatrzymała się, wypuściła jego dłoń i popatrzyła mu prosto w

oczy. Jej twarz  
częściowo skrywał cień i nie widział jej wyrazu.  
- Proszę, zostań tu z nami - powiedziała miękko. - Obawiam  
się twojego  
świata i tego co może się wydarzyć, gdy zbliży się do nas.  
Przypomniał sobie ostrzeżenie Raya.  
• Gdybym to zrobił, Gwen, mógłbym zostać bezrobotnym  
gliniarzem.  
• Czy to takie okropne? Czy tak bardzo j jesteś zadowolony  
ze swojego życia  
zawodowego?  
Spuścił wzrok. Miała absolutną rację.

179

- Widzisz, może ci się to wydać niewiarygodne, ale nigdy  
nawet nie przebie-  
gło mi przez myśl, że mógłbym wycofać się z interesu. Nawet po  
tych wszystkich  
wydarzeniach. Może powinienem o tym pomyśleć.  
Rozejrzał się po lesie. Byli już niemal na skraju zagajnika  
złożonego z wierzb.  
Zza gęstych gałęzi do ich uszu dobiegały krzyki dzieci  
przebywających w stajni.  
• Chodzi o to, że jestem świadom, iż niczego nie zrobiłem  
źle. Może nie  
okazałem wyczucia politycznego, ale nic więcej. Ani wtedy, ani  
teraz, w sprawie  
Carsona. Staralem się robić to, co powinienem.  
• A czy twoi przełożeni są w stanie to docenić?  
• Kiedyś tak mi się wydawało, ale teraz chyba nie. Właściwie  
nigdy głębiej  
się nad tym nie zastanawiałem. Byłem zbyt zajęty rozczulaniem  
się nad sobą.  
• Pomyśl więc o tym teraz, Dave.  
Jedno z dzieci dostrzegło ich pomiędzy gałęziami i zaczęło  
wołać dyrektorkę  
ośrodka po imieniu. Stafford miał ochotę kontynuować spacer i  
wykorzystać oka-  
zję do wyjawienia jej, co się z nim dzieje, gdy są razem, ale czar  
już przysł. Gwen  
szybkim krokiem ruszyła do swoich podopiecznych. Wciąż nie  
miał pewności.  
Czy ona coś do niego czuła? Czy może tylko zależało jej na  
uzyskaniu pomocy  
w obliczu zagrożenia? Podążył za nią, a jednocześnie ostrożnie  
zaczął myśleć  
o rozstaniu się z obecnym zajęciem i możliwości robienia w życiu  
zupełnie cze-  
goś innego.  
Tego wieczoru zjadł wspólną kolację z Gwen, Jessamine,  
dziećmi i panią  
Benning. Resztę dnia spędzili przyglądając się zwykłym  
czynnościom odbywają-  
cym się w stajni. Później mieli ponowną okazję na rozmowę.  
Opowiedział jej  
o swoim życiu i doświadczeniach związanych z respektowaniem  
prawa, a ona  
o wieloletnim procesie tworzenia Willow Grove i poznawaniu  
dzieci, które uczy-  
ły się samodzielnie komunikować ze światem. Nabrał  
przeświadczenia, że potra-  
fiła znaleźć sobie cel w życiu i wypełnić dni szczytnymi zajęciami,

ale w głębi  
serca była samotną kobietą, która do końca nigdy nie zaleczyła  
ran zadanych jej  
przez zdradzającego ją męża. Pozwolił jej mówić i starał się nie  
sprowadzać roz-  
mowy na temat rodzących się do niej uczuć. Chyba po prostu nie  
zwracała na to  
takiej uwagi jak on, albo niepotrzebnie wyobrażał sobie zbyt wiele.  
Podczas kolacji dzieci nieco się uspokoiły, ale nie zasługiwały  
na miano anio-  
łków. Dorośli i tak mieli przy nich pełne ręce roboty. Stafford  
ukradkiem obser-  
wował Jessamine i zastanawiał się, czy rzeczywiście dziewczyna  
jest w stanie  
Czytać w cudzych myślach. Czy potrafi teraz zajrzeć do jego  
umysłu? Przypo-  
mniał sobie jednak, że osoba musi być pobudzona emocjonalnie.  
Istnienie takiej  
zdolności wciąż nie mieściło mu się w głowie. A jednak literatura  
policyjna aż  
różyła się od udokumentowanych przypadków, gdzie ludzie  
zasługujący na miano  
mediów, pomagali w rozwikłaniu spraw pozornie niemożliwych do  
wyjaśnienia.  
Dziewczyna wyglądała na zwykłą czternastolatkę - niespokojna,  
nieśmiała, uda-  
jąca, że to co dzieje się wokół, nie robi na niej żadnego wrażenia.  
W rzeczywisto-  
ści jednak wyczulona była na to, jak jest odbierana przez  
otoczenie. Dave zadu-  
mał się nad poznawaniem ludzkich myśli, emocji albo wspomnień  
i doszedł do  
wniosku, że nie jest to nic przyjemnego.

180

Po posiłku znalazł się przy stole tylko z Jessamine, ponieważ  
obie kobiety  
zabrały dzieci na górę i podjęły codzienną walkę o nakłonienie ich  
do snu. Dopie-  
jął kawę i zastanawiał się nad tym, kiedy zatelefonuje Sparks.  
Jess udawała, że  
czyta książkę, ale w rzeczywistości obserwowała go, gdy tylko  
wydawało się jej,  
że na nią patrzy. Kierowany impulsem zapytał nastolatkę czy  
lubi szkołę, zu-  
pełnie zapominając o tym, że nie mówi. Westchnęła, po czym  
sięgnęła po notat-  
nik i zaczęła w nim pośpiesznie pisać.

„Nudno”-napisała. „Myślę, że jestem głupia”.

- Twoi rówieśnicy, czy nauczyciele?

„Jedni i drudzy. A ja wcale taka nie jestem.”

Już miał ją pytać, dlaczego nie mówi, ale wstrzymał się  
przypominając sobie

ojej ciężkich przeżyciach w dzieciństwie. Odniósł wrażenie,  
że właśnie teraz ma  
niepowtarzalną szansę na zapytanie o sprawy, których chciał się  
dowiedzieć.

• Jess, czy pamiętasz tamtego mężczyznę na lotnisku? -  
zaczął ostrożnie.

Zmarszczyła brwi i zwlekała z odpowiedzią. Wreszcie przytaknęła  
ruchem głowy.

• Gwen powiedziała mi, że to zły człowiek. I że cię przeraził.

Przyglądała mu się teraz z dużym niepokojem. I znowu z ociąganiem to poV twierdziła.

- Czy możesz mi napisać, dlaczego uważasz, że jest taki zły? Czy zrobił coś złego?

Zaczęła machać rękoma w języku migowym i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie jest przecież w stanie jej zrozumieć. Sięgnęła po długopis, odłożyła go i jeszcze raz wzięła do ręki. Hałasy na górze stopniowo cichły i Dave zastanawiał się, jak Gwen zareagowałaby na wiadomość o tej rozmowie. „Zabił kogoś” - napisała, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Czyżby Lambry'ego?-zastanowił się.

Czy zrobił coś jeszcze? Pokręciła głową i znów zaczęła coś pisać, de przerwała; Sięgnęła po kolejną kartkę i zaczęła rysować. Nawet z przeciwnej strony stołu Stafford od razu rozpoznał cylinder. Zdecydowanie stawiała kreski. Na papierze powstawało dokładnie to samo, co widział na ekranie monitora w wojskowej naczepie. Podsuwając kartkę w jego stronę zaczęła posługiwać się językiem migowym.

Dobrze przyjrzał się rysunkowi. Był dokładniejszy, niż poprzedni. Zastukała długopisem w blat, a on w odpowiedzi zwrócił kartkę.

„Bardzo zła rzecz”, napisała i podkreśliła te słowa kilkakrotnie.

Tak, masz absolutną rację, Jess - powiedział. - To broń. Należy do woj\* ska. Myślę, że ten człowiek ją ukradł. A ja staram się ją odzyskać.

Rysunek jest niemal idealny - uznał. Skąd, do diabła, dziewczyna zna takie szczegóły? Jess napisała tymczasem kolejne pytanie.

„Czy coś się zbliża?”

Na jego widok wzdrygnął się. Dobrze, że nie musiał odpowiedzieć, bo na schodach rozległy się kroki Gwen. Nastolatka przyłożyła palec do ust, chwyciła kartki i schowała je między strony książki. Oboje wrócili do swoich zajęć nim dyrektorka weszła do jadalni.

181

Dave dopił kawę tłumiąc ogarniającą go ekscytację. Nie wiedział, czym powinien bardziej się martwić: samym pytaniem, czy też faktem, że miała odwagę je zadać. A niech to!

### **Poniedziałek, DRMO w Fort Gillem, 22.00**

Carson siedział za konsolą w pokoju kontrolnym. Był ubrany w bawełniane spodnie, białą koszulę bez krawata, sportowe bryki i lekką wiatrówkę. Nie mógł już wytrzymać i wykonał telefon wcześniej, niż zamierzał. Mężczyzna do którego dzwo-

nił, najwidoczniej już czekał. Carson przekazał mu wskazówki, jak dotrzeć do DRMO i polecił zaparkować przed budynkiem administracyjnym. Przy wejściu do budynku będzie ukryta koperta. Ostrzegł też przed kręcącym się po terenie, wozem patrolowym żandarmerii. Zasugerował, by przyjechali tuż po pomocy.

Teraz musiał czekać. W myślach odtworzył sobie cały plan. Wiadomość w kopercie przy drzwiach skieruje przybyszów do alejki dla ciężarówek, gdzie była otwarta brama wjazdowa na plac przed magazynami. Mieli zatrzymać się na środku dawnego pasa startowego i znaleźć paletę ze śmigłami samolotowymi. Tam ukrył drugą kopertę, która skieruje ich do magazynu numer cztery. Trzecią kopertę przytwierdził na ścianie - drogowskaz do budynku przylegającego do hali przerobowej, mieszczącego podajnik. Każda z kopert znajdowała się w dobrze oświetlonym miejscu, w polu widzenia kamer telewizji przemysłowej. Przed transakcją chciał dobrze przyjrzeć się tym ludziom.

Ostatnia koperta zawierała instrukcję, według której mieli zabrać pieniądze do pomieszczenia i czekać na dalsze polecenia, które przekaże im przez telefon. Czuł się spokojny, wiedząc, że będzie mógł obserwować każdy ich ruch. Wychwyci podstęp jeśli któryś z przybyszów zniknie w ciemnościach, by go dopaść. Wszystkie drogowskazy, przenoszenie z jednego miejsca w drugie na pewno ich zdenerwuje, ale gra o milion dolarów wymagała podjęcia takich środków ostrożności. Carson był sam, podczas gdy Tangent mógł przysłać tu całą zgraję swojej ludzi. Właściwie już podczas omawiania warunków wymiany powinien nakazać ograniczenie ich liczby.

Wymyślił, że gdy kontrahenci znajdą się już przy podajniku, z pokoju kontrolnego zablokuje drzwi wejściowe i w ten sposób zamknie ich w środku. Później uruchomi pas transportowy. Zadzwoi do nich z wewnętrznego telefonu i poleci, aby umieścili pieniądze w plastikowych pojemnikach, a następnie nakaże położyć je na podajniku. Zawczasu przestawił znajdującą się tam kamerę, by dokładnie pokazywała pas. Upewniając się, że w skrzynce rzeczywiście znajdują się pieniądze, a nie na przykład ścinki gazet, wyłączy prąd w magazynie przyległym do hali przerobowej. Przybysze znajdą się w ciemnościach. Zadzwoi do nich ponownie i powie, że zabiera pieniądze. Sprawdzi, czy przekazali odpowiednią sumę i dopiero wtedy przekaże informację, gdzie znajduje się cylinder, który już przeniósł do skrzynki na narzędzia w jednym z ciągników stojących na parkingu.

Dopiero wtedy przejdzie do hali przerobowej, przepakuje pieniądze do dwóch

182

toreb i wyjściem ewakuacyjnym wydostanie się na zewnątrz. Przemierzając alejkę na tyłach kompleksu, przedostanie się przez siatkę i dotrze do zaparkowanego za nią samochodu.

Jego pikap stał na niewiele używanej drodze pożarowej biegnącej kilkadziesiąt metrów za ogrodzeniem. Od terenu placówki oddzielały ją gęste zarośla złożone z krzewów i niskich drzew. Na końcu parkingu dla ciężarówek wyciął w siatce dziurę, przez którą mógł przecisnąć się dorosły mężczyzna. Już po opuszczeniu DRMO zamierzał przy użyciu telefonu komórkowego zadzwonić się do pomieszczenia z podajnikiem i powiedzieć zamkniętym w nim mężczyznom, jak otworzyć zamek cyfrowy i gdzie znajduje się pojemnik. Do tego czasu sam zniknie już w uliczkach południowo-wschodniej Atlanty, z milionem dolarów w gotówce.

Później nic już nie planował. Zespół Tangenta nie miał oczywiście pojęcia: 0 jego przygotowaniach. Mogli nie być zachwyceni faktem, że ich zamknie, ale przecież ostrzegał, iż podejmie stosowne środki ostrożności.

Zabezpieczył się także przed dwoma najpoważniejszymi w jego odczuciu problemami. Pierwszym było zagrożenie, iż przywiozą ze sobą fałszywe pieniądze. Z pewnością istniała taka możliwość, skoro cała kwota miała być w nowiutkich setkach. Pobrał z banku cztery takie banknoty, by móc porównać z otrzymanymi. Jedynym testem, jaki mógł przeprowadzić, była próba skopiowania pieniędzy na kopiarce w hali przerobowej. Jeżeli były prawdziwe, nie dadzą się prawidłowo powielić, co sprawdził już kilkakrotnie. Kopie będą znacznie bardziej zbliżone do oryginałów, gdyby zostały sfalszowane.

Nie był do końca pewien, co zrobi stwierdzając próbę oszustwa. Prawdopodobnie najbezpieczniej byłoby umieścić pojemnik wraz z fałszywymi pieniędzmi; na pasie transportowym i zniszczyć je w Monstrum. Skoro nie mógłby sprzedać tego cholerstwa Tangentowi, zapewne nie uda się nakłonić do tego nikogo innego i wówczas należało wycofać się z gry. Po zniszczeniu podrobionej forsy i cylindra, nie zostawiłby przynajmniej żadnych dowodów, które mogłyby zostać wykorzystane przeciwko niemu. A gdyby przez przypadek substancja znajdująca się w pojemniku przedostała się do pomieszczenia, w którym zamknął przybyszów, to... cóż, ponieważ sprawiedliwości stałoby się zadość.

Drugi problem pojawiłby się, w przypadku gdyby Tangent, co prawda do-  
starczył prawdziwe pieniądze, ale po dokonaniu zamiany starał się je odzyskać. ;  
Carson zakładał, że gdyby kupcy planowali takie działanie, nie wyraziliby zgody  
Się na przekazanie zapłaty, zanim nie dowiedzieliby się, gdzie znajduje się cylin-  
der. Właśnie dlatego zorganizował transakcję w taki sposób. Niemożliwe było  
także zorganizowanie jakiejś pułapki bez dysponowania drugim zespołem. Co się  
jednak stanie, jeżeli kontrahent rzeczywiście sprowadzi ze sobą dodatkowe wspar-  
cie? Przy stwierdzeniu takiego faktu miał w zanadrzu plan B. Zakładał on odebra-  
nie pieniędzy i pozostanie na terenie zarządzanej placówki. Wtedy zamknie się  
w hali przerobowej, zadzwoni z informacją, jak otworzyć zamek i poda fałszywą  
lokalizację pojemnika. Po ich wyjściu przedostanie się przez połączenie obu bu-  
dynków do hali mieszczącej podajnik, a stamtąd przekradnie się połączonymi  
magazynami do przeciwległego końca kompleksu. Istniało tam tyle miejsc do

183

ukrycia, że nie obawiał się, iż mogą go znaleźć. Przeczeka do rana, aż przyjdą do  
pracy jego podwładni. Ciężarówki stojące na parkingu miały tu pozostać do koń-  
ca tygodnia, więc później odzyska cylinder, wrzuci go do Monstrum i zniknie  
z pieniędzmi. Dla pewności umieścił wózki widłowe w wejściach do wszystkich  
magazynów, skutecznie uniemożliwiając ich otwarcie. Przy przejściach łączących  
poszczególne hale stały już przygotowane do przestawienia pojazdy, tak by nie  
mogli podążać tą samą drogą, co on.  
Dobrze wiedział jednak, że w planie B, aż roіło się od zagrożeń. Lepiej, by  
transakcja przebiegła bez zakłóceń, albo jego życie naprawdę się skomplikuje.  
Zerknął na zegarek. Jest 22.10. Jeszcze dwie godziny. Popatrzył na ekrany telewi-  
zyjne, ale na żadnym z nich nic sienie poruszało. Martwiła go jeszcze jedna myśl,  
dotycząca samego cylindra, ale teraz starał się nie zwracać na nią uwagi. Czekał.

### **Poniedziałek, dom Willow Grove, Graniteville, Georgia, 22.00**

Stafford wziął kubek z kawą, przemierzył mieszkanie Gwen i wyszedł na  
werandę wychodzącą na orzechowy zagajnik. Nad szczytem wzniesienia świecił  
księżyc, a żaby drzewne dawały piękny koncert. Gospodyni usiadła obok niego

na huśtawce. Zwrócił uwagę na to, że przeczesła włosy i użyła perfum. Odstawił naczynie na stolik, by nie wylać kawy na chwiejnym siedzeniu.

- Jestem nieco zaskoczony, że Ray Sparks nie zadzwonił do tej pory - po\*-wiedział.

- Zadzwoił. Tuż przed kolacją.
- Naprawdę?
- Tak. Chciał się dowiedzieć, czy już wyjechałeś. Odparłam, że jeszcze nie.

Powiedziałam, że zaprosiłam cię na wspólny posiłek z naszymi podopiecznymi, Zapytałam też, czy przekazać ci jakąś wiadomość, ale on odparł, że nie, podziękował i rozłączył się. Mam nadzieję, że nie wściekniesz się na mnie za to, że wcześniej ci o tym nie powiedziałam.

Nie chciał ze mną rozmawiać?

- Widać nie.

Dave długo milczał.

- To dobry znak. Przynajmniej tak mi się wydaje - rzekł wreszcie.

- Naprawdę nie gniewasz się na mnie? To był taki miły wieczór, że nie chcia-łam go psuć.

Nie, ależ skąd. Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś podczas spaceru. Zwróciłaś moją uwagę na coś, czego sam wcześniej nie dostrzegalem. Mógłbym odejść z DCIS choćby jutro rano, a nikt nawet nie zauważyłby tego. Wieść

o mojej rezygnacji ucieszyłaby natomiast, co najmniej kilka osób.

- A co z zabezpieczeniem sobie przyszłości?

- Przysługuje mi przyzwoita emerytura - odparł. Popatrzył Gwen prosto

w oczy. - Nie mam zielonego pojęcia, co mógłbym robić, ale cokolwiek to będzie, powinno być lepsze, niż moje obecne zajęcie.

184

- Musisz się nad tym poważnie zastanowić, prawda? Do czasu podjęcia jakiejś decyzji możesz zostać tutaj. Dawny pokój ojca jest naszym oficjalnym pokojem gościnnym. Poza tym mógłbyś zająć się tu sprawami, z którymi sama nie daję sobie rady. Te dzieci, albo nigdy nie miały ojca, albo też wolałyby go nie pamiętać. Wspominałeś, że już pracowałeś z dziećmi. Tutaj mógłbyś się też tym zająć.

Jest naprawdę piękna - pomyślał. Z trudem oparł się impulsowi, by nie dotknąć jej włosów.

- Zostając, zdecyduję się na to nie tylko ze względu na sprawę Carsona.

Spuściła wzrok, a on zastanawiał się, czy aby nie popełnił błędu. Poczuł, jak

niecokolwiek się czerwieni. Z zadowoleniem stwierdził, że jest zbyt ciemno, by Gwen to zauważyła.

- Sądzę, że byłbyś bardzo dobry dla dzieci - przerwała

milczenie, wciąż unikając kontaktu wzrokowego. - Poza tym myślę, że wyrwanie się z obecnego świata bardzo dobrze ci zrobi. Ostatnio nie znajdujesz w nim nic dobrego.

- Masz rację - przyznał, zadowolony, że rozmawiają na ten temat.

Przez kolejne pół godziny gawędzili na temat szkoły i jej wychowanków.

Wyczuwając, że pora jest już późna, podziękował i wstał.

Gospodyni odprowadziła go na frontową werandę. Postanowił, że na noc pojedzie do motelu i zjawi

się tu z samego rana. Dodał, że wcześniej będzie musiał zatelefonować do Spark-

sa. Przytaknęła tylko. Wydawało mu się, że chce mu coś powiedzieć. Czekał więc.

- Wiele rzeczy tutaj nie wygląda tak, jak mogłoby się wydawać, Dave po-

wiedziała wreszcie. - To... historia. Przeszłość naszej rodziny. Wyczuwam, że

jesteś mną szczególnie zainteresowany. Musisz jednak myśleć o własnej przy-

szłości, a nie o mnie.

Uśmiechnęła się smutno, ucisnęła jego dłoń i wycofała się do domu. Stał

bez ruchu długą chwilę, czując się jak zawiedziony nastolatek. Wreszcie, z ociąg-

aniem zszedł po schodkach do samochodu.

No cóż - myślał jadąc powoli - oto odpowiedź. Dlaczego, u licha, łudził się,

że i ona się nim interesuje? Jednorękiim agentem federalnym, którego kariera le-

gła w gruzach, podobnie jak małżeństwo, nie wspominając już o obecnych kło-

potach z Carsonem i wojskiem. Włączył radio i nastawił rozgłośnię country. Aku-

rat nadawano kliwą piosenkę o łzach i miłości. Świetnie - uznał. Po prostu

świetnie.

## 11

### **Wtorek, parking dla ciężarówek, autostrada międzyatanowa numer 20,00.45**

Generał Carrothers spotkał się z zespołem z Anniston na ogromnym parkingi dla ciężarówek, nieopodal skrzyżowania obwodnicy Atlanty z autostradą mię

185

dzystanową numer 20. Grupa szybkiego zwalczania zagrożeń chemicznych przy-

jechała czterema ciężarówkami i sześcioma suburbanami, należącymi do żandar-

merii, wyposażonymi w las anten i policyjne koguty.

Carrothers czekał na parkingu w czarnej limuzynie pochodzącej z bazy wojsk

lotniczych Dobbins w północno-zachodniej Atlantcie już od pół godziny. Jego kie>

rowca, sierżant wojsk lotniczych, był palaczem. Stał przy samochodzie i namiętnie palił papierosa za papierosem. Generał sam przyleciał wojskowym learjetem. Innymi oficerami w grupie wysłanej do DRMO będą: dowódca zespołu z Anni-  
ston i dwaj kapitanowie wojsk chemicznych, kierujący oddziałem do zadań specjalnych. Major Mason i pułkownik Fuller zostali w Pentagonie, skąd mieli koordynować działania w Atlancie. Zastępca dowódcy wojsk chemicznych nie chciał mieć przy sobie Fullera, szczególnie, gdy dowiedział się, że ten skontaktował się już z generałem Waddellem.

Niespodziewany powrót dowódcy wojsk chemicznych był, ujmując to oględnie, nieprzyjemny. Waddell nie próżnował podczas lotu z zachodniego wybrzeża. Nie lubił niespodzianek, a z pewnością za takie można było uznać informacje przekazane mu przez Fullera. Był człowiekiem, który nie wyraża wrzaskliwie opinii. Zamiast tego wezwał Carrothersa do swojego gabinetu i kazał mu stać na baczność przed swoim biurkiem.

- Generale - mówił z poważną miną - wydawało mi się, że wspólnie wypracowaliśmy „zgodną opinię” w sprawie naszego małego problemu, ale jak widzę, myliłem się. A teraz w grze pojawiły się osoby spoza naszego kręgu. Czy według pana zaginiony cylinder może być ukryty na terenie DRMO w Fort Gillem? I nie trafił do maszyny przerobowej?

- Tak jest, panie generale. Tak może być w rzeczywistości, ale...

- Nie chcę słyszeć żadnych „może” i „ale”. Doniesień o postępowaniu niezgodnym z moimi rozkazami także. Tym zajmiemy się jednak później, podobnie jak pańską przyszłością w naszych wojskach. Teraz proponuję podjąć zdecydowane działania, by ostatecznie zamknąć tę puszkę Pandory. Od tego zależy utrzymanie tej gwiazdki, którą pan wypracował.

- Panie generale...

- Proszę milczeć - przerwał Waddell. - Już zamknęliśmy tę sprawę, a jednak udało się panu ponownie ją otworzyć. Rozmawiałem z generałem Romanem i zgodziłem się z moimi opiniami, że nie pozostała nam żadna alternatywa. Uzyskałem od niego zgodę na podjęcie dość drastycznych środków. Dla dobra armii i znacznie ważniejszego bezpieczeństwa publicznego zajmie się pan spaleniem DRMO.

Jego rozkazy były nadzwyczaj dokładne:

- Uda się pan do Georgii i osobiście wykona to zadanie.

Zniszczycie cały kompleks przy użyciu ognia. Generał Roman udostępnił oddział sił specjalnych, który uda się do Fort Gillem. Ustanowi pan dwa niezależne

kordony zabezpieczające: zewnętrzny złożony z żandarmerii z Anniston i wewnętrzny z zespołu szybkiego zwalczania zagrożeń chemicznych. Żandarmeria z Fort Gillem będzie zajęta fałszywym włamaniem do magazynów sił lotniczych, po przeciwnej stronie bazy. Oddział specjalny zjawi się najwcześniej i zajmie stanowiska na opuszczonym pasie startowym. Unieszkodliwią instalację przeciwpożarową i system alarmowy, a gdy otrzymają rozkaz do działania, rozmieszczą i odpalą ładunki zapalające. Chcę, żeby cała akcja trwała nie dłużej, niż piętnaście minut. Miejscowa żandarmeria będzie zajęta upozorowanym włamaniem. Po zauważeniu pożaru W DRMO, do akcji zostaną wysłani strażacy, wszystkie budynki mają już stać W ogniu. Działania gaszących zostaną dodatkowo opóźnione, bo żaden hydrant W okolicy nie będzie działał. Wtedy ktoś poinformuje ich, że w płonących budynkach mogą być przechowywane ładunki wybuchowe. Dowódca Fort Gillem zostanie wtajemniczony w nasz plan i podejmie decyzję o odwołaniu akcji strażackiej. Oświadczy oficjalnie, że dla ratowania nadmiarowych zasobów militarnych nie warto ryzykować życia ludzi.

Waddell skończył, a Carrothers spróbował raz jeszcze zaprotestować.

- Proszę się ze mną nie spierać - dowódca wojsk chemicznych znów nie dał mu dojść do słowa. - Nie niszczymy przecież żadnej przedstawiającej wartość własności rządowej. Te magazyny liczą pół wieku. Wszystkie zgromadzone w nich rzeczy nie są już wojsku potrzebne. Pieniądze, które zostaną stracone są niczym w porównaniu z możliwością - stworzoną zresztą przez pana - że jakiś drań mógł położyć swoje łapy na Oku Szatana. Wie pan już o biologicznym składniku.

- Tak jest.
- Można poddać ten plan testowi „Washington Post”. Jeśli kiedykolwiek aso\* stanie ujawniona informacja, że wojsko spaliło pięć, czy sześć pełnych magazynów, aby mieć pewność, że jakieś bardzo groźne świństwo nie trafiło na między-narodowy rynek broni, to kto tak naprawdę będzie nas o to winił?

Carrothers nie był w stanie zaprzeczyć temu argumentowi. DRMO stanowiło niewielką część nieczynnego już kompleksu wojskowego, który był zlokalizowany wzdłuż zamkniętego pasa startowego i położony ponad kilometr od najbliższych skupisk ludzkich. Nawet w przypadku pożaru na taką skalę, największym zagrożeniem było rozprzestrzenienie się ognia na otaczającą bazę łąki. Późniejsze dochodzenie przeprowadzone zostanie przez wojskowy CID,

a stosowny raport powędruje prosto do dowództwa armii. Specjaliści od public-relations z Pentagonu, bez trudu poradzą sobie z mediami. Nikt w Fort Gillem, poza jego dowódcą nie będzie miał pojęcia o tym, co było rzeczywistą przyczyną pożaru.

- Zaczął pan całe zamieszanie z tym faceterii z DCIS -

^ciągnął Waddell ofi-  
cjalnym tonem. -1 to pan je zakończy. Generał Roman już skontaktował się z szefostwem agencji i potwierdził, że ten Stafford to prowokator, któremu nie można ufać. Wydali rozkaz jego obecnemu przełożonemu, by go schwycił i dostarczył do Waszyngtonu. Generał Roman zapewnił ich, że oskarżenia Stafforda kierowane pod adresem kierownika DRMO są tylko pomówieniami.

- A jeśli tak nie jest? Co, jeśli ten Carson rzeczywiście ma pojemnik?

- Z tym wiąże się ostatnia część naszej misji. Po wzniesieniu pożaru, oficer dyżurny z Fort Gillem powiadomi o tym Carsona. Proszę go zatrzymać i przynieść do Waszyngtonu, kiedy ten zjawi się na miejscu. Zajmie się nim jedna z agencji rządowych. Zabierze go do Virginii i sprawdzi, co tak naprawdę, wie. Jeszcze jedno.

187

Waddell podniósł się zza biurka. Carrothers doskonale znał już tę minę przełożonego.

- Szef sztabu został w pełni wprowadzony w całą sprawę. Popiera tak drastyczne środki zapobiegawcze. Jeszcze raz to panu powtórzę, choć widzę, że trudno to zrozumieć: wojsko nie gubi swojej broni. Czy to jasne, generale? Nie zgubiliśmy żadnej broni chemicznej. Wojska chemiczne muszą walczyć o każdego centa z budżetu, a taka wpadka ostatecznie by nas pogrzebała. Zrozumiano?

- Tak jest.

- To dobrze. Proszę udać się na miejsce i dopilnować, żeby wszystko spłonęło, aż do fundamentów. Raz na zawsze pozbadźmy się tego cholernego kłopotu z Okiem Szatana. Aha, proszę się zastanowić, kiedy zamierza pan się wycofać. Miał pan swoją szansę, generale, i według mnie zmarnował ją. To wszystko.

Resztę dnia Carrothers spędził w Pentagonie, w podziemnym centrum operacyjnym armii, koordynując przygotowania do operacji. Stał teraz przy pierwszym z suburbanów, pod sodową latarnią na parkingu i po raz kolejny przesunął dłońmi po twarzy. Był zmęczony, rozczarowany i niespokojny. Mógł zrozumieć strach trójgwiazdkowców przed ujawnieniem sprawy zaginięcia

pojemnika z Okiem Szatana, a spalenie DRMO zapewniło dziewięćdziesięciopięć procentowe prawdopodobieństwo zniszczenia cylindra, przy założeniu, że tam właśnie się znajdował. Jeśli jednak został gdzieś przeniesiony? Zbyt wiele było tu niepewności. Właśnie z tego powodu był bardzo niezadowolony z otrzymanego zadania. Tym bardziej, że ten pomysł zrodził się w głowach, ogarniętych paniką najważniejszych osób w armii. Miał świadomość, że stał się pionkiem w zacieraniu śladów i właśnie to najbardziej go martwiło. Sceny z filmu pokazanego przez Fullera wciąż pojawiały mu się przed oczami. Do tego doszedł jeszcze ostateczny cios zadany mu przez Waddella: informacja, że może już myśleć o odejściu na emeryturę: No, cóż, im więcej myślał o takiej perspektywie, tym mniej go martwiła, w przeciwieństwie do tego, co czekało go dziś w nocy.

### **Wtorek, DRMO w Fort Gillem, 00.20**

Carson obserwował na ekranie w pomieszczeniu kontrolnym ludzi Tangenta. Przyjechali dużym, ciemnym samochodem osobowym. Przez następne pięć minut nic się nie działo. Wreszcie we wnętrzu wozu zapaliło się światło, które zgasło, gdy w oddali pojawił się snop reflektorów samochodu patrolowego żandarmerii. Po upływie trzech minut spróbowali ponownie. Czterech mężczyzn, których rysów nie sposób było rozróżnić na czarno-białym obrazie wysiadło z samochodu. Jeden z nich podszedł do bagażnika, otworzył go i wyjął coś, co przypominało marynarski worek. Zatrzasnął po cichu klapę, a jego towarzysze przenieśli bagaż do drzwi frontowych budynku administracyjnego. Carson stracił ich tam z widoku.

W porządku - uznał. Jest ich czterech. Jeden dowodzi, a trzech go obstawia. Nieźle. Czekał, wyobrażając sobie jednocześnie, jak reagują, czytając zostawia-

188

na im wiadomość w kopercie. Wkurzą się, bo będą zmuszeni ponownie schować torbę do wozu i przejechać na tyły kompleksu. Nie martwił się tym jednak. Zależało mu, by jak najszybciej zniknęli z widoku i znaleźli się na pasie startowym, gdzie żandarmi tak łatwo ich nie zauważą. Wrócili do samochodu. Półtorej minuty później, wyłoniwszy się z ciemnej alejki między magazynami pojawili się na drugim ekranie. Carson zostawił tam otwartą bramę wjazdową.

Pojazd wjechał na pas startowy ze zgaszonymi światłami. To dobrze - stwierdził. Miejsce i tak jest oświetlone. Wóz zatrzymał się przy palecie ze śmigłami. Tym razem wysiadł tylko jeden i wziął znajdującą się tam kopertę. Zapoznał się z jej zawartością i bez wahania ruszył do magazynu numer 4.

Powiniennem dodać polecenie, by zamknęli bramę dla ciężarówek - stwierdził. Jeżeli kryli się gdzieś ich pomocnicy, bez trudu będą mogli dostać się na teren placówki. Zlustrował obraz z kamer na granicach DRMO sprawdzając, czy nic tam nie zobaczy. Na szczęście żadnego ruchu. Wrócił do obserwacji ludzi Tangenta. Kierowca wrócił do samochodu. Otworzył drzwi i zajrzał do środka. Po chwili znów wszyscy wysiedli, rozejrzeli się, jeszcze raz wyjęli worek i tym razem zabrali go do pomieszczenia z pasem transmisyjnym.

Carson czekał, aż wszyscy doszli do wejścia, nim zdecydował się skorzystać z przycisku otwierającego zamek cyfrowy. Czterej biali mężczyźni, w wieku trzydziestu, czterdziestu lat, w prostych spodniach i rozpiętych wiatrówkach. Nie miał wątpliwości, że wiatrówki zasłaniają broń, którą mieli przy sobie. W porządku. On także nie był bezbronny.

Nacisnął guzik i wszyscy odwrócili się gwałtownie na dźwięk otwieranego zamka. Jeden z nich uchylił je ostrożnie, dwaj pozostali wnieśli torbę, a ostami przez chwilę obserwował okolicę, nim zniknął w środku. Menadżer spojrzął na monitor pokazujący wnętrze magazynu. Po prawej widział pracujący podajnik, który zniknął w ścianie. Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił. Jeden z mężczyzn zniknął z pola widzenia i chwilę później odebrał telefon.

- Włóżcie pieniądze do pudełek przy podajniku. Kiedy wszystkie będą spakowane, przejdźcie pod drzwi - polecił.

Przybysz nic nie odpowiedział i bez słowa się rozłączył. Carson przyglądał się, jak podciągnęli worek do pasa i rozpoczęli przeładunek. Nie wiedział, czy przez przypadek, czy też rozmyślnie ustawili się w taki sposób, że zasłaniaли mu widok. Trzech pracowało, a czwarty obserwował pomieszczenie. Bez wątplenia układali coś do pojemników, ale kamera znajdowała się tak daleko, że nie był w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście są to pieniądze. Robili to zadziwiająco długo. Domyślił się, że układają paczki tak, by zmieściły się do pojemników. Skończywszy, odsunęli się od podajnika i rozejrzeli wokół.

W porządku - stwierdził. Ponownie wybrał numer wewnętrzny. Ten sam mężczyzna podszedł do telefonu i odebrał.

- Połóżcie pudełka na pas, a kiedy znajdą się w sąsiednim

pomieszczeniu,  
Wyłączę podajnik. Potwierdzając autentyczność pieniędzy,  
zadzwoń jeszcze raz  
j powiem, gdzie znajduje się towar. Do tego czasu blokuje zamek  
cyfrowy. Nie  
próbujcie wyjść.

189

- Ile to potrwa? - zapytał mężczyzna.  
Carsonowi wydało się, że to Tangent. Tak, niemal na pewno.  
Nie widział  
jednak j ego twarzy na monitorze.

- Piętnaście minut - odparł i nacisnął odpowiedni przycisk.
- Skąd mamy wiedzieć, że pan nie ucieknie?

Tak, to Tangent.

- Już to przerabialiśmy. Towar nie przedstawia dla mnie  
żadnej wartości.  
Przyda się tylko panu i właściwemu klientowi. Proszę mi wierzyć,  
że jest to coś,  
czego wcale nie mam ochoty dłużej trzymać.

Odłożył słuchawkę, by nie marnować czasu na  
bezproduktywną rozmowę.

Patrzył, jak kładą pojemniki na pasie. Stali obok siebie i  
stopniowo obraca-  
li głowy za pieniędzmi znikającymi za ścianą. Przełączył widok na  
halę przero-  
bową i czekał, aż pudła zjawia się w oświetlonym miejscu. Widząc  
wyraźnie  
wszystkie pojemniki, przeszedł do panelu systemu  
przeciwpożarowego i przer-  
wał obwód zasilania podajnika, a jednocześnie zgasił światło. W  
hali będzie  
w stanie ponownie je włączyć. Jeszcze raz przyjrzał się uważnie  
obrazom na  
monitorach. Kamery nie miały możliwości dokonywania zbliżeń,  
ale to co wi-  
dział, bez wątpienia wyglądało jak pieniądze: równe paczki,  
przepasane bande-  
rolami.

Czas ruszać - stwierdził. Trzeba sprawdzić, czy to nie  
fałszywki.

Zanim wstał, po raz ostatni sprawdził widok ze wszystkich  
kamer: pas starto-  
wy, wnętrza wszystkich magazynów, podajnik. Mężczyźni czekali,  
jak im przyka-  
zał. Siedzieli na odwróconych pudłach, prawie niewidoczni w  
półmroku. Jeden  
z nich palił papierosa i ilekroć się zaciągał, jasny ognik rozbłyskał  
na ekranie.

Dalej oświetlona hala przerobowa z pojemnikami na pasie  
transportowym, budy-  
nek administracyjny i parking, również pusty.

Nie, nie do końca.

Zamarł w fotelu, wpatrując się w monitor. Na tyłach parkingu,  
już w cieniu  
Ciężarówkę, dostrzegł przód dużego samochodu. Nic więcej nie  
były stanie stwier-  
dzić. Resztę wozu skrywały ciemności.

Skąd, do diabła, się wziął? Czy stał tam od jakiegoś czasu?

- Nie wydaje mi się - mruknął do siebie.

Jeszcze raz zlustrował pozostałe monitory. Szczególną uwagę  
zwrócił na plac

przed magazynami i dojazd do niego. M

Pas dla ciężarówek. Stały tam cztery naczepy. Nieco dalej znajdowały się dwa ciągniki. W jednym z nich ukrył cylinder. Wytężył wzrok. Coś tu było nie tak. Za ostatnią naczepą było wyraźnie widać koła, mniej sze od ciężarowych.

Musiał tam stać samochód. A może nawet dwa. A to dranie! Tangent sprwadził pomoc. I wyglądało na to, że liczną. W czasie, gdy Carson był zajęty sprwadzeniem tej czwórki do magazynu, co najmniej trzy samochody zajęły pozycje, i czekały na jakiś sygnał? Żadna z kamer nie pokazywała wjazdu na plac między magazynami, ale był niemal pewien, że i tam pojawił się samochód. Cholera jasna!

Rusz się! Czas na plan B.

190

Wyłączył światła, chwycił pustą walizkę i opuścił pomieszczenie kontrolne. Szybkim krokiem podszedł do tylnego wyjścia i przez okienko wyrztał na plac. Według pierwotnego planu miał teraz dostać się do hali przerobowej. Stały tam co najmniej trzy samochody. Siedzący w aucie przed budynkiem administracyjnym nie widzieli, co dzieje się na terenie DRMO. Ci za naczepą także mieli ograniczone pole widzenia, ale mogli przecież wyglądać zza niej obserwatorzy. Jeśli jeszcze jeden wóz stał w alei, to stamtąd był idealny widok na cały plac i zostanie zauważony, przynajmniej na przestrzeni między zgrupowaniem palet i hangarem.

Wziął głęboki oddech. Tangent i jego obstawa wyglądali na spokojnych. Ja też byłbym opanowany na ich miejscu - skonstatował, gdybym na zewnątrz miał ośmiu, a może dziesięciu ludzi do pomocy. Nie zamierzali zapewne nic robić, dopóki ich towarzysze nie dostaną cylindra, a on nie weźmie pieniędzy. Znaczyło to, że jego przemarsz będzie sygnałem do gotowości. Nic by im to nie dało, gdyby teraz zaatakowali. Może widząc walizkę w jego ręku pomyślą, że ma w niej pojemnik. Nie znając jego wymiarów, nie mogli wiedzieć, że się w niej nie zmieściłby. Liczył na ich ignorancję.

Otarł pot z czoła, ponownie głęboko odetchnął i położył dłoń na kłamce. W porządku, czas ruszać, postanowił.

Przekroczył drzwi i pewnie ruszył przed siebie. Nocne powietrze było chłodniejsze, niż myślał. Jego kroki odbijały się głośnie echem od blaszanych ścian magazynów. Oparł się przemożnej chęci spojrzenia, w aleję dojazdową. Orientując się, że ich zauważył, mogliby zdecydować się na wcześniejsze

podjęcie działań. Musiał doprowadzić do zawarcia transakcji, a dopiero później chronić się przed odebraniem mu pieniędzy. Właściwie był przygotowany na taką ewentualność.

Minął szereg palet, samochód Tangenta i wydostał się na otwartą przestrzeń przed halą przerobową. Paliła go twarz. Wyobrażał sobie, że jest postrzegany przez noktowizor. Czuł się jak kaczka na polowaniu.

Dziesięć metrów.

Pięć.

Czy słyszeli go w sąsiednim pomieszczeniu? Był już prawie na miejscu. Tylko spokojnie - przykazał sobie.

Dotarł do drzwi, wystukał kod i dostał się do przedsionka.

Rzucił w kąt walizkę i pospiesznie przeszedł do sterowni Monstrum. Już wcześniej przełączył maszynę na tryb wyczekiwania i wszystkie kontrolki były podświetlone. Odszukał panel sterowniczy i zablokował zamek cyfrowy frontowych drzwi. Ciężkie wrota były wykonane ze stali i nie da się ich tak po prostu wyważyć.

Przeszedł do pasa transmisyjnego, by przyjrzeć się zawartości pudeł. To chyba prawdziwe pieniądze. Paczki studolarówek szczelnie wypełniały pojemniki. Sięgnął po przygotowane uprzednio dwie torby i zabrał się za przeładunek forsy. Zdjął pierwszą warstwę pieniędzy i z zadowoleniem stwierdził, że druga wygląda tak samo. Świetnie! Kilka paczek schował do kieszeni, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Jeżeli nawet zdecydowali się na fałszywki, były ukryte głębiej, na dnie.

191

Zgodnie z planem powinien przeprowadzić ostateczny test ich autentyczności. Żałował, że nie ma już możliwości skorzystania z systemu kamer, by sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz. Postanowił, że wobec braku czasu musi zrezygnować z dodatkowego badania. Jak dotąd przybysze słuchali jego poleceń. Jak długo jednak będą skłonni do współpracy? Tangent ewidentnie zamierzał go wykiwać.

Trudno, nie dostaną cylindra.

Czas ucieka. Ruszaj się. Dzwon.

Pospiesznie przesypał resztę pieniędzy i zapiął torby. Sięgnął po telefon na ścianie i połączył się z pomieszczeniem obok. Jeden dzwonek, drugi...

• Tak? - Bez wątpienia - to Tangent.

• Towar jest w moim biurze - skłamał Carson. - Na najwyższej półce. Przejdźcie do magazynu numer jeden, a stamtąd do budynku administracyjnego. Drzwi

są otwarte. Skręćcie w lewo, korytarzem, ostatnie drzwi po lewej stronie.

- Jak się stąd wydostać?
- Przy drzwiach, którymi weszliście, znajdziecie toporek. Jest w pustym korytarzu. Trzeba wybić blokady i drzwi da się już otworzyć.

- W porządku. - Chwila ciszy. - Carson.

-Tak?

- Wie pan, że nasza współpraca nie musi się na tym skończyć.

- Niestety, musi. Przywiózł pan ze sobą zbyt wielu przyjaciół. Miło było robić z panem interesy.

Właściwie nie powinienem tego mówić - stwierdził odkładając słuchawkę.

Chwycił obie torby i wrócił do nieruchomego podajnika. Wspiął się i przeszedł

do uchylnych drzwiczek w ścianie łączącej oba budynki. Przez chwilę słuchał

krzyków i głośniejszych uderzeń toporkiem w metal. Wydawało mu się także, że na

zewnątrz pracuje silnik samochodu. Czekał z coraz większą niecierpliwością.

Nagle rozległo się zdecydowane dobijanie się do drzwi wejściowych hali prze-

robowej. Już tu są - pomyślał. I ku jego zaskoczeniu, ktoś zaczął walić w drzwi

przejściowe między dwoma pomieszczeniami, które w przeciwieństwie do front-

owych, były wykonane z aluminium. Długo nie wytrzymają takich potężnych

uderzeń.

Cholera! Co teraz? Ogarnęła go panika, szczególnie, gdy zdał sobie spraw-

ę, że ktoś znajduje się po drugiej stronie przejścia, z którego zamierzał skorzystać.

Wycofał się. Patrzył rozszerzonymi oczami, jak duże drzwi wyginają się coraz

bardziej. Ich zawiasy puszcza w każdej chwili. Tamci pracowali sprawnie i drzwi

ładą chwila poddadzą się ich naporowi. Był w pułapce.

Carson dostrzegł w szparze drzwiczek, ponad podajnikiem oko i czerwoną

z wysiłku twarz mężczyzny, który z całych sił na nie napierał.

Odruchowo z ca-

łych sił kopnął w jedno ze skrzydeł. Kant drzwiczek z hukiem trafił tamtego pro-

sto w głowę. Rozległ się głośny jęk i dobijanie z drugiej strony ucichło.

Menadżer zupełnie zapomniał o blokadzie drzwiczek. Aby uciec, musiał po-

nownie uruchomić pas transportowy. Zeskoczył z niego i podbiegł do konsoli,

świadom krzyków i hałasów przed halą. Z całych sił wcisnął odpowiedni przy-

cisk, ale nic się nie stało. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że wcześniej prze-

bezpieczników. Chaotycznie szukał właściwego, lecz było ich tu całe mnóstwo. Ogromnym wysiłkiem zmusił się do logicznego myślenia: przecież któryś z nich musiał być w innej pozycji niż pozostałe! Wreszcie zlokalizował ten odpowiedni w czwartym panelu. Przetawił go i szybko wrócił do sterowni. Ponownie wdusił przycisk i tym razem podajnik ruszył. Zaklął w myślach, bo hałas spowodowany przez urządzenie zasilające będzie słyszalny na zewnątrz i zapewne ściągnie tu całą zgraję pomocników tamtej czwórki.

Trzeba temu zaradzić - postanowił i uruchomił zasilanie Monstrum. Machi- na ożyła, wydając z siebie różne dźwięki. Przez cały czas obserwując uchylające się drzwiczki ściągnął z podajnika obie torby. Odczekał, aż pojawiło się na nim ciało, wciąż nieprzytomnego mężczyzny, którego uprzednio uderzył w głowę. Facet w średnim wieku, wciąż czerwony na twarzy, z potężnym rozcięciem na czole.

Pod wiatrówką wyraźnie było widać szelki na broń.

Carson miał już ściągnąć ciało z podajnika, gdy górny zawias drzwi przejściowych puścił i z głośnym hukiem przewróciły się na podłogę. Nie zastanawiał się długo, co robić. Wskoczył na pas i przedostał się nim przez otwarte już przejście. Posuwając się powoli wbrew ruchowi podajnika wychylił się z dziury. W odległości około dziesięciu metrów dostrzegł mężczyznę, który akurat sforsował drzwi. Zeskoczył z podajnika po drugiej stronie i pobiegł na tył magazynu, gdy tylko tamten zniknął w przejściu. Ponad hałasem Monstrum dobiegł do jego uszu głośny krzyk oraz warkot kolejnych pojazdów zajeżdżających na plac. Był już niemal przy wyjściu ewakuacyjnym, gdy ktoś po przeciwnej stronie pomieszczenia kazał mu się zatrzymać.

Sam się zatrzymaj - pomyślał znikając za drzwiami prowadzącymi do magazynu numer cztery. Za jego plecami rozległ się świst pocisków. Rzucił torby na ziemię, zatrzasnął drzwi i dodatkowo zablokował je wózkami, który stał nieopodal przygotowany. Schylił się po pieniądze i szybkim krokiem ruszył dalej. Dzięki takiemu zabezpieczeniu będzie miał wystarczająco dużo czasu. Ktoś zaczął dobijać się do drzwi, gdy mijał regały sięgające sufitu.

Dotarł do drzwi magazynu numer trzy i wiedział już, że jest bezpieczny. Wszystkie wejścia były zablokowane od wewnątrz. Był w stanie wydostać się z każdego pomieszczenia, ale oni nie dostaną się do środka bez ciężkiego sprzętu, nawet gdyby dysponowali całą armią ludzi. Jeszcze jeden magazyn i wydostać się na zewnątrz, przejdzie przez dziurę w siatce i zniknie w

zaroślach. Przygotował sobie w dwóch miejscach drogi ucieczki: jedno w pobliżu hali przerobowej, drugie zaś w przeciwnym końcu szeregu magazynów. Był wściekły na Tangenta, za to, że go zdradził. Miał jednak pieniądze, a kupiec nie dostanie swojego cennego pojemnika. Później zastanowi się, jak pozbyć się tego cholerstwa. Było mu żal nieprzytomnego mężczyzny na pasie. Być może jednak tamten drugi zdążył na czas ściągnąć go z podajnika. Krzyk który usłyszał, budził poważne wątpliwości.

Pokonał drzwi magazynu numer trzy i zajął się przestawieniem kolejnego wózka widłowego, gdy z przeciwnej strony pomieszczenia dobiegł go dźwięk

193

pracującej piły tarczowej, a chwilę później przeraźliwy zgrzyt cięcia metalu. Ktoś starał się sforsować w ten sposób blaszaną ścianę. Między gąszczem regałów nic nie widział, ale mógłby przysiąc, że tak właśnie jest. Co się dzieje, do diabła?

Czyżby się przeliczył? Mieli piły tarczowe!

Porwał torby i ruszył na prawo, kierując się ku kilku drzwiom na tylnej ścianie magazynu. Wszystkie one prowadziły do alei, która stanowiła jego drogę ucieczki do samochodu. Dźwięk cięcia umilkł tak gwałtownie, jak się rozpoczął. Zatrzymał się pięć metrów od wyjścia i schował za jednym z regałów. Wyrzawszy zza półek, zobaczył w odległości około osiemdziesięciu metrów potężnego mężczyznę w hełmie i wielkich goglach, który biegł przejściem i rzucał na boki jakieś przedmioty. I nagle za plecami tamtego półmrok zamienił się w oślepiającą jasność, której towarzyszył wprost ogłuszający huk. Przerażony Carson patrzył, jak wokół następują eksplozje, naruszające konstrukcję całego magazynu i wzniciające pożary w kilkunastu miejscach jednocześnie.

Mógł się ruszyć, dopiero wtedy, gdy mężczyzna był zaledwie dwadzieścia metrów od niego. Na czworaka, ciągnąc za sobą torby, starał się dostać do wyjścia ewakuacyjnego, zanim tamten dotrze do niego i obrzuci ładunkami wybuchowymi. W momencie, gdy jeden z granatów wylądował w sąsiednim przejściu, Carson pchnął drzwi nogami. Wybuch, który nastąpił chwilę później, swym gorącym podmuchem osmalił mu policzki. Zdażył się jednak przeturlać przez drzwi na zewnątrz nim sięgnęły go płomienie. Zatrzasnął je za sobą akurat na czas. Kolejny potężny huk rozległ się, kiedy poderwał się na nogi. Pod drzwiami poja-

wił się jasny blask i cała konstrukcja magazynu zatrzęsała się, jakby w środku znajdował się sam szatan.

Ciągnąc torby skierował się do ogrodzenia. Szedł na czworaka, boleśnie obijając kolana o twardy beton. Wreszcie odważył się stanąć na nogi i ruszył truchtem do najbliższej dziury w siatce, tuż za halą przerobową. Biegając zorientował się, że każdy magazyn jest niszczone od środka potężnymi eksplozjami. Z budynku wydobywało się oślepiające światło, a ściany wykrzywiały się i skwierczały od gorąca. Przez otwory wentylacyjne uchodził coraz bardziej gęsty dym.

Dotarł wreszcie do otworu. Rzucił przed siebie pakunki i zabrał się za rozginięcie oczek. Nagle znieruchomiał. Znajdował się za dawnym hangarem, w którym najwidoczniej nie wzniesiono jeszcze pożaru. Znów, po drugiej stronie słyszał krzyki i warkot silników samochodowych. Tutaj nikt jeszcze się nie zjawił. Widział tylko przód oddalonego o kilkanaście metrów ciągnika, w którym ukrył pojemnik. W towarzystwie potężnego huku dach magazynu numer trzy zapadł się, a w niebo buchnęły wysokie płomienie. Chryste, przed chwilą tam byłem - przebiegło mu przez głowę.

Szybko podjął decyzję. Wzdłuż ściany budynku przerobowego przemknął do potężnej ciężarówki. Wspiął się na dwa schodki i otworzył drzwiczki skrzynki z narzędziami znajdującej się na zewnątrz. Plac za rogiem zmienił się w istne piekło. Słyszał kakofonię ludzkich krzyków, warkotu silników i coraz głośniejszego trzasku płomieni. Ładunki wybuchowe zaczęły eksplodować także w hali przerobowej.

194

Cylinder znajdował się dokładnie tam, gdzie go zostawił Carson. Chwycił pojemnik i pobiegł z powrotem do ogrodzenia. Płomienie, wydobywające się przez zdeformowane wyjście ewakuacyjne owionęły go gorącem. Na miejscu spostrzegł z przerażeniem, że sztywny drut, który poprzednio już rozchylił, wrócił na swoje miejsce. Przepchnął pojemnik przez zbyt mały dla niego otwór i zaczął się mocować z siatką, by przedostać się na drugą stronę.

- Ty! - za jego plecami rozległ się ostry krzyk, - Stać! Ręce do góry!

Obejrzał się przez ramię i aż zamarł na widok dwóch mężczyzn w mundurach wojskowych. Stali przy rogu hali i mierzyli do niego z długiej broni. Żołnierze! Tylna ściana dawnego hangaru zaczęła się niebezpiecznie kołysać, adach

uniósł się i ze środka buchnęły wysokie na kilkanaście metrów  
płomienie. Od  
konstrukcji odrywały się poszczególne elementy i spadały na  
aleję. Obaj męż-  
czyźni uskoczyli w bok chroniąc się przed potokiem rozgrzanych  
do czerwoności  
kawałków metalu. Carson nie czekając na to, co będzie dalej,  
jednym skokiem  
rzucił się na otwór, przez który z trudem udało mu się przepchnąć.  
Odwrócił się,  
by zabrać leżące po drugiej stronie torby, ale te cholerne druty  
znowu wróciły do  
pierwotnego położenia. Ich ostre końce wbiły się w tkaninę i oba  
pakunki sku-  
tecznie się zaklinowały. Pozostał mu tylko cylinder. Głośny huk  
sprawił, że mena-  
dżer uniósł wzrok i spostrzegł, iż pozbawiona wsparcia tylna  
ściana coraz bar-  
dziej odchyła się na Zewnątrz. Kątem oka zobaczył żołnierzy,  
którzy Wciąż do  
niego celowali. Nie zwracał jednak na nich uwagi.  
Skoczył między krzaki akurat wtedy, gdy cała hala  
przerobowa zawaliła się  
z ogłuszającym hukiem. Coś boleśnie trafiło go w plecy, gdy brnął  
przez zarośla,  
które trawił już ogień. Dotarł do samochodu, otworzył drzwi,  
wrzucił do środka  
cylinder i wsunął się na siedzenie kierowcy. Ledwie zdążył  
uruchomić silnik i u-  
ciec przed zbliżającymi się błyskawicznie płomieniami.  
Wrzeszcząc ze strachu,  
wcisnął do oporu pedał gazu. Przedarł się przez ścianę dymu i  
ognia na szutrową  
drogę biegnącą wzdłuż ogrodzenia Fort Gillem. Za jego plecami  
wydawał się  
płonąć cały świat.

Carrothers umieścił zespół z Anniston, w odległości niemał  
pół kilometra od  
budynków DRMQ, na opuszczonym pasie startowym. Ciężarówki  
stały na woj-  
skową modłę, jedna obok drugiej. Przed nimi ustawiono  
suburbany. Zandarme-  
ria, również z Anniston, zajęła pozycje wzdłuż pasa. Generał stał  
przy zderzaku  
Stojącej na skraju półciężarówki. Na szczęście była ciemna,  
prawie bezwietrzna  
noc. Światła Atlanty, widoczne na północnym-wschodzie, tworzyły  
żółtopoma-  
rańczową łunę,  
Wydał rozkaz Włożenia kombinezonów chemicznych. Sam  
również miał na  
sobie taki strój, tylko hełm trzymał w rękach, Czekając na  
rozpoczęcie operacji  
Kombinezon nie był ciężki, ale nie można było go określić mianem  
wygodnego.  
Miał go na sobie bardzo krótko, a swędziało go już całe ciało.  
Uważał, że w pło-  
mieniach cylinder nie stanowi zagrożenia, ale chciał, by jego  
ludzie pamiętali  
z jakiego powodu się tu znaleźli i dlaczego niszczyli rządową  
własność w środku

nocy. Osobiście wydał rozkaz do działania, gdy oddział specjalny nadał sygnał obwieszczający, że zajął już wyznaczone pozycje przy dwóch pierwszych budynkach i nie stwierdził tam niczyjej obecności. Kierowca suburbana ruszył pasem w stronę likwidowanego kompleksu, by żołnierze schronili się w nim po wykonaniu zadania.

Przez minutę nic się nie działo, aż wreszcie w przeciwnym końcu DRMO rozległ się zgrzyt pił tarczowych. Trwał jakieś dwadzieścia sekund, nim ponownie zaległa cisza. Znowu minuta spokoju, a wreszcie nastąpił szereg głuchych eksplozji, stłumionych już nieco w miejscu, w którym stał. Po kolejnych kilkudziesięciu sekundach pojawiły się pierwsze języki ognia. Generał wsunął hełm na głowę i wsiadł do suburbana. Ogień był wyraźnie widoczny, szczególnie w budynku na skraju. Skinął na kierowcę i ruszyli w kierunku kompleksu. Z bliższej odległości zobaczył kilka postaci wsiadających do podstawionego wozu, który pośpiesznie odjechał w prawo.

Dobrze, oddział się już ewakuował. Stwierdził, że zgodnie z poleceniem, reszta półciężarówek zajmuje stanowiska wzdłuż ogrodzenia. Zespół chemiczny nie wejdzie między budynki, dopóki się wszystkie nie dopalą. Ciekawe, co myśleli sobie teraz ci żołnierze. Przed podjęciem akcji wyjaśnił im, dlaczego konieczne są tak radykalne działania. Dodał, że dowództwo podejrzewa, iż zagraniczni terroryści umieścili na terenie placówki broń chemiczną, a jutro zamierzają przenieść ją w miejsce planowanego ataku. DRMO było praktycznie niemożliwe do przeszukania, więc podjęto decyzję o jego zniszczeniu. Swojej opowieści nadał możliwie dużo dramatyzmu. Akurat runął jeden z dachów zagłuszając słowa operatora, dobiegające przez radio.

- Powtórz - polecił.
- Na placu zauważono pojazdy - doniósł podekscytowany głos. To chyba jeden z kapitanów, ale w hełmie trudno było go poznać. - Obok biegają jacyś cywile.
- Cywile? - Cholera, zaklął w myślach. - Ilu?
- Kilkunastu. Usiłovali dostać się do największego budynku na końcu kompleksu. Długo tam nie przetrzymają. Widać cztery samochody. Nie mają jak się stamtąd wydostać.

Cholera jasna! Cztery samochody? Skąd się tam wzięły do diabła? Czyżby oddziały bezpieczeństwa z Fort Gillem nawaliły? Carrothers dał znak swemu kierowcy, by ruszył.

- Możecie przejechać przez to ogrodzenie? - zapytał podniesionym głosem, Hałas towarzyszący pożarowi był znacznie głośniejszy, niż przypuszczał.

Komandos świetnie wywiązali się z zadania. Wszystko wokół płonęło.

Kierowca przytaknął i zdecydowanie przyspieszył, kierując się wprost na siatkę. Generał ledwo zdążył zapiąć pas, kiedy potężny samochód zjechał z drogi

Kilkakrotnie zarzuciło nim na miękkiej ziemi i wreszcie najechał na ogrodzenie

z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Siatka jednak nie pękła.

Ślizgała się po zderzaku, a później po przedniej szybie, pozbawiając samochód wycieraczek, anten i koguta. Słychać było chrzęst drutu na karoserii, aż wreszcie

196prześlizgnęli się pod ogrodzeniem i znaleźli po jego drugiej stronie. Kierowca

zahamował ostro na skraju pasa startowego. Nie mógł jechać dalej z powodu zagradzających mu drogę betonowych barier.

Carrothers pospiesznie wyskoczył z wozu. Wszystkie budynki kompleksu

z wyjątkiem hali przerobowej już płonęły, a ich konstrukcja uległa wyraźnemu

naruszeniu. Gorąco i huk były trudne do zniesienia. Dobrze, że miał na sobie

kombinezon, który przynajmniej częściowo go chronił. Tamci faceci pewnie sma-

żyli się już na wolnym ogniu. Na placu stały cztery samochody, skupione wokół

szeregu palet. Za nimi przed gorącym i spadającymi z góry odłamkami kryło się

dziesięciu mężczyzn. Krzyknął na swojego kierowcę, by ten wezwał inne wozy,

a sam ruszył biegiem w stronę tamtych, poruszając się z niemałym trudem w kom-

binezonie, który ograniczał mu ruchy. Kluczył, by uważać na płonące pod noga-

mi odłamki. Gorąco było zdecydowanie większe, niż przypuszczał. Musiał opu-

ścić dodatkową osłonę na twarz, gdy jeden z rogów budynku administracyjnego

zawalił się, wzbijając w niebo chmurę iskier. To samo stało się z halą przerobo-

wą, a kątem oka widział, że płomienie ogarnęły również okoliczne łąki.

Jeden z mężczyzn, skulony za paletą ze śmigłami samolotowymi, zobaczył

generała, gdy ten znajdował się od niego w odległości kilkunastu metrów. Carro-

thers machnął, by uciekał. Widząc nadchodzący ratunek, facet zwrócił na siebie

uwagę towarzyszy i zaczął biec, kuląc się i osłaniając głowę przed sypiącymi się

z nieba odłamkami. Mimo plastikowej osłony policzki generała paliły żywym

ogniem. Widział, że biegnącym ludziom coraz bardziej brakuje tlenu.

Nim mężczyźni dotarli do Carrothersa, kolejne dwa suburbany w ten sam

sposób sforsowały ogrodzenie. Żandarmi pomogli zająć miejsca w samochodach

krańcowo wyczerpanym, z trudem łapiącym powietrze uciekinierom. Półtorej

minuty później wszyscy byli już po drugiej stronie siatki. Nawet w odległości

kilkuset metrów od budynków podłoże usłane było dopalającymi

się fragmentami, a nad głowami wisiał ogromny słup dymu. Generał ściągnął z głowy hełm i gdzieś w oddali usłyszał przeciągłe zawrozczenie syren. Krzyknął na jednego z kapitanów, aby do akcji wkroczył zespół szybkiego reagowania, po czym podszedł do pierwszej półciężarówki, z której niepewnie wysiadali cywile. Mieli osmalone twarze, a oddychanie wciąż przychodziło im z trudem. Między budynkami eksplodował zbiornik paliwa pierwszego ze Stojących tam samochodów, a chwilę później nastąpiły kolejne wybuchy.

Carrothers dał znak dwóm potężnym żandarmom, by podążyli za nim. Bez słowa, z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału, zajęli swoje pozycje. Na widok broni cywile znieruchomieli. Generał zatrzymał się przy nich. Najstarszy, mający około pięćdziesiątki mężczyzna podniósł na niego wzrok. Był schyłony z powodu rozrywającego mu płuca kaszlu, który uniemożliwiał mu także przetarcie osmalonych okularów przygotowaną już do tego celu chusteczką. Za jego plecami DRMO zamieniło się w jedną wielką kulę ognia.

- Jestem generał Carrothers z wojsk chemicznych armii Stanów Zjednoczonych - przedstawił się, przekrzykując trzask płomieni. - Kim jesteście, i co u licha tam robiliście?

197

Mężczyzna próbował się odezwać, ale znów zaniósł się suchym kaszlem, aż zgiął się wpół. Po wyprostowaniu, sięgnął do kieszeni po identyfikator w skórzanym oprawie.

- Agent specjalny Frank Tangent, FBI -wychrypiął okazując dokumenty

Mówi pan, że z wojsk chemicznych?

-Tak.

Agent otarł czoło i obejrzał się, by zobaczyć to, co jeszcze niedawno było kompleksem wojskowym.

- No cóż- powiedział między atakami kaszlu - chyba musimy poważnie pomówić.

### **Wtorek, parking na autostradzie numer 85,3.30**

Tuż po trzeciej Carson zjechał z międzystanówki na parking. Przejechał osiemdziesiąt kilometrów na północny-wschód od Atlanty, w kierunku Greensboro. Jazda miała coraz większe kłopoty z utrzymaniem otwartych oczu, gdyż adrenalina

stopniowo znikąca z jego organizmu. Zatrzymał pikapa na parkingu w takim miejscu, by nie rzucała się w oczy rządowa rejestracja. Prawą rękę wsunął pod bluzę i wyczuł na plecach dużą, moką plamę. Jezu - przebiegło mu przez głowę. Tylko tego mi brakowało. Musiałem pokaleczyć się o te cholerne druty. Ostrożnie odchylił wiatrówkę, by sprawdzić, czy wilgoć przebiła na zewnątrz. Na szczęście mokra była tylko podszewka. Jeszcze raz dotknął pleców i tym razem na palcach zobaczył krew. Cholera! Teraz też dostrzegł dziurę w bluzie. Roztrzęsionymi rękami przybliżył ją do oczu, nieco dalej była druga, podobna. To nie druty. To ci dwaj dranie musieli go postrzelić.

Otworzył drzwi i ostrożnie wysiadł, bo nagle rozboleły go całe plecy. Z tylnej półki wziął podręczną torebkę z przyborami toaletowymi. Zamknął samochód i udał się do toalety, która o tej porze na pewno była pusta. W środku zdjął wiatrówkę, koszulę i wreszcie podkoszulkę. Ta ostatnia cała przesiąknięta była krwią, a koszula znajdowała się tylko w nieco lepszym stanie. Podeszedł do zlewu, obrócił się i spróbował zobaczyć ranę w lustrze. Górną część pleców przecinała wyglądająca nieprzyjemnie bruzda. Nie była głęboka, ale miała poszarpane brzegi ociekające krwią. Krew sączyła się z niej cienką strużką wzdłuż kręgosłupa.

Sięgnął po ręcznik i odkręcił kurek z ciepłą wodą. Leciąca tylko zimna. Zmoczył tkaninę i przez chwilę zastanawiał się, czy nie użyć mydła, lecz zrezygnował. Zwinął ręcznik w długi bandaż i okrył nim ranę. W pierwszej chwili ból wydał mu się nie do zniesienia. Stopniowo jednak malał. Ręcznik nie był wystarczająco długi, by się nim opasać, więc włożył koszulę i przycisnął nią tymczasowy opatrunek. Zakrwawioną podkoszulkę wyrzucił do kosza na śmieci. Po chwili zastanowienia wyjął ją stamtąd, wrzucił do ubikacji i spuścił wodę. Zniknęła dopiero po drugiej próbie. Nie było sensu ułatwiać im zadania, jeżeli rozpoczęli na niego polowanie. Ponownie włożył bluzę, poprawił opatrunek i wyszedł na zewnątrz.

198

Obok jego samochodu zatrzymała się duża furgonetka. Kierowca - otyły mężczyzna z długą brodą - spał na siedzeniu. Miał uchylone usta i głośno chrapał. Do vana przytwierdzone były na magnesach reklamy usług hydraulicznych i ciepłowniczych. Carson wrócił do swojej półciężarówki i próbował ułożyć się wygodnie na przednim fotelu. Powieki mu ciążyły, jakby były z ołowiu, ale sen

nie przycho-  
dził. Myślami wracał wciąż do wydarzeń w DRMO. Miał wrażenie,  
że nadal czu-  
je gorąco na plecach. Udało mu się zbiec, przynajmniej na razie.

Przy głównej bramie kompleksu stali żandarmi i pilnowali  
wjazdu od drugiej  
strony. Zniknął więc, nim zorientowali się, co się dzieje. Cylinder  
znajdował się  
teraz w bagażniku, w skrzynce na narzędzia. Z pieniędzy pozostał  
pewnie tylko popiół.

Tangent od samego początku zamierzał go wykiwać. Milion  
dolców. Powi-  
nien się domyślić. Planował wywieść jego ciało porzucając je w  
jednej z ciem-  
nych uliczek południowej Atlanty, gdzie Carson zostałby uznany  
za kolejną ofia-  
rę rozboju. Tak naprawdę najważniejsze było teraz pytanie, skąd  
do diabła, wzięli się tam ludzie w hełmach i goglach, którzy  
metodycznie zniszczyli wszystkie magazyny? Przecież Tangent  
nie mógł tego zorganizować.

Otworzył oczy mimo zmęczenia, gdy do głowy przyszła mu  
prawdopodobna odpowiedź. To wojsko. Żołnierze. Armia przystąpiła  
zespół z zadaniem zniesienia DRMO z powierzchni ziemi! ;

Cholerny Stafford musiał im powiedzieć!

Oparł głowę na siedzeniu i ponownie zamknął oczy. Paczki z  
sitkami, które  
upchnął w kieszeniach spodni, uwierały go, ale nie chciało mu się  
ich wyjąć. Przez uchyloną szybę słychać było hałas  
przejeżdżających samochodów. Leżąc, starał się ustalić, co tak  
naprawdę się zdarzyło. Wojsko już wcześniej dwukrotnie prze-  
szukiwało jego placówkę. Nie było jednak sposobu na dokładne jej  
zlustrowa-  
nie, chyba że trwałoby to rok. Ktoś bardzo ważny zdecydował się  
spalić DRMO,  
a wraz z nim zaginiony cylinder, zakładając oczywiście, że tam był.  
Był szcze-  
rze zaskoczony tak poważnym podejściem armii. Musieli być  
naprawdę zdespe-  
rowani.

Starał się myśleć logicznie i przewyciężyć coraz większą  
ociężałość umy-  
słu. Nie sprzyjał temu pulsujący i tępy ból pleców. Musiał jak  
najszybciej przy-  
zwoicie oczyścić i zdezynfekować ranę. Zastanawiał się jaki los  
spotkał Tangenta  
i jego ludzi. Wojsko wysłało do akcji oddział specjalny, który  
dodatkowo miał  
silną obstawę. A skoro tak, to czy jego kontrahent wpadł w ich  
ręce? To mogło  
być ciekawe. Chciał dociec, jak handlarz bronią z Waszyngtonu  
wyjaśni swoją  
obecność w takim miejscu i o takiej porze, z grupą ludzi. Nawet  
armia powiąże  
Tangenta z zagubioną bronią.

Wzruszył ramionami. Skoro wojsko było gotowe spalić  
rządową instytucję,  
by zamknąć sprawę pojemnika, zdecyduje się pewnie i na mało  
cywilizowane  
działania, mające na celu wydobycie potrzebnych informacji od  
zgrai cywilów.

Jeśli zaś Tangent zaczął śpiewać, to armia już wie, że Carson  
nadal jest w posiadaniu cylindra. Nikt nie przypuszcza, że

podczas ucieczki stracił pieniądze, chy-

199

ba, że tamci dwaj żołnierze zwrócili na to uwagę. Biorąc pod uwagę okoliczności ich krótkiego spotkania wywnioskował, że nie zauważyli. Strzelili do niego, ale później nieźle musieli się namęczyć, by wyjść cało z tamtego piekła.

Kolejnym kluczowym pytaniem było również, co wojsko zrobi w obecnej sytuacji? Byłby przegrany, gdyby przyznali się do utraty cylindra. Wszystkie siły w całym kraju rozpoczęłyby jego poszukiwania. Jeśli tego nie zrobią... Wciąż tliły się pewne szanse na uniknięcie ręki sprawiedliwości. W kieszeniach miał co najmniej kilka tysięcy dolarów. Siedział też w służbowym samochodzie.

Ta myśl sprawiła, że momentalnie się rozbudził. Jego wojskowy pikap na numerach federalnych stał na publicznym parkingu, a na drzwiach znajdowały się dodatkowo wybite numery identyfikacyjne armii Stanów Zjednoczonych. Musiał coś z tym zrobić. Wyprostował się w fotelu i wyrzał przez okno. Jego wzrok zatrzymał się na reklamach przymocowanych magnesem na sąsiednim wozie. Przy ich pomocy mógłby zasłonić numery na swoich drzwiach. Ponadto mógłby odkręcić tablicę rejestracyjną tamtego samochodu. Do diabła, przymocuje tamtemu swoje tablice i robiąc wiele zamieszania postawi przynajmniej tymczasową zasłonę dymną.

Całkiem już rozbudzony sięgnął do schowka po śrubokręt i wysiadł z wozu. Plecy dały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Przeszedł za samochód i zatrzymał się, by ocenić sytuację. Za parkingiem rozpoczynał się gęsty, sosnowy las. Dobięgały zza niego odgłosy z autostrady międzystanowej. Teren był dobrze oświetlony, a jego półcieńzarówka i van rzucały długie cienie. Inne pojazdy stały w przeciwnym końcu parkingu. Nasłuchiwał długo. Facet w samochodzie obok, wciąż równo chrapał. Odkręcił swoją rejestrację i zamienił ją na tąz furgonetki. Wyprostował się, sprawdzając, czy nikt nie pojawił się w zasięgu wzroku i wślizgnął się między oba pojazdy. Odczepił plansze reklamowe i przeniósł je na swoje drzwi.

Wrócił do pikapa, uruchomił silnik i ruszył ostrożnie, obserwując chrapiącego mężczyznę. Tamten ani drgnął. Carson opuścił parking skomercjalizowanym samochodem półcieńzarowym, których było mnóstwo w Georgii. Wyjechał na międzystanówkę i minęło dwadzieścia minut, nim zorientował się, że nie przekracza prędkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W miejscu,

gdzie mógłby mieć sto piętnaście na liczniku. Długo tak nie pociągnę\* stwierdził przeciągle ziewając. Muszę się przespać.

Dziesięć minut później zjechał do motelu i zadzwonił po nocnego recepcjonistę. Powietrze wypełnił aromat curry, gdy młody, zaspany Pakistańczyk przyjął przez okienko w drzwiach pieniądze i wręczył mu klucze. Carson przejechał za róg budynku i tam zaparkował. Wysiadł i rozejrzał się uważnie. Prawie wszystkie miejsca były zajęte, a szyby każdego samochodu były zaparowane z powodu ciężkiej, wiszącej w powietrzu mgły. Od strony klimatyzatorów dobiegał cichy szum. Chwilę zastanawiał się co zrobić z pojemnikiem, zostawić go w wozie, czy zabrać ze sobą? Postanowił nie ruszać go z miejsca.

Wszedł do pokoju i usiadł na skraju łóżka. Czuł się wyczerpany i przygnębiony nocnymi zdarzeniami. Wszystko co zaplanował, legło w gruzach. DRMO zniknęło z powierzchni ziemi, pieniądze także przepadły, był ranny, a jego kon-

200

trahent z Waszyngtonu sypał pewnie już, przesłuchiwany przez żandarmerię. Znaczyło to, że już wkrótce władze rozpoczną poszukiwania Wendella Carsona. Przemyśl przony Tangent.

W porządku, a więc nadal miał pojemnik. Tylko co, do cholery, może z nim teraz zrobić? Kanały Tangenta były najlepsze i zapewne jedyne nadające się do sprzedania czegoś takiego, jak broń chemiczna... Był zbyt zmęczony, by logicznie myśleć. Musiał się przespać. Rano spróbuje podjąć jakies decyzje. Co zrobić i dokąd się udać? Może w jakiś sposób uda mu się podejść wojsko i odsprzedać im ich małą zgubę? Ostatnia świadoma myśl dotyczyła Staffbrda - tego drania, który stał za wszystkimi jego porażkami. Musiał jakoś wyrównać rachunki.

Półświadomie osunął się na łóżko, lecz wrzasnął i przekręcił się na bok. Zupełnie zapomniał o ranie. Musisz ją oczyścić - przykazał sobie w myślach - wziąć gorący prysznic i namydlić tamto miejsce. Zrobią to - postanowił. Zaraz. I zasnął.

### **Wtorek, DRMO w Fort Gillem, 4.00**

Carrothers siedział skulony w fotelu wewnątrz mobilnego centrum dowodzenia i czekał na telefon z Waszyngtonu. Wciąż miał na sobie większą część kombinezonu chemicznego. Drzwi z tyłu naczepy były otwarte na oścież

tak, by do  
środka wpadało świeże powietrze, ale nawet mimo to wciąż unosił się zapach dymu. Wszystkie konsole były nieobsadzone, z wyjątkiem stanowiska łączności, przy którym zasiadał technik w kombinezonie. Z zewnątrz do uszu generała dobiegał szum radiowych rozmów zespołu monitorującego. Ze swojego miejsca nie widział DRMO, ale był pewien, że kompleks uległ pełnemu zniszczeniu.

Starał się utrzymać nerwy na wodzy. Zmęczenie sprawiało, że myślał z ogromnym trudem. Wobec możliwości skażenia powietrza, osobiście zabronił jedzenia i picia. Teraz cierpiał z tego powodu, bo z chęcią napiłby się kawy. Wciąż czekał na satelitarne połączenie z generałem Waddellem.

Po upływie dwóch godzin wozy strażackie z Fort Gillem zostały wpuszczone na pogorzelnisko. Dało to grupie chemicznej wystarczająco dużo czasu, by dokonać sprawdzenia składu atmosfery w otoczeniu miejsca pożaru. DRMO przestało istnieć. Jedyną pozostałością po nim było ogrodzenie. Zarośla i drzewa na tyłach budynków zajęły się ogniem, który szybko przesuwał się w stronę pozostałej części bazy. Przytomni strażacy wznieśli drugi pożar, by uniemożliwić rozprzestrzenienie się ognia. Po budynkach pozostały tylko prostokątne zarysy i wciąż rozżarzony popiół. Częściowo stopiona machina przerobowa przypominała wielką skamienielinę.

Helikopter, zapewne jednej z lokalnych stacji telewizyjnych, krążył nad ich głowami. Dowódca Fort Gillem przygotował już profesjonalną grupę, która poradzi sobie ze wścibskimi mediami. Carrothers był w stanie wyobrazić sobie, co powiedzą: rzeczywiście, wybuchł poważny pożar, ale miejscowej społeczności nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Wojskowe służby dochodzeniowe zajmą

201

się ustaleniem przyczyn wypadku. Pierwsze ustalenia będą dostępne za kilka tygodni. Nie, nie uległy zniszczeniu żadne naprawdę wartościowe rzeczy. Spłonęły tylko magazyny ze zbędnymi dobrami wojskowymi. Nikt nie ucierpiał. Pracownicy dostali po dwa dni urlopu, oczywiście płatnego, podczas których ustalony zostanie ich status. Bla, bla, bla. Oby czekająca go rozmowa była równie banalna.

Niestety, nie wykryto najmniejszego śladu po zniszczeniu broni.

- Panie generale, mamy połączenie - zakomunikował technik.
- Przełączcie nas na głośnik, żołnierzu, i wyjdźcie.
- Tak jest. Przełączam.

Rozległ się pisk przesterowania, ale zaraz został

automatycznie zniwelowany.

- Tu centrum dowodzenia armii, połączenie z generałem Carrothersem - dobiegło z głośnika. Operator wstał i wyszedł.

- Mówi generał Carrothers. Połączenie kodowane.

— Proszę czekać, sir.

- Tu Waddell. Generale, jest pan tam?

- Tak jest, panie generale.

Carrothers zwrócił uwagę na oficjalny sposób, w jaki zwracał się do niego przełożony

- Bardzo dobrze. Co się dzieje z DRMO?

• Doszczętnie zniszczone. Ogień praktycznie nie wydostał się poza ogrodzenie. Badania zostały przeprowadzone, ale nie przyniosły spodziewanego efektu.

- Nic? Nawet śladu?

-Niestety. To miejsce zamieniło się w istne piekło, panie generale. Nie moż-

na wykluczyć, że mimo spalenia cylindra nie ma po nim żadnych śladów. Ale

istnieje inna możliwość, która znacznie bardziej mnie martwi.

- Rozumiem, że pojemnika wcale tam nie było. Czy media zainteresowały

Się już pożarem?

- Oczywiście. Nasz zespół prasowy przygotowuje dla nich materiały. Panie generale, chodzi o coś innego. Nie byliśmy jedynymi tej nocy w DRMO.

Zapadło milczenie.

- Nie wydaje mi się, żebym chciał to słyszeć - rzekł wreszcie Waddell.

- Na pewno się pan mocno zdenerwuje, panie generale.

Podczas niszczenia placówki schwytaliśmy dziesięciu agentów FBI.

- Co? Czyja dobrze słyszę?

Carrothers westchnął ciężko.

- Wygląda na to, że Federalne Biuro Śledcze prowadziło działania operacyjne, i to już od kilku lat. Dowodzący, to agent specjalny Frank Tangent. Kieruje

w Waszyngtonie komórką, która płaci złodziejom w wielu placówkach DRMO

na terenie całego kraju za komponenty wojskowe, przede wszystkim za elektroni-

kę i oprogramowanie. Ich laboratorium modyfikowało ten sprzęt tak, by nie dzia-

łał do końca prawidłowo, a później zdobycze były sprzedawane poważnym handlarzom broni w Waszyngtonie i Nowym Jorku.

- Słucham?

202

- Zgadza się. Mocno zaangażowali się w tę działalność. Ich celem było stworzenie bazy danych, dotyczącej międzynarodowego rynku broni i dzięki temu

schwytanie najważniejszych dealerów. Do tego potrzeba jednak prawdziwego

towaru z DRMO, by się uwiarygodnić.

- W porządku. Ale dlaczego Atlanta?

- Bo pracuje tu jeden z ich ulubionych złodziei - Wendell Carson, menadżer miejscowego DRMO. Wygląda na to, że pan Carson jakiś czas temu skontaktował się z Tangentem i zaproponował sprzedaż czegoś, co wyglądało na broń chemiczną.
  - Wielki Boże! I nie poinformowali nas o tym?
  - Nie, nie poinformowali. Tangent oświadczył, że początkowo nie uwierzyli facetowi. To była długa noc poprzedzona kilkoma nieprzyjemnymi dniami, więc kiedy przyłapałem Tangenta i jego wespół, nie miałem zbytniej ochoty na tego rodzaju podchody. Zagroziłem, że moi żandarmi wyślą go tam, skąd go wyciągnęliśmy i wówczas przestał kombinować.
    - 1 co powiedział?
    - Żebył zainteresowany, jak to określił, „podjęciem prywatnej współpracy”. Zamierzał przyjechać na miejsce, kupić cylinder za sto tysięcy dolarów przykrywających dziewięćset tysięcy fałszywych, a później dopaść Carsona. Planował wykorzystać media do wykazania, jakie spektakularne sukcesy odnosi FBI. Wygląda na to, że szefostwo Biura bardzo naciska pracowników, by poprawili wizerunek ich agencji, szczególnie w obliczu ciągłego jej oczerniania. Waddell głośno jęknął.
      - Wojsko natomiast wyszłoby na ogromnych dupkowi bo to ono zgubiło pojemnik z bronią chemiczną.
        - Wydaje mi się, że to akurat nie miało większego znaczenia dla Tangenta. Według mnie, jego szefowie mogli nic nie wiedzieć o tej operacji.
          - Chryste. A gdzie w tym wszystkim jest miejsce tego faceta z DCIS? - za- pytał Waddell. -
  - Przez przypadek natknął się na to, co robił Carson. Tangent spanikował i obawiając się, że Stafford gQ zdemaskuje, spróbował skierować podejrzenia właśnie na niego preparując donos. Zamierzał zdyskredytować Stafforda i skłonić ich centralę, by ściągnęła go do siebie. Oczywiście zarówno Biuro, jak i DCIS nie miały pojęcia, że zamierzamy spalić DRMO. Aha, tej nocy FBI straciło jedno go ze swoich ludzi.
    - Wjaki sposób? Podobno nieprzytomny znalazł się na pasie transportowym, gdy już zamierzali aresztować Carsona. Podajnik przeniósł go do maszyny przerobowej, a ta potraktowała go tak samo, jak wszystkie niszczone przedmioty. Mamy tu agentów, którzy wciąż znajdują się w głębokim szoku, ponieważ patrzyli na tę mabryczną scenę.
      - Mój Boże! szepnął Waddell.
      - Niestety. Ich akcja zakończyła się kompletnym

niepowodzeniem. Najgorszą wiadomością jednak jest to, że Carson prawdopodobnie zbiegł z cylindrem.

203

Dwaj żandarmi usiłowali zatrzymać mężczyznę uciekającego przez dziurę w ścianie w momencie, gdy zawalił się ostatni z budynków. Zaczęli strzelać, ale widać spuścili. Facet zbiegł.

- Miał przy sobie pojemnik? To na pewno Carson?
- Nie jestem w stanie odpowiedzieć na żadne z tych pytań, panie generale.

Tangent oświadczył, że przekazał już pieniądze. Mieli odebrać pojemnik, akurat gdy się tam zjawiliśmy. Później rozszalało się istne piekło. Sprawy tak się pogmatwały, że nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Tyle tylko, że mamy tu desperowanego faceta, który być może ucieka teraz z Okiem Szatana pod pachą.

- Wielki Boże! - ponownie jęknął Waddell.

Carrothers nigdy wcześniej nie słyszał, by szefowi zabrakło słów. To bardzo zły znak.

- Gdzie jest teraz Tangent? - zapytał wreszcie dowódca wojsk chemicznych.

• Tutaj, w Fort Gillem, razem ze swoimi ludźmi. Udostępniłem mu łącze satelitarne, aby skontaktował się ze swoją centralą. Jeżeli tamci rzeczywiście nic nie wiedzą o jego akcji, to będzie bardzo ciekawa rozmowa. W każdym razie panie generale, uważajcie na czas, by sprawą zajęły się „słonie”. Jeżeli teraz mamy nad nią zapanować, moja jedna gwiazdka zdecydowanie do tego nie wystarczy.

• Tak, ma pan rację. Na pewno nam się to uda. Natychmiast skontaktuję się z generałem Romanem i z Biurem. Na szczęście im w tym samym stopniu będzie zależało na opanowaniu kryzysu, i znalezieniu Carsona. Dopilnuj wszystkiego w Fort Gillem i na razie nie zwijaj swojego centrum dowodzenia. Jeszcze się odezwiemy. Boże! Lee, to chyba najpoważniejsza wpadka, jaką widziałem w ciągu trzydziestu pięciu lat służby.

- Zrozumiałem, panie generale! Bez odbioru.

### **Wtorek, Graniteville, Georgia, 7.15**

Głośnie dzwonek telefonu obudził Stafforda. Zupełnie dezorientowany usiadł na łóżku i odruchowo sięgnął po telefon,

- Tak? - wydobył z siebie.

O czym śnił? Coś o wodospadzie, i o Gwen. Jesteś żaloszny - pomyślał przecierając powieki.

- Mówi John Lee Warren. Widział pan już dzisiejsze

wiadomości?

- Nie, szeryfie. Dopiero się obudziłem.
- Powinien pan to zobaczyć. NBC z Atlanty znajduje się na kanale 41. Byłbym wdzięczny, gdybyśmy spotkali się na śniadaniu. Co pan powie na ósmą pięćnaście?

Dave jeszcze raz popatrzył na zegarek.

- Tak, dobrze, szeryfie. Proszę tylko pozwolić, aby moje serce znowu zaczęło pracować.
- Niech pan włączy telewizor. To wystarczy.

204

Stafford odłożył słuchawkę i rozglądał się za pilotem od telewizora. Po chwili go znalazł i włączył 41 kanał. Ujęcia z helikoptera pokazywały DRMO w Fort Gillem. Pogłodził i słuchał komentatora opisującego potężny pożar na terenie bazy wojskowej, położonej na południowy-wschód od Atlanty. W jego wyniku doszczętnemu zniszczeniu uległo Biuro Utylizacji i Marketingu Departamentu Obrony. Kompletne zniszczenie potwierdzały zdjęcia, na których widać było tylko zgliszcza i popioły. Widok przeniósł się przed główną bramę fortu, gdzie zorganizowano konferencję prasową. Wokół aż roiło się od żandarmerii. Na podium stał w polowym mundurze wysoki generał brygady o sokolich rysach twarzy. Na ekranie pojawił się podpis: generał brygady Lee Carrothers - dowództwo armii z Waszyngtonu. Wojskowy zapewniał cały świat, że nikt nie ucierpiał, a zniszczeniu uległy tylko magazyny mieszczące nadmiarowe zasoby wojska, z których większość i tak była przeznaczona do zniszczenia.

Tak, na pewno - przebiegło Staffordowi przez głowę. A dlaczego to nie powiedział pan reporterom, że reprezentuje wojska chemiczne?

Generał oświadczył, iż według wstępnych ustaleń nie można wykluczyć nieprawidłowego funkcjonowania linii przerobowej, gdzie mógł nastąpić zapłon produktów odpadowych. Tak poważne zniszczenia mogą znacznie utrudnić ustalenie przyczyn pożaru, a pierwszych szczegółów można się spodziewać za kilka tygodni. Dalej wreszcie coś ciekawego: na pomoc wezwane zostało FBI, by zlokalizować szefa DRMO - Wendella Carsona. Poszukiwano go w związku z koniecznością uzyskania wyjaśnień na temat niewykluczonego naruszenia przepisów bezpieczeństwa oraz oszustw podczas aukcji, wykrytych ostatnio przez Dochodzeniowe Służby Kryminalne Departamentu Obrony.

Dave wyprostował się odruchowo słysząc tę informację. Nie nastąpiły jednak żadne dalsze wyjaśnienia. Żwawy pułkownik zastąpił generała

pijsy odpowiada-

niu na pytania, lecz nikt nie poruszył już sprawy Carsona.

Stafford wyłączył telewizor i przeszedł do łazienki. Stojąc pod prysznicem

zastanawiał się nad przyczynami pożaru. Ogień wybuchł w nocy, a jednak na miej-

scu był już generał brygady. Ten sam, z którym rozmawiał ubiegłego popołudnia.

I niemal na pewno ten sam, który zjawił się w bunkrze w Anniston i zmusił go do

poddania się badaniu za pomocą wykrywacza kłamstw. Skojarzył, że to samo

wojsko podpaliło DRMO. A teraz szukali Carsona, opierając się na materiałach

dochodzeniowych z DCIS? Bardzo ciekawe. Uświadomił sobie nagle prawdziwe

zagrożenie dla Gwen i Jessamine: Carson na wolności, zdesperowany i gotowy

na wszystko.,

### **Wtorek, motel Quality Rrst, autostrada międzystanowa numer 85,8.30**

Carson wyrwany ze snu podskoczył gwałtownie i otworzył oczy. Leżał na

bolcu kompletnie ubrany. Nagle ogarnęła go panika. Coś złego i groźnego go obu-

dziło. Oddech miał przyspieszony, a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Spu-

ścił nogi z łóżka i spróbował usiąść, ale trudny do zniesienia ból pleców sprawił,

205

że zabrakło mu tchu. Przez szparę w zasłonach do pokoju sączyło się jasne świa-

tło, a za drzwiami słyszał dźwięki wózka prowadzonego przez sprzątaczkę. Po-

patrzył na zegarek i stwierdził, że jest wpół do dziewiątej. Plecy bolały go znacz-

nie bardziej niż poprzedniego dnia.

Kilka minut męczył się ze zdjęciem koszuli, która pękła w kilku miejscach.

Z resztą ubrania poszło już lepiej. Wszedł pod prysznic i stopniowo zwiększał

ciepłotę wody, aż z trudem Wytrzymał gorąco. Ostrożnie obmył ranę namydlo-

nymi rękoma, a później ręcznikiem. Wszystko robił na wycucie, a wzrok miał

utkwiony w strugach wody zabarwionej krwią na różowo. Zakręcił gorącą wodę

i przez chwilę stał jeszcze pod zimną, mając nadzieję, że to uchroni go przed

obrzękiem i przyspieszy gojenie. Wyszedł z kabiny i przyjrzał się postrzałowi

w lustrze, stwierdzając, że wygląda gorzej niż wczoraj, przede wszystkim z po-

wodu zaczerwienienia.

Trzeba się zbierać - uznał, choć po chwili dotarło do niego, że nie ma pojęcia

gdzie się udać. Nie wiedział też, kto może go już szukać.

Przyłożywszy ręcznik

do rany, przeszedł do pokoju i sięgnął po pilota od telewizora. Zmieniał kanały, wypatrując wszystkiego, co traktowało o pożarach. Wreszcie natrafił na doniesienia z Atlanty. Przyglądał się ujęciom z helikoptera, które pozwalały poznać ogromną skalę zniszczeń, a później konferencji prasowej prowadzonej przez jakiegoś generała, który wygadywał same bzdury na temat przyczyn wybuchu ognia. Usłyszał też krótką informację na swój temat, FBI oraz DOS.

W chwili, gdy usiadł na łóżku, sparaliżował go strach. FBI. Nie tylko oni będą go szukać. Poszukiwania rozpocznie każda agencja na terenie stanu. Może nawet całego kraju. Naruszenie przepisów bezpieczeństwa i procedur aukcyjnych? Doniesienia DCIS? Bzdury! Oni wiedzieli. Cokolwiek powiedział wojsku i FBI Tangent, to ten pieprzony Stafford musiał go sypnąć. Jego kontrahent ratował tylko swój tyłek, ale Stafford wbił właśnie ostatni gwóźdź do własnej trumny.

Ogarnęła go wściekłość. Nie mógł jednak pozwolić, by go zaślepiła i uniemożliwiła logiczne myślenie. Nie było sensu wyjeżdżać na autostradę, nawetza-kamufiowanym pikapem, dopóki nie postanowi dokąd i po co jechać.

Z wilgotnym, wciąż przyciśniętym do pleców ręcznikiem wrócił do łazienki i ogolił się. Nieco go to uspokoiło. Trudno stwierdzić, czy ten śpiący facet z parkingu zauważył już podmianę tablic rejestracyjnych i brak reklam, ale prędzej czy później się zorientuje. Będzie to wskazówka, że Carson jechał autostradą numer 85. W porządku, a więc teraz musiał zniknąć z międzystanówki. Przeliczył pieniądze w kieszeniach i stwierdził, że ma zaledwie nieco ponad sześć tysięcy dolarów. Zakładając, że setki nie były fałszywe, taka kwota wystarczy na przyczajenie się, na przykład w górach północnej Georgii.

Najpierw musiał zdobyć lekarstwa, a później rozsądnie pomyśleć. Teraz najważniejszy był fakt, iż wciąż znajdował się w posiadaniu cylindra. Oni nie mogli być tego absolutnie pewni, ale będą działać opierając się na takim właśnie założeniu. Znaczyło to, że dysponował potężnym argumentem. Wojsko desperacko chciało odzyskać pojemnik. Zależało im również na tym, by ich wpadka nie została dostrzeżona. To jednocześnie dobra i zła wiadomość - uznał ubierając się. Być

206

może będą gotowi do pertraktacji, ale równie dobrze mogli wydać rozkaz, by zabić go w imię likwidacji zagrożenia ze strony broni chemicznej. Najpierw le-

karstwa. Później będzie musiał znaleźć dobrą kryjówkę.  
Ponownie wykorzystał zakrwawiony ręcznik, jako tymczasowy opatrunek.  
Włożył wiatrówkę, zostawił klucz na łóżku i opuścił pokój. Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik, opierając się, by nie zajrzeć do skrzynki, gdzie umieścił cylinder. Opuścił parking i wyjechał na autostradę, mijając po drodze restaurację sieci Waffle House. Czuł głód, ale tu byłby zbyt dobrze widoczny. Jadłby sobie śniadanie, a w tym czasie patrol drogówki wpadłby na kawę. To przypomniało mu, że musi jak najszybciej pozbyć się tablic magnetycznych. Zatrzyma się gdzieś po drodze i kupi zieloną farbę w sprayu, którą zamaluje numery seryjne - pomyślał. Poza tym potrzebował samochodową lodówkę oraz lód. Cylinder był wyraźnie rozgrzany, co go coraz bardziej niepokoiło.  
Rozjazdy umożliwiały skierowanie się na autostradę biegnącą na osi północ-południe. Zatrzymał się na chwilę niezdecydowany. Jadąc na południe, wróciłby do trasy numer 20 i do obwodnicy Atlanty. Tam znajdzie mnóstwo ludzi i potencjalnych kryjówek, ale też i całą armię gliniarzy. Jadąc na północ dotrze do gór Georgii i Tennessee. Tam napotka mniej ludzi i mniej policjantów, ale w obcym środowisku bardziej się będzie rzucać w oczy. Wreszcie podjął decyzję: pojedzie na północ, wynajmie bungalów w górach i ukryje samochód. Skręcił w lewo, a po chwili, daleko na horyzoncie, pojawiły się góry. Za rozjazdami zobaczył tablicę informacyjną. Znajdowały się na niej nazwy trzech miejscowości: Dorey, Blairsville oraz Graniteville.  
Graniteville. Skąd znał to miejsce? Znalazł się już na obrzeżach Dorey i zobaczył centrum handlowe. Tam kupi prawdziwe bandaż, jakąś maść, środki przeciwbólowe i zieloną farbę, a także i lodówkę i lód. Oby nie zapomniał tej farby.

### **Wtorek, Waffle House, Graniteville, Georgia, 8.30**

Stafford znalazł szeryfa siedzącego przy swoim stoliku,  
- Widzę, że robi się gorąco - rzekł. Siadając postawił komputer na podłodze. - Powiniennem zatelefonować do Atlanty.  
Policjant jak zwykle pozostał spokojny. Pokiwał głową nie przerywając posiłku.  
- Jeśli pan chce, proszę skorzystać z mojego biura - oświadczył. Przyglądał się, przybyszowi, jakby na coś czekał.  
-W porządku - skapitulował Dave. - \*Ten pożar musi mieć powiązanie z Gaffy Sprawą. Według mnie niewykluczone, że wojsko własnoręcznie podpaliło

DRMO.

Wyjaśnił, co skłoniło go do takich przypuszczeń.

- O rany! Spalili rządową instytucję? Tak po prostu? '
- Nigdy nie wykurzał pan kogoś z gór przy użyciu ognia, szeryfie? Założę się, że tak było.

207

Gliniarz wzruszył ramionami.

- Może.
- No cóż, proszę popatrzeć na skalę problemu. Rzeczywiście to drastyczne posunięcie, ale mają wystarczająco dużą potęgę, by zatuszować sprawę. Mnie najbardziej interesuje gdzie teraz jest Carson. Powiedzieli, że i oni chcą go znaleźć.

Szeryf przytaknął ponownie.

- Zaczęli go szukać w całym stanie - powiedział. - W jego sprawie miałem już chyba z dziesięć faksów. Prawdopodobnie porusza się zielonym pikapem na rządowych numerach. Założmy, że Carson ma tę rzecz, cokolwiek to jest. Dokąd może pojechać? I co z tym zrobić?

- Nie wiem. Właśnie dlatego muszę zadzwonić. W przeciwnym razie będę tu siedział i biernie oczekiwał na rozwój wydarzeń. Jednym z tropów, którym podąży teraz armia, jest wyjaśnienie, skąd dowiedziałem się o ich zgubie.

Policjant dokończył śniadanie.

- Wojsko wie o Gwen, Jess i szkole? - zapytał.
- Nie, ale powiedziałem o tym swojemu szefowi. Podejrzewam, że armia powiadomiła FBI o jakichś bzdurach. Nie mogą zdradzić prawdy, więc wymyślili obcego agenta albo coś podobnego. FBI nie można zarzucić braku skrupulatności. Prędzej, czy później dotrą do Raya Sparksa. Możliwe, że już do tego doszło.

Lee badawczo przyjrzał się rozmówcy. Bez słowa wstał od stołu i opuścili lokal.

Biuro szeryfa mieściło się w budynku sądu okręgowego. Nie było duże. Znajdowało się tam biurko recepcyjne, korytarz prowadzący do cel i gabinet szeryfa okręgowego, do którego weszli, po czym Stafford podłączył swój notebook do gniazdka telefonicznego.

- Przełączę rozmowę na głośnik - oświadczył. - Powinien pan ją słyszeć.

Policjant kiwnął głową i przeszedł za biurko.

- Dochodzeniowe Służby Kryminalne Departamentu Obrony. Połączenie kodowane. Słucham?

- Panno Smith, mówi David Stafford, czy...
- Och! Tak, chwileczkę, panie Stafford.

• Czyżby mieli ochotę z panem mówić? - zapytał niewinnie szeryf.

Dave w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko.

• Założę się, że już starają się ustalić skąd dzwonię.

W głośniku rozległ się ostry głos Sparksa:

-Niech cię cholera, Dave! Dlaczego nie przyjechałeś? Gdzie jesteś, do dia-  
bła?

• Tobie też mówię dzień dobry, Ray. Jestem w biurze szeryfa okręgowego w Graniteville. To John Lee Warren i jest tuż obok mnie. Słyszałem, że w nocy mieliście w Atlancie pożar.

• Czekaj chwilę. Nigdzie się stamtąd nie ruszaj, słyszysz?

- Czekam, Ray.

Policjant odchylił się w fotelu i napił się kawy.

• Facet wygląda na wkurzonego - zauważył.

• Dave, jesteś tam? - rozległo się po chwili z głośnika,

-Jestem, Ray.

Sparks sprawiał wrażenie już nieco spokojniejszego.

• Musiałem zamknąć drzwi. Chryste! To była okropna noc. Od pierwszej miałem na głowie wojsko, FBI, policję z Atlanty i nasze szefostwo. Rozumiem, że słyszałeś już o DRMO?

• Tak, widziałem we wiadomościach jak to wygląda. Ale co się stało?

• To wielka tajemnica. Armia szczelnie obstawiła cały teren i nikt nie puszcza pary z gęby. Myślałem, że wrócisz wczoraj. Chyba nie masz nic wspólnego z tym pożarem, co?

• Nie. Przez cały czas byłem tutaj, w Graniteville. Słowo skauta. I wiesz co, postanowiłem tu zostać, żeby chronić swojego tajnego informatora.

• Centrala ma odmienne zdanie, Dave. Chcą...

• Ray? - Stafford nie dał mu dojść do słowa.

• Nie przerywaj mi, Dave, bo...

• Ray. Uspokój się na chwilę. Postanowiłem złożyć dymisję. I to natychmiast

Technicznie jesteś moim bezpośrednim przełożonym, więc składam ją na twoje rejce.

Przez chwilę na linii panowała cisza.

• Cholera! - szepnął tylko Sparks.

• Jednym z powodów tej decyzji jest chęć pozostania w Graniteville, żebym mógł zapewnić bezpieczeństwo ludziom, którzy potrzebują mojej opieki. Wiesz o kim mówię, Ray?

Szef regionalnej placówki DCIS musiał się nad tym zastanowić.

• Aha. Tak, ona. Cóż, wojsko ściągnęło na miejsce generała brygady, a towarzyszy mu wysoki funkcjonariusz FBI z Atlanty. Ich współpraca jest dosyć dziwna. Obaj bardzo chcą z tobą rozmawiać. Wygląda na to, że ten Carson zniknął, a ty wiesz coś na jego temat.

• Nie, nie wiem. Wiem jednak dlaczego tak bardzo interesuje

ich ten czło-

wiek. A z tym wojskowym już raz się spotkałem - w Anniston.

- Toten?

- Tak sądzę. Poznałem go po głosie.

- Mówiłeś z nim jeszcze później? Z tym samym, który do mnie dzwonił?

- Tak, Ray. Mówiłem. Ktoś musiał zwrócić ich uwagę na Carsona, zanim

będzie za późno. Poza tym, skoro wysmarowano na mnie taki donos... Wydaje mi

się, że zainteresowali się Carsonem, ale im zwał. Teraz jest na wolności z bronią,

która wcale nie wymknęła się spod kontroli wojska.

Głos Sparksa stał się bardziej cichy, jakby pilnował, by nikt go nie podsłuchał.

• W porządku, coś w tym jest. Uważasz, że ma to przy sobie?

• Tak. Ta broń jest największą i najcenniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek ukradł.

Nie odwiedziliby cię, gdyby znaleźli po niej ślady w zgliszczach.

209

• Posłuchaj, nikt nie chce pisać nawet słowa o tym pożarze.

Jak dotąd, wiem

tylko to, co ty mi mówisz i pewnie dlatego tak im zależy na

osobistym spotkaniu

się z tobą. A to oznacza, że albo wrócisz do Atlanty, albo będę musiał im powie-

dzieć, że jesteś w Graniteville.

• Ray, co im zdradziłeś na temat mojego źródła? - zapytał Stafford.

• Nic. Jeszcze nic. Tylko tyle, że pozyskałeś informatora i że wycofałeś się

z całego zamieszania. Posłuchaj, Dave. Pułkownik rozkazał mi skontaktować z tobą

tamtych ludzi. Jeśli chcesz zapewnić ochronę komuś w

Graniteville, wydaje mi

się, że lepiej to zrobisz będąc tutaj.

• Ja już dla niego nie pracuję, pamiętasz? Poza tym gdybym wrócił do Atlanty,

czy możesz mi zagwarantować, że po udzieleniu wyjaśnień będę mógł odejść wolno?

Sparks nie odpowiedział. Stafford popatrzył na szeryfa, który spojrzeniem

zakomunikował: ma pan swoją odpowiedź.

• Posłuchaj, Ray. Bardziej martwi mnie teraz, co zrobi Carson, niż tamci

faceci, którzy chcą ze mną rozmawiać.

• Dlaczego? Czy myślisz, że może się u ciebie zjawić? W Graniteville? Skąd

miałby się tam znaleźć?

• Dopóki wojsko nie przyzna się do przyczyn kryzysu, Carson ma duże pole

manewru. Chyba, że ktoś jeszcze o tym wie. I rzeczywiście tak jest.

• Aha, mówisz o niej. Jak wpadnie na to, żeby przyjechać do Graniteville?

• Sam mu powiedziałem pierwszego dnia pobytu w Atlancie, skąd pochodzi

kobieta i dziewczyna. Było to zanim jeszcze mogłem sobie wyobrazić, co się zda-

rzy. Być może do tej pory tego nie skojarzył. Jeżeli jednak znalazł związek, chcę

być tutaj, a nie w pokoju przesłuchań centrali FBI.  
Sparks znów zwlekał chwilę, nim przemówił.  
- Do diabła, sam nie wiem co robić - przyznał z westchnieniem. - Wiem tylko, że przedstawiciele wojska i FBI czekają właśnie przed moim biurem. I nie mają zamiaru spasować w twojej sprawie.  
Stafford milczał.  
-Dave?  
• Słucham, Ray?  
• Nie daj esz mi żadnego wyboru. Jeśli się nie zjawisz, będą musiał im powiedzieć wszystko, co wiem. A wtedy być może zdecydują się przyjechać do Graniteville. Cała zgraja ludzi zachowujących się jak dupki.  
Szeryf odruchowo pochylił się nad biurkiem.  
• Panie Sparks, mówi John Lee Warren - szeryf okręgu Longstreet. Nie traktujemy tu miło żadnych dupków. I nie obchodzi nas, skąd pochodzą.  
• No cóż, w imieniu władz pragnę pana przeprosić za to całe piekło. To nie są moi ludzie. Przywykli jednak do wypychania się gdziekolwiek tylko zechcą. Skoro zechcą zjawić się w Graniteville, to przyjadą nikogo nie pytając o zdanie.  
• Nie wątpię, że mogą się zjawić w Graniteville, panie Sparks. Chodzi tylko o to, czy w jednym kawałku stąd wyjadą.  
• Obawiam się, że nie będą się zbytnio przejmować takimi groźbami, szeryfie. Jeśli chodzi o tego generała przed moim gabinetem, to facet, który pójdzie na

210  
całość. A razem z nim będą ludzie z Biura. Nie chce pan chyba z nimi zadzierać?  
Jeśli zechcą przyjechać do tej szkoły i zobaczyć się z kim chcą, to obawiam się, że tak zrobią, szeryfie.  
Policjant wyprostował się w siedzeniu i popatrzył na komputer w taki sposób, jakby chciał go zgruchotać uderzeniem pięści.  
- Panie Sparks - przemówił z godnością - mnóstwo hałaśliwych mieszczuchów przyjeżdżało w nasze góry, a pośród nich byli także federalni. Proszę oznajmić swoim przyjaciołom, że jeżeli po chamsku będą wtykać nos tam, gdzie ich nie chcą i naruszać spokój ludzi strasząc, to przewieziemy ich ciężarówkami z kamieniołomów, ociosamy ich aroganckie łby i wreszcie wrzucimy do wilczych dołów na granicy z Karoliną, słyszy pan? Może pan im przekazać, moje stanowisko.  
Inspektor dochodzeniowy pochylił się, by przerwać połączenie.  
- Chyba muszę się do ciebie wybrać, Ray. Powiedz tym ludziom, żeby skoncentrowali się na odnalezieniu Carsona. On, nie ja, jest w posiadaniu tego, czego poszukują. Nie mam też pojęcia gdzie jest i co zamierza zrobić. Poza tym formalnie i

definitywnie wyszedłem z gry.

Rozłączył się, zanim Sparks zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

- Wilcze doły? - zdziwił się.

Szeryf wzruszył ramionami uśmiechając się lekko.

- Musimy dostarczyć turystom jakichś wspomnień. Chcą usłyszeć takie bzdury.

W przeciwnym razie pamiętają tylko biedę i bezrobocie. To górską ciekawostką.

Dave uśmiechnął się szeroko.

- Wilcze doły. Bardzo mi się to podoba. Założę się, że wszyscy, którzy będą

się tu wybierać, nasłuchają się o nich przed przyjazdem. - Nagle spoważniał. -

Wreszcie jednak przyjadą. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda? Musimy ja-

koś ochronić Gwen i dzieci. Jeżeli wojsko będzie współpracować z FBI, będą się

zachowywać jak banda zbirów.

Policjant rozprostował palce, po czym zaczął naciskać kostki\* które głośno

strzelały. Miał silne dłonie, o delikatnej i jasnej skórze.

• Czy Sparks powie im o Jessamine? - zapytał.

• Sam pan słyszał. Ray Sparks to dobry człowiek, ale jest częścią systemu

i nie sprzeniewierzy mu się, szczególnie gdy w grę wchodzi jego tyłek i pensja.

A tak właśnie jest teraz.

Stróż prawa przytaknął.

- Musimy więc ostrzec Gwen uznał. Podniósł się. - Teraz pozna pan korzy-

ści płynące z życia na skraju federalnego parku narodowego.

### **Wtorek, Biuro Regionalne DCIS, Smyrna, Georgia, 9.45**

Panna Smith wprowadziła Carrothersa i agenta specjalnego Hermanna Kie-

slinga, do biura Sparksa. Szef placówki zaproponował kawę, której nie odmówił

żaden z gości.

211

Generał przez całą noc nie zmrużył oka. Był w stanie funkcjonować już tylko

dzięki kofeinie. Pełna świadomość przychodziła tymczasowo, po każdym kubku

kawy, a później nie zasypiał z powodu dolegliwości żołądkowej.

Agent Kiesling,

pracujący w biurze regionalnym w Atlancie, został przydzielony do tego zadania

o 6.30 przez wicedyrektora FBI. Był wysokim, potężnie

zbudowanym, rudowłó-

sym mężczyzną o rumianej cerze. Carrothers był gotów się

założyć, że za jego

plecami nazywano go Hermannem. I to tak, żeby tego nie słyszał.

• Co pan dla nas ma, panie Sparks? - zapytał znużonym włosem wojskowy.

• Właśnie rozmawiałem ze Staffordem. Zadzwonił do mnie i...

- zaczął pra-

cownik DCIS.

• Gdzie jest? - przerwał mu Kiesling.

Dowiedziawszy się, że jeden z agentów zginął w maszynie

przerobowej, czuł,

że ma przed sobą prawdziwą misję do wykonania.

• Jest w niewielkim miasteczku północnej Georgii - w Graniteville. Zatelefonował do mnie z biura szeryfa. Ma komputer z urządzeniem kodującym, więc połączenie było zabezpieczone, ale w naszej rozmowie uczestniczył szeryf.

• Pomaga mu lokalny wymiar prawa? - Kiesling zapytał tak, jakby Stafford był zbiegiem.

• Szczerze mówiąc, z tego, co wiem, nie zrobił nic złego - odparł Sparks, przyglądając się badawczo agentowi specjalnemu. - Nasza polityka zakłada współpracę z lokalnymi przedstawicielami prawa.

• A my oczekujemy kooperacji od innych agencji federalnych - warknął Kiesling. - Na przykład, by pracownik zjawiał się na wyraźny rozkaz przełożonego.

• Jest z tym mały problem. Wygląda na to, że pan Stafford właśnie złożył rezygnację.

Wiadomość nie zrobiła wrażenia na pracowniku FBI.

• Rozumiem. Proszę więc polecić temu szeryfowi, aby go aresztował i zatrzymał, skoro jest zwykłym cywilem.

• Za co ma go aresztować i na jakiej podstawie?

• Panowie, panowie - włączył się do rozmowy Carrothers. - Nie ma co wdać się w takie dyskusje. Jesteśmy tu po to, by znaleźć Carsona. To on jest!»

szym celem i proszę o tym nie zapominać. Czy pan Stafford wie, gdzie jest Carson, albo gdzie może być?

• Nie, nie ma o tym zielonego pojęcia.

• Dlaczego więc nie chce się z nami spotkać? Skąd biorą się te przepychanki?

• Zanim odpowiem, panie generale, proszę pozwolić mi zadać jedno pytanie.

Czy zginęła wam broń chemiczna?

W pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał. Carrothers zerknął na Kieslinga, nim przeniósł wzrok z powrotem na Sparksa. Musiał zdecydować ile może zdradzić, a jego umysł nie pracował tak sprawnie, jakby sobie tego życzył. Generał Waddell spotkał się w Waszyngtonie z wicedyrektorem FBI, by zadbać o koordynację działań politycznych, a później rozmawiał z Prokuratorem Generalnym i Sekretarzem Obrony. Departamenty Obrony i Sprawiedliwości zgodziły się na wy-

212

danie wspólnego oświadczenia, przeznaczonego dla lokalnego wymiaru sprawiedliwości: Carson był poszukiwany z powodu swej działalności wywiadowczej. Był obcym agentem przekazującym ważne materiały wojskowe jednemu z państw

bliskowschodnich. Czynił to za pośrednictwem rezydującego w Waszyngtonie handlarza bronią. Śmierć agenta Biura sprawiła, że poszukiwaniom nadano ogromny impet, nie przejmując się zbytnio wiarygodnością przykrywki. Kiesling - protegowany obecnego dyrektora FBI - był jedyną osobą z placówki w Atlancie, która poznała rzeczywisty powód jak najszybszego pojmania Carsona. Carrothers wiedział, że połączone siły właśnie teraz zebrały się w Departamencie Sprawiedliwości, by postanowić, czy zbieg powinien zostać uznany za uzbrojonego i niebezpiecznego. To stanowiłoby podstawę do ewentualnego uzasadnienia użycia broni podczas próby aresztowania. Generał Waddell wciąż mu przypominał, iż utrzymanie w tajemnicy kłopotów z bronią chemiczną jest równie ważne, jak samo jej odzyskanie. Po zdarzeniach w fort Gillem część decydentów liczyła na to, że pan Carson zginie w trakcie akcji i nie trafi do aresztu.

Zastępca wojsk chemicznych zauważył jednak trafnie, że wcale nie musi się to równać z odzyskaniem broni, która może być ukryta, a miejscowej lokalizacji trzeba będzie wydobyć od szefa DRMO. Co więc powinien powiedzieć Sparksowi?

- Jeżeli udzielę odpowiedzi na to pytanie - oświadczył - stanie się pan jedną z osób wtajemniczonych w sprawę, która zasługuje na miano kolosalnej wpadki. Czy naprawdę chce pan do nich dołączyć? Zamiast tego może pan podjąć z nami współpracę na zasadzie zaufania. Później, z ręką na sercu będzie pan mógł powiedzieć, że nie zdawał sobie sprawy w powagi sytuacji. Jestem pewien, że zostanie pan o to kiedyś zapytany.

Carrothers przyglądał się, jak gospodarz analizuje jego słowa. Teraz przekonamy się z kim mamy do czynienia, Sparks nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną,

- Co pan powie na rozmowę o zupełnie hipotetycznej sytuacji, panie generale? - odrzekł. - Jak na przykład są konsekwencje, oczywiście hipotetycznego, posiadania broni chemicznej przez osobę postronną?

Wojskowy odchylił się w fotelu. Doskonale wiedział, jak prowadzić taką grę.

- Mówi pan hipotetycznego, panie Sparks? No cóż, zależałoby to od stanu psychicznego, w jakim znajdowałaby się ta osoba. Kradnąc broń z zamiarem pozyskania za nią fortuny na międzynarodowym rynku broni, musiała się mocno zdenerwować, gdyby transakcja nie doszła do skutku. Lepiej nie myśleć, co mogłaby zrobić w podobnej sytuacji. Jeśli chce pan to usłyszeć, możemy nieco pofantazjować. Mogłaby na przykład zabrać tę broń do Atlanty, albo

tutaj, do pięk-  
nego Smyrna. Mogłaby wsiąść do jednego z pociągów szybkiej  
kolejki, otworzyć  
kilka okien, rozhermetyzować pojemnik i wsiąść na najbliższej  
stacji. Doprowa-  
dziłoby to do rozprzestrzenienia się owej substancji, rozumie pan?  
Nieco później  
mielibyśmy kilkaset tysięcy oszalałych ludzi, wylewających się z  
domów, samo-  
chodów i wszystkich tych wspaniałych biurowców. Każdy z nich  
miałby zamiast  
oczu galaretę, która spływałaby powoli po policzkach.  
Urwał na moment i obserwował zmiany na twarzy pracownika  
DCIS.

213

- Ich oczy zostałyby wyżarte aż do mózgu. Podczas prób  
umieszczenia gałek  
ocznych na swoim miejscu, czuli by, jak te przeciekają im przez  
palce. Mówię  
„czuli by”, bo przecież nie widzieliby, prawda? Część z nich,  
umarłaby z powodu  
doznanego szoku. Zdecydowana większość przeżyłaby. Ci,  
zatrudniliby całą ar\*-  
mię prawników, urządzającą polowanie na wszystkich  
przedstawicieli władzy  
wiedzących o owym hipotetycznym problemie i marnujących czas  
na pustych roz-  
mowach!

Teraz, kiedy generałowi udało się przyciągnąć uwagę  
Sparksa, przystąpił do  
natarcia:

- Pan Stafford jest zaangażowany w ów hipotetyczny  
problem od czasu, gdy  
i ja się z nim zetknąłem. Teraz w Fort Gillem doszło do  
poważnego pożaru, a je-  
den z agentów federalnych został zamieniony w krwawą miazgę.  
Stafford być może  
tego nie zrobił, ale wie, podobnie jak pan o sprawie znacznie  
więcej, niż powi-  
nien. Chcę więc, by zaczął pan od samego początku i powiedział  
wszystko, co on  
przekazał. Niczego nie wolno panu pominąć. Proszę nie zadawać  
żadnych głu-  
pich pytań i nie bawić się ze mną w kotka i myszkę! Słucham!

**Wtorek, motel Vernon Creek, autostrada numer 213,  
północna Georgia, 10.30**

Carson przyglądał się cylindrowi, który tkwił do połowy w  
lodzie białej, pla-  
stikowej lodówki, stojącej na środku wynajętego pokoju. Był już  
późny ranek,  
a słońce nad górami mocno przygrzewało. Miał lekki ból głowy,  
towarzyszący, na  
szczęście, niezbyt wysokiej gorączce. Górna część pleców była  
odrętwiała i jeśli  
się na niej nie opierał, ból nie był uciążliwy. Liczył, że krem  
antybakteryjny zaha-  
muje i zlikwiduje infekcję.

Po opuszczeniu centrum handlowego podążył na północ i dotarł do gór. Mi-  
jał kilka moteli i pensjonatów, aż wreszcie trafił na właściwy. Był  
położony w dłu-  
gim kanionie i nie rzucał się w oczy. Znajdowało się tu tylko  
dziesięć bungalow\*  
wów. Usytuowane były wzdłuż rozpadliny przecinającej  
kamieniste, porośnięte  
lasem zbocze. Brak widoku na okoliczne góry sprawiał, że bez  
trudu można było  
znaleźć wolne miejsca.

Klientów nie przyciągał także menadżer, a pewnie i właściciel  
w jednej oso-  
bie. Ten pokryty krostami, bez przerwy żujący tytoń staruch o  
zniszczonych zę-  
bach wciąż skarżył się na mieszkańców Florydy, których sporo  
przyjeżdżało w te  
Strony. Carson poprosił o ostatni bungalow w szeregu, tłumacząc  
to odizolowa-  
niem się od hałasu ulicznego. Przy rejestracji, niby przez  
przypadek pokazał wła-  
ścicielowi jedną paczkę banknotów, mając nadzieję, że w ten  
sposób odwróci  
jego uwagę od swojej twarzy i samochodu. Wyglądało na to, że  
jeszcze tylko  
jeden domek był zajęty.

W pokoju nie było telefonu ani telewizora, a najbliższy sklep  
znajdował się  
w Graniteville -jakieś dwanaście kilometrów górską drogą. W  
bungalowu znaj-  
dowała się kuchenka z jadalnią, pojedyncza sypialnia, salon i  
wychodząca na zbo-

214

cze mała weranda. Carson zapłacił z góry za trzy doby.  
Siedział teraz w pokoju ze  
zdjętą koszulą i ręcznikiem przyłożonym do posmarowanej  
kremem rany. Jego  
rewolwer leżał na stoliku, a on całą uwagę koncentrował na  
cylindrze, w którego  
gładkiej powierzchni odbijały się promienie słońca. Pojemnik  
wciąż był ciepły,  
ale na szczęście lód wyraźnie go ochłodził.

Wiele myślał od czasu, gdy się tu zamknął. Wojsko musiało  
już wiedzieć, że  
Wendell Carson usiłował sprzedać zdobytą broń chemiczną. Nie  
miał pojęcia,  
czy ten facet z zespołu Tangenta został pochłonięty przez  
Monstrum, ale tak na-  
prawdę nie zaprzętało mu to głowy. Władze też nie zmartwiłyby  
się z tego powo-  
du - jeszcze jeden złoczyńca, którego spotkał taki los, na jaki  
sobie zasłużył.  
Najważniejsze, że rozpoczęli już polowanie na pełną skalę. Nie  
mogli wiedzieć  
gdzie się udał, bo działał wiedziony impulsem. Uciekł z Atlanty i  
jak lis schronił  
się w pierwszej norze. Musiał także założyć, że brodac z  
furgonetki doniósł już  
o kradzieży tablicy rejestracyjnej i reklam. To ograniczy zasięg  
poszukiwań do  
obszaru północno-wschodniego wzdłuż autostrady 85. Mogli

przyjąć, że będzie  
niajechał aż do Północnej Karoliny, ale przecież drogówka i  
lokalna policja były  
w stanie zablokować podejrzane drogi.

Miał świadomość, że namierzenie go to tylko kwestia czasu,  
może nawet  
godzin. W górach także, jakiś policjant zjawiając się na parkingu  
zainteresuje  
jego samochodem. Wiedział też, że nie weźmie plecaka i nie  
wyruszy na szlak  
apalachijski. Nigdy nie nadawał się na skauta. Z drugiej strony  
nie mógł wrócić  
do normalnego życia, bo definitywnie zaniknął sobie drogę  
powrotu. FBI zadba  
o to, by cholerna izba skarbowa sprawdziła wszystkie jego  
rachunki bankowe,  
a policja federalna na pewno grasowała już po jego domu.  
Uśmiechnął się krzy-  
wo na myśl o Maude otoczonej zgrają gliniarzy. Niezłe da się im  
we znaki.

Spójrz prawdzie w oczy. To już koniec. Twój jedyny kupiec  
został areszto-  
wany i na pewno śpiewa jak z nut. Wszystkie pieniądze poszły z  
dymem, a cały  
świat szuka Wendella Carsona i tego cholernego pojemnika.

Jego myśli powędrowały ku Staffordowi, który pojawił się na  
scenie akurat  
w tym momencie, gdy on miał swoją życiową szansę w zasięgu  
ręki. Wrócił do  
znanej już sobie litanii: jak ten paskudny Stafford się dowiedział?  
Popatrzył na  
stalowy pojemnik. Umiał go nawet dokładnie opisać. Skąd, do  
diabła, to wszyst-  
ko wiedział? W jego umyśle zrodziła się nowa ewentualność:  
Tangent powie-  
dział, że Stafford został zesłany z Waszyngtonu. Czyżby był  
brudnym gliną? Może  
to Tangent opłacił go, by sprawdził, czy Carson rzeczywiście miał  
tę broń i rozej-  
rzał się dokładnie po DRMO, zanim miało dojść do transakcji?  
Obaj byli ze sto-  
licy, a przecież tam jeden opłacał drugiego. To niemożliwe. Był  
pewien, że nigdy  
nie powiedział Tangentowi jak wygląda zdobycz. Termin którego  
używał to: po-  
jemnik z bronią chemiczną.

Nie, Stafford był wolnym strzelcem. W jakiś sposób  
dowiedział się o broni,  
a później powiedział o tym wojsku, a nie Tangentowi. Zgadza się,  
bo przecież  
kontrahent poważnie brał pod uwagę wycofanie się z umowy,  
dowiedziawszy się,  
że armia zjawiała się na terenie placówki. Jego myśli wciąż wracały  
do Stafforda  
i tego, skąd wiedział o pojemniku i jego wyglądzie.

215

Jakie właściwie mam możliwości? Nie był w stanie tak po  
prostu pozbyć się  
cylindra. Nie wiedział, co dokładnie znajduje się w jego wnętrzu,  
ale wszystko  
wskazywało na to, że ma do czynienia z niezwykle niebezpieczną

substancją. Być może to właśnie pojemnik stanowił jedyną szansę wyplątania się z obecnej sytuacji. Może powinien skontaktować się z władzami. Zaproponować poddanie się i zwrot cylindra ale za co? Za skrócony wyrok? Powinien ukryć pojemnik, zarzucić umowę na piśmie i dopiero wtedy powiedzieć gdzie go znajdują. Jeśli zadzwoni, na dodatek korzystając z telefonu komórkowego, to będą w stanie go zlokalizować i wtedy dobiorą mu się do tyłka.

W pokoju robiło się coraz cieplej. Wstał, skrzywił się z powodu przeszywającego bólu i uchylił drzwi prowadzące na werandę. Nie uciekłem przecież z ich pieniędzmi, chociaż tak właśnie mogą przypuszczać - pomyślał z goryczą. Tak naprawdę bardziej obawiał się wojska niż FBI. Jeżeli armia dopadnie go wcześniej niż Biuro albo lokalna policja, mogą zdecydować się na równie drastyczne kroki jak w przypadku DRMO. Nie mógł wymazać z pamięci obrazu mężczyzny w kombinezonie i hełmie, na prawo i lewo rozrzucającego ładunki zapalające. Cała scena wstrząsnęła nim, aż do szpiku kości. Kierowanie tą placówką dużo dla niego znaczyło. Był dumny ze swojej pracy nawet mimo to, że przez całe lata ją okradał. A oni spalili cały kompleks bez zmruczenia oka, bazując tylko na założeniu, że gdzieś tam ukryty jest ich cylinder. Co z nim zrobią, jeśli złapią go w takim domku? Potwory o pomalowanych twarzach z liściami we włosach wpadną przez okna i z dzikimi okrzykami na ustach odetną mu głowę.

W pokoju było coraz jaśniej. Zapewne od tego światła wyraźnie nasilił się ból głowy. Gdzieś tam, na autostradach szukały go całe setki gliniarzy. Z Agencji Logistycznej Departamentu Obrony uzyskali jego aktualne zdjęcie. Zajrzą do każdego sklepu i restauracji, na każdy parking, stację benzynową i do każdego motelu. „Widział pan tego człowieka? Widział pan wojskowego, zielonego pika-pa?”. W końcu jakiś radiowóz zajedzie i do tej dziury. Może jeszcze nie tego ranka, ale zapewne w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. I co wtedy? Wyobraził sobie scenę, jaką setki razy widział w telewizji. Dziesiątki radiowozów ustawiają się wokół miejsca pobytu złoczyńcy. Cała okolica będzie rozświetlona błyskami kogutów, a tymczasem oddział specjalny zakradnie się do domku. Zabiją go, a dopiero później będą zadawać pytania. Szczególnie tutaj, na takim pustkowiu.

Miałby motywację do ukrywania się, gdyby udało mu się ujść

z pieniędzmi.  
Ale tak... Wiedział, że lepiej będzie zawrzeć układ, dopóki ma jeszcze karty w ręku. W głębi ducha marzył, by ten drań - Stafford znalazł się pod jego łufą. Nawet jeśli Tangent od początku planował go wykiwać, dałby sobie radę, gdyby tamten nie doniósł na niego wojsku.

Nagle przyszła myśl: może istnieje jakiś sposób, by dotrzeć do Stafforda. Na przykład skontaktuje się z federalnymi i zgodzi się zwrócić cylinder za łagodniejszy wyrok, ale przekaże go wyłącznie Staffordowi. A kiedy staną twarzą w twarzą to co wtedy? Zastrzeli go? Może dzięki temu poczuje się lepiej, ale nie poprawi to

216  
jego sytuacji. Załóżmy, że w jakiś sposób wplącze inspektora w kłopoty. Powie FBI, że Stafford dowiedział się o cylindrze i próbował podłączyć się do planowanej transakcji. Inspektor postawił warunek, że będzie dyskretny, gdy dostanie swoją działkę. To właśnie dlatego był na terenie DRMO podczas pierwszej wizyty wojskowego oddziału szybkiego reagowania. Dbał o własny interes. Wiedział jak wygląda cylinder, bo zmusił Carsona by mu to wyjawiał. Stafford był brudnym gliną. Z tego co mówił Tangent, pracownik DCIS miał już problemy we własnej agencji. A skoro miał wrogów, tym łatwiej będzie go zdyskredytować i wpędzić w kłopoty.

Menadżer przespacerował się po pokoju. Myślał usilnie wyczuwając, że jego plan ma wiele niedociągnięć. Telefon do gliniarzy... Czy to zadziała? Nie. Namierzają go i zjawiają się na miejscu. Obiektem ich zainteresowania był przede wszystkim cylinder. Wendell Carson był drugoplanowym celem.

Do głowy przyszedł mu lepszy pomysł: skontaktuj się ze Staffordem, a nie z federalnymi. Jemu powiedz, że przekażesz pojemnik w zamian za ustępstwa. A kiedy uwaga wszystkich skupi się na Staffordzie, dobierzesz *tak* się do tyłka. Powiesz tamtym, że to inspektor DCIS ma pieniądze. Właściwie nieważne co im powiesz, bo i tak są wkurzeni na Stafforda.

Tak, na Boga, to może się udać. Wendell Carson i tak przepadnie\* ale przy okazji pociągnie za sobą tego drania. To będzie dla niego nagroda. Co tam Tangent. I tak był po szyję zanurzony w bagnie. Zemsta na Staffordzie będzie słodka. Władze zaszczują tego gnojka do końca życia. A Ofl odsiedzi swoje w prawie komfortowych warunkach. Świetnie!

Najpierw musi ustalić gdzie jest Stafford. Wyszedł do samochodu, zabrał

walizkę i wyjął z niej notatnik z telefonami. Tak, miał tam numer do biura regionalnego DCIS w Smyrna. W domku nie było telefonu, a nie chciał korzystać z komórkowego ani ze znajdującego się w recepcji. Właściciel powiedział, że najbliższe miasteczko to Graniteville. Musiał zaryzykować użycie pikapa. Co prawda farba, którą zamalował numery, była trudna do zauważenia, ale nie tak łatwo zwiędł spostrzegawczego policjanta. Pojedzie do Graniteville, znajdzie automat telefoniczny, uda kogoś innego i zadzwoni do Smyrna. I co potem?

Usiadł. Cholera! Ból głowy nasilił się i zdecydowanie nie pomagał mu w planowaniu. Gdzie może być Stafford po tym pożarze? Prawdopodobnie właśnie w tamtym biurze. Należało się spodziewać zakrojonego na szeroką skalę dochodzenia, któremu towarzyszyć będzie spore zamieszanie. Co powinien zrobić? Ściągnąć go tutaj, w góry? Do tego podrzędного motelu? A może do najbliższego miasteczka - do Graniteville? Nic nie wiedział o tej miejscowości, poza brzmieniem, które mu znajomo nazwą. Czy Stafford przyjedzie sam? A może powie Carsonowi Wszystko, co ten chce usłyszeć, a później ściągnie ze sobą całą armię?

Przeszedł do łazienki i obmył twarz zimną wodą, chcąc się orzeźwić. Bandaż nieco go uwierał i czuł pod nim gorąco. Czas uciekał. Jeżeli ma podjąć jakieś działania, to lepiej natychmiast się za to zabrać, bo gdy zaskoczą go w tym miejscu, nie będzie miał już szans. Osuszył twarz, zamknął cylinder w lodówce i wyszedł do samochodu.

217

**Wtorek, Biuro Regionalne DCIS, Smyrna, Georgia, 11.30**

Carrothers z niedowierzaniem kręcił głową, kiedy Sparks skończył swą opowieść.

- Medium? Chce pan, żebym uwierzył, że osoba o zdolnościach paranormalnych opowiedziała Staffordowi o tym przedmiocie? W dodatku nastolatka, która nie mówi? Jezu Chryste!

Gospodarz uniósł ręce w geście poddania.

• Przecież pytał mnie pan o to, generale. Mówią tylko to, co sam usłyszałem. Jeśli wpadnie pan na inne wytłumaczenie tego, w jaki sposób Stafford dowiedział się o tej, jak sam pan mówi, hipotetycznej broni, jestem gotów natychmiast w nie uwierzyć. To wszystko, co mi powiedział. Dlatego właśnie Stafford jest teraz w Graniteville i nie może z panami rozmawiać.

• Dodatkowo jest w to wmieszana jakaś kobieta? - zapytał agent Kiesling.

- Kobieta, która prowadzi szkołę, sierociniec, czy jak to się tam nazywa. Nie wiem ile ona wie o sprawie, która was interesuje, ale podobno była tłumaczką w rozmowach Stafforda z tą dziewczyną.
- Gdzie dokładnie są?
- W miejscu noszącym nazwę Willow Grove. To dom grupowy połączony ze szkołą specjalną. Mówiąc prościej, to sierociniec.
- Czy tę kobietę i Stafforda łączy bliższa znajomość?
- Nie wiem. Jego żona odeszła w ubiegłym roku.

Niewykluczone, że są w zażyłych stosunkach, ale być może stara się ją tylko ochronić. Jest zapewne śmiertelnie przestraszona zorganizowanym przez władze polowaniem na czarownice i nagonką ze strony mediów. Ponadto Stafford obawia się, że Carson może podążyć jego tropem, bo w dzień przyjazdu zwrócił jego uwagę na Graniteville.

Carrothers zastanowił się nad tym.

- Medium. Nie powie mi pan teraz, że ta dziewczyna jest na kontrakcie w CIA?
- Tak, pamiętacie panowie tę żalną historię? - zapytał Kiesling. - Agencja wydała chyba trylion dolarów na pozyskanie osób o zdolnościach paranormalnych, które potrafiłyby czytać w umysłach szpiegów. Media i Kongres dobrały im się do tyłka, kiedy sprawa wyszła na jaw. Najedli się niezłego wstydu.
- Bo mieli się czego wstydzic - zauważył generał wstając, by ponownie napełnić kubek. - Media, wnikanie do czyjegoś umysłu, duchy... co za bzdury.

Agent FBI zaczął spacerować po gabinecie.

- Zdaję sobie sprawę, że nie wiem wszystkiego o sprawie, generale, ale por

wiem panu, co przychodzi mi do głowy. Otóż pan Stafford może być powodowany ukrytym motywem. Mówił pan, że Tangent wyłożył na stół milion dolarów w gotówce.

- Zaraz, zaraz, co to ma znaczyć? - wykrzyknął Sparks.
- Proszę się wstrzymać z protestami - rzekł Carrothers, wyczuwając dokąd zmierza Kiesling. - Słuchamy.

-Czekając na tę rozmowę wykonałem kilka telefonów. Moje źródła donoszą, że ten facet wylądował w Atlancie, bo znajduje się na czarnej liście we własnej

218

agencji... Bez obrazy, panie Sparks. Żona rzuciła go jakiś czas temu, jego kariera legła w gruzach, a ponadto stracił władzę w ręku. Za każdym razem, gdy podnosi głowę, widzi dno. I nagle okazuje się, że wie niezwykle dużo o pańskiej hipotecznej broni, generale. Najbardziej prawdopodobnym sposobem wejścia w posiadanie takiej wiedzy jest współpraca z samym Carsonem.

• Nie ma mowy - zaprotestował gwałtownie Sparks. - Dave Stafford to bar-  
dzo niezależny i niekonwencjonalny agent, ale nie jest skorumpowany. Gdyby  
był zaangażowany w takie rozgrywki, po co w ogóle mówiłby mi cokolwiek? Jest  
pan w stanie to wyjaśnić?

• Na wypadek, gdyby coś poszło nie po jego myśli. Ostrzegał siebie. To prze-  
cież zawodowiec. A my doskonale wiemy, jak dbać o własną ochronę i umiemy  
to robić.

Gospodarz posłał oponentowi nieprzyjemne spojrzenie.

• Poza tym - ciągnął agent FBI - proszę posłuchać, jak mogło to wyglądać.

Załóżmy, że dowiedział się o transakcji i postanowił się do niej podłączyć. Zmu-  
sił Carsona do odstąpienia mu części pieniędzy. Wpadłoby mu do kieszeni kilka-  
set tysięcy, gdyby wszystko poszło dobrze. W razie wpadki, zawsze mógłby po-  
wiedzieć, że ostrzegł pana, ale zrobił to w taki sposób, iż trudno mu uwierzyć  
w stu procentach. Nastolatka o zdolnościach paranormalnych, na miłość boską!

A teraz złożył dymisję? Jakie to dla niego wygodne.

• Większość tej sumy była fałszywa! - wykrzyknął Sparks. - Mówił pan...

• Daj spokój! - odparował ostro Kiesling i pochylił się nad biurkiem. - Za-  
den z nich o tym nie wiedział. To nie ma żadnego znaczenia. Jeden z naszych  
agentów zginął. Miał żonę i dzieci. A ja nie mogę nawet dostarczyć im ciała. Słu-  
cha mnie pan? Musimy wziąć z domu pogrzebowego urnę, żeby przynajmniej  
symbolicznie umieścić w niej popiół!

Pracownik DCIS chciał odpowiedzieć, ale wojskowy uniósł rękę, by go po-  
wstrzymać.

Stwierdził, że jego towarzysz posunął się zbyt daleko, insynuował. Poniekąd  
teoria Kieslinga miała sens. Może nawet większy, niż ta historyjka o medium.

Z drugiej strony jednak Stafford nie wyglądał na człowieka zdolnego do takiego  
SZachrajstwa, a doświadczenie nauczyło go, że może polegać na własnej ocenie  
ludzi.

- Spokojnie - powiedział. - Ochłońmy na chwilę. Na razie zawieśmy tę teo-  
rię. Wróćmy do odnalezienia Carsona i broni. Panie Kiesling, czy może pan spraw-  
dzić jak przebiegają poszukiwania?

Agent specjalny wziął głęboki oddech, opanował się nieco, posyłając ostre  
spojrzenie Sparksowi i wyszedł z biura. Gttrcthers zamknął za nim drzwi i zwró-  
cił się do gospodarza.

- Nie kupuję jego teorii - przyznał. - Miałem okazję poznać Stafforda i je-  
stem przekonany, że takie działanie nie byłoby w jego stylu.

Rozwścieczony Sparks z całym sił cisnął ołówkiem w ścianę.

- Zamierzałem zasugerować inny sposób, dzięki któremu Stafford mógł się dowiedzieć. Może został poinformowany o tym przez Tangenta.

219

Generał pokręcił w zamyśleniu głową.

• Marnujemy czas i energię na takie bezproduktywne dyskusje. Oczywiście Biuro i Departament Sprawiedliwości bardzo się starają, by odwrócić uwagę od wpadki ich człowieka, biorąc pod uwagę fakt, że doprowadziło to do śmierci jednego z agentów.

• Szukanie przykrywek staje się obecnie podstawową działalnością FBI. Pamiętam, że kiedyś byli najlepszymi z najlepszych. Generale, przyznaję, że David Stafford sprawia mnóstwo kłopotów i wpędził swoich przełożonych w tarapaty, ale tamci byli skorumpowani, a on nie. Po części czuję się winny, bo na wiadomość o tej dziewczynie zareagowałem dokładnie tak samo jak pan. A co, jeśli tamta nastolatka rzeczywiście ma niezwykle zdolności? Nie chcę wygadywać tu jakichś bzdur, ale policja od lat korzysta z pomocy ludzi o nadprzyrodzonych umiejętnościach. Do diabła, przecież to ktoś z FBI napisał książkę o tworzeniu wizerunku przestępców. Pomijając te bzdety o hipotetyczności sytuacji, wiem, że gdyby o mnie chodziło, przesłuchałbym tę dziewczynę i modlił się, aby rzeczywiście okazała się medium!

Carrothers w milczeniu pokiwał głową. Tak naprawdę miał bardzo zbieżną opinię. Kiesling niespodziewanie znalazł się w samym sercu kryzysu, ale najwyraźniej dbał tylko o interesy własnej agencji. Obaj mężczyźni przeszli do sali konferencyjnej, gdzie zespół FBI założył tymczasowy punkt dowodzenia. Jeden z agentów doniósł o zorganizowaniu przez lokalny wymiar sprawiedliwości wspierany przez wszystkie agencje federalne poszukiwań Carsona i jego wojskowego samochodu w całym stanie. Jak dotąd nikt nie widział poszukiwanego. Otrzymano tylko raport o kradzieży tablicy rejestracyjnej oraz przyczepianych reklam, do której doszło na parkingu przy autostradzie międzystanowej numer 85, na północny wschód od Atlanty. Składający doniesienie mężczyzna pamięta, że zatrzymywał się obok zielonego pikapa, nie widział jednak nikogo w środku, nim poszedł spać. Przybliżony termin zajścia potwierdzał uczestnictwo Carsona, który uciekł z Atlanty po pożarze w Fort Gillem.

Generał podszedł do mapy, gdzie pokazano mu miejsce położenia parkingu. Na wszystkich autostradach międzystanowych w Georgii

zorganizowano punkty kontrolne, a na granicach z Karoliną i Tennessee podwójne blokady. Policja lokalna w trzech sąsiednich stanach została ostrzeżona, a dodatkowa informacja o śmierci agenta federalnego sprawi, że sprawa nie zostanie zbagatelizowana. Carrothers długo studiował mapę. Georgia była znacznie większym stanem, niż mu się wydawało. Popatrzył na miejsce zajścia, oznaczone szpilką z czerwonym łebkiem. Taki obszar, a oni praktycznie nic nie wiedzieli. Nagle dostrzegł nazwę Graniteville i punkcik w pobliżu granicy z Karoliną, kilka centymetrów ponad czerwoną linią między stanówki. Czy to tam był teraz Stafford? - Graniteville - mruknął pod nosem. Zerknął na Sparksa. Pracownik DCIS rozmawiał ze swoją asystentką, która zjawiała się z całym plikiem wiadomości pochodzących z Waszyngtonu. Sparks zmarszczył tylko brwi i wszystkie kartki wcisnął do kieszeni. Kobieta zaczęła mu coś jeszcze mówić, ale niecierpliwie machnął ręką. Generał ponownie skupił uwagę na mapie.

220

Stafford jest w Graniteville. Skoro Carson wykorzystał skradzioną rejestrację i reklamy do zamaskowania swojego samochodu, mógł znajdować się w pobliżu tej miejscowości. Co ważniejsze, zapewne miał przy sobie pojemnik z Okiem Szatana. Carrothers miał ogromną ochotę zrobić coś więcej, niż tylko siedzieć tu i czekać. Może powinien pojechać do Graniteville i bezpośrednio porozmawiać ze Staffordem, a może nawet z tą dziewczyną. Nie mógł ufać FBI. Byli zbyt pochłonięci szukaniami Carsona, a szefostwu Biura zależało na odwróceniu od siebie uwagi i uniknięciu kłopotów. Właściwie mieli ochotę na zastrzelenie zbiega, co mogło wcale nie rozwiązać problemów armii.

Obejrzał się przez ramię na Kieslinga, który rozmawiał ze swoimi ludźmi. Już z samych min był w stanie odczytać zamiary: jeśli rzeczywiście znajdą Carsona i jeśli będzie stawiać jakikolwiek opór, to zabiją go bez zmruczenia oka.

- Panie Kiesling - przemówił. - Zamierzam wrócić do Fort Gillem, do jego centrum dowodzenia. Muszę sprawdzić postępy dochodzenia w sprawie pożaru w DRMO i zmniejszyć nieco zainteresowanie mediów tą sprawą. Proszę pozostać tu ze swoim zespołem, dopóki nie zdobędziemy dokładniejszych informacji o miejscu pobytu Carsona. Proszę skontaktować się ze mną, kiedy tylko czegoś się dowiedziecie.

- Tak jest. Wydaje mi się, że powinniśmy dobrać się do tyłka

Staffordowi.

- No cóż, wiemy przynajmniej gdzie jest. Jeżeli w przeciągu sześciu, ośmiu godzin nie osiągniemy żadnego postępu w sprawie Carsona, może sprawdzimy pańską teorię. Proszę nie zapominać jednak, że naszym celem jest szef DRMO.

Carrothers wyszedł, a Sparks skierował się do swojego gabinetu. Po drodze zatrzymała go panna Smith.

- Już wcześniej starałam się to panu przekazać - powiedziała. - Była wiadomość do pana Stafforda, od prawnika jego byłej żony. Powiedział, że sprawa zostanie wznowiona i potrzebne mu są jakieś dokumenty. Odpowiedziałam, że pan Stafford przebywa obecnie w Graniteville, w domu Willow Grove i przekazałam do niego telefon. Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic nieodpowiedniego.

Sparks roześmiał się głośno.

- Tego właśnie potrzeba Dave'owi: telefonu od cholernego adwokata byłej żony. Znienawidzi cię za to, Leslie.

Pokręcił głową, wycofał się do swego biura i zamknął drzwi.

### **Wtorek, dom Willow Grove, Graniteville, Georgia, 12.30**

Stafford czekał w gabinecie Gwen, podczas gdy John Lee długo rozmawiał z nią na werandzie. Jak na górski klimat, było wyjątkowo ciepło, ale w domu nie włączono jeszcze klimatyzacji. Szeryf chciał, by Gwen i Jessamine opuściły Willow Grove do czasu, aż Carson zostanie pochwycony, a sprawa broni ostatecznie się wyjaśni. Dave nie zorientował się tylko dokąd zamierzają się wybrać. Poza tym dyrektorka była wyraźnie niezadowolona z powodu pozostawienia tu mniejszych dzieci. Kiedy wszyscy przeszli na werandę, wycofał się taktownie, wyczu-

221

wając, że rozmowa może przerodzić się w kłótnię, dotyczącą nie tylko opuszczenia sierocińca.

Myślami wrócił do porannej decyzji. Dziwne, ale nie odczuwał odrobiny żalu.

Wiedział, że i tak nie uniknie reperkusji związanych z DRMO, ale miał przynajmniej nadzieję, że rezygnacja pomoże mu zejść z bezpośredniej linii ognia, kiedy z centrali DCIS wytoczone zostaną największe działa. Był gotów przyjąć zaproszenie Gwen do pozostania w jej domu. Burzyły jego plan nalegania Johna Lec, by ukryła się w jakimś bezpiecznym miejscu. Zastanowił się, czy szeryfowi rzeczywiście zależy na obronieniu Gwen, a jeśli już, to dokładnie przed czym i przed

kim.

Wstał i przespacerował się po niewielkim biurze, przyglądając się uważnie

zgrupowanym tu dyplomom i zdjęciom rodzinnym. Tamten to musi być ojciec

Gwen. Te same rysy twarzy i oczy. Na zdjęciu lokalnej gazety widać było, jak

odbiera dyplom ukończenia uniwersytetu, a obok dumnie pręży się ojciec. Po-

chylił się, by odczytać podpis pod fotografią i poznać jej panięskie nazwisko.

Hand. Doktor Winfield Hand i jego córka - Gwinette Hand.

Rozejrzył się po biurku i zobaczył plaketkę z jej nazwiskiem:

Gwen H. War-

ren. A gdzie była jej matka? Mówiła, że umarła. Opowiadała mu, że ojciec pomógł

jej w założeniu sierocińca. Usłyszał, że Gwen wróciła do domu i wyszedł na jej

spotkanie do kuchni. Dzieci właśnie skończyły lunch i pani Benning prowadziła

je na górę, a kucharka zabrała się za sprzątanie stołu. Wyszli tylnym wyjściem na

trawnik za domem. Szeryf najwyraźniej odjechał. Zapytał o co chodzi.

• John Lee chce, żebym zniknęła z Jess na pewien czas powiedziała. — Po

części przyznaję, że to dobry pomysł. Jednocześnie bardzo martwię się naszymi

maluchami. W obliczu takich kłopotów nie chcę zostawić ich samych.

• John Lee może mieć rację, Gwen. Zakładając, że stanie się to, czego się

spodziewam, to dzieci nie będą obiektem zainteresowania władz.

Doszli do wrót do stodoły i zawrócili w stronę domu. Słońce mocno przypie-

kało w górskim powietrzu.

- Wiem o tym - przyznała. - Wydaje mi się, że John nie kieruje się także

innym powodem, niż tylko uchronienie nas przed kłopotami.

Przytaknął i kopnął kamień na ścieżce.

- Tak, rozumiem. Myślałem o tym, co powiedziałaś mi ubiegłego wieczora.

Masz rację: bardzo mnie interesujesz. Rozumiem też Johna Lee. Uważam, że

powinnyście z Jess się ukryć. Ja zrobię najlepiej zostając tu i broniąc domu, do-

póki wszystko się nie wyjaśni..

Pokiwała głową.

• Te uczucia nie są jednostronne, Dave. Bardzo Cię lubię..

Zbyt wiele jeszcze

o mnie nie wiesz, a biorąc pod uwagę całą resztę...

• Mógłbym po prostu szybko wyjechać. Zniknąłbym stąd i nigdy więcej nie?

powrócił.

• Czułabym się lepiej, gdybyś został, ponieważ jesteś jednym z nich... To

znaczy przedstawicielem władzy. - Popatrzyła mu prosto w oczy, a na jej twa-?

rzy\*odmalował się ból. - John Lee ma podobną opinię do twojej... Bardzo cię

lubię, ale po tym, co przeszedłeś w ostatnim czasie kieruje mną także współ-czucie. Chyba chcę ci dać do zrozumienia, że nie jestem „dostępna”, przynajmniej w taki sposób, jak ci się wydaje. Ja... my... potrzebujemy twojej pomocy, ale nie...

- Rozumiem - odparł - chcąc jak najszybciej skończyć ten temat. Przekaz był jasny i zaczynał odczuwać coraz większe zażenowanie. - To ja przyniosłem kłopoty do waszego świata, więc czuję się zobowiązany, by teraz przynajmniej spróbować uchronić was przed nimi. Jeśli FBI i wojsko zjawią się tutaj, stawię im czoła i jakoś dam sobie radę. Zatrzymacie się u krewnych?

Lekko kiwnęła głową, ale nie odpowiedziała. Nie naciskał. Jeśli nie będzie wiedział gdzie jest, nikt go nie zmusi do ujawnienia ich miejsca pobytu. Wziął głęboki oddech i zapytał o zdjęcia, które wisiały na ścianach gabinetu. Znow odwróciła wzrok i popatrzyła na Górę Howella.

- Jessamine Hand jest moją przyrodnią siostrą - powiedziała wreszcie. Po-czekała chwilę, by ta wiadomość do niego dotarła i kontynuowała: - To dość skomplikowane. Jak już ci mówiłam, moja matka zmarła w 1974 roku. Ojciec ożenił się ponownie dwa lata później z Hope, kobietą która była od niego znacznie młod-

sza. Urodziła mu troje dzieci. Jess jest najmłodszym z nich. Stafford milczał. Może to wyjaśni dlaczego tak się broniła przed zacieśnieniem ich znajomości. Lekki wiatr poruszył wierzby. Gwen skrzyła w ich stronę, a on podążył za nią.

- Hope miała starszą siostrę - Charity - która utonęła w kamieniołomach w wieku szesnastu lat. Oficjalnie uznano to za wypadek, ale ludzie mówili, że sama skoczyła. Charity była bardzo piękna i niestety chora psychicznie. Okazało się, że Hope także. Różnica polegała tylko na tym, że choroba ujawniła się u Hope znacznie później. Miała dwadzieścia osiem lat, kiedy wyszła za ojca, który miał wówczas pięćdziesiąt dwa. Wszystko dobrze się między nimi układało, dopóki świat nie przyszył dzieci.

-Na co dokładnie chorowała?

-Nie zapominaj, że jesteś w górach północnej Georgii, Dave - powiedziała uśmiechając się gorzko. - Tutaj nie rozmawia się fachowo na takie tematy. Oszałała i tyle. Po urodzeniu się Jess, jej stan był już opłakany. Jako lekarz ojciec doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Patrząc z perspektywy czasu wszyscy wie-

dzieliśmy, ale odwracaliśmy wzrok, starając się nic nie zauważać.

- Co się stało? Czy została gdzieś zamknięta?
- Tak. - Kolejna cisza, podczas której Gwen z pewnością roztrząsała w my-

ślach bolesne wspomnienia. - Pewnej okropnej, zimowej nocy w 1986 roku, kiedy ojca nie było w domu odwiedziły ją zapewne jej wizje. Postępując zgodnie z wyimaginowanymi poleceniami zabiła dwoje starszych dzieci, a później skierowała broń na siebie, ale nie zabiła się. Ocalała tylko Jess.

- Dobry Boże. W jaki sposób mała uszła z życiem?

Nikt tego nie wie, a przynajmniej nie chciał wtedy powiedzieć.

Ja byłam szczęśliwą mężatką i mieszkałam z Johnem Lee. .

- Masz przecież wyrobione zdanie.

223

- Jess miała wtedy zaledwie trzy latka - powiedziała miękko, wpatrzona w wierzbę. - Myślę, że jej matka nie była po prostu w stanie zabić takiego malarstwa. Istnieje inna możliwość. Z obecną wiedzą wydaje mi się, że jej matka, mimo szaleństwa, rozpoznała, że w Jess jest coś nadzwyczajnego. Niewykluczone, że choroba psychiczna Hope była w jakiś sposób spowodowana, a przynajmniej zwielokrotniona jej własnymi zdolnościami. Twierdziła, że odwiedzały ją wizje i słyszała głosy niewidzialnych postaci.
- Była schizofreniczką.
- Tak, tak wyglądała oficjalna diagnoza. Naprawdę jednak nikt nie wie, co dzieje się w umyśle schizofrenika. Możemy opierać się tylko na słowach osób, które na nią cierpią. Teraz przebywa w Milledgeville, w stanowym zakładzie. Nie dają żadnych szans na poprawę.

Uśmiechnęła się smutno i zawróciła w stronę domu.

- Jess mieszkała w Willow Grove od urodzenia - ciągnęła. -

Dopiero w wieku Siedmiu lat dowiedziała się, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy.

- 1 wtedy przestała mówić?
- Nie, nie odezwała się od trzeciego roku życia. Liczyłam na to, że powoli z tego wyrośnie i kiedyś zacznie mówić, dopóki nie okazała... swoich zdolności.

Teraz sama już nie wiem, czy kiedykolwiek ją usłyszę.

- Najpierw więc mieszkała tu jako członek rodziny, a później dlatego, że nie byłaś pewna, co tak naprawdę dzieje się w jej umyśle?
- To prawda. Przecież Hope i Charity oszalały, a jej dwie siostry zginęły, zanim uwidocznił się ich stan psychiczny. A teraz Jess okazuje umysłowe... co?

Rozregulowanie? Sama nie wiem co robić.

Stafford powoli wypuścił powietrze z płuc. Tak naprawdę wszystko, o czym do tej pory mijało się z prawdą.

- No cóż, Jeszcze raz przepraszam za to zamieszanie.

Oczywiście zostaną tutaj, kiedy wy schronicie się w jakimś zaciszu. Trwa już zakrojone na ogromną skalę polowanie na Carsona. Nie jest profesjonistką złoczyńcą,

więc przypusz-  
czam, że nie potrwa długo.

W domu zadzwonił telefon. Tuż przed tylnymi drzwiami ujęła go za rękę.

- Dave, przepraszam. Moja propozycja pozostaje niezmienna. Spróbuj na

nOwo ułożyć sobie tu życie. Tylko...

- Rozumiem. Obiecuję, że pomyślę tym. Teraz jednak zajmijmy -zapew-  
nieniem bezpieczeństwa tobie i Jess.

### **Wtorek, DRMO w Fort Gillem, Atlanta, 13.30**

Carrothers siedział w centrum dowodzenia przy konsoli łączności i czekał na' połączenie z generałem Waddellem, w Pentagonie. W drodze powrotnej ze Smyrna zdrzemnął się w samochodzie i czuł się lepiej. Wciąż nie znaleziono pojemnika. Osobnik, który go skradł, był na wolności, prawdopodobnie gdzieś na terenie Geor-  
rgii. Generał musiał złożyć raport przełożonemu, a on z kolei szefowi sztabu armii

224

Stanów Zjednoczonych. Coraz wyraźniej czuł, że nie uda im się utrzymać kryzysu w tajemnicy. Obecnie Pentagon i Departament Sprawiedliwości zgodnie współpra-  
cowały, ale gdy tylko zorientują się, że sprawa wyjdzie na jaw, całą winę zrzucą na armię. Co mówiła jego żona? Zaufaj swojemu instynktowi. A instynkt podpowiadał mu teraz, by porozmawiać ze Staffordem, i to bez asysty FBI. Wykonał to co mu rozkazano, ale tak naprawdę spowodowało to tylko dodatkowe zamieszanie i pogorszenie sytuacji. Już najwyższy czas zacząć robić to, co powinien.

Mimo, że wciąż nie mógł wyobrazić sobie Stafforda w roli skorumpowanego agenta, nie mógł tak po prostu odrzucić takiej ewentualności. Po pierwsze pracownik DCIS zdecydowanie nie zachowywał się tak, jak typowy agent federalny. Musiał przecież rozumieć powagę sytuacji i zagrożenia na poziomie narodowym, a jednak zaszył się w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi mieścinie, a ponadto złożył rezygnację. Może Kiesling miał rację. Z drugiej jednak strony może Stafford wiedział o czymś, czego zaabsorbowane swoimi problemami wojsko nie zauważało, albo nie chciało zauważyć. W każdym razie jakiegokolwiek działanie będzie lepsze niż beczynne siedzenie i czekanie na rozwój sytuacji.

- Tu centrum dowodzenia armii. Kodowane połączenie satelitarne z panem

generałem Carrothersem - rozległo się w słuchawkach.

- Zgłasza się Carrothers.

- Proszę czekać.

Po chwili ciszy rozległo się głośne:

-Lee?

Teraz znowu generał zwracał się do niego po imieniu?

-Tak jest, panie generale. Jeszcze go nie znaleźliśmy. Szuka go cały stan.

- Rozumiem. Departament Sprawiedliwości zakwalifikował Carsona jako

uzbrojonego i niebezpiecznego. Lokalna policja otrzymała informację, by

to możliwe - ująć go żywcem, ale ludzie z Biura mówią, że w Georgii będzie to

trudne. Tam nikt nie waha się sięgnąć po broń, szczególnie W obliczu kogoś, kto

zabił gliniarza. Najważniejsze, żebyśmy byli W Stanie uzyskać potwierdzenie, ŻO

ma przy sobie broń.

- Zgadza się, panie generale. Wszyscy tutaj działają na podstawie założeń.

Właśnie dlatego powinniśmy dorwać go żywego. Mam jeszcze jedną wiadomość.

Powtórzył dziwną opowieść Sparksa O nastoletnim medium, doniósł ©Spe-

kulacjach FBI na temat Stafforda, rezygnacji tego ostatniego i jego pobycie W Gra\*

niteville. Po tych rewelacjach w słuchawkach zapadła długa cisza.

Medium? zapytał wreszcie Waddell. - A to co znowu?

Sam nie wiem, panie generale. W obecnej sytuacji właściwie wszystko jest możliwe.

- FBI naprawdę podejrzewa Stafforda?

- Wydaje mi się, że przyjmują typowo obronną pozycję.

Bardzo im zależy na

rozmyśleniu sprawy. Zakładam, że szefostwo Biura jest bardzo zaangażowane

w ochronę własnej pozycji.

- Tak, zdecydowanie. Tangent wpadł w takie tarapaty, że jest absolutnie sp»r

lony. Nie tylko dlatego, że żadnego z przełożonych nie poinformował o podje.-

225

tych działaniach, ale i za doprowadzenie do śmierci jednego z agentów. Prokura-

tor Generalny przypomniał Sekretarzowi Obrony, że nic takiego nie miałyby miej-

sca, gdybyśmy nie zgubili swojej własności.

- Trudno się z tym spierać, panie generale. Myślę, że znajdę Stafforda i zo-

baczę, co jeszcze wie, ale bez kogokolwiek z FBI.

- Czy zgodził się na współpracę?

- Poniekąd, choć składając rezygnację stara się wyłączyć z gry. Rzeczywi-

ście ostrzegł nas, że to Carson ma broń, i to zanim kryzys się nasilił. Proszę postu-

chać co myślę: wyjazd w góry i rozmowa ze Staffordem na pewno nie zaszkodzi.

Może też dotrę i do tej dziewczyny o paranormalnych

zdolnościach. Jeśli to ona

zlokalizowała cylinder, może będzie w stanie powiedzieć gdzie

jest teraz.

- Na miłość boską, Lee...
- Wiem, panie generale. Mamy przecież cały stan postawiony na głowie w po\*  
szukiwaniu tego faceta i prędzej czy później ktoś na górze zażąda wyjaśnień, czego tak naprawdę od niego chcemy. Nie mam przecież nic lepszego do roboty. Jeśli odniosę wrażenie, że Stafford prowadzi grę na własny rachunek, przekażę go naszym siłom specjalnym i już oni się nim zajmą.

- Na twoim miejscu zrobiłbym to natychmiast. Biuro się wścieknie, kiedy dowiedzą się, że zostali odcięci od sprawy.

- Ich zadaniem jest odszukanie Carsona i jak widać, kierującemu ich działaniami bardzo na tym zależy. Później mogę im powiedzieć, że dokonywałem kontakcji z medium. Pamięta pan program Stargate CIA? Po jego kompletnej klapie nie powinni palić się do uczestnictwa w takich działaniach.

Tak, pamiętam. W porządku. Pamiętaj jednak, że los Carsona nikogo nie będzie obchodził, kiedy odzyskamy broń. To on jest odpowiedzialny za śmierć agenta, więc w pewnym sensie jest ruchomą tarczą strzelniczą. Natomiast, gdyby

Carson bezpośrednio się z nami skontaktował i chciał zawrzeć jakiś układ, powiemy mu wszystko, co będzie chciał usłyszeć. Jasne?

- Tak jest, panie generale.

- Z mojego punktu widzenia ten facet z DCIS jest także do poświęcenia, szczególnie teraz, kiedy odszedł ze swojej agencji. Jeśli rzeczywiście maczał palce w oszustwach, należałoby skierować na niego celownik, tak jak na Carsona. Nikt po obu stronach Potomacu nie będzie go zbyt żałował.

- Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne, panie generale. W jego postępowaniu jest coś dziwnego i właśnie to chciałbym definitywnie wyjaśnić.

- Cóż, nie zaszkodzi dokonać osobistego rekonesansu, Lee. Weź ze sobą sprzęt łącznościowy i informuj nas na bieżąco o rozwoju sytuacji.

- Tak jest, panie generale. Bez odbioru.

Carrothers zsunął słuchawki i otarł pot, który wystąpił mu na czole. Zastanowił się nad słowami dowódcy wojsk chemicznych. Jezu, Stafford - pomyślał, naprawdę masz przechłapanie w Waszyngtonie.

Wyszedł z naczepy i rozkazał swoim ludziom powrót na wyznaczone pozycje. Następnie wezwał do siebie jednego z kapitanów żandarmerii, który przybył truchtem, z notatnikiem pod pachą.

226

- Potrzebuję dwa z tych suburbanów - powiedział ostro Carrothers. - Zdejmijcie policyjne światła. Weźcie dwóch najsprawniejszych i

najokazalej się pre-  
zentujących żandarmów, lekarza i dwuosobowy zespół  
monitoringu chemiczne-  
go z pełnym wyposażeniem. Wy, lekarz, kierowca i ja pojedziemy  
jednym  
samochodem, a pozostała trójka i cały sprzęt drugim. Wszystkim  
proszę wydać  
, broń, noktowizory, a w moim wozie ma się znaleźć sprzęt do  
łączności satelitar-  
nej i pozycjoner GPS. Proszę przygotować harmonogram drogi do  
Graniteville,  
a dokładnie do sierocińca Willow Grove. Żądam też pełnej  
blokady informacji na  
temat moich poczynań, szczególnie jeśli chodzi o FBI. Jeżeli ktoś  
się tym zainte-  
resuje, proszę mówić, że zostałem wezwany do Anniston, gdzie  
mam oczekiwać  
na dalsze rozkazy.

- Tak jest, panie generale.
- Świetnie. Odjazd, najpóźniej za dwadzieścia minut.

### **Wtorek, centrum handlowe Laurel Mountain, Graniteville, Georgia, 14.30**

Carson siedział w swoim pikapie, wmuszając w siebie  
ohydneho hamburgera  
odgrzanego w mikrofalówce i obserwował drogę stanową  
prowadzącą do Granri-  
teville. Mimo że otworzył boczną szybę, w środku było zbyt  
gorąco. Może to on  
miał gorączkę. Zapewne jedno i drugie. Pocił się jak mysz i nawet  
duży kubek  
coli nie był w stanie go ochłodzić. Rana na plecach mniej bolała,  
ale nasilało się  
drętwienie mięśni i ociężałość. Postanowił, że kiedy tylko wróci do  
motelu, zmie-  
ni opatrunek.

Zajechał na parking centrum handlowego dwadzieścia minut  
temu. Zatrzy-  
mał się obok dwóch budek telefonicznych w pobliżu sklepów.  
Wyszedł po j edze-  
nie, skrywając twarz za ciemnymi okularami i czapeczką z długim  
daszkiem.

Wczesnym popołudniem nie kręciło się tu na szczęście dużo  
ludzi. Jak do tej pory  
nie widział ani jednego wozu policyjnego, co pozwalało mieć  
nadzieję, że nagon-  
ka nie dotarła jeszcze w góry. Potrzebował zaledwie kilka godzin.

Zerknął na karteczkę, na której zapisał numer telefonu do  
Willow Grove.  
Bardzo go zdziwiło, że kobieta ze Smyrna, tak po prostu  
powiedziała mu gdzie  
przebywa teraz Stafford. W Graniteville. W szkole noszącej nazwę  
Willow Gro-  
ve. „Tak, zaraz podam panu numer, ale proszę mieć świadomość,  
że nie jest tam  
pracownikiem” - powiedziała żartobliwie. Wcześniej myślał, że gdy  
dowie się  
jak dotrzeć na miejsce pobytu agenta DCIS, spróbuje go  
zaskoczyć, lecz znajdo-  
wał się w szkole. Nie uśmiechała mu się perspektywa jatki na

szkolnym boisku, chyba że i tym zdoła obciążyć Stafforda. Zamierzał przecież dokonać zemsty za pośrednictwem władz.

Popatrzył na zegarek, zgniół papier po hamburgerze w przetłuszczonej kulce i wysiadł z wozu. Podeszedł do automatu i wykonał drugi telefon. Odebrała jakaś kobieta:

- Dom i szkoła Willow Grove. Benning, słucham?
- Dzwonię do pana Davida Stafforda - powiedział. - Nazywam się Carson.

227

- Proszę chwileczkę poczekać. - Kobieta przyłożyła dłoń do mikrofonu i powiedziała coś do osoby znajdującej się obok. Gdy odezwała się ponownie, głos był wyraźnie zmieniony:

- Chwileczkę, panie Carson. Zaraz podejdzie.

Czekał zniecierpliwiony, ze świadomością jak bardzo jest widoczny w przeszkłonej budce. Na szczęście podniszczona droga, od której odbijały się promienie słońca; była niemal pusta.

Stafford przebiegł przez korytarz do biura Gwen, a John Lee Warren deptał mu po piętach. Dyrektorka ośrodka stała przy biurku przyciskając dłoń do ust i niecierpliwie ich oczekiwała.

- Może pan wyśledzić skąd dzwoni? - Dave szeptem zapytał szeryfa.

Policjant zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie bez wcześniejszych przygotowań. Najbliższe biuro z odpowiednim sprzętem znajduje się w Reidsville.

Pracownik DOS zmełł w ustach przekleństwo i podniósł słuchawkę.

- Mówi Stafford - powiedział.

Słuchawka ślizgała mu się w dłoni. Miał uczucie, że w domu jest ciepło i wilgotno.

- Chcę zawrzeć układ - odezwał się Carson bez zbędnego wstępu. - Zwrócę broń za maksimum pięć lat odsiadki w więzieniu federalnym.

- Dlaczego, do diabła, dzwoniś do mnie, Carson? Nie jestem sędzią. Skąd zdobyłeś ten numer?

- Udostępniono mi go w biurze, w Smyrna. Nie mam zbyt dużo czasu. Oddam broń tobie i tylko tobie. I to w Graniteville. Przekaż to wszystkim, którzy mnie szukają. Zadzwoń jeszcze raz za godzinę.

- Czekaj! Ale dlaczego ja? Dlaczego nie zadzwonisz prosto do wojska?

- Widziałeś co zrobili z moim DRMO? To nie był przypadkowy ogień.

Te dranie są szalone. Poza tym chcę cię jeszcze raz zobaczyć. W imię starych czasów.

- Na pewno. A co, jeśli nie zgodzę się wziąć w tym udziału?
- Nie wiem, co dokładnie jest w środku tego cylindra, ale założę się, że nic przyjemnego. Wystarczy zdjąć dekielek, żeby sprawdzić. Co o tym myślisz?

Dave poczuł, że nie ma wyjścia.

- W porządku, umowa stoi. Odezwę się do kogo trzeba. Gdzie jesteś?

Cisza. Głupie pytanie.

- Tak - mruknął - Nieważne. Odezwij się więc za godzin?;

W słuchawce rozległ się trzask i Carson się rozłączył.

-Czego chciał?-zapytał szeryf.-O jaką umowę chodzi?

- Doszedł do słusznego wniosku, że jest już trupem, a

jedyną gwarancją

jest ten cylinder. Odzyskanie go jest dla władz znacznie

ważniejsze, niż powie-

szenie Carsona na najbliższej gałęzi. Jestem pewien, że wszyscy

dojdą do po-

dobnego wniosku. Chce oddać się w ręce sprawiedliwości, zanim

jakiś snajper

228

weźmie go na muszkę i naciśnie spust. Muszą natychmiast skontaktować się z Atlantą.

- Dlaczego sam nie dogada się z kim trzeba? - warknął policjant. - Nie chcemy tu zagrożenia ze strony broni chemicznej.

- Upiera się, że ja mam być pośrednikiem. Mam tylko przekazać to, co mi

powiedział. Niech oni decydują, co ma się wydarzyć. Carson boi się FBI oraz

armii i wcale mu się nie dziwię.

- Ciekawe gdzie teraz jest, do licha - zastanowił się na głos John Lee.

- To era telefonii komórkowej. Może być wszędzie. Właściwie może być

i tutaj. Teraz jednak bierzmy się do roboty.

Wybrał numer do Raya Sparksa.

### **Wtorek, motel Vernon Creek, 15.30**

Słońce zniknęło już za górami, gdy Carson po raz drugi zatelefonował do

Willow Grove. Postanowił, że tym razem może skorzystać ze służbowego telefo-

nu komórkowego. Odebrał Stafford, który był już przygotowany na przekazanie

warunków omówionych ze Sparksem.

- Na czym stoimy? - zapytał były szef DRMO.

- Rozmawiałem z Atlantą. Wstępnie uzgodniłem warunki układu. Więzienie

federalne. Pięć lat. Jedzie już do mnie zespół z FBI ze stosownymi dokumentami.

Spodziewam się ich o dwudziestej.

- To jeszcze ponad cztery godziny. Dlaczego tak długo?

- Pod gwarancjami muszą zdobyć podpisy prokuratora federalnego i Sędzie-

go. Kolejne dwie, trzy godziny potrwa dotarcie do Graniteville. Facet kierujący

zespołem nazywa się Kiesling.

- Dlaczego nie przylecą na miejsce? Przecież dysponują helikopterem.

- Pewnie nie chcą ryzykować nocnego lotu w górach; Nie wiem. FBI nie

zwykło tłumaczyć się z takich rzeczy.

- W porządku. Gdzie się spotkamy?
- W biurze szeryfa, w budynku sądu okręgowego w Graniteville. Facet nazywa się John Lee Warren. Po przyjeździe do miasteczka jedź prosto na główny plac.

Carson zastanowił się przez chwilę.

- W porządku. Zakładam, że cały świat mnie teraz szuka. Zjawiając się w Graniteville, liczę, że wszystko odbędzie się cywilizowany sposób. Nie chcę, żeby zgraja facetów z pałkami i psami rzuciła się na mnie i przygwoździła do ziemi.

- Oddając się w ręce władz, będzie cię chroniło prawo federalne. Jeśli przyjedziesz sam, bez broni palnej, wszystko zostanie załatwione tak, jak chcesz. Masz chyba świadomość, że ta broń jest dużo ważniejsza od ciebie, prawda?

Tak. Wiem jednocześnie, że władzom może bardzo zależeć na uciszeniu mnie na stałe. Nie będę miał więc cylindra ze sobą. T chcę widzieć cywilów w płaszczach i pod krawatami, a nie żołnierzy w kombinezonach chemicznych.

229

-Zrozumiałem.

- Jeśli tylko zobaczę jakiegoś wojskowego, zrywam umowę. Armia zachowuje się jak zgraja świrów.

- Może dlatego, że są przerażeni utratą pojemnika, Carson.
- Niech wszyscy dostosują się do moich warunków. To jeszcze nie wszystko.

Chcę zwykłego adwokata. Niech czeka na mnie na schodach sądu. Będzie mi towarzyszył w biurze szeryfa, gdzie na piśmie poświadczy autentyczność umowy

z FBI. - Urwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu. - Później ma mi towarzyszyć, zapewne w drodze powrotnej do Atlanty, żeby być świadkiem tego, że żywy opuściłem Graniteville i w takim samym stanie dotarłem na miejsce. Później zaryzykuję i powiem wam, gdzie ukryłem broń.

- Zapewne zgodzą się na większość tych warunków - stwierdził Dave. - Z wątkiem dwóch. Może nawet trzech. Po pierwsze, nie opuścisz Graniteville, dopóki broń nie znajdzie się w rękach federalnych. Rozumiem, że nie będziesz miał jej przy sobie, ale będą chcieli ją zobaczyć, kiedy tylko podpiszesz umowę.

Carson zastanowił się nad tym. Nie szło mu to najlepiej. Głowa pękała mu

z bólu, a ten wstrętny hamburger chyba nie pozostanie długo w jego żołądku.

Musiał zrobić wszystko, żeby zawrzeć tę umowę.

- Zgoda - skapitulował.

Po drugie, adwokat nie może wiedzieć, o co dokładnie chodzi. Jeśli mu

o tym powiesz albo też komukolwiek innemu, umowa zostanie zerwana.

• Jestem w stanie to przeżyć. A jaki jest trzeci warunek?

• Mnie nie będzie na miejscu. Będziesz rozmawiał

bezpośrednio z ludźmi

z FBI. Sfinalizuję układ, ale później zniknę z widoku.

Carson skrzywił się na wieść o tym. Nie musiał sam wykonać brudnej roboty

w sprawie pogrążenia Stafforda. Zrobią to za niego inni.

• Dlaczego?

• Moja agencja nie kocha mnie już tak, jak kiedyś, więc złożyłem rezygnację.

FBI nie chce, bym w tym uczestniczył jako cynik.

• Ustalaliśmy coś innego.

- Według mnie jeśli nie dogadasz się z Biurem, to do akcji wkroczy wojsko.

To prawda. Wiedział, że właściwie nie ma żadnego wyboru. Wciąż mógł jesz-

cze załatwić Stafforda.

- W porządku. Umowa stoi. Będę w sądzie w Graniteville punktualnie o dwu-

dziestej. I pamiętaj, żadnej armii.

### **Wtorek, dom Willow Grove, Graniteville, Georgia, 17.30**

Na szczycie było chłodno, niemal zimno. Stafford żałował; że nie posłuchał rady Gwen i nie zabrał ze sobą kurtki. Księżyc nie wzeszedł jeszcze i było ciemno. Bardziej wyczuwało się niż widziało ciemne kształty okolicznych gór. Szeryf dowiedziawszy się o warunkach umowy między Staffordem i Carsonem, postanowił, że Gwen i Jessamine jak najszybciej powinny opuścić dom. Byli małżon-

230

kowie rozmawiali ze sobą cicho. Dave stał obok Jessamine, ubranej w ciepłą kurtkę, z okazałych rozmiarów plecakiem na plecach.

• Boisz się? - zapytał ją.

Wzruszyła ramionami.

• Byłaś tam już kiedyś?

Stafford brodą wskazał obszar parku narodowego. Zimny wiatr wiał od strony otwartej przestrzeni, niosąc ze sobą zapach sosny i gór.

Lekko przytaknęła, po czym wskazała na Gwen, później na siebie i wykonała

kilka ruchów rękoma, których nie zrozumiał. Dołączyła do nich dyrektorka ośrodka.

- Mówi, że mamy tam przyjaciół, którzy zadbają o nasze bezpieczeństwo.

Bardziej martwię się o was.

Uśmiechnął się do niej. Jej oczy były prawie niewidoczne w ciemnościach.

• Jestem przekonany, że damy sobie radę. Carson nie przyjdzie przecież do Willow Grove. O bezpieczeństwo zadbają ludzie z FBI i podwładni Johna Lee;

kiedy zjawi się w miasteczku. Przecież to tylko jeden człowiek.

• Ze śmiertelnym ładunkiem.  
• Tak i nie. Nie wykorzysta go, jednocześnie uchodząc z życiem. Jedynie martwi mnie, fakt, że sprawiał wrażenie jakby osłabionego. Być może został ranny podczas tego zamieszania w DRMO albo doznał oparzeń. Wydawało mi się, że ma gorączkę.

• To chyba dobrze - stwierdziła. - W takim razie będzie stanowił mniejsze zagrożenie.

Stafford obejrzał się na szeryfa, którego udało się zlokalizować tylko dzięki czerwonemu ognikowi papierosa. Powietrze wypełnił drażniący nozdrza dym.

- Ktoś tam jednak mieszka? Ktoś, kto zapewni wam bezpieczne schronienie?

Przytaknęła w ciemnościach. Teraz, kiedy wzrok w pełni przyzwyczał się do

panujących warunków, widział jej twarz.

- Tak, jest - odpowiedziała miękko.

• Czy w razie konieczności istnieje sposób na skontaktowanie się z wami?

zapytał Dave.

• Tak, mają tam telefon komórkowy. - Obejrzała się i patrzyła gdzieś w dal. -

O, idą.

Przeszedł wraz z Gwen na grań i popatrzył w dół. Ścieżka była nieco jaśniejszą, ledwie widoczną serpentyną. Niknęła gdzieś w lesie, gdzie nie było już zupełnie nic widać.

- Popatrz tam - rzekła, wskazując ręką.

Skierował wzrok w tym kierunku i dostrzegł jakiś ogień. Błady, widoczny spomiędzy rzadkich w tamtym miejscu drzew. Pochodził chyba z latarni.

• To oni?

• Tak. Powinnyśmy ruszać. Zostaniemy tam dzień lub dwa, a później spróbujemy ustalić, co się dzieje.

• A co, jeśli... - zaczął Stafford, lecz urwał. Przecież przed chwilą zapewnił

Gwen, że wszystko będzie dobrze. Lepiej być szczerym. - Co, jeśli pojawią się jakieś kłopoty? Jeśli będziecie musiały na dłużej pozostać w ukryciu?

231

- W takim wypadku usłyszymy o nich odpowiednio wcześniej i zastanowimy

się co robić dalej. - Uśmiechnęła się odsłaniając zęby, które zaśniły w mroku. -

Zdziwiłbyś się, jak szybko roznoszą się tu wszelkie wieści.

Dave przytaknął. Tak naprawdę zupełnie nie znał życia w takich warunkach,

a skoro był tu obcy, zapewne nigdy ich nie pozna. Tak samo, jak

nie wiedział  
praktycznie nic o rodzinie Gwen i losach Jessamine. W miejscu,  
gdzie stał szeryf,  
ognik opadł na ziemię i zgasł.

• Czas na nas - powiedziała Gwen. Niespodziewanie zrobiła  
krok naprzód  
i mocno uściśnęła Dave'a.

• Uważaj na siebie - szepnęła mu do ucha.  
Ujęła Jess za rękę i wspólnie ruszyły ścieżką w dół.  
Do Stafforda niespiesznie podszedł policjant.

- Dadzą sobie radę - stwierdził. - A my lepiej wracajmy do  
domu. W dole  
zaczęło padać.

Kiedy schodzili, Dave zapytał miejscowego stróża prawa o  
ludzi czekają-  
cych na Gwen i Jessamine.

- To górale.

Droga do Willow Grove zajęła im czterdzieści minut Na  
werandzie paliło się  
jasne światło. W sypialniach na górze widać było tylko poświatę -  
zapewne z ko-  
rytarza. Gwen pokazała Dave'owi pokój ojca, ale postanowił, że  
uda się tam do-  
piero wówczas, gdy dzieci pójdą spać. Wszyscy domownicy byli  
zapewne w po-  
koju, gdzie migało blade światło telewizora. Stafford miał ochotę  
zniknąć w domu.

Już w połowie drogi powrotnej skostniały mu dłonie i stopy. Weszli  
przez drzwi  
kuchenne, które szeryf starannie zamknął na klucz.

• Nie musiałem tego robić od niepamiętnych czasów -  
mruknął i położył go  
na kuchennym stole. Słyszeli dźwięki telewizora, a od czasu do  
czasu tupot drob-  
nych stopek. Stafford rozglądał się za dzbankiem na kawę, a  
policjant zdjął kape-  
lusz oraz kurtkę i Wyjął z kabury potężny rewolwer.

• Ma pan ochotę na kawę? Dzbanek jest tam, a kawa w tej  
szafce.

• Musiał pan spędzić tu sporo czasu - zauważył Stafford, gdy  
zabrał się za  
przygotowanie kawy.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że w tych słowach zawarł  
pytanie.

Szeryf posłał mu wesołe Spojrzenie, kiedy woda zaczęła bulgotać  
w dzbanku.

Po raz kolejny uderzył go wygląd Warrena: wielkie, potężne  
cielsko drwala  
z młodo wyglądającą twarzą, siwiejącymi włosami kontrastującymi  
z ciemny-  
mi, grubymi brwiami i te wąsy Wyatta Earpa. Zastanawiał się, ile  
łat może mieć  
ten facet.

Zostaliśmy małżeństwem, kiedy Gwen wróciła z uniwersytetu  
- powiedział

policjant siadając przy stole. -To chyba jeden z głównych  
powodów, dla których  
nasz związek ostatecznie się rozpadł. Ona wyjechała z  
Granitville i zdobyła  
wykształcenie, a ja tu zostałem.

-Wróciła.

- Młodzi ludzie z gór albo wylatują z gniazdka i nigdy już do  
niego nie wra-

cają, albo nigdy nie mogą się od niego oderwać. Spotykaliśmy się w szkole śred-

232

niej. Ja byłem miejscową gwiazdą footballu, a Gwen, no cóż... nawet idąc ulicą jest w stanie niejednemu zawrócić w głowie.

Stafford przytaknął, ale nie skomentował tych słów, ponieważ nie chciał wy-

prowadzać rozmówcy z nastroju do zwierzeń.  
- Zaraz po ukończeniu nauki i wyjeździe Gwen do college'u podjąłem pracę w policji okręgowej. Byłem już starszym zastępcą szeryfa, kiedy wróciła, żeby uczyć. Rok później stary Slater - wtedy pełniący funkcję szeryfa - zmarł za swoim biurkiem i ja przejąłem po nim schedę. W następnym roku wystartowałem w wyborach i objąłem ją na pełną kadencję, I tak już zostało.

Ekspres wyłączył się wreszcie. Dave wyszukał dwa kubki i napełnił je szybko po brzegi. Jeden wręczył Johnowi Lee, a sam usiadł naprzeciw 2 drugim w dłoni.

- Pobraliśmy się w tym samym roku, gdy zostałem wybrany na szeryfa. Ona mieszkała wtedy tutaj, ale nie czuła się najlepiej w obecności nowej żony doktora i w całym tym zamieszaniu.

- Mówi pan o Hope?

Szeryf posłał Staffordowi badawcze spojrzenie.

- Powiedziała panu o tym wszystkim?

-Tak.

- Powiedziała, że jej matka zmarła? I że stary doktor ożenił się ponownie kilka lat później?

-Tak.

Stróż prawa pokiwał głową i podmuchał na kawę.

- Nie zdradziła panu wszystkiego - rzekł. - Jej matka oszalała.

Ten proces trwał przez jakiś czas i dopiero kiedy naprawdę jej stan się pogorszył, wszyscy zdali sobie naprawdę sprawę z tego, co się dzieje. Szczególnie stary poczciwy doktor Hand. W 1974 trzeba ją było zabrać do Milledgeville. Zmarła tam z powodu banalnej iniekcji, która nie została w porę właściwie zdiagnozowana i nie była leczona.

- A później Hopc skończyła w ten sam sposób?

- Tak. Wcześniej jednak zastrzeliła dwójkę swoich dzieci z broni doktora

i niemal odstrzeliła sobie ramię, próbując popełnić samobójstwo.

A ja musiałem

prowadzić śledztwo w tej sprawie.

Dave z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Zapraszamy do miłej, przyjaznej Georgii. Odpręż się, zdejmij ciężki plecak

i wsłuchaj się w głosy strzelaniny. Mieszkał pan w tym domu? -

zapytał zmienia-

jąc temat.

- Nie - odparł jakby z dumą stróżprawa. -Nie wyobrażam

sobie, żeby męż-  
czynna nie mógł zapewnić własnego domu swojej rodzinie.  
Mieszkaliśmy w prze-  
ciwnym końcu miasteczka, w pobliżu kamieniołomu. Przyjeżdżała  
tu codziennie,  
a ja zjawiałem się zazwyczaj na lunch.  
Co więc tak naprawdę między wami zaszło? - Chciał zapytać,  
ale powstrzy-  
mał się w porę. Szeryf wpatrywał się w kubek, jakby tam  
spodziewał się znaleźć  
wyjaśnienie zagadki wszechświata.

233

- Już mówiłem, że właściwie nigdy nie opuściłem  
Graniteville. Byłem miej-  
scowym człowiekiem sukcesu. Wszyscy znali mnie jeszcze z  
czasów ogólniaka.  
Koledzy z klasy, którzy nie wyjechali, zostawali często  
prominentnymi obywatelami. Byłem najmłodszym szeryfem w całym stanie. Wielkolud z  
budy, tyle że to  
już nie było to samo, co w szkole.

Podniósł wzrok na rozmówcę i w jego oczach pojawił się ból.  
Dave przypo-  
mniał sobie o tym, co mówiła mu Gwen.

- Miał pan romans.

Stróż prawa powoli pokiwał głową z miną pełną żalu.

• Tak, to prawda. Właściwie zupełnie się na to nie zanosilo.

Mieliśmy z Gwen  
gorszy okres z powodu niezgodności zdań w sprawie dzieci i  
zacząłem spędzać  
coraz więcej czasu z inną kobietą. Przez pół roku spotykaliśmy  
się, rozmawiali-  
śmy i szukaliśmy wzajemnego zrozumienia. Pewnego popołudnia  
to się zmieniło  
i stałem się chyba największym głupcem na całej naszej planecie.

• Dowiedziała się.

• Dowiedziała się. Mieliśmy spore kłopoty, bo nie mogłem się  
już doczekać  
dzieci. Gwen zaś, z powodów, których wtedy nie byłem w stanie  
zrozumieć, po-  
stanowiła się z tym wstrzymać. Właściwie nie był to aż tak  
poważny kryzys, ale  
wystarczył, bym poszukiwał wsparcia. Jednak dowiedziała się o  
tym.

• Ktoś jej powiedział? Wymiana informacji w tak małej  
społeczności?

• Sam nie wiem. Gwen miała zwyczaj orientować się w wielu  
rzeczach. Wciąż  
tak jest.

Dave nie wiedział, co właściwie powiedzieć, zapytał więc o  
niechęć Gwen  
do własnych dzieci.

- Byliśmy małżeństwem od siedmiu lat, gdy wynikły kłopoty z  
Hope. Już wcze-  
śniej widać było, że źle się z nią dzieje. Gwen matkowała jej  
dzieciom. Doktor bardzo  
ciężko to przeżywał. Inni także. A po tej nocy Jess praktycznie z  
nami zamieszkała,

• Nagle mieliście więc dziecko?

• Tak, ale ja nie postrzegalem tego w ten sposób. Byłem  
niezbyt rozgarnięty.

Dopiero po latach zrozumiałem, dlaczego nie chciała mieć własnych dzieci.

- A mianowicie?
- Chodzi o małżeństwo doktora Handa z młodą, piękną, ale szaloną żoną.

- Nie rozumiem.
- Hope była spokrewniona z Carrie - matką Gwen. Stafford początkowo nie rozumiał o co chodzi, ale nagle doznał ośnienia.

- Aha - wydobyl tylko z siebie.
- Matka Gwen, a później Hope. No i jeszcze starsza siostra Hope - Charity, która utopiła się w kamieniołomach.

Dave długo popijał kawę, nim się odezwał:

- A teraz ta sprawa z Jess.
- No właśnie. Teraz Jess, która, jak wszyscy wierzymy, jest tylko osobą o nadprzyrodzonych zdolnościach, a nie...

Stafford przytaknął ponownie. Gwen powiedziała, że nie ma w tym przyszłości, wobec upośledzenia psychicznego. Jej matka, kuzynka, a teraz być może sio-

234

stra przyrodnia. Gwinette Hand Warren postanowiła nigdy nie mieć dzieci. A kiedy wiele lat temu ogłosiła to swemu mężowi, ten szukał zrozumienia w ramionach innej kobiety. W tym także nie było przyszłości.

- To wiele tłumaczy - stwierdził. - Muszę przyznać, że ciekawią mnie wasze obecne stosunki. Widzę, że jesteście dobrymi przyjaciółmi, którym na sobie zależy. Widzi pan, moja żona odeszła ode mnie w zeszłym roku. Uciekła z jakimś facetem z lotnictwa. A później nie byłem nawet w stanie znieść jej widoku.

- Gwen wspominała mi o tym - powiedział Warren. Ponownie popatrzył na przybysza, który nieco się zdziwił. - Tak, rozmawiamy i na takie tematy. Wydaje mi się, że teraz jestem dla niej bardziej, jak starszy brat, niż były mąż. Znamy się od dziecka, później przez osiem lat byliśmy małżeństwem i dziesięć lat utrzymujemy przyjazne stosunki. - Westchnął ciężko. - Niestety, mam świadomość, że to ja wszystko popsulem. Była w stanie mi to przebaczyć, ale nie mogła dłużej być moją żoną. Teraz panuje między nami najlepszy układ, jaki udało się stworzyć. Biorę to, co jestem w stanie.

- Nie ożenił się pan ponownie.
- Nie. Gwen spotkała się z tamtą kobietą. Poinformowała ją, że zamierza ode mnie odejść. Powiedziała, że jeśli chcemy się związać po rozwodzie, ona nie ma nic przeciwko temu. Była szczerą i miłą, jak tylko ona potrafi.

- O kurczę.
- Po tej rozmowie spotkawszy się z tamtą dziewczyną dowiedziałem się, że

nie może za mnie wyjść, bo skoro nie byłem w stanie dochoWae

wierności tak  
dobrej kobiecie jak Gwen, i ją mogę w każdej chwili zdradzić.  
Muszę przyznać,  
że miała rację. I tak to się skończyło. Stwierdziłem, że jeden taki  
cios między  
oczy wystarczy, by czegoś się nauczyć.

Dave uśmiechnął się smutno. Ogarnęła go zaduma. Czy on  
kiedykolwiek otrzy-  
ma od losu szansę na znalezienie takiej równowagi w swym  
pogmatwanym ży-  
ciu? Miał nadzieję, a właściwie zakładał, że coś rozwija się  
między nim, a Gwen  
Warren. Teraz wiedział, jak to interpretować. Była miła i pełna  
współczucia. Po-  
znawszy pełną historię jej życia był w stanie zrozumieć, że  
uznała, podobnie jak  
John Lee, iż nie będzie wiązać się już nigdy z żadnym  
mężczyzną, by uniknąć  
kolejnych rozczarowań. Szeryf wyczuł co się święci i postanowił w  
łagodny spo-  
sób dać mu do zrozumienia czego powinien się spodziewać.

Skoncentrował się na piciu kawy. Na górze wzmógł się  
harmider spowodo-  
wany przez dzieci, który ucichł po kilku ostrych słowach pani  
Benning. Zerknął  
na zegarek. Powinien być na nogach jeszcze przez jakąś  
godzinę.

### Wtorek, motel Vemon Creek, 18.15

Carson siedział na werandzie, bo ból głowy wydawał mu się  
tu mniej uciążli-  
wy. Postanowił, iż musi coś zjeść. Stafford obiecał, że gliny  
zostawią go w spoko-  
ju. Może w pobliżu znajdowała się jedna z tych przytulnych,  
górkich restauracy-  
jek? Przez moment wyobrażał sobie duże, wyłożone drewnem  
pomieszczenie,

235

gdzie gości obsługiwali uprzejmi kelnerzy i serwowano pyszne  
wina. Posunął się  
tak daleko w tej fantazji, że sprawdził nawet ile ma pieniędzy. W  
lustrze, w końcu  
korytarza zobaczył swoje odbicie. Miał napuchniętą twarz, a pod  
oczami wyraź-  
ne sińce. Włosy były przepocone i potargane. Akurat, nadaję się  
na wizytę w re-  
stauracji. Dodatkowo na ziemię sprowadził go żołądek, gdy odczuł  
powracające  
nudności.

Sprawiam chyba wrażenie naćpanego - pomyślał. Nie muszę  
jeść. Powinie-  
nem się napić. Tak jest. Najlepiej brandy. Szklaneczkę whisky.  
Coś, co da mi  
napęd i postawi na nogi. Ten obleśny właściciel na pewno będzie  
miał jakąś bu-  
telkę. Wszyscy górale lubią zaglądać do kieliszka. Musi tylko  
pójść do jego biura.  
Popatrzył na biegnący nieco pod górę, żwirowy podjazd. Nie  
przypominał sobie,

by był aż tak stromy. Musiał przejść nim tylko kawałek.

Ciężko usiadł na skraju łóżka, ogarnięty wzmożoną sennością. Nie ma mowy, powiedział sobie natychmiast. Jeśli teraz się położysz, już nie wstaniesz. Z trudem, ostrożnie, by nie sprowokować bólu stanął na nogach. Wcześniej próbował zmienić opatrunek, ale przywarł tak mocno, że obawiał się, iż rana znów się otworzy i będzie miał kłopoty z ponownym zatamowaniem krwotoku. Kłujący ból prze- niósł się na barki, a nawet ramiona, i nagle poczuł ogromne pragnienie. Przypo- mniał sobie, że właściciel motelu butelkował wodę na sprzedaż. Tego ci właśnie

trzeba. Żadnej whisky, tylko zwykłej wody.

Przeszedł do samochodu i popatrzył w górę zbocza. Miał spore kłopoty z unie- sieniem głowy. Ten cholerny podjazd był zdecydowanie bardziej stromy, niż wcześ- niej. I trudno się nim szło, bo żwir był sypki. Nie mógł ryzykować, że się prze- wróci. Pojeźdź samochodem, durniu - pomyślał. Wsiadł do wozu, uruchomił silnik i na pierwszym biegu podjechał pod biuro. Dla bezpieczeństwa zaparkował tak, by pikapa nie było widać z drogi. Otworzył drzwiczki już i miał zamiar wysiąść, kiedy z lewej strony rozległ się dźwięk potężnego silnika. To chyba kilka samo- chodów - uznał.

Instynkt sprawił, że się zawahał. Zamknął drzwi, by w środku zgasło światło i nasunął daszek czapki na twarz. Odchylił się w fotelu na bok, uważając, by plecami nie dotknąć oparcia. Czekał, głośno dysząc. Minutę później zobaczył dwa potężne suburbany, które szybko przejechały obok.

Zielone. Rozpoznał ten kolor, nawet w półmroku. To wozy wojskowe. Serce zabiło mu szybciej. Nie mógł się mylić. To była armia. Samochody, podobnie jak ten należący do niego, miały białe numery seryjne na drzwiach i dwie anteny z ty- łu. Pierwszy pojazd miał trzech, może czterech pasażerów, a ten drugi załadowa- ny był jakimś sprzętem. Patrzył za nimi, gdy zniknęły za zakrętem. Jechały do Graniteville.

Carson odetchnął głośno poprawiając czapeczkę. Ten kłamliwy Stafford! „Wstępnie uzgodniłem warunki układu. Jedzie już do mnie zespół z FBI ze sto- sownymi dokumentami. Spodziewam się ich o dwudziestej.”. Kłamstwa. Same kłamstwa. Zamiast tego skontaktował się z armią, tak samo, jak wcześniej. To pewnie oddział specjalny w drodze do sądu, gdzie zastawią na niego pu-łapkę. Ustrzelą go, gdy tylko wysiądzie z wozu, a miejscowy szeryf będzie się

temu przyglądał bez zmrużenia oka. Uświadomił sobie jednak, że się myli. Nie zabiją go tak po prostu. Najpierw muszą odzyskać cylinder, więc pojmają go i wywożą gdzieś do lasu. Zaczną wrywać mu paznokcie i torturować w inny sposób, by wreszcie zdradził, gdzie go ukrył. Tego właśnie należało się spodziewać.

Popatrzył na zegarek. W słabym świetle mrużył oczy, aż przypomniał sobie, że może przecież podświetlić tarczę. Dochodziła szóstka trzydzieści. Zgodnie z tak zwanym planem miał niespełna dwie godziny, podczas których policja powinna wstrzymać jego poszukiwania. To wystarczająco dużo czasu, ale właściwie na co? Zamknął oczy, usilnie starając się zmusić umysł do sprawniejszej pracy. Cholerny, przegrzany mózg. Jezu! Nie jestem w stanie się skupić. Muszę coś zrobić. Nie mogą dorwać mnie jak psa. I muszę dopaść tego drania Stafforda.

Sięgnął do schowka, gdzie znalazł butelkę z advilem. Połknął trzy tabletki w polewie cukrowej i dopiero teraz naprawdę zamarzył o butelce wody. Stafford, łgałeś jak pies - myślał w gorączce. Graniteville to pułapka.

Graniteville. Graniteville. Skąd znał tę nazwę? Z całych sił zacisnął powieki i spróbował sobie przypomnieć. Przed oczami przelatywały mu jakieś beładne obrazy;

Graniteville.

Dlaczego jest tu Stafford?

Nagle przyszło skojarzenie. Ta ciemnowłosa kobieta z lotniska i dzieciak z oczami jak lasery. To wtedy stracił przytomność. Jego ciałem wstrząsnęły dreszcze, bo już wiedział, co go czeka.

- Nie, nie - jęknął próbując otworzyć oczy, ale były jak zaklejone.

Znów znalazł się w tym samym śnie, pogrążony w rzece.

Razem z potępionymi duszami. Nieuchronnie zmierzał w stronę wodospadu. Stafford dowiedział się

właśnie w ten sposób. Jak jednak odgadła to dziewczyna?

Wnikający do jego

wnętrza wzrok, ten sen, utrata przytomności na lotnisku. To ta dziewczyna. Po-

wiedziała swojej matce, albo kobiecie, kimkolwiek dla niej była, czego się do-

wiedziała. Ona z kolei poinformowała o tym Stafforda. Właśnie

dlatego inspektor DCIS pojechał wtedy do Graniteville. A teraz był tu, a nie w Atlancie. Pełnił tylko rolę posłańca - nastolatka zaś była świadkiem! Jeżeli to prawda, to jego plan zniszczenia Stafforda nic nie da. Przynajmniej dopóki żyła ta dziewczyna. Do diabła, ona jest zaledwie kilka kilometrów stąd - w domu Willow Grove. Najpierw musi napić się wody, chociaż tyk. A później trzeba zdobyć mapę. Musi istnieć jakaś inna droga do Graniteville.

### **Wtorek, dom Willow Grove, Graniteville, Georgia, 19.20**

Stafford tym razem włożył kurtkę, gdy wraz z szeryfem wybrał się na obchód terenu. Niebo przetarło się i jasno świeciły gwiazdy, które niknęły za wysokim horyzontem stworzonym przez szczyty gór. Obeszli podwórze, staw, oba laski i zabudowania gospodarcze. Szli nie spiesząc się. Warren palił kolejnego papierosa, a Dave rozmyślał nad tym, co dzisiaj usłyszał. Wracali już do domu od stony stodoły, kiedy policjant zatrzymał się i uniósł dłoń, nakazując ciszę.

237

- Proszę posłuchać.

Były inspektor dochodzeniowy wytężył słuch i natychmiast usłyszał podejrzany dźwięk: potężny silnik samochodu, jadącego drogą obok posiadłości. Nie, s to były dwa pojazdy, ale nie ciężarówki. Wydało mu się, że rozpoznaje ich basowe brzmienie.

• Według mnie to wojskowe wozy - powiedział cicho. - Co oni tu robią, do diabła? Myślałem, że zjawi się tylko FBI.

• Bo tak miało być - rzekł szeryf rzucając na ziemię niedopałek i przydeptując go.

Wspólnie minęli staw i znaleźli się przed domem, w momencie kiedy dwa suburbany skręciły na podjazd i oślepiły ich swoimi potężnymi reflektorami. Zatrzymały się obok policyjnego radiowozu, a ich kierowcy zgasili silniki. Stafford natychmiast rozpoznał postać wysokiego mężczyzny, który wysiadł z jednego wozu.

• Banie Stafford - przemówił generał. - Znowu się spotykamy.

• Generał Carrothers, jak sądzę - odpowiedział Dave. - To pan John Lee Warren - szeryf okręgu Longstreet.

Wojskowy podszedł do obu mężczyzn i uściśnął dłoń policjanta. Był o kilka centymetrów wyższy od mieszkańca Graniteville. Przez długą chwilę badawczo mierzyli się wzrokiem. Stafford wyjaśnił w kilku słowach kim jest Carrothers.

- Nie spodziewaliśmy się tu wojska. Nie uczestniczycie bezpośrednio w re-alizacji warunków umowy. Szczerze mówiąc, jeśli Carson...
- Umowy? Jakiej umowy? - zdziwił się generał.
- Ray Sparks nic panu nie powiedział? Carson zadzwonił do mnie. Zgodził się oddać w ręce władz. Przekaze pojemnik, kiedy tylko będzie pewien, że jest bezpieczny. Albo powie FBI, gdzie go ukrył.

Carrothers powoli wypuścił powietrze z płuc.

- A to drań. Nie, nie zostałem o tym powiadomiony.

-No cóż, pańska obecność stanowi poważną komplikację. Carson boi się, że chodzi wam tylko o zlikwidowanie go. Wycofałby się z omowy, gdyby-Zobaczył wasze samochody. Ma zjawić się o dwudziestej. Do tego Czasu zostało jakieś pół godziny.

- Przyjeżdża tutaj?

-Nie. Do samego Graniteville. O ósmej.

W radiowozie odezwał się sygnał telefonu. Szeryf wyjął go z wozu i przyłożył do ucha. Najpierw słuchał długo, po czym powiedział kilka słów i rozłączył się. FBI jest już na miejscu, panie generale. Powiedziałem im, że pan tu jest. Facet o nazwisku Kiesling chce, żeby się pan do niego odezwał. Był mocno wzburzony.

- Nie mam ochoty teraz z nim mówić, szeryfie.
- Proponuję więc, żebyście przejechali do kamieniołomu ponad miastem.

Tambędzicie w pobliżu wydarzeń, a jednocześnie nikt was nie zauważy. Dysponujecie radiostacjami?

238

-Oczywiście.

- Proponuję się pospieszyć - rzekł Stafford. - Ja zostanę tutaj.
- Dlaczego? - zapytał generał. - Skoro Carson skontaktował się właśnie z panem, przypuszczam, że chciał, by uczestniczył pan bezpośrednio w zawarciu umowy.

- Rzeczywiście. Nie ufam jemu ani FBI. Wiem o całym zamieszaniu zdecydowanie więcej, niż powinienem.
- Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie Stafford. Przybyłem tu, by z panem porozmawiać, ale teraz lepiej już odjedziemy. Może później znajdziemy nieco więcej czasu.

Dave kiwnął głową. Szeryf i wojskowi wrócili do swoich samochodów i odjechali. Nagła cisza aż dźwięczała w uszach. Stafford usiadł na schodkach przy wejściu na werandę i zadumał się. Jeśli nic nie pokrzyżuje planów, kryzys zostanie zażegnany w ciągu najbliższych czterdziestu minut.

Popatrzył w jasne gwiazdy migoczące ponad szczytami górskimi. Teraz, kie-

dy wszyscy zniknęli, wsłuchał się w otaczające go dźwięki, spośród których najgłośniejszy był rechot żab w stawie. Mimo braku księżycy, widok na okolicę był zaskakująco dobry. Romantyczna atmosfera skłoniła go do zastanowienia się, gdzie jest teraz Gwen. Bezpieczna, wśród swoich przyjaciół, którzy nigdy nie zostaną jego zaufanymi. Wielki komar przeleciał obok jego prawego ucha, na co odruchowo machnął ręką. Koniec z romansami, uznał, po czym wstał i zniknął w domu.

Wendell Carson patrzył ze skraju orzechowego zagajnika, jak pojazdy wojskowe i radiowóz szeryfa opuszczają teren Willow Grove. Przykleknął za rozsypanym się murkiem, jakieś dwadzieścia metrów od podjazdu.

Jego samochód stał ukryty kilkaset metrów stamtąd, między drzewami, po drugiej stronie drogi.

Było dokładnie tak, jak przypuszczał. Ani śladu FBI. Tylko wojsko, któremu pomagał miejscowy szeryf. Nie widział wyraźnie w ciemnościach, ale trzecim

mężczyzną stojącym przy samochodach musiał być Stafford.

Wszystko, czego

dowiedział się o FBI i samej umowie, było kłamstwem.

Usatysfakcjonowany po-

kiwał głową. Postawili już krzyżyk na starym Wendellu Carsonie, ale on rozszy-

frował ich podstępne zamiary. Rodziło się teraz pytanie, co zrobić

w związku

z zaistniałą sytuacją? Zmienił nieco pozycję, starając się

złagodzić ból. Mięśnie

na plecach miał przez cały czas spięte i obolałe. Łyknął jeszcze

kilka tabletek

adwila, by ograniczyć ból głowy i opróżnił pięć z sześciu butelek

wody, które

kupił w recepcji. Wciąż jednak chciało mu się pić.

Tak trudno było się skupić. Za każdym razem, kiedy starał się uporządkować

myśli, przeszkadzał mu ból w plecach i łupanie w głowie. Był

spocony jak mysz,

mimo że w wieczornym powietrzu czuć było chłód. Jego ubranie

nieświeżo pach-

niało. Próbował wziąć prysznic w swoim bungalowie, ale prawie

się przewrócił,

zanim jeszcze wszedł do kabiny. Desperacko starał się

zmodyfikować swój plan.

239

Zależało mu, by oddać się w ręce władz i w ten sposób

zapewnić sobie bezpie-

czeństwo. Wtedy będzie mógł powiedzieć, gdzie ukrył cylinder i

zasugeruje, że

to Stafford był współodpowiedzialny za kradzież pojemnika, który

obecnie spo-

czywał w lodówce, w bagażniku jego samochodu.

Ten drań go okłamał. W Graniteville nie czekał na niego nikt,

kto chciał za-  
wrzeć z nim uczciwy układ. Było tylko czekające w kryjówece  
wojsko. Chcieli  
odzyskać swoją broń, a na dodatek zależało im, by do końca  
zachować sprawę  
w tajemnicy. Wypuścił powietrze z płuc. Był chory. Nastąpiła  
infekcja z powodu  
niewłaściwie zdezynfekowanej i opatrzonej rany. Nie chciał tu  
zginąć, w lesie,  
jak jakiś ranny jeleń, ale właśnie tak się stanie, jeżeli szybko  
czegoś nie zrobi.  
Armia czekała już na niego w miasteczku. Co zrobią, kiedy  
stwierdzą, że się nie  
zjawi?

Na moment zamknął oczy. Nie miał zielonego pojęcia jak on  
powinien postą-  
pić. Ponownie popatrzył na dom. Mieściła się tu szkoła i  
sierociniec. Na górze  
widoczne były światła, co znaczyło, że są tam dzieci i Stafford.  
Założmy, że do-  
stanie się do środka i weźmie wszystkich jako zakładników.  
Zagrozi otwarciem  
pojemnika. A później zatelefonuje... do kogo? Do szeryfa? Nie,  
przecież on był  
w zмовie z armią. Lepiej: zagrozi, że skontaktuje się z mediami.  
Na przykład  
z którąś ze stacji telewizyjnych z Atlanty. Postawi warunek, aby  
wojsko się wyco-  
fało, a jego miejsce zajęło FBI, które doprowadzi wszystko do  
szczęśliwego koń-  
ca. Tak, to dobry pomysł. Armii zależy przecież na utajnieniu  
sprawy. Weźmie  
zakładników, zagrozi ujawnieniem kryzysu, a jeśli ktoś będzie  
chciał mu prze-  
szkodzić, zagrozi zastrzeleniem dzieciaków albo otwarciem  
cylindra. Niech przy-  
będą gliniarze i zgrają dziennikarzy, a wtedy dowiedzą się, że  
złoczyńca w środ-  
ku jest w posiadaniu gazu bojowego.

Pojawiało się pytanie, czy stać go na podjęcie takich działań,  
zastrzelenie  
dziecka albo otwarcie pojemnika. Obawiał się, że tego nie Zrobi,  
ale tamci nie  
mogli o tym wiedzieć. Na pewno będą zakładać najgorszy wariant  
z możliwych.

Jednego był pewien - nie ma zbyt wiele czasu.

Jeszcze raz wyjrzał zza murku na duży dom: Światło na  
przedniej weran-  
dzie było włączone. Z tyłu też widać było poświatę,  
niewykluczone, że z kuch-  
ni. Nie trzymano tu pewnie żadnego psa. W środku byli tylko  
Stafford i dziecia-  
ki. Może jeszcze jakaś opiekunka. Ile może być maluchów? Jakie  
to ma znaczenie.  
Tak naprawdę liczył się tylko Stafford. Szkoda marnować czas na roz-  
myślenia. Przede wszystkim musi pójść po pojemnik. Podkradnie  
się później  
do środka, znajdzie Stafforda i weźmie go z zaskoczenia.  
Wyprostował się, na  
co plecy zareagowały żywym ogniem. Ruszaj, przykazał sobie,  
zataczając się  
lekkim. Nie jesteś drugim Jamesem Bondem, więc bierz się za

robotę, póki jeszcze możesz.

Telefon w kuchni zadzwonił za piętnaście dziewiąta. To szeryf.

- Z pewnością już się nie zjawi ogłosił.
- Cholera! - zaklął Stafford. - Ludzie z Biura nie nawalili?

240

• O tak. Trzy pełne samochody. Płaszcz i krawaty, poważne twarze, prawdziwi profesjonaliści. Są naprawdę wkurzeni. Ich szef jest przekonany, że pan ma coś na sumieniu.

• No cóż, Ray ostrzegł mnie przed tym. Zachowują się w cywilizowany sposób?

- Poniekąd. Do wszystkich zwracają się pełn "pan".

Dave roześmiał się.

• Nic nie przychodzi mi do głowy. Chyba pozostaj e nam tylko czekać. Wyda-  
je mi się, że Carson mówił poważnie, chcąc się ujawnić. Ma świadomość, że pojemnik jest jedyną rzeczą, jaką ma na sprzedaż.

• To prawda. Agenci zajęli pozycje i jeszcze czekają. Jeśli Carson się zjawi; przejmą go, ale z ich zachowania wnioskuję, że byłoby lepiej, by niczym się im nie naraził. Zajęli się wznowieniem zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań.

- To jasne - uznał Dave. - Wiedzą, że wojsko tu jest?
- Tak. Czeka w kamieniołomach. Kontaktowali się ze mną niedawno. Głównie

rał jest w drodze do centrum miasteczka.

• W porządku. Jeżeli Carson się do mnie odezwie, natychmiast was o tym powiadomię.

- Wszystko u pana w porządku? - zapytał policjant
- Pyta pan, czy Carson nie celuje mi teraz prosto w głowę?

Niestety nie.

Stafford odłożył słuchawkę i zabrał się za przygotowanie kolejnego kubka

kawy. Ten idiota wszystko zepsuje. Myślami jeszcze raz wrócił do zauważonej poprzednio słabości w głosie Carsona. Mogła stanowić dowód, że jest ranny. Nie podobały mu się też sugestie FBI, że współpracuje z byłym szefem DRMO, szczególnie po tym, jak ten nie zjawił się na umówione spotkanie.

### **Wtorek, biuro szeryfa, Graniteville, Georgia, 21.00**

Carrothers wszedł do biura szeryfa w chwili, gdy ten odłożył słuchawkę. Agent Specjalny FBI - Kiesling stał tuż za plecami generała. Wyglądał na mocno niezadowolonego.

- No i gdzie on jest, do diabła? - zapytał generał.

• Trudno powiedzieć - rzekł Kiesling z niesmakiem. - Wydawało mi się, że

zgodnie z umową miał pan zostać w Fort Gillem, panie generale.

- Otrzymałem nowe rozkazy. Pentagon chciał, abym porozmawiał ze Staffordem.

- Mógł mnie pan o tym powiadomić. Wciąż uważam, że nasz przyjaciel Stafford robi nas w balona.

- Na jakiej podstawie? - zainteresował się Carrothers. - Gdyby miał coś na sumieniu, już dawno zniknąłby z Carsonem i waszymi pieniędzmi, a nie siedział tuż obok i jeszcze przed chwilą rozmawiał z szeryfem przez telefon.

Agent zmarszczył czoło, po czym bez słowa opuścił gabinet, zapewne by sprawdzić swoich ludzi, rozmieszczonych na placu. Szeryf wyjaśnił, że rozsta-

241

wiono trzy samochody, każdy z dwoma ludźmi w środku. Ich zadaniem było odcięcie drogi ucieczki Carsonowi, gdyby jednak się pojawił. Wojskowy zwrócił uwagę na fakt, że Warren od czasu do czasu spoglądał na aparat telefoniczny.

- O co chodzi? - zapytał.
- Niepokoi mnie coś, co przed chwilą powiedział Stafford. Zapytałem czy u niego wszystko w porządku, a on odparł: „Pyta pan, czy Carson nie celuje mi teraz prosto w głowę? Niestety nie.”

- Może to był tylko żart. Jest sam w Willow Grove, prawda?
- Właściwie tak. Oprócz niego jest tylko nocna opiekunka i dzieci.

- Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego Carson mógłby się tam wybrać?

Szeryf badawczo popatrzył spod gęstych, krzaczastych brwi na swego rozmówcę. Carrothersowi wydawało się, że policjant jest mniej więcej w tym samym wieku co on. Musiał przyznać, że on nie miał aż tak pokerowej twarzy.

• Nic mi o tym nie wiadomo - odparł gospodarz po chwili zastanowienia. -

Ma pan ochotę na kawę, panie generale?

• Tak, poproszę - odparł niemal automatycznie Carrothers. Ostatnio funkcjonował wyłącznie dzięki kofeinie. Wyszli na korytarz, gdzie stał ekspres. Pozostałe pomieszczenia były puste, tylko w sali zastępców paliło się światło.

Jak dużo ci z FBI powiedzieli panu o mających tu miejsce zdarzeniach, szeryfie?

• Właściwie nic, chociaż wiem, że to w ich stylu. Dowiedziałem się tylko, że Wendell Carson to złoczyńca, człowiek niebezpieczny i uzbrojony. Znajduje się w posiadaniu czegoś, co władze bardzo chcą odzyskać i gotowe są pertraktować, by tak się stało. Zgadza się?

• Tak!  
Wojskowy miał ochotę zdradzić wszystkie szczegóły, ale musiał trzymać się ściśle rozkazów. Obecnie tylko Kiesling, Sparks i Stafford wiedzieli, co naprawdę ma Carson.

Policjant posłał mu ciekawe spojrzenie, jakby zastanawiając się nad czytał Wreszcie z zadumą pokiwał głową. •

- A według mnie to jedna wielka bzdura. Tak naprawdę to Carson uciekł 2 pojemnikami gazu bojowego, stanowiącego własność armii. Stafford dowi<sup>1\*</sup>

dział się o tym od jednego z dzieci, zamieszkującego Willow Grove, a ściśle mówiąc od dziewczyny o zdolnościach paranormalnych. Powodem zaś, dla którego Carson może się udać właśnie tam, może być chęć uciszenia tej nastolatki, a wraz z nią Stafforda. To prawda, panie generale?

Carrothers nie miał pojęcia co odpowiedzieć. Długo przyglądał się rozmówcy, rozejrzał się po pustym korytarzu, czy nikt ich nie podsłuchuje i wreszcie przytaknął.

- Niemal - przyznał, po czym zrelacjonował udział FBI w pierwotnym planie, nie sprzedania pojemnika przez Carsona.

242

Stróż prawa uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

- Niezłego bigosu sobie narobiliście - stwierdził. - Najpierw gubicie taką rzecz, później pracownik rządowy jąkradnie, a wreszcie próbuje sprzedać to FBI, które ukrywa sprawę przed wojskiem. Nic dziwnego, że wszelkiego rodzaju kręta- taczom tak dobrze powodzi się w obecnych czasach.

Generał był w stanie wykonać tylko potwierdzający ruch głową.

• Teraz obie instytucje muszą odzyskać zgubę- ciągnął szeryf. - Wam nie wolno się przyznać, że ją straciliście, a Biuro broni się przed

ujawnieniem, że ich człowiek jest odpowiedzialny za ucieczkę Carsona.

• A dodatkowo chodzi o fakt, iż Stracili jednego z agentów podczas incyden-  
tu w Fort Gillem.

Uśmiech zniknął z twarzy szeryfa.

• Naprawdę? Proszę powiedzieć, czy Stafford o tym wie? I o roli FBI w pier-  
wotnym planie sprzedaży cylindra?

• Zgodnie z moją wiedzą - nie. Stafford usiłował ostrzec nas, że Carson ma  
tę broń. Najpierw poinformował o tym swojego szefa, a później mnie. Nie słu-  
chaliśmy go uważnie. Rzecz w tym, że nikt nie był w stanie wydedukować, w jaki  
sposób mógł wejść w posiadanie takich informacji, dopóki jego przełożony nic  
powiedział o dziewczynie. To było oczywiście po tym, jak Carson uciekł.

• Tak, dziewczyna-powiedział cicho John Lee, opadając na fotel. - Widzi

pan, wszyscy martwiliśmy się tym, że ta sprawa może sięgnąć swym zasięgiem  
Graniteville. W związku z tym nieco wcześniej odesłaliśmy dziewczynę wraz z dy-  
rektorką ośrodka - Gwen Warren moją byłą żoną- w bezpieczne miejsce.

• Dokąd?

- Tam, gdzie nic jej nie grozi - odparł szeryf dając jednoznacznie do zrozu-  
mienia, że nic więcej nie zdradzi. - 'Jeśli Carson zjawi się w Willow Grove, bę-  
dzie bardzo rozczarowany.

- Może tam dopaść Stafforda, na co niewątpliwie ma ogromną ochotę.  
Policjant zadumał się nad tymi słowami.

• Tak. Może dopaść Stafforda. Widzi pan, jego uwaga sprawiła, że ogarnęło  
mnie jakieś złe przeczucie. Chyba dla własnego spokoju przejadę się zaraz do  
Willow Grove.-

• Myślę, że to całkiem dobry pomysł, szeryfie. My zaś poczekamy jeszcze na  
Carsona.

I spróbujemy nieco Uspokoić Kieslinga i jego ludzi -dodał w myślach gene-  
rał. Kiesling niewątpliwie odezwał się już do Departamentu Sprawiedliwości, by  
donieść o obecności Carrothersa w Graniteville.

- Tak, zgadzam się. Na pana miejscu trzymałbym swoich ludzi na uboczu,  
w kamieniołomach i pozwolił FBI działać. Oni również bardzo chcą mieć go  
w swoich rękach.

Wojskowy coraz bardziej martwił się obecną sytuacją. Biuro opierając się  
na sugestywnym zachowaniu Kieslinga, chciało, by Carson jak najszybciej wy-  
łądował w worku dla trupów. Generał Waddell także nie miał nic przeciwko  
temu.

**Wtorek, dom Willow Grove, Graniteville, Georgia, 21.15**

Carson nie podszedł prosto do domu. Wrócił do samochodu, zabrał stamtąd cylinder i schował do torby. Do kieszeni wsunął rewolwer, wypił ostatnią butelkę wody i podążył wzdłuż drogi. Zawahał się, kiedy dotarł do wschodniej granicy posiadłości, lecz ostatecznie postanowił trzymać się wytyczonej trasy. Minie budynki, przemierzy łąkę i zniknie w lasu wierzbowym po drugiej stronie stawu.

Drzewa zapewnią mu osłonę i możliwość zbliżenia się do domu. Trwało kwadrans nim przedostał się na skraj lasu, od tyłu budynku. Widział okno kuchni, ale musiał się zbliżyć, by stwierdzić, czy jest tam Stafford. Przedzierając się przez gęsty lasek dostrzegł jeszcze jeden problem: był po niewłaściwej stronie potoku zasilającego staw. W miejscu, w którym się znajdował, rzeczka miała ponad trzy metry szerokości i choć nie była głęboka, miała prawie pionowe zbocza. Stwierdził, że przy obecnej kondycji nie będzie w stanie ich pokonać.

I co teraz? Był znużony i znów starał się zebrać myśli. Musiał przedostać się na podwórze po drugiej stronie. Może gdzieś wyżej znajduje się mostek, ale i tak musiałby się przedzierać wśród splątanych gałęzi, między którymi aż roiło się od wszelkiego robactwa. I tak miał spore problemy z poruszaniem się. W porządku, uznał. Wycofaj się do grobli. Przedostał się na podjazd i trzymaj w cieniu rosnących tam drzew. Nie dadzą tak dobrej osłony jak te wierzby, ale przynajmniej będziesz mógł dotrzeć do domu.

Odpoczywał przez kilka minut. Wsluchiwał się w dźwięki nocy i próbował uspokoić przyspieszony oddech. Wreszcie ruszył tą samą drogą, którą tu przyszedł. Rękoma rozgarniał smagające go po twarzy gałęzie i opędział się od chmary krążących wokół niego owadów. Właściwie nie wiedział, w którą stronę iść i dwukrotnie musiał wycofywać się na skraj stawu. Pilnuj, żeby mieć wodę z lewej, aż dojdiesz do grobli i drogi - powtarzał sobie. W wilgotnym powietrzu jego ciało aż lepilo się od potu. Znów musiał się zatrzymać dla zaczerpięcia tchu, gdy dotarł na skraj stawu. Wtedy usłyszał odległy dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodowych. Pewnie gdzieś na drodze.

Zamarł i cały zamienił się w słuch. Początkowo dochodziło go tylko dudnienie własnego serca. Czyżby jakiś samochód tu przyjechał, a on nic nie usłyszał?

To przez te wierzby - stwierdził. Taka plątanina gałęzi skutecznie

stłumiła hałas.

Usłyszał jeszcze coś innego: kogoś po drugiej stronie grobli, przedzierającego się przez zagajnik, kto się zbytnio nie spieszył. Wykonywał pewne ruchy, po których następowała chwila wyczekiwania.

Nasłuchuje przed każdym kolejnym krokiem - stwierdził Carson. Ja powiniennem postępować tak samo. Ostrożnie położył torbę w trawie i sięgnął po rewolwer. Na skraju grobli roślinność była tak bujna, że poślizgnął się na wilgotnej trawie i wylądował na kolanach. Zaciśnął zęby, aby nie wydać głośnego jęku z bólu.

Owady wlatywały mu prosto w oczy, ale przestał zwracać na nie uwagę. Ze swojego miejsca widział całą długą na jakieś osiem metrów groblę.

Czekał, czując jak drętwieją mu stopniowo plecy i nogi. Po upływie kilku minut usłyszał niewidocznego przybysza, przedzierającego się przez rzadziej ro-

244

snące już wierzby Wreszcie zobaczył wysoką, o włosach przetykanych siwizną postać. Zobaczył na jego piersi gwiazdę szeryfa.

- Stać - polecił i policjant znieruchomiał.

- To pan musi być tym sławnym Carsonem - rzekł Warren.

Betonowa grobla miała jakieś pół metra szerokości, a on nie miał żadnych problemów z utrzymaniem się na niej. Z jego prawej strony znajdowała się ciemna powierzchnia stawu, a z lewej ustęp wodny o wysokości mniej więcej trzech metrów. Szeryf stał akurat ponad wąskim przepływem, przez który do zbiornika poniżej przelewał się nadmiar wody. Carson obejrzał się przez ramię, ale światła domu były ledwie widoczne pośród płataniny gałęzi.

- Zgadza się - rzekł. - Gdzie zostawił pan wojsko?

- Wojsko? Są w kamieniołomach i czekają, aż agenci FBI przekażą im informację, gdzie znajduje się broń.

- Jacy agenci FBI?

- Ci, którzy mieli pana przejąć, panie Carson. Są w moim biurze, w budynku sądu okręgowego.

- Nie wierzę panu. Jest tylko armia. Stafford kłamał. Wszyscy łżecie.

Szeryf powoli uniósł prawą rękę i rozgniół nią komara gryzącego go w szyję. Carson w odpowiedzi wymierzył w niego lufę swej broni.

Rewolwer coraz bardziej mu ciążył. John Lee opuścił rękę, ale nie uszło uwadze mieszkańca Atlanty, iż przy okazji rozpiął pasek zabezpieczający broń w kaburze.

-Nie, mówimy prawdę. Cała zgraja federalnych opija się u mnie kawą wścieka na pana. Nawet prawnik dawno już czeka w wyznaczonym miejscu. Jeśli gdzie pan ze mną, załatwimy wszystko tak, jak zostało to ustalone. Nikt nie chce

żadnych kłopotów.

Carson pokręcił głową i skrzywił się. Nie da się znów oszukać. Jeżeli wszystko wyglądało tak, jak przedstawił szeryf, to co on tu właściwie robił? Skradał się w krzakach? Zapytał o to policjanta.

- Kilka minut temu zatelefonowałem do Stafforda i zapytałem, czy odzywał się pan do niego ponownie, ponieważ umówione spotkanie nie doszło do skutku.

Chciałem wiedzieć, czy jest tutaj wszystko w porządku. Przyjechałem sprawdzić to osobiście, bo nie byłem tego pewien.

\ -Sam?

Warren zerknął w lewo, na ciemny las.

- Tak, absolutnie sam.

Carson przesunął się nieco, tak by od ewentualnego pomocnika, znajdującego się na drodze odgrodziło go gęste drzewo.

- Proszę wyjąć broń i rzucić ją do wody - polecił.

Szeryf przyglądał mu się długo, na co uciekinier ponownie, już precyzyjnie skierował lufę w jego stronę.

- Dzieli nas zaledwie pięć metrów - rzekł. - Nawet ja trafię z takiej odległości.

Policjant wciąż nie spuszczał z niego wzroku, a dłoń trzymał w pobliżu kabury.

245

• Tak, panie Carson, może panu dopisać szczęście i trafić pan. Zastanawiam się, czy rzeczywiście stać pana na zastrzelenie człowieka. To trudniejsze, niż pokazują w telewizji, tym bardziej jeśli oponent jednocześnie sięga po czterydziesiąt pięć. Poza tym nie wygląda mi pan na całkiem sprawnego. Chwieje się pan, a pański głos jest słaby i drżący. Wydaje mi się, że mamy podobne szanse w tym pojedynku. Ja wiem, że trafię z pięciu metrów.

• Niech pan wyjmie broń dwoma palcami i rzuci ją do stawu.

Carson dla pewności podparł rewolwer drugą ręką w taki sposób, jak widział to na filmach. Zaszcło mu w ustach, a serce stopniowo, lecz nieubłaganie przyspieszało swój rytm.

John Lee położył dwa palce na kolbie, zamarł tak na chwilę i wreszcie wyjął broń lufą do dołu. Schylił się i położył ją na betonowym murku. Przyglądał się pistoletowi i stopniowo pochylał.

- Niech pan kopnie ją butem! - warknął Wendell, ale szeryf wciąż się poruszał.

Wreszcie Warren dłonią pchnął broń, a ta zachrzęściła na betonie i z pluskiem wylądowała w wodzie. Carson odprężył się nieco, lecz nagle spostrzegł błysk metalu w prawej ręce szeryfa. To drugi pistolet, ukryty na łydce. Nie wahał się.

Nacisnął spust i rewolwer kaliber 38 odrzuciło do tyłu. Błysk na moment go oślepił. Dobiegł go stłumiony jęk, a chwilę później potężne ciało szeryfa zsunęło się po betonowej grobli i z głośnym pluskiem wpadło do jeziora. Szef DRMO ukląkł na skraju grobli i wpatrywał się w powierzchnię wody. Widać było tylko stopniowo niknące fale. Wydawało mu się, że na skośnej ścianie grobli dostrzega ciemną smugę krwi, która stopniowo zniknęła, zmywana przez ściekającą wodę.

Wstał i niepewnym krokiem wycofał się po leżącą między drzewami torbę z cylindrem. Powietrze wypełniał ostry zapach prochu. W uszach wciąż mu dzwoniło i dopiero teraz uświadomił sobie, że z całych sił ścisną kolbę rewolweru. Wsunął go za pas, nie zwracając uwagi na temperaturę lufy. Sam nie mógł uwierzyć w to, co zrobił. Zabił policjanta. Ból pleców zniknął na moment, kiedy szybkim krokiem przemierzał groblę. Wydostał się pomiędzy wierzb i oddychając chrapliwie, najszybciej jak się dało, ruszył w stronę domu.

Stafford aż podskoczył na krześle w kuchni na dźwięk strzału i rozlał kawę. Wydawało mu się, że odgłos dobiegł od strony stawu. Przez chwilę nasłuchiwał, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu. Nie znał numeru do biura szeryfa, wybrał więc 911. Rozległ się kobiecy głos, który z południowym akcentem zapytał co się stało.

- Strzelanina w domu Willow proye! -- krzyknął. - Jak najszybciej ściągnijcie tu szeryfa Warrena!

Odwiesił słuchawkę i nerwowo rozejrzył się po kuchni w poszukiwaniu rewolweru albo jakiegokolwiek innej broni. Uświadomił sobie jednak, że ze względu na dzieci niczego tu nie znajdzie. Z góry zawołała zaniepokojona pani Benning, pytając co się dzieje.

246

- Proszę tam zostać, pani Benning - zawołał. - Proszę pilnować dzieci i nie wychodzić z pokoju, dopóki nie powiem, że już można. Wyjdę, żeby zobaczyć kto jest na zewnątrz. Zatelefonowałem już po szeryfa.

Zgasił światło w kuchni oraz w korytarzu. Drzwi frontowe były otwarte, ale nic nie widział na zewnątrz z powodu lampy włączonej na werandzie. Wreszcie zlokalizował właściwy przełącznik. Zgasił światło i stał przy drzwiach nasłuchując. Delikatny wietrzyk gładził gałązki orzechów i marszczył powierzchnię stawu szeptał pośród wierzb. Słyszał jak pani Benning chodziła na

górze i zamykała drzwi. Wszystko wskazywało na to, że dzieci się nie obudziły. Zerknął na zegarek. Była dziewiąta dwadzieścia.

Skupił uwagę na dźwiękach z zewnątrz, starając się wychwycić czyjeś kroki. Stary dom wydawał własne głosy, szczególnie gdy powietrze dość gwałtownie się schłodziło. Bez wątplenia rozległ się strzał, zapewne z krótkiej broni, kaliber 38.

Czuł się zupełnie bezsilny tylko z jedną sprawną ręką, bez dodatkowego zabezpieczenia. Właściwie i tak nie potrafił strzelać lewą ręką.

Największy problem związany był z ilością drzwi i werand. Ostrożnie zamknął na klucz frontowe wejście. Następnie przeszedł do części należącej do Gwen i zamknął drzwi francuskie wychodzące na jej boczny taras. To samo zrobił z drzwiami w jej sypialni. Zajrzał do biura i sprawdził alkowę, ale stamtąd nie było wyjścia. Wreszcie wrócił do kuchni. Zapomniał zgasić zewnętrzne światło na tamtej werandzie. Na jego tle od razu widział, że w kuchni nie ma nikogo, ale jadalnia pozostawała już w cieniu. Nie miał także pojęcia, co dzieje się na tylnym podwórku. Szeryf już wcześniej zamknął wejście kuchenne. Dave zatrzymał się przed drzwiami do kuchni i znów nasłuchiwał, żałując, że w razie potrzeby nie ma się czym bronić. Niestety, pozostawało mu tylko zamykać się w środku i czekać na przybycie pomocy.

Przeszedł po kuchni, starając się jak najmniej hałasować. Minął stary piec, Stół z leżącą na nim torbą, dalej... Zamarł.

- Zastanawiałem się, kiedy to zobaczysz - z półmroku rozległ się głos Carsona.

Stafford westchnął ciężko i spojrzał do tyłu, w stronę, gdzie znajdował się

iftrUz. Widział tylko zarys jego postaci na krześle.

- Okłamałeś mnie, Stafford. Mówiłeś, że wszystko odbędzie się według umowy.
- Bo tak miało być. Co najmniej kilku agentów FBI oraz szeryf czekają teraz w biurze, w Graniteville i zastanawiają się gdzie przebywasz.

• Kolejne kłamstwo, ty draniu- rzucił Carson i poruszył się tak, że Stafford dostrzegł błysk broni w jego rękach. - Właśnie spotkaliśmy się z szeryfem. Wcale nie był w miasteczku. Węszył wokół domu.

- Co się stało?
- Trafiłem go, a co innego. Wylądował w jeziorze, poniżej grobli. Kazałem mu się pozbyć broni, ale miał drugą, na łydce. Już po nią sięgał i zamierzał mnie zastrzelić, ale nie udało mu się.

Dave pomyślał o swoim telefonie na policję. Żałował, że nie mógł zobaczyć twarzy Carsona. Facet bez wątplenia sprawiał wrażenie chorego albo rannego.

Zrobił krok naprzód, by mu się przyjrzeć, ale stanął na dźwięk odbezpieczanego zamka.

- Nie zbliżaj się. Już zabiłem dziś jednego glinę. Tamten miał wątpliwości, czy będzie mnie na to stać. Do diabła, sam nie wierzyłem, że to zrobię. Z drugim pójdzie już dużo lepiej. W tej torbie jest pojemnik. Weź go i włóż do lodówki.

- Do lodówki?

- Zrób to. Coś gotuje się w środku, a ja nie mam jeszcze ochoty, by się otworzył. Później przynieś mi telefon.

-Telefon?

- Bawisz się w echo? Tak, telefon. Postaw go na stole i usiądź przy nim.

Wybierzesz mi numer do filii NBC w Atlancie. Wendell Carson zamierza wystąpić w telewizji.

Stafford otworzył torbę i wyjął z niej dość ciężki cylinder.

Wyglądał dokładnie

nie tak, jak na rysunku i ekranie monitora. Metalowa powierzchnia była ciepła

i wilgotna. Po jego plecach przebiegł dreszcz, kiedy uświadomił sobie, co znaj-

duje się w środku. Otworzył drzwi lodówki i położył go na najwyższej półce,

obok kartonu z mlekiem. Zabrał aparat telefoniczny i powoli postawił go na stole

w jadalni. Dostrzegł też fragment twarzy uciekiniera, lecz nie był w stanie rozpo-

znać jej wyrazu. Słyszał tylko jego ciężki oddech. W momencie, gdy usiadł na

krześle, zadzwonił telefon.

-No dalej, odbierz.

Posłuchał. Operatorka policyjna poprosiła o potwierdzenie zgłoszenia. Stafford zerknął na Carsona.

- Zatelefonowałem na policję - wyjaśnił, ustawiając słuchawkę w taki spo-

sób, by kobieta słyszała jego słowa. - Co mam powiedzieć?

- Prawdę. Powiedz, że ty i wszyscy domownicy jesteście moimi zakładnika-

mi. Powiedz, że mam broń i cylinder wypełniony gazem bojowym, I zacznę zabi-

jać dzieci, jeżeli spróbują wdrzeć się do domu. Otworzę pojemnik i zabiję wszyst-

kich w całym okręgu\* Powiedz im to i rozłącz się . Chcę skorzystać z telefonu.

Oczekiwanie na ekipę telewizyjną z Atlanty nie przebiegało spokojnie. Na

drodze stanowej pojawiło się mnóstwo różnych pojazdów, należących do policji

okręgowej, FBI, wojska, policji stanowej oraz ciekawskich mieszkańców i sił

ochotniczych.

Carson wpadł we wściekłość, gdy dowiedział się, że Gwen i Jessamine opu-

ścicy dom. Obszedł ze Staffordem wszystkie pomieszczenia, zanim uwierzył. Policja stanowa rozstawiła silne reflektory na podjeździe i na tyłach domu. Chwilę później ponownie rozległ się dzwonek telefonu. Carson podniósł słuchawkę i zaczął zgasić wszystkie światła. Gliniarze odmówili i do rozmowy włączył się sprawadzony tu specjalnie negocjator. W odpowiedzi menadżer wydał dyspozycje pani Benning, by sprowadziła dzieci na dół. Zgromadziwszy wszystkich wokół siebie, kazał Staffordowi pójść na piętro i pozastaniać wszystkie okna, tak by w środku zrobiło się ciemno. Zapędził mieszkańców ośrodka do klasy, polecił im

248

stanać przy oknach, po czym rozsunał kotary i zapalił światło, by widać ich było na zewnątrz. Dave miał uchylić drzwi frontowe i uklęknąć. Carson wystrzelił dwukrotnie nad jego głową w stronę reflektorów. Nie trafił żadnego z nich, ale tym razem wykonano jego polecenie i zgaszono światła.

Porywacz, wyłączając oświetlenie w klasie polecił opiekunce ponownie zsunąć story. Skierował mieszkańców domu do salonu i polecił, by nie ruszając się leżeli na podłodze, po czym zamknął drzwi na klucz. Dave'a zaś zabrał do ciemnej kuchni i posadził za stołem, tyłem do werandy. Sam wycofał się do jadalni, by tam czekać na przybycie mediów. Po kolejnym telefonie Carson oświadczył negocjatorowi FBI, że będzie rozmawiał wyłącznie z przedstawicielami telewizji, na których zamierza czekać. Gliniarze potrzebowali chwili, by przemyśleć wszystko, po czym zadzwonili raz jeszcze i poinformowali, że nie zamierzają dopuścić do niego przedstawicieli mediów. Dokonali też bezpośredniego połączenia telefonu z centrum dowodzenia znajdującego się w furgonetce.

Stafford słuchał tej wymiany zdań i wyobrażał sobie bezład organizacyjny panujący na zewnątrz. Zebrało się tam przecież tyle niezdolnych do wzajemnej współpracy służb. Wojsko z pewnością drżało ze strachu na samą myśl o ujawnieniu informacji mediom, albo też otwarciu cylindra w sierocińcu.

Czekali w ciemnej kuchni ponad godzinę, gdy wreszcie Dave zapytał, czy może zaparzyć świeżej kawy.

- Tak, ale najpierw przynieś na stół butelkę wody z lodówki i szklankę. Żadnego światła i nawet nie myśl o jakichkolwiek sztuczkach.

Stafford wstał i otworzył lodówkę próbując przy jej świetle przyjrzeć się

Carsonowi, ale bezskutecznie. Zauważył, że lodówka arii na chwilę nie przestała

pracować, odkąd umieścił tu cylinder. Zastanawiając się nad przyczynami zabrał się za przygotowywanie kawy.

Starał się obmyślić sposób na zdobycie przewagi nad Carsonem, ale nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Jeśli rewolwer był sześciopalcowy, zostały w nim jeszcze tylko trzy naboje, a może nawet dwa, gdy z ostrożności przy ładowaniu jedna komora została pusta. Podczas całego pobytu Carsona w domu, Dave nie Zdołał mu się przyjrzeć. Wszystkie światła wewnątrz były zgaszone, a zasłony i żaluzje zasunięte, w pomieszczeniach więc panowały niemal absolutne ciemności. Co prawda nie dało się wyjrzeć na zewnątrz, ale co ważniejsze, nawet snajper, z noktowizorem, nie byłby w stanie widzieć, co dzieje się w środku. Stafford wiedział, że policja nie zaatakuje domu, w którym znajdują się dzieci, więc utrzymywała się sytuacja patowa. Dave miał świadomość, że tylko z jedną ręką i bez żadnej broni, nie pomoże zbytnio tym na zewnątrz. Zamiast tego musiał ruszyć głową.

Carson milczał. Siedząc u szczytu stołu był ledwie widoczny. Ten pat zaczął Stafforda stopniowo drażnić. Chciał spojrzeć na Carsona, by przekonać się, czy jego wygląd odpowiada znużeniu w głosie. Musiał coś uczynić. Z drugiej jednak strony może Carson nie wytrzyma tego oczekiwania. Najważniejsze, by nie zrobił nic dzieciom. Gliniarze po raz kolejny zatelefonowali pół godziny temu, ale uciekinier uniósł tylko słuchawkę i natychmiast ją odłożył. Pat Kiedy kawa była gotowa, Dave próbował poczęstować Carsona.

249

- Nie. Zostań tam i siadaj tak, żebym mógł cią widzieć. Postłuchał. Po kilku kolejnych minutach zagadnął o Buda Lambry 'ego. Otrzymał odpowiedź ze wszystkimi szczegółami.

- Cholera! Co takiego zrobił? Przycisnął cię do ściany? Chciał więcej pieniędzy, niż byłeś gotów mu dać?

Carson milczał. Wreszcie odpowiedział:

- Razem robiliśmy interesy w DRMO. Chyba wszyscy staliśmy się zbyt chciwi, gdy wynikła sprawa tego pojemnika.

- A co zamierzasz teraz zrobić?

- Poczekać na ekipę telewizyjną.

-A później?

- Strzelę ci prosto w łeb, jeśli natychmiast się nie zamkniesz!

Groźba wydała się na tyle poważna, że Stafford wolał nie ryzykować i rzeczywiście zamilkł.

Bujając się na krześle, Carson na chwilę zamknął oczy.

Stafford siedział po przeciwnej stronie stołu i popijał sobie kawę. Chciał go przeczekać. Mógł tak trwać do końca świata, ale on nie da się nabrać na żadne sztuczki. Czuł tak naprawdę, że ma coraz mniej czasu i cierpliwości. Tamci ludzie do tej pory powinni być już na miejscu.

Otworzył oczy i zamrugał kilkakrotnie, by odzyskać ostrość widzenia. Stafford siedział nadal na swoim miejscu. Gorączka nasilała się i Wendell miał świadomość, że nie pomoże mu ani advil, ani zimna woda. Gliniarze twierdzili, że nie dopuszczą do niego ludzi z telewizji, a cylinder w lodówce był bezpieczny. Przyszło mu do głowy, że po otwarciu, on pierwszy doświadczyłby działania tego świństwa. Coraz poważniej rozważał możliwość zaszantażowania policji oświadczając, że zastrzeli jedno z dzieci, jeżeli nie wpuszczą telewizji.

Westchnął nadspodziewanie głośno. Stafford odwrócił głowę w jego stronę, ale nie odezwał się ani słowem. Mogę grozić, ale nie zabiję przecież dziecka – myślał Carson. Był zdziwiony, że odważył się strzelić do szeryfa. Buda Lambry'ego zabił w samoobronie, ale do policjanta strzelił przecież z premedytacją. Mógł krzyknąć, by rzucił broń, ale tego nie zrobił. Wycelował w tułów i strzelił prosto w serce, jakby był pozbawionym wszelkich skrupułów zabójcą. Znów słyszał ten jęk i widział strugę krwi na betonie. Nie czuł jednak żadnych wyrzutów sumienia. Właściwie nie odczuwał absolutnie nic. Podobnie jak wtedy, gdy na pasie transportowym do Monstrum zmierzał jeden z ludzi Tangenta.

Do cholery! Sprawy zupełnie wymknęły mi się spod kontroli, a to przez tego gnojka, który teraz siedzi naprzeciwko mnie. I tej okropnej dziewczuchy. Dwadzieścia cztery godziny temu miałem w garści milion dolarów i czekało mnie zupełnie nowe życie. A teraz? Jestem skończony. Oni wygrają tą rozgrywką. Boże, dłużej już chyba tego nie zniosę!

Poruszył się na krześle, czując, jak każdy staw i mięsień przeszywa ostry ból. Jest zdecydowanie coraz mniej czasu. Nie mogę tracić przytomności w tym miej-

250  
scu i pozwolić Staffordowi na wezwanie glin. W najgorszym wypadku zabiorę ze sobą tego drania, a może i dziewczynę. Nagle wpadł na świetny pomysł, jak wprowadzić te zamiary w życie.

Żołądek Stafforda protestował od nadmiaru kawy. Kofeina trzymała go na

nogach, ale kwas i stres skręcały mu wnętrzności. Desperacko starał się coś wy-  
myślić, aby przerwać impas, a jednocześnie uchronić dzieci przed  
groźącym im  
niebezpieczeństwem. Aż podskoczył, gdy Carson  
niespodziewanie wypowiedział  
jego nazwisko.

- W porządku, Stafford - rozległ się trudny do zrozumienia  
bełkot.

-Co?

Carson pchnął telefon w stronę Dave'a.

• Zadzwoń do nich. Niech zgłosi się dowódca wojska.

-1 co mam mu powiedzieć?

• Rób, co mówię, do cholery! Później ci powiem.

Stafford sięgnął po słuchawkę. Natychmiast odezwał się w  
niej głos:

-Tak? Wendell?

- Nie, tu Stafford. On chce, żebym rozmawiał z dowódcą  
wojska. Z gene-  
rałem.

Rozległ się inny głos:

- Może rozmawiać tylko ze mną, Z nikim innym.

- Kto mówi?

-Kiesling, FBI.

• W środku jest pięcioro dzieci; Kiesling. Ten facet nie jest w  
nastroju do  
zabawy w podchody.

• Jest pan po jego stronie, Stafford?

• Jestem tym, w którego teraz mierzy z rewolweru. Niech pan  
ściągnie tu  
generała, dobrze? Jestem pewien, że on pozwoli panu posłuchać  
naszej rozmowy.

Przez kilka chwil w słuchawce panowała cisza.

- Co mówią? -^zapytał Carson.

Kiesling chce, żebym rozmawiał tylko z nim. Zgodził się  
jednak na sprowa-  
dzenie generała. To dobrze. Czekali niemal pięć minut nim  
wreszcie ktoś się odezwał.

-- Mówi generał Carrothers.

Z tej strony Dave Stafford, panie generale. Proszę chwilę  
poczekać. - Posłał Carsonowi pytające spojrzenie. Znow nie mógł  
dostrzec jego twarzy. - No i co?

Daj mi słuchawkę. Ostrożnie. O tak.

Dave wychylił się i przesunął aparat. Wendell polecił mu usiąść,  
po czym powoli wstał. Zrobił to z dużym trudem, co nie uszło  
uwagi Stafforda.

Generale! Mówi Wendell Carson.

Były agent nie słyszał już rozmówcy, ale wymiana zdań nie trwała  
długo.

251

- Oto moja propozycja, generale. Pan chce odzyskać swój  
mały skarb, najle-  
piej w nienaruszonym stanie. Zwrócę go. Później możecie zniknąć  
i nigdy się nie

przyznać, że go straciliście. Tego właśnie chcecie, prawda?

Carson milczał przez chwilę, nim wreszcie powoli pokiwał  
głową.

- W porządku. A oto moja cena: sprowadzi mi pan  
dziewczynę. Wie pan chyba  
o kim mówię. W zamian wypuszczę opiekunkę razem z  
dzieciakami i zwrócę cy-

linder. W przeciwnym wypadku otworzę go. Proszę pomyśleć, jak wytłumaczy pan to swoim przełożonym i opinii publicznej, generale. Zadzwońcie, kiedy będziecie mieli dziewczynę.

Połączenie zostało przerwane. -  
• Nigdy się na to nie zgodzą - powiedział Stafford.  
• Naprawdę? - zapytał zbieg. - Przecież odzyskają to, na czym najbardziej im zależy, a ponadto wymienią siedmioro zakładników na dwoje. To nie ideał, ale przecież takie jest życie. Zobaczysz. To ostateczna rozgrywka. Zgodzą się.

- Dwój e zakładników?
- Tak. Chcę dziewczyną. Ciebie przecież już mam.

Kiesling przekazał żądania Carsona szefom sił lokalnych i stanowych, zgromadzonym w mobilnym centrum dowodzenia. Nie wspominał o pojemniku. Skupił się tylko na zakładnikach. W furgonetce aż szumiało od wymienianych między sobą negatywnych opinii. Generał Carrothers wysłuchał ich uważnie, po czym przeprosił wszystkich zgromadzonych i wyszedł z samochodu. Minął kordon policyjny składający się z zaparkowanych równo radiowozów przed ogrodzeniem Willow Grove. Słyszając, że zjawiała się ekipa telewizyjna z Atlanty, rozkazał swoim podwładnym, aby zburzyli kamienny murek na łące przyległej do domu i tamtędy przejechali suburbanami w cień drzew. Na szczęście przedstawiciele mediów zostali zatrzymani na drodze z Graniteville, w odległości kilkuset metrów od Willow Grove.

Generał popatrzył na zegarek. Była już prawie trzecia nad ranem. Wraz z nadejściem świtu zjawiały się helikoptery z dziennikarzami, a z powietrza zostały zauważone jego pojazdy. Żałował, że nigdzie w pobliżu nie ma szeryfa, który Dagle zniknął i coraz poważniej podejrzewano, że natknął się na Carsona. Jego Zastępcy przez całą noc przeszukiwali okolicę.

Podszedł do jednej z wojskowych półciężarówek. Z ciemności wyłonił się jakiś kapitan. Pozostali żołnierze robili to, co nakazywał im rozkaz: spali w wozach. Oficer najwidoczniej pełnił wartę.

- Słucham, panie generale . zagadnął.
- Proszę jak najszybciej o połączenie satelitarne z generałem Waddellem na linii kodowanej.

Dwie minuty później został połączony z przełożonym i przedstawił mu warunki, jakich zażądał Carson.

Bez wątplenia ma cylinder w domu? - zapytał dowódca wojsk chemicznych.

-Na to wygląda. Ponadto ma Stafforda, opiekunkę i pięcioro małych dzieci.

Jeśli oddamy mu dziewczynę, zwolni wszystkich z wyjątkiem Stafforda i zwróci

pojemnik. Za jakieś trzy godziny zacznie robić się widno, a dziennikarze z Atlanty są już na miejscu.

- Co wiedzą?

- Tylko tyle, że uzbrojony facet trzyma dzieci z sierocińca jako zakładników

i podobno ma gaz bojowy. Właśnie dlatego na miejscu jest już wojsko. Oczywiście

ście kazałem powiedzieć, że istnieje tylko takie mało prawdopodobne przypuszczenie. Jesteśmy tu tylko tak na wszelki wypadek.

- A co mówią cywile stojący wokół domu?

-Potwierdzają naszą wersję. Rzecz w tym, że tylko szef FBI wie, iż cylinder

rzeczywiście jest w środku. Poza tym nikt nie wie, gdzie jest dziewczyna. Za wie-

dzą i namową szeryfa opuściła ośrodek wraz z dyrektorką.

- Chodzi o nastolatkę o paranormalnych zdolnościach?

-Tak jest.

- Czy Carson w ogóle ją widział?

- Tak, niestety. Wpadłem na ten sam pomysł: by ściągnąć tu młodo wyglądającą agentkę FBI i wysłać ją do domu. Niestety spotkali się.

W tej chwili w ciemnościach pojawił się szef oddziału FBI. Kapitan usiłował

go zatrzymać, ale Carrothers dał znak, że nie ma takiej potrzeby.

- Jest tu agent Kiesling, panie generale. Proszę chwileczkę poczekać.

Agent podszedł na tyle blisko, by mówić szeptem.

- Znalaziono szeryfa. Nie żyje. Strzał prosto w serce. Był w strumieniu poni-

żej stawu.

- Jezu! - Jęknął wojskowy. Zdażył już polubić szeryfa. -1 co?

- Rozmawiałem z moimi ludźmi z Waszyngtonu. Jeżeli uda się odszukać

dziewczynę, zgadzają się na proponowane warunki. Trzeba to zrobić zanim zrobi

się widno i zjawią się śmigłowce z reporterami. Prawdopodobnie tylko szeryf wie...

wiedział, gdzie się ukryły.

- Wydaje mi się, że mój szef jest podobnego zdania. Jeśli jednak Carson

zabił szeryfa, bardzo możliwe, że wyślemy tę dziewczynę na śmierć. Nie mówiąc

już o Staffordzie.

- Dlaczego pan tak myśli?

- Jeśli odzyskamy cylinder i Carson zabije świadków, nie będziemy mieli

przeciw niemu żadnych dowodów. Władze nie mogą sobie pozwolić na ujawnie-

nie prawdziwych powodów w tym zamieszaniu, a jedyni świadkowie będą mar-

twi. Ja głosuję więc, by nie godzić się na tę propozycję.

Kiesling spojrział w stronę kapitana, upewniając się, czy nie słyszy ich roz-

mowy.

- Według instrukcji pochodzących z biura prokuratora generalnego mam podjąć wszelkie konieczne kroki, mające na celu odzyskanie broni. Wszelkie. Z założeńia podobną opinię powinien mieć Pentagon. Jeżeli odzyskamy dzieci i cylinder, będziemy mieli do czynienia z zupełnie inną grą. Do diabła! Może uda się nam poprzez dziewczynę przemycić jakąś broń dla Stafforda?

253

Carrothers przyglądał mu się, po czym wzruszył ramionami. Taka propozycja nie miała racji bytu i obaj dobrze o tym wiedzieli. Wojskowy pokręcił tylko głową i wrócił do rozmowy z generałem Waddellem. Przekazał mu zdanie Kie-slingajegoplan.

- Znajdźcie dziewczynę - polecił dowódca wojsk chemicznych. Zgódźcie się na jego warunki. Zawartość tego pojemnika może zabić tysiące ludzi. Sekretarz Obrony gotów jest wymienić dwoje ludzi - właściwie jednego, jeśli mowa o niewinnych cywilach - na ten przedmiot. Proszę robić wszystko, co trzeba, generale. W końcu po to pan tam jest.

- Znalezienie małej może okazać się nie takie łatwe, panie generale - przypomniał Carrothers.

Jeśli się nie znajdzie, z układu nici - pomyślał. Na linii znów zapanowała cisza.

- Przyjąłem to do wiadomości, generale. Proszę mieć świadomość, że jeśli nie uda się ściągnąć jej przed wschodem słońca, uzyskaliśmy już zgodę na podjęcie innych działań, mających na celu zneutralizowanie Oka Szatana.

Carrothersowi wydało się, że serce zatrzymało mu się w piersi.

• Innych działań, panie generale? Czy takich jak w przypadku DRMO?

• Dokładnie takich, generale.  
• Tam jest pięcioro...  
• Rozkazy pochodzą z naczelnego dowództwa. Chodzi o> broń masowej zagłady. Albo ją odzyskamy, albo dopilnujemy jej zniszczenia. Czy mamy pewność, że Carson jest w domu?

• Tak jest. Znalezliśmy jego samochód.  
• Proszę więc odszukać dziewczynę, generale, albo przed świtem usunąć wszystkich z okolic domu. Bez odbioru.

Wojskowy z niedowierzaniem przyglądał się słuchawce, zanim ją odłożył. Mimo chłodu był spocony. Przekazał Kieslingowi słowa generała. Ten popatrzył na zegarek i głośno przetłknął ślinę.

- Lepiej znajdziemy dziewczynę - powiedział.  
Kiedy wspólnie brnęli przez mokrą trawę do centrum dowodzenia, ha ich

spotkanie wyszło dwóch agentów FBI z latarkami w dłoniach.

- Na drodze jest jakaś kobieta - doniósł jeden z nich. -  
Dojechała do kordonu  
policyjnego rozsypującym się pikapem. Mówi, że jest właścicielką  
tego domu. Nieja-  
ka pani Warren. Chce mówić z dowodzącym. Razem z nią jest  
młoda dziewczyna.

Wojskowy i agent specjalny popatrzyli na siebie, po czym  
biegiem popędzili  
do furgonetki. Zbliżając się, zobaczyli stojącą nieopodal Gwen  
Warren. Nastolat-  
ka znajdowała się nieco z tyłu i rozglądała się wokół  
rozszerzonymi ze strachu  
oczami. Towarzyszyło im trzech zastępców szeryfa okręgu  
Longstreet oraz dwóch  
stanowych policjantów. Światło z furgonetki oświetlało ich twarze,  
nadając im  
niesamowity wyraz. W innych okolicznościach Carrothers uznałby  
tę kobietę za  
niezwykle atrakcyjną, ale teraz jej twarz była maską  
odzwierciedlającą troskę.

- Proszę nie mówić nic o szeryfie - szepnął generał do  
towarzysza. - Był jej  
mężem. Podobno pozostawali w przyjacielskich stosunkach.

254

Okazało się, że pytanie o szeryfa było pierwszym, jakie Gwen  
im zadała:

- Gdzie jest John Lee? Policjanci skontaktowali się ze mną.  
Podobno wy-  
kły tu poważne kłopoty. Czy coś mu się stało?

Kiesling posłał pytające spojrzenie wojskowemu, który także  
nie wiedział co  
odpowiedzieć. Warren patrzyła po twarzach zgromadzonych, aż  
nie wytrzymała.

- Mówcie, do cholery!

Starszy zastępca szeryfa zrobił krok naprzód i zdjął kapelusz.

- Szeryf John Lee nie żyje, pani Warren. Prawdopodobnie  
zastrzelił go ten  
drań, który teraz jest w szkole. Naprawdę bardzo mi przykro,  
proszę pani. Wszyst-  
kim nam przykro.

Gwen przyłożyła dłoń do ust, a z twarzy odpłynęła jej krew.  
Zachwiała się

i usiadła na schodku furgonetki. Przez chwilę generałowi  
wydawało się, że kobie-  
ta będzie wymiotować. Zrobił krok naprzód i pochylił się nad nią.

- Pani Warren? Nazywam się generał Carrothers. Bardzo  
mi przykro z powo- ;  
du tej straty. Zdażyłem poznać szeryfa Warrena. Od początku  
wiedziałem, że to  
dobry człowiek.

Przytaknęła, ale nie odezwała się słowem. Nastolatka  
przepchnęła się między  
mężczyznami i zajęła miejsce obok swej opiekunki. Zaczęła  
machać rękami w ję-  
zyku migowym. Gwen zakryła twarz, a dziewczyna wydała z  
siebie cichy jęk i za-  
częła płakać. Dyrektorka przytuliła ją, a jednocześnie sama  
ukradkiem otarła oczy.

- Co tu się dzieje? - zapytała po chwili.

Kiesling zaczął opowiadać, ale Carrothers dał mu sygnał, by

się wstrzymał.

- Pani Warren, czy zgodzi się pani na mały spacer? Jeśli pani chce, proszę wziąć ze sobą towarzyszkę.

Gwen spojrzała na niego zaskoczona, ale wstała i poszli. Minęli tłumek policjantów przy radiowozach i podjazdem przeszli na łąkę. Trzech zastępców sSryfa podążyło za nimi w odległości kilku metrów.

Gospodyni usiadła, gdy dotarli do murku, Jessamine poszła w jej ślady Car\*

rothers opowiedział im o zdarzeniach w nocy. Założył, że skoro dziewczyna nie

mówi, to jednocześnie jest głucha. Zorientował się jednak, że słucha go z uwagą,

Odczuł lekkie zdenerwowanie na myśl, że rzeczywiście ma do czynienia z me\*

dium. Kiesling milczał, tylko od czasu do czasu nerwowo zerkał na zegarek.

• Wziął za zakładników dzieci i ich opiekunkę - powiedział wojskowy.

• Chodzi o panią Benning.

• Tak. Jest tam także Stafford. Carson ma przy sobie co najmniej jeden re-

wolwer i jeszcze jeden przedmiot.

Czekał, chcąc się zorientować, czy kobieta wie, o czym mówi.

To ona przecież poinformowała Stafforda o istnieniu cylindra.

Ponownie uniosła głowę i na niego spojrzała. Miała naprawdę wspaniałe oczy.

• Przedmiot? Ma przy sobie ten przedmiot? Chodzi o pojemnik?

• Tak. Pani Warren, cylinder zawiera szczególnie niebezpieczną substancję.

Jeżeli wydostanie się na zewnątrz, nie sposób przewidzieć ile ludzi w okolicy

ucierpi.

Pokiwiała głową, jakby nie była to dla niej żadna nowość.

255

• Czego on chce? - zapytała poważnie.

• Czegoś bardzo niezrozumiałego - odparł generał, zerkając jednocześnie na pracownika FBI. - Jest gotów zwrócić nam pojemnik i wydać zakładników.

• W zamian za co?

• Chce dziewczyny - odparł Kiesling. -1 zatrzymuje Stafforda.

• Musieliście chyba postradać zmysły - szepnęła zapatrzona gdzieś w dal.

• Pani Warren, my nie... - zaczął agent, ale Carrothers nie dał mu dojść do słowa.

• Zgadzam się z panią, pani Warren - rzekł. - Jestem absolutnie przeciwny podjęciu takich działań. Staramy się znaleźć inny sposób, ale nie mamy czasu.

Carson grozi, że zrobi krzywdę dzieciom.

Na wieść o swoich podopiecznych, dyrektorka domu aż podskoczyła. Kiesling próbował ją uspokoić.

• Nie wydaje się nam, by było go na to stać, pani Warren. Facet nie jest

zatwardziałym kryminalistą. To cywilny pracownik wojska w średnim wieku, który nagle stracił grunt pod nogami. Zdecydowanie nie jest to typ człowieka, który mógłby strzelać do niewinnych dzieci.

• Tylko do dorosłych szeryfów? - zapytała cicho. Agent już otworzył usta

jakby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je i wyczekująco popatrzył na wojskowego. - Jaki inny sposób macie na myśli, generale?

Carrothers zawahał się.

- Szczerze mówiąc nie mamy żadnego. Mieliśmy nadzieję, że pani będzie

w stanie powiedzieć nam coś ważnego na temat domu, co będziemy mogli wyko-

rzystać. W ostateczności to ja będę towarzyszył dziewczynie.

Wiem, że musimy

coś zrobić.

Gwen westchnęła.

• Powiedział, że zrobi krzywdę dzieciom?

• Tak, niestety - odparł generał, zastanawiając się nad swoją deklaracją. -

Możemy także czekać - dodał. - Odciąć prąd w domu, odizolować Carsona i dać

mu do zrozumienia, że nie ma żadnych szans. Zmęczyć go tym i przeczekać.

• Nie możecie wdrzeć się do domu? - zapytała. - To z powodu tego przedmiotu?

• Tak. Poza tym musi pani wiedzieć, że istnieją inne środki zaradcaw, które

Zostaną przedsięwzięte, jeżeli sprawa nie zostanie szybko zamknięta.

• Co to ma znaczyć? - zaniepokoiła się Gwen.

Generał znów nie wiedział w jaki sposób to wyjaśnić. Miał nadzieję, że roz-

mowa nie przybierze takiego wymiaru.

• Dowództwo naczelne wydało zgodę na zniszczenie budynku - powiedział. -

Zapewne o świcie nastąpi atak lotniczy. Przykro mi, pani Warren. Zawartość tego

cylindra to broń masowej zagłady, niemal równie niebezpieczna, jak broń atomowa,

Tak naprawdę istnieje tylko wybór: dziewczyna wejdzie do środka, albo nikt już stamtąd

nie wyjdzie. Jeszcze raz wyrażam gotowość pójścia z nią. Może wspólnie...

• To żaden wybór, prawda generale? - zapytała Gwen wstając i poprawiając

ubranie. - To wprost wspaniałe. Pozwalacie, żeby takie okropieństwo wpadło

256

w ręce jakiegoś desperata, John Lee nie żyje, a teraz chcecie poświęcić życie pię-

ciorga dzieci i dwojga dorosłych, by zatrzeć ślady własnych błędów. Jak brzmi

ten stary wojskowy slogan? „Bądź wszystkim tym, kim możesz być”? Czy tylko

na tyle was stać?

• Widać tak - odparł generał, nie mogąc spojrzeć kobiecie prosto w oczy.

Nawet Kiesling wyglądał na zakłopotanego.

• Istnieje pewien sposób ^ stwierdziła wreszcie Gweh. - Tojtt zabiorę tam Jessamine.

-Pani? Ale...

- Nie zależy mi wcale, byście mnie zrozumieli, a przecież teraz nie ma na to czasu. Pójdę tam z nią. Niech pan mu to powie. Dzieci, pani Benning i pojemnik w zamian za nas obie.

Kiesling popatrzył na wojskowego, lekko wzruszył ramionami i bez słowa

wycofał się do centrum dowodzenia, już po drodze wołając, by połączono go

z Carsonem. Carrothers obserwował go, po czym przeniósł spojrzenie na kobietę,

Były do siebie podobne, choć ta młodsza śmiertelnie przerażona, a starsza tylko

zdesperowana i zdeterminowana. Nagle zaczął się zastanawiać, co może tertz

myśleć Warren: wejdą tam, a wtedy dziewczyna przy użyciu swojego umysłu spró-

buje zrobić coś Carsonowi. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz i ogarnęła go niepo-

hamowana potrzeba poznania prawdy.

- Potrafi to zrobić? - zapytał miękko. - Naprawdę stać ją na to?

W oczach kobiety zabłyśło zrozumienie, ale nie odpowiedziała.

- Proszę zająć się przygotowaniami, generale - powiedziała tylko\* - Prosspą

nas powiadomić, kiedy będziecie gotowi. Musimy obie poważnie porozmawiać.

W cztery oczy, j jeśli to możliwe.

Carrothers wycofał się posłusznie, czując narastającą suchość w gardle. Sta-

rał się nie przyspieszać kroku, ale nogi same go niosły. Popatrzył na zegarek.

Niewiele czasu. Lepiej zrobi kontaktując się z Pentagonem.

Powie, że pojawiła

się nowa szansa na odzyskanie broni. Jednocześnie zastanawiał się jak wytłuma-

czy to wszystko Sue. Jezu Chryste! V

Carson odłożył słuchawkę i odsunął aparat. Stafford bardziej słyszał to, niż

widział, bo w kuchni wciąż panowały niemal absolutne ciemności.

- No proszę - mówił uciekinier. - Zgadzą się. Przyślą tu dziewczynę i ko-

bietę, która jest właścicielką tego domu, a nie generała. Bardzo mi to pasuje. Prze-

pędź tę babkę i dzieciaki do korytarza. Pamiętaj: żadnych świateł i sztuczek. Będę

tuż za tobą i strzelę na początek w kręgosłup. Później zaś

zastrzelę tyle bacho-

rów, ile mam naboji.

Stafford nie wierzył własnym uszom. Ci na zewnątrz łamali wszelkie zasady

postępowania z porwaczem. Powinni próbować coś zrobić i tak łatwo nie godzić

się na narzucone warunki. Dlaczego robią to akurat teraz?

Dlaczego nie zaczeka-

ją do świtu? I dlaczego akurat Gwen?

- Ruszaj się. Na co czekasz? - warknął Carson.

257

Najwyraźniej starał się ostro intonować, ale nie było go na to stać. Stafford podniósł się, wciąż się zastanawiając dlaczego nie można przeczekać porywacza. Idąc do salonu, uświadomił sobie, iż tamci nie wiedzą przecież, że Carson jest Chory. Zawołał panią Benning. Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte, a on nie był w stanie się z nikim porozumieć. Czuł, że Carson znajduje się w korytarzu tuż za jego plecami. Na jego polecenie otworzył drzwi i czekał, aż domownicy podniosą się z podłogi.

Ma jeszcze trzy naboje, może dwa - myślał gorączkowo Dave. Jeżeli spróbuję coś zrobić, być może uda mi się go zaskoczyć i w jakiś sposób obezwładnić. Ma wysoką gorączkę i zapewne jest osłabiony. Na pewno tak jest, bo słycać to przecież w jego głosie i widać w zachowaniu. Stał obok krzesła w holu. Może poczeka, aż dzieci zaczną wychodzić i wtedy ciśnie krzesło w stronę Carsona, po czym rzuci się na niego. Nawet jeżeli go postrzeli, to zabraknie mu amunicji i dzieci będą mogły uciec. Czy jednak zorientują się na czas, by to zrobić? Zastanowił się i westchnął. I jak celnie rzucić krzesłem przy pomocy jednej ręki? Carson był zdesperowany do tego stopnia, że brał pod uwagę możliwość otwarcia cylindra i zabicia dzieci. To ty powinieneś być bardziej zdesperowany, Dave - pomyślał.

Dlaczego on chce mieć tu ciebie i Jessamine?

Starał się obmyślić jakikolwiek plan. Gwen i Jess znajdują się w domu, zaś dzieciaki i pani Benning opuszczają go. Znajdą się we troje z Carsonem. W bębenku są zaś najwyżej trzy naboje. Czy istniał sposób na sprowokowanie go do strzelania? Należało sprawić, by miał mniej amunicji, niż potencjalnych przeciwników. W porządku, ale ich trójka nie będzie miała możliwości skoordynowania działań.

Do diabła, kręcę się tylko w miejscu. Jeszcze raz zastanówmy się nad sytuacją.

- Obmyśliłeś już swój ruch? - zapytał Carson z końca ciemnego korytarza. -

Według mnie nie masz żadnych możliwości.

Dzieci wyłoniły się z pokoju. Szły przestraszone trzymając się za ręce. Pani Benning pojawiła się ostatnia, zaganiając je w stronę drzwi i pilnując, by trzymały się razem.

- Zatrzymajcie się tam - nakazał porywacz.

Na dźwięk jego słów wszyscy posłusznie stanęli. Stafford stał przy schodach,

Skąd całkiem nieźle widział twarze maluchów. Usłyszał, że Carson sięga po telefonu.

- W porządku - rzekł do słuchawki były pracownik wojska. - Niech kobieta i dziewczyna podejną do frontowych drzwi i zatrzymają się na werandzie tak, żebyśmy je widział. Niech zadzwonią, kiedy już tam będą. - Rozłączył się, zanim negocjator po drugiej stronie zdążył cokolwiek powiedzieć. - Wy stańcie przed drzwiami. Stafford, ty kładź się na podłodze, twarzą w dół. Nogi i ręce trzymaj Szeroko.

Dave postąpił zgodnie z poleceniem. Wydawało mu się, że Carson podchodzi do niego, ale w tej pozycji praktycznie nie był w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu, nie robiąc przy tym hałasu i zamieszania. Pani Benning troskliwie poprowadziła dzieci we wskazane miejsce. Czekali.

258

Trzy minuty później wszyscy podskoczyli na dźwięk dzwonka do drzwi. Przed domem zrobiło się jasno, zapewne za sprawą reflektora skierowanego w tym kierunku.

- Stafford - rzucił Carson i Dave z trudem uniósł głowę. - Łap.

Coś zaszeleściło po podłodze i trafiło go w prawe ramię. Wyciągnął rękę. Torba.

- Pchnij ją do drzwi. Nie ruszaj się z miejsca, tylko pchnij ją pod drzwi. Stafford wykonał polecenie i torba pomknęła między małą trzódkę. Robiąc

to stwierdził, że jest zdecydowanie za lekka. A to drań! Czyżby w środku nie było pojemnika?

- Pani Benson, czy jak tam się pani nazywa, proszę to podnieść. Na moje polecenie wyjdzie pani na zewnątrz i pokaże torbę glinom. Później wróci na miejsce, przepuści tamte dwie i wszyscy wyjdziecie razem z torbą. Zrozumiano?

- Tak - szepnęła starsza pani. Dzieci milczały jak zakłęte.

- Proszę otworzyć drzwi i robić co kazałem.

Pani Benning przekręciła klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz, pozostawiony w zamku. Przekręciła go drżącymi rękami i uchyliła drzwi. Na tle światła na podjeździe widać było stojące na zewnątrz dwie kobiety. Opiekunka wysunęła się na werandę i zamachała torbą, jakby była to jakaś lampa sygnalizacyjna. Po chwili wróciła do środka.

- Wy dwie, wejdźcie tu - zawołał Carson. - Zamknijcie za sobą drzwi.

Stafford patrzył bezsilnie jak Gwen oraz Jessamine przekraczają próg. Chciał

je ostrzec, powiedzieć że w torbie nie ma pojemnika, ale

obawiał się, że porywacz zacznie do nich strzelać.

- A teraz może pani zabrać dzieciaki, torbę i wyjść.  
Pani Benning nie wahała się ani chwili. Błyskawicznie wypr0W»da\$b\* podopiecznych z domu.

- Zamknąć drzwi - padło polecenie. - Żadnych świateł.  
Stafford, wstawaj.

Przejdź do mnie. Wszyscy za mną, do kuchni.

Dave podniósł się powoli i cała trójka podążyła we wskazane miejsce. Światło wciąż się paliło na tylnej werandzie i widać było zarysy mebli.  
Carson zajął

stałe miejsce u szczytu stołu w jadalni, w głębokim cieniu.

Stafford znów go nie widział, słyszał tylko ciężkie dyszenie.

Czuł, że nie stać

go na obmyślenie jakiegokolwiek spójnego planu. Doprowadzało go to do obłę-

du. Ten facet najspokojniej w świecie wykiwał policję.

Siadać. Wszyscy.

Telefon rozdzwonił się na stole, gdy wykonali polecenie.

Carson zaśmiał się

i sucho zakaszłał, ale nie podniósł słuchawki. Poruszył się, a chwilę później roz-

legło się głucho, metaliczne uderzenie. Dave spostrzegł błysk metalu. Cylinder.

Miał rację: Wendell zachował to cholerstwo.

- To ubezpieczenie, na wypadek gdyby oddział specjalny chciał wdrzeć się do środka. Najpierw muszę skończyć to, co mam jeszcze do załatwienia.

Skończył pan już przemówiła Gwen Warren. Ku zdziwieniu Stafforda odsunęła krzesło, podniosła się i zapaliła światło.

259

-Wyłącz to! - zaskrzeczał Carson. Nie posłuchała go, tylko wróciła na swoje miejsce.

Dave przez chwilę oswajał wzrok aż wreszcie popatrzył na porywacza. Poraził go jego widok: blada, pergaminowa twarz, sino-zielone sińce pod przekrwionymi oczami, wilgotne włosy przyklejone do czaszki niczym skalp i czerwona pręga na szyi. Pojemnik lśnił złowieszczo na stole.

Napastnik wstał chwiejnie i wyprostował rękę z rewolwerem.

• Mówię poważnie - syknął. - Zgaś to światło, albo... zabiję was wszystkich!

Zgaś to!

• Nie -zdecydowanie odpowiedziała Gwen. - Skoro i tak zamierzasz nas

zabić, chcemy, żebyś robiąc to, patrzył nam prosto w oczy.

Carson wsparł lewą rękę na blacie, szukając oparcia. Stafford zaklął w my-

ślach, zły na siebie, że wcześniej nie zdecydował się działać. Ten facet był wrakiem,

który ciągnął już na rezerwie. Broń w jego ręku wyglądała jednak na całkiem sprawną.

Jessamine, siedząca obok opiekunki, patrzyła pusto w ścianę, jakby starała się za

wszelką cenę nie zauważać tego, co działo się wokół niej. Gwen

ujęła ją za rękę.

Wtedy zaczął ponownie dzwonić telefon. Tym razem Carson odebrał.

- Czego chcecie? - krzyknął do słuchawki. Przez moment słuchał. - Oczywiście, że to mam. - Zerknął na Dave'a. - Mój partner w ostatniej chwili zmienił zdanie. Powiedział, że kiedy tylko zwrócę cylinder, wy wdrzecie się do środka. - Kolejna pauza. - Stafford. A kto inny, ty idioto? Tkwi w tym od samego początku. Myślicie, że dlaczego tu jest, do jasnej cholery? Nie próbował nawet przeciwstawić się temu, co robię. - W jego mętnych oczach pojawił się triumf. - Zgadza się, panie agencie z FBI. Był po prostu sprytny. Chciał skorzystać na sytuacji, bez względu na jej przebieg. - I znów milczenie. Dave przyglądał mu się tylko i z niedowierzaniem kręcił głową. Carson roześmiał się ponownie nieczłowiekim głosem. - A skąd niby miałby się dowiedzieć o cylindrze, panie Einsteinie? - Chwila ciszy. - Tak, mam to, ale nie mam swoich cholernych pieniędzy. Musicie zapytać o to pana Stafforda.

Z trzaskiem rzucił słuchawkę na widełki, wyrwał kabel ze ściany i zepchnął aparat na podłogę. Ciężko usiadł na krześle. Podsunął do siebie cylinder i wsparł na nim lufę broni.

- Byłem ci to winien - powiedział. - Zniszczyłeś największą szansę, jaką miałem w życiu. Ty i twoje małe medium.

Jessamine słysząc to, popatrzyła prosto na niego. Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Nie wyglądała już, jak dzikie zwierzę, w każdej chwili gotowe do ucieczki.

Przesunęła się na krześle tak, by móc patrzeć mu prosto w oczy i Dave odczuł dziwne mrowienie na plecach. Gwen wciąż trzymała dziewczynę za rękę. Ona także utkwiała spojrzenie w porywaczu. Wyraz jej twarzy stał się absolutnie nieodgadniony.

Carson pochylił się do przodu. Twarz mu poczerwieniała, a dzikie oczy gorzały żywym ogniem.

- O nie, nie uda ci się to, mała. Tym razem jestem na to przygotowany. Koniec z takimi sztuczkami, jak ta na lotnisku. Koniec z nocnymi koszmarami. -

260

Przyłożył rewolwer do swojego czoła. - Zanim zdążysz tam zajrzeć, po prostu cię zastrzelę. Wyceluję prosto w twoją szkaradną twarz, a kiedy nacisnę spust,

I > twój mózg rozprysnie się po kuchni. Chcesz odczytać ten zamiar w moich myślach? Proszę bardzo, bo na pewno się nie zawaham.

Twarz porywacza była teraz purpurowa z wściekłości, a z

kącika ust pociekła stróżka śliny. Wstrzymał oddech, lecz ani na chwilę nie spuścił wzroku z Jessamine. Stafford wyczuwał emanującą z tego człowieka nienawiść. Carson wsparł rewolwer na blacie i wymierzył w stronę nastolatki. Lewa dłoń zaciskała się na cylindrze tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie.

Dave przeniósł wzrok na Jess. Ku ogromnemu zdziwieniu dziewczyna nie wytrzymała i zamknęła oczy. Jej dłonie wyraźnie drżały. Wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. Cholera! Carson ją pokonał. Znów na niego popatrzył i wtedy coś się stało. Wzrok porywacza niespodziewanie przesunął się gdzieś w dal. Prawa ręka, zaczęła drgać, a twarz jeszcze bardziej się wykrzywiła. Wydawało mu się, że teraz pojawiła się szansa na jakieś działanie, ale nie był w stanie się poruszyć. Carson usiłował coś powiedzieć. Niestety, słychać było tylko jakieś nieartykułowane jęki. Usta wygięły mu się w podkowę, a lufa rewolweru opadła na blat i coraz szybciej uderzała o stół. Wendell zachowywał się tak, jak człowiek przeżywający zawał. Nagle rozluźnił się i z głośnym westchnieniem opadł na stół.

Uderzył czołem tuż obok metalowego pojemnika.

Stafford odzyskał wreszcie siłę i ostrożnie się podniósł. Gwen przypominała posąg, wciąż wpatrując się w napastnika. Powoli okrążył stół, by odebrać mu rewolwer. Nagle zamarł. Ze zdziwieniem stwierdził, że Carson wcale nie stracił przytomności. Jego oczy były otwarte i wpatrzone w dal. Wyraz jego twarzy przypominał pysk psa, który lada chwila zamierza kogoś ugryźć. Agent obawiał się sięgnąć po broń.

- Odbierz mu ją- poleciała Gwen.

Jej wzrok nawet na ułamek sekundy nie oderwał się od Carsona. W jej twarzy było coś niesamowitego. Emanowała z niej powaga i napięcie. Dave wyciągnął rękę, by zabrać rewolwer z zaciśniętych palców napastnika. Skóra Carsona była niemal gorąca. Po odzyskaniu broni, chciał odebrać i cylinder, ale Warren odezwiała się ostrym głosem:

-Nie! Nie dotykaj go!

Wstała, a w jej ślady poszła Jessamine.

- Nie wolno nam tego zostawić - zaprotestował były agent

• Musimy tak zrobić. Dotknij go.

Metal niemal sparzył go w rękę.

• Gorący - szepnął. - Jest gorący.

- Tak. Wkrótce eksploduje. Musimy wyjść. Natychmiast.

- Eksploduje? Jezu Chryste! Owen, nie możemy na to pozwolić. Ta substancja może...

Kobieta jednak już szła do drzwi.

- Wybuchnie. Musimy wyjść stąd i ostrzec pozostałych. Nie ma czasu.

Wendelf nadal pozostawał bez ruchu, z ręką zaciśniętą na

pojemniku i wzrokiem utkwionym gdzieś w dali. Stafford wciąż chciał odebrać mu cylinder, ale

261

potrzebowałby do tego obu rąk. Poza tym rzeczywiście lepiej było znaleźć się jak najdalej tego świństwa, kiedy śmiertelna substancja wydostanie się na zewnątrz.

Na dłoni Carsona, w miejscu, gdzie dotykał metalu, pojawiły się białe bąble po oparzeniu.

Dave wycofał się pospiesznie śladem kobiet, które już zapaliły światło na frontowej werandzie. Miejsce to oświetlone było dodatkowo potężnymi reflektorami, więc gdy przekroczyli wejście, zatrzymali się oślepieni i zdezorientowani.

Zamknęli drzwi i ostrożnie zeszli po schodkach. Za światłami nastąpiło wyraźne poruszenie.

Truchtem przemierzali podjazd i dotarli do pierwszych radiowozów, gdzie

Otoczyli ich policjanci stanowi. Jeden z nich poprosił Stafforda o oddanie rewolweru, co odruchowo uczynił. Dopiero wtedy rozejrzał się nieco przytomniej i zobaczył znajomego generała oraz faceta, który już na pierwszy rzut oka wyglądał na agenta FBI. Zamieszanie wokół nasiliło się. Gwen została zasypana pytaniami.

Najbardziej przytomni okazali się lokalni policjanci, którzy chcąc zapewnić jej bezpieczeństwo, otoczyli ją szczelnym kordonem.

- Gdzie to jest? - zapytał Carrothers bez zbędnego wstępu.

- Tam, w środku - wyszeptał Dave. - Ale...

-W jaki sposób udało się wam wydostać, do diabła? - włączył się do rozmowy pracownik FBI. - Gdzie Carson? - zapytał ostro.

Stafford nie wiedział właściwie co odpowiedzieć.

- Nie jestem pewien, co się stało. Dostał jakiegoś ataku i mogliśmy uciec.

Ciągle ma jednak cylinder. I myślę... myślimy, że lada chwila wybuchnie. Jest gorący.

- Gorący? - powtórzył jak echo generał. - Jest pan pewien?

- Tak. Wszystkie drzwi i okna w domu są zamknięte. Nie wiem tylko, czy to jakiegokolwiek zabezpieczenie. On ściska go w rękę. Wcześniej leżał w lodówce.

Teraz jednak cylinder jest gorący.

Rozejrzał się za Gwen, szukając w niej wsparcia, ale ona oddalała się od niego, wciąż otoczona przez miejscowych.

- Dlaczego mu go pan nie zabrał? - wykrzyknął wojskowy.

- Nie mogłem. Ściska go z całych sił. Potrzebowałbym do tego obu WJK. -

Uniósł lewe ramię. - Tylko jedną mam sprawną.

Carrothers zaklął pod nosem i odwrócił się na pięcie.

Zatrzymał się na chwilę i popatrzył na Kieslinga.

- Zdecydowanie zalecam, aby zabrał pan stąd wszystkich

ludzi. Mamy do czynienia z bardzo poważnym zagrożeniem chemicznym.

- Co to dokładnie znaczy?
- Powiem tak: jeśli ten pojemnik eksploduje, to każda żywa istota w promieniu co najmniej siedmiu kilometrów zginie w okropny sposób. Mówię poważnie. Muszę natychmiast sprowadzić pomoc. Proszę zabrać stąd wszystkich i to natychmiast!

Na podjeździe zapanowała cisza jak makiem zasiał. Policjanci słyszeli rozmowę i wszyscy z wyczekiwaniem przyglądali się agentowi specjalnemu. Tym-

262

czasem generał biegiem ruszył do swoich pojazdów, stojących pod drzewami. Widząc to, zgromadzeni zaczęli wycofywać się spod domu.

- W porządku - powiedział Kiesling nienaturalnie głośno. - Słyszeliście. Zbieramy się stąd. Hej... Stafford!

Dave, który gorączkowo wypatrywał Gwen, odwrócił się na zawołanie.

- Tak? - zapytał wciąż mocno zdezorientowany.
- Chcemy z panem pomówić. Najpierw muszę dokładnie wiedzieć, co się wydarzyło i co pan wie na temat tego zamieszania.

Stafford z rezygnacją pokiwał głową. Nie stać go było na jasne myślenie. Nie mógł wymazać sprzed oczu widoku, jakby czymś zaczarowanego Carsona. I dziwnego wrażenia, które sam odczuwał, a które uniemożliwiło mu jakiegokolwiek działania. Bardzo chciał pomówić z Gwen, ale nie było jej nigdzie w pobliżu.

- Tak, dobrze. Cokolwiek chcecie - odparł. - Gdzie pani Warren?
- Nie wiem - rzucił Kiesling, rozglądając się nerwowo. Na niebie coraz wyraźniej było widać światło wstającego dnia. - Ruszajmy stąd. Od tej chwili to już chyba problem wojska. Co tam się stało, do cholery? W jaki sposób uciekliście?

Dave jeszcze raz się rozejrzał i wreszcie ją zlokalizował. Była otoczona przez zastępców szeryfa okręgowego. Między nimi, a policją stanową najwyraźniej toczyła się ostra wymiana zdań. Tymczasem, pierwsze samochody zaczęły odjeżdżać w stronę Graniteville.

- Nie jestem pewien - odparł. - Carson był w kiepskim stanie. Miał wysoką gorączkę.

Wiem, co widziałem, ale nie rozumiem tego - pomyślał. Czy aby na pewno wiesz? - odpowiedział mu głos wewnętrzny. Gdzie, do licha, była Gwen?

Kiesling poprowadził go wzdłuż szeregu radiowozów, które przeszkadzały sobie nawzajem, usiłując wykręcić na miękkim żwirze. Przed nimi pospiesznie

zwijano i przygotowywano dojazdy mobilne centrum dowodzenia.

- Jeżeli był taki słaby, dlaczego sam nie mógł go pan obezwładnić? - jzucił przez ramię agent FBI.

Dave zatrzymał się.  
- Nie widziałem go. Dostawszy się do środka, kazał pozastłaniać wszystkie zasłony i żaluzje w całym domu. Było tam niemal absolutnie ciemno. Pilnował, abym nawet przez chwilę nie widział jego twarzy. Ciągnął jednak już resztką sił. - Gwen była teraz zdecydowanie bliżej. - Muszę koniecznie pomówić z panią Warren.

Kiesling również się zatrzymał i śmiertelnie spoważniał.

• A ja myślę, że musi pan pójść z nami. Należy wyjaśnić pewne sprawy. Najpierw musimy się stąd wynieść.

• Nie - rzekł Stafford twardo i skoczył między dwa jadące obok siebie stano-  
we radiowozy. Właściwie nie wiedział dlaczego, ale czuł, że teraz najważniejsza jest rozmowa z Gwen. Pracownik FBI znalazł się po drugiej stronie samochodów jadących w szeregu i tylko krzyczał na niego bezsilnie.

Zanim dobiegł do Warren i chroniących ją policjantów, domyślił się, że nie chce się zgodzić na opuszczenie rodzinnej posiadłości. Jessamine stała za plecami

263

mi opiekunki i bojaźliwie zza nich wyglądała. Trzej rośli zastępcy szeryfa stali naprzeciw dwóch policjantów stanowych i młodego agenta FBI, który coś głośno Wykrzykiwał.

• To mój dom - oświadczyła Gwen, gdy Dave był już w stanie ich słyszeć. -

Mam prawo tu zostać.

• Sama pani powiedziała, że w każdej chwili może nastąpić wybuch. Słyszała pani generała: wszyscy mają jak najdalej się stąd wynieść.

Najpotężniejszy z policjantów okręgowych zastąpił drogę agentowi.

~ Jeśli pani Warren nie chce iść, to nie pójdzie - oświadczył spokojnym głosem.

Zdecydowanie górował nad innymi. Dwaj rangersi wymienili się spojrzeniami i zgodnie postanowili, że dołączą do kolegów.

- Gwen, o co chodzi? - zapytał Stafford. - Przecież sama mówiłaś, że musimy się stąd ewakuować.

-Nie, Dave. Wydaje mi się, że chcą zrobić coś złego z moim domem. Gene-  
rał wcale nie uciekał. Biegł do telefonu. Nie pozwolę im na to.

Kiesling wreszcie ich dopadł i znów zaczął wykrzykiwać coś o rozkazie opusz-

czenia terenu. Były pracownik DCIS uniósł dłoń, chcąc go uciszyć.

\*- Ona chce zostać i ma do tego prawo. Ja także. Może pan zabrać swoich

ludzi i odjechać.

Rysy twarzy dowódcy grupy FBI stężały.

- Ona mnie nie obchodzi, Stafford. Ty jedziesz z nami.  
Carson wskazał cię jako swojego współpracownika i nie spoczne, dopóki tego nie wyjaśnię. Zniknęło mnóstwo pieniędzy. A teraz...  
Najroślejszy z policjantów splunął prosto między lśniące buty Kieslinga. Ten urwał i popatrzył pod nogi, a później na sprawcę.  
• Zbierajcie stąd swoje rządowe tyłki - syknął zastępca szeryfa. - Nikt nie będzie nam mówił, co mamy robić w okręgu Longstreet. - Dwaj jego koledzy ^robili krok naprzód, by podkreślić znaczenie tych słów. Młody agent niepewnie Spoglądał na nich i na swojego przełożonego.  
• Panie Kiesling? - powiedział z nadzieją w głosie. - Wydaje mi się, że lepiej nie zaoznaczać sytuacji. Według mnie to lokalny problem, więc po co mamy się # to angażować. Panie Kiesling?  
> Agent specjalny był czerwony na twarzy jak burak. Gwen i Jessamine odwróciły się tymczasem i nie czekając na zgodę ruszyły w stronę domu. Ramiona Kieslinga opadły tak, jakby uszło z niego powietrze, zorientowawszy się, że oprócz Ostatniego radiowozu, jego samochód był jedynym na podjeździe.  
Nie zapominaj, Stafford, że kiedy to się skończy, należysz do mnie, jasne?  
- Bardzo mi będzie miło poznać, co tak naprawdę pana interesuje - odparł Dave, po czym podążył za kobietami.  
Dowódca kipiąc wściekłością zrobił krok w jego stronę, ale podwładny chwycił go za rękaw i pociągnął w stronę czekającego wozu.  
Kiedy odjechali, Gwen podziękowała swoim opiekunom.  
- Chłopcy, wracajcie teraz do miasteczka. Ludzie mogą się denerwować, kiedy zjawi się tam taka zgraja.

264

- Jeśli potrzebuje pani pomocy, jesteśmy gotowi z panią zostać - oświadczył najbardziej rosy z policjantów.  
W bladym świetle Dave długo przyglądał się nazwisku widniejącym na klapie jego bluzy i był niemal pewien, że brzmi ono HAND.  
- Pan Stafford zostanie z nami. Wojsko także nie odjeżdża. Damy sobie radę.  
Wy macie ważniejsze sprawy na głowie.  
Rozległo się zgodne „tak jest, proszę pani” i policjanci pospiechali do radiowozu, którym odjechali do miasteczka. Z pewnością nie mieli zbyt wielkiej ochoty tu zostać, ale ich lojalność była godna podziwu. Miał już poprosić Gwen o wyjaśnienie tego co zaszło w jadalni, gdy od strony łąki dobiegł ich huk potężnych silników.

Carrothers dopadł suburbanów i natychmiast polecił swoim ludziom włożyć kombinezony chemiczne oraz uruchomić połączenie satelitarne.

Żołnierze nie spieszyli się zbyt. Dopiero, gdy powiedział, że cylinder z Okiem Szatana, anodujący się domu w każdej chwili może ulec rozhermetyzowaniu, jego podwładni zaczęli związać się jak w ukropie.

Generał złożył Waddellowi szczegółowy raport informując, że wszyscy zakładnicy opuścili dom, a został tam tylko porywacz z gorącym cylindrem. Dowódca wojsk chemicznych poprosił o powtórzenie ostatniej wiadomości, po czym bez zbędnych podchodów zapytał, czy dysponują na miejscu ładunkami zapalającymi. Nje mieli ich jednak. Waddell kazał usunąć z okolicy wszystkich cywilów i ustanowić Strefę zamkniętą na obszarze o promieniu siedmiu kilometrów wokół domu.

- Zrobiliśmy to, panie generale. Czy powinienem wiedzieć coś więcej na temat samego pojemnika?

Zapadło długie milczenie.

• Nie chcieliśmy wcześniej cię tym niepokoić, Lee, ale ludzie Fullera przeprowadzili pewne symulacje. Stwierdzili, że pozostało trzydzieści sześć godzin do rozhermetyzowania się cylindra.

• Jezu Chryste! Kiedy zaczęło się odliczanie?

• Mniej więcej trzydzieści sześć godzin temu. Właśnie dlatego lecą już do was cobry.

Carrothers myślał pospiesznie.

- Dysponujemy pełnym sprzętem chroniącym przed skażeniami chemicznymi. Wprowadzę zespół do środka i być może uchronimy się przed tragedią.

Znow musiał poczekać na odpowiedź:

• Według naszych informacji maszyny będą nad celem za trzydzieści pięć minut. Jeśli zdecydujesz się na to, nie zabraniam. Miej świadomość, że nalot odbędzie się bez żadnego ostrzeżenia za... już trzydzieści cztery minuty. Opuśćcie okolicę, zanim się zjawią, bo dodatkowo wysłaliśmy warthogi z napalmem. >

• Już ruszamy.

- Aha, Lee? Zalecam zastrzelenie tego drania natychmiast, gdy to będzie możliwe. Oszczędzi to wszystkim wielu kłopotów, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

265

Generał potwierdził odebranie wiadomości i rozłączył się. Zebrał wokół siebie podwładnych i przedstawił im sytuację. Żołnierze byli już w pełnych strojach, tylko hełmy trzymali pod pachami.

- Nie ma czasu na żadne skomplikowane plany, chłopcy. Mamy jakieś pół godziny, zanim Waszyngton przeprowadzi atak z powietrza. Kapitanie, wy pokie-

rujecie ludźmi w domu. Pełne stroje, podjedziemy samochodami do wejścia i wejdziecie z bronią. Carson jest zapewne na parterze i ma przy sobie cylinder. Zastrzelcie go, jeśli tylko się ruszy i weźcie pojemnik. Gdyby cylinder był jeszcze cały, włóżcie go do lodówki. Jeżeli rozhermetyzował się, natychmiast się wycofujecie i niech lotnicy zrobią resztę. - Popatrzył na zegarek. - Mamy dokładnie dwadzieścia dziewięć minut. Później przylecą warthogi z napalmem. Jakież pytanie?

Młody kapitan wyglądał tak, jakby miał ich co najmniej kilka, ale mina przełożonego sprawiła, że zrezygnował z pytań. Wszyscy już przygotowywali broń, ale jeden ze stojących uniósł rękę.

- Tak, żołnierzu?
- Chodzi o Oko Szatana, prawda? Czy te stroje zabezpieczą nas przed nią?

Carrothers musiał szybko ruszyć głową. Na pewno uchronią ich przed chemicznym składnikiem tej broni. Biologiczny jednak mógł przeniknąć przez filtry. A jeśli uległ dodatkowej mutacji...

- Tak, to stara broń. Już wcześniejsze modele kombinezonów były wystarczające, a ten daje absolutną pewność. Coś jeszcze?

Nikt nie zamierzał już zadawać pytań.

- W porządku, hełmy na głowy i do wozu. Pamiętajcie: to tylko jeden facet, ~ cywil, na dodatek chory. Wyważcie drzwi frontowe i do dzieła. Znajdźcie go i jeśli drgnie, strzelajcie bez ostrzeżenia. Zlokalizujcie cylinder, zamroźcie go i znikajcie, jasne? Do roboty!

Wszysdnie inne pojazdy dawno już zniknęły, gdy półciężarówka wjechała na podjazd. Tylko przenośne reflektory stanowiły dowód, że jeszcze niecałe dziesięć minut była tu zgraja policjantów. Carrothers prowadził pierwszy z suburbanów, by umożliwić kierowcy dołączenie do zespołu. Przyspieszył zbliżając się do domu, który był już wyraźnie widoczny w świetle dnia. Podjechał aż pod same Schodki prowadzące na werandę, zahamował gwałtownie i zgasił silnik. Drugi pojazd zatrzymał się tuż za nim. Ku jego zdziwieniu ten mężczyzna z DCIS, pani Warren i dziewczyna stali na tarasie.

! - Z drogi - krzyknął do nich generał.

Stafford odruchowo odsunął obie kobiety. Carrothers z zadowoleniem obserwował pewność działania kapitana, który wbiegł po schodkach i kopnięciem wyważał drzwi wejściowe. Na wszelki wypadek posłał serię z automatu w ciemny korytarz. Nastolatka jęknęła cicho i dłońmi zakryła uszy, a kobieta aż otworzyła usta ze zdziwienia. Pozostali żołnierze podążyli zgodnie za oficerem.

Carrothers, z bronią gotową do strzału, wysiadł i wszedł do budynku. W holu nie było wiele widać z powodu dymu. Drzwi kuchenne zostały zamienione w stos drzazg. Uświadomił sobie, że nie docierają do niego żadne dźwięki, po części za

266  
sprawą kombinezonu, który miał na sobie. Popatrzył na zegarek. Dwadzieścia cztery minuty. Po sprawdzeniu klasy z lewej strony i mieszkania Gwen z prawej, oddział obstawił korytarz. Jeden z ludzi przyklęknął u stóp schodów i mierzył w górę. W kuchni paliło się światło.

Generał szybko myślał. Właściwie nie chciał zabijać Carsona, jak sugerował to Waddell, chyba że uciekinier rzeczywiście zdecydowałby się na działanie zagrożające jego ludziom. Czas uciekał nieubłaganie. Kapitan posłał przełożonemu pytające spojrzenie. Nie wiedząc, co zastaną w kuchni, Carrothers z ociąganiem dał sygnał do działania. Kapitan w towarzystwie dwóch żołnierzy ostrożnie ruszył naprzód, z bronią wymierzoną przed siebie. Dwadzieścia trzy minuty.

Wszyscy trzej dość nieporadnie przekroczyli wejście. Generał po chwili po-  
dażył za nimi. Właśnie mijał drzwi, gdy rozległy się strzały i na podłogę posypało się tłuczone szkło. Później zapadła cisza.

Ostrożnie podsunął się do framugi. Światło było stłumione unoszącym się w powietrzu dymem. Wystawił lufę długiej broni zza rogu, odetchnął głęboko i zrobił krok naprzód. Szkło pochodziło z tylnych drzwi, a ponad nimi znajdowało się kilkanaście dziur po kulach. Ktoś musiał spanikować - uznał. Wreszcie skupił uwagę na mężczyźnie przy stole.

Spostrzegł cylinder i w myślach podziękował Bogu. Facet zaciskał na nim lewą dłoń. Głowę miał wygiętą pod dziwnym kątem, jakby został sparaliżowany. Otwarte oczy były skierowane na Wat, a wzrok był mętny i odległy.

- Nic wam nie zrobi - za jego plecami rozległ się kobiecy głos. Gwałtownie odwrócił się na pięcie i niemal odruchowo nacisnął spust. W kuchni, obok Warren, pojawił się także Stafford i dziewczyna. Gwen odsunęła wymierzoną w siebie lufę i podeszła do Carsona. Nikomu nic już nie zrobi.

Carrothers zatrzymał wzrok na porywaczu, który przypominał posąg. Nie wyobrażał sobie, by mógł go tak po prostu zastrzelić, bez względu na to jak bardzo tego chcieli dostojnicy z Pentagonu i Departamentu Sprawiedliwości.

Podszedł do Carsona i z trudem wyszarpnął cylinder z jego sztywnych i po-

parzonych palców. Nawet przez grubą rękawicę poczuł gorąco metalu. Ostrożnie przeniósł go do lodówki, zrzucając na podłogę wszystkie produkty z górnej półki i kładąc tam pojemnik, który aż zasyczał przy dotknięciu z zimną kratką. Popatrzył chwilą i zamknął drzwiczki.

- Panie generale? - odezwał się kapitan. - Ile mamy jeszcze czasu?  
Carrothers chwilę patrzył pustym wzrokiem, nim dotarło do niego pytanie.

Zerknął na zegarek. Osiemnaście minut. Chryste! Jakże szybko ten czas płynie!  
Trzem podwładnym-kazał zabrać Carsona, a Gwen i pozostałą dwójką poprosił o szybkie opuszczenie domu. Żołnierze mocowali się z bezwładnym ciałem, a generał starał się podjąć decyzję dotyczącą pojemnika. Zabrać go ze sobą, czy też tu zostawić? Niska temperatura spowolni dziejący się w środku proces, więc bezpieczniej było go nie ruszać. Jeżeli na czas nie zdołają odwołać nalotu, broń zostanie zniszczona wraz z domem, co było stosunkowo dobrym rozwiązaniem. Zawahał się. Po tylu przejściach nie chciał go zostawiać. Siedemnaście minut.

267

Pospiesznie wyszedł na werandę i popatrzył w niebo, które teraz było już prawie jasne, choć okoliczne góry sprawiały, że znajdowali się w ich cieniu. Uświadomił sobie, że po zabezpieczeniu pojemnika hełm nie jest mu już potrzebny, zdjął go i zbiegł po schodkach. Kapitan, wciąż w pełnym stroju był już na zewnątrz i wydał rozkaz zawrócenia suburbana. Generał głośno zawołał swojego kierowcę. Wezwany, donośnie tupiąc ciężkimi butami, wypadł na zewnątrz.

- Łącze satelitarne, tylko szybko!  
Patrzył na sprawne ruchy składania anteny i uruchamiania sprzętu, a jednocześnie kątem oka zerknął na zegarek. Szesnaście minut. Pozostali żołnierze również opuścili dom. Dwóch z nich ciągnęło Carsona. Nigdzie ani śladu cywilów, w tej chwili kierowca wychylił się z wozu.

Brak połączenia, panie generale. Góry zasłaniają satelitę. Trzeba przejechać samochodem.

Cholera jasna! - zaklął w myślach Carrothers. Piętnaście minut. Wyobraził sobie, że już słyszy huk nadlatujących śmigłowców bojowych. Czy starczy mu czasu na wyciągnięcie ze środka tamtej kobiety, czekanie na zajęcie dogodnej pozycji i odwołanie ataku? Czy ona posłucha go wreszcie, czy też znowu będzie protestować? Na pewno nie pójdzie mu z nią łatwo. A niech to!

- Ruszać się! - krzyknął. Carson znalazł się wreszcie w drugiej półciężarówce.

- Szybko! Szybko! Zaraz będzie tu istne piekło!

Żołnierze biegiem wskakiwali do wozów, a kierowca sprawnie wykręcił. Car-

thers jako ostatni zajął w nim miejsce i ostro ruszyli. Setki kamyków wyrzuconych spod kół uderzyły gradem w ścianę domu. Zarzuciło nimi na podjeździe, ale kierowca ani na chwilę nie stracił panowania nad kierownicą. Zahamował gwałtownie, gdy znaleźli się na drodze.

- W którą stronę? - wykrzyknął.  
- Na miłość Boską, w lewo! W lewo! rzucił równie zdenerwowanym głosem generał. - Z powrotem na łękę!

Trzydzieści minut. Tam na pewno uzyskają połączenie. Obejrzał się na dom, ale nigdzie ani śladu tej trójki. Po winien wyciągnąć ich stamtąd choćby siłą. Cholera. Kierowca ostro skręcił w lewo, minął wyrwę w murze, znów zarzuciło tyłem, iylne koła zaczęły ślizgać się na rozmiękłym błocie. Pedał gazu powędrował aż do podłogi, a silnik zawył jak oszalały. Jedynym tego efektem było stopniowe zagłębienie się tylnej osi samochodu w miękkim podłożu. Znajdowali się odległości stu metrów od miejsca, gdzie wtedy prowadził rozmowę z Waddellem. Czy uda się nawiązać stąd łączność? Czy wystarczy czasu na wydostanie się i ponowną próbę? Dwadzieścia minut.

Nagle za plecami siedzących rozległo się potężne uderzenie. Aż podskoczyli i siedzeniach, gdy drugi wóz trafił ich w tył. Uderzenie było na tyle silne, że wyskoczyli z dziury i staczali się po łące usianej kamieniami. Dotarli na miejsce poprzedniego postoju, a kierowca tak zahamował, że generał niemal uderzył głową w przednią szybę.

- Szybko! Nie ma czasu! - wrzasnął ponownie, wyskakując z samochodu.

268

Prowadzący samochód znów ustawił antenę satelitarną i sprawdził sygnał. Tym razem był wystarczająco mocny. Drugi suburban zbliżył się do nich i generał kątem oka dostrzegł jego pogruchotany zderzak. W środku, na przednim fotelu, wciąż w hełmie siedział kapitan. Dziewięć minut.

- Połączenie ustanowione, panie generale.
- Chcę mówić z generałem Waddellem. Powiedźcie operatorowi, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Osiem minut.

Gwen usiadła przy stole kuchennym i ukryła twarz w dłoniach. Jessamine wybrała miejsce, które wcześniej zajmował Dave. Na jej policzkach znajdowały się smugi po zaschniętych łzach, a ręce wciąż trzęsły się jak oszalałe. Opadła na krzesło i wyczerpana zamknęła oczy. Stafford, nie wiedząc co właściwie ma zrobić, sięgnął po dzbanek z kawą, powąchał ją i postanowił wylać do zlewu.

- Po co zaczęli strzelać do tych drzwi? - zastanowiła się głośno Gwen.

- Ktoś pewnie zobaczył w nich własne odbicie. W tych kombinezonach wygląda się bardzo groźnie. Na pewno wszyscy mieli duszę na ramieniu, a poza tym byli bardzo młodzi.

Pokiwała głową i przeniosła wzrok na podopieczną, która wyglądała jakby zasnęła na siedząco. Dave obszedł stół i usiadł obok gospodyni.

- Chyba już nigdy nie dowiem się, co tak naprawdę tu zaszło - powiedział cicho.
- Naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytała, obdarzając go ciepłym, lecz smutnym uśmiechem.
- Mój umysł dochodzeniowca domaga się wyjaśnienia tej sprawy - wyznał. - Reszta zaś mówi mi, bym zostawił to w spokoju. Myślałem, że wprowadzisz tu, Jess tylko po to, by zrobiła to samo co na lotnisku. Carson bez wątplenia był bardzo pobudzony. Liczyłem na to, że ponownie straci przytomność, a wtedy mógłbym odebrać mu rewolwer. - Popatrzył jej prosto w oczy. - On jednak był na to przygotowany. Wiedział już co mu zrobiła i był rozwścieczony. Szalał i stracił głowę. Mimo to, stawiał jej czoła, a ona sobie z nim poradziła. - Przeniósł spojrzenie na nastolatkę. To nie byle jaka zdolność, Gwen. To bardzo potężna moc.

Dyrektorka ośrodka pokręciła głową i ujęła go za rękę.

- Nie, stało się coś innego niż myślisz, Dave. To on sam nie wytrzymał i to nie z powodu jej ogromnej mocy. Miał wysoką gorączkę. Wystarczyło na niego spojrzeć, by się o tym przekonać. Sam doprowadził się do takiego ataku. Wszystko wymknęło mu się z rąk i poszło nie tak, jak planował. Jak sam mówisz, stracił głowę. Zapewne stwierdzą udar mózgu. To nie Jess. Popatrz na nią. Była zbyt przerażona, by tego dokonać.

Odchylił się na krześle, nie wiedząc co powiedzieć. Z tego co pamiętał, wydawało mu się, że tylko on był ogarnięty strachem. Nagle ziewnął, czując, jak poziom adrenaliny obniża się w jego organizmie. Gwen poszła w jego ślady, dyskretnie przysłaniając usta.

269

- Może teraz zapanuje nieco spokoju - rzekł. - Przecież mają wreszcie swój cholerny cylinder.
- Właściwie nie mają - odparła zerkając na lodówkę i bałagan na podłodze.
- No tak. Wrócą tu.

Warren wstała i podeszła do lodówki. Otworzyła drzwiczki i przesunęła dłoń po powierzchni cylindra, która pokryła się cienką warstwą lodu.

- Tyle zniszczenia z powodu jednego pojemnika.

- Przecież wiesz, że to niezwykle pojemnik.

- Chyba już nie - rzekła i zamknęła lodówkę. - Dlaczego tak nagle uciekli?  
Stafford starał się znaleźć jakąś rozsądną odpowiedź, ale wciąż nie mógł oderwać myśli od tego, co stało się z Carsonem.

- Co teraz będzie - zapytała Gwen.  
Pentagon i Departament Sprawiedliwości za zamkniętymi drzwiami będą wzajemnie pokazywać na siebie palcami, aż doprowadzi to do ujawnienia całej sprawy - odparł. - Wtedy przestraszą się i zadbają, by wszyscy zapomnieli o tych zdarzeniach. Nie wiadomo co zrobią z Carsonem. Skąd przyszło ci do głowy, żeby tu wrócić?

- Nadeszła wiadomość. A co będzie z tobą? Po tym, co powiedział Carson, FBI jest gotowe oskarżyć cię o współudział.

- Chyba dam sobie jakoś radę, kiedy ogólny krzyk już nieco ucichnie. Poza tym złożyłem rezygnację. Związanie mnie ze sprawą będzie oznaczało ponowne jej otwarcie. Tak naprawdę przykro mi tylko z powodu Johna Lee.

Pokiwała głową.

- Tak, to prawda - rzekła ciężko wzdychając. - Chyba do mnie to jeszcze w pełni nie dotarło...
- Widziałeś tego człowieka. To przecież wrak. Aż trudno sobie wyobrazić jak udało mu się pokonać szeryfa...
- John Lee pewnie pomyślał to samo i nie był wystarczająco ostrożny.

Do ich uszu dobiegł, początkowo bardzo odległy, lecz narastający z każdą, jfcwilą huk wojskowych helikopterów. Oboje podskoczyli jak Oparzeni, a Jessa-  
toine odruchowo wepchnęła palce do ust.

- Co to takiego, do diabła! - wykrzyknął Dave i pobiegł do frontowych drzwi. Gdzieś wyżej słychać było silniki odrzutowców, których huk odbił się echem od okolicznych gór. Dwa warthogi i jeden czarny śmigłowiec zakręcały nad doliną i zmierzały w stronę Graniteville. Drugi śmigłowiec zatoczył łuk nad farmą i nadlatywał od tej strony, gdzie na łące stały dwie półciężarówki. Wisiał na niebie jak wielki, prehistoryczny robak, z przednią szybą niczym wielkie oczy i odnóżami do których podczepiono różnego rodzaju broń. Broń, która w każdej chwili może zostać odpalona - pomyślał. To właśnie dlatego żołnierze uciekli.

Dave ruszył przez łąkę, podczas gdy cobra wylądowała, wzbijając w niebo chmurę pyłu. Żołnierze nie zdjęli jeszcze strojów ochronnych, a jeden na jego widok sięgnął po broń. Stafford zignorował go i skierował się prosto do generała Carrothersa. W tym czasie pilotujący kobrę zeskoczył na ziemię i przekazał hełm

oraz uprząż kapitanowi, który stał tuż za zasięgiem wciąż kręcących się szybko topań. Jeden z suburbanów zawrócił i ruszył z powrotem w stronę domu.

Dave dał znak generałowi, że chce z nim mówić. Wspólnie oddalili się od maszyny na tyle, by móc się wzajemnie słyszeć.

- Wszystko skończone?
- Chyba tak, panie Stafford - odparł wojskowy, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. - Zarówno z osobistego, jak i z profesjonalnego punktu widzenia.

Były agent także się uśmiechnął, doskonale wiedząc, co rozmówca ma na myśli.

- Moi ludzie jeszcze raz wejdą do środka i zabrają pojemnik. Wciąż jest nienaruszony, prawda?

- Tak jest. Tkwi w lodówce.
- Kapitan będzie go eskortował do Anniston.
- Nie ma obawy, że w tym czasie eksploduje?
- Będą lecieli na dużej wysokości, z otwartym lukiem.

Stafford wyobraził sobie, że jeden z żołnierzy przez cały czas będzie go trzymał za oknem. Carrothers zorientował się o czym myśli rozmówca, bo tylko wzdrygnął ramionami.

- Co zrobicie z Carsonem? - zapytał Dave.

Na tylnym siedzeniu samochodu widział skuloną postać schwytanego porwacza. Przy drzwiach, z obu stron na warcie stali żołnierze. W środku znajdował się już medyk, który właśnie aplikował menadżerowi kroplówkę.

- Na początek zamknijemy go w strzeżonej izolatce. Zapewne w St. Elizabeth. - Carrothers wymownie spojrzął na zegarek. - W czym jeszcze mogę panu pomóc?

- Wydaje mi się, że powinniśmy zawrzeć coś na kształt umowy, panie generale. Każdy z nas wie coś, co według drugiego powinno pozostać w tajemnicy, prawda?

Wojskowy przyjrzał mu się uważnie i wreszcie przytaknął.

- Co pan proponuje?
- Dobrze pan wie, że nie mam nic wspólnego z niecznymi planami Carsona; prawda?

- Tak mi się przynajmniej wydaje.
- W porządku. Być może przydałoby mi się pańskie wsparcie w tej sprawie.

Zależy mi też, by nikt nie interesował się Jessamine. Mogę panu tylko powiedzieć, że Carson doznał jakiegoś ataku - bez udziału żadnych działań paranormalnych. W zamian za to jestem gotów zapomnieć o wszystkim, co wiem. Podkreślam: o wszystkim. Nawet pod przysięgą, jeśli okaże się to konieczne.

Generał myślał przez chwilę, aż wreszcie przytaknął zdecydowanie.

-Umowa stoi.

Stafford z wysiłkiem uniósł prawą rękę na tyle, by uściśnięli

sobie dłonie.

W tej chwili półciągarówka wróciła na łakę. Jej uszkodzony przedni zderzak od czasu do czasu zaczepiał o nierówności. Zatrzymała się obok nich i wysiadł z niej żołnierz w kombinezonie chemicznym. W obu rękach ostrożnie trzymał cylinder.

271

- Panie generale? - przemówił.
- W porządku, żołnierzu. Przekażcie go kapitanowi.

Przypomnijcie mu, że broń nic jest bezpieczna binarnie.

Tak jest, panie generale, ale...

Tak?

- On już nie jest nawet ciepły.

Carrothers podszedł do niego pospiesznie i przesunął palcem po wciąż po-

krytej lodem powierzchni. Obejrzał się na dom i pokiwał głową.

- Niech mnie licho porwie. W porządku, zabierzcie to do kapitana. Powiedzcie, że mogą lecieć na zwykłej wysokości, dopóki cylinder nie zacznie się ponownie rozgrzewać.

-Tak jest!

Żołnierz wrócił do samochodu, który właśnie zjechał ze wzgórza i zatrzymał się przed czekającym oficerem.

Generał obserwował go spod zmarszczonych brwi.

No cóż, wystarczająco dużo czasu był w lodówce - zauważył Dave.

Widział pan te oparzenia na dłoni Carsona? Nie był tam aż tak długo, panie

Stafford. A jednak na jego powierzchni utrzymuje się teraz lód. No cóż, i ja muszę się stąd zbierać.

Skinął głową na pożegnanie i odwrócił się. Zatrzymał się jednak i obejrzał.

Panie Stafford? - rzekł.

- Słucham, panie generale?

Ta dziewczyna. Jessamine, prawda? Była blada i absolutnie przerażona,,

kiedy wchodziła do domu. Kolana jej się trzęsły i wyglądała tak, jakby w każdej

chwili miała zwymiotować. - Urwał i popatrzył jeszcze raz na dom.

- Jeżeli ktoś

zrobił to Carsonowi, to według mnie nie ona.

Odwrócił się i ruszył ku czekającym pojazdom.

Safford stał i długo za nim patrzył. Helikopter, z kapitanem i ładunkiem na

pokładzie, dostojnie wzbił się w niebo, pochylił nos i

przyspieszając wznosił się,;

aż zniknął za Górą Howell. Chwilę później zrobiło się cicho i spokojnie.

Dave popatrzył na Willow Grove, gdzie na schodach werandy czekała na

niego Gwen Warren w towarzystwie Jessamine. Nawet z takiej odległości widział

jej niepowtarzalne, zielone oczy